

**PRZEMYSŁAW HUDYMA,  
WOJCIECH KULAWSKI**



**KRYPTONIM**  
**"MŁOT THORA"**  
**TAJEMNICA RIESE**

**NOVAE RES**

PRZEMYSŁAW HUDYMA,  
WOJCIECH KUŁAWSKI

**KRYPTONIM**  
**„MŁOT THORA”.**  
**TAJEMNICA RIESE**



**NOVAE RES**

# 1

– Mówi pan więc, że te stare ramole z Dahlem specjalnie opóźniają prace nad tą cudowną bronią? – Reichsminister lekko się skrzywił. Jego rozmówca nie wiedział, czy chodziło o zbyt gorzką kawę, czy o niechęć do naukowców z ośrodka badawczego.

– Jawohl, Herr Reichsminister.

– Czy ma pan na to jakieś dowody? Oskarżasz przecież, młody człowieku, największe niemieckie autorytety naukowe. – Tym razem uniesione groźnie brwi ministra mówiły jednoznacznie o jego nastawieniu.

– Trudno, żebym miał to na piśmie, ale łatwo można to udowodnić – trzymał się dalej twardo swojej wersji.

– Udowodnić? Proszę bardzo. Słucham. – Reichsminister jednak postanowił okazać cierpliwość swojemu gościowi.

– A więc tak. Po pierwsze odrzucają prostszą drogę dojścia do celu, forsując cały czas zastosowanie tak zwanej ciężkiej wody w procesie produkcji...

– Tak, wiem o tym. Zakłady w Norwegii produkują dla naszych potrzeb tę wodę. Co to znaczy: prostszą drogę?

– Już przed 1939 rokiem wiedziano, że w miejsce ciężkiej wody należy użyć grafitu. Problem polega na tym, że im wcale nie zależy na szybkim wyprodukowaniu nowej broni. Oni chcą przejść do historii jako twórcy pionierskiej metody. Nie ma dla nich znaczenia, czy to nastąpi już, czy za pięć lat i kto wtedy będzie rządził w Trzeciej Rzeszy. Ich koledzy są w Szwajcarii

i w Szwecji. Niels Bohr już został wywieziony z Norwegii. I pewnie teraz pracuje dla Anglii.

– Czy pan sugeruje, że...? I skąd pan ma te informacje? One stanowią tajemnicę. – Tym razem zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– Sugeruję, żeby zabrać z Dahlem grupę młodych naukowców. Jesteśmy, w przeciwieństwie do tamtych, członkami NSDAP, dwóch moich kolegów jest również członkami SS...

– Rozumiem, że przynależność do NSDAP lub SS według pana daje gwarancję szybszego dojścia do celu? Sądziłem, że gwarancją sukcesu jest wiedza poparta doświadczeniem, a nie przynależność partyjna. Jeszcze raz pytam: skąd ma pan informacje o Nielsie Bohrze?

– Herr Reichsminister. Oczywiście przynależność do czegokolwiek nie gwarantuje sama w sobie sukcesu, ale jest gwarancją pełnego poświęcenia dla projektu. O wywiezieniu Nielsa Bohra mówili Otto Hahn i Heisenberg. Któryś z nich dostał tę wiadomość ze Szwajcarii.

– Czy może pan wraz ze swoimi kolegami udowodnić, że ta metoda bez użycia ciężkiej wody jest pewniejsza i szybsza?

– Oczywiście, że tak. Choć w tej chwili jedynie na papierze. Wszystkie wyliczenia prowadzące do tej konkluzji wykonali Heisenberg i Döpel, członkowie Grupy Badawczej Fizyki Jądrowej. O tak nazwanej grupie naukowców musiał pan...

– Słyszałem, słyszałem – odpowiedział reichsminister, marszcząc czoło.

Zamyślił się. Wróciły wspomnienia, gdy był jedynie osobistym architektem Führera, a o wielkich planach dotyczących nowej broni słyszał tylko z wyrwanych z kontekstu słów, chwających kolejny projekt budowli w Berlinie, przyszłej stolicy świata. Otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał ukradkiem na młodego rozmówcę, który lekko przerażony swoją odwagą siedział i wpatrywał się w artystyczne zdobienia blatu ministerialnego biurka.

– No tak, ma pan rację. Przepraszam, młody człowieku, trochę się zamyśliłem nad tym wszystkim, o czym mówiłeś. Przyznam, że jest to ciekawe spojrzenie na prace związane z nową bombą.

– Panie ministrze! To nie jest jakieś ciekawe spojrzenie... To są fakty, skutecznie ukrywane przez starych fizyków skupionych teraz wokół Heisenberga. On swoją pozycję zbudował na otrzymanej w 1932 roku Nagrodzie Nobla. Tylko że wtedy nikt nie mówił o próbie rozszczepienia jądra atomu. Teraz zaś nie dopuszcza innych rozwiązań, bo w nich nie ma miejsca dla niego. Do tej grupy weszli młodszy, mający inne spojrzenie na...

– Zostawmy ten temat wraz z nowymi fizykami i chemikami. Muszę sam się w tym rozeznać. Do pana zaś mam jedynie prośbę. Proszę opracować dokument referujący zalety pańskiego pomysłu.

– Ale nie mam możliwości, by spokojnie nad tym posiedzieć. Przecież to zajęcie co najmniej na tydzień wytężonej pracy.

– Z tym zaraz sobie poradzimy.

Speer nacisnął przycisk na podstawie czegoś w rodzaju dużej chromowanej słuchawki telefonicznej stojącej na biurku. Rzeczywiście po chwili rozległ się głos sekretarki.

– Słucham pana, reichsminister.

– Proszę wejść do mnie.

Po chwili przed biurkiem stała sekretarka Alberta Speera.

– Frau Waltraud. Proszę znaleźć jakieś spokojne miejsce dla tego młodego mężczyzny. Mały skromny pokój, stół, krzesło, maszyna do pisania. Obecny tu człowiek będzie w tym pokoju pracował mniej więcej przez tydzień na moje osobiste polecenie. Proszę jeszcze wstawić do tego pokoju jakąś niedużą pancerną skrzynię... To tyle.

– Na kiedy to ma być zorganizowane?

– Możesz zacząć jutro, młody człowieku?

Nie czekając na odpowiedź, Speer polecił jeszcze wystawić przepustkę z tygodniową ważnością.

– To wszystko. – Sekretarka wyszła. – Jesteś zadowolony młody człowieku?

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Powiesz sekretarce, gdzie pracujesz, a ona załatwi ci tygodniową delegację do ministerstwa.

## 2

Zabrzęczał aparat łączący z sekretariatem.

– Przyszedł brigadeführer Schellenberg.

– Proszę wprowadzić.

Albert Speer wstał i podszedł do drzwi, które właśnie się otwierały. Stał w nich w swoim olśniewającym czarnym mundurze Walter Schellenberg. Zdjął siodłą czapkę i wyciągnął dłoń na powitanie. Speer odwzajemnił uścisk.

– Witaj, Walterze.

– Guten Tag. Czemu mam przypisać to zaproszenie?

– Siadaj. Najpierw powiedz, czego się napijesz, a potem... Lubisz Bacha?

– Oczywiście, że tak, zwłaszcza koncerty brandenburskie, ale chyba nie po to mnie zaprosiłeś?

– A jednak właśnie po to. Dostałem dwa komplety nagrań, właśnie koncertów, i to w takim wykonaniu, że aż trudno uwierzyć. – Uśmiech gospodarza był całkiem szczery.

– Czyli jakim? I czemu dwa?

– Prosto z frontu wschodniego. Jeden komplet będzie twój.

– Czyżby nasza niezwyciężona armia urządziła sobie w bezkresnym śniegu koncerty muzyki poważnej? Zważywszy na scenerię, to lepiej, jakby zagrali Griega lub Sibeliusa. – Było w tym trochę ryzykownej złośliwości, jednak Schellenberg wiedział, że może sobie na nią pozwolić.

– Żartujesz sobie, a to jest naprawdę doskonałe wykonanie.

– Zdradź wreszcie, o kim mówisz.

– Ein moment bitte. Posłuchaj.

Albert Speer włączył płytę i dźwięki wypełniły wielki gabinet ministra od ściany do ściany. Schellenberg, trochę zdziwiony, zaczął słuchać. Brzmienie potęgował wystrój pomieszczenia. Szef wywiadu SD aż się zdziwił, w jakim stopniu jakość dźwięku poprawiły grube i gęste kotary zasłaniające długą, do niedawna jeszcze pustą ścianę. Teraz za zasłoną wisiały szkice planów nowego tysiącletniego Berlina.

– Dawno u ciebie nie byłem. Wtedy ta ściana nie była osłonięta żadną draperią. Pamiętam, że wisiał na niej obraz dumnego Hindenburga w galowym, czy jak kto woli reprezentacyjnym, stroju. Czy dobrze pamiętam, Albercie? Obok był portret twojej żony wraz z potomstwem. A tak przy okazji: czemu kazałeś zasłonić ścianę tą draperią?

– Za nią jest galeria moich szkiców do planów przebudowy Berlina.

– O!?! To musi być bardzo ciekawe. Będziesz mógł mi je pokazać? – Rozmówca szczerze się zaciekawił.

– Czyżbyś ich nie widział? Ale może wrócimy do muzyki, jej początek już przegadaliśmy. Czy chcesz, żeby zacząć jeszcze raz?

Weszła sekretarka, niosąc filiżanki z kawą, omszałą butelkę wina i dwa kieliszki.

– Czy to wino też jest spod Stalingradu? – zapytał z uśmiechem Schellenberg.

– Muszę cię zmartwić. To nasz krajowy wyrób, wino mozelskie. To jest z gatunku eiswein, czyli „wino lodowe” powstałe ze zbioru wyselekcjonowanych kiści zmrożonych pierwszymi przymrozkami. – Gospodarz był nie tylko architektem Hitlera, starał się również uchodzić za konesera win. Podobnie jak inni przywódcy Tysiącletniej Rzeszy po osiągnięciu pewnego statusu, pozował na konesera i znawcę.

– No, no, no. Rzadki specjał.

– Co prawda, to prawda. Dostałem kilka butelek od kuzyna mojej żony.



– Ma winnicę?

– Nie. Ma tytuł szlachecki... i przed nazwiskiem dodaje sobie von, więc chyba zaimponował któremuś z właścicieli winnic nad Mozelą – odpowiedział ze śmiechem Speer. Kuzyna żony nigdy nie uważał za osobę godną bliższego poznania, jednak bez mrugnięcia okiem przyjmował od niego różne drobne uprzejmości, tak by tamten miał wrażenie, że jest zauważany. A przede wszystkim, by wydawało mu się, że obraca się w odpowiednich kręgach i ma do nich dostęp – tak naprawdę nie obracał się i nie miał dostępu. Jednak nie musiał o tym wiedzieć. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może się przydać, nawet kuzyn żony. – Może jednak starczy tych uprzejmości, Walterze. Pozwól, że przełożę płytę na drugą stronę, a wtedy wrócimy do sprawy, która mnie ostatnio bardzo niepokoi.

– Jeszcze jedno. Co w takim razie schowałeś za zasłoną wiszącą za biurkiem?

– To jest moja największa tajemnica. Poza mną zna ją jedynie Adolf Hitler. Nie wiem więc, czy mogę ją zdradzić tobie. – Speer spojrzał na gościa z udawaną powagą.

– Nie żartuj. Jakaż tajemnica może być skutecznie skryta za zwykłą zasłoną?

– Walterze, nasz Führer marzył kiedyś o karierze malarskiej.

– Chcesz powiedzieć, że on ci pomalował ścianę? – To pytanie, zadane ze śmiechem, należało jednak do kategorii tych bardzo niebezpiecznych i ryzykownych.

– Nie kpij. Za zasłoną wiszą, między innymi, jego obrazy. Zbierałem je od 1928 roku. Jest ich tam sporo i przyznam, że są nawet całkiem, całkiem.

– No toś mnie rzeczywiście zaskoczył. Kiedy będę je mógł obejrzeć?

– Choćby dziś, ale najpierw wysłuchaj muzyki i tego, co ci mam do powiedzenia. – Reichsminister odszedł od stolika, na którym był ustawiony gramofon, nachylił się nad siedzącym brigadeführerem i, ścisząc głos, zaczął mu szeptać do ucha: – Był u mnie młody fizyk z Dahlem i... – Albert Speer, cały

czas lekko pochylony, wyszeptał Schellenbergowi wszystko, co usłyszał o środowisku fizyków.

– Jaką rolę w tym wszystkim widzisz dla mnie? – zapytał brigadeführer.

– Pomyślałem, że coś w tym może być. Jestem gotów zabrać tych młodych zapaleńców i zobaczyć, czy im się uda.

– A czego oczekujesz ode mnie?

– Że pomożesz mi w zabraniu tych chłopców.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Aresztujesz ich.

– Jak to aresztuję?

– To jedyny sposób, żeby w Dahlem nikt się już nimi nie interesował.

– I gdzie mam ich dostarczyć?

– Zgadzasz się? Rozumiem, że się zgadzasz.

– Czemu nie? Można spróbować. Nie powiedziałaś tylko, dokąd miałbym ich zabrać.

– Na polecenie Adolfa przygotowałem siedziby zastępcze dla kilku instytucji z Berlina. W tej chwili wydaje mi się, że rejon Szwarzwaldu byłby najlepszy. Są tam stworzone przez moich ludzi awaryjne pomieszczenia dla kompleksu Dahlem. Zamknięte i pilnie strzeżone, ale ich uruchomienie to sprawa kilku tygodni.

– Czy nie bagatelizujesz problemu?

– Oczywiście, że nie. Wiem, to jest dość skomplikowane, ale sądzę, że się uda.

– Raz byłem w Dahlem. Oni tam mają jakiś taki bardzo specjalistyczny sprzęt. Ten fizyk, Heisenberg, mówił, że w całej Rzeszy nie ma takiego drugiego. To na czym będą pracowali ci... nieposłuszni?

– Takiego pewnie nie ma. Nie zapominaj jednak, że ten... Wiesz, to jest doskonały kryptonim sprawy: „Nieposłuszni”. Więc ten „Aufsässig” mówił o innej metodzie, którą Heisenberg i inni odrzucili. Aparatura do niej jeszcze jest w Instytucie. Trzeba ją zabrać, bo Führer zdecydował, że w najbliższym czasie

fizycy w Dahlem mają zwiększyć tempo prac nad bombą o wielkiej mocy i potrzeba więcej miejsca w Instytucie.

– I...?

– Więc pod tym pretekstem zabierze się sprzęt i przewiezie do Szwarzwaldu. Potem aresztujemy młodych, i do roboty.

– I co będzie, jeśli im się nie uda?

– Wtedy nic się nie stanie. O całym przedsięwzięciu po prostu zapomnimy, ale jak się uda...

– Właśnie, powiem ci szczerze, że bardziej się boję powodzenia niż klęski. Piękna muzyka, czy możesz nastawić drugą płytę?

Speer spojrział lekko zdziwiony i w tym momencie dotarło do niego, że dźwięki dobiegające z głośnika zaczynają przycichać.

– Ależ oczywiście. Już nastawiam. Jak wrażenia?

– Faktycznie dobre wykonanie. Kto to gra?

– Orkiestra symfoniczna teatru Bolszoi z Moskwy. Dyryguje... poczekaj chwilkę, mam to zapisane na kartce... O! Jest. Samuił Samosud.

– To chyba nie Rosjanin?

– Rosjanin, ale żydowskiego pochodzenia.

– No to uważaj, żeby się Miller o tym nie dowiedział, bo ci zabierze płyty i jeszcze urządzi na dziedzińcu nocne palenie żydowskich dzieł – powiedział, śmiejąc się, Schellenberg.

– Nastawiam drugą stronę. Słuchaj uważnie.

Pokój znów wypełnił się dźwiękiem, obaj zaś panowie powrócili do cichej rozmowy, podczas której przerwy służyły wyłącznie zmianie płyt. Gdy muzyka się skończyła, Speer wręcz z nabożeństwem dał prezent swojemu gościowi. Kilkupłytowy album w jakichś nieciekawych okładkach, i do tego bardzo sfatygowanych.

– To dla ciebie. Nim je nastawisz, najpierw dobrze umyj. Wiesz, frontowcy nie przywiązują wagi do takich rzeczy. Dobrze, że w zdewastowanym sklepie zjawił

się mój człowiek. Przyznał się zresztą, że wszedł do środka z prostej ciekawości, bo resztki napisu w tym ich alfabecie nic dla niego nie znaczyły. Zajrzał przez rozbitą szybę wystawową i zobaczył wewnątrz zasłane rozrzuconymi i połamanymi płytami. Mimo to wszedł. I o dziwo znalazł sporo nieponiszczonych egzemplarzy. Wziął kilka na chybił trafił, gdy przesłuchał je w kwaterze, wysłał do tego sklepu kilku żołnierzy i kazał przynieść całą niepotłuczoną resztę. Większość to ich narodowa muzyka, według niego nic niewarta, ale kilka płyt wybrał. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu wziął dwa komplety Bacha, ale dzięki temu mam dla ciebie ten upominek. Chodź, odprowadzę cię do samochodu. Trochę się przewietrzę.

Gdy byli już na szerokich schodach wiodących na ulicę, brigadeführer Walter Schellenberg powiedział:

– Wspominałeś coś o tych młodych?

– Tak.

– Wiesz co, Albert? Mam u siebie dwóch oficerów. Z polecenia Himmlera nadzorują wszelkie prace związane z interesującym nas tematem. Możemy ich wziąć do tego naszego pomysłu.

Speer się skrzywił.

– No wiesz?! Himmler? Nie chciałbym, żeby w tym przedsięwzięciu miał jakiś udział, zresztą, jeśli będzie wiedział on, to i Adolf też się o tym dowie.

– I tu się mylisz. Zapewniam cię. Bardzo się mylisz, Albercie.

– Cóż, jeśli nie ma innego wyjścia, to niech tak będzie, ale jak mu to wytłumaczymy?

– Himmler od samego początku ma wielkie zastrzeżenia co do lojalności starych fizyków. Wiemy, że kontaktują się z Nielsem Bohrem, który uciekł do naszych wrogów...

– Wiecie? No i co?

– Nic. Czasami lepiej wiedzieć i nie reagować. Niech im się wydaje, że niczego nie zauważyliśmy. Jeszcze raz dziękuję za płyty. Zapraszam cię do siebie,

mam nadzieję, że adres znasz? Będziesz u mnie zawsze mile widziany. – Mówiąc te słowa, Schellenberg wsiadł do czekającego już samochodu.

### 3

– Herr Professor, Herr Professor. – Do gabinetu wpadł stary Franz, będący woźnym, zaopatrzeniowcem i powiernikiem wszystkich fizyków w Dahlem.

– Co się stało, Franz?

– Przyjechali czarni i wynoszą wszystko z laboratorium numer pięć i z pracowni dookoła; że też musi ich być wszędzie pełno, nawet w naszym instytucie.

– Musi pan jednak trochę ważyć swoje oceny, mój drogi. Dziś dezawuowanie tej organizacji to deptanie po odciskach Göringowi i Himmlerowi. – Profesor, choć znał dobrze starego woźnego i jego poglądy, na wszelki wypadek chciał go trochę zmitygować.

– A co mi tam! Syn zaginął gdzieś w Rosji i nikt nie wie, czy żyje, synowa najmuje się do różnych dziwnych prac, byleby zarobić na utrzymanie dzieci. Głupia kobieta uwierzyła, że jako wzorowa Niemka powinna mieć czworo dzieci. No i co? Stanęło na trójce, bo syn już piąty rok wciela w czyn hasło: *ein Reich, ein Volks, ein Führer*, i zabrakło czasu na czwarte. A teraz opieka powiedziała, że nie ma dla niej zapomogi, bo nie wywiązała się z zadania, jakie przed nią postawił niejaki Adolf. To za co mam ich kochać? A niby za co? – Franz nie ukrywał się ze swoją niechęcią do niektórych formacji, zwłaszcza do SS. Choć wiedział, że swoim zachowaniem sporo ryzykuje, nie dbał o to. Od lat był wdowcem, w dodatku jego dość zaawansowany wiek powodował, że wszelkie obawy co do swojej przyszłości pozostawił daleko za sobą. Kiedyś nawet, pytany o to, powiedział, że wszelkie zmartwienia zostały kilkadziesiąt lat za nim.

– Wiem o tym. Robią miejsce pod nową aparaturę. Właśnie na dniach ma przyjść do nas z Francji.

– A czemu ja nic o tym nie wiem? Mało co się z takim jednym nie pobitem. – Stary Franc i instytut już od lat stanowiły dla wszystkich nierozzerwalną jedność i wszystko, co się w nim działo, musiało, przynajmniej w jego mniemaniu, być przez niego zaakceptowane.

– Z jakim jednym? Niech pan uważa. – Profesor Heisenberg naprawdę się przestraszył, znał Franza od lat, lubił go, szanował i nie wyobrażał sobie tego miejsca bez niego.

– Nie no, może pobitem to za duże słowo, ale pogroziłem mu laską.

– Bój się Pana Boga, Franz! – Profesor Heisenberg aż podniósł się z fotela, w którym siedział. – Groził pan laską esesmanowi? – Pomimo powagi całego zdarzenia nie mógł się nie uśmiechnąć, wyobrażając sobie tę sytuację.

– No nie. Może nie groziłem. Ale... ale ją podniosłem i pokazałem temu tam, co o tym wszystkim sędzę.

– Chodźmy. Zobaczymy, co oni robią. – Profesor na wszelki wypadek postanowił sprawdzić, co się stało, i gdyby zaszła taka potrzeba, załagodzić sytuację.

– Jest z nimi ten młody. No ten, co to lekko utyka na prawą nogę. – Stary Franz znany był także z tego, że tylko wieloletni pracownicy instytutu zasługiwali na to, by ich pamiętał i mówił o nich, używając nazwisk. Wobec wszystkich innych stosował przydomki lub po prostu określenia typu „ten, co utyka” lub „ten z odstającymi uszami”. Wszyscy to akceptowali, a młodzi pracownicy zdawali sobie sprawę, że Franz, będąc kimś więcej niż woźnym, funkcjonuje tu na specjalnych prawach.

– Aa! Wiem. Günter von Tiesenhausen. To bardzo dobrze. Dostał ode mnie właśnie takie zadanie. Ma dopilnować, żeby nie wywieźli niczego ponad to, co jest niepotrzebne. Jak on tam jest, to ja już nie muszę do nich iść. To dla mnie wątpliwa przyjemność. Też nie przepadam za tymi panami.

– Herr Professor, proszę trochę ciszej, oni są wszędzie. Jeszcze pana zabiorą. – Franz wiedział swoje, jemu już nic nie mogli zrobić, swoje przeżył, ale profesor to co innego. Naukowiec traktowany przez niego niemal jak członek rodziny musiał uważać. Do tego był profesorem! A to w mniemaniu Franza ocierało się niemal o wiedzę tajemną, zarezerwowaną tylko dla wybranych.

– Mnie? Nein! Wykluczone. Mnie nic nie grozi. Mam stały dostęp do naszego Führera. I to oni powinni bać się mnie, a nie ja ich. Ale wiesz co, przyjacielu? Jak już tu przyszedłeś, to zrób mi dobrej kawy, nie tego erzacu, który parzysz podczas naszych odpraw.

– Jawohl, Herr Professor. – Franz, który służył w czasie wielkiej wojny w armii cesarskiej w randze kaprala, lubił czasami sobie o tym przypomnieć. Stuknął obcasami i już zabierał się do roboty, gdy nagle obaj usłyszeli:

– Ja też poproszę o dobrą kawę. Dawno takiej nie piłem.

Profesor i woźny spojrzeli w stronę drzwi. Stał w nich oficer SS.

– Tobie, staruszkule, radzę bardziej ważyć słowa, które wypowiadasz. Masz szczęście, że byłem uczniem pana profesora i do dziś jestem pod wrażeniem jego wiedzy i niespotykanej inteligencji. Czy pozwoli pan, profesorze, że usiądę? Moi ludzie wszystko pakują i zabierają na samochody, a ja w tym czasie, jak już mówiłem, chętnie napiję się kawy. Gdyby pan mógł podejść – zwrócił się do starego Franza – do mojej ekipy i poprosić, żeby przynieśli tu paczkę z mojego samochodu. Dziękuję, że jest pan gotów się pofatygować. – Widząc zdziwione spojrzenie profesora wyjaśnił: – Wczoraj dowiedziałem się, że będę miał przyjemność zobaczyć pana profesora, więc poprosiłem moją mamę, aby upiekła ciasto, które jak pamiętam, bardzo pan lubił w czasach, gdy byłem pańskim studentem.

– Jabłecznik? – Profesor Heisenberg natychmiast zapomniał o wcześniejszych obawach, do tego naprawdę uwielbiał jabłecznik.

– Oczywiście, panie profesorze. I to z wszystkimi dodatkami.

– Niemożliwe. Gdzież je pan teraz zdobył?



– Och! Dla chcącego nic trudnego. Prawie cała Europa jest nasza. Wystarczy tylko sięgnąć, aby jej największe skarby kulinarne trafiły na nasze stoły.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął esesman z zawiniętą w szary papier paczką.

– Postaw ją na biurku. Jak tam załadunek? – Ton oficera momentalnie się zmienił, wobec podwładnych zawsze był oschły i do bólu służbowy.

– Wszystko w porządku, herr sturmbannführer. – Żołnierz wyprężył się na baczność; dobrze znał oficera i wiedział, że ten gustuje w niemal pruskim drylu.

– Jak skończą ładować, zameldujcie. Będę cały czas w gabinecie profesora.

– Przepraszam pana. Czy mógłby pan przypomnieć mi swoje nazwisko? – Profesor kojarzył byłego studenta, nawet przy odrobinie wysiłku przypomniałby sobie, jak odpowiadał na pytania na egzaminie, jednak pamięć do nazwisk nie była jego najmocniejszą stroną.

– Gottfried Schuberth, Herr Professor – przedstawił się gość.

– Teraz już sobie przypominam. Mieszkał pan na Zehlendorfie.

– Ma pan świetną pamięć, profesorze. Czy może wie pan, co się dzieje z moim kolegą Maxem Thaumannem? Bo hrabiego spotkałem przy okazji likwidacji pracowni.

– Hrabiego? A, ma pan na myśli von Tiesenhausena? On i Thaumann pracują ze mną. Choć obaj zarazili się inną metodą. Przepraszam, ale więcej nie mogę mówić, to jest tajemnica wagi państwowej.

– Spokojnie, panie profesorze, spokojnie. Jestem wprowadzony we wszystkie sprawy związane z budową stosu atomowego. Mój bezpośredni szef jest bardzo zainteresowany możliwościami militarnego wykorzystania pańskich dokonań. Nieskromnie powiem, że to właśnie ja przekazałem mu informacje, a wręcz zaraziłem go tym pomysłem. No, nie tylko ja, wraz ze mną pracuje również Dietmar Schriver. Powinien go pan pamiętać. Był z naszej czwórki najlepszy. Jest teraz w Paryżu, nadzoruje tamtejszy Instytut Fizyki, ale ma być niedługo

w Berlinie, więc jeśli pan profesor chciałby go zobaczyć, a on znajdzie chwilkę wolnego czasu, jestem to w stanie zorganizować.

– Serdecznie dziękuję, ale nie wiem, czy będzie to możliwe z mojej strony. Spędzamy w instytucie całe dni. Nawet w nim nocujemy. Dom odwiedzam raz na tydzień, a i to nie zawsze. – Profesor Heisenberg zaczął ostrożnie dobrać słowa. Co prawda przypomniał już sobie dawnego studenta, ale jego ton, a przede wszystkim mundur mówiły same za siebie.

– Rozumiem. Tak właśnie powinien odpowiadać Niemiec wierzący w wielkie dzieło naszego Führera. Choć o ile dobrze pamiętam, w minionych latach nie podchodził pan tak entuzjastycznie do jego idei Wielkich Niemiec?

– Człowiek się zmienia, więc nie ma co się dziwić, że i ja stałem się wyznawcą planów Adolfa Hitlera. – Heisenberg starał się nadać swoim słowom ton wiarygodności i przekonania.

– To bardzo dobrze, to bardzo dobrze. Musimy wszyscy stać w jednym szeregu z naszym wspaniałym wodzem. Tylko on może uczynić Niemcy na powrót wielkimi, takimi jak za dawnych czasów. My wierzymy, że wreszcie powstanie Tysiącletnia Rzesza panująca nad tymi wszystkimi podludźmi. Ku chwale naszego narodowosocjalistycznego ruchu. Są co prawda trudne chwile, ale tak jest zawsze, gdy tworzy się coś nowego, i to jeszcze tak wielkiego i trwałego. Na ostatniej naradzie nasz wódz Adolf Hitler dość dokładnie przedstawił swoją wizję...

Rozległo się pukanie i znów wszedł esesman.

– Melduję się. Herr Sturmbannführer. Załadunek jest ukończony. Czekamy na rozkaz odjazdu. – Ponowne trzaskanie obcasami i pokazowy wręcz meldunek, było w tym jednak niewiele szacunku, tylko zwykłe udawanie podoficera, co to potrafi rozpoznać w zwierzchniku służbistę, dodatkowo takiego, który nigdy nie powąchał prochu.

– Zaraz tam będę. Proszę mi wybaczyć, panie profesorze, że nie dokończymy naszej ciekawej rozmowy, ale mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. A wtedy...

Wstał, założył czapkę i strzelając obcasami, wyciągnął rękę.

– Heil Hitler! Herr Professor. Viele danke. Kawa była świetna.

Po wyjściu oficera profesor aż sapnął.

– Uff, ależ to głupek. Jakim cudem ten świetnie zapowiadający się fizyk dał z siebie zrobić takiego durnia? To wręcz nieprawdopodobne.

Sięgnął po filiżankę i powoli dopił resztkę kawy.

## 4

Kolejny raz Speer spotkał brigadeführera Waltera Schellenberga w Kancelarii Rzeszy.

– Dobrze, że cię widzę, Albercie. – Poważną na co dzień twarz Schellenberga rozjaśnił uśmiech.

– Witaj. Też się cieszę.

– Czy mówi ci coś nazwa Dahlem?

– Żartujesz ze mnie? Czy... Przecież to dzielnica Berlina. – Zdziwienie było szczere.

– Tu się mylisz. To mała miejscowość dwa kroki od Belgii. W pobliżu jest nieczynna elektrownia wodna. Budowana jeszcze za kajzera. W jej wnętrzu są złożone żelazne zapasy dla służb miejskich w Bonn. Bardzo ważne jest to, że w pobliżu zapory dochodzi nieużywana boczna odnoga linii kolejowej, która była zbudowana właśnie na potrzeby tamy.

– Czyli trzeba to jakoś opróżnić? – szczerze zainteresował się Speer.

– Nie ma potrzeby. Spora część tych zapasów już została zużyta, a resztę właśnie pod nadzorem SS przenoszą więźniowie z pobliskiego arbeitslager.

– Czy zachowają tajemnicę? – Pytanie Speera należało raczej do tych retorycznych.

– Oczywiście. Prosto stamtąd pojedą hen do Konzentrationslager Auschwitz w Generalnym Gubernatorstwie. – Dalszy los więźniów był przesądzony, ale tym rozmówcy się nie zajmowali.

– Przecież to daleko, Walterze.

– Do GG? – Schellenberg traktował Generalne Gubernatorstwo jako część Rzeszy, a w kraju wszędzie przecież jest blisko.

– Nie. Do naszej tamy.

– A co to nas obchodzi? Będą tam nasi ludzie. Koledzy tego, który był u ciebie.

– No cóż, Walterze.

– Według fizyków powinniśmy mieć stały dopływ wody do chłodzenia czegoś tam. – Schellenberg nie ukrywał swojej ignorancji w sprawach technicznych, wiedział tyle, ile musiał, szczegóły zostawiał fachowcom.

– Więc w tym Dahlem...?

– To nie do końca tak jest. Bliżej jest do innej miejscowości, do Stadtkyll, bo ta budowla jest właśnie na rzece Kyll, ale ze względu na nazwę Dahlem, tak będziemy nazywać nasz nowy ośrodek. Wnętrza tamy są już w dużej części puste. Transport z aparaturą z Dahlem oficjalnie został zbombardowany podczas nalotu. Więc właśnie tam usadowimy naszych „Nieposłusznych”.

– Ale ja już wydałem dyspozycje...

– To bardzo dobrze. Niech tam gdzieś szykują miejsce dla naszych ludzi. Jak będziemy parę razy nieostrożni, to i wróg skieruje swoje zainteresowanie w innym kierunku, a nam da spokój. Tym bardziej że Instytut nazwiemy Dahlem Eins, a ten w tamie zostanie Dahlem Zwei. Każdy pomyśli, że to są różne budynki w tym samym kompleksie badawczym.

– Teraz rozumiem, Walterze, czemu zaszedłeś tak wysoko. Jesteś bardzo przebiegły. – Słowa te Speer wypowiedział zupełnie szczerze.

– Ty też nie jesteś odźwiernym w ministerstwie. Więc... – Schellenberg był aż do bólu autentyczny w tym, co mówił.

– Masz rację z tą lokalizacją, zresztą...

– Tak też myślałem. Przepraszam cię, Albercie, ale muszę już wracać do siebie, a i twój czas też nadchodzi. – Pokazał ręką za plecami Speera.

Podszedł adiutant Adolfa Hitlera, oberst Karl-Jesco von Puttkamer.

– Herr Reichsminister! Führer czeka – powiedział, stając na baczność.

## 5

Krętą drogą prowadzącą z Reichenbach do małej miejscowości Wüstewaltersdorf jechał zupełnie nowy kubelwagen, a w nim SS-hauptsturmführer Albert Lütkemeyer i SS-oberscharführer Wilhelm Ketter. Za kierownicą siedział młody esesman z jesiennego poboru.

– Czy powie mi pan, po co jedziemy do tej zapadłej dziury? – Ketter był wyraźnie zaciekawiony celem podróży, choć nie miał złudzeń co do atrakcyjności Wüstewaltersdorfu.

– Jeszcze chwila cierpliwości, Willi. Zaraz będziemy na miejscu, wtedy się dowiesz.

– Jest pan strasznie tajemniczy.

Lütkemeyer zignorował ostatnie słowa swojego podwładnego i zaczął szukać czegoś w kieszeni munduru. Jego towarzysz rozglądał się ciekawie po okolicy. Droga zaczęła się obniżać i po chwili wjechali między dwa porośnięte drzewami górskie stoki. Po lewej stronie drogi płynął wartki potok.

– Kurt! – odezwał się do kierowcy. – Za tymi zabudowaniami w lewo i przejedziesz przez mostek.

Skręcili, samochód jechał teraz drogą gruntową prowadzącą między drzewa. Po chwili stanęli przed szlabanem z przymocowaną tabliczką, na której ktoś niezgrabnie napisał: „Halt”.

– Chodź, Willi, dalej pójdziemy pieszo. Czekasz tu na nas, Kurt. Za chwilę wracamy. – To ostatnie zdanie skierował do młodego kierowcy, który już się zrywał, by towarzyszyć swoim pasażerom.

Obaj ruszyli w głąb lasu. SS-hauptsturmführer szedł ostrożnie, tak aby jak najmniej ubrudzić swoje błyszczące czarne oficerki. Ketter też miał wysokie buty, ale polowe, więc nie musiał się tak troszczyć o ich wygląd.

Doszli w końcu do skraju dużej polany.

– No to jesteśmy na miejscu.

– Na jakim miejscu? – SS-oberscharführer Wilhelm Ketter był coraz bardziej zaciekawiony.

– To świetne miejsce na urządzenie obozu dla więźniów.

– Tu?

– A choćby tu...

– Rozumiem, choć nadal nie wiem, po co tu przyjechaliśmy i co to wszystko ma wspólnego z ostatnimi rozkazami.

– Dostaliśmy obaj urlop na rozkaz reichsführera Himmlera. Ty zgodnie z nim odpoczywasz nad Morzem Północnym, a ja jestem teraz w sanatorium w południowej Francji. Wiesz, gdzie jest wyspa Sylt?

– A mam wiedzieć?

– Powinieneś, bo właśnie tam teraz jesteś. – Lütkemeyer się roześmiał.

– Po co ta cała tajemnica? – Ketter nadal był dociekliwy.

– Widać tak trzeba. Wracamy do samochodu. Powinniśmy już być w Waldenburgu, a dokładnie mówiąc w Schloss Fürstenstein.

– Rozumiem, że to też jest tajemnica.

– Nie pytaj. Sam dokładnie nie wiem. Wyjaśni się na miejscu.

Wrócili do samochodu tą samą błotnistą drogą. Kierowca czekał na nich, paląc papierosa, którego natychmiast zgasił na widok nadchodzących zwierzchników. Zmierzając do Waldenburga, przejechali pod wysokim wiaduktem kolejowym i, podążając obrzeżami Charlottenbrunn, wjechali do miasta. Kierowca jakby się zawahał.

– Nie znasz drogi?

– Nie. Herr haupt...



– Poprowadzę. O, widzisz to skrzyżowanie przed tobą? To z tym wysokim budynkiem na rogu? Tam skręcisz w lewo. Gdy dojedziesz do końca ulicy, skręcisz w prawo. Potem już prosto przez całe miasto. – Albert Lütkemeyer zlitował się nad młodym żołnierzem, choć uważał, że ten powinien wiedzieć, gdzie ma jechać.

„Po powrocie porozmawiam sobie z tym głupcem Schwarcem odpowiedzialnym za transport, by lepiej dobierał na przyszłość kierowców” – pomyślał.

– Zna pan dobrze Waldenburg? – zainteresował się Ketter.

– Wystarczająco. Bywałem tu kilka razy przed wojną. Co prawda nie miałem czasu na zwiedzanie, bo musieliśmy robić porządek z tą hołotą, która została jeszcze po Liebknechcie.

– A miejscowi?

– Nie dawali rady. Było ich wtedy mało. Pamiętaj, że to było krótko po wojnie. Który to był rok? Jakoś nie pamiętam. Dopiero zaczynaliśmy. W tym mieście silną pozycję mieli czerwoni. Tu działał ten ich Związek Spartakusa.

– Spartakusa? Co to było? – SS-oberscharführer Wilhelm Ketter był typowym produktem ostatnich lat. Wychowany i wykształcony po 1935 roku, nie wiedział o wielu rzeczach, które dla propagandy Josepha Goebbelsa nie były zbyt wygodne.

– Taka tam organizacja. Oni potem zrobili z tego partię komunistyczną.

– A! To ci! Słyszałem. U nas też z tym świństwem robiliśmy porządki.

– Waldenburg to miasto górnicze. Ci głupcy łatwo ulegali wpływom czerwonych i stąd problem. Prosto, prosto, już nigdzie nie skręcaj. To Breslauer Allee, jedź, aż wyjedziesz z miasta. Wtedy musisz uważać, będziesz miał wąską drogę do Zamku Książ. Wiesz, Willi, że ten zamek... a co ci będę zresztą opowiadał. Sam zobaczysz.

– Co zobaczę?

– No zamek. Jego położenie. Cudowny! ...No i co zrobiłeś, durniu?! – Lütkemeyer wrzasnął na kierowcę, aż ten przerażony wcisnął hamulec. – Minąłeś

wjazd, baranie jeden. Mówiłem! Masz uważać! Zawracaj! No już!! Na co czekasz? Kurt! Jak tak dalej będzie, to któregoś dnia obudzisz się pod Smoleńskiem i nawet twoja matka nie będzie wiedziała, kiedy oddasz życie za Führera i ojczyznę. Jedź powoli, bo znowu przegapisz. Wolniej! Teraz! Skręcaj. No. Teraz już się nie zgubisz.

Nie ujechali daleko. Zatrzymał ich szlaban i posterunek. Do wozu podeszło dwóch esesmanów.

– Dokumenty! Do kogo? – zażądali, nic sobie nie robiąc z tego, że mówią do starszych stopniem.

– SS-hauptsturmführer Albert Lütkemeyer i SS-oberscharführer Wilhelm Ketter. Zostaliśmy wezwani na dziś na odprawę.

– Herman! – zawołał jeden z wartowników. Z budki wyjrzał wołany.

– Co jest?

– Zadzwoń i zapytaj, co mamy robić. Jest tu dwóch naszych, którzy mówią, że przyjechali na odprawę.

Po chwili z budki rozległo się wołanie:

– Mają czekać.

– Przepraszam, herr hauptsturmführer. Takie mamy rozkazy.

Nie minęło kilka minut, gdy w wartowni zadzwonił telefon i po chwili wyjrzał z niej esesman.

– Podnieś szlaban do góry. Proszę jechać, są panowie oczekiwani.

## 6

Na dziedzińcu przed pałacem stało sporo samochodów. Kilka mercedesów, zdobywcze citroëny BL11 i jeden KdF-wagen. Żołnierz trzymający w ręku wskaźnik policyjny pokazał, gdzie mają zaparkować wóz. Podszedł oficer w mundurze Luftwaffe.

– Proszę iść ze mną. Mam panów zaprowadzić do sali na pierwszym piętrze. – Weszli na dziedziniec wewnętrzny.

– Co to jest? – Oberscharführer Wilhelm Ketter pokazał palcem na dziwną maszynę stojącą opodal piętrowego budynku. Albert Lütkemeyer wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale co to nas obchodzi? Przyjechaliśmy tu w innej sprawie.

Prowadzący podoficer powiedział z wyższością w głosie:

– To jest helikopter.

– Czyli?

– To taki rodzaj maszyny latającej, która startuje pionowo i tak samo ląduje.

– Kto to wymyślił? Czy to się do czegoś w ogóle nadaje? – Ketter nie krył swojego sceptycyzmu. Choć był stosunkowo młody, do spraw wojskowych podchodził w sposób bardzo konserwatywny, nie był zwolennikiem nowinek. Zwłaszcza takich, które już na pierwszy rzut oka nie miały ani pancerza, ani uzbrojenia.

– Inżynier Anton Flettner. Pilot mówi, że to jest wspaniały wynalazek.

– Chodź, Willi. Chyba nie po to zostaliśmy tu wezwani.

Ketter był jednak nieustępliwy.

- Zobaczymy, jak to lata? A ten skrót to pewnie...
- FI 282 B? Tak, ma pan rację, to jego oznaczenie fabryczne. Pytał pan, czy zobaczy, jak to lata?
- Właśnie o to pytałem.
- Być może. Jak będzie odlatywał do Breslau.
- Przywiózł tu kogoś?
- Tak.
- Ciekaw jestem, któż to nie boi się czymś takim latać?
- Wychodzi na to, że ktoś taki jest.
- A kim jest ten odważny człowiek?
- Niedługo pewnie się panowie dowiedzą. I rzeczywiście jest nie tylko odważny, ale i bardzo ważny.
- No, no, no. Jakaś szycha. Kto jeszcze?
- Gauleiter Hanke i jacyś cywile. Jest także feldmarszałek Milch i jeszcze pewien generał, ale nie znam jego nazwiska.
- Skończ to podpytywanie. Zaraz się wszystkiego dowiesz. Chwila cierpliwości. – Albert Lütkemeyer powoli zaczął się irytować. Wchodzili po schodach za prowadzącym ich podoficerem. Na piętrze ich przewodnik stanął i pokazując ręką, powiedział:
  - Sala odpraw jest na końcu korytarza.
- We wnęce obok wejścia stały wieszaki, na których wisały wojskowe szynele i cywilne okrycia. Zdjęli czarne skórzane płaszcze i weszli do pomieszczenia, w którym było już kilkanaście osób. Tworzyli małe grupki rozmawiające półgłosem. Trzech oficerów siedziało przy stołach. Wśród obecnych była też kobieta, co dość mocno zdziwiło przybyłą dwójkę.
  - Podejdźcie tutaj, panowie. Proszę się odszukać na liście, podpisać i odebrać przygotowane materiały. Na notatnikach, które leżą na stołach, proszę znaleźć swoje nazwisko. I tam usiąść – zwróciła się do nich podoficer ze służby pomocniczej, która zajmowała się widać sprawami organizacyjnymi.

Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł gauleiter Karl Hanke w towarzystwie dwóch generałów; jeden z nich był w mundurze Luftwaffe.

– Witam zebranych – odezwał się gauleiter, stając za stołem. Swoim zwyczajem zaczął bez zbędnych wstępów. – Tematem naszego spotkania będą problemy związane z pracami prowadzonymi w Eulengebirge. To jest mapa tego rejonu. Dogodne połączenia kolejowe: Waldenburg, Charlottenbrunn i Schweidnitz. A dalej Breslau, Leipzig i Berlin. W pobliżu kilka baz Luftwaffe. Jednak najważniejsze jest położenie. Wąskie kotliny otoczone wysokimi górami porośniętymi starymi drzewami. Ułatwia to zarówno maskowanie, jak i utrzymanie całego przedsięwzięcia w tajemnicy.

– Przepraszam, herr gauleiter – odezwał się jeden z pułkowników Luftwaffe siedzący pod oknem. – Czy może pan wyjaśnić pojęcie „problemy z pracami”?

– Oczywiście, że tak, ale później. Zresztą wyniknie to z przebiegu całej odprawy. Wracając do sprawy: należy założyć, że będą nam potrzebne ręce do roboty, zwłaszcza że przed nami stoją spore wyzwania. W okolicy nie ma tak dużo mieszkańców. Zresztą ich męska część w zdecydowanej większości jest zmobilizowana. To jest zadanie dla ludzi reichsführera Heinricha Himmlera. Są dziś z nami. To... – Hanke zajrzał do notatnika – SS-hauptsturmführer Albert Lütkemeyer i SS-oberscharführer Wilhelm Ketter, którzy przyjechali do nas aż z Hamburga. Reichsführer zapewnił mnie, że obaj panowie są wysokiej klasy specjalistami w swoim fachu i mogą zapewnić każdą ilość wykwalifikowanych robotników z terenów okupowanych. Mają też wielkie doświadczenie w organizowaniu zarówno zakwaterowania, jak i wyżywienia dla nich.

– Rozumiem – odpowiedział ciekawski pułkownik.

– Pewnie wszyscy już zauważyli, że Organisation Todt zaprzestała prac. Pozostała tylko niewielka grupa, która zajmie się tak zwanym wykończeniem projektu.

– Przepraszam, herr gauleiter, jak mam rozumieć „wykończenie projektu”? – Ten sam pułkownik znowu przerwał gauleiterowi, czym zasłużył sobie na jego

groźne spojrzenie.

– Dokładnie tak, jak powiedziałem. Żeby osiągnąć założenia, projekt musi być wykończony, i właśnie do tego celu zostaną użyti najlepsi specjaliści z Organisation Todt, którzy pozostali. Czy jest to teraz dla pana zrozumiałe, pułkowniku?

– W zasadzie to ja jesz...

– No to bardzo dobrze, że pan wszystko doskonale zrozumiał i zapamiętał. Teraz zabierze głos pani doktor Ilse Martens. Przedstawi nam wyniki badań geologicznych i hydrologicznych, jakie jej Instytut prowadzi na tym terenie od wielu lat. Proszę bardzo, frau doktor, o ogólne przedstawienie warunków tego regionu. O szczegółach będzie pani mówiła ze specjalistami, a to nie jest przedmiotem naszego spotkania. Ja natomiast muszę już panów pożegnać, dalej odprawę poprowadzi generał Werner Bloom. Żegnam państwa. – Mówiąc te słowa, Hanke wstał i wyszedł.

– A więc, moi panowie – zaczęła pani doktor – Eulengebirge jest rejonem o bardzo specyficznych warunkach zarówno geologicznych, jak i atmosferycznych. Otóż położenie tego pasma górskiego powoduje, że zatrzymują się na nim fronty atmosferyczne, osłabiając impet wszelkich zmian pogodowych. W efekcie tego opady są tu dużo większe niż w rejonach sąsiednich i potrafią przekroczyć tysiąc milimetrów rocznie.

– Przepraszam panią, że przerywam – odezwał się siedzący w głębi sali cywil.

– Proszę nie przerywać wystąpień – przykazał jeden z generałów. – Czas na pytania będzie potem. Proszę bardzo, pani będzie łaskawa kontynuować.

Po pani doktor swoje informacje przekazał inny geolog. Później zaczęła się seria pytań. Odprawa skończyła się dopiero po kilku godzinach dość nudnych wystąpień. Siedzący obok frau Ilse major Luftwaffe zaprosił wszystkich uczestników narady na obiad do zamkowej jadalni.

– Proszę za mną, bo w tych zamkowych korytarzach łatwo się pogubić.

Rzeczywiście. Najpierw weszli piętro wyżej. Potem długim korytarzem, z okien którego widać było park poniżej, przeszli prawie na koniec skrzydła i tam zeszli schodami na półpiętro, gdzie otwarte drzwi zapraszały do jadalni. Nim Wilhelm Ketter i Albert Lütkemeyer usiedli do stołu, podszedł do nich ten sam major.

– Po obiedzie jesteście wezwani na rozmowę. Proszę jeść. Zaprowadzę potem panów.

– A z kim? – nie wytrzymał Ketter.

Lotnik nawet nie zareagował na to pytanie i odszedł.

– Co tu się dzieje? Z kim mamy rozmawiać? – zachnął się Ketter. – Tajemnica na tajemnicy, do tego nie mam pojęcia, dlaczego musimy wysłuchiwać tych wszystkich wykładów. Niewątpliwie prowadzą je fachowcy, ale my zajmujemy się zupełnie innymi sprawami.

– Przestań tyle gadać. Masz talerz przed nosem, to jedz. – Lütkemeyer nie był tak dociekliwy jak jego towarzysz. Po zawieszistej kartoflance kelnerzy w białych marynarkach ze znakami SS na wyłogach podali wielkie kotlety schabowe obłożone, jak za najświetniejszych czasów sprzed wojny, jarzynami. Gdy kończyli pić kompot, pojawił się znów ten sam oficer Luftwaffe.

– Panowie pozwolą za mną. Wasz rozmówca trochę się niecierpliwi – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Niechże pan powie, kto to jest?

– Ketter! Do jasnej cholery! – Lütkemeyer aż podniósł głos. – Przestań wiecznie wypytywać i wypytywać. Co się z tobą dzieje? Ta ciekawość aż cię zżera, a pamiętaj, że to może się źle skończyć.

– Radzę słuchać tego, co mówi hauptsturmführer – odezwał się lotnik.

Ketter aż prychnął ze złości.

– Co wy, podfruwacze, możecie o tym wiedzieć? A poza tym radzę się nie wtrącać, gdy rozmawiają dwaj esesmani. Takie wtykanie nosa w nie swoje sprawy może się źle skończyć.

Lotnik na taką impertynencję nie wytrzymał. Gniewnie odwrócił się do Kettera.

– Właśnie dotarliśmy na miejsce. I żebyś wiedział na przyszłość, sierżancie, bo pewnie się jeszcze nie raz spotkamy: jestem SS-sturmbannführerem. Wejdźcie do środka. Doktor brigadeführer Werner Best czeka na was.

– Co? – Lütkemeyera ta wiadomość tak zaskoczyła, że się nie opanował.

Zza biurka wyszedł w ich stronę cywil, w którym Lütkemeyer rzeczywiście rozpoznał doktora Besta. Ten, widząc zdziwioną minę, odezwał się:

– Widzę, Albercie, że jesteś bardzo zaskoczony.

– Trudno nie być, herr doktor, przecież jest pan teraz zupełnie gdzie indziej.

– Tak jak ty i twój podwładny. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. No, może nie wszystko, ale na pewno dużo. Waszym najważniejszym zadaniem jest zadbać o to, aby tajemnica tych terenów pozostała na zawsze tajemnicą.

– Oczywiście, herr brigadeführer. – Obydwaj wyprężyli się, stając na baczność.

– Będziecie obaj nadzorowali załadunek specjalny.

– Nadzorowali załadunek? – Ketter znów nie wytrzymał.

– Ketter! Nie przerywaj. To jest bardzo istotne. Najważniejszy element badań nad nową bronią.

– Tak jest, już milczę. – Podoficer wreszcie się uciszył.

– To bardzo dobrze, do ochrony dostaniecie Luftwaffe i dwa plutony SS, które będą z wami cały czas.

– To będzie duży transport? – zainteresował się hauptsturmführer.

– Zdziwisz się, Lütkemeyer, dwa pullmany i jeden towarowy, ale bardzo specjalny. Dostaniecie polską lokomotywę. – Doktor Best zajrzał do leżącego na stole notatnika. – Ma oznaczenie Pm36, ale nie to jest najważniejsze. Jest cała obudowana i sprawia wrażenie parowozu pancernego, a do tego dochodzi szybkość: ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Jest więc bardzo szybka,



chyba najszybsza w Europie. Wagon towarowy już kończą przygotowywać, parowóz też czeka w Breslau. Odbierzecie całość osobiście.

– Tak jest, herr doktor. – Obaj esesmani odruchowo się wyprężyli.

– Gdy będziecie mieli pewność, że świadkowie będą już zawsze milczeli, możecie wracać na swoje stare śmiecie.

– Przepraszam, panie doktorze. A ta odprawa, w której uczestniczyliśmy?

– Odbyla się, drogi Albercie. Czyżbyś tego nie zauważył?

– Ale gauleiter...

– On też nie wszystko musi wiedzieć.

– Herr brigadeführer! – odezwał się Ketter. – Co to wszystko znaczy?

– Nie przerywajcie, sierżancie, słuchajcie, a wszystko stanie się dla was obu zrozumiałe. A więc... Wasz transport jest tak cenny jak równowartość jego wagi w złocie... A zresztą. Nie jest to takie ważne. Rozkazy dla was pochodzą od samego Führera, a pełnomocnictwa, jakie w tej sprawie za chwilę dostaniecie, mają podpis Adolfa Hitlera.

– Ale, herr doktor. To, co się ostatnio dzieje na froncie... – Hauptsturmführer Lütkemeyer był coraz bardziej zdziwiony.

– Na froncie nie dzieje się nic, czego by nasz Wódz nie przewidział.

– Tak jest. – Lütkemeyer aż się wyprężył.

– Führer mówił o Tysiącletniej Rzeszy i właśnie dlatego transport, który będziecie ochraniać, jest dla tej Rzeszy bardzo istotny.

Sierżant Ketter nie wytrzymał:

– Ochraniać? We dwóch?

– Ketter!! – Best podniósł głos. – Przestań się wszystkiemu dziwić, bo ci czasu na normalne życie zabraknie. Naucz się, do cholery, słuchać w milczeniu.

– Rozumiem, herr doktor. – Podoficer, przywołany do porządku, odruchowo stanął na baczność.

– I niech tak zostanie. Bierzcie się do roboty. Aha, Willi, słyszałem, że chcesz zobaczyć, jak lata to cudo na dziedzińcu. Jeśli tak, to bądź przy nim za dziesięć

minut.

– Tak jest – odpowiedzieli tym razem obydwaj.

– Nie pokpijcie sprawy. Czeka na was albo sam Führer, albo pluton egzekucyjny. Sami wybierzcie, co wolicie.

# 7

– Więc mówi pan, herr ingénieur, że wagony będą gotowe do odbioru jutro?

Rozmowa telefoniczna się przedłużała.

– Bardzo dobrze. Będziemy u pana ze stosownymi upoważnieniami z samego rana. – Lütkemeyer chciał zakończyć wymianę zdań jak najszybciej, tym bardziej że urzędnik, z którym musiał rozmawiać, był wyjątkowo drobiazgowy, co mogłoby zirytować każdego. – Heil Hitler. – Wreszcie udało mu się pożegnać tradycyjnym pozdrowieniem. – Słyszałeś? – odezwał się do Kettera.

– Oczywiście, że słyszałem.

– Wyjazd koło godziny piątej rano.

– Zaraz powiem kierowcy.

– Nie musisz, już wie. Ale zaczekaj, może nie będziemy musieli się tłuc naszym samochodem. Poproszę w dowództwie zamku, żeby dali nam coś stosowniejszego. Powinniśmy też być w ubraniach cywilnych.

Intendent dał im citroëna. Dobrze, że taki sam wóz mieli u siebie w jednostce, i młody kierowca nie miał problemów z jego prowadzeniem. Większą część drogi przejechali w milczeniu. Dopiero na przedmieściach Wrocławia odezwał się Ketter:

– Szefie. A w Breslau to wiadomo, gdzie mamy jechać?

– Oczywiście. Zakłady są na Gräbschenerstrasse.

– A ta ulica to gdzie jest?

– Jak to gdzie?

- No, jak do niej dojechać?
- Spokojnie, Ketter, spokojnie. Zapewniam cię, że trafimy. Prawda, Kurt?
- Oczywiście, herr hauptsturmführer. – Kierowca aż się uśmiechnął.
- Znasz Breslau?
- Tak jest, herr oberscharführer.
- Jesteś stąd?
- Tak, urodziłem się w Breslau.

Po dojechaniu pod wskazany adres i okazaniu dokumentów strażnik wpuścił samochód na teren zakładów. Kierowca zatrzymał wóz tuż obok wielkiego parowozu.

- Piękna maszyna – odezwał się Ketter.
- No! Wreszcie!
- Co wreszcie? – zapytał Ketter.
- Odezwał się w tobie maszynista.
- Skąd szef wie?
- Jeszcze tydzień temu nie wiedziałem.
- A niech to... Szefie, co to ma znaczyć?
- Tylko tyle, że poprowadzisz cały skład. Będzie was dwóch. Bo Kurt – kiwnął głową w stronę ich kierowcy – był w cywilu pomocnikiem maszynisty. Ja też z wami pojedę.
- A samochód?
- Zabiorą miejscowi. Tylko pamiętaj, skład oficjalnie jedzie do Tschenstochau.
- Do czego?
- Nieważne. I tak przecież tam nie pojedziemy.
- A dokąd pojedziemy?
- My?
- No jasne, że my.

– My wrócimy do domu.  
– To...  
– Ale dopiero, jak doprowadzimy skład na miejsce.  
– Czyli gdzie?  
– Jesteś zbyt ciekawy, Wilhelmie. Pohamuj trochę.  
– Szefie, ale przecież my dwaj, razem...  
– I chciałbym, żeby tak zostało.  
– A może być inaczej?  
– Jasne. Przestań wiecznie wypytywać, to umrzesz spokojniejszy. Już Best ci to mówił.

– Dobra, dobra. Tylko tak pytałem. – Podoficer wiedział, że zwierzchnik go lubi, i dlatego mógł sobie zawsze pozwolić na więcej niż inni.

Wyruszyli najpierw pustym składem w kierunku Ardenów; ta część drogi przebiegła bez większych problemów i kłopotów. Po załadunku mieli powrócić na Dolny Śląsk, do nadal budowanego kompleksu naukowo-przemysłowego. Nikt z załogi składu tak naprawdę nie wiedział, co przewożą, ich ciekawość, zwłaszcza ciekawość SS-oberscharführera Wilhelma Kettera, musiały zaspokoić lakoniczne zdania o ogromnym znaczeniu misji dla przyszłości Trzeciej Rzeszy. Jechali ponad pięć dni, zatrzymując się tylko wtedy, gdy otrzymywali sygnał, że niebo jest czyste. Podróż powrotna trwała długo, głównie dlatego, że poruszali się po szlakach nieuczęszczanych, a więc także mniej zadbanych, ale o wiele bezpieczniejszych od innych, zwłaszcza gdy na niebie królowały bombowce aliantów. Kiedy transport dotarł do celu swej podróży, wagon towarowy został podczepiony do małego parowozu przetokowego i zniknął między drzewami porastającymi Góry Sowie. Po przekazaniu ładunku i zakończeniu misji obaj esesmani do specjalnych poruczeń wrócili do Bonn. Albert Lütkemeyer z kierowcą otrzymali ponowny przydział do swojego dotychczasowego miejsca służby, Wilhelm Ketter zaś dostał awans, a wraz z nim nowe zadania.

## 8

We wnętrzu tamy trwał ruch. Już pracowały urządzenia zabrane z Dahlem. Do hal mieli wstęp posiadacze specjalnych przepustek. Posterunki SS, rozstawione już w sporej odległości od tamy, bardzo dokładnie sprawdzały tożsamość wjeżdżających. Dowodził nimi SS-untersturmführer Wilhelm Ketter. Co prawda od chwili, gdy został oficerem SS, już nie zadawał stale kłopotliwych pytań, ale był niezwykle ciekaw, co też takiego będzie się produkować we wnętrzach nieczynnej tamy. W pomieszczeniach rozstawiono generator kaskadowy i spektrometr masowy, a w tym, które na środku miało wielką, okrągłą i głęboką dziurę, zgromadzono pod ścianami wielkie bloki grafitu. Głęboka dziura miała być studnią reaktora, czyli po napełnieniu zwykłą wodą, której było wokół pod dostatkiem, miała służyć jako reflektor i osłona. Wielki kłopot sprawiał brak cyklotronu. Był w zdobytym Paryżu, ale to wielkie urządzenie zamontowano w podziemiach paryskiego Instytutu Curie. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu Niemcy nie zdecydowali się na demontaż i przewiezienie urządzenia do Niemiec, co ciekawe, tłumaczono to niechęcią do zadrażniania dobrych stosunków z uczonymi francuskimi.

Pracom przewodził Dietmar Schriver, a jego koledzy Max Thumann, lekko utykający na prawą nogę Günter von Tiesenhausen i sturmbannführer Gottfried Schuberth, poddawszy się przewodnictwu Dietmara, pracowali bez wytchnienia.

Wraz z nimi działała spora grupa techników, wyciągniętych przez brigadeführera Waltera Schellenberga z różnych wojsk i z wielu frontów. Właśnie

zebrali się w oddzielonej drewnianym przepierzeniem części wielkiej hali, w której po uruchomieniu elektrowni miały pracować generatory.

– Czy my się jednak nie mylimy? – zaczął się zastanawiać na głos Max Thumann.

– Max. Rozmawialiśmy o tym już wielokrotnie. Za każdym razem dochodziliśmy do tego samego wniosku. Starym po pierwsze wcale nie zależy na skonstruowaniu broni opartej na reakcji łańcuchowej. Po drugie największą słabością oficjalnych działań jest ich rozbicie. Ministerstwo Wojny swoje, Ohnesorge z tą całą pocztą swoje. Do tego jeszcze niezależni fizycy w innych miejscach. Panowie, w ten sposób Niemcy nigdy do niczego nie dojdą. – Szef zespołu Dietmar Schriver nie miał wątpliwości.

– A sądzisz, że nam się uda? Przecież oni mają o wiele większe doświadczenie niż my, więc jeśli orzekli, że musi być użyta ciężka woda, to może... – Günter von Tiesenhausen też zastanawiał się na głos.

– Chcesz powiedzieć, Günter, że ich założenia są błędne?

– Tak. Właśnie to chcę powiedzieć. Nasze starania idą według mnie w dobrą stronę. Mamy dokładne doniesienia z USA i Wielkiej Brytanii. Tam poszli w grafit, dochodząc do wniosku, że jest to materiał o wiele łatwiejszy do uzyskania niż ciężka woda.

– Czy na informacjach od wrogów można polegać? – Thumann nadal miał wątpliwości.

– Nawet gdybyśmy mieli jakieś podejrzenia, to nazwiska fizyków pracujących po tamtej stronie... – Dietmar Schriver starał się uspokoić swoich współpracowników.

– Przecież to jacyś Żydzi. Czyżbyś sugerował, że my, Aryjczycy, jesteśmy od nich gorsi? – Max Thumann, zauroczony narodowym socjalizmem i jego ideologią rasistowską, nie miał wątpliwości, co może „rasa panów”.

– Problem nie w tym, kto jest od kogo lepszy. Liczy się metoda, która szybciej nas doprowadzi do zawładnięcia tą bronią. – Schriver starał się nieco złagodzić

wypowiedź kolegi.

– Przecież właśnie do tego zmierzam. Nasi fizycy pracujący w Dahlem Eins to uznane światowe sławy i nobliści. – Thumann był niezmienny w swoich poglądach.

– To w niczym nie zmienia faktu, że się mylą. – Von Tiesenhausen po dłuższej chwili postanowił włączyć się do dyskusji.

– No dobrze, ale skąd masz pewność, że my się nie mylimy? – wciąż zastanawiał się na głos Max Thumann.

– Panowie, panowie, nie czas teraz na takie spory. Mamy wyznaczony kierunek. Trzeba także przypomnieć, że ten cel i metodę wyznaczyliśmy sobie sami, więc skąd te wątpliwości? – Dietmar Schriver pomimo swojego zacierzwienia postanowił zakończyć dyskusję.

– Z prostej przyczyny: byliśmy do niedawna z tamtymi fizykami, choć wtedy bardziej nas zajmowała ich postawa, że tak powiem wręcz antyniemiecka, niż wątpliwości natury fachowej. Zresztą właśnie ona doprowadziła mnie do Alberta Speera – nie odpuszczał von Tiesenhausen.

– Szczerze mówiąc, podziwiamy cię za odwagę. – Dietmar Schriver, choć wiedział o tym od dawna, nadal nie ustawał w podziwie.

– Dziękuję, ale przecież uzgodniliśmy wcześniej właśnie takie działanie.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść! – zawołał szef zespołu, i do środka wszedł jeden z techników.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale dowieziono materiał do wyłożenia studni. Mamy także wyniki badań grafitu. Nie będzie się nadawał, bo jest zbyt zanieczyszczony.

– Donnerwetter. Skąd go dostarczono? – Schriver nie krył zdenerwowania.

– Przyjechał transportem z Dahlem – odpowiedział lekko przestraszony technik.

– Przecież tam go nie zrobiono.

– Oczywiście, że nie.



– Więc gdzie?

– Nie wiem. Nie ma żadnych dokumentów. – Technik nie krył coraz większego zdenerwowania.

– Czyli zostały w Dahlem – dopowiedział sobie Günter von Tiesenhausen.

– Masz więc robotę, Gottfried. Musisz tam pojechać i odszukać producenta.

– Co to da?

– Gdy był zamawiany, podano dokładne wymagania. Jeśli grafit ich nie trzyma, istnieje jedno wytłumaczenie: sabotaż. – Dietmar Schriver wyraził zaniepokojenie całego zespołu.

– Nawet gdyby, co to nam da? – zastanawiał się głośno Max Thumann.

– Ta wiedza powinna wystarczyć do tego, żeby wyeliminować zdrajcę czy zdrajców, a robotę wykonać jeszcze raz z wymaganą precyzją – odpowiedział Schriver.

– Ale to potrwa.

– Na pewno. Jednak nie mamy innego wyjścia. – Dietmar Schriver zdawał sobie sprawę z uciekającego czasu, wiedział jednak, że nie ma na to rady.

– To może zanim ten grafit do nas wróci, pojechalibyśmy do domu? – spróbował zażartować Von Tiesenhausen.

– Ale ci się marzy. Wykluczone. – Jego szef przyjął to całkiem poważnie.

– A dlaczego?

– Mamy tu masę roboty. Inna sprawa, że jeden z nas powinien nadzorować produkcję grafitu, bo nigdy nic nie wiadomo.

– Powinniśmy usiąść i jeszcze raz wszystko przemyśleć. – Max Thumann nie zastanawiał się nad intencjami kolegi chcącego odwiedzić dom.

– Przecież my nic innego nie robimy. Myślimy, myślimy, myślimy, a w przerwach siadamy i znowu myślimy. – Von Tiesenhausen szybko spoważniał.

– Przesadzasz, czasami siadamy do jedzenia – zażartował Max Thumann.

– Wiesz co, Günter? On ma rację. Nawet jak już leżę w łóżku, to też myślę... czy my przypadkiem nie porwaliśmy się z motyką na słońce. – Dietmar Schriver

nagle zaczął mieć wątpliwości.

– Znów gadasz głupoty. Czytasz „Naturwissenschaft”? – zapytał Max Thumann.

– Głupio pytasz, oczywiście, że tak.

– A zaglądasz do „Nature”?

– Ale jaki ma to związek z naszymi wątpliwościami?

– Ein moment. A „Physical Review”? – włączył się do licytacji von Tiesenhausen.

– Co ty za egzaminy mi robisz? Przecież to wszystko jest tutaj, na miejscu, i każdy nowy numer pojawia się w bardzo tajemniczy sposób. Nawet niezbyt opóźniony. Jak bym mógł nie czytać? – Lekko urażony szef fizyków postanowił zakończyć tę wyliczankę.

– Więc jeśli czytasz, to pewnie zauważyłeś, że po pierwsze tamci całkowicie odeszli od ciężkiej wody, a po drugie skupili się na nowym pierwiastku dziewięćdziesiąt trzy – nie odpuszczał Max Thumann.

– Jasne. Nazywaj rzecz po imieniu. To izotop uranu.

– Günter! Co ty wygadujesz? Przecież to nie jest izotop. To całkiem nowy pierwiastek. Pewnie niezbyt dokładnie przeczytałeś majowy numer Amerykanów! – uniósł się Dietmar Schriver.

– Przeczytałem, przeczytałem. I właśnie dlatego nazwałem ten produkt izotopem. – Von Tiesenhausen również coraz bardziej się unosił.

– Chłopie, ty się dyskwalifikujesz jako fizyk. Przecież ten dziewięćdziesiąt trzy ma zupełnie inne właściwości, więc jak mogłeś go nazwać izotopem?

– Przestańcie z tą sprzeczką, ona prowadzi donikąd. – Max Thumann postanowił w końcu nieco obniżyć temperaturę sporu.

– Mylisz się. Każda nasza dyskusja, każda nasza sprzeczką wnosi coś nowego – upierał się Dietmar Schriver.

– Nowe nie nowe, stare nie stare, ale czeka nas robota – zauważył Max Thumann, pragnąc położyć kres tej coraz bardziej akademickiej dyskusji.

– Aleś wymyślił. Przecież tu się nic innego nie dzieje, przede wszystkim prowadzimy tylko akademickie dyskusje.

– Dietmar! Powiedz mi, skąd wytrzasnąłeś cyklotron. O ile wiem, w całej Rzeszy jest jeden i oczywiście stoi w Dahlem. Nie uwierzę, że zabrałeś go spod nosa starego, a on tego nie zauważył. – Von Tiesenhausen postanowił w końcu zmienić temat.

– Jasne, że nie. Tamten cały czas stoi na miejscu. Gdy obaj panowie „S” zaczęli organizować naszą grupę, powiedziałem im, że bez tego nawet nie ma co marzyć o rozpoczęciu czegokolwiek.

– I co?

– Jak to co? – odezwał się Schubert, lekko już znudzony przedłużającą się dyskusją naukowców. – Dla SS nie ma rzeczy niemożliwych.

– Czy chcesz powiedzieć, że gdzieś w Niemczech stał drugi cyklotron i czekał na nas? Przecież to...

– A musiał stać w Niemczech? Przecież teraz Europa jest nasza. Trochę nasi ludzie poszperali i znaleźli. – Schubert uśmiechnął się, nie kryjąc lekkiej wyższości.

– Ciekawe gdzie. – Szef zespołu był coraz bardziej dociekliwy.

– To nie powinno was interesować. Ważne, że mamy cyklotron i parę innych równie unikatowych urządzeń. Mamy także...

– Czy wy nie zapominacie, że mamy dostawę, i to materiału o szczególnym znaczeniu?

W ferworze dyskusji całkowicie zapomnieli o tym, co powiedział im kilkanaście minut temu technik. Nie wiedzieli jeszcze, że wkrótce ich prace zostaną przerwane przez bombardowania, co wymusi przenosiny całego ośrodka badawczego w nowe miejsce. Miejsce takie już powstawało, prace prowadzone od końca lat trzydziestych na Dolnym Śląsku wreszcie dobiegały do końca. Nowy kompleks naukowo-produkcyjny powstawał w miejscu, które praktycznie przez cały okres wojny nie było bombardowane i miało własne zasoby naturalne

potrzebne do prowadzenia prac. A przede wszystkim znajdowało się na terenach, które będąc od wieków niemieckie, miały takimi pozostać. Nawet w przypadku klęski, z którą przywódcy Rzeszy, przynajmniej niektórzy, liczyli się coraz bardziej. Żaden z naukowców nie zdawał sobie sprawy, że przenosiny tak naprawdę już się zaczęły parę miesięcy wcześniej.

## 9

Do gabinetu weszła sekretarka Trude Brunberg. Od lat cieszyła się zaufaniem Himmlera, dla jego gości była też barometrem nastrojów zwierzchnika.

– Herr reichsminister. Przyszedł brigadeführer Walter Schellenberg.

– Niech natychmiast wchodzi. Proszę zrobić nam obu kawy.

Wiedział, że kawa parzona przez Trude nie ma sobie równych w całym Berlinie, to był też jeden z powodów, dla których sekretarka od lat zajmowała swoje stanowisko, kolejnym i zdecydowanie ważniejszym była jej wprost obsesyjna skrupulatność i dbałość o zachowanie tajemnicy.

– Miło cię znów widzieć, Walterze. Chciałbym chwilkę porozmawiać o Dahlem.

– Ależ oczywiście, reichsminister. – Schellenberg odruchowo się spiął.

– Obawiam się, że nasi naukowcy nie zdążą ze swoimi pomysłami.

– Czemu? Mają jakieś braki?

– Można tak powiedzieć. W zakładzie, który wyprodukował grafit dla Dahlem Zwei, ktoś zanieczyścił wyrób, a dokładniej go skaził. Te zanieczyszczenia eliminują go z eksperymentu. Co prawda trwają już prace nad powtórką dostawy, ale to się niestety przeciągnie.

– Mamy styczeń 1944 roku. Nasi wrogowie...

– Słyszałem, ale Führer...

– Zdaję sobie z tego sprawę, reichsminister. Ja też słyszałem o cudownych broniach, które mają Trzecią Rzeszę wzmocnić, wyprowadzić na prostą i pomóc jej pokonać wrogów.

– Powinniśmy się zastanowić, jak ocalić to, co nasi uczeni w Dahlem Zwei zrobili do tej pory.

– Ma pan na myśli jakiś konkretny plan?

– Trzeba to zabrać, zapakować na okręt podwodny i wywieźć.

– Wywieźć? Dokąd? – Schellenberg, choć sam myślał o tym już od jakiegoś czasu, udał zdziwienie.

– Są takie miejsca na świecie, gdzie przyjmą nas z otwartymi ramionami.

– A naukowcy?

– Kilku warto zabrać. A resztę...

– Tak?

– Wszyscy mają dokumenty, że służą w tutejszej jednostce wartowniczej. Więc gdy zabierzemy najważniejszą czwórkę, to esesmani wysadzą zamontowane urządzenie, a technicy przejdą wtedy do wartowni.

– Czy wybuchy nie naruszają konstrukcji tamy?

– Szczerze mówiąc, powinny naruszyć. Właśnie o to chodzi, by to wszystko zważyło się do rzeki.

– Trochę mnie to niepokoi, ale jeśli pan mówi, że nie ma innego wyjścia, to będziemy gotowi do ewakuacji.

– Mam już wszystko opracowane. Na miejscu są trzy ciężarówki i kilka wozów osobowych mających zabezpieczyć transport. Szef ochrony wie, że na mój sygnał ma otworzyć kopertę zdeponowaną u niego w sejfie i ściśle wykonać to, co zaleca treść pisma.

– A co zaleca?

– Oczywiście ewakuację, drogi Walterze. Porozmawiaj z Dönitzem, niech przygotuje dla naszej sprawy jeden podwodny okręt oceaniczny i niech czeka w Wilhelmshaven na odpowiedni czas. Jednocześnie przydałoby się część urządzeń, maszyn i oczywiście skonstruowanych elementów dobrze ukryć. Obawiam się, że możemy nie wygrać tej wojny, a Niemcy po jej zakończeniu będą potrzebowały silnego argumentu przetargowego, by przetrwać. Proszę, pomyśl

o Dolnym Śląsku, powstaje tam już odpowiedni kompleks, do którego można by przenieść magazyny i na razie część produkcji.

\*\*\*

Schellenberg przypomniał sobie rozmowę z Himmlerem parę miesięcy później. Sytuacja na frontach stawała się coraz gorsza. Francja była już praktycznie stracona, na wschodzie Sowieci przekroczyli Wisłę i każdy, kto myślał racjonalnie, zdawał sobie sprawę z tego, że szykowali się do zdobycia Berlina. Cudowna broń nadal była w fazie testów, o ile wiedział, co prawda już wyprodukowano pierwsze egzemplarze bomb o niesamowitej mocy, jednak nie było na razie możliwości ich użycia. Dodatkowo istniała realna groźba, że Amerykanie pracują nad czymś podobnym. W efekcie mogliby odpowiedzieć równie niszczycielskim uderzeniem.

„Tak, pora pomyśleć o ratowaniu tego, co się da” – pomyślał, sięgając po telefon.

– Proszę wezwać do mnie SS-untersturmführera Wilhelma Kettera. Natychmiast ma się stawić.

Esesman do specjalnych poruczeń Wilhelm Ketter pracował co prawda na stałe w IV departamencie RSHA[1], jednak spektrum jego zadań było bardzo szerokie. Pojawił się w gabinecie Schellenberga w ciągu kilkunastu minut. Po tradycyjnym nazistowskim powitaniu stanął na baczność przed biurkiem w regulaminowej odległości. Zwierzchnik zmierzył go wzrokiem, jakby zastanawiając się do końca, czy powierzyć mu zadanie.

– Zajmowałeś się już sprawami związanymi z projektem Riese. – Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie faktu. – Sprawdziłeś się, mam dla ciebie kolejne zadanie. Przypomnij mi, nie masz rodziny?

– Nie, herr brigadeführer.

– Nie masz chyba też nic przeciwko rozpoczęciu nowego życia w nowym miejscu?

– Nie, herr brigadeführer. – Tym razem odpowiedzi towarzyszyło zdziwione spojrzenie. Po chwili jednak esesman ponownie zaczął przepisowo patrzeć w punkt ponad głową zwierzchnika.

– Potraktuj to jako przysługę z mojej strony i szansę na nową przyszłość. Pamiętasz, gdzie służyłeś z Lütkemeyerem? Myślisz, że więźniowie to zapomnieli? Zapewniam, że będziesz szukany ze wszystkich sił. Oni już o tym trąbią w tych swoich stacjach radiowych. Angole i Amerykanie to jeszcze pół biedy, ale jak się za ciebie wezmą Ruscy, to zadyndasz na jakiejś gałęzi i nikt nie będzie ci w stanie pomóc.

– Tak jest, herr brigadeführer. – Tym razem w jego głosie zabrzmiała pewna obawa.

– Jeśli już to sobie wyjaśniliśmy, mam nadzieję, że docenisz, co dla ciebie robię. Jutro o świcie zabierzesz z naszego garażu ciężarówkę, jest już załadowana i przygotowana do jazdy. Dostaniesz czterech ludzi eskorty, ruszycie do Wilhelmshaven. Tam w porcie zgłosisz się do kapitanatu. Zameldujesz się u komandora Hansa Wankego, tylko u niego, nie rozmawiaj z nikim innym. To jest mój człowiek, wie, że przyjedziesz, dostarczy ludzi, którzy przeniosą ładunek z ciężarówki na okręt, zajmie się też twoją eskortą. – Schellenberg spojrzał na swojego rozmówcę. – Chyba nie masz z tym problemu?

– Nie, herr brigadeführer. – Ketter wyprostował się jeszcze bardziej, choć nie udało mu się pozbyć z twarzy obawy, która pojawiła się po ostatnich słowach zwierzchnika.

– Nie musisz się obawiać, tobie nic się nie stanie, jesteś mi potrzebny tam, gdzie popłyniesz.

– Tylko... herr brigadeführer... nigdy nie płynąłem statkiem po morzu i...

– Spokojnie, i nadal nie będziesz płynął statkiem. Popłyniesz okrętem podwodnym, nie musisz się bać. Z tego, co wiem, dowódca i jego załoga już odbywali podobne tajne misje, nie będą się wikłać w żadną walkę, tylko popłyną prosto do celu. Tutaj jest zalakowana koperta. – Pokazał esesmanowi dość spory



pakiet dotąd leżący na biurku. – Nie wolno ci jej otworzyć, jeśli komandor Wanke zobaczy, że koperta była otwierana, natychmiast każe cię rozstrzelać. Takie dostał rozkazy. Zrozumiałeś?

– Tak jest, herr brigadeführer.

– Dobrze. Mogę ci powiedzieć, że o ostatecznym celu swojej podróży dowiesz się na okręcie od jego dowódcy. Tam, gdzie cię wysadzą, spotkasz się z pewnym człowiekiem, który dalej powie, co masz robić. Szczegóły spotkania, miejsce i czas zostaną ci podane już na morzu. Na okręcie z nikim nie rozmawiaj o swoim zadaniu, najlepiej gdybyś przez całą podróż udawał, że ciebie tam nie ma. Załoga jest przyzwyczajona do tego typu pasażerów i nie powinna cię nagabywać. Czy wszystko zrozumiałeś? Jeśli tak, to jutro o świcie zgłosisz się do mojego sekretariatu po kopertę, potem bierzesz samochód, ochronę i ruszasz do Wilhelmshaven.

Wilhelm Ketter po raz kolejny stuknął obcasami, podniósł rękę w hitlerowski pozdrowieniu i opuścił gabinet. Przez głowę z szybkością błyskawicy przelatywały mu różne myśli. Z jednej strony obawiał się podróży niewiadomo gdzie, z drugiej jednak pojmował, że zwierzchnik najprawdopodobniej ratuje mu życie. A przynajmniej znacznie je ułatwia. Zdawał sobie sprawę z sytuacji na froncie, nie miał złudzeń co do nadchodzącej klęski i swoich późniejszych losów. Już od jakiegoś czasu intensywnie myślał, co zrobić, jak się przygotować, gdzie ukryć po wkroczeniu obcych wojsk. Teraz wszystko rozwiązywało się samo.

Po wyjściu podwładnego Schellenberg ponownie się zamyślił. Przypomniał sobie, jak cztery miesiące wcześniej w tym samym gabinecie rozmawiał z hauptsturmführerem Albinem Weltenem. Zlecał mu wtedy równie ważne zadanie. Hauptsturmführer Welten latem 1944 roku stracił rodzinę w bombardowaniu Hamburga. „Szkoda – pomyślał wtedy – młody człowiek, którego życie legło w gruzach w ciągu jednej nocy. Nada się do tego zadania, zawsze był dobrze zmotywowany i nieprzesadnie przepojony wiarą w zwycięstwo narodowego socjalizmu. Był świetnym oficerem wywiadu, który jednak ze

względu na swoje poglądy nie mógł zrobić należytej kariery. Teraz nie będzie miał nic do stracenia, nawet jeśli zadanie, które otrzyma, nie do końca będzie zgodne z tym, co oficjalnie głoszą władze”. Po krótkim namyśle i ponownym przejrzeniu dokumentów zdecydował, że powierzy hauptsturmführerowi zadanie, które niekoniecznie miało się przyczynić do ostatecznego zwycięstwa, ale na pewno mogło pomóc w odbudowie Niemiec po wojnie.

Przypomniał sobie, że gdy Welten wszedł do gabinetu, zamiast od progu rozpocząć od podniesienia ręki w zwykłym hitlerowskim powitaniu, po prostu podszedł do biurka, stuknął obcasami i stanął na baczność. Schellenberg przez dość długą chwilę mu się przyglądał, rezygnację z „ćwiczeń gimnastycznych”, jak w duchu nazywał wymachiwanie ręką, zapisał na plus młodego oficera.

– Cieszę się, że pan już jest – rozpoczął konwersacyjnym tonem, jakby rozkaz stawienia się w jego gabinecie mógł być odebrany jako zaproszenie. Obydwaj wiedzieli, że tak nie jest, jednak szef wywiadu chciał na wstępie dać do zrozumienia, że spotkanie traktuje trochę mniej oficjalnie. – Wiem, że w tej chwili nie ma pan dokładnie sprecyzowanego przydziału, postanowiłem to zmienić. Proszę, niech pan usiądzie. – Kolejny drobny gest okazany młodemu oficerowi miał być dowodem zaufania. – Czytając pańskie akta, dochodzę do wniosku, że nie jest pan w stu procentach przekonany o nadchodzącym i nieuchronnym zwycięstwie.

Spojrzał w twarz podwładnego, która nawet na moment nie drgnęła. Taki wstęp mógł być zapowiedzią rychłego transportu do obozu koncentracyjnego lub czegoś wręcz przeciwnego. Na przykład powierzenia zadania, które wymaga lojalności i oddania głównie szefowi wywiadu. Te myśli przemknęły przez głowę Albina Weltena, który jednocześnie zdał sobie sprawę, że gdyby miał być aresztowany za defetyzm czy brak wiary w Tysiącletnią Rzeszę, nikt by go nie wzywał do gabinetu szefa. Nadal się jednak nie odzywał, tak naprawdę wszystko było mu obojętne.

– Słucham, hauptsturmführer, co ma pan do powiedzenia?

– Dokładnie to, co pan przed chwilą powiedział, herr brigadeführer. – Welten nie zamierzał udawać.

– Dobrze, darujmy sobie te podchody. – Walter Schellenberg był w pewnym sensie pod wrażeniem odpowiedzi oficera; może była bezczelna, na pewno niezgodna z obowiązującą linią, ale też dowodziła, że oficer nada się do zadania, które miał zamiar mu powierzyć. – Chcę, by zajął się pan sprawą, która ma olbrzymie znaczenie dla Niemiec. Od razu zaznaczam, że jest to zadanie ściśle tajne, o którym praktycznie wiem tylko ja.

– Tak jest. – To było jedyne potwierdzenie, że hauptsturmführer zrozumiał i jest gotowy do wykonania zadania.

– Być może pan wie, że od dłuższego czasu w naszym kraju są prowadzone prace nad stworzeniem superbroni. Nie żadnej wunderwaffe, o której bredzi Goebbels, tylko naprawdę nowoczesnej broni o olbrzymiej sile rażenia. Prace są bardzo zaawansowane, praktycznie na ukończeniu, ale jest mało prawdopodobne, byśmy mogli jej użyć przed końcem wojny. Nie będę przed panem udawał, że kroczymy do zwycięstwa, klęska jest nam znacznie bliższa. Zresztą jest pan inteligentnym człowiekiem i zdaje sobie zapewne z tego sprawę. Zajmie się pan zamaskowaniem specjalnych laboratoriów, w których dokończone zostaną badania oraz zmontowane będą pierwsze egzemplarze broni. Istnieje już odpowiednia infrastruktura, cały czas rozbudowywana, jednak jej również nie ukończymy przed klęską. Pana zadaniem będzie zabezpieczenie tego, co już istnieje; mam na myśli laboratoria i montownie, wszystko to, co jest niezbędne do ukończenia prac i zabezpieczenia ich wyników. Zorganizuje pan całą sieć magazynów i schowków. Jednocześnie zapozna się pan z planami działań partyzanckich, które specjalne oddziały SS będą prowadzić na terenach okupowanych przez wroga. Wszystko to musi być ze sobą powiązane. Zarówno ukrycie, a właściwie zamaskowanie prac badawczych, montaż tajnych schowków i magazynów, jak również działalność partyzancka, której głównym zadaniem ma być tak naprawdę ochrona całego terenu, na którym znajdują się magazyny i laboratoria. Stworzy pan plan, który pomoże to wszystko zrealizować.

– Jakimi środkami będę dysponował, mam na myśli ludzi i pełnomocnictwa?

– Ludzi dobierze pan sobie sam, jednak odpowiada pan za nich. Pełnomocnictwa będą pełne, dające daleko idące możliwości. Skorzysta pan z tworzonej już od jakiegoś czasu sieci schowków na Dolnym Śląsku, od ponad roku prowadzone są tam prace nad zabezpieczeniem kosztowności i dzieł sztuki. Uważamy, że ten teren po wojnie stosunkowo szybko przestanie być okupowany. Jednocześnie teraz znajduje się poza obszarem zainteresowania wrogiego lotnictwa. Bombardowania są tam bardzo rzadkie, co znacznie ułatwia sprawę. Zadanie nie jest proste: musi pan z jednej strony zająć się koordynacją prac naukowych i produkcyjnych, z drugiej stworzeniem oddziałów partyzanckich do ochrony wszystkiego. Te ostatnie powinny też prowadzić jakąś działalność dywersyjną na terenach okupowanych przez wroga, ale tylko po to, by odwrócić uwagę od ich głównego zadania, którym ma być ochrona zamaskowanych laboratoriów i magazynów. Daję panu miesiąc na przygotowanie planu. Potem przejdzie pan do jego realizacji. Tak jak już mówiłem, o środki i pełnomocnictwa nie musi się pan martwić.

Od tamtej rozmowy minął miesiąc. Zgodnie z rozkazem hauptsturmführer Albin Welten zjawił się ponownie w gabinecie Waltera Schellenberga. Podobnie jak ostatnim razem został do niego niezwłocznie wpuszczony. Bez zbędnych powitań i celebracji przeszli do omawiania stworzonego przez młodego oficera planu.

– Wygląda to imponująco, Albinie, naprawdę się postarałeś. Z tego, co mówisz, już nawet byłeś na Dolnym Śląsku, by przyjrzeć się wszystkiemu na miejscu i wstępnie dokonać selekcji obiektów. Czyli wszystko będzie się opierać o miejscowości Waldenburg, Wüstegiersdorf, Wüstewaltersdorf i jeszcze parę mniejszych obiektów. Doskonale. A jak wygląda sprawa z partyzantką?

– Stworzyłem już plan działań, moi ludzie korzystali tutaj z doświadczeń polskiego i jugosłowiańskiego ruchu oporu. W ciągu ostatnich lat zdobyliśmy całkiem sporą wiedzę, walcząc z nimi. Nasze oddziały będą się cieszyć dużą autonomią i mają operować w oparciu o całą sieć magazynów i schowków,

w których umieścimy nie tylko potrzebną do walki broń czy amunicję, ale również środki pieniężne, złoto i kosztowności. Pomyślałem też, że w niektórych magazynach można by ukryć zasoby bankowe. Na pewno przydadzą się do odbudowy po zakończeniu okupacji. Dobrze by też było, aby te środki od razu znalazły się na miejscu, to szybciej uruchomi produkcję po wojnie.

– Świetne rozwiązanie, nikt na to wcześniej nie wpadł.

– Jeszcze jedna sprawa, wpadłem na pomysł dodatkowego zabezpieczenia, może warto by wywieźć dokładne plany dotyczące schowków i ich zawartości gdzieś poza granice Niemiec.

Schellenberg spojrzał z uwagą na młodego oficera, o operacji wywożenia do Argentyny części zasobów i wyników prac naukowych nie miał on prawa wiedzieć. Jednak jeśli sam wpadł na ten pomysł, to świadczyło tylko o jego dużej pomysłowości oraz o tym, że jego wybór człowieka do realizacji tego zadania był trafny.

– Dobrze, gdy będzie pan gotowy ze wszystkim, proszę przygotować dokładny spis schowków, ich zawartości oraz całą niezbędną dokumentację. Zabezpieczymy ją w dodatkowy sposób, wywożąc z kraju.

Schellenberg otrząsnął się z zamyślenia, wszystko przygotował, dobrał odpowiednich ludzi. Trochę się martwił o Kettera, ocenił jednak, że ten nie powinien w ostateczności sprawić wielkich kłopotów. Wszystko było już gotowe, rozkazy wydane, Ketter miał zabezpieczyć przesyłkę w drodze do portu i potem na morzu. Na wszelki wypadek, by się nie dowiedział, gdzie okręt dopłynie, untersturmführer zostanie wysadzony u wybrzeży Bahamów. Będą tam czekać na niego ludzie, którzy go zlikwidują. Tym samym zostanie zatarty ślad prowadzący do ładunku U-Bootu. W Argentynie będzie czekała kolejna ekipa, która przejmie transport i dobrze go ukryje.

Wszystko wydawało się przemyślane i zaplanowane, jednak Schellenberg do końca nie potrafił się pozbyć niepokoju, że coś może pójść nie tak.

---

[1] RSHA (Reichssicherheitshauptamt) – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy; Departament IV to Tajna Policja Państwowa – Gestapo.

# 10

– Wynurzenie! – Głos dowódcy U-530 Otto Wermutha był zmęczony. Dało się w nim wyczuć napięcie ostatnich dni i godzin. Rejsu, który nie miał się zakończyć sukcesem. Rejsu, który miał być ostatni... i co potem?

To pytanie zadawali sobie wszyscy – nie tylko dowódca, ale cała załoga. Parę godzin wcześniej odebrali zaszyfrowaną wiadomość o końcu wojny. Kapitan był jednak przekonany, że może to być prowokacja ze strony nieprzyjaciela, podobnie myślał jego zastępca porucznik Frenssen. Lecz obaj zdawali sobie też sprawę z beznadziejności sytuacji na froncie, nie tylko na morzu. Było też dla nich jasne, że to ostatni rejs, musieli jeszcze tylko wykonać dwa zadania.

Pierwszym było wysadzenie ich „gościa” u brzegu Abaco Island, zgodnie z rozkazem wydanym w Niemczech. Tak naprawdę nic o nim nie wiedzieli. Nawet w czasie rejsu nie udało się nawiązać żadnego bliższego kontaktu z tym małymównym, ponurym mężczyzną. Po prostu nic. Tylko zdawkowe rozmowy: „proszę, dziękuję, smaczna kawa, niezbyt dobra mielonka”. Zresztą powiedzieć o nim małymówny, to nic nie powiedzieć. Jednak doświadczenie ostatnich rejsów kazało nie interesować się zbytnio pasażerem. Nawet załoga po paru dniach zaczęła go traktować jak element wyposażenia okrętu. Skończyły się szeptki i dociekania, kto to jest. Pasażerowi takie podejście do sprawy też najwyraźniej odpowiadało.

Teraz ryzykowali – dzień wcześniej podczas wynurzenia doszło do awarii peryskopu bojowego, peryskop wachtowy też nie był w najlepszym stanie. Byli

ślepi – no może nie jak staruszek z białą laską w pochmurny dzień w parku, ale niewiele im do tego brakowało.

– Szasować zbiorniki, dziewięć stopni na sterach. No i w górę – powiedział z ulgą bosman Doner, odpowiedzialny za wynurzenie.

Wszyscy poczuli, że okręt zaczyna się wynurzać, nie tylko lekkie kołysanie dało o tym znać. Dało się słyszeć syk powietrza wypychającego wodę ze zbiorników balastowych. Usłyszeli też coś znacznie gorszego! Charakterystyczny dźwięk silników gwałtownie przyśpieszającego okrętu nawodnego.

– Kontakt na powierzchni, kurs dziewięćdziesiąt! – wykrzyknął hydroakustyk z klaustrofobicznego pomieszczenia nasłuchowego tuż za pomostem bojowym okrętu.

„Niech to szlag... czekał pewnie na nas w bezruchu i bez użycia sonaru” – pomyślał Wermuth. Było już za późno na zmianę decyzji, musieli kontynuować wynurzenie.

Teraz wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko i naraz! Krzyk bosmana wachtowego, który wzywał obsadę działa do błyskawicznego wyjścia na pokład i obsadzenia stanowiska 105-milimetrowego działa. Rozkaz dowódcy przekazany telegrafem do maszynowni, żeby zwiększyli szybkość – jakby manewr „cała naprzód” miał ich uratować.

Jednocześnie oficer torpedowy dosłownie ryczał: „gotowość na aparatach trzy i cztery” – tylko w nich były jeszcze torpedy.

Gdy kiosk okrętu wynurzył się z wody, pod drabinką zejściówki się zakotłowało. Marynarze, dowódca, pierwszy oficer – wszyscy naraz przepychali się, by wyjść na górę. To było nie tylko poczucie obowiązku, nie tylko wyrobione nawyki, ale też zwykły zwierzęcy strach. Strach, który narastał w miarę zbliżania się coraz lepiej słyszalnego przeciwnika.

Do dudnienia silników wrogiego okrętu dołączył bardzo szybko huk wystrzałów i gwizd lecących pocisków. Przerażający świst, o którym wiedzieli, że niesie śmierć, rany, ból.



– Celownik torpedowy na mostek! – krzyknął kapitan.

W tym samym czasie marynarze na tyłach kiosku gwałtownie próbowali uruchomić jedyną broń, którą mogli próbować odgryźć się przeciwnikowi. Amunicyjni wyszarpywali pociski z jaszczy, celowniczy trzęsącymi się dłońmi usiłował zamontować celownik optyczny, dowódca działa – młody, zaledwie dwudziestodwuletni mat – wykrzykując obelgi i wyzwiska, jednocześnie wzywając na pomoc świętych i Boga, starał się zapanować nad coraz większym chaosem wśród swoich artylerzystów.

Na szczęście chwile chaosu stopniowo mijały, górę wzięły wyszkolenie i mechaniczne odruchy. U-530 zaczął skręcać w stronę szarżującego przeciwnika. Stalowoszary kadłub okrętu powoli kierował otwory wyrzutni torpedowych w stronę śmiertelnego zagrożenia.

Jeszcze była szansa, mała – ale jednak. Oddalony o jakieś pięć mil USS Barton szedł już pełną prędkością swoich trzydziestu sześciu węzłów. Dziobowe wieże artyleryjskie z regularnością młota w mechanicznej kuźni biły salwę za salwą. W niewyjaśniony dla nikogo sposób pudłując raz za razem.

„Jest jeszcze szansa. Jeszcze szansa” – powtarzał w myślach jak mantrę dowódca okrętu podwodnego.

Przeciwnik się zbliżał, już wyraźnie było widać jego numer boczny 722, każda kolejna salwa mogła być tą ostatnią. Ale i oni nie próżnowali, okręt podwodny zwracał się w stronę przeciwnika, zmniejszając przekrój celu dla amerykańskich artylerzystów.

– Wreszcie! Jest namiar! Odległość cztery tysiące pięćset. To będzie szybki strzał – mówił, a właściwie krzyczał dowódca U-Boota.

– Torpedy! Poszły! – Odczuli pchnięcie charakterystyczne dla odpalenia torped.

Dwa brudnopopielate cygara tuż pod powierzchnią wody, lekko ją burząc, pomknęły w kierunku USS Bartona.

Amerykanie w tym samym momencie wreszcie trafili! Najpierw oberwał kadłub, chwilę potem kiosk. Ten ostatni pocisk spowodował masakrę! Zginęła natychmiast cała obsada 105-milimetrowego działa. Marynarze na mostku albo byli ciężko ranni, albo nie żyli. Kapitana Wermutha siła wybuchu wyrzuciła do morza; był ranny ale przytomny. Widział jeszcze, jak pierwsza z torped eksplodowała tuż przy dziobie niszczyciela, zatrzymując go niemal w miejscu. Druga chybiła.

W tym czasie U-530 otrzymywał już cios za ciosem, płonąc i dymiąc, nagle zaczął się zanurzać, a właściwie tonąć. Paru marynarzy wyskoczyło na zalewany już pokład, próbowali się ratować. Kilkadziesiąt sekund później na powierzchni unosiły się tylko szczątki i trochę dymu. W oddali płonął również uszkodzony amerykański niszczyciel. Kapitan Otto Wermuth stracił przytomność, ale nadal unosił się na wodzie.

Na południowy wschód od Bermudów szedł na dno okręt podwodny, a wraz z nim jego tajemniczy ładunek.

# 11

Otto Wermuth jak przez mgłę pamiętał, że czyjeś silne ręce złapały go za kamizelkę ratunkową, a potem bezceremonialnie wciągnęły do łodzi. Kolejnym obrazem zarejestrowanym przez fregattenkapitän[2] było pomalowane na biało pomieszczenie, w którym dość brutalnie rzucono go na coś w rodzaju stołu. Następną rzeczą, która dotarła do jego świadomości, były zapachy i dźwięki wdzierające się z całą mocą do jego oszołomionego mózgu. Wśród zapachów dominowały spalenizna, jodyna, smród bólu i strachu. Dźwięki tylko potwierdzały to, co poczuł wcześniej: jęki, przekleństwa, ciche skupione rozmowy, chyba lekarza i sanitariuszy. Był w pomieszczeniu medycznym, otoczony przez rannych. Powoli zaczął kojarzyć fakty, jednocześnie czuł, jak rozcinają i zdzierają z niego koszulę. Wreszcie zaczął też rejestrować toczące się wokół rozmowy. Mówiono po angielsku. Dość dobrze znał ten język, szybko zaczął rozumieć nie tylko słowa, ale przede wszystkim swoją sytuację.

– Doktorze, fryc chyba się budzi. – Sanitariusz, który zdejmował z dowódcy U-Bootu ubranie, obrócił się przez ramię w stronę mężczyzny zajętego przy sąsiednim łóżku.

Doktor podszedł i spojrzał na pacjenta.

– Raczej będzie żył – dało się słyszeć głos skupionego profesjonalisty. – Głowa mocno poobijana i porozcinana, ale nic ponadto nie widzę. Gorzej wyszli nasi chłopacy z przedziału dziobowego. Dwóch zabitych, sześciu rannych, jeden ciężko. Przygotuj się do amputacji, Chuck, musimy coś zrobić z nogą tego artylerzysty. A jemu zabandażuj głowę, daj zastrzyk i niech go zabierają do

aresztu. – Doktor raczej nie startował w konkursie na najbardziej współczującego lekarza roku.

Wermuth po chwili znowu stracił przytomność. Obudził się pod pokładem, na koi przy burcie. Gdy jej dotknął, poczuł, że maszyny pracują i okręt płynie. Rozejrzał się, oprócz niego w dość ciemnej kabinie było kilkunastu ludzi. Trudno było mu policzyć, jeden bulaj nie dawał zbyt wiele światła, a żadna żarówka się nie paliła.

– Panie kapitanie, jak się pan czuje? – usłyszał szept po niemiecku.

Spojrzał na mówiącego, był to porucznik Karl Lenz.

– Nie najgorzej. Wiesz co się dzieje, Karl? – Mimo galopującego tabunu rozszalałych ogierów w głowie starał się zapanować nad słabością. Był w końcu dowódcą i musiał się zająć swoimi ludźmi.

– Zatopili nas! – W głosie porucznika słychać było wściekłość, strach i zniechęcenie. – Wyciągnął nas ten sam niszczyciel, z którym walczyliśmy.

– Ilu ludzi ocalało? – To była w tej chwili najważniejsza sprawa dla dowódcy.

– Razem z panem czternastu, z oficerów ja i Peter Loßler, czterech matów i siedmiu marynarzy. – Tym razem w głosie porucznika brzmiała rezygnacja.

– Z tego, co wiem, płyniemy teraz do portu, uszkodziliśmy im dziób, ale połatali okręt, i dość wolno, ale płyniemy. Przesłuchują nas. Pytają, co robiliśmy w tym rejonie, gdzie płynęliśmy, jakie były rozkazy, co mieliśmy na pokładzie. Ale na razie bez wielkiego przymusu. Mówił mi jeden oficer, że parę dni temu Niemcy skapitulowały. Co teraz będzie, panie kapitanie?

– Nie mam pojęcia, sam chciałbym to wiedzieć. Ale wojna się skończyła i na razie to chyba jest najważniejsze. Nic nie mówiłeś o naszym ładunku? – To ostatnie pytanie zadał szeptem.

– Oczywiście, że nie. Nawet za bardzo na nas nie naciskają. Ten oficer powiedział jeszcze, zresztą dość łamaną niemczyzną, że w porcie zajmie się nami wywiad marynarki, i już tak miło nie będzie.

– A może już pora z tym skończyć? Powiedzieć o ładunku i o wszystkim – zaczął się głośno zastanawiać dowódca.

– Też tak myślę, kapitanie, mam już dość tego wszystkiego, wreszcie chciałbym wrócić do domu i móc o tym zapomnieć.

Wermuth spojrzał uważnie na porucznika Lenza; jednak nie mylił się co do niego. Widział jeszcze w Niemczech, że młody oficer gonił resztkami sił, a jego komentarze stawały się coraz śmielsze. Nieraz musiał udawać, że ich nie słyszy, albo wręcz je tuszować.

– A co na to wszystko Peter? – zapytał o ostatniego z ocalałych oficerów.

– Myśli podobnie jak ja. Czekaliśmy tylko na pańską decyzję, kapitanie. Ludzie – tu rozejrzał się po kabinie – też już mają dość. Nawet bosman Hajneman, który przecież jeszcze niedawno wierzył w Führera. Czekaliśmy tylko na pana decyzję.

– Dziękuję, Karl. Zawsze wiedziałem, że mam dobrą załogę.

W tym momencie otworzyły się drzwi do pomieszczenia i weszło dwóch marynarzy. Upewnili się, że Wermuth jest przytomny, i dość bezceremonialnie zabrali go ze sobą. Zaprowadzili go do mesy oficerskiej, gdzie już czekał na niego oficer.

– Nazywam się porucznik Rupert Butler, jestem drugim oficerem na USS Barton. Witam, kapitanie. Jak się pan czuje, może chce pan zapalić? – Mówiąc to dość szkolnym niemieckim, poczęstował Niemca z napoczętej paczki cameli.

Wermuth, tak jak postanowił przed chwilą, zdecydował się na rozmowę z Amerykaninem. Docierało do niego, że wojna się skończyła, i chciał wreszcie zacząć żyć normalnie, z dala od wszystkiego, co się z nią wiąże. Nigdy nie był wyznawcą narodowego socjalizmu. To, że w 1944 roku powierzono mu dowództwo okrętu, wynikało raczej z braków kadrowych, a nie z jego politycznego zaangażowania. Co prawda nie obnosił się ze swoją niechęcią do sytuacji w Trzeciej Rzeszy – aż tak odważny nie był. Dał się natomiast poznać jako sprawny oficer i dowódca, pewnie dlatego zlecono mu pod koniec wojny

misję przewiezienia do Ameryki Południowej tajnego ładunku. Zresztą praktycznie od końca 1944 roku jego okręt nic innego nie robił. Rejs, który tak gwałtownie został przerwany, był już trzecią taką wyprawą.

– Dziękuję. – Niemiecki dowódca wziął papierosa i zaciągnął się ze smakiem.

– Całkiem niezłe – pochwalił, dając jednocześnie sygnał, że mogą porozmawiać.

– Jaki był cel waszego rejsu, dlaczego wynurzyliście się u brzegów Bahamów?

– Panie poruczniku, jestem gotowy do współpracy. Mam dość wojny i wszystkiego, co się z nią wiąże. Myślę jednak, że musi mnie pan skontaktować z odpowiednimi osobami w waszym wywiadzie. Tylko z nimi będę rozmawiał. A sądzę, że sprawy, o których mogę powiedzieć, bardzo mogą wywiad zainteresować. – Wermuth się uśmiechnął, przede wszystkim dlatego, że podjął decyzję, co jak sądził, miało zaważyć na dalszych losach jego i załogi. – I może przejdziemy na angielski? Po co ma się pan męczyć? – Ponowny uśmiech i ponowny sygnał do dalszej współpracy.

– Oczywiście, panie kapitanie. – Porucznik z ulgą przeszedł na swój ojczysty język. – Wywiad i tak z panem i pańskimi ludźmi będzie rozmawiał. Może na początek coś mi pan jednak powie?

– Nazywam się fregattenkapitän Otto Wermuth i jestem... byłem dowódcą U-530. Naszym celem była Argentyna, gdzie mieliśmy dowieźć nasz ładunek. Wynurzyliśmy się u brzegów Abaco Island, ponieważ mieliśmy tam dostarczyć człowieka, który z tego co się orientuję, nie przeżył spotkania z waszym niszczycielem. Tak samo zresztą jak większość mojej załogi. Zaskoczyliście nas – dodał ciszej, jakby chciał się wytłumaczyć przed samym sobą z nieudanej walki z amerykańskim niszczycielem.

– To interesujące, panie kapitanie. Może jednak powiedziałały pan coś więcej?

– upierał się przy swoim porucznik Butler.

– Myślę, że to wystarczy. Na razie. Jeszcze tylko chciałem podziękować za to, że zajęliście się moimi ludźmi. Może pan nie wierzyć, ale naprawdę jest mi

przykro z powodu zadania wam strat. Tylko co miałem robić? Wy zaatakowaliście pierwsi, broniłem się, jak mogłem.

– A może jednak, kapitanie? – Porucznik Butler okazał się upartym człowiekiem. – Chociaż parę szczegółów, które można by przekazać ludziom z wywiadu, co na pewno nastroiłoby ich lepiej do pana i pańskich ludzi – nalegał.

– Myślę, panie poruczniku, że to, co mam im do powiedzenia, na pewno ich dobrze nastawi. A dla pana lepiej by było, gdyby nie wszystko pan wiedział. – Wermuth też był uparty. Nie chciał odkrywać wszystkich swoich kart. Doskonale wiedział, że od tego, co powie, zależeć będą losy jego i całej ocalonej załogi. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że macki jego dawnych przełożonych mogą sięgać bardzo daleko. Częściowo się tego domyślał. Częściowo o niektórych rzeczach słyszał, zwłaszcza w ostatnim roku. Po tym jak wykonał tajne rejsy, jeden do Argentyny, drugi na wyspy na Oceanie Indyjskim, pechowy trzeci miał być znów do Argentyny. Z małym przystankiem na Bahamach.

– Dobrze, kapitanie, wróci pan do swoich ludzi, za kilkanaście godzin wpłyniemy do portu i wtedy przekazemy was wszystkich wywiadowi marynarki.

Następnego dnia po południu rozbitkowie z U-530 zostali przewiezieni z portu do obozu dla jeńców wojennych znajdującego się na północ od Jacksonville. Spotkali tam, o dziwo, bardzo mało jeńców. Paru zestrzelonych pilotów, trochę marynarzy, praktycznie nikogo z wojsk lądowych. Wszyscy jacyś tacy wyciszeni, nie bardzo chcący rozmawiać z nowymi. Otto Wermutha oraz pozostałych oficerów ulokowano w zamkniętym baraku, w którym oprócz nich było tylko jeszcze czterech innych oficerów marynarki. Po zdawkowym przywitaniu każdy z nich zajął się sobą.

– Jakiś dziwny ten obóz, panie kapitanie – mówił szeptem Karl Lenz. Samo miejsce i panująca w nim atmosfera powodowały, że szept wydawał się jak najbardziej na miejscu.

– Coś mi się wydaje, Karl, że trafiliśmy do jakiegoś specjalnego obozu. A ty, Peter, co o tym wszystkim myślisz?

Porucznik Loßfler od dłuższego czasu siedział na pryczy zamyślony.

– Wydaje mi się, że gdy nas tu przywieźli i prowadzili przez plac, mignęła mi twarz znajomego, jeszcze ze szkoły morskiej. Tyle że on od dwóch lat nie żyje. Jego okręt zatonął wraz z całą załogą na Północnym Atlantyku. Wiem to dokładnie. Spotkałem jego brata, który właśnie wtedy dostał telegram z zawiadomieniem o śmierci Bruna.

– A co w tym dziwnego? – Karl wzruszył ramionami. – Zdarzają się takie cuda na wojnie.

– No tak, ale nasi dokładnie sprawdzili to zatonięcie. Tym bardziej że okręt był jednostką eksperymentalną. Przypadkiem wiem to, bo też miałem na nim pływać.

– Zobaczymy, panowie, co będzie dalej. – Otto Wermuth zaczynał coraz lepiej rozumieć, gdzie się znaleźli. Zwłaszcza że sami też wykonywali tajną misję, a to, że akurat skończyła się wojna, nie miało nic do rzeczy.

Kolejne dni upłynęły im na intensywnych przesłuchaniach. Kapitan Wermuth od samego początku postanowił grać w otwarte karty. Zresztą chyba on i jego ludzie i tak nie mieli innego wyjścia. Przesłuchiwało ich dwóch oficerów, którzy przedstawili się jako major Smith i kapitan White. Oczywiście nikt z załogi U-530 nie wziął tych nazwisk na poważnie, zresztą Amerykanie i tak mieli to gdzieś. Dla nich najważniejszy był wynik przesłuchań, a te okazały się nad wyraz interesujące. Już drugiego dnia oficerowie wywiadu marynarki zrozumieli, że trafiła im się wyjątkowa okazja, a informacje, głównie te przekazywane przez dowódcę U-Boota, są nie tylko ciekawe, ale też bardzo cenne.

Zwłaszcza w obliczu zmieniającej się sytuacji na świecie. Wraz z zakończeniem wojny w Europie i dobijaniem Cesarstwa Japonii na Pacyfiku Amerykanie zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że dotychczasowi sojusznicy niekoniecznie będą dalej tak użyteczni i przyjaźni. Wujek Joe, jak zwykli mówić o Stalinie, bardzo szybko przestawał być głównym sprzymierzeńcem. Stawał się za to głównym konkurentem, a w widocznej perspektywie mógł stać się nawet



głównym wrogiem. Walka o dominację nad światem zaczynała przybierać zupełnie nowy obrót, główni zaś aktorzy międzynarodowej sceny szykowali się już do objęcia pierwszoplanowych ról. W tle rozgrywały się walki o wpływy polityczne, dominację ekonomiczną nad poszczególnymi fragmentami świata i narzucenie im swojej ideologii. Toczyła się batalia o dominację militarną. Jednym z jej elementów był projekt „Manhattan”. Major Smitch i jego podwładny znali co prawda tylko jego ogólne założenia, ale przede wszystkim wiedzieli, o co pytać i co powinno wzbudzić ich zainteresowanie. A jak się szybko okazało, niemieccy marynarze, zwłaszcza dowódca, mieli wiedzę budzącą olbrzymie zainteresowanie wywiadu US Navy.

– To jeszcze raz, kapitanie, mieliście wysadzić swojego pasażera u brzegów Abaco Island, a potem płynąć do Argentyny? – Kapitan White starał się być dokładny, a na tym etapie przesłuchania przerodziło się to właściwie w czystą upierdliwość pedanta.

– Tak, tak, już chyba siedem razy to powtarzałem. – Wermuth był coraz bardziej zmęczony powtarzającymi się pytaniami.

– A dlaczego się pan denerwuje, kapitanie? – White miał denerwujący zwyczaj doszukiwania się dziury w całym.

– Nie denerwuję się, tylko nie widzę powodu powtarzania ciągle tego samego. Powiedziałem już wszystko, co wiem. Moi ludzie chyba też to potwierdzili. Tak jak powiedziałem: możecie wysłać nurków, którzy zbadają zawartość wraku mojego okrętu. Leży płytko i nie powinno być z tym problemów. – Kapitan U-Boota oprócz zmęczenia zaczynał odczuwać też coś na podobieństwo irytacji na, jak mu się wydawało, tępotę przesłuchującego oficera wywiadu.

– Okej, Walt, daj już spokój kapitanowi – włączył się do rozmowy major Smitch. – Kapitanie Wermuth, cieszy nas pana chęć współpracy, musi pan zrozumieć, że my też musimy mieć pewność. Zresztą leży to także w interesie pana i pańskich ludzi. – Smitch zawsze starał się być konkretny. – Podsumowując. Wieźliście na pokładzie sześć pojemników, szczelnych, specyficznie oznakowanych. A skąd pan wie, co znaczą te oznaczenia?

– Przez przypadek, zresztą też już to mówiłem. W czasie załadunku jeden z eskortujących skrzynie oficerów chyba się niechcący wygadał. Powiedział, że w skrzyniach znajdują się, jak to powiedział, „bomby o wielkiej sile”. Wunderewaffe! A oznaczenia wskazują, że z tymi „bombami” trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie, bo mogą, jak to sformułował, „zabić, nawet nie wybuchając”. I to właśnie mówią te oznaczenia. Sam nie wiem, czemu mi to powiedział.

– A wasz pasażer miał coś wspólnego z tymi skrzyniami?

– Nie sędzę, został zaokrętowany tuż przed wypłynięciem, sam nie interesował się skrzyniami. Zresztą niczym się nie interesował poza dopłynięciem do Bahamów. A dalej to już sami wiecie. – Kapitan był już wyczerpany powtarzającymi się pytaniami.

– Dobrze, kapitanie Wermuth. Mamy dla pana i pańskiej załogi propozycję. – Smitch uśmiechnął się tak, jakby dotyczyło to zaproszenia na elegancki lunch. – Jak pan wie, wojna się praktycznie skończyła, a nasi dotychczasowi przyjaciele Sowieci już powoli przestają być przyjaciółmi. Wydaje mi się, że pan również nie powinien ich darzyć wielką sympatią. W końcu podbili ponad połowę Niemiec, i o ile wiem, poczynają tam sobie u was niczym pijany Kozak w gospodzie. – Smitch sam się uśmiechnął do swojego porównania. – Co pan powie na małą współpracę z nami, która przyniesie obustronne korzyści? – Tym razem Smitch wyglądał jak obwoźny sprzedawca próbujący wcisnąć swój towar naiwnemu klientowi. Wermuth to wszystko widział, ale zdawał sobie sprawę, że w zasadzie nie ma wyjścia i będzie musiał przyjąć ofertę. Nie spodziewał się tylko, że amerykańanie mają jeszcze jeden atut.

– Panie kapitanie – tym razem odezwał się White – pańska żona przebywa w sowieckiej strefie okupacyjnej. Wiemy to na pewno. Teraz tylko pytanie: czy chce pan, by do nas dołączyła, czy lepiej, by została w coraz szczęśliwszym sowieckim raju?

Wermuth, gdyby mógł, strzeliłby w pysk uśmiechniętego fałszywie Amerykanina. Powstrzymał się jednak, parę razy głośno odetchnął. W miarę

spokojnym głosem zadał pytanie:

– Co mam zrobić, bo powiedziałem już wszystko, co wiem.

– Och, nic wielkiego. Po pierwsze przekona pan swoich ludzi, żeby nam pomogli, zresztą im też możemy złożyć podobne obietnice. A potem popłynie pan jednym z naszych zdobycznych U-Bootów do Argentyny. Zgodnie z pańskimi rozkazami. Podda się pan tam Argentyńczykom, a oni przekażą nam pański okręt i załogę.

– Jaki to ma sens? – Kapitan uznał pomysł za co najmniej dziwny.

– Widocznie ma, panie kapitanie. – White nie miał zamiaru tłumaczyć jeńcowi zawiłości planu.

Jednak major Smitch ponownie się uśmiechnął, tym razem chyba szczerze.

– Panie kapitanie Wermuth, zagram z panem w otwarte karty. Jeśli zdecyduje się nam pan pomóc, gwarantuję, że wyciągniemy pańską żonę z łap Sowietów i przywieziemy tu, do Stanów. Pomożemy też pańskim ludziom. Jednak w zamian będziecie musieli na jakiś czas pozostać u nas. Jestem pewien, że wam się spodoba, Wuj Sam potrafi się odwdzińczyć za pomoc. Chodzi o to, by Sowiecki wywiad w Argentynie dowiedział się o tym, co przywieźliście do Ameryki Południowej. Oczywiście nie znajdzie tam informacji o tajemniczych skrzyniach, bo ich na pokładzie po prostu nie będzie. Zabierzecie natomiast ładunek złota i pieniędzy, które rzekomo mieliście przekazać niemieckim agentom w okolicach Mar del Plata. A tak się szczęśliwie złoży, że ten ładunek przejmujemy my. No, pewnie trzeba się będzie podzielić z Argentyńczykami, ale to już mniejszy problem. Co pan na to, kapitanie?

– Chyba nie mam wyjścia. Moi ludzie też na to pójdą. Jak znam życie, pewnie już złożyliście im podobne propozycje. – Mina White'a mówiła w zasadzie wszystko na ten temat. – Dobrze, zrobimy to, mam tylko nadzieję, że wywiążecie się ze swoich obietnic.

– Może pan być spokojny, kapitanie. Chyba zaczynamy grać w jednej drużynie. A wtedy gra się uczciwie. – Tym razem major Smitch był poważny

i prawie szczerzy.

Po tej rozmowie wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Już następnego dnia o świcie wszyscy uratowani marynarze z U-530 zostali przetransportowani do bazy US Navy w Fort Lauderdale, tam zaokrętowano ich na zdobycznego U-Boota typu IX. Jednocześnie wszyscy Niemcy z załogi zostali dobitnie poinformowani o tym, co spotka ich rodziny w przypadku zdrady. Na osłodę zapewniono ich też, że jeśli wszystko się uda, USA potrafią o nich zadbać. Amerykanie oczywiście nie do końca ufali niemieckiej załodze, oprócz ludzi kapitana Wermutha na pokładzie znaleźli się marynarze, którzy co prawda mówili perfekcyjną niemczyzną, Niemcami jednak nie byli. Wywiad marynarki mocno się natrudził, by dokooptować do załogi swoich ludzi. Takich, którzy nie będą wzbudzać w Argentynie wątpliwości co do swojego pochodzenia. Zresztą niektórzy z nich wychowali się w Niemczech. Jedno, co ich łączyło, to praca w wywiadzie marynarki USA. Przez pierwsze pięć dni załoga wspólnie się szkoliła i dogrywała, wyszli nawet na jeden krótki rejs w morze. Niemieccy załoganci byli co do jednego pogodzeni ze swoim losem. Zresztą każdy z nich miał w Niemczech jakąś rodzinę, której Amerykanie obiecali pomoc. To posłuszeństwo niemieckiej części załogi początkowo nawet dziwiło jej nadzorców. Oczywiście dostęp do broni mieli tylko Amerykanie, ale zawsze istniało jakieś niebezpieczeństwo buntu. Jak jednak miało się okazać, były to tylko obawy. Oferta Wuja Sama była naprawdę kusząca i przekonująca.

Wreszcie nadszedł dzień wyjścia z portu. Na pokładzie zjawili się major Smitch i kapitan White.

– Mam nadzieję, kapitanie, że wszystko się uda i spotkamy się ponownie w Argentynie. – Major Smitch jeszcze raz się upewniał, czy Wermuth wie, co ma robić, i co ważniejsze, czy pamięta o umowie.

– Nie mam raczej innego wyjścia, zresztą pańscy ludzie chyba tego dopilnują. A tak na marginesie: większość z nich nigdy nie pływała na okręcie podwodnym.

– Aż tak to widać? Nawet wywiad marynarki nie może wszystkiego. Poszukaliśmy najlepszych ludzi, takich, którzy będą jak najbardziej pomocni. –

Smitch wzruszył ramionami.

– Spokojnie, majorze, w czasie rejsu nabiorą odpowiednich nawyków. Ale jednak nie ufacie nam za bardzo: aż tylu nadzorców? Czy wywiad marynarki aż tak się boi kilku niemieckich marynarzy? – Wermuth nie mógł sobie darować przytyku.

– Jak to mówią nasi sowieccy sojusznicy, „ufamy, ale cały czas kontrolujemy”. – Tym razem to White odpowiedział Niemcowi.

– Okej, panowie. Zadanie znacie, wiecie, co macie robić i mówić w Argentynie. Spotkamy się już na miejscu. Oczywiście nie znamy się przy oficerach marynarki argentyńskiej. Zresztą wszystko już wielokrotnie omówiliśmy. Powodzenia, i niech pan i pańscy ludzie pamiętają, o jaką stawkę walczyacie. Wasze rodziny. – Smitch skinął głową Niemcowi i opuścił okręt. White aż tak miły nie był, po prostu wyszedł za swoim przełożonym.

Od tego momentu U-530, a właściwie jego kopia, rozpoczęła swój ostatni rejs.

– Myślisz, Bob, że wszystko się uda? – White mimo wszystko był trochę niespokojny. Rozmawiali w samochodzie, którym wracali z portu do biura.

– Powinno, na pokładzie są w końcu nasi ludzie i przypilnują fryców, zresztą ci ostatni mają o co walczyć. Zimy w Rosji są podobno surowe, a większość z nich ma rodziny w sowieckiej strefie okupacyjnej. No zobacz, jak ten cymbał jedzie! – Smitch, prowadząc samochód, zwykł się wściekać na innych kierowców. Co wydawało się tym dziwniejsze, że w pozostałych sytuacjach zawsze zachowywał spokój. – W Argentynie powinni być za jakiś tydzień, potem my też tam polecimy i z ramienia marynarki przejmujemy śledztwo. W zasadzie sprawa będzie na tym etapie zakończona. Jeśli nasze szkopy się spiszą, dostaną to, co im obiecaliśmy, nie powinno być z tym większych kłopotów. Zresztą większość roboty w Europie jest już zrobiona. Niektórych już nawet nasi ludzie przetransportowali do amerykańskiej strefy. No rusz się tą landarą, bo nie mogę przejechać. – To ostatnie było skierowane do kierowcy ciężarówki tarasującej przejazd.

White, przywykły do zwyczajów kolegi, nie zwracał uwagi na takie nagłe przerywniki.

– Została nam w takim razie jeszcze robota papierkowa. I jak znam życie, ja się mam tym zająć.

– A jak na to wpadłeś? – Smitch uśmiechnął się złośliwie. – Tylko pamiętaj, tak jak ustaliliśmy. Pozycję wraku U-530 zmieniasz o dobry kawałek. Jeśli chodzi o dziennik okrętowy USS Bartona, to już się tym zająłem, tak byś nie narzekał, że tylko ty siedzisz w papierach. Jutro nasza ekipa wypływa na wrak U-Boota. Mam nadzieję że będzie tam to, o czym mówił kapitan Wermuth.

\*\*\*

Dziewiątego lipca o świcie, płynąc na silnikach elektrycznych, U-530 zawinął do bazy argentyńskich okrętów podwodnych w Mar del Plata. Wywołał tym wielką konsternację Argentyńczyków, tym bardziej że niemiecki okręt został zauważony praktycznie dopiero wtedy, gdy zaczął manewrować w porcie. Gospodarze natychmiast internowali całą załogę, powiadamiając też o zdarzeniu ambasadę amerykańską. Rozpoczęły się przesłuchania załogi i kolejne inspekcje okrętu. Po trzech dniach do Mar del Plata przyjechali przedstawiciele władz amerykańskich. Byli to oczywiście kapitan White i major Smitch. Dalej wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Załoga U-Boota przez kolejny miesiąc była przesłuchiwana przez wywiad argentyński, ale pod nadzorem Amerykanów, którzy tak naprawdę kierowali całą sprawą. Ładunek znaleziony na pokładzie U-530 został zajęty przez władze argentyńskie jako depozyt. Co do jego dalszych losów raczej nie było wątpliwości. Zresztą Amerykanie nie naciskali w tej sprawie, ich interesował tylko okręt i załoga. Po kolejnych kilku tygodniach jedno i drugie zostało przekazane marynarce USA.

– Kapitanie Wermuth, dziękujemy za współpracę. – Tym razem rozmowa prowadzona była niemal w przyjacielskiej atmosferze w biurze wywiadu marynarki w Fort Lauderdale. Major Smitch starał się grać rolę dobrego gospodarza.

– Mam nadzieję, że nasza umowa będzie dokończona. – Niemiecki oficer nie dawał się zwieść Smitchowi – Ja i moi ludzie czekamy na konkrety, a tych nadal nie widać.

– Ależ, kapitanie, nie wierzy pan w słowo amerykańskiego oficera? – Smitch jak zwykle fałszywie się uśmiechnął. – Tak jak obiecywaliśmy, wasze rodziny już są w naszej strefie okupacyjnej. Wkrótce będziecie mieli z nimi kontakt. Jednak, tak jak mówiłem, pan i pańska załoga musicie na razie pozostać w Stanach. Powiem uczciwie, nie wiem, jak długo, ale jakiś czas to potrwa, a potem zobaczymy, może jeśli będziecie chcieli, wasi bliscy będą mogli przyplłynąć do USA. Na razie proszę się cieszyć wolnością.

– Pan chyba żartuje! Jaką wolnością? Jesteśmy zamknięci na terenie waszej bazy. – Wermuth nawet nie ukrywał narastającej złości.

– Ale możecie się po niej swobodnie poruszać i co chyba najważniejsze, żyć. – Tym razem major Smitch był bardzo poważny. – Chyba dla pana nie powinno być zaskoczeniem, że tego typu akcje często kończą się usuwaniem niewygodnych świadków. My zrobiliśmy inaczej. Możecie żyć u nas; za jakiś czas, pod nową tożsamością, będziecie całkowicie wolni. Nawet, tak jak mówiłem, wasze rodziny będą mogły przyjechać do Stanów. Kiedyś już panu wspominałem, że Wuj Sam potrafi być wdzięczny. Proponuję toast za lepszą przyszłość.

Smitch wzniosł w górę szklaneczkę, a niemiecki kapitan po chwili wahania do niego dołączył.

---

[2] komandor porucznik

WSPÓŁCZEŚNIE

# 12

Ken z trzaskiem zamknął laptopa. Tym samym narażając się na gniewne spojrzenie bibliotekarki, siedzącej za biurkiem w czytelni Submarine weapons of the Second World War Institute w Fort Lauderdale. Stara panna – co do tego Ken nie miał najmniejszych wątpliwości – przez dłuższy czas patrzyła na niego karcącym wzrokiem. Choć zbliżała się do czterdziestki, sposób ubierania, zachowanie i przede wszystkim spojrzenie wymownie o tym świadczyły.

„Szkoda – pomyślał odruchowo. – Całkiem niebrzydka, gdyby się inaczej ubrała i zmieniła tę minę nieakceptującej mężczyzn feministki. Kto wie...”. „Kurczę, jesteś żonaty” – skarcił się szybko w myślach.

Uśmiechnął się nieśmiało w ramach przeprosin, co chyba zostało przyjęte, ale do końca nie mógł być pewien tego aktu łaski.

Mimo wszystko zdecydował się podejść do jej biurka. Odczekał stosowną chwilę, by raczyła go zauważyć, delikatnie chrząknął i zapytał:

– Czy to są wszystkie akta dotyczące USS Bartona?

– Oczywiście! Nie myśli pan chyba, że mogłabym się pomylić w zamówieniu i coś pominąć?

– Ależ nie, oczywiście. – Ponowny potulny uśmiech miał złagodzić kolejną niezamierzoną gafę. – Chciałem się tylko upewnić.

– A czego dokładnie pan szuka? – Bibliotekarka Aurelia Cavendish, jak przeczytał na plakietce z nazwiskiem, postanowiła okazać trochę przychylności i wspaniałomyślności, zwłaszcza że ten speszony mężczyzna podobał jej się już



od samego wejścia do czytelni. Jednak oczywiście nie dawała tego po sobie poznać.

– Dokładnie akt z maja 1945 roku i materiałów o działaniach bojowych w rejonie południowych Bermudów. Czytałem, że doszło tam do starcia z niemieckim okrętem podwodnym, który został zatopiony przez nasz niszczyciel.

– To jest wszystko, co posiadamy w naszych zasobach. Jeśli czegoś brakuje, to albo nie zostało nam przekazane przez Navy, albo po prostu nie istnieje. – Spojrzała na niego z wyższością jak na niewiernego, który próbuje podważyć słowo objawione Stwórcy.

– Oczywiście chciałem się tylko upewnić. – Ken powrócił do pozy skruszonego petenta.

W tym momencie drzwi czytelni się otworzyły. Stanął w nich wysoki, sportowo, acz elegancko ubrany, śniady mężczyzna. Powiódł wzrokiem, szukając kogoś na sali. W końcu zauważył Kena stojącego przed biurkiem panny Cavendish. Śmiało ruszył w ich kierunku, z daleka obrzucając bibliotekarkę spojrzeniem, pod którym wiele kobiet miękło i traciło zdolność kojarzenia podstawowych faktów. Podobnie stało się z Aurelią Cavendish, choć jeszcze przed chwilą podobał jej się nieśmiały Ken. Teraz patrzyła na niego już tylko jak na natręta zawracającego jej głowę swymi mało istotnymi sprawami. W tym momencie widziała tylko przystojnego Latynosa, któremu gotowa była rodić dzieci, i to w miarę możliwości natychmiast. Ten szybko kojarząc fakty: skruszony Ken, prawdopodobna stara panna mająca absolutną władzę nad czytelnią archiwum i zapewne jakieś problemy, które robiła jego przyjacielowi. Przeszedł natychmiast w tryb „Jose uwodziciel”.

– Przepraszam, czy ten mężczyzna się pani narzuca? – Tu popatrzył na Kena i znów z czarującym uśmiechem spojrzał prosto w oczy panny Cavendish. Mrugnął przy tym do swojego przyjaciela i ponownie spojrzał na bibliotekarkę. Ta, szybko pojąwszy żart, obdarowała go jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

– Ależ nie. Tłumaczę tylko pańskiemu koledze, że nie posiadamy dokumentów, o które mu chodzi.

– Oczywiście. – Jose przejął sprawę w swoje ręce. – Ale gdyby była pani łaskawa jeszcze sprawdzić. Jestem pewien, że tak urocza osoba nie pozwoli, byśmy opuścili archiwum z poczuciem, że zapodziały się w nim jakieś akta. Oczywiście jestem w stu procentach przekonany o fachowości tutejszych pracowników, zwłaszcza płci pięknej.

– Postaram się, ale proszę na zbyt wiele nie liczyć. Przejrzę jeszcze nasze zasoby. Potrwa to jednak kilka dni. – Panna Cavendish przypomniała sobie o wadze swej roli w archiwum. Jednocześnie próbowała, bezskutecznie zresztą, sprawiać wrażenie, że jest odporna na uśmiechy i spojrzenia eleganckiego przystojniaka. – Niech pan przyjdzie ponownie w piątek, postaram się coś znaleźć. – To ostatnie zdanie było oczywiście skierowane do Josego, Ken dla Aureli Cavendish nie istniał już od dobrych paru minut.

– Och, dziękuję bardzo. Może potem poszlibyśmy na kawę, by omówić to, co uda się pani odnaleźć. Przepraszam za zbyt dużą śmiałość tej propozycji, ale przy pięknych kobietach tracę rozum. – Latynos uśmiechnął się czarująco, nie usiłując nawet ukrywać, że jego rzekome zakłopotanie jest tylko pozą.

– Skądże, jest pan bardzo miły. – Bibliotekarka w tej chwili gotowa była już na wszystko, byle tylko nadszedł piątek.

– Więc do piątku. Chodź, Ken, nie przeszkadzajmy już więcej. – Jeszcze raz uśmiechnął się do bibliotekarki, szturchnął zbaraniałego przyjaciela i obaj opuścili czytelnię.

– Ty! Jak ty to robisz? – Ken nie mógł uwierzyć, zresztą kolejny raz, w zdolności kolegi.

– O co ci chodzi? – zapytał Jose z miną niewiniątka. – To tylko odruchy, ty je straciłeś, ożeniwszy się. Ja jestem wolny, wiecznie młody i mam ten zwierzęcy magnetyzm, którego ty się pozbyłeś dziesięć lat temu.

Wśród ich paczki Jose praktycznie od zawsze uchodził za niepoprawnego podrywacza, wielbiciela szybkich motocykli i jeszcze szybszych pańienek. Jego wygląd, pochodzenie z zamożnej rodziny kubańskich emigrantów, świetna praca w korporacji raczej mu nie przeszkadzały w licznych podbojach.

– No dobrze, ale co zrobimy, jeśli nie będzie żadnych akt dotyczących bitwy koło Bahamów? – wrócił do tematu Ken.

– Nie wiem. Sam widziałeś numer na kiosku wraku U-530. A według niemieckich archiwów i oficjalnych danych ten U-Boot pod koniec maja dopłynął do Argentyny. A USS Barton zatopił U-Boota, jak się okazuje o tym samym numerze taktycznym. Dziwne, nie? Oficjalnie mamy dokumenty na ten temat, choć jak widać bardzo okrojone. No i tu ty wchodzisz do gry, w końcu jesteś zawodowym historykiem z przesławnego University of Central Florida w Orlando.

– Taa. Tyle że specjalizuję się w wojnie secesyjnej. Okej, nie o to chodzi. Wiem, jak szukać źródeł, jak je obrabiać i interpretować, ale nic nie zrobię, gdy mamy tak mało. Wprawdzie już parę lat temu natknąłem się na wzmiankę o potyczce USS Bartona z niemieckim okrętem podwodnym, ale są to tylko jakieś urywane fragmenty, a co jest w archiwum, to sam widziałeś. Jasne, to, co mamy, pozwoliło nam znaleźć wrak i trochę na nim ponurkować, choć dziwna sprawa z tym położeniem wraku innym niż w oficjalnych dokumentach. Jednak nadal niewiele wiemy, a czuję, że coś tu śmierdzi. Nie wejdziemy do wraku, o którym nic nie wiemy. Zresztą znasz Marka, on zawsze musi mieć dokładne dane, by minimalizować ryzyko. Sam wiesz, że pod koniec wojny Niemcy prawdopodobnie wywozili do Ameryki Południowej różne rzeczy.

– Tak, i w tym nasza nadzieja na zarobek, gdy odkryjemy we wraku coś fajnego.

– W porządku Jose. A jak to będą jakieś chemikalia, broń biologiczna albo inna wunderwaffe?

– Bez nerwów. Poczekamy do piątku, może nasza nowa przyjaciółka coś znajdzie.

– Chyba twoja. Od momentu, gdy się pojawiłeś, świat przestał dla niej istnieć. A tak swoją drogą, to nie bądź świnia i nie próbuj uwieść tej biednej kobiety. Z tego co wiem, gustujesz raczej w młodszych, szybszych i lepiej oddychających.

– Dobra, dobra, jak trzeba, to dla kumpli i sprawy się poświęcę. Teraz trzeba dać znać chłopakom, co załatwiliśmy i co znaleźliśmy w archiwum.

– My? Chyba ja, bo ty najpierw podrywałeś kelnerkę w barze, gdzie jedliśmy śniadanie, potem zniknąłeś z dwiema studentkami spotkanymi w holu, a do czytelnicy wbiłeś się na sam koniec.

– Jasne, ale jakie to było wejście! – Jose jak zwykle był niepoprawny, ale między innymi za to go lubili.

– Wracam do domu, bo mnie Ellen prześwięci, że się znowu spóźniam. Wieczorem zadzwonię do Marka i Paula, opowiem im, co zdziałaliśmy. A ty gdzie pomykasz? Wracasz do firmy?

– Nie, dzisiaj wziąłem wolne na nasze poszukiwania, a przy okazji jestem umówiony tutaj w okolicy.

Ken tylko westchnął i przewrócił oczami. Wiadomo, Jose!

Przyjaciele rozstali się na parkingu, Ken wsiadł do swojego rodzinnego vana, Jose – jakżeby inaczej – dosiadł swojego irona 1200, harleya-davidsona oczywiście!

Całą drogę powrotną Kena męczyła uparta myśl, że coś pominął albo – co bardziej prawdopodobne – czegoś nie skojarzył. Z jednej strony spieszył się do domu, wiedział, że żona, rodzina, ogródek (o w mordę, znowu trzeba kosić trawę), ale cały czas coś go wierciło w głowie. Jakaś informacja, którą kiedyś słyszał, a na którą nie zwrócił uwagi. Z jednej strony koledzy, hobby i nadzieja na jakiś dodatkowy zarobek, który znacznie by ułatwił codzienne życie. Z drugiej właśnie to codzienne życie, coraz bardziej go przytłaczające. I ta uparta myśl: „coś przeoczyłeś”. Kompletny mętlik w głowie, gonitwa myśli, jakieś pomysły, które przebiegają z szybkością błyskawicy i zaraz się je zapomina albo uznaje za bezsensowne. No i do tego oczywiście przeoczył zjazd z autostrady. „Kurna,

znowu się spóźnię” – ta myśl zaczęła dominować. Nagle błysk! Tak, to jest to! Przypomniał sobie! Stary Bob, albo jakoś tak, którego spotkał kiedyś dawno temu w barze na przystani. Ken zaczął sobie nagle przypominać poszczególne sceny, sytuacje, zdarzenia. Do tego stopnia się zapamiętał w przypominaniu sobie przeszłości, że zobaczywszy parking, natychmiast na niego skręcił.

Ich czwórka, ponad pięć lat temu, bar.

„Zaraz, jak on się nazywał? A zresztą nieważne. Ostatnia impreza z Markiem przed jego wyjazdem na kolejną turę do Afganistanu”.

Siedzą, piją, Jose zarywa panienki – norma. Zaczepia ich starszy facet, chyba były marynarz, chce drobne na drinka. Dostaje. Zaczynają go zagadywać. Opowiada o wojnie i o swojej służbie na... USS Barton! Bitwa, Barton obrywa, ale zatapia okręt podwodny. Po wszystkim wyciągają z wody paru rannych Niemców, w tym... dowódcę U-Boota!

A w oficjalnych danych, do których dotarł, było wyraźnie napisane, że okręt podwodny zatonął wraz z całą załogą i nikogo nie uratowano. Dalej napisano, że USS Barton wrócił do portu na naprawy. To ostatnie by się zgadzało. Ken poczuł się jak bohater. Skojarzył to, co go męczyło.

Godzinę później był już w domu, właśnie o tę godzinę spóźniony. Nic jednak nie mąciło jego dobrego nastroju, ani mina Ellen, ani jak zwykle kłójące się o coś latorośle. Był, przynajmniej w swoich oczach, bohaterem, który teraz czekał tylko na wieczór, by zadzwonić do Marka i Paula. A na razie musiał zostać jeszcze bohaterem trawnika i kosiarki, ale nic to, da radę!

# 13

Panna Aurelia Cavendish wracała do domu po pracy, jednak pierwsze kroki po wyjściu z archiwum skierowała do Woolwortha. Jej współlokator, kot Samba, miał bardzo określone gusta i nie jadał byle czego. Po krótkich zakupach mogła wreszcie ruszyć do domu. Jej ulica w ciągu ostatnich lat przeszła głęboką metamorfozę. Z nieciekawej bocznej uliczki stała się jedną z najbardziej reprezentacyjnych lokalizacji w całej dzielnicy. Po części stało się tak za sprawą jej stryja Larsa Baumerta, bardzo sprawnego przedsiębiorcy budowlanego. Jej dom też o tym świadczył, był co prawda nie największy, ale bardzo starannie wyremontowany, wyposażony we wszystkie możliwe wygody. Stryj Lars bardzo dbał o nią i oczywiście o babcię, której teraz był jedynym synem. Aurelia zawsze była mu za wszystko wdzięczna, za pomoc i opiekę.

Gdy wracała pamięcią do swoich pierwszych lat, zawsze widziała siebie, gdy była wożona w wózku po nieutwardzonej, rozjeżdżonej drodze, którą stale sunęły ciężarówki z materiałami budowlanymi, a którą nieliczni mieszkańcy nazywali po prostu ulicą Nową. Swój obecny wygląd i pełnoprawną nazwę ulica zyskała dopiero w latach, gdy Aurelia chodziła do liceum. Szkolny autobus zatrzymywał się wtedy u wylotu ulicy i wiózł uczniów do szkoły. Aż potrząsnęła głową, by oderwać się od ciągłych wspomnień. Zatrzymała się przed swoim domem, wyjęła z samochodu torbę z zakupami i weszła do środka. Na podłodze tuż za drzwiami leżała koperta bez adresu i znaczka, jedynie z podpisem na odwrotnej stronie „Hanne G”. Stary Samba, ocierając się o jej nogi, zaprowadził Aurelię do pustej miski stojącej obok kuchennej lodówki.

– Już, już. Zaraz dostaniesz. Kupiłam ci u Woolwortha świeżutką wątróbkę drobiową. No poczekaj chwileczkę. Samba! – Aż tupnęła nogą. – Przecież mówię, zaczekaj chwileczkę.

Rozpakowała zakupy i nałożyła na koci talerzyk kilka kawałków wątróbki. Samba natychmiast przysiadł obok niego, Aurelia zaś mogła się zająć resztą zakupów. Poukładała wszystko dokładnie na swoich miejscach z wręcz denerwującą pedanterią. Gdy to skończyła, rozległo się ciche wołanie z pokoju z widokiem na mały, bardzo zadbane ogród.

– Adi! Aduś, kochanie. Proszę, przyjdź. Muszę chwilę побыć z tobą.

– Już idę, babciu.

Weszła do pokoiku, a za nią Samba, który natychmiast wskoczył na tapczan i rozłożył się obok babci Ewy.

– Słucham cię, *oma*.

– Jak ja strasznie lubię, kiedy tak do mnie mówisz. Nie jakieś tam *großmutter*.

– Babuniu! Może chcesz coś zjeść? A właśnie. Była twoja opiekunka?

– Była, a jakże. Nakarmiła mnie, dostałam swój zastrzyk. Potem jeszcze chwilę posiedziała i porozmawiałyśmy, później musiała już iść. Po chwili usłyszałam, że wróciłaś, nie mogłam już się doczekać i cię zawołałam.

Aurelia nawet nie tłumaczyła, że meksykańska opiekunka Antonina zadzwoniła do niej zaraz po wyjściu od babci. Taką miały obie umowę, co prawda kosztowało to pannę Cavendish sto dolarów za dwa tygodnie, ale w jakiś sposób była przez resztę pracy w archiwum uspokojona, że z babcią jest wszystko w porządku.

Jeśli to słowo „uspokoiła”, pasowało do stanu zdrowia i wieku frau Baumert. Z rozmowy telefonicznej Aurelia dowiedziała się, że babcia jest już, jak mawia zawsze Antonina, *tu abuela ya esta bañada*[3]. Wprawdzie Aurelia doskonale wiedziała, że szumna nazwa „wykąpana” nie miała nic wspólnego z codziennym wycieraniem starszej pani wilgotnym ręcznikiem, ale cóż. Taka jest proza życia, wytłumaczyła sobie wnuczka.

– Mam do ciebie prośbę, babciu. Czy mogłabyś jeszcze chwilkę poczekać? Samba dostał jedzenie, ale chciałabym sobie też coś przygotować.

– To ty jeszcze nic nie jadłaś?

– Jadłam drugie śniadanie u marynarzy, ale to było ponad pięć godzin temu.

– U marynarzy?

– Babciu kochana, w archiwum.

– Ach, rzeczywiście, stale zapominam, że ty ich tak nazywasz.

– Przecież to są prawdziwi marynarze, co prawda większość już w co najmniej średnim wieku, ale jednak marynarze. Bardzo niewielu cywili takich jak ja pracuje w „Submarine weapons of the Second World War Institut” Fort Lauderdale.

– Prawdziwi to byli...

– Wiem, wiem. Niech babunia nawet nie kończy.

– Dobrze, dobrze, kochanie. Idź coś zjedz. A może i mnie byś coś przygotowała?

– A co byś zjadła, babciu?

– Może być ten twarożek z ziołami... czekaj no, czekaj. Jak on się nazywa? A zresztą zrób mi tylko bawarki. Nic mi tak nie umiła wieczoru jak bawarka pita niespiesznie małymi łykami.

Aurelia włożyła do mikrofalni hermetyczne opakowanie pieczonego udka kurczaka z frytkami. Młody Meksykanin w fast foodzie, gdzie zazwyczaj kupowała gotowe posiłki, znał już doskonale pannę Aurelię i jej ulubione potrawy. Raz był to pieczony kawałek kurczaka, innym razem placki ziemniaczane polewane słodkim sosem na bazie syropu klonowego, a w piątki befsztyk w ostrym sosie. Gdy wyjęła tackę z mikrofalni, jej wzrok padł na kopertę leżącą na kuchennym blacie. Rozerwała ją i zaczęła czytać.

*Guten Tag liebe Adolo...*

Przypomniała sobie o babci. Szybko zrobiła bawarkę i zaniósła do jej pokoju. Samba czekał na otwarcie drzwi i ledwo je uchyliła, kocur tylko przemknął koło



jej nóg i zniknął w kuchni. Aurelia przysłoniła okno by popołudniowe słońce nie raziło babci, poprawiła przykrycie i cicho zamykając drzwi, chciała wyjść z pokoju.

– Już zjadłaś? To siadaj obok.

Nie miała wyjścia. Musiała! To był jakiś taki wewnętrzny nakaz. Usiąść i wysłuchać po raz chyba tysięczny opowieści o tym, jak w nocnym bombardowaniu runął babciny świat. Jeszcze piętnaście lat temu tych opowieści musiała wysłuchiwać jej mama, córka babci. Ale któregoś dnia przed drzwiami domku stanął policjant i beznamiętnym tonem oznajmił, że pani Rut i William Cavendishowie ponieśli śmierć w wypadku na autostradzie. Po jakimś czasie Aurelia dowiedziała się, że jej rodzice zginęli, gdy wracając z kilkudniowego wyjazdu, zostali rozjechani przez wielką wojskową ciężarówkę, która zjechała ze swojego pasa na autostradzie, przecięła pas zieleni i staranowała samochód jej rodziców.

Co prawda uznano, że wypadek nastąpił w efekcie nagłej awarii układu kierowniczego, ale Aurelia i tak wiedziała swoje. To było fatum, które prześladowało jej rodzinę jeszcze od czasów, gdy babcia mieszkała w Europie. Babciną opowieść o śmierci jej przodków podczas bombardowania Hamburga przez Anglików i Amerykanów znała na pamięć. Musiała stale wysłuchiwać o jakiejś straszliwej burzy ogniowej, która przyniosła śmierć setkom tysięcy hamburczyków.

– Nad czym tak, kochanie, rozmyślasz? Usiadłaś i nawet nie odpowiadasz na to, co mówię. Dopiero gdy ścisnęłam ci dłoń, jakbyś się obudziła. Cóż takiego przytrafiło ci się w tej twojej pracy?

– Nic, nic, babciu. Wróciły mi w pamięci twoje opowiadania o domu dziecka, gdzieś prawie w Belgii. Znów miałam przed oczyma dziadka, gdy stanął przed tobą, wspierając się na kuli. Miał na sobie garnitur... Nie, oczywiście, że pomyliłam, to był przecież jego mundur wojskowy, połatany, gdzieniegdzie naddarty i pozbawiony wszelkich insygniów wojskowych.

– Masz dobrą pamięć, wnusiu. A mówiłam ci, że ja się w nim zakochałam od pierwszego spojrzenia? Dziadek był starszy, ale z twarzy nie schodził mu uśmiech. Wyobraź sobie, że jego oczy śmiały się cały czas.

Babcia wróciła do nocy, gdy zawałił się jej wojenny, ale szczęśliwy rodzinny świat. Znów wspominała kilkupokojowe mieszkanie w pobliżu jednego z kanałów Hamburga. Pamiętała matkę, gdy się nad nią pochylała, i ojca, który ilekroć wychodził do pracy, całował ją w czoło i mówił: *Auf wiedersehen, meine Liebe* – Żegnaj, moje kochanie. Jednak najbardziej pamiętała strach, kiedy obce samoloty zaczęły bombardować jej dzieciństwo. Pamiętała ojca, jak zawinął ją w kilka koców i zbiegł do piwnicy. Potem była czarna pustka. Ocknęła się, gdy ktoś wyciągał ją z piwnicy w ruinach domu i podawał kobiecie ubranej w brudny i miejscami zakrwawiony fartuch. Usłyszała wtedy, choć nie rozumiała, o co chodzi, zadane pytanie: *Jemand anderes blieb dort?*<sup>[4]</sup> I usłyszała krótką odpowiedź: *Nein*. Dopiero po latach dowiedziała się, że jej mama zginęła wtedy wraz z młodszą o cztery lata siostrą Klementyną.

Przymknęła oczy, a pod powiekami znów przesuwały się obrazy przeszłości. W dwa dni po bombardowaniu zapakowano dziewczynki do wielkiego autobusu i przewieziono do podhamburskiego miasteczka Harmsdorf. Zebrano je wszystkie w sali gimnastycznej nieczynnej szkoły i pozostawiono bez opieki. Rano przychodziła otyła kobieta w brudnoszarym fartuchu, i każda dziewczynka dostawała duży kawał chleba posmarowany białym margaryną, a do ręki cebulę, którą musiała sama sobie obrać. W rogu sali stał na jakiejś szafce wielki gar z herbatą, choć częściej trafiała się ciepła woda, w której pływały jakieś kawałki kawy zbożowej. Nie wolno było wychodzić przed budynek, bo jak mówili dorośli: „Zobaczą was Anglicy albo Amerykanie, przylecą i zbombardują. Jak wasze domy w Hamburgu”.

Z tamtego domu pamiętała tylko jedno. Brak rodziców. Nocami płakała i wołała, żeby wreszcie przyszli. Od chwili, gdy wyciągnięto ją z zasypanej gruzem piwnicy, była cała obolała. Leżała w łóżku, a ból dość długo nie mijał. Upłynęło sporo czasu, nim któregoś wieczoru przyszli jacyś ludzie i zaczęli

wyganiać wszystkie dziewczynki przed szkołę. Była tak przerażona, że nawet płacz nie przychodził. Po dłuższej chwili przyjechała wojskowa ciężarówka i odwiozła je na dworzec kolejowy. Wtedy właśnie spotkała Inge, córkę Hannelore Geuknigh. Była niewiele starsza od umorusanej Ewy Moser. To wtedy zostały przyjaciółkami na dobre i złe. Przytuliła się do Ingi tak kurczowo, że pielęgniarka nie mogła jej oderwać. Po chwili przyszedł jakiś mężczyzna w takim samym mundurze, jaki nosił w pracy jej tata. Bo tatuś był kolejarzem. To od niego usłyszała, że *eisenbahner* – kolejarz Friedrich Moser najprawdopodobniej zginął podczas bombardowania, bo do chwili obecnej nie pokazał się w pracy.

Wszystkie dziewczynki zapakowano do paru przedziałów i pociąg ruszył. Jechały trzy dni, wreszcie kazano im wysiąść. Usłyszała wtedy, że są w Geichlingen.

– Od dziś to będzie wasz dom – powiedziała Hannelore Geuknigh, bo wasze domy zostały zbombardowane.

To wtedy dowiedziała się, że jej rodziców zamordowali Anglicy. Zresztą, jak mówiła Hannelore, tamtej nocy Anglicy zamordowali także rodziny innych dziewczynek.

– Trzeba przyznać, wnusiu, że los nas bardzo doświadczył w czasie wojny. Pamiętasz przecież, wielekroć opowiadałam skrawki moich wspomnień. Co prawda jeszcze nigdy nie opowiadałam o moim mężu Jurgenie. Był ode mnie o wiele starszy. Urodził się w roku 1903 w miejscowości Torn, a właściwie tuż obok, w Kleindorfie. W czasie pierwszej wojny światowej stracił nogę. Tak się złożyło, że był dozorcą w szkole, do której przywieziono mnie po bombardowaniu. Gdy wojna się zakończyła, Jurgen zabrał mnie z sobą. Miałam wtedy osiem lat. Pojechaliśmy do jego rodzinnego domu, ale stamtąd musieliśmy wyjechać, bo Posen stał się jakimś polskim miastem. Zamieszkaliśmy pod Würzenbach, aż wreszcie wyjechaliśmy do Ameryki.

Babcia przerwała swoje wspomnienia. Przez chwilę w pokoju panowała przytłaczająca cisza. Słyszać było tylko miarowy, lekko świszczący oddech

śpiącej babci. Aurelia wstała i wyszła, cicho zamykając drzwi. W kuchni wróciła do czytania listu.

*Guten Tag liebe Adolo!*

No tak! Nagłówek mówił sam za siebie. Tak mogła napisać tylko tante Hannelore Geuknigh. Napisać? Aurelia się uśmiechnęła. Przecież ciotka Hannelore miała prawie sto lat. Nawet nie wstawiała z łóżka. Więc list mogła napisać w jej imieniu jedynie wnuczka. Zaczęła czytać dalej:

*Cóż się z Tobą dzieje? Już tak dawno się nie widziałyśmy. My tutaj czujemy się bez twojej obecności, jakby fale wyrzuciły nas na obcy, wrogi brzeg.*

Ech, ta kochana cioteczka. Jak ona uwielbia te przenośnie, odwołania do myśli wielkich poetów.

*Kochanie! – czytała dalej. – Najbliższy czwartek to sto jedenasta rocznica urodzin naszego ukochanego wujka. Gdyby żył, obchodziłby magiczną liczbę swych urodzin. Wyobraź sobie: sto jedenaście lat. Liebe Adolo. Czekamy na ciebie z niecierpliwością. Oma Kristine upiecze wspaniałe ciasto, a ja ugoszczę cię bawarką, jaką pamiętasz z dzieciństwa. Pamiętaj! Za dwa dni będzie rocznica urodzin naszego duchowego opiekuna. Więc czekamy, a tak przy okazji: już od tygodnia czeka na ciebie zaklejona koperta z jakąś dość grubą zawartością. Na odwrocie są tylko dwie litery – OH.*

Kobieta odłożyła list, usiadła przy kuchennym stole, głowę podparła dłońmi i zanurzyła się we wspomnieniach.

Samba wskoczył jej na kolana, przerywając rozmyślenia. Pogłaskała kota, a ten zeskoczył i stanął koło miseczki z wodą, a właściwie na wodę, bo miseczka była sucha. Nalała wody z kranu i odstawiła na miejsce. Odruchowo spojrzała na talerzyk. Był nie tylko pusty, ale i dokładnie wylizany. Sięgnęła do torebki z wątróbką i położyła mały kawałek na kocim spodeczku.

Zostawiła Sambę zjadającego swój smakołyk, weszła do swojego pokoju i zapisała dzisiejszy dzień, posiłkując się karteczkami wyjętymi z torebki. Zawsze wtedy pytała sama siebie, po co temu komuś takie informacje, ale ponieważ płacił

za te notatki bardzo dobrze, więc jedynie czasami dziwiła się, czy kwoty, którymi jej tę przysługę wynagradzał, w jakiś sposób mu się zwracały.

Zupełnie inaczej miała się sprawa, gdy pan AH podał jej spis kilkunastu niemieckich okrętów podwodnych z drugiej wojny światowej. Zajęło jej to trochę czasu. Musiała odnaleźć w dziale bibliotecznym jak najwięcej informacji o tych okrętach. W trakcie szperania w zasobach biblioteki zorientowała się, że wszystkie jednostki z otrzymanego wykazu są wrakami. Zapytała o to zamawiającego, ale on odpowiedział, że o tym wie.

– Najbardziej mnie interesują dane o czasie i miejscu zatopienia tych U-Bootów – wyjaśnił. – Proszę również o informacje, czy jacyś ludzie z ich załóg uratowali się lub zostali uratowani.

Zadanie wykonała z niezwykłą starannością. Zapłata za tę pracę przeszła jej oczekiwania. Wtedy w domu otrzymane pieniądze przeliczyła kilkakrotnie i za każdym razem było tego o wiele więcej niż pensje odebrane za półroczną pracę w „Submarine weapons of the Second World War Institute”. Tym razem w swoim notatniku zapisała wszystkie informacje dotyczące dwóch mężczyzn, którzy w dniu dzisiejszym pytali się o U-Boota nr U-530. Jeden z nich, niezwykle przystojny Latynos, był czarujący, poprosił ją nawet o kolejne spotkanie za parę dni, by dalej szukać danych o U-530, ale też zaproponował wyjście na kawę.

Gdy już obaj wyszli, panna Aurelia wpisała ich nazwiska do wyszukiwarki. Tam znalazła podstawowe dane o ich służbie, jej przebiegu i czasie. Dowiedziała się, że służyli w jednostce ratunkowej Navy, byli tam nurkami. Dotarła też do nazwisk dwóch pozostałych marynarzy z ich sekcji i wiedziona przecuciem te nazwiska również zanotowała. Sprawdziła, jak długo trwała ich służba i kiedy odeszli do cywila; jeden z nich przeniósł się do jednostki specjalnej Navy SEALs. Całość wraz z numerami ubezpieczeń dołączyła do notatki dla pana AH.

„Będę szła na czwartkowe spotkanie, to zostawię kopertę u Hannelore Geuknigh”. Poczula się troszkę zmęczona. Do swojego ulubionego, wiecznie powtarzanego serialu *Beverly Hills 90210* – spojrzała na zegar – miała jeszcze prawie półtorej godziny.

---

[3] Tu abuela ya esta bañada (hiszp.) – Twoja babcia jest już wykąpana.

[4] Jemand anderes blieb dort? (niem.) – Czy ktoś tam jeszcze został?

# 14

– Co ty mówisz? Jaki stary marynarz? Jaki bar? – Jose nie mógł nic skojarzyć, w końcu minęło ponad pięć lat.

– Zaufaj mi, dobrze pamiętam, kiedy to było i co mówił ten gość – nie dawał za wygraną Ken.

Siedzieli w fotelach ogrodowych na tarasie nad basenem w domu Paula, który, jak przystało na gospodarza, krzątał się przy stekach i hamburgerach. W końcu było sobotnie popołudnie i wypadało je spędzić zgodnie z tradycją, przy grillu u przyjaciół. No, przynajmniej od paru lat takim tradycjom hołdowali Ken i Paul. Pozostali członkowie ekipy też czasami się na to godzili, nie chcąc, by ich przyjaciele całkiem skapcianieli i utonęli w domowym ciepełku. Te spotkania odbywały się niestety dość rzadko. Winili o to przede wszystkim codzienne życie, które sprawiło, że mieszkali rozrzućeni po całej Florydzie.

Na razie brakowało jeszcze Marka. Co było nietypowe, bo to właśnie on był najbardziej z nich wszystkich punktualny. Wręcz fanatycznie, nawyk z wojska, który czasami doprowadzał między nimi do spięć, zwłaszcza gdy Jose się spóźniał. No bo kto inny?

Tymczasem dzieci piszczwały, hałasowały i robiły zamieszanie, pluskając się w basenie. Ellen i Gina plotkowały o czymś w kuchni, przygotowując ostatnie sałatki.

Ken z grubym notatnikiem w ręce tłumaczył ostatnie odkrycie Kubańczykowi. Jednocześnie domagając się od niego informacji na temat jego piątkowego spotkania z panną Cavendish.

Sobotnia popołudniowa sielanka. Słońce świeciło, odbijając się w wodzie basenu. Lekka bryza przyjemnie łagodziła popołudniowy skwar. A nad tym wszystkim unosił się delikatny posmak nadchodzącej wyprawy i może czegoś jeszcze, trudnego do określenia, ale podniecającego, dającego przyjemny dreszczyk emocji. Może jeszcze czegoś, o czym nie wiedzieli?

Pierwsze sukcesy już odnieśli, zwłaszcza Paul i Ken. Udało im się przekonać małżonki do wspólnych wakacji na morzu i nurkowania w krystalicznych wodach Bahamów. Co prawda groziły im trochę upały i opady, ale za to w lipcu zawsze słabiej wiało, co było dla nich najważniejsze.

Wreszcie odezwał się dzwonek przy drzwiach i po chwili na taras wszedł Mark. Wysoki, ogorzały, wysportowany. Widać było po nim, że jest cały czas w formie, choć podobnie jak oni wszyscy miał blisko czterdzieści lat. Cała ich czwórka nieźle się trzymała, przynajmniej się starali. Jednak siedzący tryb życia pomału dawał o sobie znać, zwłaszcza u Kena i Paula. Ściągał haracz w postaci coraz większego podtatusienia obu przyjaciół. Mark, emeryt wojskowy, choć w jego przypadku słowo „emeryt” było raczej eufemizmem, po odejściu z wojska zajął się organizowaniem wypraw nurkowych dla zblazowanych Amerykanów chcących przeżyć przygodę, często przygodę życia. Dzięki temu mieli dostęp do pełnomorskiej łodzi, która w czasie wypraw stawała się wygodną bazą nurkową. Zresztą takie było jej przeznaczenie.

– Nareszcie jesteś. – Jose choć raz mógł się nacieszyć, że to nie on się spóźnił i może prawić wymówki.

– Nie podniecaj się tak, amigo, spóźniłem się, bo załatwiałem sprawy między innymi dla was wszystkich. – Mark nie przejął się uwagami Josego.

– Co pijesz? Whisky, dzin, piwo? Bo chyba nie lemoniadę? – Jako dobry gospodarz Paul wyrósł przed Markiem, jednocześnie ściskając na powitanie jego prawicę.

– Może być Coors, jeśli masz. – Pewne rzeczy się nie zmieniały, a zwłaszcza upodobania Marka. Piwo oczywiście było, jak zwykle w małej butelce i zimne, tak



jak trzeba. – Mam coś dla was. – To mówiąc, podał wszystkim foldery, które do tej pory trzymał w ręce. Były na nich zdjęcia i dane na temat luksusowej łodzi pełnomorskiej.

– Ale wypas! – nie wytrzymał Ken, gdy tylko rzucił okiem na zdjęcia. – Nie mów, że stać cię na to cacko.

– Jasne, że nie na nową, ale znalazłem dojsie do gościa, który sprowadza takie używane łodzie z Europy. Ma całkiem dużą firmę, zajmuje się nie tylko sprzedażą, ale również przystosowuje jachty do wymagań klientów. No i pozostała tylko wizyta w banku, kredyt, i już go mam. Nic wam wcześniej nie mówiłem, bo nie chciałem zapeszyć. Teraz musimy coś wyciągnąć z wraku, bo raty kredytu mnie zarzną. Ale spoko, mówcie lepiej, co wy załatwiliście. – Tu spojrzał się na Kena i Josego. – Ken, mówiłeś coś przez telefon o swoim olśnieniu i jakimś starym pijusie z baru. Ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć tego faceta.

– Jasne, że nie mogłeś, bo pod koniec wieczoru, gdy już tradycyjnie uratowałeś Josego przed mordobiciem, wyjaśniając dwóm dość wrogo nastawionym gościom, gdzie ich miejsce, raczyłeś się naprać jak marynarz na przepustce. Musieliśmy cię zanieść do Paula, żebyś rano nadawał się jako tako do lotu do jednostki.

– A jak miałem się naprać? Nie jak marynarz? – Mark się roześmiał. W końcu był wtedy marynarzem, a dokładniej SEALsem.

– Panowie, dość tych kombatanckich wspomnień. Kolacja czeka. – Gina jako gospodyni czuwała nad wszystkimi. – Paul, wyciągaj razem z Kenem dzieciaki z wody i zapraszam wszystkich do stołu. – Dawało się odczuć, że lubi rządzić, w końcu miała nawyki z sali operacyjnej, na której to ona wydawała polecenia, a wszyscy musieli jej słuchać.

Po kolacji i obowiązkowej rozmowie trochę o niczym, trochę o wszystkim panowie wymknęli się do piwnicy Paula.

Miał tam specjalne pomieszczenie właśnie na takie spotkania. W centralnym punkcie stał stół bilardowy, dokoła niego miękkie fotele. Na ścianie wisiał wielki

telewizor wraz z koszmarnie drogim systemem nagłaśniającym oraz półki z mnóstwem płyt z muzyką i filmami. No i obowiązkowa lodówka ze stale uzupełnianym zapasem piwa. Jednym słowem: męski azyl, do którego żona Paula nawet nie chciała zaglądać, woląc nie wiedzieć, co się tam dzieje.

– No dobra, panowie, co wiemy? – Mark jak zwykle konkretnie przeszedł do zasadniczego tematu.

– Widziałem się wczoraj z Aurelią – zaczął Jose – i przestańcie tak przewracać oczami. Człowiek się poświęca i nawet grama zrozumienia. Otóż wyobraźcie sobie, że odkryła nieścisłości w dokumentach archiwalnych. Niektóre w ogóle nie zostały przekazane przez marynarkę do archiwum. Są tylko ogólne informacje, a dziennik okrętowy jest uszkodzony i brakuje w nim danych z części maja 1945 roku. Natomiast są wzmianki, i to z późniejszego okresu – tu spojrzął do notatek – z sierpnia 1945 roku. Mówią one o jakiejś operacji wydobywczej prowadzonej przez marynarkę w interesującym nas rejonie. Ale oczywiście są to tylko suche informacje, dotyczące głównie logistyki. Tyle i tyle zużytego mazutu, tyle i tyle zaopatrzenia i tak dalej. Czyli, panowie, coś jest na rzeczy. Bo jeden z okrętów biorących udział w tej operacji miał na pokładzie zespół nurków. Niestety nie mam nazwisk, zresztą po tylu latach pewnie i tak nic by to nie dało.

– Ja dotarłem do danych z Flensburga – zaczął Ken tonem wykładowcy; zboczenie zawodowe jednak dało o sobie znać.

– Czemu akurat z Flensburga? – zapytał Paul.

– Od czegoś musiałem zacząć. No i wyszło, że U-Boot o naszym numerze co prawda tam stacjonował, ale ponad rok wcześniej. Potem tajemniczo znika i nie ma go w żadnym wykazie.

– W takim razie co namierzyliśmy na dnie? – dociekał Paul.

– Może ktoś jeszcze piwa? Panowie? – Mark skupił się na razie na sprawach bardziej przyziemnych, licząc na to, że zimny browar potrafi rozjaśnić w głowach.

– Ja mogę chcieć. – Jose wyciągnął dłoń po oszroniałą butelkę.

– W takim razie co dalej robimy? – odezwał się Ken. – Nie będziemy przecież wchodzić na wrak, o którym nic nie wiemy. Zresztą już o tym rozmawiałem z Josem. Nigdy nie wiadomo, co na nim może być. Zwłaszcza na takim „tajnym” okręcie. Do tego jeszcze, panowie, dochodzi sprawa tych rozbitków wyratowanych rzekomo przez USS Bartona. No i sprawa wejścia U-Bootu z numerem U-530 do portu w Mar del Plata.

– Nie wiem, co dalej – zasępił się Mark.

– Moim zdaniem powinniśmy zanurkować i zobaczyć, co tam znajdziemy. – Paul był zwolennikiem prostych rozwiązań.

– Tego, szczerze mówiąc, najbardziej się boję. Nie wiem, na co tam natrafimy. Ten nieistniejący okręt, który nagle jest w dwóch miejscach naraz. Na dnie i w Argentynie. A właśnie: coś wiadomo o tym, co się działo w krainie tanga? Tak przy okazji, to kiedy nasz U-Boot się tam objawił?

– Z tego, co znalazłem w dokumentach, wynika, że dziesiątego lipca, czyli ponad dwa i pół miesiąca po zatopieniu U-Bootu na południe od Abaco Island – powiedział Ken.

– Dobrze, zanurkujemy i co dalej? – rozważał Mark. – Już go widzieliśmy w zeszłym roku, trochę podziurawiony, ale leży na równej stepce w jednym kawałku, i można by spróbować do niego wejść. Ale, panowie, samo nurkowanie niesie ze sobą ryzyko, a wejście do środka to już inna historia. Choć jeśli zrobimy to z głową, to może, podkreślam, może, się uda. Wiecie przecież, że też mi zależy na fantach z wraku. Zwłaszcza teraz, gdy mam na karku kredyt na nową łódź. Ale nie będziemy niepotrzebnie ryzykować, wchodząc na zupełnie nieznany wrak. Z tego, co mówicie, on staje się coraz bardziej nieznany.

– Jak myślisz, co może być na tym wraku? – spytał Jose.

– Kurna, tańczące syreny i trytony z wielkimi fallusami – zdenerwował się Mark. – A skąd mam wiedzieć? Może być wszystko, cała góra fajnych fantów na sprzedaż dla kolekcjonerów. Ale może też być jakaś pieprzona wunderwaffe. Choć po tym, co mówiliście o działaniach naszej marynarki, to raczej wrak jest

wyczyszczony. Ale z drugiej strony trochę wiem, jak działa marynarka. Do tego po wojnie nie skupiali się tak mocno na czyszczeniu wraków, więc może i coś zostało.

– To może jednak warto popróbować? – znowu zapalił się do nurkowania Paul.

– Ty to jednak masz w oczach same dolarówki – zripostował Ken.

– Może mam, ale fanty z wojny są modne i do tego w cenie. Zarobiona kasa mogłaby nam pomóc na co dzień i w planowaniu kolejnych wypraw.

– Okej, nurkujemy – zdecydował po chwili ciszy Mark. Jak zwykle, gdy chodziło o zejścia pod wodę, do niego należało ostatnie słowo. Wszyscy to akceptowali, zdając sobie sprawę z jego doświadczenia i umiejętności. – Ale musimy być dyskretni, dopóki nie zaczniemy działań na wodzie.

– A ty co znowu wymyśliłeś? – zdumiał się Paul. – Myślisz, że inni też chcą nurkować na naszym U-Boocie? Przecież znaleźliśmy jego wrak przypadkiem, a w danych marynarki jego pozycja jest podana z błędem.

– Jak to z błędem? – zdziwił się Mark. Jak dotąd nikt mu o tym nie wspominał.

– Nie mówiłem ci? – Ken też się zdziwił. – Okej, oficjalne informacje o walce i zatopieniu U-Bootu przez USS Bartona podają pozycję przesuniętą o ponad sto mil morskich w stosunku do naszego wraku.

– Więc może to jest jakiś inny?

– Nie sądzę, nie ma wzmianek o zatopieniu żadnego innego okrętu w tym rejonie, udokumentowano tylko pojedynek amerykańskiego niszczyciela. Zwycięski zresztą. No i do tego te numery burtowe, ten sam U-Boot w porcie w Argentynie, no i opowieść pijaczka z baru. Jak dla mnie to musi być nasz wrak, tyle tylko, że coś się koło niego dzieje. A to moim skromnym zdaniem potwierdza autentyczność i konieczność zanurkowania, żeby wszystko sprawdzić – zakończył Ken.

– Wiecie, co mi jeszcze chodzi po głowie? – Zamyślony Mark popatrzył po twarzach przyjaciół. – Pamiętacie ten galion, który wyciągnęliśmy dwa lata temu?

Zaraz po tym, jak odszedłem z wojska.

– Staram się zapomnieć – powiedział ze złością Paul.

– Dokładnie. Kiedy sobie przypomnę, jak daliśmy się wtedy przekręcić, to krew mnie zalewa. Facet od nas odkupił, a jeszcze jakie wymagania miał, jak kręcił nosem. A potem okazało się, że NASZ galion poszedł na aukcji w Sotheby's za ponad dziesięć razy więcej, niż my zarobiliśmy. Jeszcze słyszę to gdakanie gościa, że musimy wyciągać artefakt w specjalnej skrzyni z wodą w środku, potem te wizyty rzeczoznawców. Jeszcze mną to telepie. – Ken aż zgrzytał zębami na wspomnienie wydarzeń sprzed dwóch lat.

– Trudno, panowie, zapłaciliśmy za naszą niewiedzę i brak doświadczenia, ale chodzi mi o to, że parę miesięcy temu ten sam gość znowu do mnie zadzwonił. Z propozycją odkupienia od nas nowych znalezisk, jeśli oczywiście będą. A telefon był po tym, jak znaleźliśmy U-Bobota. Gdy mu powiedziałem, że raczej nie przewidujemy robienia z nim dalszych interesów, zwłaszcza po przekręcie z galionem, tylko się roześmiał i powiedział, że tym razem zostaniemy potraktowani poważniej, a ludzie, których reprezentuje, są w stanie podejść bardzo konkretnie do problemu. Miał na myśli sprawy finansowe.

– Okej, ale na galionie i tak nieźle zarobiliśmy. Starczyło na zwrot kosztów i jeszcze sfinansowało nam wyprawę rok później – próbował łagodzić nastroje Jose. Wszyscy wiedzieli, że akurat w jego przypadku kwestie finansowe nie są najważniejsze. Miał więcej niż dobrze płatną pracę analityka w korporacji Barnett Capital Advisors, dodatkowo ciągnął też zyski z rodzinnego interesu, który prowadził jego brat Agustin.

– Chłopie, ale gdybyśmy to my sprzedali ten galion na aukcji w Londynie, dziś moglibyśmy zlecić marynarce wyciągnięcie zatopionego okrętu podwodnego i jeszcze by nam zostały drobne na opicie kolejnego sukcesu. – Wkurzenie Paula narastało. Z tym opłaceniem kosztów wyciągnięcia wraku przez Navy trochę przesadzał, ale nie za bardzo.

– Panowie, było minęło! Nie ma co teraz żałować. Daliśmy ciała, ale następnym razem nie pozwolimy się tak przekreślić – uspokajał Mark.

– No dobra, ale niby skąd tamci mają wiedzieć, że coś wyciągnęliśmy? Tym bardziej że trudno im oczekiwać, żebyśmy się palili do robienia z nimi interesów – zapytał Marka Ken.

– Właśnie, skąd?

– I co? Jak znajdziemy coś we wraku i nie będziemy chcieli im odsprzedać, to nas wymordują? – zachnął się Jose.

– Tak źle to chyba nie będzie. Po pierwsze: skąd będą wiedzieć, czy coś znaleźliśmy? Po drugie: dlaczego mają się interesować czterema nurkami amatorami staroci znajdowanych na dnie?

– Nie wiem, może ten telefon był przypadkowy, a może mają marinę pod obserwacją i ktoś im doniósł, że znowu wypłynęliśmy na nurkowanie i prawdopodobnie coś znaleźliśmy. Bo tak sobie myślę, że bez problemu można sprawdzić, gdzie schodziliśmy pod wodę. Takie info musimy przecież zostawić w kapitanacie wraz ze wszystkimi zgodami i kwitami. Do tego jeśli wiesz, w którym miejscu ktoś nurkuje i co tam może być, to dalej sprawa jest już prosta. W dodatku jak wróciliśmy, to impreza w barze na zakończenie nurkowania raczej cicha nie była. Prawda? – dalej analizował sprawę Mark.

– Faktycznie. Impreza była raczej huczna, jak to na zakończenie sezonu – wspominał z rozmarzeniem Paul.

– Dobrze, panowie, co z tym wszystkim dalej robimy? – Ken starał się być konkretny.

– Aby dokładnie spenetrować wrak, musimy najpierw bardzo dokładnie go poznać. Na oko jest to typ IX. Przynajmniej tak wygląda. Ale co jest w środku? – Paul jak zwykle przeskoczył z tematu na temat. Jeszcze przed chwilą był myślami na imprezie, kiedy to przetoczyli się jak burza przez kilka barów. A teraz już nurkował w imaginacji w lazurowej wodzie Bahamów, czuł jej ciepło i widział wrak wystający z dna niczym zaproszenie.

– Okej, zamiast dalej jójczyć i roztrząsać to wszystko, może ustalimy jakiś konkretny plan działania. Mamy jeszcze ponad miesiąc do wyprawy. Panowie, to nie będzie łatwe wakacyjne nurkowanie dla bogatych turystów. Tylko naprawdę skomplikowana akcja z wejściem do środka nieznanego wraku. – W Marku górę wziął zawodowiec i urodzony przywódca. Innym jakoś to nigdy nie przeszkadzało. Choć wszyscy mieli spore doświadczenie w zejściach pod wodę, to jednak zawsze Mark był ich nieformalnym szefem. Często wręcz na to czekali, bo dzięki temu mogli spokojnie podejmować konkretne działania.

– Ja i Jose zajmiemy się jeszcze raz archiwum i spróbujemy ustalić, o co z tym wszystkim chodzi. Jeden okręt w dwóch miejscach. Na dnie i w porcie. Zaczyna mnie to coraz bardziej intrygować. – Ken w końcu był zawodowym historykiem, grzebanie w archiwach, źródłach i dokumentach było dla niego rutyną. Josego po ostatnim występie w „Submarine weapons of the Second World War Institute” zaczął traktować jak maskotkę. Z drugiej strony doceniał jego wrodzoną umiejętność rozmawiania z kobietami. Jak wiadomo, to płeć piękna dominuje w obsłudze bibliotek i archiwów.

– Dobrze by było znaleźć też jakieś palny, a właściwie nie jakieś, tylko w miarę możliwości dokładny rozkład wewnętrznych pomieszczeń. Może by poszukać czegoś w sklepach modelarskich. Czasem są w nich materiały pokazujące bardzo szczegółowo poszczególne jednostki. No co się tak patrzycie? Jestem inżynierem i modelami zajmowałem się od dziecka, to chyba wiem. – Paul był zdziwiony spojrzeniami kolegów.

– Ty nadal bawisz się modelami? – Jose dziwnie popatrzył na kumpla.

– W porządku, to wiemy, czym się kto zajmie. Paul, ty obskoczysz sklepy modelarskie i strony w internecie. Ken i Jose biorą się za archiwa, no i lecą do Chicago. Tam w Museum of Science and Industry jest jedyny w Stanach zachowany U-Boot klasy IX C. Taki jak nasz. Ja postaram się pogadać z ludźmi z marynarki, w końcu do niedawna byłem jednym z nich i mam jeszcze jakieś znajomości. A w czasie służby nauczyłem się jednego. Niejednokrotnie coś, co ma

być tajemnicą, jest powtarzane przez wiele osób, które niekoniecznie muszą wiedzieć, że to tajemnica. – Mark dowódca znowu dał o sobie znać.

– A właściwie czego tak się obawiasz, Mark?

– Trochę wgrzyłem się w temat. Dowiedziałem się, że pod koniec wojny Niemcy swoimi okrętami podwodnymi wywozili różne rzeczy w różne strony świata. Porty docelowe były w Ameryce Południowej, na Dalekim Wschodzie. Podobno pływali też na Antarktydę. Do Japonii rzekomo dotarły szczegółowe plany niemieckiej broni atomowej. Przypuszczalnie też z Königsbergu pod koniec wojny wyszedł bardzo ciężko obładowany U-Boot z tajemniczym ładunkiem, dla którego pomieszczenia usunięto nawet część załogi. Wiadomo też, że więźniowie, którzy ładowali okręt, zaraz w porcie zostali rozstrzelani.

– Widzę, że nie tylko ja jestem od papierkowej roboty. – Ken się uśmiechnął.

– A co? Myślałeś, że taki prosty „płetwal” nie potrafi pogrzebać w informacjach?

– Ale czego się obawiamy? – znowu zaczął dociekać Paul.

– Boimy się nieznanego. Z jednej strony prawdopodobnie nasz wrak został już spenetrowany przez marynarkę. Jeszcze w 1945 roku. Ale z doświadczenia wiem, że mogli coś przeoczyć. Do tego zaraz po wojnie niekoniecznie mieli możliwości i często chęci, by dokładnie szukać. W razie czego, gdyby się okazało, że wrak jest wyczyszczony z tajemnic, to zawsze znajdziemy na nim jakieś zwykłe fanty. Nie wiem, widelce i łyżki ze znakiem Kriegsmarine, jakieś drobiazgi, dla których kolekcjonerzy wychodzą ze skóry.

– Ale nic, co jest związane z Trzecią Rzeszą, raczej nie jest do sprzedania oficjalnie. Pewnie musielibyśmy to spieniężyć w drugim obiegu. – Ken nie udawał nawet praworządnego obywatela, stwierdzał tylko prosty fakt.

– Jasne, ale chyba nikt nie ma z tym większego problemu? – Jose też miał raczej nieortodoksyjne podejście do przepisów obowiązującego prawa.

– A jeśli nic nie znajdziemy? – tym razem Paul próbował znaleźć słabą stronę przedsięwzięcia.



– Nic się nie stanie. Ponurkujemy, popływamy, wypijemy parę piw i życie będzie się dalej toczyć. Panowie, to w końcu nasze dodatkowe zajęcie, hobby. Zazwyczaj dokładamy do interesu. Raz nam się mimo wszystko nieźle udało. Choć nie przeczę, ja sobie trochę po tym wraku obiecuję. Bo jak nie, to będę w czarnej dupie, przynajmniej finansowej. Ale na razie nie ma co biadolić. Bierzymy się do przygotowań i miejmy nadzieję, że dobrze pójdzie. – Mark łyknął z kolejnej butelki, stawiając tym samym kropkę, zamykając temat.

# 15

Wracali do siebie, do Orlando. Każdy pogrążony we własnych myślach. Zresztą trudno było rozmawiać w pełnym samolocie o sprawach, które budziły w nich coraz większe zaniepokojenie. Miała to być przyjemna wycieczka do muzeum, skończyło się dziwnym uczuciem, że coś jest nie tak i ktoś ich obserwuje.

Ken parę dni wcześniej, korzystając ze starych kontaktów, odnalazł w muzeum w Chicago kolegę, z którym razem studiował historię. Nie była to jakaś zażyła znajomość, ale na początek miało wystarczyć. Zadzwonił, przypomniał się i umówił na piątek. Razem z Josem wyruszyli od rana z lotniska w Orlando. Lot do Chicago przebiegł bez żadnych sensacji, Jose jak zwykle szczyrzył zęby do stewardes. Nawet z pewnym sukcesem, bo pod koniec miał już numer telefonu do jednej z nich. Ken w tym czasie przeglądał papiery i notatki dotyczące „ich” U-Boota. Parę rzędów dalej dzieciak darł się wniebogłose, podawana kawa miała smak trudny do określenia, turbulencji nie było, samolot leciał gładko. Czyli normalny lot bez historii. Na lotnisku złapali taksówkę, która zawiozła ich do muzeum. Bob Owen przywitał ich w swoim biurze.

– Co was tak mocno interesuje w naszym okręcie podwodnym, że aż musieliście przylecieć z Florydy? – Bob, jak się okazało, pełnił w muzeum funkcję kustosa działu historycznego i od czasów studiów zmienił się w typowego przedstawiciela średniego szczebla administracji.

– Nic szczególnego. – Ken od początku postanowił za bardzo nie wnikać w szczegóły. – Razem z kolegą chcieliśmy napisać książkę o niemieckich okrętach podwodnych, no i wypadałoby choć z jednym dobrze się zapoznać.

– Okej. Panowie, nie ma problemu, jeśli chcecie, dostarczę wam trochę materiałów na temat U-505, który znajduje się w naszej ekspozycji. Jeśli macie ochotę, to możecie też spędzić w nim trochę czasu. Zamykamy o siódmej wieczorem, ale potem jeszcze przez dwie godziny w muzeum działają sprzątacze, więc swobodnie możecie posiedzieć w okręcie i dokładnie go pooglądać.

– Właśnie o to nam chodziło, Bob. – Ken z entuzjazmem przytaknął propozycji. Jose stał i tylko się rozglądał, jednocześnie próbował robić minę odpowiednią do statusu autora przyszłej publikacji naukowej.

– No to, panowie, zapraszam. Wybaczcie, ale mam teraz ważne spotkanie z przedstawicielem zarządu muzeum. Sami wiecie, zdobywanie funduszy na działalność jest jednym z najważniejszych zadań, którym muszę się teraz poświęcać. – Bob sprawiał wrażenie zajętego i jednocześnie bardzo ważnego pracownika muzeum. – Wejdźcie sobie na ekspozycję i wszystko dokładnie pooglądajcie. Tutaj macie przepustki dla gości, z którymi możecie wejść także do naszego archiwum, zaraz zadzwonię, by przygotowali wam dokumenty na temat naszego U-505. Z tymi przepustkami możecie chodzić po całym obiekcie i zostać te dwie godziny dłużej, o których mówiłem. – Wręczył im plastikowe karty magnetyczne z wyraźnym czerwonym napisem GOŚĆ.

– Dzięki, Bob. Gdy napiszemy już naszą książkę, nie zapomnimy w niej wspomnieć o życzliwości ze strony muzeum, a zwłaszcza twojej. – Ken uśmiechem starał się przykryć prawdziwy cel ich wizyty. Choć właściwie co do samego celu nie skłamał: chodziło im głównie o zapoznanie się z okrętem podwodnym.

Po wyjściu z gabinetu od razu udali się do sali, gdzie znajdował się U-Boot. Naprawdę robił wrażenie! Stał wielki i dostępny dla wszystkich chętnych. Po wejściu na pokład rozpoczynało się interaktywne zwiedzanie przepełnione dźwiękami, migającymi światłami i nawet trzęsącym się pokładem, który symulował wybuchy bomb głębinowych. Przez chwilę poczuli się faktycznie, jakby znajdowali się na okręcie atakowanym przez przeciwnika. Całe zwiedzanie i spektakl trwały około dwudziestu minut. Ken i Jose wyszli z okrętu, ale

odpuścili sobie kolejną wizytę, postanawiając poczekać do zamknięcia muzeum. Na razie zbyt wielu zwiedzających nie pozwalało się skupić na interesujących ich szczegółach. Chcieli też porobić zdjęcia, które potem pozwolą im zaplanować dokładnie eksplorację wraku. Na razie udali się do archiwum, gdzie ku rozpaczy Josego faktycznie zajęli się przeglądaniem dokumentów, zdjęć i planów poświęconych U-505. Jego niechęć do siedzenia w jednym miejscu pogłębiał fakt, że archiwista okazał się mężczyzną. Po paru godzinach przeglądania zdjęć, dokumentów i co najważniejsze planów okrętu, te ostatnie udało im się skopiować. Potem wybrali się na lunch do pobliskiej knajpki o nazwie „Salonica Restaurant”. Bufet w muzeum jakoś nie wzbudził ich zachwytu, za to greckie jedzenie było całkiem, całkiem, tym bardziej, że obsługa była typowo kobieca, co w Josem wyzwoliło prawdziwy entuzjazm.

– Nareszcie czuję, że jest okej. – Jose odsunął pusty talerz z wyrazem błogiego zadowolenia na twarzy.

– Tobie to do szczęścia potrzeba tylko pełnej michy i panienek – stwierdził z przekąsem Ken.

– Nie przesadzaj, aż taki skomplikowany nie jestem. Panienki wystarczą. – Jose jak zwykle był monotematyczny.

– Jednak musimy się trochę skupić na robocie, na razie mamy szczegółowe plany okrętu. Porównamy je z tymi, które załatwi Paul. Mam nadzieję, że jak to w każdej armii, Niemcy wszystkie okręty jednego typu budowali takie same. Jeszcze wieczorem porobimy szczegółowe zdjęcia wnętrza. Będzie tego trochę, dlatego ty zajmiesz się zdjęciami od rufy, ja od dziobu, i tak będziemy pstrykać aż do centrali na śródkręciu. Wrócimy ostatnim samolotem w nocy, ale chyba to ci nie przeszkadza? – Ken przejął „dowodzenie akcją”.

– Aj aj, sir. – Jose zamarkował salut. – A tak między nami, to nie uważasz, że ten gościu, który wszedł za nami do knajpy, za bardzo nam się przygląda? – Jose nie okazał się aż tak beużyteczny, jak mogłoby się wydawać.

Ken powstrzymał się od rozglądania, ale natychmiast stał się czujny. Wyobraźnia zaczęła mu zaraz podsuwać różne powody tej obserwacji. To, że są aż tak przystojni, odrzucił od razu. No, przynajmniej w swoim przypadku. Natychmiast przypomniał sobie to, co mówił im Mark o dziwnym telefonie od ich dawnego klienta.

– Dobrze, nie ma co kombinować, płacimy i idziemy, zobaczymy, co koleś zrobi.

Spojrzeniem przywołał kelnerkę i poprosił o rachunek. Zostawiwszy suty napiwek – jedzenie i obsługa były tego naprawdę warte – wyszli z greckiej knajpki. Pomału, spacerowym tempem ruszyli do parku, w którym położone było muzeum. Facet z restauracji wyszedł za nimi, ale wbrew oczekiwaniom skierował się w przeciwną stronę. Nie zauważyli tylko, że zaraz za rogiem wyjął telefon i krótko z kimś rozmawiał. Po powrocie do Museum of Science and Industry przez parę godzin snuli się po ekspozycji, czekając na zamknięcie. A potem, korzystając z przepustek, ponownie weszli na pustego już U-Boota i zaczęli robić telefonami zdjęcie za zdjęciem. Tuż przed dziewiątą wieczorem, gdy już mieli wszystkie potrzebne ujęcia wnętrza, wyszli z okrętu i znów zobaczyli tego samego faceta, który był z nimi w restauracji. Tym razem miał na sobie żółty kombinezon sprzątacza i z zacięciem godnym lepszej sprawy mył podłogę przy wyjściu z okrętu, cały czas zerkając w ich stronę. Kiedy już opuścili gmach muzeum, żegnając z uśmiechem nocnego strażnika, u którego zostawili swoje plastikowe przepustki, sprzątacznik znowu wyjął telefon i tym razem rozmawiał znacznie dłużej.

# 16

Spotkali się tym razem u Marka. Mieszkał w czymś pośrednim pomiędzy zwykłym domem a magazynem pełnym sprzętu do nurkowania. Bez wątplenia jednym z plusów tego miejsca było położenie niedaleko mariny, w której cumowała jego łódź i z której wypływał z turystami na nurkowanie.

Budynek udało się wynająć bardzo tanio. Był to stary magazyn, na dole Mark urządził coś w rodzaju biura, sklepu i jednocześnie składu pełnego sprzętu, na piętrze miał urządzony całkiem przyjemny loft. Żaden z przyjaciół nie podejrzewał przy tym kolegi o taki gust i umiejętności aranżacji wnętrz. Z jednej strony surowe ściany, elementy stalowej konstrukcji, szkło, a jednocześnie ciepłe, przytulne wnętrza wyposażone we wszelkie możliwe luksusy. Zwłaszcza kuchnia Marka, który odnalazł w sobie zamiłowanie do gotowania, była dobrze i przede wszystkim nowoczesnie wyposażona. Ściany pełne były zdjęć zarówno gospodarza z jego służby w różnych zakątkach świata, jak też ich czwórki sprzed blisko dwudziestu lat, kiedy poznali się w Naval Base San Diego w czasie szkolenia w jednostce Special Underwater Rescue Unit, która zajmowała się nurkowaniem i ratownictwem morskim.

Ken i Paul liczyli na to, że pięć lat służby umożliwi im potem studia, za które marynarka miała zapłacić. Jose, typowy lekkoduch, szukał przygody i możliwości wyrwania się z rodzinnego interesu, do prowadzenia którego razem z bratem był przygotowywany od dziecka. No a Mark, który już w liceum praktycznie nie wychodził z basenu, bijąc rekord za rekordem w szkolnej drużynie pływackiej, nie widział dla siebie innej przyszłości. Przynajmniej do momentu, kiedy podczas

służby w Special Underwater Rescue Unit nie zobaczył po raz pierwszy SEALsów. Przeszedł selekcję, BUD/S, będącą połączeniem przedsiönka piekieł z maszyną służącą do oddzielania mężczyzn od chłopców, w bazie marynarki w Coronado w Kalifornii, potem wszelkie konieczne kursy i szkolenia. Ostatecznie wylądował w 2 Team w Virginia Beach. Przez kolejne lata służył w tej legendarnej jednostce, często w miejscach, o których istnieniu wolałby nie wiedzieć. Po przejściu do cywila dalej związany był z morzem, założywszy firmę specjalizującą się w nurkowaniu w ciepłych wodach niedaleko Florydy i na Bahamach.

Ken oglądał zdjęcia wiszące na ścianach. Większość z nich świetnie znał i pamiętał, na wielu z nich był razem z pozostałymi przyjaciółmi.

– Słuchajcie, mam już trochę dość tych poszukiwań i grzebania w planach, dokumentach, archiwach. – O dziwo marudzącym okazał się Paul.

– A może byśmy po prostu zeszli do wraku i go sprawdzili? – natychmiast poparł go Jose.

– A ty co, już nie pamiętasz zasad? – Ken próbował studzić zapał kolegów.

– W końcu mamy doświadczenie, umiejętności. To co nam grozi? – upierał się Paul.

– No w mordę. Kurna, wszystko! – Tym razem Mark się wkurzył. – Panowie, za długo jesteście w cywilu. A nurkowanie kojarzy wam się już tylko z weekendowymi wyjazdami i zabawą w ciepłej wodzie. Nie pamiętacie, czego was uczył starszy bosman Parnell?

– Wiemy! Wiemy! – odpowiedziała chórem cała trójka. – „Są starzy nurkowie albo odważni nurkowie, nie ma odważnych starych nurków”.

– Właśnie, panowie. A ja bym chciał, żebyście byli kiedyś starymi nurkami.

Mark uśmiechnął się na wspomnienie starszego bosmana, gościa, który potrafił obrzydzić życie każdemu rekrutowi w szkole San Diego w Kalifornii, który dawał w kość niczym morowe powietrze. Jego skrupulatność i dbałość o szczegóły potrafiłyby zmusić świętego Franciszka do poważnego zastanowienia się nad korzyściami płynącymi z popełnienia morderstwa. Ale jednocześnie ci,

którzy ukończyli szkolenie nurkowe, a nie było ich podczas żadnego kursu zbyt wielu, na całe życie zostawali dobrymi nurkami.

– Mamy plany i zdjęcia. Mam nadzieję, że nasz U-Boot nie różni się bardzo od tego z Chicago – zaczął wyliczać Mark. – Dalej mamy plany modelarskie wygrzebane przez Paula, i one w zasadzie pokrywają się z tymi z muzeum. Różnice są drobne i nieistotne. Mamy wreszcie cały potrzebny sprzęt, nową łódź, no i umiejętności. Widzieliśmy już wrak z zewnątrz, włączy są pootwierane. Pytanie tylko, czy Niemcy czegoś w jego środku nie przebudowali.

– Nadal nie mamy pełnej wiedzy, co robiła tam w lipcu 1945 ekipa Navy. W ogóle to całe zamieszanie z pozycją wraku i to wejście U-530 do Argentyny. A przecież już nie mamy wątpliwości, że jego wrak leży na dnie – dodał Ken.

– Te telefony dawnego klienta od galionu. To, co widzieliśmy z Kenem w Chicago, ten koleś, co za nami łąził i potem nam się przyglądał. – Tym razem Jose zaczął mieć wątpliwości.

– A powtórzyły się te telefony albo ktoś wzbudził ostatnio nasze zaniepokojenie? – starał się uporządkować ostatnie wydarzenia Paul.

– Nie, nikt nie dzwonił. – Mark zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć, czy nikt za nim nie chodził w ostatnich dniach.

– U nas też spokój – odpowiedział Jose za siebie i Kena.

– Może jesteśmy przewrażliwieni? Albo koleś dali sobie spokój? – uspokajał Paul.

Po dłuższej chwili ciszy Mark podjął decyzję:

– Dobrze, panowie, ruszamy z tym interesem. Od siedzenia i biadolenia nic nam nie przybędzie i raczej też nic nie wymyślimy. Po prostu musimy być ostrożni i uważni nie tylko pod wodą. Na co dzień też. Teraz sprawy techniczne. Czy czegoś wam brakuje w sprzęcie albo coś nie działa?

Cała trójka pokręciła głowami. O co jak o co, ale o sprzęt do nurkowania każdy z nich dbał i zawsze starał się mieć wszystko w miarę nowe.



– Kolejna sprawa: wasze małżonki. – Tu zwrócił się do Paula i Kena. – Bardzo dobrze, że je namówiliście na wspólny wypad. Po pierwsze przestaną wam suszyć głowy, że zawsze jeździcie bez nich. Po drugie dziewczyny też potrafią pływać i nurkować. Nie mówię, żeby od razu schodziły na wrak, ale na górze musi zostać ktoś mający pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi. Jeśli popłyniemy sami, jeden z nas będzie musiał cały czas być na pokładzie. A coś mi się zdaje, że wszyscy czterej powinniśmy być pod wodą. Po za tym Gina jest lekarzem, a tego nie sposób przecenić. Jeśli nic nie znajdziemy i nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, będą to fajne wakacje na wodzie dla nas wszystkich.

– Gina już od dawna pytała, kiedy wybierzemy się razem na nurkowanie. A to może być świetna okazja. Poza tym trochę kręciła nosem, że znowu coś kombinujemy sami, bez niej. – Paul był zadowolony, że tym razem żona popłynie razem z nim.

– Ellen też jest zachwycona. Dzieciaki podrzucimy teściom, i wnuki, i dziadkowie się ucieszą. No i możemy płynąć. – Ken też był jak najbardziej zadowolony z pomysłu.

– A ja? – Jose zrobił minę skrzywdzonej niewinności. – Ja mam sam płynąć?

– Sam! – Mark zaczął się śmiać. – Ja też nie zabieram nikogo ze sobą.

– Tak, ale ty nie masz tylu znajomych lasek co ja – nie ustępował Jose.

– Spokojnie, ogierze, znajdziesz sobie jakąś nową w Marsh Harbour na Abaco Island. – Teraz to Paul uspokajał ze śmiechem „uczuciowego” Kubańczyka.

– Więc tym razem dziewczyny płyną z nami. Niech zobaczą, jakie to ciężkie zajęcie i że wcale nie przesiadujemy tylko w barach. A ich faceci są jednak trochę męscy – podsumował z uśmiechem Mark. – Kosztami jak zwykle dzielimy się po powrocie. Żarcie, paliwo, koszty portowe. Ja wszystko ogarnę, a potem się rozliczymy.

– Nie ma sprawy. Jak zwykle – odpowiedział za pozostałą trójkę Ken.

– No to co, panowie, widzimy się za tydzień tutaj, u mnie. Potem ładujemy wszystkie manele na łódź i ruszamy. Myślę, że tak jak planowaliśmy, dziesięć dni

powinno wystarczyć, byśmy coś wyciągnęli. – Mark zakończył ostatecznie dyskusję o planowanej wyprawie. – To teraz jeszcze raz podsumujmy, co mamy, co wiemy, a czego nam brakuje oraz jak działamy.

Ostatnie zdanie skwitował potrójny jęk. Wiedzieli, że trzeba się dobrze przygotować i być gotowym na nieprzewidziane. Ale wyniesione z wojska zwyczaje Marka, żeby dopracowywać wszelkie szczegóły, mocno dawały im w kość. Jednak kilkanaście lat życia w cywilu odcisnęło na nich swoje piętno. Taką skrupulatność w sprawach, które wydawały im się oczywiste, uważali za przesadę. Podświadomie wiedzieli, że tak trzeba, a skrupulatność może uratować im życie. Po paru jękach i westchnieniach skupili się, by powtórzyć wszystkie informacje, które były niezbędne.

# 17

Jose omal się nie przewrócił; był obładowany skrzynkami z prowiantem, które przeniósł z furgonetki na pokład ich morskiej bazy. Nowego jachtu Marka, noszącego nazwę Galion II. Powód potknięcia miał długie nogi, skąpe bikini i opalał się na jachcie zacumowanym przy sąsiedniej kei.

– Te, Romeo, uważaj, bo nie dość że zmarnujesz nasze zapasy, to jeszcze sobie zęby wybijesz i żadna nie będzie cię chciała. – Ken, który odbierał od Kubańczyka skrzynki, nie mógł sobie darować odrobiny złośliwości.

– Dobra, dobra. To wina celibatu, który mi narzuciliście. Nie mogłem zabrać ze sobą żadnej dziewczyny, to muszę sobie na miejscu jakoś radzić. – Jose nadal przeżywał to, że wyruszał na morze sam.

– Jakiego celibatu? – Mark, który właśnie wyszedł z kabiny, nie mógł zrozumieć biadolenia kolegi. – Z Majami wypłynęliśmy dwa dni temu, a ty jęczysz, jakbyś spędził co najmniej rok w klasztorze.

– Dla prawdziwego mężczyzny dwa dni to więcej niż rok. – Latynos uniósł dumnie głowę i spojrzał z wyższością na kolegów. Obydwaj pokręcili tylko głowami, za bardzo się jednak nie przejęli marudzeniem przyjaciela.

– To dwie ostatnie. – Paul wniósł po trapie dwie skrzynki z zapasami. – Panowie, kończymy i idziemy na jakiś obiad. Nasze dziewczyny chyba już się za nami stęskniły w tym portowym barze. Jose, niezła foczka, ta na jachcie obok. Co masz taką minę?

– Nasz Adonis zdaje się nadal przeżywa, że nie może zabrać na pokład jakiejś panienki. – Mark skwitował uśmiechem urażoną minę Kubańczyka.

– W porządku, dość tego marudzenia. – Tym razem Ken starał się skupić na konkretach. – Jemy i wypływamy, prognoza jest super, morze ma być spokojne, przenocujemy na wodzie i jutro od rana zaczynamy zabawę.

– *Aye, aye, capitan.* – Mark stanął na baczność, pozostali zamarkowali salut.

– No co? Chciałem, byście się skupili na robocie. – Ken był trochę skonsternowany.

– Dobra, wyskakujemy z łodzi, szukamy dziewczyn i idziemy coś zjeść – zakomenderował Mark.

W Angler's Restaurant & Bar jedzenie było niezłe, towarzystwo międzynarodowe. Większość stanowili turyści, którzy zjawili się na Abaco Island, by ponurkować w ciepłych i przejrzystych wodach Bahamów. Jak zwykle w takich miejscach, byli i brzuchaci ojcowie rodzin, którzy na siłę próbowali udowodnić swoim dzieciom i żonom, że jeszcze całkiem nie zramoleli, i trochę umięśnionych przystojniaków, ci z kolei przyjechali tu raczej na inne łowy, i paru biznesmenów z młodszymi wersjami swoich żon. Czyli typowa mieszanka kurortowo-portowa. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch blondynów siedzących z boku sali. Sprawiali wrażenie zapatrzonych w siebie gejów na potajemnym weekendowym wypadzie. Problem w tym, że nie byli na tajnej schadzce, tylko w pracy, i wcale nie byli gejami, choć za takich chcieli uchodzić. Rozmawiali po angielsku, jednak ktoś z czułym uchem wyczułby lekki akcent. Raczej z Europy. Choć sprawiali wrażenie całkowicie pochłoniętych rozmową i zapatrzonych w siebie, faktycznie przede wszystkim rejestrowali, co robi szóstka śledzonych od wczoraj ludzi.

Ci ostatni nie zdawali sobie z niczego sprawy, cieszyli się nadchodzącą przygodą i pomału szykowali się do wyjścia z restauracji.

– To jak, jeszcze czegoś nam brakuje czy możemy już wypływać? – Mark kierował to pytanie przede wszystkim do Giny i Ellen, co do kolegów nie miał wątpliwości, że po zapakowaniu ostatniej zgrzewki piwa ich potrzeby były w zupełności zaspokojone. Może z wyjątkiem Josego, ale to była inna sprawa.

– Możemy ruszać, kapitanie – odpowiedziała za wszystkich Gina.

– Okej, paliwo, prowiant mamy. Sprzęt sprawny. Teraz tylko trochę szczęścia, i wszyscy będziemy zadowoleni. Panie i panowie, to zaszczyt dla mnie, że wypływamy razem. – Mark tradycyjnie przejął dowodzenie ich grupą.

Po rzuceniu cum wolno wyprowadził siedemnastometrowy biało-czarny jacht z portu. Łódź prezentowała się świetnie. Zaprojektowana na wzór trawlerów, posiadała niemal pionowe burty, co znacznie poprawiało przestronność wnętrza. Choć używana, po kapitalnym remoncie i przerobiona na potrzeby wycieczek nurkowych mieściła siedem osób w luksusowych warunkach. Była też przystosowana do odbywania naprawdę dalekich rejsów morskich, posiadała całe wyposażenie niezbędne do turystycznego nurkowania. Dodatkowo jacht wyposażono w sonar, podwodnego drona z kamerą i wszelkie nowinki, które ostatnio pojawiły się na rynku. Mark był dumny ze swojego nowego nabytku, choć czuł też lekki niepokój. Raty były naprawdę spore i po nadchodzącym nurkowaniu wiele sobie obiecywał. Ani Mark, ani nikt inny nie zauważył, że za nimi z portu wyszedł jacht co prawda dużo mniejszy, ale też pełnomorski. Za jego sterem stał jeden z blondynów, którzy cały czas im się przyglądali podczas obiadu.

Nie płynęli daleko, pozycję znali już od zeszłego roku, zaledwie parę mil morskich od brzegu i co najważniejsze – na stosunkowo małej głębokości. Za pomocą dokładnego systemu nawigacyjnego Mark określił ich pozycję i odpalił kolejną nową zabawkę, dokładny sonar, który rozpoczął przeszukiwanie dna. Sprawa była stosunkowo prosta: znając pozycję na wodzie, nie mieli większych problemów z odnalezieniem wraku. Teraz przyszła kolej na podwodnego drona z kamerą, który miał się przyjrzeć „ich” U-Bootowi. Nie musieli się przejmować innymi nurkami, miejsce, w którym zakotwicyli, było poza zainteresowaniem firm turystycznych i nurków amatorów. Abaco Island słynęło głównie z nurkowania w podwodnych jaskiniach, a większość nurków wolała nieco płytsze wody po przeciwnej stronie wyspy. To, że znaleźli w zeszłym roku wrak okrętu podwodnego, było czystym przypadkiem. Tradycyjnie eksplorowali wody mało uczęszczane przez amatorów nurkowania. Co prawda marzył im się wrak starego

galeonu, ale zatopiony U-Boot, i to w niezłym stanie, wzbudził w nich prawdziwy entuzjazm.

– Jest! – Ken nie krył radości. Wszyscy skupili się przed ekranem, na którym wyświetlał się obraz podwodnego robota.

– I chyba od zeszłego roku nic się na nim nie zmieniło. – Paul, który sterował dronem, był skupiony i bardzo uważny. Z jednej strony nie chciał uszkodzić robota, ale z drugiej chciał się dokładnie przyjrzeć miejscu ich jutrzejszego nurkowania. W świetle reflektorów wrak prezentował się okazale. Widać było na nim uszkodzenia zadane w czasie walki, no i oczywiście czas też odcisnął na nim swoje piętno. Jednak mimo to nadal był w niezłym stanie. Chociaż morze już pomалу zaczynało go przejmować w swoje władanie. Różne gatunki ryb, które gnieździły się we wraku, sprawiały, że miejsce tętniło życiem. Choć nadal robiło spore wrażenie, raczej z tych groźnych.

– Wygląda trochę strasznie. – Gina skrzywiła się z niepokojem. – Będziecie na siebie uważać. – To nie było pytanie, tylko ostrzeżenie. – Wiem, wiem, jesteście zawodowcami, a przynajmniej kiedyś byliście. – Uśmiechnęła się przeprasząco. – Ale nie zniosę, jeśli któremuś coś się stanie.

– Spokojnie, kochanie. – Paul odwrócił na chwilę wzrok od monitora i spojrzał na żonę. – Wiesz, że nie zrobimy nic głupiego, Mark nam na to nie pozwoli.

– Jasne, przypilnuję ich wszystkich. Zresztą chyba nie są tacy źli w te klocki. – Mark, choć nie odrywał wzroku od monitora, poczuł się w obowiązku uspokoić obie dziewczyny. – Opłynij jeszcze raz właz za kioskiem i daj zbliżenie. Przez niego chcę wejść do środka.

– A dlaczego nie przez kiosk, od razu byśmy byli w centrali? – Jose lubił proste rozwiązania.

– Bo musielibyśmy się przeciskać przez kolejny właz i cały kiosk. Tył wydaje się łatwiejszy do wejścia.

– Też mi się tak zdaje – poparł Marka Ken. – Zresztą z tej zejściówki za kioskiem i tak jest niedaleko do centrali. Musimy wziąć mniejsze butle, by się ze

wszystkim pomieścić, będzie tam dość ciasno.

– Jasne, już to wszystko omówiliśmy. Wszystko nagrałem, wyciągamy drona, bo kończą mu się baterie. Po kolacji jeszcze raz sobie to wszystko obejrzymy i omówimy. – Paul zaczął manipulować sterownikiem, by wynurzyć robota.

Wieczór zszedł im na ponownym omawianiu planu nurkowania, kolejnych kroków i działań, które mieli podjąć pod wodą. Zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie na nich czekały. Wiedzieli, że tylko dokładne planowanie oraz trzymanie się zasad i procedur zminimalizują niebezpieczeństwo, które i tak zawsze towarzyszyło tego typu przedsięwzięciom. Nikt nie marudził, wszyscy byli skupieni i poważni, nastrój udzielił się też małżonkom Kena i Paula. Przy czym one w odróżnieniu od swoich facetów czuły coraz większy strach. Do tego stopnia, że Mark, który czuwał nad wszystkim i wszystkimi, w pewnym momencie zakończył omawianie nurkowania. Nie chciał, by żony przyjaciół wpadły w niepotrzebna panikę. Co prawda obie też nurkowały i znały zasady, było to jednak nurkowanie amatorsko-rekreacyjne. W efekcie takie bardziej skomplikowane zejścia były dla nich czymś zupełnie obcym i groźnym. Dlatego, gdy zorientował się w nastrojach pań, natychmiast zmienił temat i starał się rozluźnić atmosferę. Ale i tak w nocy nie wszyscy na jachcie spali spokojnie. Jeszcze przed świtem Gina i Ellen spotkały się w mesie i przy kawie wzajemnie usiłowały się przekonać, że zbliżające się nurkowanie będzie tylko rutynowym zanurzeniem w ciepłych wodach Bahamów. Nie mogąc już spać, postanowiły przygotować śniadanie dla wszystkich. Zapachy unoszące się z kuchni zadziałały na chłopaków znacznie lepiej niż wszystkie inne próby budzenia.

– Nie mogę cię zrozumieć, Ken. – Ellen była niemal obrażona. – My z Giną nie śpimy całą noc, denerwujemy się, czy nic się nie stanie, a ty i twoi koledzy spaliście, jakby od tego zależało zbawienie całego świata. Gdyby nie śniadanie, trudno byłoby was wywlec z łóżek.

– Ależ, drogie panie. – Jose jako specjalista od płci pięknej podjął się wytłumaczenia sytuacji. – Przecież jesteśmy na wakacjach, na pięknej łodzi, pogoda wspaniała, woda ciepła i przejrzysta, czym się denerwować? A i jeszcze

niektórzy z nas mają przy boku swoje piękne ukochane. W takiej sytuacji można spokojnie spać i śnić o podwodnych sukcesach. – Jak zwykle potrafił rozbroić dziewczyny i wywołać ich uśmiechy.

– Coś mnie ominęło? – Mark wyszedł z łazienki jeszcze zaspany.

– Nic takiego, dziewczyny trochę panikują, Jose je kokietuje, pyszne śniadanie stygnie – zameldował Ken.

– Gina, Ellen, naprawdę wszystko będzie w porządku. Nic nie ma prawa się stać, oni naprawdę potrafią nurkować. Zresztą obiecuję przypilnować wszystkiego i ich oczywiście też. – Mark zawsze wzbudzał zaufanie, potrafił uspokoić swoim opanowaniem i profesjonalizmem.

– Wiecie co, tak się zastanawiam, dlaczego ten jacht już drugi raz nas okrąża.

– Paul od jakiegoś czasu nie uczestniczył w porannych przekomarzeniach, tylko stał z lornetką na mostku jachtu i obserwował morze.

Biały jacht, co prawda w znacznej odległości, ale powoli robił wokół nich już drugie kółko. Na jego dziobie stał mężczyzna i przyglądał im się przez lornetkę. Gdy się zorientował, że Paul robi to samo, przestał się patrzeć i zniknął w kabinie, po chwili jacht powoli zaczął zmieniać kurs. Mark podszedł do radaru, by oznaczyć i śledzić ich niespodziewanego towarzysza. Po chwili rzeczywiście zobaczyli, że jacht zmienił kurs i z coraz większą szybkością odpływa w kierunku Abaco Island.

– W porządku, pewnie nic takiego, jakiś ciekawski żeglarz. – By dodatkowo nie denerwować dziewczyn, swoje podejrzenia Mark zostawił dla siebie. – To co, jemy? Czeka nas intensywny dzień. Tak jak się wczoraj umówiliśmy, podpłyniemy nad wrak i zakotwiczymy. Dziewczyny z pokładu będą nas asekurować, a my postaramy się najpierw obejrzeć wrak z zewnątrz, a potem, jeśli to będzie możliwe, ja i Jose wchodzimy do środka. Ken i Paul asekurowają nas z zewnątrz. Myślę, że parę godzin na wszystko wystarczy. W końcu jesteśmy na wakacyjnym wypadzie, mamy czas i nie ma co się spinać. Zresztą Ellen i Gina pewnie też by chciały popływać i ponurkować, więc popołudnie będzie tylko



czystym pływaniem dla przyjemności. I nawet gdybyśmy znaleźli we wraku samego Hitlera – uprzedził pytanie Paula, który już unosił brwi, by się wtrącić; zawsze był najbardziej napalony na eksplorację wraków i zawsze trzeba było go hamować – to będzie musiał poczekać do jutra z wyciągnięciem.

Śniadanie minęło w sympatycznej, rozluźnionej atmosferze, o którą starali się zadbać wszyscy. Mark tylko po jakimś czasie niby mimochodem sprawdził na radarze pozycję ich porannego gościa, jednak ten był już praktycznie w poracie w Marsh Harbour. Znacznie go to uspokoiło, choć pewien niepokój pozostał.

Po omówieniu po raz ostatni szczegółów nurkowania rozpoczęli przygotowania do zejścia pod wodę.

– I na koniec pamiętajcie: sikamy do pianki, plujemy do maski, nigdy odwrotnie. – Ken z udawaną powagą dawał wszystkim ostatnie wskazówki.

– My też mamy założyć pianki? – Gina zastanawiała się nad ich rolą w asekuracji nurkowania.

– Nie powinno być żadnych problemów, ale na wszelki wypadek tak. Przygotowałem też wasz sprzęt. Teraz raczej się nie przyda, jednak po południu będzie jak znalazł. – Mark jak zwykle myślał o wszystkim.

– Kto mnie zapnie od tyłu? – Jose, szamocząc się z pianką, zadał legendarne pytanie. Wywołał tym salwę śmiechu. Sam zresztą zorientował się po chwili, o co chodzi, i też zaczął się śmiać.

– Na mnie nie licz. Żonaty jestem. – Paul pomimo odmowy po chwili złapał zapinkę zamka błyskawicznego na plecach przyjaciela i dopiął jego piankę.

– Wszystko wygląda w porządku, sprzęt sprawdzony, każdy wie, co ma robić, łączność działa. – Mark po raz ostatni obejrzał i sprawdził wszystko. – Wskakujemy, panowie. – Podeszedł na krawędź rufowej zejściówki, pierwszy wskoczył do wody i się zanurzył.

W tej chwili w całej czwórce zaszła widoczna zmiana. Natychmiast stali się skupionymi profesjonalistami, zdającymi sobie sprawę ze swoich umiejętności i ewentualnych niebezpieczeństw. Gina z Ellen nie mogły się nadziwić, że

chłopcy, na co dzień żartujący, często zachowujący się jak duże dzieci, za jakie zresztą często uważały swoich mężów, nagle stali się zupełnie inni, totalnie skoncentrowani i skupieni na celu. Nie mogły pojąć tej zmiany, tym bardziej że w życiu codziennym nawet skoszenie trawnika bywało dla nich znacznym problemem i wyzwaniem.

Woda była ciepła i przyjemna, światło słoneczne bez problemu przebijało się przez czyste wody oceanu. Powoli schodzili coraz głębiej. Ostrożnie, tak by zachować wszystkie zasady nurkowania na większych głębokościach. Pomimo pewnego napięcia wszyscy czterej czuli ogromną radość z nadchodzącej przygody. Liczyli też po cichu na znalezienie ciekawych fantów, na które w bardziej materialny sposób przełoży się przyjemność z nurkowania.

Po dotarciu do wraku podzielili się na dwie pary; zabezpieczeni linkami asekuracyjnymi Mark i Jose wpłynęli do środka. W świetle latarek zobaczyli od razu rumowisko przedmiotów, pozostałości rzeczy osobistych marynarzy, fragmenty wyposażenia okrętu, płataninę rur, buty, jakieś miski, porcelanowy kubek stojący od ponad siedemdziesięciu lat na półce, tak jakby ktoś go tam zostawił przed chwilą. Pozrywane z uchwytów koje, na jednej z nich nadal leżały szczątki niemieckiego marynarza. Kolejne buty. „Zadziwiające, jak dobrze zachowują się na wrakach buty” – przemknęło przez głowę Markowi.

Ogólnie wewnątrz sprawiało bardzo przygnębiające wrażenie. Dodatkowy upiorny efekt tworzyły ostre, przenikliwe światła latarek podwodnych. Potrafiły wyczarować z ciemności różne upiorne kształty, które po bliższym przyjrzeniu stawały się banalnymi rzeczami, kolejną płataniną rur, zbitym wskaźnikiem, połamanym stołem nawigacyjnym. Na razie dwaj nurkowie milczeli, nie chcąc naruszać panującej ciszy. Zresztą obaj byli pod wrażeniem cmentarzyska, które ich otaczało. Wiedzieli już, jak wyglądają wraki pod wodą, spotykali na nich ludzkie szczątki, spodziewali się ich także tutaj, jednak wewnątrz U-Booty było tak przytłaczające i przygnębiające, że w pewnym sensie ich to zaskoczyło. Już od wielu lat nie wchodzili do żadnego wraku. Owszem, widzieli w czasie służby w San Diego różne wraki, nieraz wydobywali z nich zwłoki marynarzy, ale teraz

było inaczej. Żaden z nich nie potrafił nazwać tego, jak się czuje ani co jest z tym miejscem nie tak. Jakaś przejmująca groza i podświadome przekonanie, że coś tu jest. O to im chodziło, w końcu byli poszukiwaczami może nie skarbów, ale na pewno podwodnych ciekawostek, jednak po paru minutach spędzonych we wraku, nadal bez słowa, Mark pokazał Josemu, że pora wracać. Spenetrowali część wnętrza, dotarli do centrali pod kioskiem, zbadali sąsiadujące z nią pomieszczenia. Oczywiście na tyle, na ile się dało bez jakiejś większej ingerencji w podwodne rumowisko. Mark zabrał ze sobą znaleziony kubek z emblematem Kriegsmarine, Jose znalazł podobny, udało mu się też podnieść leżący na podłodze zegar wielkości sporego budzika. Był zachowany w zadziwiająco dobrym stanie. Na sam koniec porobili jeszcze trochę zdjęć, które miały im posłużyć do dalszej eksploracji wraku. Dopiero teraz Mark odezwał się po raz pierwszy:

– Okej, panowie, wypływamy z wraku.

– No nareszcie. Milczeliście, już zacząłem się niepokoić. – Głos Kena, wprawdzie nieco zniekształcony przez specjalną maskę umożliwiającą komunikację głosową pod wodą, był rozpoznawalny. – Czemu nic nie mówiliście?

– Wszystko opowiemy na powierzchni, teraz musimy rozpocząć procedurę wynurzenia. Z czasem stoimy nieźle, ale nigdy nic nie wiadomo.

Cała czwórka powoli zaczęła wykonywać czynności związane z wynurzeniem z pięćdziesięciometrowej głębokości. Musieli być szczególnie sumienni i dokładni, jeśli chcieli uniknąć śmiertelnie niebezpiecznego zagrożenia związanego ze zbyt szybkim wynurzeniem.

Gdy się wynurzyli i dopłynęli do pomostu zamontowanego na rufie łodzi, zobaczyli przede wszystkim ulgę na twarzach Giny i Ellen. Obie ubrane w pianki, z akwalungami w zasięgu ręki, sprawiały wrażenie gotowych do natychmiastowej pomocy, gdyby cokolwiek się stało. Paul zdjął maskę, uśmiechnął się do żony, chcąc ją choć w ten sposób nieco uspokoić. Ken, widząc zaniepokojenie na twarzy Ellen, też zaczął się szczerzyć i żartować. Szybko udało im się załagodzić napięcie obu małżonek. Cała czwórka zaczęła się też na wyścigi przekrzykiwać

i opowiadać o swoich wrażeniach z pobytu na wraku. Paul i Ken cały czas spędzili na zewnątrz okrętu, asekurując przyjaciół, ale i oni mieli co opowiadać. Nawet udało im się znaleźć leżący na stanowisku armaty przeciwlotniczej celownik, który był w całkiem niezłym stanie i mógł wzbudzić zainteresowanie kolekcjonerów.

– Nie jest źle. – Mark był zadowolony z pierwszego zejścia do wraku. – W środku na pewno coś znajdziemy. Na początek przyjrzelśmy się, jak to wszystko wygląda, porobiliśmy trochę zdjęć. Pierwsze, co się rzuca w oczy, to panujący chaos, prawda, Jose?

– Tak, i jeszcze to przygnębiające odczucie. Nie wiem, czy miałeś podobne wrażenie, ale ja jakoś dziwnie się czułem.

– Cóż, chyba źle podeszliśmy do problemu, wydawało nam się, że to będzie jak kolejne nurkowanie na powierzchni wraku, tak jak było z tym galeonem parę lat temu. Tutaj jednak weszliśmy do środka, i te szczątki wyposażenia, gdzieś tam ludzkie szczątki, to jednak robi wrażenie.

– No i dodatkowo widać w niektórych miejscach, że już ktoś tam był. Widać uprzątnięte miejsca w centrali i w innych pomieszczeniach, zwłaszcza w kierunku dziobu. To chyba ślady pracy tej ekipy nurków z Navy zaraz po wojnie.

– Też mi się tak wydaje, ta eksploracja musiała zostać przeprowadzona bardzo dawno temu. Później chyba nikogo na wraku nie było.

– Teraz to chyba należy nam się po piwku. – Paul, jak zwykle pragmatyczny, stał z zimnymi butelkami w ręce.

– Oczywiście, panie Paul. – Mark aż zatarł ręce; spędziwszy tyle czasu pod wodą, czuł pragnienie.

Zdjęli pianki i popijając kolejne piwa, zajęli się przede wszystkim porządkowaniem sprzętu i przygotowaniem go do następnego nurkowania. Jednak stare nawyki wyniesione ze służby w marynarce brały górę.

Popołudnie, aż do wieczora zgodnie z zapowiedzią spędzili jak typowi turyści. Spuścili na wodę ponton z silnikiem zaburtowym i jak wcześniej obiecali, bawili

się z dziewczynami, nurkując na płytszych wodach.

Po zachodzie słońca w wyśmienitych nastrojach usiedli z drinkami w rękę, by oglądać i analizować zdjęcia, które Mark z Josem zrobili we wnętrzu wraku. Planowali też kolejny dzień nurkowania. Teraz wszyscy mogli zobaczyć, jak wygląda U-Boot w środku. Ujęcia może nie były doskonałe technicznie, ale bez problemu dało się dostrzec różne szczegóły i detale. Choć wszyscy wiedzieli już z opowiadań dwóch nurków, jak przedstawia się wnętrze i jakie robi wrażenie, zobaczenie go na własne oczy pobudziło wyobraźnię. Zwłaszcza Ellen i Gina były mocno zaintrygowane, wręcz oszołomione widokiem. Wszędzie chaos, plątanina sprzętów, rur, jakichś nierozpoznawalnych fragmentów. Do tego szczątki członków załogi. Naprawdę mocne ujęcia! Gdy opadły pierwsze emocje, przyszedł czas na spokojną analizę tego, co widzieli, i planowanie kolejnego nurkowania. Oglądali zdjęcia już po raz kolejny, gdy nagle Gina zwróciła uwagę na regularny kształt wyłaniający się spod rumowiska nierozpoznawalnych szczątków.

– Co to jest? – zapytała, zbliżając się do ekranu, na którym oglądali zdjęcia.

– O co konkretnie ci chodzi? – Mark nie mógł dojrzeć w tym miejscu nic szczególnego.

– Tutaj, na spodzie, wystaje jakby skrzynia, pudło. Widać tylko jeden narożnik, ale wyraźnie. – Gina wskazała palcem.

Faktycznie, na zdjęciu zrobionym w jednym z pomieszczeń tuż za centralą okrętu coś było. Miejsce było trudno dostępne, prawdopodobnie przed zatonięciem zostało trafione przez jeden z pocisków niszczyciela, który eksplodując już w środku, spowodował totalny chaos.

– To chyba kabina dowódcy. – Paul patrzył na plan okrętu podwodnego i porównywał go ze zdjęciami. – Na zewnątrz są w tym miejscu wyraźne uszkodzenia. Szkoda, bo w środku mogłyby być fajne znaleziska.

– No ale jutro możemy spróbować obejrzeć to, co wypatrzyła Gina, a jak się uda, to nawet wyciągnąć – zapalił się Ken.

– A dlaczego ekipa, która przeszukiwała wrak w 1945, tego nie wyciągnęła? – Mark starał się być dociekliwy.

– Z miliona powodów. Mogli to zwyczajnie przeoczyć, wiecie, jak wszystko wygląda pod wodą przy sztucznym świetle. My też zobaczyliśmy dopiero na zdjęciach. Zresztą wtedy mogło to być przywalone i niewidoczne. Pamiętajcie, minęło ponad siedemdziesiąt lat, niektóre rzeczy pewnie się osunęły, w końcu we wraku cały czas dochodzi do korozji, niektóre jego elementy się przemieszczają. Do tego morze też żyje. Sztormy, jakieś minimalne ruchy sejsmiczne. Z tego, co widzieliśmy w środku, im bliżej dziobu, tym wyraźniej widać prace wydobywcze z 1945, uprzątnięte, przynajmniej częściowo, pomieszczenia i tak dalej. Prawdopodobnie wyciągali coś z przedziałów dziobowych. Nie wiem, strzelam, może Niemcy mieli na pokładzie jakieś nowe rodzaje torped albo coś przewozili w długich skrzyniach, które umieszczono właśnie w miejscu torped. – Jose nawet nie wiedział, jak blisko był rozwiązania zagadki ładunku U-530. W każdym razie to tłumaczenie było bardzo prawdopodobne i trafiło do jego towarzyszy.

– Jose może mieć rację, a ta skrzynia zaczyna pobudzać wyobraźnię. Z drugiej strony, znając nasze szczęście, może w niej nic nie być, albo okaże się czymś innym, niż nam się wydaje. Jednak warto spróbować, może w środku są jakieś „kapitańskie rzeczy”. A z tego mogą być konkretne pieniądze. – Paul jak zwykle podszedł do problemu konkretnie i ekonomicznie.

– Okej, to postanowione, jutro postaramy się to wyciągnąć. Jednocześnie trzeba też poszukać innych fantów. Na razie mamy dwa kubki, jeden wskaźnik i kawałek celownika z działka przeciwlotniczego. Wiele z tego nie wyciągniemy.

– Mark starał się rozsądnie zaplanować kolejny dzień nurkowania, tak by skoncentrowanie się na jednej rzeczy w razie niepowodzenia nie zaprzepaściło całych poszukiwań. – Myślę, że jutro wejdziemy do środka w trójkę, jeden zostanie asekurować na zewnątrz. Kto na ochotnika?

– Ja mogę, byłem już w środku, niech Ken i Paul też zobaczą, jak to wygląda. – Jose bez problemów zgłosił się na tego, który nie wejdzie jutro do wraku.

– To wszystko jasne. Idziemy spać, bo jutro czeka nas intensywny dzień.

Wszyscy zgodnie rozeszli się do swoich koi. Mark jeszcze tylko przed pójściem do siebie posiedział przy radarze, sprawdzając, czy nie mają towarzystwa. Raczej nic na to nie wskazywało, ruch był normalny. Miejsce, w którym kotwiczyli, nie należało do specjalnie popularnych.

Mark nie wiedział jednak, że cały czas byli obserwowani, tym razem z różnych łodzi, które przepływając w dość znacznej odległości, oznaczały ich miejsce na radarach. Dwaj blondyni z baru byli fachowcami i nie pozwolili sobie na kolejną wpadkę. W końcu obserwacja wybranych obiektów była dla nich rutyną i zajęciem, z którego żyli.

Następny dzień zaczął się już rutynowo, lekkie śniadanie, omówienie nurkowania i zejście pod wodę. Tak jak się umówili, do wraku weszli w trójkę: Mark, Paul i Ken. Jose asekurował ich z zewnątrz. Tym razem nie byli już tak przytłoczeni wnętrzem jak dzień wcześniej. Choć Ken z Paulem byli w środku po raz pierwszy, wiedząc, czego się spodziewać, i mając szczegółowo zaplanowane działania, zabrali się do poszukiwań. Ken zlokalizował miejsce ze zdjęcia i rzeczywiście była tam dość sporych rozmiarów skrzynia. Co ważniejsze, wydawała się nieuszkodzona, choć niczego na pewno nie można było przed jej wyciągnięciem stwierdzić. W tym czasie Mark i Paul penetrowali wrak w kierunku dziobu, starając się przy okazji zbierać jakieś drobiazgi, które potem mogłyby się nadawać do sprzedaży. Nie mieli przy tym wyrzutów sumienia. Niektórzy uważają wraki, zwłaszcza te, na których zginęli ludzie, za coś w rodzaju grobowców. Oni nie mieli z tym problemów. Oczywiście na wraku USS Arizony w Pearl Harbor niczego by nie ruszyli. Był to pomnik wojenny. Podobnie zachowaliby się na innych tego typu cmentarzyskach. Jednak nieoznakowany wrak leżący na dnie od zakończenia wojny nie różnił się dla nich niczym od wraku galeonu z siedemnastego wieku. Potrafili uszanować ludzkie szczątki, ale też nie popadali w paranoję związaną z nietykalnością niektórych rzeczy znalezionych na dnie. Wielu być może by ich krytykowało, lecz oni nie przejmowali się tym zbyt.

Im bliżej dziobu, tym wyraźniej było widać prace, jakie prowadzono w 1945 roku. W końcu dotarli do miejsca, z którego prawdopodobnie usunięto wtedy jakieś pojemniki lub skrzynie. Świadczyły o tym wyraźne ślady na pokładzie, gdzie pozostały mocowania, których normalnie nie przewidziano na seryjnych U-Bootach. Wszystko dokładnie obfotografowali. I wrócili do Kena, który z niemałym trudem starał się uprzątnąć pomieszczenie. Nazywali je roboczo „kabiną kapitańską”, zresztą chyba faktycznie nią było. Z wielkim wysiłkiem wyciągnęli pojemnik, jak się wydawało nieuszkodzony. Był zamknięty i chyba nadal szczelny. Co prawda, jak niemal wszystko we wraku, porastały go różnego rodzaju morskie wytwory, ale nie stanowiło to problemu. Przy okazji wyciągnęli też komplet sztuców, elegancko zapakowany w ebonitowe pudełko. Na razie to ostanie znalezisko wzbudziło w nich prawdziwy entuzjazm. Z doświadczenia wiedzieli, że tego typu znaleziska, w dodatku kompletne, znajdują wielu amatorów. Tuż przed wynurzeniem Paul od niechcienia zaczął przesuwając jakieś resztki w kabinie kapitana. Zamarł! Mark z Kenem wyraźnie to zauważyli. Nagle ich przyjaciel zaczął dziwnie bełkotać pod nosem. Tak ich to zaskoczyło, że momentalnie znaleźli się przy nim, myśląc, że coś mu się stało. Paul szybko się opanował. Powiedział tylko jedno, magiczne dla nich wszystkich słowo: ENIGMA.

Gorączka i podniecenie opanowały ich wszystkich, nawet Jose, choć znajdował się na zewnątrz, zaczął wykrzykiwać jakieś słowa. Mark opanował się najszybciej. Skrzynia, która była ich głównym celem, została teraz odłożona na pokład. Najpierw postanowili wyciągnąć znacznie mniejszy pojemnik, zawierający ich zdaniem prawdziwy skarb. Po wyjęciu go z wraku podczepili do znaleziska specjalny balon napełniony powietrzem, który miał je wyciągnąć na powierzchnię. Po chwili zastanowienia postanowili też wytaszczyć drugą, znacznie większą skrzynię. Straciła ona dla nich swoją atrakcyjność w momencie odnalezienia charakterystycznego pojemnika z maszyną szyfrującą Enigma. Jednak w tym całym podnieceniu postanowili dokończyć zadanie, które właściwie



miało być dzisiaj ich głównym celem. Jak się miało okazać, zrobili bardzo słusznie.

Po wynurzeniu i przetransportowaniu na pokład łodzi skrzyń wszyscy nagle zaczęli się przekrzykiwać. W pośpiechu porzucali tylko maski oddechowe i pozbyli się sprzętu do nurkowania. Nadal w piankach, drżącymi rękoma zaczęli otwierać pojemnik z maszyną szyfrującą. Była! Nawet w całkiem niezłym stanie, jak na ponad siedemdziesiąt lat spoczywania pod wodą. Pojemnik okazał się szczelny, choć miejscami dało się zauważyć delikatne przecieki. Nie zmieniało to jednak faktu, że Enigma była w stanie nadającym się do sprzedaży, a to było w tej chwili dla nich najważniejsze. Podniecenie nurków szybko też udzieliło się Ginie i Ellen, choć obie podeszły do sprawy o wiele spokojniej. Przynajmniej postanowiły sprawdzić, co tak naprawdę ich chłopcy odkryli. Sprawa była o tyle prosta, że Enigma była sławnym urządzeniem, które bez problemu można było znaleźć w sieci i sprawdzić. Bardzo szybko się okazało, że egzemplarz, który wydobyli z wraku U-530, był typowym urządzeniem stosowanym przez Kriegsmarine. Po chwili już wszyscy pochylali się nad monitorem komputera. Znalezli urządzenie o nazwie: Funkschlüssel M3. Po tym odkryciu zalała ich kolejna fala podniecenia. Jednak Gina przy pomocy Ellen bardzo szybko nad wszystkimi zapanowała. Zmusiły całą czwórkę mężczyzn, by się przebrali i uporządkowali sprzęt. Same w tym czasie zagłębiły się w czeluściach internetu, chcąc zdobyć jak najwięcej interesujących ich wszystkich informacji. Druga skrzynia leżała w tym czasie niemal zapomniana na pokładzie w tym samym miejscu, gdzie ją położyli zaraz po wyciągnięciu z wody.

– Panowie! Chyba mieliście naprawdę szczęście. – Gina patrzyła z uśmiechem na szamoczących się w pośpiechu mężczyzn. Sprawiali wrażenie chłopców podnieconych nową zabawką. Była jednak nieustępliwa. Potrafiła zapanować nad wszystkimi, w końcu na sali operacyjnej też nieraz musiała opanować niespodziewany chaos i nerwy. Zresztą męska część załogi Galiona II stosunkowo szybko zaczęła wracać do normy i spokoju. Tymczasem Ellen starała się zdobyć na szybko jeszcze więcej informacji.

– Jak wyglądają nasze sprawy według sieci? – Nurtujące wszystkich pytanie pierwszy zadał Ken.

– Tak na gorąco, z tego, co wyczytałam, wynika, że na aukcji za egzemplarz w dobrym stanie, a nasz chyba w najgorszym nie jest, można dostać około osiemdziesięciu tysięcy dolarów, albo i więcej. Specjalnie trochę zaniżyłam stawki.

– To i tak całkiem niezły zysk. – Podniecenie udzieliło się nawet Markowi.

– Mam nadzieję, że jeśli dobrze to rozegramy, możemy uzyskać znacznie więcej. – Ellen starała się podejść do sprawy racjonalnie. – Wszystko będzie zależało od wielu czynników. Myślę, że najpierw musimy naszą maszynę dać do obejrzenia fachowcowi, który powie, co dalej. Już zaczęłam szukać kogoś odpowiedniego w sieci, ale to może trochę potrwać. A co z drugą skrzynią? – zwróciła uwagę na trochę w tej chwili zapomniane znalezisko.

– Jest trochę powgniatana, ale chyba całkowicie szczelna. Waży, tak na oko, ze dwadzieścia funtów. – Jose podniósł z pokładu pojemnik, który miał być dzisiaj ich głównym znaleziskiem, ale niespodziewanie przegrał z Enigmą.

– Trzeba będzie go ostrożnie otworzyć. – Paul przejął skrzynię z rąk Josego i zaczął ją uważnie oglądać. – Tu chyba jest coś w rodzaju zatrzasku i zamka. – Wskazał na krótszy bok znaleziska.

– Dobrze, nie za szybko. Trzeba to dokładnie obejrzeć i zastanowić się, jak dalej z tym postępować. – Jose był zadziwiająco spokojny i rozsądny.

– Masz rację. Wrócimy na ląd i poszukamy jakiegoś warsztatu, który da się na chwilę wynająć, a właściciel nie będzie zbyt nam interesował. Chyba nawet znam takie miejsce na Abaco. Zresztą jeśli wytrzymamy, możemy ją otworzyć u mnie w warsztacie, w Fort Lauderdale. Na razie wszystko chowamy i udajemy, że nic się nie stało, a to, co znaleźliśmy, to drobnica. – Mark cały czas czuł podskórny niepokój, którego nie potrafił nazwać. Przypominał mu uczucie, którego momentami doznawał w czasie prowadzenia tajnych operacji, gdy służył w SEAL.

– A gdzie to wszystko ukryjemy? Wiecie, różnie może być. Coast Guard może nas w końcu skontrolować, cały czas przecież szukają narkotyków i innej kontrabandy. – Niepokój Paula przybrał konkretny wymiar.

– Spokojnie. O tym też pomyślałem. Wspominałem wam, że łódź była przysposobiona do potrzeb bazy nurkowej. Wiem, że czasem niektórymi znaleziskami nie można się za bardzo chwalić. Udało mi się dogadać z pewnym facetem w stoczni, który dostosowywał łódź, i za odpowiednie pieniądze wykonał parę sprytnych schowków. Zdaje się, że myślał o szmuglowaniu narkotyków, ale nie wyprowadzałem go z błędu. – Mark, mówiąc to, tajemniczo się uśmiechał.

– Mistrzu! Kocham cię! – Jose spojrzał na Marka z przesadnie udawanym uwielbieniem.

– Dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że tylko platonicznie. – Mark, podobnie jak inni, się roześmiał.

– Zdaje się – sprowadził wszystkich na ziemię Ken – że mamy to, czego chcieliśmy. Ale to nie znaczy, że nie możemy jeszcze trochę pomyszkować na wraku. Może jeszcze trochę drobnicy wyciągniemy. Też wydaje się obiecująca. Mamy jeszcze parę dni nurkowania.

– Okej, ale już bez takiego spinania się. – Ellen w głębi ducha nadal się obawiała o całą czwórkę. W końcu wiedziała, że każde zanurzenie obarczone jest ryzykiem.

– Dobrze, na spokojnie jeszcze zejdziemy do wraku, ale tak jak mówi Ellen, bez zbędnego ryzykowania. – Mark jak zwykle zdecydował za przyjaciół. – Na razie chyba mamy co świętować. Schowałem na taką okazję dobrego szampana.

Całe popołudnie i wieczór zeszły im na świętowaniu i snuciu coraz bardziej fantastycznych planów sprzedaży Enigmy, której cena wciąż wzrastała, proporcjonalnie do ilości wypitych trunków. Drugi z wydobytych pojemników spokojnie spoczywał w schowku, jakby zapomniany i czekający na odkrycie swojej tajemnicy.

Kolejne dwa dni nurkowania przebiegały, można powiedzieć, rutynowo. Najpierw zejście do wraku czwórki nurków, potem, po wynurzeniu, ocena znalezisk. Co prawda już nie było takich hitów jak Enigma, ale udało im się wydobyć sporo interesujących rzeczy, które mogły zaciekawiać kolekcjonerów i które stanowiły potencjalne źródło przyszłego zysku. Popołudnie i wieczór mijały na typowo wakacyjnych rozrywkach.

– No, jeśli zawsze tak się bawicie po nurkowaniu, to zaczynam rozumieć, że nurkowanie jest właściwie tylko dodatkiem do waszych wypadów – ze śmiechem skwitowała kolejną serię wygłupów męża i pozostałej trójki Gina.

– To tylko przedbiegi. Zobaczysz, jak potrafią zaszaleć w portowym barze. – Jose z udawaną powagą starał się dowieść, że tylko on z całej czwórki jest porządny.

– Tak, tak, zwłaszcza ty, świętoszku. – Mark dopił kolejne piwo. – Z tego, co pamiętam, ostatnim razem startowałeś do jakiejś męzatki, a dreszczyku emocji dodawał fakt, że jej mąż bawił się z kolegami w sąsiedniej sali. Potem, gdy doszło do wyjaśniania problemu, bardzo nie przypadli ci do gustu jego dwaj kumple wielkości lad chłodniczych.

– Oj tam, drobne nieporozumienie. Nie mówiła, że jest męzatką. Ale wszystko przecież bardzo szybko zostało wyjaśnione.

– Jasne. Przy pomocy Marka i nas – włączył się do rozmowy Ken.

– Och, mój mężczyzno, nie wiedziałam, że przepadasz za burdami w barach! – Lekko wstawiona Ellen zarzuciła Kenowi ręce na szyję.

– I jak to się ostatecznie skończyło? – dociekała Gina.

– Normalnie – niemal znudzonym tonem kończył opowieść Mark. – Lady chłodnicze okazały się typowymi mięśniakami wyrzeźbionymi na siłowni. Zresztą zdradzany mąż również. Trochę poburczeli, ponapinali się, ale gdy już wyszliśmy z nimi z baru, sprawa była bardzo szybka. Tylko trochę nadal mam pretensję do Paula.

– O co? – zdziwiła się Gina.

– Po prostu jednemu z nich za szybko dał uciec. Gość jeszcze spokojnie mógł przyjąć ze dwa strzały. – Mark się uśmiechnął i z łobuzerskim błyskiem w oku mrugnął do Paula. – A nasz Jose musiał się pocieszyć panienką wyrwaną chwilę potem na promenadzie.

Kolejny ranek większość przywitała lekkim bólem głowy. Podnieśli kotwicę. Mark stojący za sterem wziął kurs na marinę w Abaco. Po wpłynięciu do portu i zacumowaniu Mark z Josem zaczęli porządkować łódź. Ken i Paul wraz z dziewczynami poszli na zakupy, by uzupełnić zapasy przed kolejnym wypłynięciem w morze. Tym razem mieli już wracać na Florydę. Najpierw jednak postanowili odwiedzić Bimini. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że chcą się trochę powylegiwać na plaży. Mark przy okazji chciał się rozejrzeć za możliwościami prowadzenia tam swojego interesu. Ale to wszystko dopiero następnego dnia. Na razie mieli w planach odwiedzenie kilku barów. Tym bardziej że Gina i Ellen upierały się, że chcą zobaczyć, jak wygląda nocne życie, w którym uczestniczyli ich małżonkowie. Oczywiście nikt nie miał wątpliwości, że to będzie wyprawa typu „marynarze na przepustce”, tylko w o wiele łagodniejszej wersji. W jednym z barów Kena zaczął sympatyczny blondyn z wyraźnym europejskim akcentem. Od słowa do słowa okazało się, że też jest amatorem nurkowania i czeka właśnie na przyplłynięcie jego ekipy, z którą ma się wybrać na podmorskie przygody. Przedstawił się jako Bruno.

– Mówisz, Ken, że w okolicy są ciekawe miejsca do nurkowania?

– Jasne, już któryś rok z rzędu tu przyplływamy i zawsze jest coś ciekawego do zobaczenia. – Lekko podpity Ken zawołał Marka, który właśnie podszedł do baru.

– Słuchaj, chyba mam dla ciebie klienta na następną wyprawę.

– O, to fajnie, ale chyba dopiero za jakiś czas, na razie mam wszystkie terminy zajęte.

– Jasne, może nawet w przyszłym roku. – Bruno również sprawiał wrażenie podpitego. – Ken mówił, że zajmujesz się profesjonalnie takimi wycieczkami. W tym roku z przyjaciółmi chcemy się tylko rozejrzeć, mamy już nawet wynajętą motorówkę. Ale super by było popłynąć dużą łodzią z prawdziwym zawodowcem.

– Nie ma sprawy, to jest moja wizytówka z wszystkimi namiarami. Zdzwoń albo napisz, na pewno się dogadamy i umówimy. – Mark co prawda pracował w nowej branży od niedawna, ale wiedział, że o klientów należy się starać i zawsze był przygotowany na takie rozmowy. – Może dołączysz do nas, zabawimy się, wypijemy parę drinków i porozmawiamy. Zresztą zdaje się, że Kena już dobrze poznałeś.

– Bardzo chętnie. Wieczór dopiero młody i można zaszaleć. – Cała szóstka z radością przywitała nowego kompana.

W tym samym czasie w marinie na pokład Galiona II jak gdyby nigdy nic wszedł mężczyzna, który sprawiał wrażenie, jakby wkraczał na swoją łódź. Bez problemu otworzył zamek odgradzający część kabinową od pokładu i wszedł do środka. Wiedział, że ma sporo czasu. Bruno miał o to zadbać. On w tym czasie sukcesywnie, ale tak, by nie pozostawić śladów, zaczął przeszukiwać łódź. Bardzo szybko natrafił na pojemniki z wyciągniętymi z U-Boota rzeczami. Było tam po trosze wszystkiego: kubki, fragmenty zastawy marynarskiej, dość cenny komplet sztucców w oryginalnym pojemniku z emblematami Kriegsmarine, parę wskaźników okrętowych w różnym stanie, celownik artyleryjski i wiele innych rzeczy, które można znaleźć na pokładach zatopionych wraków. Nigdzie natomiast nie było metalowego prostokątnego pojemnika, który był jego celem. Miał zresztą zdjęcie takiego pojemnika z podanymi dokładnie wymiarami. Dysponując czasem, ponownie bardzo dokładnie przeszukał łódź i ponownie niczego nie znalazł. Po wszystkim znów jak gdyby nigdy nic zszedł z łodzi i spacerowym tempem ruszył do portu. Wstąpił do baru, jednocześnie sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie. Nie spodziewał się nikogo, ale był profesjonalistą i nie pozwalał sobie na popełnianie prostych błędów. Wyjąwszy telefon, zadzwonił pod numer, który znał na pamięć.

– To ja. Byłem właśnie na ich łodzi i niczego nie mają – zaczął bez zbędnych wstępów. – Owszem, nurkowali na wraku, widać to wyraźnie po tym, co znaleźli, ale to sama drobnica. Nic ciekawego. Przede wszystkim nie ma skrzyni, o którą panu chodziło. Tak. Dokładnie sprawdziłem. Miałem czas, Bruno się teraz nimi

zajmuje. Przy okazji miał ich dyskretnie wypytać. Sprawiają wrażenie amatorów na wakacyjnym wypadzie. Owszem, potrafią nurkować, ale to już wiemy po ich sprawdzeniu. W końcu to byli nurkowie wojskowi, jednak nic ponadto. Zdaje się, że w najbliższym czasie odpływają z Abaco. Trzeba zorganizować ekipę i przeszukać wrak, teraz już na pewno wiemy, gdzie leży. Nie, ja i Bruno nie mamy takiego doświadczenia w nurkowaniu. Możemy spróbować, ale tego nie było w umowie i tutaj nie dam gwarancji, że coś znajdziemy. Okej. Gdy wróci Bruno, też zadzwoni i powie, czego się dowiedział. – Rozłączył się i wolnym krokiem poszedł w kierunku hotelu.

# 18

Po spokojnym leniuchowaniu na plażach Bimini Galion II wraz z całą załogą wracał na Florydę. Kilka mil od brzegu pojawiła się nagle łódź patrolowa Coast Guard, szybko wzięła kurs na ich jacht, po chwili usłyszeli w radio komunikat polecający zatrzymanie silników i przygotowanie się do kontroli. Mark natychmiast zastopował łódź, a wkrótce do ich rufy dobił szybki ponton motorowy z pięcioma marynarzami.

– Witam. Czy coś się stało? – Mark spokojnie podszedł do podestu na rufie, na którym już stali groźnie wyglądający marynarze z oddziału desantowego.

– Proszę wszystkich, by stanęli na pokładzie w jednym miejscu, przeszukamy łódź. Proszę się nie denerwować, to rutynowa kontrola. – Bosman dowodzący oddziałem był na wskroś profesjonalistą, co było widać po jego zachowaniu, dowodzeniu ludźmi, nawet po ruchach.

– Kto jest właścicielem jednostki i kto nią dowodzi? Proszę przygotować odpowiednie dokumenty. – Mówiąc to, zaczął się przyglądać Markowi, który zresztą od dłuższej chwili też obserwował bosmana.

– Z tego, co widzę, Conor, awansowałeś. – Mark uśmiechnął się od ucha do ucha. Bosman Nolan, teraz też poznał swojego rozmówcę.

– A ty co, Mark? Na wakacjach czy zmieniłeś branżę? – Chief petty officer Conor Nolan był typowym Irlandczykiem, zwalisty, z płomiennie rudą czupryną, o wesołym spojrzeniu. Wprawdzie znacznie się rozluźnił, ale nie zmieniło to faktu, że jego ludzie weszli tymczasem na łódź, cały czas gotowi do podjęcia adekwatnych do sytuacji działań.



– Już od jakiegoś czasu jestem w cywilu, zajmuję się organizowaniem podwodnych wycieczek. A teraz wracam z przyjaciółmi z wakacyjnego wypadu. A ty i twoi ludzie to czegoś szukacie, czy tak wpadliście towarzysko?

– Gdybym wiedział, że to twoja łódź, to wziąłbym ze sobą największych pijusów z załogi. Nadal pamiętam, co się działo po zakończeniu szkolenia.

– No to niezły jesteś, bo ja niezbyt dobrze kojarzę fakty z tamtej nocy. A skoro jesteśmy przy tego typu tematach... – Mark się uśmiechnął. – Poznaj moich przyjaciół: Ken i Paul. Też byli marynarze, służyliśmy kiedyś razem w Special Underwater Rescue Unit. No i oczywiście Gina i Ellen, ich żony. A ten trzeci to Jose, też były nurek. Widzę, że nie zapomniałeś nic z tego, czego uczyli was prawdziwi marynarze. – Mark wiedział, że Nolan nie obrazi się na to ostatecznie sformułowanie. Choć ten oczywiście przybrał natychmiast groźną minę.

– Prawdziwi marynarze? Przepite foki, które tylko patrzyły, gdzie tu się zabawić i pysk umoczyć, a prawdziwych marynarzy to właśnie wtedy mogliście zobaczyć, gogusie. – Obydwaj się roześmiali. – A tak na serio: kontrolujemy łodzie płynące z południa. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, skąd. Byliśmy na wakacjach trochę ponurkowaliśmy, wyciągnęliśmy parę fajnych fantów i teraz wracamy do domu.

– Gdzie nurkowaliście? – Bosman Nolan jak zwykle był dokładny.

– Koło Abaco. Trafiliśmy tam na leżący dość płytko wrak U-Bootu i przy okazji zabraliśmy parę pamiątek. Mamy na to odpowiednie papiery. A teraz wracamy z Bimini. – Mark pokazał wyjęte z szafki nawigacyjnej dokumenty.

– Okej. – Nolan przejrzał pobieżnie papiery. W tym czasie jego ludzie szybko sprawdzili łódź. – Widzę, że wszystko w porządku, choć mam mieszane uczucia co do nurkowania na wrakach. Ale czego się spodziewać po pletwalu z SEALs. – Ponownie się uśmiechnął. Jego ludzie bez słowa schodzili już do pontonu.

– Mam nadzieję, Conor, że się spotkamy kiedyś w barze, nie tylko na morzu podczas kontroli.

– Z tobą?! Zawsze, chłopie. – Bosman Conor Nolan uśmiechnął się do Marka, zasalutował reszcie załogi Galiona II i sprawnie wskoczył do pontonu. Po chwili wraz ze swoimi ludźmi już mknął pełną szybkością w kierunku czekającej jednostki Coast Guard.

– Ty to chyba wszystkich znasz. – Gina uśmiechnęła się do Marka z lekką ulgą.

– No, mieliśmy trochę szczęścia. Ale i tak szukali przede wszystkim narkotyków. Nasze fanty są legalne. Zresztą część ich widzieli i nie zwróciły ich uwagi. Te schowki faktycznie się sprawdziły. A Conora znam z dawnych lat, gdy szkoliliśmy ludzi z Coast Guard w abordażowaniu i przeszukiwaniu łodzi. Pamiętam, niezła impreza była na koniec ich kursu. Dobrze, teraz płyniemy już do portu, wieczorem wyciągniemy wszystko z łodzi i zobaczymy wreszcie, co jest w tym pojemniku z „kapitańskiej kabiny”.

Wejście do mariny w Fort Lauderdale, wyładowanie łodzi, przeniesienie wszystkiego do magazynu Marka, w którym mieszkał, zajęło im praktycznie całe popołudnie. Dopiero po tym wszystkim mogli się zebrać nad stołem warsztatowym, na którym spoczął tajemniczy pojemnik. Enigma była już dobrze obfotografowana i spoczywała w wielkiej kasie pancерnej, którą Mark odziedziczył razem z magazynem.

– Tylko ostrożnie – powtarzał Ken nie wiadomo który już raz z rzędu.

Paul z Markiem, którzy razem próbowali się dostać do środka pojemnika, nie zwracali uwagi na marudzenie przyjaciela. Byli maksymalnie skupieni na próbie otwarcia. Pojemnik, choć z zewnątrz trochę powgniatany, był w zaskakująco dobrym stanie. Wykonano go z materiału podobnego do aluminium, z którego produkowano kadłuby samolotów, odpornego na działanie wody morskiej, i bardzo dobrze uszczelniono. Od razu rzucała się w oczy solidna niemiecka robota. Choć bez żadnych oznakowań i napisów, rozpałał wyobraźnię całej szóstki. Ponownie, tak samo jak przy otwieraniu skrzyni z Enigmą, zamarli w oczekiwaniu. Napięcie było tym większe, że nie wiedzieli, czego się spodziewać. W końcu Paulowi udało się pokonać ostatni zatrask

i niespodziewanie z lekkim trzaskiem otworzyło się wieko. Wszyscy w pierwszej chwili zamarli tylko po to, by zaraz zacząć się tłoczyć przy stole warsztatowym. W środku, w specjalnie przygotowanych przegródkach spoczywały kartonowe teczki. Wszystkie ułożone równo, ciasno, opisanymi grzbietami do góry. Na rancie każdej przegródki znajdowały się napisane po niemiecku pojedyncze słowa i symbole: Riese, Die Glocke, Wüstegiersdorf, Wolfsnerg, Ramenberg, Schindelberg, Bad Charlottenbrunn, Waldenburg, Wüstewaltersdorfa", Karten, Personen, Humanressourcen, La"gerhauser, Materielle Ressourcen.

Ken pierwszy zanurzył ręce w pojemniku i powoli, systematycznie układając je na stole, zaczął wyjmować poszczególne teczki. Czuł narastające podniecenie i niewytłumaczone napięcie, zresztą podobnie jak reszta. Na razie nikt się nie odzywał, wszyscy maksymalnie skupieni patrzyli na kolejno wyjmowane z pojemnika dokumenty. Każde z nich czuło, że odkryli coś niezwykle interesującego i bardzo cennego. Nikt nie potrafił jeszcze nazwać tego odkrycia, ani tym bardziej go ocenić. Papiery, choć lekko pożółkłe, znajdowały się w doskonałym stanie. Na końcu mieściła się przegródka z napisem: Fotografische Dokumentation, i to od niej postanowili zacząć przeglądanie zawartości pojemnika. Zdjęcia zrobiono w sposób profesjonalny, były wyjątkowo ostre i wyraźne. Przedstawiały różne obiekty, ludzi, miejsca. Zresztą każde miało na odwrocie umieszczony krótki opis i numer katalogowy. Katalog z dokładnym opisem zdjęć również znajdował się w tej przegródce.

W końcu Ken odezwał się pierwszy:

– To chyba dokumentacja jakiegoś obiektu badawczo-wojskowego. Z ostatniej wojny. Będziemy musieli sobie jakoś poradzić z tłumaczeniem. Wszystko jest oczywiście po niemiecku, a ja nie za bardzo znam ten język. Coś czuję, że wy podobnie? – Rozejrzał się po skupionych twarzach przyjaciół.

– Tak, ja tylko po hiszpańsku – oświadczył Jose. Pozostali również pokręcili głowami.

– A może dać to do jakiegoś tłumacza? Pewnie trzeba będzie trochę zapłacić, bo sporo tego jest, ale w końcu dowiemy się, o co chodzi z tymi papierami. – Gina

zapropowała najprostsze rozwiązanie.

– Raczej trzeba się z tym wstrzymać. Najpierw sami w miarę naszych możliwości musimy sprawdzić, czego dotyczą te dokumenty, zanim kogoś wtajemniczymy. – Ken jako zawodowy historyk był dość wstrzemięźliwy w dopuszczaniu do odkryć osób postronnych.

– Ken ma rację – poparł przyjaciela Mark, a Paul tylko pokiwał głową, zgadzając się z takim podejściem do sprawy.

– To wszystko wygląda dość tajemniczo. Nie tylko ze względu na zawartość pojemnika, przede wszystkim na kontekst, w jakim to znaleźliśmy. – Ken był coraz bardziej skupiony. – Po pierwsze tajemniczy U-Boot, z którym od samego początku wiążą się jakieś niejasne sprawy. Najpierw tonie, a potem oficjalnie okręt o jego numerze wchodzi do portu w Argentynie. Pozycja wraku w archiwach jest zmieniona, teraz jestem nawet skłonny powiedzieć, że zafałszowana. Jeszcze w roku 1945 na wrak wchodzi nurkowiec z Navy i chyba coś z niego wyciągają. My znajdujemy pojemnik z dokumentacją. Chyba przeoczony w 1945 roku. Jak myślicie, czy na tak tajemniczym okręcie byłyby mało ważne dokumenty? Do tego jeszcze jedna rzecz, nie mówiłem wam o tym, bo wydawało mi się to nieistotne, zanim wypłynęliśmy. Oficjalnie U-Boot został zatopiony wraz z całą załogą, potem jego sobowtór wszedł do portu w Mar del Plata, z niemiecką załogą. I tu, uwaga, nazwiska dowódcy i oficerów zgadzają się z tymi z oryginalnego U-530. Potem wszystkie wzmianki o niemieckiej załodze stają się bardzo lakoniczne. Przesłuchanie, powiedział to i to, trafił do obozu jenieckiego tu i tu, i nic więcej. Co prawda sprawdziłem, że wyglądało to podobnie jak w innych przypadkach tego typu, jednak tutaj ta lakoniczność informacji aż bije po oczach. Wcześniej wydawało mi się to mało istotne. Po prostu natknąłem się na to, sprawdzając źródła dotyczących U-Boota, a teraz zaczyna być to dla mnie trochę zastanawiające. – Wszyscy słuchali Kena z coraz większą uwagą. – Do tego wszystkiego koleś, który obserwował Josego i mnie w muzeum w Chicago. Ten telefon do Marka od człowieka, z którym kiedyś robiliśmy interesy. Zapomniałem o czymś?

– Gdy nurkowaliśmy koło Abaco, chyba drugiego dnia ktoś nas obserwował. Zresztą Paul też to zauważył. – Mark stawał się coraz bardziej zamyślony, opowiadając o swoich obserwacjach. – I jeszcze ta kontrola Coast Guard. Nie mówię, że Nolan jest w coś zamieszany, raczej w to wątpię, ale naprawdę zdarzyło mi się to dopiero drugi raz, odkąd pływam z nurkami. Pierwszy raz kontrolowali mnie na Zatoce Meksykańskiej, i jak się później dowiedziałem, była to jakaś większa akcja.

– Nie ma co gdybać! – Tym razem Jose przemówił głosem rozsądku. – Po prostu wszyscy trzymamy buzię na kłódkę, a jednocześnie trzeba sprawdzić, co tak właściwie wyciągnęliśmy, i chyba trochę pogrzebać w archiwach, ale też ostrożnie. Tak sobie myślę, że Ken będzie najlepszy w te klocki.

Teraz wszyscy spojrzeli na wykładowcę historii z Orlando.

– Okej, nie ma sprawy, nawet wiem, z kim na ten temat porozmawiać. Oczywiście – uprzedził wszystkich – nikomu nic nie zamierzam mówić, ale mam paru znajomych, którzy zajmują się drugą wojną światową, i myślę, że coś z nich wyciągnę. Jednocześnie uważam, że sami musimy się uporać z tłumaczeniem, przynajmniej w ogólnym zarysie. Dobrze byłoby wiedzieć, o co mam pytać. A co z Enigmą?

– Też trzeba coś z nią zrobić i też ostrożnie, żeby nie wywoływać sensacji. Na szczęście mamy koncesję na wydobywanie znalezisk morskich i nie będzie problemu z legalną sprzedażą – stwierdził Mark.

– To co, dzielimy się zadaniami? – Paul, jak to inżynier, lubił jasne rozwiązania.

– Może ja z Giną? – odezwała się nieśmiało Ellen. – Zawsze miałam smykałkę do języków, znam niezłe francuski, to i z niemieckim chyba sobie poradzę. Co ty na to, Gina?

– Nie ma sprawy, nie możemy naszym chłopcom zostawić zbyt skomplikowanych zadań. Zajmiemy się tłumaczeniem. – Gina uśmiechnęła się do całej czwórki.

– Postaram się wam w tym pomóc, wezmę którąś z teczek na warsztat i przy okazji podszkolę się z niemieckiego – zaoferował się Ken. – Do tego zajmę się całą otoczką historyczną, w końcu podobno jestem zawodowcem.

– Okej, to wiemy, co robić. Ja spróbuję się skontaktować z bosmanem Nolanem i delikatnie go wypytać, o co tak naprawdę chodziło z tą kontrolą. A Jose i Paul może też trochę powęszą w sprawie drugiej wojny i tego, co Niemcy robili. W końcu mamy nazwy miejscowości, mapy, jest od czego zaczynać. A gdy dziewczyny zaczną tłumaczyć, to materiałów będzie coraz więcej, i Kenowi przyda się pomoc. Wszyscy muszą też zwracać uwagę na to, co się dookoła nas dzieje – podsumował jak zwykle Mark. – Ja jeszcze sprawdzę, jakie są możliwości spieniężenia Enigmy i pozostałych znalezisk. Zdaje się, że znam pewnego faceta, antykwariusza, w zeszłym roku nurkował u mnie wraz z żoną. Wydawał się całkiem ogarnięty, a od czegoś musimy zacząć. Nawiasem mówiąc, mam taki pomysł, by oficjalnie skupić się tylko na tym. W końcu niczego innego z wraku nie wyciągnęliśmy. Zresztą Enigmę można uznać za sensacyjne znalezisko.

# 19

Ken zaparkował samochód na swoim zwykłym miejscu. Miał stąd parę kroków na wydział historii, do swojego gabinetu. Od paru dni trwały zajęcia ze studentami. Uliczki kampusu tętniły życiem, chwilami nawet było na nich tłoczno. W oczy rzucali się przede wszystkim młodzi studenci, którzy dopiero zaczęli naukę. Trochę onieśmieleni, bardziej zagubieni, przeważnie w biegu. Zupełnie inaczej zachowywały się stare studenckie wygi, oni się już nigdzie nie śpieszyli. Paru z nich pozdrowiło przechodzącego Kena. On, jak zwykle zamyślony, odruchowo odpowiadał na przywitania. Studenci przywykli już do takiego zachowania swojego wykładowcy, często się zresztą z tego podśmiewając. Jednak w czasie zajęć z doktorem Kenem Morisonem nie było mowy o głupich żartach. Wykładowca słynął z bardzo konkretnego podejścia do tematyki zajęć, był wymagający, ale umiał też docenić inwencję swoich uczniów, a ta czasem potrafiła być nieprzebrana i nie zawsze związana z tematem zajęć. Tym razem zamyślenie Kena miało inny charakter, dziś miał tylko jedno spotkanie ze studentami ostatniego roku, którzy kończyli pisać u niego pracę. Nie zapowiadało się ono na jakoś szczególnie skomplikowane. Choć meandry wojny secesyjnej potrafiły czasem zawieść w zupełnie dziwne rejony, zwłaszcza wiedzy.

Historyka zaprzętało weekendowe spotkanie ich paczki. Zaczynali zresztą mówić o sobie „Załoga z U-Boota”. Spotkali się wszyscy razem pierwszy raz od powrotu z nurkowania. Tym razem gospodarzem był Jose. Przy okazji wykorzystali fakt, że opiekował się domem brata, który wyjechał z rodziną na wycieczkę po Europie. A że dom był okazały, z pięknym widokiem na ocean,

a basen aż się prosił, by do niego wskoczyć, Jose od razu wpadł na pomysł zorganizowania spotkania w domu Agustina. Ten ostatni nie miał nic przeciwko, zwłaszcza że znał przyjaciół młodszego brata i bardzo ich lubił.

– Może ktoś jeszcze czegoś potrzebuje? – Jose, jako dobry gospodarz, dbał o swoich gości. Siedzieli na olbrzymim patio, z którego roztaczał się wspaniały widok na ocean, po prawej w ogrodzie szumiała woda ze sztucznego wodospadu zasilającego basen. Cały ogród porośnięty był starannie dobranymi gatunkami drzew i krzewów. Wszędzie widać było dopracowane do ostatnich szczegółów detale.

– Tylko domu z takim widokiem – odpowiedziała Ellen, co było chyba najlepszym skwitowaniem tego wszystkiego, co ich otaczało.

– Twój brat na pewno jest żonaty? – dołączyła się do chóru zachwytów Gina. – Wiesz, jak by co, to z tym facetem obok – tu wskazała na Paula – nic mnie nie łączy poza małżeństwem. – Zaraz jednak pocałowała swojego niby niechcianego męża.

– Dobra, dobra, moje panie! Jesteśmy tu na poważnym spotkaniu. Rozumiem wasze zachwyty, ale wasi małżonkowie też nie są od parady – zauważył z humorem Ken.

– Widzisz, Jose, my to jednak mamy lepiej. Nam nie potrzeba wielkich domów, zadowolimy się byle czym, ja to nawet tu mógłbym mieszkać – dorzucił rozbawiony Mark.

– Okej, przekażę wszystkie wasze propozycje bratu. – Jose próbował zachować powagę.

– A tak na serio, to czego udało nam się dowiedzieć o sprawie? Koniec żartów. – Mark był już w tej chwili poważny i jak zwykle konkretny. – Może ja zacznę. Spotkałem się w zeszłym tygodniu z bosmanem Nolanem na piwie, no i tak od słowa do słowa powiedział mi, że jego szef dostał polecenie z góry, żeby skontrolować właśnie naszą łódź. Nic więcej nie wiedział. Tylko tyle, że nie była to wyrywkowa kontrola. Zresztą bardzo się zdziwił, gdy zobaczył mnie na



pokładzie. I teraz słuchajcie: mieli zwrócić uwagę na nietypowe pojemniki, o wymiarach dziwnym trafem odpowiadających temu, który znaleźliśmy. Nolan nic więcej nie wiedział, obiecał mi, że o naszej rozmowie nikomu nie powie. Tym bardziej że przecież niczego podejrzanego na pokładzie nie znaleźli. Ja chyba dam na mszę dziękczynną za to, że wpadłem na pomysł tych schowków.

– To sprawa zaczyna się zagęszczać. Posłuchaj tylko, czego ja się dowiedziałem – przejął pałeczkę w dyskusji Ken, zresztą wszyscy najbardziej oczekiwali na to, co on ma do powiedzenia. – Tak jak się umówiliśmy, dziewczyny miały się zająć tłumaczeniem dokumentów. Przy czym niektóre nazwy miejscowości i nazwiska postanowiłem od razu sprawdzić. Oczywiście na pierwszy ogień poszedł internet, i okazało się, że wszystkie wymienione miejscowości znajdują się w Polsce. Dziś zresztą nazywają się inaczej. Na przykład Waldenburg to dzisiaj Wałbrzych, Wüstegiersdorf to Głuszyca, Wüstewaltersdorf to Walim i tak dalej. Mało tego, prawdopodobnie trafiliśmy na grubszą sprawę. Od zakończenia wojny na interesującym nas terenie coś się dzieje, ciągle trwają jakieś poszukiwania. Masa teorii, niektóre naprawdę fantastyczne. Trafiłem na blogi ludzi, którzy się tym wszystkim pasjonują. Niestety wiele jest po polsku, a to jakiś magiczny język. Nic nie można zrozumieć. Na szczęście są też informacje po angielsku. No i z tego, do czego dotarłem, rysuje się obraz i sensacyjny, i trochę straszny. Jest też wielu nawiedzonych, którzy się tą tematyką zajmują, na tym etapie trzeba by to wszystko odsiać. No ale do rzeczy: spotkałem się z kolegą z uniwersytetu, który zajmuje się historią drugiej wojny, niestety w tej sprawie znał tylko ogólniki, a ja za bardzo nie chciałem go wtajemniczać w to, co wiemy. I tak zrobił się podejrzliwy. Wracając do konkretów, o ile wiem, jest paru ludzi, którzy się na tym znają. Trzeba się będzie z nimi skontaktować, ale praktycznie wszyscy mieszkają w Europie, głównie w Polsce. Nawet z jednym nawiązałem kontakt, wydaje się mieć wiedzę, ale też za bardzo nie chce się nią dzielić. Takie odniosłem wrażenie po paru mailach. Jedną bardzo ważną rzecz mi przekazał, że choć to sprawy sprzed siedemdziesięciu lat, to nadal są grupy ludzi, dla których są ważne i cenne.

Zwłaszcza w Niemczech, i wiedza o niektórych rzeczach może być niebezpieczna. Dał mi namiar na kolejnego gościa, który jest ponoć największym specjalistą w tej dziedzinie. Reasumując, chyba trafiliśmy na bombę, i to prawdopodobnie dosłownie. Niemcy pracowali tam nad bronią nuklearną, ale zdaje się nie tylko. Z tego, co zrozumiałem i wydedukowałem, niektóre z tych badań mogą budzić zainteresowanie także dzisiaj. Mam na myśli broń biologiczną, chemiczną i sam nie wiem co jeszcze. Na koniec mamy bonus, i to całkiem spory: w teczce z napisem „Zasoby materiałowe” znajdują się opisy schowków zawierających złoto, kosztowności i inne cenne rzeczy.

To efektowne zakończenie wykładu spowodowało ciszę. Wszyscy zaczęli po sobie spoglądać, gdzieś nad nimi zaczęła rosnać chmura niepokoju, może nawet strachu. Enigma – dobrze, skarby nawet bardzo dobrze, jakieś stare nazistowskie dokumenty – w porządku. Ale broń atomowa, biologiczna, chemiczna? To już trochę za wiele.

– Co z tym dalej robimy? – Jose zadał pytanie, które tak naprawdę chodziło wszystkim po głowie. – Z jednej strony prawdopodobnie mamy w ręku jakąś super sensację. Z drugiej to wszystko może być niezbyt bezpieczne. Zresztą już chyba koło nas zaczyna się coś dziać. Jakieś telefony, sprawdzanie, śledzenie mnie i Kena w Chicago, chyba że to nam się zdawało, ale raczej nie.

– Ale to wszystko może też być bardzo cenne. Zwłaszcza te schowki, o których wspomniał Ken. – Paul jak zwykle przeszedł gładko do kwestii finansowych. – Tylko chcę być dobrze rozumiany, nie chodzi mi wyłącznie o kasę. Bezpieczeństwo jest najważniejsze, jednak coś z tym wszystkim musimy zrobić, bo chyba nie spalimy tych dokumentów? A gdyby udało się na tym pomimo wszystko zarobić, to...

– No właśnie, co? – Gina знаła męża, dobrze wiedziała, że dla niej i reszty obecnych gotów był na wszelkie poświęcenia, ale pieniądze przydałyby się im wszystkim. No, może Jose stanowił tu wyjątek.

– Co? A może się okaże, że to jest dla nas szansa na przyszłość?

– Pewną szansę na przyszłość stanowi nasza Enigma. Sprawdziłem, możemy za nią dostać około osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu tysięcy. A jak się trafi dobry kupiec, to i więcej. Za pozostałe fanty też zgarniemy trochę grosza, i to niezłego. – Mark starał się być realistą. – A co do reszty, to ja jestem skłonny zaryzykować. Trzeba tylko najpierw zgromadzić więcej konkretnych danych. Słuchajcie, wiem, że dla nas wszystkich brzmi to jak jakaś sensacja rodem z filmu. Ale może jednak warto. Trzeba tylko ocenić, czy warto ryzykować.

– Prawdopodobnie czeka nas wyjazd do Europy – wtrącił Ken. – Już sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Oczywiście dalej będę w tym grzebał, postaram się robić to ostrożnie, ale z tego, co już wiem, różnie z tym może być. Na początek potrzebujemy jednak dokładnego tłumaczenia naszych dokumentów. Dziewczyny się starają, ale jest tam masa terminów technicznych, naukowych, a z tym i zawodowi tłumacze mogą mieć problem. A, jeszcze jedno, zapomniałem wcześniej o tym wspomnieć. Wśród nazwisk, na które trafiłem, jest wielu wyższych dostojników nazistowskich, i zbrodniarzy przy okazji. Trochę poszperałem, niektórzy z nich po wojnie się rozplynęli. Teraz już pewnie nie żyją, ale mogli po sobie kogoś zostawić.

– To mamy niezły problem – podsumował dyskusję Jose.

Zaczęło się robić chłodno, od oceanu zaczęła nagle wiać zimna bryza. A może im się tylko zdawało? Może przeszedł ich dreszcz przeczucia tego, w co się pakują?

## 20

W na poły rozwalonym izraelskimi pociskami domu na przedmieściach Nablusu siedziało trzech młodych Palestyńczyków.

– Oni nam nigdy nie pomogą. Mają układy z Żydami i zawsze będą ich bronili.  
– Selim, choć miał dopiero dwadzieścia dwa lata, był już zaprawionym bojownikiem. Zaczynał przed ponad dziesięciu laty, rzucając kamieniami w izraelskich żołnierzy. Potem związał się z mało znaną organizacją, liczył jednak na to, że dzięki zaangażowaniu, radykalizmowi i poświęceniu nie tylko staną się znani, ale przede wszystkim osiągną wymarzony cel. Doprowadzą do likwidacji nienawidzonego państwa żydowskiego.

– Żeby tak można było ten Izrael wysadzić w powietrze. – Jussuf był jego niewiele starszym kuzynem, ich poglądy, marzenia, zaangażowanie w sprawę były praktycznie takie same.

– Cały?

– Selim, nie gadaj głupot. Jasne, że nie cały, ale Tel Awiw...

– A jak ty to sobie wyobrażasz?

– No... można by poszukać u Ruskich. – Najstarszy z nich, Azis, od dłuższego czasu nie uczestniczył w rozmowie, myślał nad czymś intensywnie.

– Czego chcesz tam szukać?

– Bomby atomowej. – Azis wreszcie wypowiedział na głos to, co mu chodziło po głowie już od wielu dni. Praktycznie od momentu, gdy wpadła mu w ręce gazeta, w której umieszczono zdjęcia z Hiroszimy. Było to parę tygodni temu, gdy

w kolejną rocznicę pierwszego ataku atomowego Amerykanów prasa ponownie przypominała te tragiczne wydarzenia.

– A jak ją chcesz do Tel Awiwu...? – Selim od razu zapalił się do pomysłu.

– Na to przyjdzie czas później.

– I co myślisz, że Rosjanie sprzedadzą nam bombę? Tak najzwyczajniej w świecie? Przyjdiesz do nich i powiesz: „Dzień dobry, jestem z Sił Jednego Boga i chciałbym kupić od was jakąś bombę atomową, żeby zniszczyć Izrael”? W końcu oni nawet nie wiedzą, że istniejemy. Słuchasz przecież radia i telewizji. Ciągłe tylko Hamas to, Hamas tamto. I nawet nasi tak myślą. A przecież to nie oni, tylko my.

– Gadasz głupoty, Jussuf. Ale jak nie spróbujemy, to nie będziemy nic wiedzieli.

– Wiesz, Azis, on ma rację. Przecież stale gdzieś coś kupujemy. Jak nie pistolety i granaty, to jakieś rakiety albo skrzynki amunicji. Więc może by tą drogą?

– Nie. Tą drogą niczego takiego nie kupimy. Póki kupujemy zwykłe uzbrojenie, to jeszcze się udaje, ale jak zaczniemy szukać bomby, to Mosad zaraz się o tym dowie.

– Więc co?

– Pomysł chyba nie jest taki zły. Ale po pierwsze nie wiemy, ile takie coś może kosztować. Po drugie, czy jest to gdziekolwiek do kupienia. Po trzecie musimy uzyskać na to zgodę kierownictwa. – Azis zapalał się coraz bardziej do swojej myśli, jednak zdawał sobie sprawę z tego, że oni sami są zbyt małymi pionkami w ich organizacji.

– Od tego ty jesteś. Pogadaj, zaproponuj, Jussuf.

– Żebyś wiedział. Zaproponuję. A wtedy zaczniemy szukać. Pieniądze są do zdobycia. Mamy nasze stare, wypróbowane metody. Nasi ludzie są w Europie i w Ameryce. Jedna albo dwie dobrze zorganizowane akcje i mamy pieniądze na ten zakup.

– Sam pójdziesz do szejka?

– Ty chyba żartujesz. Przecież nawet nie wiem, gdzie go szukać ani kim tak naprawdę on jest. Pół Mosadu na niego poluje, a ty myślisz, że ot tak z ulicy wejdziesz i powiem: „Ja do szejka! Mam fajny pomysł”.

– Oczywiście, że w ten sposób nie dotrzesz, ale przecież mamy Sayeda. Jest naszym dowódcą, więc niech on idzie z tym dalej.

– Jussuf. Zaczniij myśleć. To musi być wielka tajemnica. Tylko my i szejk.

– Jasne, jasne. My i szejk. Tylko jak to zrobić? Może wiesz?

– Ano właśnie, że wiem, a w każdym razie się domyślam. Może przez Yahya Haniya.

– Ale to przecież mufti. – Najmłodszy Selim jak zwykle miał kłopoty ze zrozumieniem zawiłych spraw związanych z hierarchią i powiązaniem w organizacji.

– No to co z tego, że mufti?

– Przecież wszyscy wiedzą, że on się odciął od wszelkich działań przeciw Izraelowi. – Selim nadal nie mógł zrozumieć.

– Może tak. Może nie.

– Mówisz zagadkami.

– Bo słyszałem, że on tak nie do końca chce tego pokoju z Izraelem.

– Jak ty słyszałeś, to inni też. I całą tajemnicę mogą wziąć diabli.

– Ale on nam jest potrzebny tylko po to, żebyśmy dotarli do szejka.

– I co? Pewnie nie powiesz mu, po co nam ten kontakt?

– Jasne, że nie.

– Słuchaj mnie. Zachowujesz się jak idiota. Myślisz, że bez powiedzenia, o co chodzi, ten człowiek zaryzykuje i pomoże nam nawiązać kontakt?

– Tak myślę. A wiesz dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć?

– Siostra mojego kolegi jest jego sekretarką.

– Czym jest? Co ty za głupoty gadasz? Mufti ma sekretarkę? Stuknij się w głowę.

– A jak mam powiedzieć, że to jest jego... no wiesz, czym jest.

– Chyba żartujesz?

– Nie.

– No to próbuj, ale mnie w to nie mieszaj, jakoś sobie tego nie mogę wyobrazić.

– Czego? Bomby?

– Eee tam! Z tą bombą to jest całkiem niegłupi pomysł i jak się postarać, to może i do wykonania. Ale twoje dojście do muftiego?

– Słuchaj! Jak nie...

– A daj mi spokój z tym pomysłem. Jak będziesz miał jego zgodę, to mi wtedy powiesz, a teraz mam już tego dość.

– O jakiej zgodzie mówisz?

– Oczywiście nie muftiego, tylko szejka. Wcześniej nie zwracaj mi głowy.

– Gdzie idziesz? Teraz nie powinieneś wychodzić na ulicę. Spójrz, która godzina, zaraz zaczną mordować wyborowi. To ich pora.

– Eee tam. Może nie trafią?

– Głupi żart.

– Masz rację, głupi. Ale coś wymyśliliśmy, więc trzeba to robić.

– No to rób, rób. Trudno, jak już musisz iść, to idź.

– Właśnie pójdę. I pamiętajcie: ani słowa nikomu.

– Nawet Sayedowi?

– Nawet Sayedowi. Tajemnica to jest wtedy, gdy zna ją jeden. Przy dwóch już jest gorzej. A pomysł zna trzech, więc gęby zamknięte na kłódki, bo jak któryś coś chlapnie, to zaraz się dowiedzą... – ostrzegł młodszych kolegów Azis.

– Ja nie powiem.

– Ja też.

– To bardzo dobrze.

– Dla mnie to jest marzenie ściętej głowy. Pomysł nie do zrealizowania. Jeszcze raz pytam: skąd pieniądze na zakup? Jak znaleźć dojdzie do tych, którzy takie coś mogą załatwić?

– Przestań jęczeć. Jeśli nasz pomysł zostanie uznany za wart realizacji, wszystko będzie możliwe.



# 21

Wylądowali w Newark. Lot z Miami był po prostu nudny, obaj mało ze sobą rozmawiali. Bruno odsypiał skutki swojej działalności na Abaco Island. Andreas robił notatki potrzebne do raportu. Cały czas nie mógł się przy tym nadziwić, że nawet przy prywatnym zleceniu wymaga się od niego zachowania procedur administracyjno-papierkowych. Jak zwykł je nazywać, gdy jeszcze trudnił się tym samym, ale na państwowej posadzie. Jednak klient płacił, klient wymagał. Ich wizyta na Bahamach zakończyła się właściwie brakiem konkretnych efektów. Obiekt, a właściwie obiekty, zlokalizowali szybko, nie było z tym większych problemów. Zwłaszcza że mieli dokładne dane. Nie zbliżyli się do śledzonej łodzi i jej załogi w czasie nurkowania, ale nie było to priorytetem, wystarczyła zdalna obserwacja i określenie dokładnej pozycji. Praktycznie pokrywała się ona z pozycją wraku, który interesował ich mocodawców. Z tego, co mu powiedziano w czasie odprawy przed operacją, wynikało, że informacja na temat wraku i zainteresowaniu nim nurków amatorów dotarła do nich dopiero niedawno. Nie udało się w związku z tym zorganizować odpowiedniej operacji na wodzie. Osoba, z którą się kontaktował i która zleciła im to zadanie, kalkulowała, że to amatorzy skarbów odwalą całą brudną robotę, a oni przejmą znalezisko w taki czy inny sposób. Andreas nie był wtajemniczony we wszystko, ale domyślał się, że pierwotnie chodziło o dogadanie się z nurkami, a gdy to się nie udało, wynajęto jego i Bruna. Dwóch byłych oficerów niemieckiego wywiadu, którzy postanowili popробować szczęścia w sektorze prywatnym. Zresztą ostatnie lata były całkiem niezłe, na brak zleceń nie narzekali. Ich oficjalna działalność jako konsultantów

do spraw bezpieczeństwa i informacji umożliwiała swobodę w działaniach i nieźle maskowała prawdziwe zlecenia. A te nie zawsze mieściły się w granicach prawa. Tym razem mieli operować „miętko”, bez zbytnej przemocy i ingerencji w poczynania „obiektów”. Wy tłumaczono mu, że sprawa jest na tyle ważna, że nie mogą sobie pozwolić na rozgłos. Andreas domyślał się nawet, że nie tylko ich dwójka podejmuje działania w sprawie „nurków” – jak ich roboczo nazywali. Teraz wracali do Nowego Jorku, by złożyć raport i odebrać kolejne zlecenie.

Odprawa po locie krajowym była symboliczna. Szybko udało im się odebrać bagaże, złapali taksówkę, która miała ich zawieźć do World Center Hotel w samym sercu miasta. Taksówkarz na szczęście okazał się niezbyt gadatliwy, pewnie dlatego, że angielski nie był jego najmocniejszą stroną. Fatalny akcent i wygląd wskazywały raczej na pochodzenie z któregoś kraju na Kaukazie niż na rodowitego mieszkańca Bronksu czy innej nowojorskiej dzielnicy. Bruno, który zajął się najpierw bagażami, a potem zamawiał kurs, chyba z wdzięczności za to milczenie do pięćdziesięciu dolarów za kurs dorzucił jeszcze dwadzieścia. Pokoje w hotelu mieli już zarezerwowane, zresztą nie zatrzymywali się tu po raz pierwszy. Bez zbędnych dyskusji wjechali windą na siódme piętro i przeszli do swoich pokoi. Obydwaj mieli się wkrótce spotkać ze swoim pracodawcą, złożyć raport i go omówić. Nawiasem mówiąc, obu nieco irytowała ta rozbudowana biurokracja. Woleli zdecydowanie działania niepozostawiające zbyt wielu śladów. W tym jednak przypadku ich pracodawcy mieli swoje wymagania. Andreas sądził, że wynikało to prawdopodobnie z ich germańskiego zamiłowania do porządku. Nikt tego oficjalnie nie powiedział, wszystkie rozmowy prowadzili po angielsku, i to angielszczyzną świadczącą o bardzo dobrych prywatnych szkołach. Choć wygląd, niektóre zachowania i zwroty wskazywały dobitnie, kto ich wynajął. W końcu sami byli Niemcami i potrafili rozpoznać rodaków, niemniej ci na pewno nie urodzili się w starym *vaterlandzie*. Mieli jeszcze dwie godziny do umówionego spotkania w Hôtel Plaza Athénée niedaleko Central Parku. Spotykali się tam każdorazowo w jednym z luksusowych apartamentów. Zawsze pytali się o pana Cartera, który zawsze ich oczekiwał.

– Jak myślisz, Bruno, będą jeszcze czegoś od nas chcieli, czy uznają, że wszystko załatwione?

– Płacą bardzo dobrze, robota niezbyt wymagająca, mogliby jeszcze mieć jakieś propozycje. Jeśli nie oni, to mam tu, w Nowym Jorku, kontakt do człowieka z Europy Wschodniej, który szuka fachowej pomocy. Nie wiem wiele więcej, ale jest gotów wiele zapłacić za „niekonwencjonalną” pomoc, jak to ujęto.

– Zobaczymy, na tym rynku nigdy nie brakuje ofert. To co, jedziemy? Spacerować mi się nie chce, a taksówka też nie przebije się od razu przez pół Manhattanu.

– Recepcja? Proszę o taksówkę, tak za dziesięć minut. Okej, dziękuję. – Bruno się rozłączył.

Hôtel Plaza Athénée, jego wejście i hol recepcyjny wyraźnie mówiły, kto jest mile widzianym gościem i kogo się tu oczekuje. W powietrzu unosił się zapach luksusowych kobiecych perfum, bardzo drogich cygar panów i przede wszystkim pieniędzy. Bruno i Andreas czuli się w takim otoczeniu jak ryby w wodzie; obaj w drogich, szytych na miarę garniturach, wtapiali się doskonale w to snobistyczne otoczenie. Byli zawodowcami, potrafiącymi równie dobrze odnaleźć się w luksusowym hotelu, na plaży w Malibu wśród surferów czy w podłej dzielnicy Marrakeszu. Pan Carter oczywiście już ich oczekiwał w swoim apartamencie na piątym piętrze.

Drzwi otworzył im jak zwykle milczący ochroniarz. W odróżnieniu od typowych przedstawicieli tego zawodu pokazywanych w filmach, nie miał gabarytów małego autobusu. Był dobrze zbudowanym mężczyzną o spokojnym spojrzeniu, które jednak błyskawicznie taksowało wchodzących. Dało się odczuć, a Andreas i Bruno byli w końcu zawodowcami, że jest wysokiej klasy profesjonalistą, śmiertelnie niebezpiecznym, gdy zajdzie taka potrzeba. W pokoju, który był elegancko urządzone gabinetem, czekało na nich dwóch gospodarzy. Pierwszy z nich miał około pięćdziesięciu pięciu czy sześćdziesięciu lat, i to on zawsze z nimi rozmawiał. Elegancki, ubrany w klasyczny trzyczęściowy garnitur, wyglądał na właściciela dużej międzynarodowej firmy. Inteligentny,

konsekwentny i niebezpieczny w swych działaniach, był typowym przedstawicielem wielkiego biznesu. Czuć było od niego posiadaną władzę. Drugi, znacznie młodszy, mniej więcej trzydziestopięcioletni przystojny mężczyzna o wiecznie znudzonej twarzy, wąskich ustach i zimnych niebieskich oczach, od pierwszego wejrzenia nie wzbudzał sympatii. Jednocześnie sprawiał wrażenie osoby, która rozmawiając z kimś stojącym niżej niż on w hierarchii społecznej, sprawia jej tym zaszczyt. Emanował wręcz swoją wyższością nad ewentualnym rozmówcą.

– Witam, panowie. Może się czegoś napijecie? – Starszy z mężczyzn wstał z fotela i podał przybyłym dłoń na przywitanie, jednocześnie wskazując wygodne klubowe fotele. Młodszy ograniczył się tylko do lekkiego skinienia głową, nie wypuszczając z dłoni szklaneczki z burbonem.

– Nie, dziękuję. Przyszliśmy w sprawach zawodowych, a te lepiej omawiać w formalnej atmosferze. – Andreas wziął na siebie obowiązek prowadzenia rozmowy.

– Cieszę się, że tak panowie podchodzą do obowiązków. Widać bardzo dobrze się stało, że nawiązaliśmy współpracę, i od razu dodam: liczę na to, że będziemy ją kontynuować. A teraz proszę o raport z waszych działań. Mam nadzieję, że macie ze sobą szczegółową wersję elektroniczną. Teraz jednak prosiłbym o omówienie w skrócie podjętych przez panów działań.

– Tak, oczywiście. Proszę, oto nośnik z raportem, mam nadzieję, że panów zadowoli. Zawarłem w nim wszelkie dane dotyczące naszych poczynąń. – Przekazał starszemu z mężczyzn mały pendrive ze swoją „twórczością” z samolotu. Młodszy nadal sprawiał wrażenie słabo zainteresowanego całą sprawą, skupił się raczej na smakowaniu kolejnych łyków wyśmienitego burbona.

– Zgodnie z kontraktem – zaczął Andreas – obiektem naszych zainteresowań stała się czwórka mężczyzn. Są to znajomi, a właściwie przyjaciele od kilkunastu bez mała lat. Zresztą ich dokładne charakterystyki też zawarłem w raporcie, a panowie na pewno już je wcześniej znali. Po informacji, że zamierzają zająć się eksploracją interesującego nas wraku, rozpoczęliśmy obserwację obiektów. Nie

było to zbyt trudne zadanie, tym bardziej że obserwowani nie zdawali sobie sprawy z naszego zainteresowania. Na Abaco Island, gdzie nasze obiekty miały bazę wypadową, podjęliśmy działania mające na celu już ściślejszą obserwację. Wynikiem czego stała się dokładna lokalizacja interesującego nas wraku. O ile wiem, wcześniej była ona znana tylko w przybliżeniu. – Andreas nie darował sobie zaznaczenia wkładu ich dwójki w podjęte działania. – Pod koniec pobytu obiektów na wyspie mój współpracownik wszedł z nimi w bliższą zażyłość, ja w tym czasie przeszukałem ich jacht. Niestety niczego na nim nie znalazłem. Owszem, były tam przedmioty wydobyte z wraku, ale nic ponadto. Przede wszystkim nie było pojemnika, który mieliśmy znaleźć i odzyskać. Jestem tego całkowicie pewien. Mój współpracownik w czasie spotkania z obiektami też nie dowiedział się niczego interesującego, prócz faktów, które już znamy. Nie kryli się z tym, że nurkowali na wraku zatopionego okrętu podwodnego, wchodzili do środka i wydobyli z niego trochę rzeczy. Jednak nie wspomnieli o żadnym pojemniku. Reasumując, jestem niemal pewien, że nie wydobyli z wraku niczego szczególnego. Rzeczy, które widziałem, były typową drobnicą dla kolekcjonerów militariów, niczym więcej. Zresztą informowałem już o tym telefonicznie.

– A czy znalazł pan w czasie przeszukiwania łodzi pojemnik z maszyną szyfrująca Enigma? – zapytał z wyraźną złośliwością w głosie młodszy mężczyzna.

– Nie, niczego takiego nie było na pokładzie, mój współpracownik też niczego się nie dowiedział o takim znalezisku. – Andreas nie dał po sobie poznać lekkiego podenerwowania. Już zaczynał się domyślać, że coś poszło nie tak.

– No to muszę pana poinformować, że tego typu urządzenie znaleźli i teraz badają rynek przed sprzedażą. Wniosek jest prosty: albo panowie coś przeoczyli, albo to, co znaleźli, zostało dobrze ukryte.

– Spokojnie, Karl. – Starszy z mężczyzn starał się przyjąć bardziej koncyliacyjny ton. – Wiemy z innych źródeł, że na ich łodzi wspomnianej maszyny szyfrującej nie było również później. Co nie zmienia jednak faktu, że wyciągnęli z wraku coś więcej. Mogli również wydobyć interesujący nas

pojemnik. Mam nadzieję, panowie, że teraz się zrehabilitujecie i podejmiecie dalsze działania w celu ostatecznego wyjaśnienia sprawy oraz ewentualnego odzyskania pojemnika.

Spojrzenie starszego mężczyzny nagle stało się zimne. Przeistoczył się raptem w wymagającego szefa, którego pracownicy nie wywiązują się należycie z powierzonych obowiązków.

– Oczywiście. Sprawdzimy nowe informacje oraz podejmiemy odpowiednie działania. – Odpowiedź Andreasa była typowo służbowa, nie dał się jednak zastraszyć ani tonem, ani charakterem wypowiedzi przedmówcy. – Mam tylko pytanie: czy w tej sytuacji możemy podjąć bardziej zdecydowane działania?

– Tak, ale w pewnych granicach. Nadal zależy nam na pełnej dyskrekcji i nieeskalowaniu tych, jak pan to ujął, „zdecydowanych działań”. Jeśli zajdzie taka konieczność, zostaną panowie o tym poinformowani. Z tego, co wiem, wynika, że jesteście w stanie podjąć się każdego rodzaju „bardziej zdecydowanych działań”.

– Tak, oczywiście. Nie ma z tym żadnego problemu. – Andreas zachował całkowicie obojętny wyraz twarzy. W końcu miało to być tylko kolejne zadanie.

– Co do zapłaty. Środki za dotychczasową pomoc ze strony panów zostały już przelane na wskazane konto. Kolejny przelew zostanie uruchomiony natychmiast po dostarczeniu przez panów efektów waszych działań. – Mówiąc to, boss wstał z fotela, dając do zrozumienia, że kończy rozmowę. Karl nawet się nie ruszył ani nie spojrzał na wychodzących.

– Nie wiem, czy dobrze robimy, zlecając im kontynuowanie tego zadania. – Tym razem ton młodszego mężczyzny nie był tak wyniosły.

– Nadal uważam, że to dobrzy fachowcy, w końcu wujek Erwin sam ich polecił, a do niego chyba masz zaufanie?

– Tak, ojcze, oczywiście, ale nasi ludzie nie znaleźli nic na pokładzie, a wiemy, że ci „nurkowie” – to ostatnie słowo wypowiedział z pogardą i niechęcią – wydobyli z wraku maszynę szyfrującą, która przecież mała nie jest.

– Tak, Karl, pamiętaj jednak, że w czasie kontroli łodzi też niczego nie zauważono, a przecież marynarze dostali wyraźne wskazówki. Nasz człowiek w Coast Guard ręczy za to. Czyli nasi, jak to mówisz, „nurkowie” albo są bardzo cwani i wszystko ukryli, albo są kim innym, niż nam się wydaje. Chociaż ich dalsza obserwacja pokazała, że interesują się tylko sprzedażą Enigmy, nie wykonują żadnych działań wskazujących na posiadanie czegoś innego. Jest więc prawdopodobne, że niczego więcej nie odkryli. Dodatkowo sam czytałeś ich dossier. To wszystko zwykli, przeciętni Amerykanie. No może ten jeden były komandos, ale nawet on po odejściu z wojska zajmuje się tylko swoją firmą wycieczkową. Zresztą to właśnie na tym opierała się ta cała wyprawa do wraku U-Boota.

– Ale bez dokumentów znajdujących się na wraku nie mamy szansy na realizację naszych planów. I tak zakrawa to na cud, że udało nam się dowiedzieć o tym wraku. Szczęście, że mamy swoich ludzi w archiwum marynarki.

– Wiem, Karl, że te dokumenty są bardzo ważne, wręcz niezbędne, ale pamiętaj, że mamy też wielkie możliwości i prędzej czy później uda nam się wszystko zrealizować. A jeśli pojemnik z dokumentami nadal jest na wraku, wydobędziemy go. Już zorganizowałem odpowiednią ekipę, która dokładnie przeszuka wrak. Sprawdzimy też ostatecznie naszych „nurków” i wyeliminujemy wszelkie wątpliwości.

## 22

Ken siedział w swoim gabinecie. Właśnie skończył serię spotkań ze studentami, ale nie zaprzętały one zbytnio jego głowy. Nawet studenci zauważyli, że jest wyjątkowo rozkojarzony i prawie nieobecny. Gdy ostatni z nich opuścił gabinet, Ken wyjął z biurka segregator z zapiskami i zaczął je przeglądać po raz kolejny. Po wczorajszej rozmowie telefonicznej zaczął robić notatki dotyczące znaleziska u brzegów Abaco wyłącznie odręcznie. A zaczęło się w sumie niewinnie. Jeden ze znajomych z uczelni, zajmujący się historią drugiej wojny światowej, skierował Kena na oficjalną stronę internetową poświęconą pozostałościom po niemieckich obiektach przemysłowych w Europie, podrzucił też parę tytułów prac naukowych, w których poruszano te zagadnienia.

Dzięki temu Ken znalazł całkiem sporo informacji związanych z dokumentami wydobytymi z wraku U-530. Szperając dalej na stronach internetowych związanych z interesującą go tematyką, coraz częściej spotykał nazwisko Marcina Flisaka. Wspominał o nim również jego przyjaciel z uczelni. Mówił, że największą wiedzę o niemieckich pracach, eksperymentach, fabrykach i ośrodkach badawczych na południu Polski ma Marcin Flisak. Ken po namyśle postanowił się skontaktować z polskim badaczem tajemnic Dolnego Śląska – przynajmniej tak go często przedstawiano w internecie. I tu niespodzianka: na jednej ze stron internetowych był numer telefonu. Uwzględniając różnicę czasu, Ken wybrał znaleziony numer.

– *Hello, my name is Ken Morison, or I'm talking to Mr. FLISAK?* – Nazwisko wypowiedział chyba dość poprawnie. Miał tylko nadzieję, że jego rozmówca



władze angielskiej.

– Tak, słucham, panie Morison. – Czysta angielszczyzna miło zaskoczyła Kena.

– Cieszę się, że pana zastałem. Jestem wykładowcą historii na uniwersytecie w Orlando. Poszukując pewnych informacji, trafiłem na pana nazwisko jako specjalisty w tematyce, która ostatnio mnie interesuje.

– Rozumiem, że chodzi panu o kompleks Riese, niemieckie badania i rzeczy z tym związane.

– Tak, dokładnie.

– Cóż, zdecydowaną większość informacji znajdzie pan w internecie, między innymi na moim blogu albo na stronie, którą prowadzę. Czy coś pana szczególnie interesuje?

– Ostatnio natrafiłem na pewne dokumenty, które mnie zaintrygowały, chciałbym dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

– A może pan powiedzieć coś bliżej o tych dokumentach i przede wszystkim o tym, czego one dotyczą? Bez tej wiedzy nie będę mógł panu pomóc. – W głosie rozmówcy Ken zaczął wyczuwać pewne napięcie i zastanowienie, jakby Flisak zaczął bardzo pilnie ważyć słowa.

– Otóż w dokumentach, o których mówię, pojawiają się różne nazwy miejscowości: Wüstegiersdorf, Wolfsberg, Ramenberg, Bad Charlottenbrunn, Wüstewaltersdorf. Znajdowałem je też w kontekście pewnych map i planów, do których dotarłem, do tego wszystkiego dołączona jest lista pewnych nazwisk. Te już częściowo sprawdziłem; należą do różnych urzędników, oficerów, nawet dostojników hitlerowskich.

– Cóż, wszystko, co pan mówi, jest interesujące, lecz raczej są to rzeczy ogólnie znane. Zainteresowały mnie plany, o których pan wspominał. Czy mają one może jakieś oznakowania, występują na nich jakieś nazwy?

– Tak, wszystkie plany czy mapy są opieczętowane i dokładnie opisane. Pojawia się też nazwa, chyba właściwie kryptonim, na który natrafiłem

w dokumentach. Ta nazwa pojawia się parę razy na pana stronie, ale o ile zrozumiałem, nie ma na ten temat zbyt wielu informacji. Ten kryptonim brzmi: „Thors Hammer”[5].

– Czy ta nazwa, albo jak pan to określa „kryptonim”, pojawia się w jakimś określonym dokumencie? – W głosie rozmówcy brzmiało w tej chwili wyraźne już napięcie.

– Tak, pojawia się na planach, w dokumentach osobowych, na mapach. Nawet w różnych wykazach.

– Panie Morison, czy może mi pan coś więcej powiedzieć o tych dokumentach? Przede wszystkim, jak pan je zdobył, czy to może jest jakaś większa całość? Wie pan, krąży wiele fałszywek stworzonych przez różnych zapaleńców, którzy chcą zaistnieć, że tak powiem, na rynku sensacji historycznych. – Bagatelizując temat, Polak usiłował zamaskować coraz większe zdenerwowanie. – Może przesłałby mi pan skany tych dokumentów albo ich zdjęcia?

– W porządku, zaraz panu coś prześlę. Myślę, że zdjęcie będzie najszybciej. Prosiłbym potem o pana opinię. – Ken zdawał sobie sprawę, że musi coś przesłać, samo opowiadanie było mało wiarygodne i facet mógł je po prostu wziąć za kolejne brednie jakiegoś nawiedzonego pseudohistoryka. Szybko się pożegnali i Morison wysłał zdjęcie jednej z map wraz z dokładnymi zdjęciami pieczęci i opisu znajdującego się na jej drugiej stronie. Dołączył też zdjęcie jednego z dokumentów z teczki „Zasoby materiałowe”.

Po paru minutach zadzwonił telefon, wyświetlony numer wskazywał na Mr. Flisaka, z którym przed chwilą rozmawiał.

– Czy ma pan więcej tego typu dokumentów, czy dołączone były do nich jakieś plany, spisy nazwisk, opisy miejsc, może jakieś zdjęcia i czy może mi pan powiedzieć, jak wszedł pan w ich posiadanie? – zasypał Kena pytaniami rozmówca z Polski, bez żadnych wstępów, nawet nie kryjąc swojego zdenerwowania.

– Widzę, że zainteresował pana temat. – Ken starał się nieco uspokoić Flisaka.

– Tak, i to bardzo. Na wstępie chciałbym do pana jeszcze raz zadzwonić na służbowy numer, który właśnie znalazłem w internecie. Czy jest pan może w tej chwili na uczelni?

– Tak, siedzę w swoim gabinecie. – Nieco zdziwiony Ken odruchowo spojrzął na aparat telefoniczny stojący na biurku, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno tam jest.

– W porządku, zaraz do pana przedzwonię. – Rozmówca się rozłączył, a po chwili zadzwonił telefon służbowy. Tym razem wyświetlił się inny numer.

– Tak, słucham? – Ken, wciąż zdezorientowany, odebrał. Czuł narastające podniecenie i zdenerwowanie.

– Marcin Flisak z tej strony, czy pan Ken Morison?

– Tak, przed chwilą przecież rozmawialiśmy – potwierdził Ken z rosnącym zdziwieniem.

– Przepraszam za ten cały cyrk, ale często odbieram telefony od nawiedzonych pseudobadaczy albo osób, które są zupełnie kim innym, niż się przedstawiają. Niestety ci ostatni potrafią być niebezpieczni.

– O czym pan mówi? Jak to niebezpieczni? – Teraz Ken był już naprawdę zaniepokojony i zaczął się zastanawiać, czy sam nie trafił na jakiegoś pomyleńca.

– Już panu wszystko tłumaczę. Przy czym na wstępie chciałbym pana ostrzec, sprawy, o których będziemy rozmawiać, są nadal dość niebezpieczne. Istnieją ludzie, którym bardzo zależy na tego typu wiedzy, niektórzy bardzo wpływowi. Do tego dochodzi zainteresowanie służb specjalnych różnych krajów, i w efekcie mamy dość wybuchową mieszankę. Wiem, wiem, mogę brzmieć trochę jak paranoik, proszę dać mi wytłumaczyć parę kwestii i przejdziemy do konkretów. Po pierwsze: nawet w rozmowach telefonicznych proszę unikać konkretnych nazw, kryptonimów, nazw miejscowych. Proszę o tych dokumentach z nikim nie rozmawiać, nie chwalić się nimi. Mam nadzieję, że dotąd pan tego nie zrobił?

– Nie, zdawałem sobie sprawę, że dokumenty, które mam w ręku, mogą być dość cenne i intrygujące. Nie spodziewałem się natomiast takiej reakcji z pana strony. Od razu mówię, że o całej sprawie łącznie ze mną wie tylko sześć osób i wszystkie są godne zaufania. W pierwszej kolejności podjęliśmy decyzję o zachowaniu dyskrecji. Z racji tego, że jestem historykiem, zająłem się wyjaśnianiem znaczenia, treści i wartości historycznej tych dokumentów. – O kwestiach materialnych Ken wołał na razie nie wspominać.

– W porządku, cieszę się, że zachował pan ostrożność. Na początek parę wyjaśnień. Nie jestem zawodowym historykiem, z wykształcenia jestem inżynierem. Natomiast tematyką Gór Sowich, Wałbrzycha, kompleksu Riese zajmuję się hobbystycznie już od wielu lat. Niektórzy uważają, że przez ten czas zdobyłem znaczną wiedzę na ten temat. Zdjęcia, które pan przesłał, przedstawiają poszukiwane od lat dokumenty. Część badaczy uważa, że one nigdy nie istniały, część sądzi, że uległy zniszczeniu. Ja do dziś myślałem, że prawdopodobnie są wytworem fantazji, ale jak widać, tak nie jest. Wchodziły one w skład ewakuowanego pod koniec wojny zasobu dokumentów, materiałów, części maszyn, nawet gotowych produktów kompleksu Riese. Były i są poszukiwane od lat nie tylko przez pasjonatów, ale również przez różne prywatne grupy, często bardzo wpływowe. Wiem, że po wojnie ich poszukiwaniem zajmowały się również wywiady Wielkiej Brytanii, Związku Sowieckiego, USA. W późniejszym czasie również wywiady Niemiec, Izraela, Polski. Byłem nawet parę razy przesłuchiwany w tej i innych sprawach. Parę razy usiłowano mnie przekupić, bym zdradził to, co rzekomo wiem, parę razy próbowano zastraszyć. Podobne metody stosowano również wobec moich kolegów, którzy zajmują się tą tematyką. Zdarzały się nawet bardziej drastyczne wypadki. Wracając do sprawy, czy posiada pan tylko to, co pan mi przesłał, czy jeszcze jakieś inne rzeczy? Myślę, że jeszcze coś pan ma.

– Można tak powiedzieć, wie pan, po tym wszystkim, co mi pan powiedział, zaczynam się zastanawiać nad każdym słowem. – Ken rzeczywiście zaczął rozważać, czy jego telefon nie był błędem. Facet z jednej strony brzmiał

przekonująco, z drugiej trochę jak szaleniec. Służby specjalne, nieformalne grupy, zastraszanie, przekupstwa?

– Czyli ma pan jeszcze inne dokumenty? Jeśli tak, proszę o nich nic nie mówić. Co prawda bardzo mnie interesuje, w jaki sposób wszedł pan w ich posiadanie, to też mogłoby wiele wyjaśnić, ale na razie zalecałbym wstrzymanie się z odpowiedzią na to pytanie. Tym bardziej, że jak zauważyłem, unika pan tego tematu – stwierdził Polak z lekkim przekąsem. – Czy nie chciałby się pan wybrać na małą wycieczkę do Europy, a konkretnie do Polski? Szczerze mówiąc, wolałbym prowadzić dalszą rozmowę w cztery oczy. Czy robił pan notatki elektroniczne dotyczące tych dokumentów?

– Wszystko wykasowałem, mam teraz tylko notatki odręczne. – Ken już sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Bardzo rozsądnie. Nie chcę nawet pana na razie prosić o przesłanie większej liczby zdjęć. Jeśli się spotkamy, a mam taką szczerą nadzieję, wtedy na spokojnie wszystko omówimy. Proszę sprawę przemyśleć i się odezwać, co pan postanowił. Myślę, że temat wart jest tego, by się w niego bardziej zaangażować.

Rozmowa, zamiast coś wyjaśnić, jeszcze bardziej wszystko zagmatwała. Liczyli na przygodę, fajne wakacje, może nawet na jakiś zarobek. A tu sprawa zaczynała się robić nie dość że coraz bardziej tajemnicza, to jeszcze być może niebezpieczna! Ken siedział dłuższy czas zamyślony, patrząc na telefon. Za oknem się zachmurzyło, zaczął wiać coraz silniejszy wiatr. W okno uderzyły pierwsze krople deszczu. Wszystko to naraz tworzyło atmosferę jeszcze większej tajemniczości, niczym w filmie kryminalnym klasy B. Trzeba będzie się znowu spotkać ze wszystkimi i porozmawiać. To był na razie jedyny wniosek z rozmowy. No i ostrzec resztę. Chociaż już nawet sami dostrzegli, że coś się wokół nich dzieje. Może jeszcze niezbyt intensywnie i niewyraźnie, ale zaczęli to podskórnie odczuwać.

---

[5] Młot Thora

## 23

Po rozmowie ze zleceniodawcami dwaj byli agenci niemieckiego wywiadu powrócili do hotelu przy 144 Washington Street. Wchodząc do hotelu, Bruno odruchowo spojrzął w kierunku monumentu upamiętniającego wydarzenie jedenastego września. Choć był zawodowcem, do którego uczucia miały zazwyczaj ograniczony dostęp, przez głowę przemknęły mu znane wszystkim obrazy chaosu na ulicach, walących się wieżowców, tłumu uciekającego w panice przed olbrzymim wałem kurzu i dymu. Nie wiedząc czemu, pomyślał o tym wszystkim w kontekście ich obecnego zadania. Nie mógł tego zrozumieć ani powiązać. Na dłuższy czas pozostało w nim nieokreślone dziwne uczucie, nie strach czy obawa, umiał sobie z nimi radzić, ale jakaś osobliwa myśl, nieodkryte jeszcze i niepowiązane ze sobą fakty. Cały czas o tym myśląc, minął bez słowa recepcję, niemal automatycznie wsiadł do windy, zupełnie się nie zastanawiając, na które piętro jedzie. Przez chwilę przestał być skupionym profesjonalistą zwracającym uwagę na każdy nawet najdrobniejszy szczegół w otoczeniu.

– Co ci jest? Jakiś zamyślony się zrobiłeś. – Andreas znał swojego kolegę bardzo dobrze. Współpracowali od lat, najpierw w BND[6], potem w prywatnym sektorze. Może nigdy nie zostali przyjaciółmi, w tej pracy trudno o przyjaźń, ale wzajemnie się szanowali i doceniali. Wiedzieli o swoich silnych i słabych stronach. Wreszcie robili często rzeczy, o których woleliby nie pamiętać.

– Nie. Nic takiego. Zastanawiam się tylko, dlaczego nasi mocodawcy tak naciskają w sprawie starych dokumentów sprzed siedemdziesięciu lat. Wiesz, zanim zaczęliśmy razem pracować, byłem przydzielony do grupy zajmującej się

rozpracowaniem technologii Trzeciej Rzeszy, a właściwie jej śladów po wojnie. Byłem wtedy młody, nie dopuszczano mnie prawie do niczego. Zajmowałem się głównie logistyką, czyli biegałem po fajki i czasem coś mocniejszego. Jednak mimo to jakiś obraz sobie wyrobiłem. Teraz zaczynam łączyć pewne fakty.

– Ja też. Coś musi być w tych dokumentach, których poszukujemy. Zresztą tak naprawdę to nie nasza sprawa, mamy zadanie, wykonamy je i odbierzemy konkretną zapłatę.

– Tak, oczywiście. Jednak nie zwalnia nas to z myślenia. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Gdy zajmowałem się sprawami technologii z okresu wojny, miałem cały czas wrażenie, że tak naprawdę szukamy bardzo konkretnych rzeczy. Ładunków nuklearnych na przykład. Planów technicznych jakichś dziwnych rodzajów broni... Kiedyś przez przypadek byłem świadkiem takiej rozmowy moich zwierzchników. Potem zaraz mnie oddelegowali do innych zadań.

– To co, myślisz, że szukamy bomby atomowej? Podejrzewam, że to tylko pojemnik z jakimiś dokumentami czy planami.

– Ale chyba nie chodzi o plan ładunku nuklearnego, bo to dziś nie jest żadna wiedza. Raczej o plany czy może mapy miejsca, gdzie takie ładunki się znajdują.

– No i co z tego? Zaczynasz mieć jakieś wątpliwości?

– Nie o to chodzi, znasz mnie, ale chciałbym wiedzieć, czego tak naprawdę szukamy. Wiem, wiem, to nie jest profesjonalne podejście do pracy. Ale czasem nawet zawodowiec może zacząć myśleć.

– W porządku, przyjąłem to do wiadomości. A teraz zacznij lepiej myśleć, jak dalej powinniśmy działać. Chyba jasne, że lecimy na Florydę. A potem, którego z naszych nurków bierzemy na widelec?

– Myślę o Morisonie. – Bruno otworzył odpowiedni plik w komputerze. Już dawno minęły czasy papierowych notatek, co z jednej strony było wadą, z drugiej zaletą. Teraz trzeba było zabezpieczać komputery czy nośniki danych, ale za to łatwiej było gromadzić informacje. – Żona, dwójka dzieci. W efekcie łatwiej



będzie na niego wpłynąć. Po za tym historyk. Komu w takiej ekipie powierzyłbyś badanie znalezionych starych dokumentów?

– Masz rację. Kawalerowie zawsze mają mniej do stracenia. Zresztą ty ich poznałeś bliżej.

– Tak, sympatyczny gość, trochę większy realista od reszty, no i ma najwięcej do stracenia. Jeśli nie będzie chciał współpracować, to zawsze możemy znaleźć inne argumenty.

– To prawda. Więc zabieramy się do pana doktora Morisona. Na razie raczej tylko ja, ciebie widział w innych okolicznościach. Więc teraz ty będziesz z tyłu. No to co, lecimy do Orlando.

\*\*\*

Kolejne lotnisko, tym razem w Orlando. Może trochę bardziej kolorowe od innych, pewnie dzięki mozaikom na podłodze i ścianach. Jednak nie zrobiły one na Andreasie i Brunie wielkiego wrażenia. Obaj eksagenci byli już przyzwyczajeni, uodpornieni, zobojętnieni zarówno na wszystkie niedogodności związane z ciągłymi lotami, jak i na wygląd poszczególnych portów lotniczych. Był to niemal codzienny element ich pracy. Tym razem pierwsze kroki skierowali do wypożyczalni samochodów „Enterprise”. Panienska o przeciętnej urodzie i podobnym zainteresowaniu klientami przekazała im kluczyki do nierzucającego się w oczy forda fusion. Wskazała numer parkingu i natychmiast o nich zapomniała.

Potrafili wtopić się w tłum, stać się nierozpoznawalni, podobni do dziesiątek takich samych mdłych ludzi. Teraz wyglądali na dwóch biznesmenów średniego szczebla, którzy w kolejnej podróży służbowej nie spodziewają się już niczego ciekawego od życia. Chcą tylko odbębnić swoje obowiązki, nie podpaść zwierzchnikom i zarobić na kolejną ratę za dom z basenem na przedmieściach. Andreas i Bruno byli naprawdę dobrzy w tym, co robili. Potrafili błyskawicznie dostosować zachowanie do wyglądu. Mieli zresztą przygotowane kilka stałych legend, które w razie potrzeb wcielali w życie. Teraz, będąc biznesmenami,

potrafili niemal bez przerwy nudzić o rynkach kapitałowych czy inwestycjach w fundusze średniego i dużego ryzyka. Hotel, w którym mieli zamieszkać przez najbliższe dni, też był typowym miejscem postoju pracowników korporacji średniego szczebla. Tutaj też idealnie wtopili się w tło. Mieli nawet odpowiednio spreparowane dokumenty, raporty finansowe, zestawienia, które były porozkładane w pokojach, tak jakby z nich korzystali, pracując nawet w hotelu. Natomiast główny przedmiot ich zainteresowania mógł nieco zdziwić. Andreas już w pierwszych godzinach po przylocie skontaktował się z przedstawicielem gangu Grandel[7], jednej z najgroźniejszych grup przestępczych w USA. Dla byłego agenta tego typu kontakty nie były niczym nadzwyczajnym. Uważał je za rutynowe i często bardzo pomocne w pracy. Umówił się na spotkanie w barze przy autostradzie niedaleko Orlando. Pojechał sam. Rozmowa była krótka, ale owocna dla obu stron, plik banknotów zmienił właściciela, natomiast Ken Morison wraz z rodziną, nie wiedząc o tym, stał się obiektem zainteresowania bandytów. Wkrótce miało dojść do włamania, w wyniku którego mieszkańcy domu na przedmieściach Orlando mieli odczuć narastające wokół nich zagrożenie. Przede wszystkim mieli też usłyszeć ostrzeżenie. Zadanie powierzono zwykłemu bandytom, pracującym czasem na zlecenie gangu. Były agent wiedział z doświadczenia, że tego typu dawka emocji potrafi bardzo dobrze nastawić do dalszej współpracy zwykłych, spokojnych obywateli. Napad zaplanowano na najbliższy weekend. Andreas zamierzał się skontaktować z Morisonem w następny poniedziałek i poważnie z nim porozmawiać.

Wracał autostradą do centrum, gdzie znajdował się ich hotel. Spotkanie z przedstawicielem gangu przebiegło bardzo gładko. Co prawda gangster usiłował robić groźne miny, zachowywał się wyzywająco, podkreślając znaczenie swoich tatuaży. Jednak na doświadczonym byłym oficerze wywiadu robił wrażenie amatora usiłującego grać w pierwszej lidze. Andreas nigdy nie lekceważył ani przeciwników, ani chwilowych współpracowników. Zdawał sobie jednak sprawę z własnych umiejętności i możliwości. Wiedział również, że członkowie gangów,

nawet tych najgroźniejszych, są w mniejszym lub większym stopniu tylko amatorami. Ale często użytecznymi. Podobnie miało być w tym wypadku.

---

[6] BND (Bundesnachrichtendienst) – Federalna Służba Wywiadowcza (Informacyjna).

[7] Grandel – meksykański gang działający na terenie USA.

## 24

Ken po raz kolejny przeglądał notatki. Ellen wraz z dziećmi wyjechała na weekend do rodziców. Dom był wyjątkowo cichy i spokojny, Ken całe przedpołudnie poświęcił na porządkowanie papierów, sprawdzanie nowych informacji i robienie notatek. Przygotowywał się do spotkania z przyjaciółmi niczym do konferencji naukowej. Ostatnie informacje oraz niepokoje, które one rozbudziły, nie dawały mu spokoju. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wszyscy trzej mieli wolną sobotę i niedzielę i bez problemu zgodzili się wpaść do Orlando. Zresztą, gdy zapowiadał się typowo męski weekend, inne sprawy zazwyczaj były odsuwane na dalszy plan. Kena czekała jeszcze jazda do marketu po zapasy, oczywiście lista zakupów nie była zbyt wyszukana i dominowały na niej płyny. Nie zmieniało to jednak faktu, że trzeba będzie odstać swoje przy kasie, jako że sobota była dniem zakupowego amoku większości Amerykanów. Po drodze musiał jeszcze odebrać Paula, który wyjątkowo miał przyjechać autobusem. Mark i Jose mieli zjawić się razem nieco później.

– Co się stało? Ty i autobus? – Ken nie mógł wyjść ze zdziwienia, gdy wczoraj Paul poprosił go o odbiór z dworca autobusowego. Dzisiaj to zdziwienie jeszcze raz odżyło, zwłaszcza gdy zobaczył wyraz twarzy przyjaciela, wysiadającego z autobusu jadącego z Tamy.

– Nic nie mów. Przedwczoraj jakiś baran wjechał we mnie na skrzyżowaniu, samochód mam w naprawie. Gina ma dyżur w szpitalu, potrzebuje jakoś dojechać i wrócić do domu, więc nie mogłem zabrać jej samochodu. I musiałem odbyć tę

uroczą wycieczkę. – Niechęć Paula do komunikacji publicznej była ogólnie znana.

– To jakie plany na dziś?

– Najpierw pomożesz mi w zakupach. – Ken nie mógł darować sobie uśmiechu. Zakupy, zwłaszcza w zatłoczonym centrum handlowym, tym bardziej w dniu amoku, były czymś, co plasowało się pośród „ulubionych” zajęć Paula nawet przed podróżą autobusem.

– Lepiej mnie dobij i nie męcz więcej.

– Nie marudź, szybko pójdzie.

– Nooo. Na pewno.

Niestety przeczucia Paula się sprawdziły, a już do szafu doprowadziła ich typowa matka o gabarytach cielnej krowy, z trójką rozkapryszonych bachorów, stojąca tuż przed nimi w kolejce do kasy. Nie dość, że okazywała, że wszystko jej się należy (w końcu jest matką!), to jeszcze jej latorośle miały podobne mniemanie o sobie. Gdy przy płaceniu paniusia najpierw wyjęła całą stertę kuponów rabatowych, a potem zaczęła się awanturować niemal o każdy z nich, nie tylko Paul, ale również Ken był bliski apopleksji. Kiedy wreszcie matka dzieciom skończyła zakupy i już tylko stała na środku, pakując się w ten sposób, że skutecznie uniemożliwiała innym odejście od kasy, Paul nie wytrzymał i zasugerował jej, że jeżeli chce się rozłożyć jak krowa do dalszego przeżuwania, to może łąka byłaby lepsza niż przejście w markecie. Oburzona kobieta spurpurowiała i już chciała się wdać w awanturę, gdy jedno spojrzenie w twarz Paula ją uspokoiło. Ken mógł przysiąc, że przyjaciel zamiast źrenic miał trupie czaszki, a na twarzy wypisaną żądę mordy.

Bez kolejnych większych komplikacji wrócili do domu, przy czym Paul nieco ochłonał, w czym wydatnie pomogło mu zimne piwo. Wkrótce też pojawili się Mark z Josem. Chcieli zaparkować na podjeździe przed garażem, w zwykłym miejscu, ale Ken, tknięty jakimś przeczuciem, polecił Markowi wjechać do w połowie pustego garażu.

– To jak, panowie?! Zaczynamy męskie popołudnie i wieczór? – Jose był pełen entuzjazmu.

– Tak sobie. Mamy parę spraw do omówienia, więc za bardzo nie licz na gorące panienki, zimne piwo natomiast jest, i to w odpowiednich ilościach. Żarcie też będzie, ale jak zamówisz. W kuchni na blacie znajdziesz całą stertę ulotek. Specjalnie dla ciebie przygotowałem, wiem, że to twoja ulubiona metoda gotowania. – Ken, jako gospodarz, od samego początku spotkania podzielił role. Mark parkował, Jose zamawiał, Paul dochodził do siebie po zakupach w markecie.

– Widzę, że Jose „gotuje”. – Mark wrócił z garażu i zobaczył Kubańczyka wiszącego na telefonie z dłonią pełną ulotek z jedzeniem na dowóz.

– Mam nadzieję, że wybierze coś konkretnego. – Paul nadal był w zrzędlwym nastroju.

– Spokojnie, zamówiłem w paru miejscach trochę różnego żarcia. Wszyscy będziecie zadowoleni.

– To po piwku na początek tak pięknie zapowiadającego się popołudnia i wieczoru. – Ken rozdał zimne butelki. – Panowie, sprawa coraz bardziej się gmatwa, ale może najpierw Mark powie co z Enigmą?

– Myślę, że niedługo będziemy mieli kupca. Znajomy się spisał i ma już potencjalnego kandydata, powinniśmy wyciągnąć na czysto około dziewięćdziesięciu tysięcy. Sprawa jest czysta i całkowicie legalna. Po drodze Jose zadeklarował, że postara się dowiedzieć, jak najlepiej rozliczyć podatek od takiej sprzedaży. Tak byśmy i my byli zadowoleni, i Wuj Sam. A ty co wskórałeś?

– Znalazłem w Polsce faceta, Flisak się nazywa, sprawia wrażenie kompetentnego i znającego się na rzeczy. W trakcie rozmowy wynikło jednak parę nowych spraw i dlatego dzisiaj się widzimy.

Ken streścił rozmowę z Polakiem.

– Wygląda na to, że mamy coś, co jest ważne nawet dzisiaj. Tyle lat po wojnie. Do tego jeszcze te wszystkie ostrzeżenia, facet nie jest paranoikiem, przynajmniej nie sprawiał takiego wrażenia. Mówił konkretnie, niczego nie narzucał, tylko

ostrzegał. Zresztą my sami już zaczęliśmy dostrzegać różne dziwne zdarzenia wokół nas. Na razie nie mam pomysłu, co dalej z tym wszystkim zrobić. Jeśli chcemy w to wejść na poważnie, chyba będzie trzeba polecieć do Polski. Najprościej byłoby to po prostu komuś sprzedać, ale nachodzą mnie wątpliwości. Wiecie, przejrzałem jeszcze raz wszystko dokładnie i zaczynam się zastanawiać, co będzie, jeśli coś z tych papierów trafi do nieodpowiednich ludzi. Na tyle, na ile się dało, mamy na razie przetłumaczone te papiery. Wynika z nich, że to plany miejsc, gdzie zmagazynowano gotowe ładunki nuklearne, do tego nowe rodzaje broni. Znamy nazwiska strażników, którzy pozostali na miejscu, by to wszystko ochraniać. Teraz pewnie już od dawna nie żyją, ale podejrzewam, że pojawili się nowi. To też sprawdziłem, są wzmianki właśnie o „strażnikach”, którzy do dziś funkcjonują na interesującym nas terenie. Wreszcie poznaliśmy lokalizację schowków z inną zawartością, zresztą dokładnie opisaną; fraza „500 Kilo Gold in Barren von 500 Gramm” jest łatwa do przetłumaczenia. Pewnie niektóre już są opróżnione, ale jest tego tyle, że coś nadal musi być. Czekam na wasze pomysły, co dalej z tym robimy. Bo sprawa może być na tyle wielka, że zapewni nam przyszłość. Ale jednocześnie to wszystko może być dość śmierzące. Pomijam tu aspekty moralne, bo chyba nie mamy wątpliwość, skąd to złoto i inne rzeczy pochodzą – zakończył Ken.

Przez dłuższy czas wszyscy milczeli, ciszę przerwał dopiero dzwonek do drzwi wejściowych. Przyjechała kolejna porcja jedzenia zamówiona przez Josego.

– Przecież możemy zainteresować się tylko schowkami, o moralności będziemy dyskutować kiedy indziej, a plany i magazyny z ewentualną bronią możemy komuś przekazać – odezwał się jako pierwszy Jose.

– Tak, ale jedno z drugim jest powiązane. Zresztą zdaje się, że to właśnie o tę broń wszystkim chodzi i o nią sprawa się rozbija. Teraz nawet my traktujemy resztę jako bonus. Wyobrażacie sobie, co będzie się działo, gdy broń nuklearna trafi w ręce jakichś kozojebców spod sztandaru proroka, którym marzy się wszechświatowy kalifat? – dołączył do dyskusji Mark, chyba najlepiej z nich obeznany z zagrożeniami wynikającymi ze światowego terroryzmu. – Panowie,

walczyłem w Afganistanie, Iraku i jeszcze paru innych psychostanach, może nie jestem wielkim patriotą, ale nie pozwolę, by jakiś pojeb zdetonował bombę atomową na Wall Street w Nowym Jorku czy w jakimś innym miejscu na świecie. Jeśli jednak przekazemy władzom tylko część dokumentacji, to na pewno przyczepią się o resztę i nie dadzą nam spokoju. Jeśli uda nam się, powiedzmy, opróżnić schowki z inną zawartością, a potem przekazemy resztę władzom, to wykończy nas urząd skarbowy. Bo nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy nam w tłumaczenia, że nagły wzrost naszych aktywów jest wynikiem spadku po zmarłej cici milionerce. Jakkolwiek się obrócić, jesteśmy w dupie – zakończył jedną ze starożytnych sentencji ludowych.

– Na urząd skarbowy może dałoby się znaleźć sposób – zauważył zamyślony Jose. – Mark, przecież masz koncesję na wydobycie złóż morskich? Już o tym rozmawialiśmy przy okazji legalnej sprzedaży Enigmy.

– Mam, odnawiam co roku za niemałe pieniądze. Przecież się na nią rzucamy.

– Właśnie, jeśli coś znajdziemy, to na dnie, panowie! Cała trudność będzie polegała na przetransportowaniu całego towaru z Europy. Rozliczamy się z urzędem skarbowym, tutaj też przy odrobinie kreatywności coś niecoś powinno się udać. I jesteśmy czyści.

– Fajnie, to mamy już ewentualny koniec zadania. Jeszcze tylko wszystko to posprawdzać, polecieć do Europy, znaleźć odpowiednie miejsce, wyciągnąć tak, by nikt się nie dowiedział, wrócić z tym do kraju, no i przy okazji nikomu nie podpaść i nie oberwać z żadnej strony. Prościzna! – stwierdził z przekąsem Paul.

– Nie wkurzaj się, po prostu podałem rozwiązanie formalnego problemu. Nadal przecież właściwie nic nie wiemy.

– Myślę, że jeżeli chcemy rzeczywiście coś z tym zrobić, wyjazd do Europy nas nie minie. Byłem raz w Polsce na ćwiczeniach z ich siłami specjalnymi. Konkretni goście, świetni fachowcy, a po wszystkim zrobili imprezę, na której też



pokazali, co potrafią. Połowę naszych ludzi wynieśli, a reszta i tak za bardzo nie kojarzyła, co się dzieje. – Markowi zebrało się na wspomnienia.

– Okej, ale to nie zmienia faktu, że coś trzeba zdecydować. Panowie, konkretnie co robimy? Nie ma z nami dziewczyn, ale decyzję podjąć trzeba. Je jestem za dalszym grzebaniem w sprawie i podróżą do Polski. Spotkamy się z Flisakiem, a potem prawdopodobnie będziemy działać dalej. Trzeba się tylko dobrze przygotować. – Ken pierwszy wyraził swoje zdanie.

– Ja uważam tak samo. – Paul też był za podjęciem dalszych działań.

Jose tylko skinął głową. Wszyscy spojrzeli na Marka.

– Dobrze, panowie, robimy to. Tylko nie na wariackich papierach, trzeba będzie się dokładnie przygotować, wszystko musi być zaplanowane, i to w kilku wariantach. Przede wszystkim działania w Europie, ale też, co robimy z resztą dokumentów. To też trzeba dokładnie przemyśleć. Może po prostu o nich zapomnieć i gdzieś je schować. A tak przy okazji, coś mnie tknęło. Przepakowałem cały pojemnik, wynająłem skrytkę bankową i teraz wszystko jest chyba lepiej zabezpieczone niż u mnie w sejfie. Tu mam dla każdego z was numer z kodem dostępu do skrytki w banku. – Mark wyjął z portfela małe kartoniki z ośmiocyfrowym numerem i podał każdemu z przyjaciół. – A, jeszcze jedno: jeśli jedziemy do Europy, to chyba bez dziewczyn, nie ma sensu ich dodatkowo narażać. Tym razem wakacje to raczej nie będą. Ken, Paul, będziecie musieli to załatwić.

– W takim razie mamy ustalone, co robimy. A jeśli idzie o szczegóły? – Paul lubił wiedzieć, na czym stoi. Zanosilo się na długie planowanie i przy okazji spory o detale ich kolejnej wyprawy. Przenieśli się z salonu do gabinetu Kena. Był co prawda mniejszy, ale potrzebowali komputera, map i notatek.

Po północy kilkadziesiąt metrów od domu Kena i Ellen zaparkował samochód dostawczy z firmy sprzątajacej. Siedziało w nim trzech mężczyzn. Obserwowali przez dłuższy czas dom i ulicę, o tej porze praktycznie wymarłą. W końcu założyli kominiarki. W połączeniu z ciemnymi kombinezonami, które mieli na

sobie, czyniły ich one nierozpoznawalnymi. Ich sprawne ruchy, zachowanie, umiejętność szybkiego poruszania się od cienia do cienia pokazywały, że cokolwiek robią, nie robią tego po raz pierwszy. Szybko podeszli pod interesujący ich dom, jeden z nich obszedł budynek dookoła. Po chwili ściszym głosem poinformował towarzyszy o palących się światłach w pokoju na parterze, właśnie na tyłach domu. Nie widział, kto jest w środku, bo żaluzje były opuszczone.

– Co robimy? Czekamy czy wchodzimy teraz? – zapytał najpotężniej zbudowany z całej trójki. On był tu od roboty, od planowania i kierowania byli inni.

– Wchodzimy, prawdopodobnie ktoś jeszcze nie śpi. Najpierw idziemy tam, gdzie się świeci, potem przeszukujemy dom. Tylko pamiętajcie, ma być cicho!

Otworzenie zamka w drzwiach nie stanowiło problemu, po chwili cała trójka była już w środku. Wykazując się isticie kocimi ruchami, dotarli do drzwi, spod których sączyło się światło. Wyjęli broń, pierwszy z nich gwałtownie otworzył drzwi, i wpadli do środka. Widok był zupełnie inny, niż się spodziewali. W środku zamiast spodziewanego jednego znajdowało się czterech mężczyzn. Dwaj pochyleni nad komputerem, jeden studiował mapę leżącą na niskim stoliku. Czwarty akurat sięgał po piwo. To właśnie on zareagował najszybciej. Butelka, jeszcze przed chwilą trzymana w ręce, poszybowała w kierunku głowy pierwszego z napastników. Jednocześnie Mark, bo to on mógł się poszczycić tak szybką reakcją, skulił się i rzucił pod nogi dwóch pozostałych napastników. Wykorzystał ich chwilowe zaskoczenie widokiem i gwałtownością reakcji. W czasie gdy ten, który oberwał butelką w głowę, stał zamroczony, Mark przewrócił dwóch pozostałych. Ta chwila wystarczyła, by do akcji włączyli się pozostali. Najpierw Jose, który rzucił się na jednego z leżących mężczyzn, złapał go za rękę, w której ten nadal ścisnął pistolet. Ken i Paul mieli najdalej, lecz gwałtowność sytuacji sparaliżowała ich tylko na chwilę. Widząc, co się dzieje, Paul szybko podbiegł do tego, z którym się szarpał Jose, i z całej siły kopnął go w głowę. To wystarczyło. Paul złapanym z biurka pamiątkowym kamionkowym kuflem zdzielił pierwszego napastnika, który po ciosie butelką zaczął dochodzić do siebie. Był to kawał

chłopa, jednak najpierw butelka, potem kufel, a na końcu pięść Kena zamroczyły go na dobrą chwilę. W tym czasie Mark miał już w ręce jeden z pistoletów i przykładał go pod brodę trzeciego napastnika. Wszystko trwało sekundy. Cała siódemka była nieźle zasapana, adrenalina we wszystkich aż buzowała. Sytuacja była już jednak pod kontrolą. Jeden nieprzytomny, jeden zamroczony, jeden z pistoletem przy twarzy.

– Co to, kurwa, jest? – Paul pierwszy zadał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

– Później. Teraz trzeba ich związać, potem pogadamy. A ty, skurwielu, się nie rzucaj, bo ci łeb odstrzelę. – To ostatnie zdanie Mark skierował do napastnika, któremu cały czas przykładał broń do głowy.

Ken, niewiele myśląc, wyrwał kabel z lampy stojącej na biurku i przy pomocy Josego zaczął krępować największego napastnika. W tym czasie Paul zebrał z podłogi dwa pozostałe pistolety, jeden zatknął za pasek, drugi przeładował i wziął na cel napastników. Szybko się okazało, że mieli przy sobie plastikowe kajdanki, które teraz świetnie się przydały. Dodatkowo skrępowali całej trójce nogi sznurem przyniesionym przez Kena z garażu. Zrobił to bardzo sprawnie Mark, przywiązując nogi do wykręconych do tyłu rąk. Skutecznie uniemożliwiało to jakiegokolwiek próby uwolnienia się i wywoływało ból praktycznie przy każdym ruchu. Dopiero teraz Jose zerwał kominiarki z głów napastników.

– No i to jest właśnie to, o czym mówiłem wam wieczorem. Sprawa śmierdzi coraz bardziej. – Ken, po pierwszym szoku i uderzeniu adrenaliny, zaczął dochodzić do siebie. Właśnie uświadomił sobie, że gdyby nie zbieg okoliczności, dziś w domu byłyby Ellen i dzieci. Ta ostatnia myśl wzbudziła w nim narastającą wściekłość.

– Co dalej robimy? Dzwonimy po gliny? – zaczął się głośno zastanawiać Paul.

– Poczekaj, po co gliny? Najpierw porozmawiamy. – Mark był najspokojniejszy ze wszystkich, w jednej chwili zaczął być znowu operatorem jednostki specjalnej, który potrafił przesłuchać jeńców. – Ken, masz tu piwnicę?

– Tak, dom jest podpiwniczony, jest tam parę wolnych pomieszczeń.

– Woda też tam jest?

– Tak, mamy tam pralnię.

– Okej, to porozmawiamy po kolei. Najpierw ten ładny, z wydziaraną mordą. – Mark złapał jednego z napastników pod ramiona z jednej strony, Jose z drugiej, i powlekli go do drzwi prowadzących do piwnicy.

– Co chcesz zrobić? – Ken zaczął czuć, o co chodzi Markowi.

– A, pogadać tylko. W razie co, szpadel masz?

– Mam, ale nie zakopujcie mi ich w piwnicy, bo zaczną śmierdzieć za jakiś czas. Lepiej po wszystkim będzie gdzieś ich wywieźć. – Ken wczuł się już w konwencję, odgadując, co przyjaciel zamierza zrobić. Choć pewien niepokój co do jego poczynań pozostał.

– W porządku, postaramy się za bardzo nie nabałaganić. – Mark był przerażająco spokojny, za to napastnicy zaczęli się coraz bardziej niepokoić.

Gdy znaleźli się w piwnicy, Mark napełnił znaleziony baniak wodą, wziął wiszący w suszarni ręcznik i pochylił się nad wytatuowanym bandziorem. Ten leżał na przeraźliwie zimnych kafelkach, patrzył coraz bardziej rozbieganym wzrokiem to na Marka i Josego, to na regały stojące pod ścianami piwnicy. Pełne różnych najczęściej niepotrzebnych już rzeczy. Powoli sam zaczynał się czuć jak taka rzecz.

– Żeby była jasność, praktycznie nie żyjesz. Od ciebie zależy, czy będzie cię to bardzo bolało, czy tylko trochę.

– Nic mi nie zrobisz, gdy moi ludzie się o tym dowiedzą, wszystkich was i wasze rodziny rozwalą – próbował się jeszcze odgryzać wytatuowany.

– Popatrz, Jose, twardej nam się trafił. – Mark bez dalszych dyskusji zarzucił niedoszłemu napastnikowi na twarz ręcznik i powoli zaczął go polewać wodą. Jednocześnie spokojnym tonem tłumaczył przyjacielowi: – Woda jest lepsza od prądu czy innych metod, mniej do sprzątanía, wprowadzie dobrze działa też pocięcie klienta, ale wolę to stosować raczej w warunkach polowych, tu nie

będziemy brudzić. Poza tym zaczęłyby wyć przy obcinaniu jaj, a mamy noc, ludzie dookoła śpią. Po co ich budzić.

Cały czas polewał wodą ręcznik, zupełnie nie zwracając uwagi na rzucającego się mężczyznę. W końcu przestał. Zdjął ręcznik i przez chwilę ze znużoną miną obserwował usiłującego złapać powietrze bandziora. Po chwili, nie zadając żadnego pytania, ponownie zaczął go podtapiać. Gdy znowu skończył, przesłuchiwany był na granicy utraty świadomości.

– Nie śpimy! Bawimy się dalej. – Uderzył parę razy otwartą dłonią w twarz bandziora. – Po co tu jesteście i kto wam to zlecił? Mówisz czy mam się naprawdę poważnie do ciebie zabrać?

Przesłuchiwany nadal milczał.

– Ken, masz w domu amoniak albo terpentynę? – Mark oddalił się na chwilę od przesłuchiwanego i stanął przy schodach prowadzących do piwnicy.

– Coś powinno być, na pewno miałem amoniak, używam go do czyszczenia szyby w kominku. – Ken, wiedziony ciekawością, co jego koledzy wyprawiają w piwnicy, zszedł po schodach na dół. – O, w tej szafce za tobą – wskazał koledze.

– Dzięki, idź na górę, pomóż Paulowi pilnować tych dwóch pozostałych, my tu sobie jeszcze porozmawiamy.

Mark podszedł do przesłuchiwanego, otworzył butelkę i cieniutka strużka płynu trafiła na ponownie przykryte ręcznikiem usta bandyty. Ten moment okazał się przełomowy. Napastnik zaczął się tak szarpać, że ręcznik spadł mu natychmiast z twarzy, a z ust wydarło się ni to wycie, ni to przytłumiony dziwnym bulgotem wrzask.

– Mówisz czy mam się jednak zacząć brudzić? – Mark nadal był wyjątkowo spokojny. – Mam cię znowu przykryć? Tylko pamiętaj. Tym razem mogę nie trafić i już do końca życia będziesz chodził na macanego. Więc...

– Jak powiem, zabiją mnie! – Wytatuowany bandyta wreszcie zaczął mówić.

– A jak nie powiesz, to będziesz czuł, że zdychasz. Ja mam czas, kolega chce zobaczyć, jak się przesłuchuje na ostro, no to mogę na tobie pokazać. – Mark

wyjął z pokrowca przy pasku składany nóż i powoli zaczął przecinać kombinezon leżącego w okolicy krocza. Przesłuchiwany coraz bardziej przerażonym wzrokiem śledził każdy ruch Marka. W końcu zaczął cicho pojękiwać i wręcz piszczeć.

– Ty, zobacz, jeszcze mu nic nie obciąłem, a już zachowuje się jak kastrat. – Rozbawiony Mark spojrzał na przyjaciela.

– Jak powiem, to mnie nie zabijecie? – Bandzior był coraz bardziej przestraszony, ale nadal próbował negocjować.

– Już ci powiedziałem, że nie żyjesz. – Mark nie sprawiał wrażenia chętnego do jakichkolwiek ustępstw.

– Może go jednak nie zabijemy? Może wystarczy go tylko okaleczyć? Co ty na to? – Jose próbował okazać ludzką twarz.

– No nie wiem. Już mu obiecałem, ale co proponujesz oprócz kastracji? Wyrwanie języka i oślepienie? Da się zrobić.

Konwersacyjny ton Marka podziałał chyba lepiej niż podtapianie. Przesłuchany najpierw się posikał, a potem zaczął łkać.

– Mów! Kto to zlecił? – Tym razem pytanie zadane było ostro.

– „Mets”, nie wiem, jak się nazywa. Naprawdę. Kazał się włamać, postraszyć trochę, potargać ludzi w domu, tak żeby mieli do myślenia. Mieliśmy też ich ostrzec, żeby nie zajmowali się sprawami, do których są za mali, ale nie wiem, o jakie sprawy chodziło. „Mets” nie powiedział, o co konkretnie chodzi, nie kazał nikogo zabijać. Mieliśmy się tylko zabawić, mogliśmy też zabrać fanty. To wszystko, co wiem. Naprawdę!

– Jak znajdę tego „Metsa”?

– Jest taki bar w Sky Lake, nazywa się Tin & Taco, tam można go znaleźć, przeważnie wieczorem. Ale nigdy nie jest sam, zawsze ma przy sobie jednego albo dwóch ludzi.

– A jak go poznam?

– Ma na twarzy wytatuowane symbole Azteków, a na prawej ręce duży napis „Grandel”.

– Co to za gang?

– Zajmują się głównie handlem organami i amfą.

– A ty jak, jesteś z nimi związany?

– Nie. Tylko dla nich czasem robię takie zlecenia, napady, jak trzeba kogoś zastraszyć. Nie przyjmują ludzi z zewnątrz. Są cholernie ostrożni, potrafią zabić tylko za samo podejrzenie. Mnie pewnie też zabiją, jak mnie puścicie.

– Skąd wiesz, że cię puścimy?

– Nie wiem, ale mam już dość, naprawdę. – Bandzior wydawał się faktycznie pogodzony ze swoim losem.

– Słuchaj, śmieciu! To, co powiedziałeś, mam nagrane. Gliny tego nie dostaną, ale jak tylko mnie wkurwisz, to goście z Grandel o wszystkim się dowiedzą. Nie znaczy to, że cię puścimy. Ale za to gang może zabawi się z twoją rodziną. Chyba masz jakąś? Zobaczmy, co powiedzą twoi kolesie. Jeśli tylko coś będzie się nie zgadzać, wszyscy idziecie do piachu. – To mówiąc, Mark sprawnie zakleił taśmą usta bandziora i zarzucił mu na głowę worek. Potem skrępowanego i zakneblowanego razem z Josem przeciągnęli go do drugiego pomieszczenia. Tak by kolejny przesłuchiwany go nie widział. Jose schował do kieszeni telefon z nagraniem i obaj wyszli z piwnicy po następnego gangstera.

– I co, powiedział coś? – zainteresował się Ken, cały czas trzymając na muszce pozostałą dwójkę. – Bo ci milczą jak zakłęci.

– Spokojnie, zaraz będą mówić. Tamten coś tam powiedział, ale nie jestem pewien, czy wszystko. Niestety trochę mnie poniosło i teraz już nic nie powie. Ale mamy jeszcze tych dwóch.

Mark sprawiał wrażenie wręcz znudzonego całą sytuacją.

– To co, chłopcy, który następny? – Obaj niedoszli napastnicy spojrzeli na niego z obawą.

Kolejne przesłuchania potwierdziły to, co mówił pierwszy z bandytów. Teraz wszyscy trzej, związani, zakneblowani, z workami na głowach i przede wszystkim nieźle przestraszeni, czekali w piwnicy na swój dalszy los.

Ken z Paulem w tym czasie posprząтали w gabinecie.

– Jeszcze lampę przez nich zniszczyłem. – Ken, trzymając w ręce kabel, którym na początku skrępował jednego z napastników, cały czas dochodził do siebie.

– Teraz to musimy się na serio zastanowić, co dalej robimy. – Mark usiadł w fotelu ze szklaneczką czegoś mocniejszego. – Sprawa powoli zaczyna wymykać nam się z rąk. Na początek: co robimy z tymi trzema śmieciami?

– Przez chwilę myślałem, że faktycznie chcesz ich zlikwidować. – Paul też uspokajał się mocniejszym trunkiem.

– Nadal ta opcja jest aktualna. Jeśli ich puścimy, mogą nam nabałaganić. Jeśli ich nie puścimy, mamy problem, co dalej. Teraz to chyba kontaktu z glinami nikt na poważnie nie bierze. Mamy co prawda ich nagrania i możemy ich nimi trochę zastraszyć, ale na niewiele to może się zdać.

– A może faktycznie przekazać jakoś te nagrania gangowi, ich wypuścić, i sprawę mamy z głowy? – Jose zaczął brać pod uwagę dość mroczną przyszłość bandytów.

– Oni mogą jeszcze trochę poczekać, w razie czego możemy zawsze wywieźć ich na bagna i albo puścić, albo... sami wiecie co. Teraz ważniejsze, co robimy dalej z naszą sprawą. Myślę, że ta „wizyta” miała być ostrzeżeniem. I teraz pojawi się ktoś z konkretnym przekazem. Możemy też poszukać tego całego „Metsa” i dowiedzieć się, kto tak naprawdę zlecił sprawę, ale myślę, że wtedy już będzie trzeba iść na ostro i z gangiem, i z całą resztą. A nie wiem, czy jesteśmy na to gotowi. A, i jeszcze jedno: trzeba przeparkować tego dostawczaka, którym przyjechali. – Mark zdawał sobie sprawę, że sytuacja szybko może się wymknąć spod kontroli.

– Mój pomysł jest taki... – Ken zaczął chodzić po pokoju. – Czekamy na KOGOŚĆ, kto teraz będzie chciał z nami porozmawiać. Myślę, że odwiedzą mnie. Już mówię dlaczego. Jose i Mark są kawalerami w zasadzie bez zobowiązań rodzinnych. Tylko ja i Paul mamy żony, ja dodatkowo mam dzieci. W efekcie



mam najwięcej do stracenia. To, że napadli na mój dom, jest tego najlepszym dowodem. Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że zamiast Ellen i dzieci byliście wy. Te dupki też były zaskoczone, spodziewali się łatwej roboty, a spotkali czterech gości. Mój pomysł jest taki: praktycznie nikt obcy nie wie, że tu jesteście. Może byśmy razem poczekali na wizytę faktycznego zleceniodawcy, przycisnęli go i dowiedzieli się, o co naprawdę chodzi. A myślę, że chodzi o nasze dokumenty z U-Boota. Wydaje mi się jednak, że oni, nie wiemy jeszcze kim są ONI, nie wiedzą do końca, czy coś wyciągnęliśmy. Jeśli więc dobrze to rozegramy i zagramy, utwierdzimy ich w przekonaniu, że niczego nie znaleźliśmy.

– Okej. Ale czy to nie będzie podejrzane, że czekamy na gościa w czwórkę, napaleni jak diabli?

– Myślę, że nie, przecież o niczym nie wiemy. Tylko chcemy się dowiedzieć, o co w końcu chodzi. A przy okazji na odchodnym możemy podarować naszemu gościowi tych trzech dupków. Chociaż ten problem się rozwiąże. Możemy przecież myśleć, że chodzi o Enigmę. To w końcu prawie sto tysięcy dolców, jest się o co bić. Tylko teraz pytanie, panowie: czy macie możliwość, żeby posiedzieć u mnie jeszcze parę dni?

– Ja bez problemu – oświadczył Mark. Nawet gdyby miał jakieś inne sprawy, dla przyjaciela by je odłożył. Pozostali też kiwnęli głowami, potwierdzając, że zostaną.

– Zadzwońię tylko do Giny, ty też powinieneś pogadać z Ellen, żeby na razie nie wracała. – Paul i Ken mieli najwięcej do stracenia i musieli najbardziej pokombinować, jak wytłumaczyć żonom zaistniałą sytuację w taki sposób, by nie wzbudzić ich niepokoju, ale by jednocześnie zachowały niezbędną ostrożność.

## 25

W słoneczne poniedziałkowe popołudnie Andreas jechał powoli przez typowe amerykańskie przedmieście klasy średniej. Dookoła większe lub mniejsze domy, często z basenami, dużo drzew, zieleni. Zadbane trawniki, na podjazdach przed domami przeważnie duże rodzinne samochody. Obraz popołudniowej sielanki i spokoju. Zaparkował przed numerem 195, w którym mieszkał wraz z rodziną obiekt jego wizyty. Wsiadł i powoli, spokojnie podszedł do drzwi. Dzwonek miał przyjemną barwę dźwięku, jakby chciał zapowiadać zawsze tylko miłych gości. Tym razem nie do końca tak miało być. Drzwi otworzył znany już Andreasowi z obserwacji i zdjęć doktor Ken Morison.

– Dzień dobry. Pan Morison, jak mniemam. – Andreas przy tego rodzaju wizytach przeważnie był oficjalnie grzeczny.

– Tak, w czym mogę pomóc? – Przed Kenem stał wysoki, dobrze zbudowany blondyn w eleganckiej, modnej marynarce. Lekko się uśmiechał, ale jego zimne oczy cały czas pozostawały czujne i prześwietlały gospodarza. Ken od razu wiedział, że to „ich człowiek”.

– Może wejdziemy do środka, mam nadzieję, że domyśla się pan, w jakiej sprawie przyszedłem. – W angielszczyźnie nieznanego, świetnej zresztą, dało się wyczuć delikatny obcy akcent.

– Chyba tak. – Mina gospodarza praktycznie mówiła wszystko. – O co chodzi? Czy pan jest związany z napadem na mój dom? Bo raczej policjantem pan nie jest, nic na policję nie zgłaszałem.

– Spokojnie, bez zbędnych nerwów, panie Morison. A może woli pan po prostu, bym mówił „Ken”? – Andreas zachowywał się uprzedzająco grzecznie. Był to element wielokrotnie wypróbowanej taktyki. – Cieszę się, że posłuchał pan sugestii i nie dał znać policji o tym, jak podejrzewam, niezbyt miłym incydencie.

– Niezbyt miłym. – Kena naprawdę zaczynały ponosić nerwy. – Napad na mój dom, zamaskowani bandyci, zastraszanie nazywa pan niemiłym incydem. A w ogóle kim pan jest i o co panu chodzi?

– Moje nazwisko nic panu nie powie, nie jest do niczego potrzebne. Może przejdziemy gdzieś i spokojnie porozmawiamy? – Kolejny zimny uśmiech. Nie czekając na gospodarza, przeszedł do salonu.

– Zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi. – Ken nadal całkiem nieźle udawał zdezorientowanego.

– Mażonki i dzieci nie ma w domu? – Nieznajomy wyraźnie przyśpieszył, dając do zrozumienia, że wie dużo.

– Nie ma. Zresztą nie powinno to pana obchodzić.

– W sumie tak. Przejdę do rzeczy. Mnie i moich znajomych interesuje ostatnia wakacyjna wyprawa pana i jego przyjaciół. Na Bahamy, o ile dobrze pamiętam. Jesteście byłymi nurkami wojskowymi i nadal nurkujecie, teraz już tylko hobbystycznie. Prawda? Nurkowaliście na wraku zatopionego okrętu podwodnego i wydobyliście z niego trochę różnych rzeczy. I tu pojawia się zbieżność naszych interesów.

– Chodzi wam o Enigmę? – Ken po raz kolejny wykazał się niezłymi zdolnościami aktorskimi, przerywając rozmówcy w odpowiednim miejscu.

– Niezupełnie, raczej chodzi nam o... – W tym momencie nieznajomy, wiedziony szóstym zmysłem, zaczął się gwałtownie obracać. Nie zdążył. Ręka Marka uzbrojona w pistolet była szybsza. Poczuł chłód lufy z tyłu głowy, jednocześnie został szybko i wprawnie przeszukany. Nie miał przy sobie broni. Następnie został przewrócony na ziemię i sprawnie skrepowany.

– Teraz porozmawiamy serio, o co tu chodzi. – Mark przejął rolę pytającego. – Wynajmujesz zbirów, napadasz na dom mojego przyjaciela, teraz przychodzisz i dalej próbujesz straszyć. Nie, Enigmy nikomu nie oddamy, wydobyliśmy ją i sami ją sprzedamy. Jeśli myślisz, że się przestraszymy, to się mylisz.

Andreas, choć zaskoczony, starał się tego po sobie nie pokazywać. Znalazł się w niecodziennej dla siebie sytuacji, pokonany przez amatorów. To ostatnie najbardziej go irytowało. Postanowił jednak doprowadzić sprawę do końca. Nie podejrzewał, by tak naprawdę coś poważnego mu groziło.

– Może jednak porozmawiamy? Nie chodzi mi o waszą Enigmę. – Choć skrepowany i na ziemi, nadal czuł, że ma przewagę. – O, widzę, że pozostali panowie też tu są.

Do pokoju weszli Paul i Jose.

– Posadź go na kanapie. Porozmawiamy. – Ken, tak jak ustalili wcześniej, miał prowadzić rozmowę. – O co ci chodzi, człowieku? Jeszcze raz powtarzam: Enigmę wydobyliśmy legalnie, mamy na to koncesję, i nikomu jej nie oddamy. Zaraz dzwonię po policję i mówię, co tu się dzieje.

– Po co policja? – Andreas zaczynał pomału rozumieć, że ci amatorzy niczego nie mają. Cały czas bredzą tylko o Enigmie, która która go zupełnie nie interesowała. – Porozmawiajmy spokojnie, może na początek ktoś mnie rozwiąże?

– Mów, o co ci chodzi.

– Widzę, że na rozwiązanie nie mogę liczyć? Dobrze, już wam tłumaczę. Moi partnerzy i ja poszukujemy specyficznych artefaktów, które mogłyby się znaleźć na wraku łodzi podwodnej. Podejrzewamy, że je wydobyliście. Sprawa jest na tyle poważna, że wynajęliśmy tych zbirów. Za co przepraszam, widzę, że sprawa zaszła za daleko. Od razu mówię, że byłem przeciwny tego typu rozwiązaniom. – Andreas potrafił niemal uwierzyć we własne kłamstwa. – Chodzi o dokumenty, które mogły być na wraku. Wam do niczego nieprzydatne. A moi partnerzy przywiązują do nich wagę, że tak powiem sentymentalną i ideologiczną. – Nic mu

nie szkodziło skierowanie podejrzeń w stronę neofaszystów. – Są skłonni zapłacić całkiem pokaźną kwotę za pojemnik z tymi dokumentami.

– I tylko o to chodzi? Przez jakieś bzdury z okresu drugiej wojny najpierw napada się na mój dom, a teraz jeszcze przychodzisz i próbujesz straszyć? – Ken naprawdę wczuł się w rolę urażonej niewinności.

– Teraz widzę, że to wszystko niezręcznie wyszło. Chyba że rzeczywiście wydobyliście ten pojemnik.

– Nie, niczego takiego nie wydobyliśmy i nawet nie widzieliśmy na pokładzie wraku. Albo tego w ogóle tam nie było, albo uległo zniszczeniu, albo jest w takim miejscu, że nie można tego wyciągnąć – włączył się do rozmowy Mark. – My potrafimy nurkować, ale jeśli czegoś nie ma, to tego nie wydobędziemy.

– Mam nadzieję, że mogę wam wierzyć. Zaznaczam tylko, że moi partnerzy są bardzo zdeterminowani, by odnaleźć ten pojemnik. I możecie to odebrać jako ostrzeżenie. Jak już wspomniałem, oni są skłonni całkiem sporo zainwestować w odnalezienie dokumentów. A teraz może wreszcie ktoś raczy mnie rozwiązać, bo to już przestaje być zabawne.

– Myślę, że się zrozumieliśmy. Nie mamy żadnego pojemnika z dokumentami, nawet go nie widzieliśmy. Dobrze by było, gdybyście teraz ty i twoi partnerzy dali spokój mojej rodzinie. – Ken specjalnie koncentrował się na sobie i bliskich, by podkreślić, że nie ma nic wspólnego z tajemniczym pojemnikiem. – Mark, rozwiąż naszego gościa, chyba już wychodzi.

– Mam nadzieję, że ten teatr zadziała. – Mark wyraził chyba odczucia wszystkich po wyjściu gościa. – Teraz, panowie, o całej sprawie ani słowa. Nikomu.

Podszedł do lodówki, zdjął z niej notes magnetyczny do zapisywania szybkich wiadomości i napisał: „Możemy być podsłuchiwanie, pogadamy zaraz w samochodzie”. Ostatnie słowa podkreślił.

Po wyjściu byłego agenta pozostało im jeszcze zająć się trójką bandziorów z piwnicy. Tutaj raczej nie spodziewali się podsłuchu, zresztą mogła być to raczej

pieśń przyszłości, jeśli w ogóle.

Jose z Markiem i Paulem wyprowadzili całą trójkę – nadal skrepowaną, zakneblowaną i w workach na głowie – do garażu. Wszyscy trzej wyglądali raczej kiepsko, do tego dość mocno śmierdziało od nich moczem i nie tylko. Od nocy z soboty na niedzielę nikt się nimi zbytnio nie zajmował.

Ken w tym czasie przeszedł parę przecznic i zabrał z parkingu przy markecie samochód, którym przyjechali ich „goście”. Wjechał nim do garażu, całą trójkę dość bezceremonialnie wrzucili do środka. Następnie w dwa samochody wyruszyli do leżących na północ od Orlando lasów Rock Spring. Droga zajęła im trochę czasu; nim dojechali na jeden z leśnych parkingów, zaczęło zmierzchać. Mark poluzował więzy jednemu z bandziorów, tak by mógł się samodzielnie wyswobodzić, następnie bez słowa wsiedli do samochodu i odjechali.

– Co to było w domu z tym podsłuchem? – Jose pierwszy zadał nurtujące wszystkich pytanie.

– Ten dzisiejszy koleś śmierdział mi z daleka wywiadem. Myślę, że obecnie raczej sektor prywatny, ale uwierzcie, napatrzyłem się na podobnych w czasie różnych operacji. Obawiam się, że nawet jeśli nam uwierzył, to dalej możemy być pod obserwacją. Dlatego, panowie, rozmawiamy o naszej sprawie tylko na wolnym powietrzu. Nic przez telefon, nic przez internet. Dziewczynom też trzeba o tym powiedzieć. Jeśli macie coś w komputerach, trzeba to usunąć. Mam nadzieję, że przesadzam, ale musimy być ostrożni. Ale, panowie, jestem zdania, że robimy temat.

– Też tak myślę, trzeba uważać, bo sytuacja się zagęszcza, jednak chyba jest o co walczyć – zgodził się z nim Ken. – Obawiam się tylko, że przyjaciele naszego dzisiejszego znajomego raczej mogą być zainteresowani miejscami składowania broni. I to tym bardziej mnie przekonuje, że musimy sprawę pociągnąć. Zawsze możemy tę część dokumentów o broni przekazać władzom incognito.

– Dobrze, ale nie wiemy na razie, kim są owi „przyjaciele”, i czy sprawa nie ma czasem podwójnego dna. Chociaż chyba naoglądałem się zbyt wielu filmów sensacyjnych – podsumował Paul.

## 26

Andreas wrócił do hotelu późnym wieczorem. Natychmiast zmienił ubranie, wziął prysznic i dopiero potem zapukał do pokoju swojego współnika. Bruno znudzony oglądał telewizję. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale od jakiegoś czasu martwił się o kolegę. Andreas miał do wykonania w sumie proste zadanie, ale pojechał sam, bez wsparcia i długo nie wracał.

– Co załatwiłeś? Mają ten pojemnik?

– Wiesz, dziwna sprawa, ci goście mnie zaskoczyli. – Andreas był wobec współnika szczery, uważał, że tego wymaga ich dobra współpraca. Zawsze mówili sobie o wszystkich sprawach związanych z pracą. Niekoniecznie musieli o nich wiedzieć ich zleceniodawcy, ale oni powinni być wobec siebie całkiem szczerzy. Tego wymagały bezpieczeństwo i skuteczność, co w ich zawodzie było podstawą. Opowiedział pokrótce zaskoczonemu Brunowi, jak został obezwładniony, skrepowany, jak potoczyła się dalsza rozmowa.

– Wierzysz im? – Bruno przeszedł do porządku dziennego nad niemiłą wpadką współpracownika. W ich fachu wszystko mogło się zdarzyć.

– Sam nie wiem, jeśli nic nie znaleźli, to tylko niepotrzebnie dowiedzieli się o tym pojemniku z dokumentami. Ale bardzo wątpię, żeby ciągnęli ten temat. Cały czas sprawiali wrażenie, jakby sprawa toczyła się tylko wokół wyciągniętej przez nich Enigmy. Sprawdziłem, faktycznie to są całkiem niezłe pieniądze, można wyciągnąć około stu tysięcy dolarów. Może faktycznie nic nie wiedzą, ale do końca pewności nie mam. Zakładamy im obserwację, całej czwórce. Sami nie mamy rady, trzeba będzie wynająć podwykonawców.



– Masz kogoś tu, w Stanach? Czy ściągamy ludzi z Europy? Musimy założyć nie tylko obserwację, ale też parę podsłuchów.

– Znam dobrych ludzi we Francji, w Stanach też by się ktoś znalazł, musimy mieć pewność co do naszych „nurków”.

Obaj byli nie tylko eksoficerami wywiadu, ale również Niemcami z zamiłowaniem do dokładności i porządku, wdrukowanym na poziomie genetycznym. Musieli mieć absolutną pewność, zanim zakończą to coraz bardziej absorbujące zlecenie.

\*\*\*

Ken po wyczerpującym weekendzie dochodził do siebie na uczelni. Zajęcia ze studentami odbębnił w nietypowy dla siebie sposób. Wywołał tym lekką konsternację, znany był raczej z sumienności, ale krążyły również opowieści, że jest trochę nieobliczalnym wykładowcą. Dokładny, często wymagający, ale cały czas zaskakiwał swoich studentów, między innymi za to go lubili. Nie był kolejnym nudziarzem zapatrzonym tylko w swoją epokę historyczną.

Cały czas myślał o wydarzeniach ostatnich dni. Po zakończeniu sprawy wszyscy rozjechali się do siebie. Ellen z dziećmi po jego dość mętnych tłumaczeniach miała zostać u rodziców jeszcze przez parę dni. Miał więc spokój i czas na dalsze przemyślenia oraz planowanie wyjazdu do Polski. O tym, że tam polecą, właściwie zdecydowali już w niedzielę, a poniedziałkowa wizyta tylko ich w tym utwierdziła. Jednocześnie cały czas miał w pamięci ostrzeżenie Marka o podsłuchach, między innymi dlatego rozmowa z Ellen była taka trudna. Co prawda dzwonił z aparatu pożyczonego od kolegi na uniwersytecie (swojego rzekomo zapomniał, a miał pilny telefon do wykonania – wymyślona na poczekaniu bajeczka zadziałała), ale i tak starał się mówić ogólnikami, ostrzegł tylko żonę, by niczego zbędnego nie mówiła nikomu. Miał nadzieję, że zrozumiała.

Po dłuższym zastanowieniu postanowił kupić nowy komputer oraz mobilny modem z nowym numerem i nie rozstawać się z nimi. Tylko za pomocą tego

sprzętu miał się zajmować dalszym planowaniem wyprawy do Europy. Wiedział, że tego typu środki bezpieczeństwa mogą się nie zdać na wiele, ale z drugiej strony nie podejrzewał, by interesowała się nimi jakaś państwowa trzyliterowa agencja typu NSA czy CIA. Prędzej sektor prywatny, jak to ujął Mark, a oni raczej aż takich możliwości nie mieli.

Zaczął od wysłania maila do Flisaka, potwierdził, że ich czwórka jest zainteresowana tematem i zamierza przylecieć do Polski, by się spotkać i omówić interesujące wszystkich kwestie.

Następnie zajął się zdobywaniem informacji na temat ich przyszłego terenu działań. Kopalnią wiedzy jak zwykle okazał się internet. Przy czym największą trudność stanowiło odsianie informacji prawdziwych od całkiem fantastycznych.

„Tak swoją drogą – myślał Ken – wyobraźnia ludzka jest niezbadana. Wymyślić hodowlę superżołnierzy, do tego wilkołaków, to albo trzeba być natchnionym, albo palić świętą trawę, albo w to bardzo mocno wierzyć. A i tak nie wiadomo, czy ta wiara nie wynika z zaburzeń już na poziomie życia płodowego”.

Niestety fantastyczne wizje i teorie występowały w znacznej ilości. Choć po ponownym przejrzeniu zdjęć i dokumentów znajdujących się w „archiwum”, jak zaczęli nazywać wydobyte z wraku papiery, niektóre zdawałoby się fantastyczne teorie znajdowały potwierdzenie w starej niemieckiej dokumentacji.

Kolejny problem, nadal nie do końca rozwiązany, stanowiło tłumaczenie z języka niemieckiego. Na tyle, na ile mogli, poradzili sobie z tym sami, jednak kwestie techniczne, niuansy językowe, niektóre zwroty nadal były dla nich tajemnicą. Język Goethego niekoniecznie przemawiał do Kena swoim urokiem. Raczej wprost przeciwnie, uważał, że było w nim tyle subtelności, co w pracy silnika tłokowego, zresztą jego zdaniem oba brzmiały podobnie.

Jednakże po ostatnich wydarzeniach żaden z nich nie miał wątpliwości, że wtajemniczenie kogoś w tę sprawę niosło za sobą niebezpieczeństwo. Na razie to, co udało im się przetłumaczyć, musiało wystarczyć. Następna sprawa też wiązała

się z językiem. Większość informacji znajdujących się w sieci była albo w języku polskim, albo w niemieckim, niektóre strony miały tłumaczenie na angielski, ale nie wszystkie. O ile z niemieckim Kena pomału zaczął sobie mimo wszystko radzić, o tyle język polski był dla niego i całej ich grupy niemal magicznie nieodgadniony. Tym razem nie chodziło o brzmienie twarde niczym uderzenia w bęben wojskowy. Tutaj była pewna lekkość, śpiewność, ale z drugiej strony jakieś szeleszczące głoski, niepodobne do niczego, z czym przeciętny Anglosas miał kiedykolwiek do czynienia. Ken lubił poznawać nowe zwroty w obcych językach, od biedy potrafił się porozumieć po hiszpańsku, znał trochę francuski, ale TO? Z ciekawości sprawdził w internecie podstawy tego języka, jego gramatykę i się przeraził. Polska kiełbasa okej, ludzie z Polski też okej, polska wódka bardzo okej, ale język?! Nie!

Na razie aż tak się tym nie przejmował, przemyślenia to jedno, podejmowane działania to coś zupełnie innego. Informacje historyczne i merytoryczne, które zdobył, tworzyły jak dotąd obraz interesujący i w miarę zagłębiania się w nie – coraz bardziej tajemniczy.

Niemcy prace na interesującym ich terenie zaczęli praktycznie jeszcze w latach trzydziestych, zintensyfikowali je od 1943 roku, kiedy to sytuacja na frontach drugiej wojny zaczęła się zmieniać na ich niekorzyść. Kolejne klęski: Stalingrad, Kursk, Afryka Północna, lądowanie aliantów na Sycylii. Do tego systematyczne naloty bombowe na terytorium „Tysiącletniej Rzeszy” zmusiły ich do szukania bezpiecznych miejsc, gdzie można by przenieść produkcję przemysłową, przede wszystkim zbrojeniową. Teren Sudetów wydawał się do tego idealny. Dla nadania sprawie rozpędu powołano spółkę Schlesische Industriegemeinschaft AG – Wspólnota Przemysłowa Śląsk. By usprawnić jej działalność, a przede wszystkim dostarczyć siły roboczej, utworzono też na terenie przyszłego kompleksu przemysłowego oraz w jego okolicy sieć obozów i podobozów koncentracyjnych. W roku 1944 kontrolę nad rozbudową przejęła organizacja Todt, która jeszcze bardziej zintensyfikowała pracę i niewolnicze wykorzystywanie jeńców obozów koncentracyjnych. O tym, co miało się

znajdować na terenie kompleksu Riese praktycznie od samego początku jego istnienia, a właściwie od rozpoczęcia prac przy jego budowie, krążyły różne plotki. Niektóre wyjątkowo fantastyczne, inne trochę bardziej realne. W zasadzie od zakończenia wojny te plotki, mity i fakty cały czas się przeplatały, często wzajemnie się wykluczając lub uzupełniając. W zależności od tego, kto się tym zajmował i jakie miał podejście do sprawy. Zupełnie inaczej podchodzili do tego zawodowi historycy zgłębiający tajemnice kompleksu, inaczej pasjonaci historii, często doszukujący się przede wszystkim sensacji, a jeszcze inaczej całkiem spora grupa nawiedzonych poszukiwaczy tajemnic. Ci ostatni potrafili udowodnić z energią godną lepszej sprawy najbardziej fantastyczne teorie.

Dzięki dokumentom z U-530 Ken już na samym początku był w stanie odsiać prawdę od mitów. Co prawda tłumaczenia na język angielski pozostawiały wiele do życzenia, ale udało się w nich uchwycić podstawowy sens i ideę tego, co się działo na terenie kompleksu Riese.

Przed wszystkim dokumenty z U-Boota potwierdzały produkcję przez Niemców broni ostatniej szansy, czyli rakiet V1 i V2. Ale to nie było wielkim odkryciem, tym bardziej że wielu badaczy przychyliło się do takiej właśnie teorii. Podobnie było z zakładami przemysłowymi pracującymi na rzecz armii niemieckiej. Już bardziej fantastyczne koncepcje mówiły o badaniach nad bronią nuklearną czy wręcz o jej produkcji. Niektórzy poszukiwacze widzieli w całym kompleksie wielkie podziemne miasto ze specjalnie przygotowanymi ośrodkami badawczymi, magazynami, elektrowniami czy wreszcie schronami mającymi wytrzymać nawet wybuch atomowy.

Dokumenty wydobyte z wraku wiele z tych teorii potwierdzały. Faktycznie niemieccy naukowcy prowadzili tam prace nad bombą atomową. Zwłaszcza że w okolicy znajdowały się kopalnie uranu, który był do takiej produkcji niezbędny.

Czując coraz większy irracjonalny niepokój, Ken zdał sobie sprawę, że ich odkrycie nie tylko to potwierdzało, ale wręcz lokalizowało laboratoria i magazyny. Podobnie było z laboratoriami pracującymi nad bronią biologiczną

i chemiczną. Weszli w posiadanie dokumentów potwierdzających ich lokalizację. Mało tego, posiadali dokładne mapy, plany i zdjęcia.

W oddzielnej przegródce pojemnika był też dokładny wykaz pracowników naukowych, którzy się tym zajmowali. Przy czym ta wiedza też mogła być co najmniej kłopotliwa dla wielu państw z USA na czele. Wielu z wymienionych naukowców po wojnie zupełnie oficjalnie pracowało dla różnego rodzaju agencji naukowych. Ponadto prawdopodobnie wykorzystywali badania i wiedzę zdobytą w Riese, a często wynikała ona z eksperymentów prowadzonych na więźniach obozów koncentracyjnych. Najlepszym przykładem mógł być Hubertus Strughold, zbrodniarz nazistowski, który nie tylko uniknął odpowiedzialności za swoje czyny, głównie eksperymenty na więźniach obozów koncentracyjnych, ale nadto po wojnie został w USA obwołany „ojcem medycyny kosmicznej”. Wraz z innymi naukowcami z Niemiec pracował nad amerykańskim programem kosmicznym, przede wszystkim nad programem „Apollo”. W dokumentach wydobytych z wraku Strughold figurował jako jeden z ważniejszych badaczy. Kenowi nie chciało przejść przez głowę słowo „naukowców”. Dokumenty potwierdzały umiejscowienie jego laboratorium, zawierały dokumentację badań, a także odsyłały do odpowiednich wykazów. W nich z kolei figurowały miejsca zmagazynowania sprzętu badawczego i wszystkich rzeczy potrzebnych do wznowienia prac badawczych. Dokładność dokumentacji z jednej strony była niezwykła, z drugiej wręcz przerażająca. Znalazł się w niej na przykład dokładny spis pojemników ze szczątkami ludzkimi, które mogły być dalej wykorzystywane do eksperymentów. Im bardziej Ken zagłębiał się w niemiecką dokumentację, tym bardziej dochodził do przekonania, że Niemcy uważali zaprzestanie badań tylko za chwilowe. Po odzyskaniu terenu w ramach traktatu pokojowego, bo w wygranie wojny raczej nikt wtedy już nie wierzył, chcieli natychmiast wznowić pracę. Dlatego tak dokładnie rozplanowali i zamaskowali cały kompleks. Jednocześnie zostawili wszystko, co możliwe, w stanie umożliwiającym natychmiastowe uruchomienie.

Spisy materiałowe i magazynowe stworzone z iście niemiecką dokładnością mówiły, co, gdzie oraz w jakich ilościach zostało zmagazynowane i ukryte. Były tam i głowice atomowe, i znaczna ilość środków chemicznych i biologicznych. Całe laboratoria z niezbędnym sprzętem badawczym, archiwa z dokładną dokumentacją dotyczącą badań, odpowiednie odczynniki i materiały badawczo-produkcyjne.

Chociaż Ken już od jakiegoś czasu znał te spisy, przynajmniej w ogólnych zarysach, to jednak cały czas nie dawał im właściwie wiary. Cały czas się łudził, że to wszystko jest tylko jakimś fikcyjnym materiałem propagandowym, mającym wprowadzić w błąd przeciwników Trzeciej Rzeszy. Lecz im bardziej zagłębiał się w wiedzę na temat całego kompleksu, zarówno historyczną, jak też często zgoła fantastyczną, tym bardziej zaczynał zdawać sobie sprawę, że wiele z tych koncepcji teraz nagle zaczynało żyć nowym, całkiem realnym życiem właśnie dzięki ich „archiwum”. Wiedza ta napawała go też coraz większymi obawami, czy wręcz strachem. Dotąd cała ich szóstka podchodziła do sprawy z entuzjazmem typowym dla poszukiwaczy skarbów. Z jednej strony liczyli na spory zysk, z drugiej miało to być połączone z przygodą prawie w stylu Indiany Jonesa. Teraz, gdy zaczął rzecz naprawdę dokładnie badać, choćby nawet korzystając z internetu, stawała się ona coraz bardziej mroczna i niebezpieczna. Różne informacje wykopane z zakamarków sieci mówiły o wypadkach i niewyjaśnionych zdarzeniach, które często spotykały osoby zbyt mocno zaangażowane w sprawę kompleksu Riese. Zresztą czujność czy wręcz zaniepokojenie Flisaka, też dawały wiele do myślenia.

Ken coraz poważniej zaczynał się zastanawiać, czy są na to wszystko przygotowani. On był historykiem, raczej badaczem fotelowo-bibliotecznym, za dużą aktywność uznawał już wyjazd do archiwum. Paul był inżynierem mocno stąpającym po ziemi, nastawionym na uzyskanie konkretnych korzyści materialnych. On raczej skrupułami moralnymi nie będzie się przejmował, ale też raczej nie zdaje sobie sprawy, w co tak naprawdę się pcha. Jose, co tu dużo mówić, był gotów na wszystko wraz z przyjaciółmi, ale podchodził do sprawy

z największą swobodą i praktycznie nie zastanawiał się nad konsekwencjami. I wreszcie Mark. Jedyne spośród nich, który potrafił naprawdę ważyć ryzyko. Zresztą to ostatnie przez wiele lat było jego chlebem powszednim. Potrafił się z nim oswoić i do niego dostosować, ale podobnie jak cała ich gromadka też nie do końca zdawał sobie sprawę, w co właściwie się pakują.

Na sam koniec Ken zajął się tą częścią, która była dla nich najważniejsza – schowkami. Według dokumentacji miały one zawierać środki przeznaczone na specjalne wydatki dla grup operujących na tym terenie po wkroczeniu przeciwnika. Miały wspomagać działalność sabotażową i wywiadowczą. Część zmagazynowanych dóbr przeznaczono na opłacenie strażników, którzy w czasie przewidywanej okupacji tych ziem powinni czuwać nad bezpieczeństwem i tajemnicą kompleksu. Przy czym owi strażnicy prawdopodobnie nawet nie wiedzieli, czego strzegli. Po raz kolejny dało się odczuć, że Niemcy nie przewidywali utraty tych terenów, uważali, że także po przegranej wojnie pozostaną one w granicach ich państwa.

Lista zawartości schowków była naprawdę imponująca. Skrytki miały zawierać zarówno dobra materialne, w tym złoto wchodzące w skład skarbcza Trzeciej Rzeszy, jak też dzieła sztuki i waluty – przede wszystkim dolary i funty brytyjskie. Odnosiło się jednak wrażenie, że wszystko to zostało ukryte „przy okazji”. Dlatego że znalazło się na to miejsce, bo cały kompleks był niezwykle rozbudowany i miał też, być może, pełnić funkcję centrum zarządzania naukowego i finansowego państwa po wojnie. Znaczna część ukrytych dóbr pochodziła prawdopodobnie z rabunków prowadzonych w czasie wojny. Cała ich szóstka zdawała sobie sprawę z ich pochodzenia, ale rozterki moralne postanowili pozostawić na później, gdy już uda im się coś odnaleźć.

Cały spis inwentarza kryjówek mógł przyprawić o zawrót głowy nawet osoby, którym wydawało się, że dobra materialne nie są w życiu najważniejsze. W swej ilości i różnorodności mogłyby zachwycić nawet legendarnego Midasa.

Wśród dokumentów znajdował się też jeden specjalny segregator. Był zapakowany oddzielnie, zabezpieczony i opisany jako ściśle tajny, tylko do

wglądu członków „Ein spezielles Bergungskommando”[8]. Oczywiście jego tajność spowodowała natychmiastowy wzrost zainteresowania. Początkowo nie mogli wiele z tego zrozumieć. Do dokumentów dołączone były bardzo szczegółowe mapy terenu. Przedstawały masę symboli i znaków zupełnie dla nich niezrozumiałych. Aż w końcu Paul zaczął kopać w zakamarkach swojej pamięci i przypomniał sobie, że kiedyś widział mapy górnicze. Sprawa natychmiast ruszyła, znowu dzięki internetowi. Ken w ferworze dyskusji stwierdził nawet, że ludzie powinni czcić internet i modlić się do światowej sieci. W końcu stwierdzili, że dokument, nazwany przez nich „najtajniejszym z tajnych” wskazuje sposób dostania się do poszczególnych sekcji kompleksu, skrytek i schowków. Zaznaczono na nim wszelkie tamy, zapory i zabezpieczenia. Skalne, wodne, wymurowane sztuczne ściany, specjalne szyby dostępowe. Ukazano również pułapki minowe, wodne i co ciekawe – gazowe. Praktycznie bez tej wiedzy dotarcie do poszczególnych części kompleksu czy skrytek byłoby nie tylko niemożliwe, ale też śmiertelnie niebezpieczne. Plany te będą więc niezbędne przy jakiegokolwiek próbie eksploracji, o ile oczywiście dobrze zrozumieją ich symbolikę i zapisy. Sprawę tradycyjnie komplikował język niemiecki, który zaczynali już szczerze nienawidzić. Paul podjął się próby złamania tajemnicy zabezpieczeń, od tego praktycznie miało zależeć powodzenie ich wyprawy. Co ciekawe, bardzo szybko stwierdzili, że pomimo naprawdę pokaźnej liczby różnych pułapek prawdopodobnie można będzie je stosunkowo łatwo dezaktywować. Oczywiście po uprzednim rozszyfrowaniu i zrozumieniu planów. Jasne było, że ci, którzy mieli się tam pojawić, by uruchomić poszczególne sekcje kompleksu czy też opróżnić poszczególne schowki, nie mogli przecież przełamywać zbyt długo zabezpieczeń ani używać do tego skomplikowanego sprzętu. Schemat zabezpieczeń, umiejętność jego odczytania i zastosowania powinny tu wystarczyć, jak stwierdził w ferworze dyskusji Mark. Każda broń, nawet ta najbardziej skomplikowana, musi dać się uruchomić przez zwykłego żołdaka po przeszkoleniu. Tak samo powinno być z likwidacją pułapek. Paul stwierdził wtedy ze śmiechem, że jednak opłaciły się lata szkolenia i służby w elitarnej jednostce.



A Wuj Sam, przynajmniej w przypadku ich przyjaciela, dobrze zainwestował swoje pieniądze, skoro ten po przeczytaniu planów będzie w stanie wiedzieć, gdzie przeciąć kabelek albo pierdolnąć młotkiem. Stwierdzenie to znacznie poprawiło atmosferę.

Przeglądając po raz kolejny notatki w nowym komputerze, Ken podsumowywał wyniki pracy swojej i przyjaciół. Pomimo dość intensywnego i chwilami ekstremalnego weekendu udało im się wiele rzeczy ustalić i podjąć kilka decyzji. Przede wszystkim zapadła decyzja o dalszych działaniach i wyjeździe do Polski. Doszli do przekonania, że Mr. Flisak nie musi o wszystkim wiedzieć, zwłaszcza o ich zasadniczym celu, czyli o schowkach. Choć w ogniu dyskusji padały różne pomysły, postanowili też, że jeżeli Polak okaże się naprawdę pomocny, mogą przekazać mu informacje o niektórych skrytkach. Wszystko jednak zależało od tego, co spotka ich w Polsce i jak potoczą się wydarzenia. Jedno wiedzieli na pewno: sprawa jest poważna, nawet bardzo. Z jednej strony chcieli trochę zarobić, może nawet znacznie więcej niż trochę. Z drugiej zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nich spadła, gdy weszli w posiadanie „archiwum”. Tutaj raczej nie było dyskusji – trzeba doprowadzić do neutralizacji wszelkich zasobów broni i wszystkiego, co mogło się okazać niebezpieczne. Jednak dopiero po tym, gdy ich prywatna misja się powiedzie.

---

[8] Specjalny oddział odzyskujący.

## 27

Rolf Angerer nie lubił Dubaju. Niestety jego interesy wymagały dość częstych wizyt w tym upalnym, pustynnym i przede wszystkim obrzydliwie bogatym „kraiku”, jak zwykł go nazywać w gronie najbliższych współpracowników. Branża budowlana, z którą związany był od kilkadziesiąt lat, właśnie tutaj przeżywała największy boom i przynosiła krociowe zyski. Jego firma od lat budowała luksusowe apartamentowce na całym świecie. Od blisko dziesięciu lat również na Bliskim Wschodzie: w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Arabii Saudyjskiej, Katarze. Tam znajdowały się obecnie największe place budów Angerer Construction Group. Szejkowie mieli pieniądze, chętnie je inwestowali, co przynosiło zyski nie tylko im. Biorąc od nich pieniądze na coraz to nowsze i śmielsze projekty, Rolf cały czas podświadomie czuł do nich wielką niechęć. Oczywiście tego nie okazywał, udawał, że bardzo chętnie z nimi współpracuje, stwarzał nawet pozory sympatii, faktycznie jednak wszystkimi tymi Arabami pogardzał. Był w końcu Niemcem, Aryjczykiem, a musiał współpracować z przedstawicielami tak podłej rasy. Mało tego, musiał udawać, że ich szanuje czy wręcz lubi.

Rolf Angerer nie lubił Dubaju także ze względu na klimat. Wolał zdecydowanie chłodniejsze otoczenie. Urodził się co prawda w Argentynie, ale praktycznie całe życie spędził w USA, w Bostonie i Nowym Jorku. No ale na klimat nic nie mógł poradzić. Stać go było natomiast na zminimalizowanie jego skutków. Zresztą gospodarze też skutecznie potrafili o to dbać. Oczywiście dzięki białym Europejczykom czy Amerykanom. Tutaj Angerer też nie miał wątpliwości,

Arabowie sami z siebie nie potrafili niczego wymyślić. Tylko nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności zawdzięczali to, że ten kawałek pustyni, po którym ich dziadowie przepędzali stada zapchlonych wielbłądów, okazał się cenniejszy niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić.

Rolf Angerer nie lubił Dubaju. Ale swoją niechęć umiejętnie i skutecznie maskował, pomagały mu w tym pieniądze i pozycja. Prywatny śmigłowiec miał za chwilę lądować na lądowisku znajdującym się na Burdż al-Arab Jumeirah, jednym z najlepszych hoteli na świecie. Co prawda nie budowało go Angerer Construction Group, jednak inwestycja była bardzo udana, nawet on musiał to przyznać. Pilot poinformował Rolfa, że lądują za trzy minuty. Thomas Arana, osobisty sekretarz przedsiębiorcy, poruszył się niespokojnie. Teraz zaczynały się jego obowiązki, szef był bardzo surowy. Płacił bardzo dobrze, ale też wymagał wiele, nie mogło być mowy o żadnych niedociągnięciach. Począwszy od ulubionej wody mineralnej, koniecznie marki Bling H2O, a skończywszy na redagowaniu skomplikowanych umów biznesowych. Tylko osobisty ochroniarz przedsiębiorcy nawet nie drgnął, gdy znajdował się przy szefie, był skupiony cały czas.

Po wylądowaniu i odczekaniu, aż silniki przestaną pracować, drzwi śmigłowca otworzył sam menedżer hotelu, który czekał wraz z obsługą na specjalnego gościa.

– Miło mi ponownie powitać pana w Burdż al-Arab – przywitał Angerera z zawodowym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Również mi miło, Kevin. – Menedżer był Amerykaninem i w oczach przedsiębiorcy już choćby dlatego zasługiwał na lepsze traktowanie niż Arab.

W tym samym czasie ludzie z obsługi zajęli się bagażami. Na tym etapie sekretarz wiedział, że może na nich polegać, co nie zmieniało faktu, że i tak zamierzał sprawdzić, czy dobrze sobie z tym poradzili. Milczący ochroniarz po wyjściu z helikoptera natychmiast zajął pozycję w pobliżu szefa, gotowy na wszystko, co nieprzewidziane.

– Samochód przysłany przez szejka Faraha ibn Saleha al-Husajna już na pana czeka. Czy może najpierw woli się pan odświeżyć po locie?

– Zdecydowanie. Szejk al-Husajn poczeka. Zresztą jestem z nim umówiony dopiero za godzinę, jazda chyba nie będzie trwała zbyt długo?

– Oczywiście. Do pałacu szejka al-Husajna dotrze pan z hotelu w ciągu dwudziestu minut.

– Właśnie. Apartament ten sam co zawsze?

– Oczywiście. Pańscy ludzie sprawdzili go wczoraj wieczorem i od tego czasu nikt do niego nie wchodził. Tak jak zwykle.

– Dziękuję, Kevin, cieszę się, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Wjechali windą na jedno z najwyższych pięter hotelu, z którego roztaczał się niesamowity widok z jednej strony na panoramę Dubaju, z drugiej na morze. Choć nie była to nowość dla Angerera, przez chwilę zatrzymał się przy oknie; uwielbiał patrzeć na świat z góry. Właśnie takie miejsce było dla niego odpowiednie, wysoko ponad wszystkimi. Niestety musiał przerwać tę chwilę zapomnienia. Wziął szybki prysznic, przebrał się i był gotowy do wyjścia. Milczący ochroniarz towarzyszył mu w jeździe prywatną windą do hotelowego lobby, gdzie czekała już reszta jego ludzi wraz z osobistym sekretarzem. Bez zbędnych słów wsiedli do białej limuzyny. Za nią ruszył SUV z ochroną. W samochodzie Rolf Angerer jeszcze raz szybko przejrzał notatki dotyczące nadchodzącego spotkania. Wszystko to odbywało się w milczeniu. Sekretarz wiedział, że szef bardzo nie lubi zbędnego gadulstwa, zwłaszcza przed ważnymi spotkaniami. Przyjechali punktualnie o czasie. Na podjeździe pałacu już czekała świta szejka Faraha ibn Saleha al-Husajna; on sam oczekiwał gościa w domu.

Choć Angerer był zamożny, bardzo zamożny, nigdy nie mógł wyjść ze zdumienia nad przepychem, którym zwykli się otaczać szejkowie arabscy. Z jednej strony możliwość zatrudniania najlepszych na świecie architektów i dekoratorów, z drugiej balansowanie na pograniczu kiczu typowego dla nowobogackich. To spostrzeżenie od dawna utwierdzało go w przekonaniu, że do

bogactwa trzeba dojrzeć oraz – co ważniejsze – nie wszyscy ludzie są na nie gotowi.

Gospodarz oczekiwał na niemieckiego przedsiębiorcę pod obrazem jednego z modniejszych obecnie na świecie abstrakcjonistów. Rolf nie mógł pozbyć się wrażenia, że Arab chce się po prostu pochwalić nowym nabytkiem. Wiedział o kupnie tego obrazu z dokładnego dossier przygotowanego przez sekretarza. Tego typu informacje też go interesowały, lubił znać swoich rozmówców czy partnerów biznesowych bardzo dokładnie. Dlatego wiedział, że autorem obrazu był André Hemer, a jego cena wynosiła ponad dwa i pół miliona dolarów. Wiedział również, że najnowsza kochanka szejka pochodziła z Europy Wschodniej i była niespełnioną modelką, która miała kłopoty z kokainą, co skrzętnie przed al-Husajnem ukrywała. Żona szejka stale przebywała w Szwajcarii i w zasadzie była z nim w separacji. W Szwajcarii uczyła się ich córka, a najstarszy syn studiował na Harvardzie. Wiedział również o zaangażowaniu finansowym szejka w działania terrorystycznego ugrupowania Quat 'iilah wahid, co znaczyło „Siły Jednego Boga”. I to ostatnie było najbardziej interesujące.

– Witam, panie Angerer. Mam nadzieję, że podróż minęła dobrze – z uśmiechem powitał swojego gościa szejk Farah ibn Saleh al-Husajn, władający świetną angielszczyzną świadczącą o studiach w Oksfordzie.

– Oczywiście, zawsze bardzo chętnie przylatuję na Bliski Wschód, wiedząc, że mogę spotkać tutaj wypróbowanych przyjaciół – skłamał gładko Angerer, odpowiadając uśmiechem na powitanie gospodarza. – Piękny obraz, chociaż nie uważam się za znawcę, potrafię docenić prawdziwą sztukę. – Następne umiejętnie kłamstwa miały nastawić pozytywnie Araba. Kolejny punkt dossier wyraźnie wspominał o wielkiej miłości własnej i przekonaniu o swojej wyjątkowości.

– Cieszę się, że podoba się panu mój ostatni nabytek. Wiem, że nie przepada pan za naszym klimatem, dlatego proponuję, abyśmy się udali do oranżerii. Poleciałem tam odpowiednio obniżyć temperaturę, tak by panu bardziej odpowiadała. – Tym razem szejk popisał się znajomością informacji o swoim gościu.

Po wzajemnych powitaniach, zapewnieniach o sympatii i wyjątkowości przeszli do olbrzymiej, w pełni klimatyzowanej oranżerii, gdzie koło sztucznego wodospadu czekały wygodne fotele i wszystko, co było niezbędne do prowadzenia rozmów biznesowych. Wodospad był dodatkowym zabezpieczeniem przed ewentualnymi podsłuchami. Angerer co prawda zdania na temat swojego gospodarza nie zmienił, potrafił jednak docenić skuteczność i prostotę niektórych rozwiązań.

– Czego się pan napije? – Szejk, zanim odprawił służbę, nadal odgrywał rolę troskliwego gospodarza.

– Herbata, którą piłem w pana domu, zawsze miała niespotykany smak. – Angerer wiedział, jak przypochlebić się gospodarzowi.

Służący podał obu mężczyznom małe szklaneczki z mocnym i bardzo słodkim naparem.

Po odprawieniu służby obydwaj jeszcze przez chwilę prowadzili tradycyjną rozmowę o sprawach codziennych, rodzinach, sztuce. W końcu jednak nadszedł czas na przejście do konkretów.

– Co pana sprowadza do Dubaju? Wszystkie nasze wspólne interesy mają się świetnie. Myślę, że nasi ludzie w zupełności potrafią nad nimi zapanować. Czyżby planował pan jakieś nowe wielkie inwestycje? Takie, o których powinniśmy porozmawiać w cztery oczy?

– W pewnym sensie tak. – Angerer postanowił nie owijać w bawełnę. – Wiem, szejku, że bardzo leży panu na sercu jedność świata arabskiego, a sprawy religii też są na poczesnym miejscu. Oczywiście ja jako niewierny nie powinienem się wypowiadać w tych sprawach, jednak moja sympatia jest wielka i może być też wymierna.

– Zaintrygował mnie pan. Sprawy jedynej religii i jedyne Boga nie powinny być omawiane z niewiernym, ale jeśli jest on pełen sympatii, to może Allah się nie obrazi.

– Bardzo liczę na zrozumienie. – Uśmiech Angerera wielu mogłoby uznać za pełen szczerości i sympatii.

– „A jeśli oni skłonią się do pokoju, to i ty się ku nim skłoń i zaufaj Bogu! Zaprawdę, On jest Słyszący, Wszechwiedzący!”[9]

– Sura Al-Anfal. – Tymi słowami Niemiec już całkowicie zaskoczył swojego rozmówcę.

– Widzę, że zna pan Słowo Boga. – Arab był coraz bardziej zaintrygowany, również propozycją, z którą przyszedł do niego gość.

– Staram się być otwarty na wszystko, co jest bliskie i ważne dla moich przyjaciół. Jednocześnie potrafię docenić mądrość płynącą z tych słów.

– Przepraszam, że zadam to pytanie tak bezpośrednio, ale z czym pan przybywa do mojego domu?

– Z propozycją wzmocnienia naszych interesów poprzez ich rozszerzenie nie tylko na aspekty biznesowe, ale również, nazwijmy to, duchowo-polityczne.

– Co ma pan na myśli?

– Jakże bliską panu sprawę jedności na Bliskim Wschodzie oraz pozbycie się głównego wroga, jakim jest państwo Izrael.

– Jak pan to sobie wyobraża? Jestem muzułmaninem, sprawa jedności moich braci w wierze jest mi bardzo bliska, podobnie jak sprawa tego „tworu” w sercu świata arabskiego. Nie przeczę, że jestem zainteresowany odzyskaniem wolności przez moich braci z Palestyny, ale proces ten będzie jeszcze trwał bardzo długo, z pewnością dopóki Izrael ma poparcie takich krajów jak USA czy państwa europejskie. Naprawdę poza naszym światem trudno znaleźć kogoś, kto wyraziłby się jasno na temat istnienia Izraela. Zresztą Żydzi dysponują odpowiednim lobby na całym świecie, które, ciężko mi to przyznać, bardzo dobrze dba o ich interesy.

– A gdyby to państwo osłabić jednym konkretnym atakiem, a następnie wprowadzić w życie wcześniej zainicjowany plan odzyskania ziem palestyńskich? Oczywiście nie mówię tu o kolejnej wojnie, ale o zupełnej zmianie nastawienia świata do Izraela?

– O czym pan myśli?

– Od lat wiadomo, że Izrael posiada broń nuklearną. Żydzi oczywiście temu zaprzeczają, ale nikt w tej kwestii nie ma żadnych wątpliwości. Gdyby doszło do eksplozji takiego ładunku w miejscu, gdzie jest składowany, lub w pobliżu takiego miejsca. Następnie, gdyby przeprowadzić na całym świecie odpowiednio skoordynowaną akcję propagandową, wzywającą państwo żydowskie do rozbrojenia, pokajania się i odpowiedzi na słuszne żądania Palestyńczyków. Do tego dobrze zmotywowani pacyfiści i zieloni w Europie Zachodniej i USA rozpoczęliby swoje historyczne marsze i akcje, domagające się rozbrojenia, poszanowania planety, wszak broń nuklearna jest nadal wielkim zagrożeniem, również ekologicznym. Wtedy nawet dotychczasowi protektorzy Izraela w USA czy Europie musieliby się poważnie zastanowić nad politycznymi konsekwencjami swoich decyzji oraz nad tym, kogo opłaca się bardziej poprzeć: Izrael czy swoich potencjalnych wyborców.

– To, co pan mówi, jest bardzo interesujące. Oczywiście wymagałoby to znacznych środków, ale z tym nie powinno być problemów. Jest jednak parę kwestii, które mnie zastanawiają. Po pierwsze: skąd wziąć ładunek nuklearny? Legendy o zagubionych zwłaszcza przez ZSRR głowicach atomowych są tylko legendami. Proszę mi wierzyć. Po drugie: kto miałby się zająć, że tak powiem, dystrybucją tego rzekomego ładunku jądrowego? Kolejna sprawa: co pan by z tego miał? Przepraszam, że pytam o to tak bezpośrednio, jednak moje wykształcenie w Anglii wyrobiło we mnie pewne nawyki. Oczywiście rozumiem, że rozmawiamy całkiem teoretycznie?

– Nie do końca. Nie marnowałbym czasu pana ani mojego tylko po to, by odbyć szalenie ciekawą, ale tylko teoretyczną dysputę. Reprezentuję grupę inwestorów, którzy bardzo chętnie pomogliby w przywróceniu porządku na Bliskim Wschodzie. Nie przeczę, że jesteśmy bardzo zainteresowani prowadzeniem dalszych interesów w tym rejonie świata, jednak na znacznie większą skalę niż dotychczas. Na koniec chcę dodać, że sprawa wejścia



w posiadanie broni atomowej nie jest wcale tak teoretyczna, jak mogłoby się wydawać.

– Czego w związku z tym pan oczekuje ode mnie?

– Skontaktowania się przez pana z osobami, którym równie mocno zależy na jedności Bliskiego Wschodu. Mam nadzieję, że jesteśmy w stanie dojść do porozumienia.

– Zaintrygował mnie pan, oczywiście teraz niczego nie mogę obiecać ani nie jestem w stanie podjąć żadnej wiążącej decyzji. Znam jednak osoby, którym podobnie jak mnie zależy na Bliskim Wschodzie i naszej religii. Postaram się z nimi skontaktować jak najszybciej. Oczywiście to, o czym pan wspomniał, jest realne i osiągalne?

– Jak najbardziej, nie rozmawiałbym z panem, gdyby było inaczej.

– Mówimy oczywiście o przyszłości, ale czego pan i pana partnerzy oczekujecie? Zwiększenie aktywności waszych firm w naszym rejonie świata nie będzie podlegać dyskusji. Oczywiście, gdy dojdziemy do porozumienia. Ale czysto teoretycznie: czego by pan oczekiwał w zamian za odpowiedni ładunek nuklearny?

– Tylko jednego, jego detonacji w określonym momencie. Najpierw przecież trzeba przygotować całe zaplecze propagandowe, że się tak wyrażę. Trzeba nasilić medialną ofensywę przeciwko Izraelowi i tym, którzy go popierają. Jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, takie procesy nie zachodzą od razu. Myślę, że od chwili naszego porozumienia, do którego mam nadzieję dojdzie, wszystko powinno zająć około ośmiu, do dziesięciu miesięcy.

– Rozumiem, że cała operacja będzie kosztować, na szczęście jestem przygotowany na tego typu nakłady. Mam nadzieję, że pan i pańscy partnerzy również będziecie zainteresowani takimi inwestycjami.

– Oczywiście, przecież nasza późniejsza współpraca wymaga na początku umocnienia wzajemnego zaufania. Tak jak pan, my również jesteśmy gotowi na inwestycje.

– Niezmiernie się cieszę na naszą przyszłą współpracę w wielu dziedzinach. Myślę, że pańska propozycja spotka się z zainteresowaniem moich partnerów.

Dalsza rozmowa toczyła się już tylko wokół tematów błahych. Obydwaj zdawali sobie sprawę, że właśnie porozumieli się nie tyle w zagadnieniach biznesowych, co przede wszystkim w materii dalszych losów Bliskiego Wschodu, a co za tym idzie – świata. Obydwaj delectowali się swoimi możliwościami i tym, że są tak wielkie.

Po powrocie do hotelu Rolf Angerer wezwał do siebie Thomasa Araną. Sekretarz był cały czas na podorędziu i wiedział o wielu przedsięwzięciach szefa. Nigdy jednak nie był do końca we wszystko wtajemniczany. W zamian za całkowitą lojalność opłacano go więcej niż dobrze, jednak rodzina Angererów nigdy nie dopuszczała ludzi spoza swojego kręgu do wszystkich tajemnic. O dzisiejszym spotkaniu Arana wiedział tylko tyle, że miało dotyczyć kolejnych inwestycji na Bliskim Wschodzie. Zdziwiło go jedynie, że nie był obecny w czasie rozmów, przeważnie towarzyszył szefowi, robiąc notatki i sporządzając z nich raporty. Teraz jednak stało się inaczej. Dziwiło go to trochę, chociaż nie było niczym nadzwyczajnym, zwłaszcza w ostatnim okresie.

– Jutro wracamy do Stanów. Przygotuj wszystko, poinformuj też mojego syna, że wracam. Chcę się z nim zobaczyć zaraz po powrocie.

– Rozmowy z szejkiem al-Husajnem były udane?

– Tak, myślę, że tak, chyba zwiększymy współpracę z naszymi arabskimi przyjaciółmi. – Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z wyraźnym przekąsem.

Arana znał nastawienie swojego szefa do Arabów. W pewnym sensie je podzielał, jednocześnie podziwiał zwierzchnika za umiejętność prowadzenia rozmów i negocjacji z ludźmi, których nie cierpiał.

---

[9] Sura Al-Anfal, 8,61; tłum. Józef Bielawski.

## 28

– Mamy zgodę! – Azis wpadł do mieszkania, w którym zwykle się spotykali. Budynek należał do rodziny Selima, na parterze znajdowała się mała kafejka, na piętrze były mieszkania. W jednym z nich mieli swój punkt kontaktowy.

– Na co znowu mamy zgodę? – Selim zerwał się z krzesła.

– Na wprowadzenie w życie naszego pomysłu.

– Nie żartuj! Naprawdę? – Jussuf był równie podniecony wiadomością jak jego kuzyn.

– Nie. Na żarty.

– To się zdecyduj. A tak naprawdę, to o co chodzi, mamy pieniądze na zakup bomby? – Selim do końca nie rozumiał, o czym mówi przyjaciel.

– Mamy. Mamy. I to nie pieniądze, ale prawdopodobnie samą bombę!

Te słowa zabrzmiały niemal jak wybuch atomowy. Selim i Jussuf najpierw zamarli z wrażenia, a potem zaczęli się nawzajem przekrzykiwać. Azis dał im chwilę na ochłonięcie i kontynuował:

– Mam wam przekazać, że mufti skontaktował się z szejkiem, a ten sam zaproponował operację przeciwko Żydom, i to taką samą, jak my chcieliśmy zrobić. Allah jest wielki, potrafi natchnąć wielu swych wyznawców tym samym pomysłem. Salah też już o wszystkim wie, będzie kierował naszą operacją. Jednak to my zostaliśmy wyznaczeni na jej wykonawców. I to my będziemy pięścią Boga, która zetrze w proch żydowskich okupantów. – Azis, gdy się zapalał do jakiegoś pomysłu, lubił powoływać się na Jedyne Boga jako tego, który prowadzi go jedyną słuszną drogą.

– Nareszcie pokażemy całemu światu siłę i moc Sił Jednego Boga. – Selimowi też udzieliło się uniesienie przyjaciela.

– Czyli to my zostaliśmy wyznaczeni na wykonawców woli Najwyższego? – Jussuf nie mógł uwierzyć w szczęście, które ich spotkało.

– Dobrze, bracia, cieszyć się będziemy później, na razie musimy się do wszystkiego bardzo dobrze przygotować. – Azis nieco uspokoił dwójkę przyjaciół. – Jutro wszyscy mamy się spotkać z Sayedem, on dokładnie nam powie, co dalej mamy robić.

– Jak to co? Podłożyć ładunek i wysadzić w powietrze wszystkich niewiernych. – Selim jak zwykle nie widział w niczym problemu.

– Zastanów się chwilę, to nie jest kolejny ładunek, którym można zniszczyć autobus czy wysadzić w powietrze punkt kontrolny. To jest bomba atomowa! Po wybuchu będzie promieniowanie, ludzie, którzy znajdą się w jego zasięgu, pewnie umrą. Nie można jej zdetonować byle gdzie, to naraziłoby naszych ludzi na niebezpieczeństwo.

– Dobrze, już dobrze. – Selim trochę zmarkotniał, lecz jego zapał nie przygasł, oczy nadal mu się świeciły na myśl o tym, że mogą za jednym razem zniszczyć znienawidzonego wroga.

Następnego dnia wieczorem ponownie spotkali się w tym samym mieszkaniu, tym razem czekał już na nich Sayed, ich dowódca i człowiek, któremu zawdzięczali to, że znaleźli się w organizacji. Był nauczycielem w jednej ze szkół w Nablusie, dzięki swemu doświadczeniu oraz przyjacielskiemu nastawieniu do młodzieży potrafił wyłuskać spośród tłumu uczniów tych, którzy mieli naprawdę silną wiarę i równie mocno nienawidzili Izraelczyków. Wybierał ich ostrożnie i starannie, jednak ci, którzy wchodzili dzięki niemu w szeregi Sił Jednego Boga, byli zaangażowani, zdeterminowani i nastawieni na ostateczne zwycięstwo ich sprawy. Gdy cała trójka się zjawiała, zaproponował najpierw herbatę, dopiero potem przeszedł do rzeczy.

– Szejka będzie chciał was poznać, zanim wykonacie wolę Boga. Pojedziecie do niego i tam poczekacie na realizację zadania. – Uniósł rękę, powstrzymując tym samym pytania swoich ludzi. – Nie wyjedziecie od razu, to jeszcze trochę potrwa, jednak już niedługo dostąpicie szczytu spotkania szejka. Ja sam nie wiem, kim on jest, wiem tylko, że jest potężnym człowiekiem o wielkich wpływach i możliwościach. Współpracuje z niewiernymi, jednocześnie wykorzystując ich dla naszej sprawy. To wielki człowiek. A wy jesteście wielkimi szczęściarzami, nie tylko będziecie mieli zaszczyt poznać szejka, ale przede wszystkim zostanieie wykonawcami woli Boga. Też chciałem do was dołączyć, ale przywódcy naszej organizacji zdecydowali inaczej. Zazdroszczę wam, ale już się pogodziłem z tą decyzją.

Nie przyznał, że tak naprawdę nawet mu przez myśl nie przeszło, by starać się o możliwość realizowania samobójczej misji. Jednak tych trzech młodych ludzi musiało mieć silną wiarę w słuszność swoich decyzji i nie zawahać się przed oddaniem życia za wspólną sprawę.

– Wiem, że macie dziesiątki pytań, ale na większość z nich udzieli wam odpowiedzi sam szejka. Za tydzień wyjedziecie do Libanu, a stamtąd polecicie dalej, do Dubaju, gdzie będziecie przygotowywani do waszej misji. Niestety nic więcej nie wiem. Jeszcze raz muszę wam powiedzieć, że wam zazdroszczę, jednak wola Boga co do moich dalszych działań jest inna. Teraz idźcie do swoich domów, pomódlcie się i czekajcie na sygnał do wyjazdu, wkrótce nadejdzie.

Nim zdążyli wyjść, zaczął się kolejny izraelski ostrzał. Wbiegli na dziedziniec jakiegoś domu i szczęśliwi, że uciekli, przycupnęli we wnęce zamkniętych drzwi. Pocisk, który trafił w dom pod samym dachem, zwałił na nich całą ścianę. Selim ocknął się w ciemności.

Nie mógł otworzyć oczu. Spróbował się ruszyć. Nie dał rady, klatkę piersiową przygniatał mu potworny ciężar. Poruszył ręką i dotknął czyjejs dłoni. Była całkowicie bezwładna. Usiłował się odezwać, ale nie mógł wykrztusić słowa. Zemdlał. Gdy powróciła mu przytomność, nie czuł ciężaru na piersiach, ale dalej nic nie widział. Bolało go całe ciało. Coś wilgotnego dotknęło jego warg, aż się

wzdrygnął. Czy mu się zdawało, czy rzeczywiście usłyszał jakieś niewyraźne słowa?

– Chyba się ocknął.

To mówiła jakaś kobieta, a męski głos powiedział:

– Mamy czas. Poczekamy.

Znów stracił przytomność. Gdy ocknął się kolejny raz, ciało jakby go mniej bolało, ale pojawił się za to rwący ból w prawej nodze. Na oczach miał coś w rodzaju opaski, przez którą przebijało się słabe światło. Nachylił się nad nim jakiś cień i usłyszał kobiecy głos, który zapytał:

– Słyszysz mnie?

Kiwnął głową, że tak. Słyszy. Próbował to powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko niewyraźny szept.

Kobieta nachyliła się nad nim i zapytała:

– Jak się nazywasz?

Ledwo wyszeptał:

– Selim.

– To imię. A nazwisko?

Podał swoje nazwisko.

– Zgadza się. Kto był z tobą?

– Jussssss i Azis. – Usta nagle mu zdrętwiały i nie mógł nic więcej powiedzieć.

– Jus? A może Jussuf?

Przytaknął głową, a przynajmniej tak mu się wydało, bo głos znów zapytał:

– Jussuf? Azis?

– Zostaw go – odezwał się drugi kobiecy głos. – Nie widzisz, że na razie nie może mówić? Jeszcze trochę, leki zaczną działać i porozmawiasz z nim.

„O czym oni mówią? Jakie leki? Co się stało? Czyżbym był u Izraelczyków?”. Nie mógł sobie przypomnieć ostatnich wydarzeń, tylko huk wybuchu, gruz, to, że nie mógł oddychać. Znowu zaczął tracić świadomość.

– Chyba lotnictwo wreszcie trafiło, mieli zlikwidować Sayeda i jego komórkę.

Oficer Mosadu znalazł się ze swoimi ludźmi jako pierwszy na miejscu eksplozji, udawali ratowników medycznych, lecz ich głównym zadaniem miała być identyfikacja celu. Potwierdzili śmierć Sayeda i jeszcze dwóch innych młodych Palestyńczyków, trzeci cudem przeżył, odnosząc obrażenia, które jednak dawały mu szansę na przeżycie. Decyzja była błyskawiczna, załadowali go do karetki i odwieźli do swojej centrali na obrzeżach Nablusu. Było tam bardzo dobrze wyposażone ambulatorium, na wypadek potrzeby niesienia nagłej pomocy agentom. Teraz miało się przydać dla terrorysty, który mógł się okazać całkiem cenny. Po przyjeździe rannym natychmiast zajęła się dwójka lekarzy, którzy cały czas byli w gotowości do niesienia pomocy poszkodowanym agentom. Ranny tylko chwilami odzyskiwał świadomość, jednak to wystarczyło, by zadać mu parę podstawowych pytań. Dowódca jednostki czekał tylko na znak od medyków, gdy będzie można zabrać się do niego na poważnie. Przy czym nikt nie miał wątpliwości co do metod, które w czasie przesłuchania będą stosowane. Stan chłopaka niejako narzucał konieczność stosowania środków chemicznych. Przesłuchanie rozpoczęło się już po dziesięciu godzinach od jego przywiezienia.

– Tylko ostrożnie, nie zabij go zbyt mocną dawką. – Oficer po raz kolejny upomniał młodą lekarzkę, z którą współpracował już od ponad roku.

– Przecież wiesz, że umiem to robić – odparła lekko urażona ciągłymi napomnieniami zwierzchnika. Rozterkami moralnymi nad tego typu metodami już dawno przestała się przejmować. Miały na to wpływ nie tylko silne poczucie obowiązku, ale również kilkumiesięczna praca na oddziale urazowym jednego z jerozolimskich szpitali, gdzie często trafiały ofiary zamachów terrorystycznych. Nie miała wątpliwości, podłączając kroplówkę ze specyfikiem, który miał wprowadzić pacjenta w stan częściowej utraty kontroli nad własnymi poczynaniami i ich konsekwencjami. Bardzo ułatwiało to przesłuchania, pacjenci po tego typu kroplówce stawali się bardzo rozmowni i przede wszystkim prawdomówni. Sąd tego typu zeznań by nie zaakceptował, ale kto tu mówił o sędzie? Światy służb specjalnych i terrorystów rządziły się swoimi prawami.

– Jak się nazywasz? – Pierwsze pytanie miało na celu sprawdzenie, czy specyfik już działa.

– Selim. – Ranny czuł się całkiem nieźle i miał nieprzepartą ochotę na rozmowę z kimś, choćby z tym sympatycznie uśmiechniętym lekarzem. Na pewno był to lekarz, przecież nosił biały kitel i od paru minut się przy nim kręcił, co chwilę sprawdzając kroplówkę.

– Dobrze, Selimie, kto z tobą był?

– Azis, Jussuf i nasz szef Sayed. – Lekarz naprawdę sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego i całkowicie pochłoniętego niesieniem pomocy Selimowi.

– Spotkaliście się wcześniej, czy tylko razem uciekaliście przed nalotem?

– Spotkaliśmy się. Sayed miał dla nas bardzo ważne informacje.

Lekarz po raz kolejny wykazał się troską o pacjenta, podając mu kubek z wodą. Selim nie mógł się co prawda za bardzo ruszyć, ale troskliwy medyk włożył mu w usta słomkę i pozwolił długo pić. Tak, to na pewno był dobry lekarz.

– Dziękuję. Pyszna woda. Sayed powiedział, że szejek oczekuje nas w Dubaju i mamy tam polecieć za parę dni.

– A po co aż do Dubaju?

– Jak to po co? Zostaliśmy wybrani do bardzo ważnej misji. Sam szejek ma nam powiedzieć, co będzie celem bomby.

– Bomby? Jakiej bomby, Selimie? – Lekarz nadal był troskliwy, chciał wysłuchać Selima, a dla niego było to bardzo ważne. Czuł nieprzepartą dumę, że został wybrany do tej misji. Chciał się pochwalić, a lekarz był przecież taki sympatyczny, dbał o niego, rozmawiał z nim.

– Atomowej. Mamy ją zdetonować i wreszcie zwyciężyć w naszej wojnie.



## 29

Bruno i Andreas byli w kropce. Rzadko to im się zdarzało. Ich zadaniem było raczej rozwiązywanie problemów, a nie ich generowanie. Z jednej strony działania agentów niemal potwierdziły, że ich „nurkowie” nie mają nic wspólnego z poszukiwanym pojemnikiem, z drugiej nie mieli absolutnej pewności. Pomysł z podsłuchami wydawał się niezły, lecz wymagał zaangażowania w sprawę większej liczby ludzi. O kosztach na razie nie myśleli, ich praca często wymagała znacznych nakładów. Przede wszystkim potrzebowali czasu, którego tak naprawdę nie mieli. Już za chwilę zleceniodawca (pan Carter?!) będzie chciał konkretnych wyników. Popęlnili błąd w czasie operacji na Bahamach, gdy nie dowiedzieli się o Enigmie, co wskazywało, że mogli przegapić coś jeszcze. Obydwaj byli agenci wiedzieli, że w ich profesji za tego typu pomyłki można zapłacić spadkiem zaufania u potencjalnych klientów, a przede wszystkim wzrostem niechęci u klientów obecnych, które mogło się przełożyć nie tylko na zerwanie umowy, ale bardzo często na fizyczne pozbycie się nieudolnych kontrahentów. Mr. Carter, czy kimkolwiek on był, sprawiał właśnie takie wrażenie: biznesmena, który potrafi być bardzo skuteczny, konsekwentny i bezwzględny.

– Dla pewności podrzucimy parę pluskiew u każdego z nich – zdecydował Andreas. – Zrobią to wynajęci ludzie. My za bardzo nie możemy się rzucać w oczy, zwłaszcza ja po ostatnich wyczynach. – Był nadal na siebie nie tyle zły, ile wściekły, że dał się tak podejść amatorom i w zasadzie został zdemaskowany. Liczył na stosunkowo łatwą akcję, trochę perswazji, trochę straszenia, i sprawa miała być załatwiona. A tu amatorzy okazali się całkiem cwani.

– Nadal to w tobie siedzi. – Bruno nie miał wątpliwości co do uczuć targających kolegą.

– Jasne, podobno jestem profesjonalistą. Rozumiem, zdarzają się pomyłki czy nawet wpadki. Ale to... Zdawali się na mnie czekać. Właśnie ta ich skuteczność i pomysłowość mnie niepokoją. Z jednej strony nie mieli pojęcia, o co mi chodzi, skupiali się tylko na Enigmie, ale z drugiej strony nadal nie jestem pewien.

– Nie ma co rozpamiętywać, sprawdzamy ich jeszcze raz, dajemy ostateczny raport Carterowi i zamykamy sprawę. Mam już zapytanie od kolejnego klienta.

– Okej, zlecę podsłuchy, choć znowu mamy z tym problem. Muszą mieszkać na całej Florydzie? Nie mogliby siedzieć w jednym miejscu? – Andreas wciąż był w podłym nastroju, i choć wiedział, że nie powinien tego robić, rozpamiętywał niedawną porażkę i szukał dziury w całym.

Do tego jeszcze zaczęła psuć się pogoda. Pochmurne niebo było dokładnym odzwierciedleniem jego nastroju. Nie cierpiał takiej aury, źle na niego wpływała. Choć pochodził z Niemiec, najlepiej czuł się zawsze w klimatach śródziemnomorskich, gdzie zawsze świecące słońce dobrze go nastrajało. Wiedział, że niczego to nie zmieni, wiedział, że powinien odpuścić, jednak cały czas coś mu nie pasowało, „nurkowie” wciąż wydawali mu się zbyt cwani. Albo on stawał się już za stary do tej roboty? Ta ostatnia myśl uderzyła jak młotem. Po raz pierwszy w życiu pomyślał tak o sobie i swojej pracy. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak długo jeszcze pociągnie w tym fachu. Po prostu było zadanie do wykonania, wykonywał je i rozpoczynał kolejne. Zwłaszcza w ostatnich latach, gdy zaczął pracować naprawdę dla siebie. Tylko po co? Nie miał rodziny. W tym fachu raczej trudno było o czymś takim myśleć, zresztą napatrzył się jeszcze w BND na rozwody kolegów i ich problemy. Na walkę z byłymi żonami i wszystko to, co wiązało się z końcem małżeństwa. Cieszył się, że udało mu się tego uniknąć. Teraz zastanawiał się, kto tak naprawdę jest w lepszej sytuacji: on bez żadnych zobowiązań czy oni, którzy mimo wszystko próbowali. Spojrzał jeszcze na Bruna. Choć pracowali ze sobą od lat, tak

naprawdę nie wiedział o nim wiele, tylko tyle, że miał brata, z którym utrzymywał sporadyczny kontakt, i to właściwie wszystko.

– Ty? Zamierzasz w tym fachu pracować do śmierci? – Pytanie zupełnie oderwane od tego, czym się zajmowali, zaskoczyło ich obu. Andreas sam nie wiedział, po co je zadał.

– O czym ty mówisz? – Bruno był zaskoczony nagłą zmianą tematu i przez moment nie wiedział, o co chodzi jego partnerowi.

– Po prostu, czy myślisz o skończeniu z tym wszystkim, cieplej emeryturze, spokojnym życiu... rodzinie?

– Ale siedzą w tobie ci „nurkowie”. Sprawdzimy ich jeszcze i zamykamy temat. – Widać Bruno nadal był skoncentrowany na pracy i nie zastanawiał się nad przyszłością, w jego mniemaniu odległą. – Ale nie, nie zastanawiam się, robię to, w czym jestem dobry, całkiem nieźle zarabiam. Przecież wiesz. A co będzie później? Nie wiem, może wrócę do kraju, otworzę mały pensjonat nad morzem i będę się nudził? Kurde! Co się z nami dzieje? Zaczynamy rozmawiać o rzeczach, które tak naprawdę nigdy nas nie interesowały. Bierzmy się lepiej za te podsłuchy, bo zleceniodawca może nam tę przyszłość definitywnie skrócić. Mr. Carter raczej na takiego wygląda, a ten jego przydupas ochroniarz jeszcze bardziej. A tak przy okazji, niechący dowiedziałem się, jak się nazywa nasz Mr. Carter. To Rolf Angerer, właściciel potężnej firmy budowlanej Angerer Construction Group. Przypadkiem wpadł mi w ręce katalog branżowy i nasz zleceniodawca był tam na zdjęciu przy jednym z artykułów. Trochę to teatralne, to jego maskowanie, ale z drugiej strony my też powinniśmy dokładniej sprawdzać zleceniodawców, przynajmniej po to, by mieć podstawową wiedzę.

Ta zmiana tematu otrzeźwiła Andreasa, natychmiast przestał się zastanawiać nad sensem pracy i przyszłością.

– Wiem, to zlecenie przyszło nagle, zresztą od początku wydawało się niezbyt wymagające. Ale masz rację, musimy dokładniej sprawdzać naszych pracodawców, żeby przynajmniej wiedzieć, czego się po nich spodziewać. No

i czego się dowiedziałeś o Angererze? – Andreas nie miał wątpliwości, że zainteresowanie kolegi nie zakończyło się tylko na jednym artykule.

– Amerykanin urodzony w Argentynie, z pochodzenia Niemiec. To pierdoły. Gdy czekałem na ciebie, trochę pogrzebałem i podzwoniłem. Nasz Mr. Carter jest związany z neonazistowską organizacją Unite the Right<sup>[10]</sup>, ale bardzo delikatnie. Stara się nie zwracać uwagi swoimi poglądami i zainteresowaniami. Jednak, gdy pogrzebałem, wyszło, że to nazol pierwszej wody. Już nie chodzi o jego pochodzenie, ojciec był wysokim funkcjonariuszem NSDAP, idzie raczej o jego poglądy. W jego działalności niby wszystko jest w porządku i legalne, różne fundacje dobroczynne, przedsięwzięcia charytatywne. Klasyka. Trafiłem na kilka jego nieoficjalnych wypowiedzi między innymi o potrzebie powrotu do czystości rasowej, idei narodowego socjalizmu, wreszcie o budowie Czwartej Rzeszy. Ostatnio bardzo mocno angażuje się w Belize, podpisuje kontrakty, wspiera miejscowych biznesmenów, polityków, otwiera swoje przedstawicielstwa. Jednak najdziwniejsze jest to, że Angerer, który naprawdę jest świetnym biznesmenem, inwestuje w kraju, który jest na skraju zapaści ekonomicznej i politycznej. Każde tapnięcie w tamtejszej polityce automatycznie odbije się na inwestycjach, i wtedy Angerer może wiele stracić. A nie wygląda na człowieka, który nie umie szacować ryzyka i podejmuje chybione decyzje, te biznesowe też. Wiem, że to nie nasza sprawa. Po prostu człowiek nas wynajął, zlecił zadanie i całkiem nieźle płaci, ale dobrze jest wiedzieć, dla kogo pracujemy. Nie myśl, że mam jakieś rozterki moralne czy coś w tym rodzaju. Znasz mnie, jednak wiedza jest zawsze przydatna.

– Masz rację. Dobrze wiedzieć, ale nie zagłębiajmy się w to. Mamy zadanie. Tych cholernych „nurków”. Kończymy to i zamykamy sprawę. – Andreas znów był skupionym na zadaniu profesjonalistą, bez rozterek moralnych i zastanawiania się nad problemami świata.

Następne trzy dni minęły im na analizowaniu założonych podsłuchów w domach całej czwórki. Z podrzuceniem pluskiew nie było problemu, ludzie, którzy to mieli zrobić, byli fachowcami. Tym razem nieprzewidziane okoliczności nie zaskoczyły byłych agentów BND. Zaczęła się natomiast wyjątkowo nudna

i żmudna robota. Dodatkowo w czasie zakładania podsłuchów uzyskali dostęp do komputerów znalezionych w poszczególnych domach, które zostały włączone do systemu inwigilacji. Zawartość komputerów, historie przeglądania sprawdzili stosunkowo szybko. Było tam parę interesujących rzeczy. Ale wszystko dotyczyło albo niemieckich okrętów podwodnych, albo Enigmy. Nie było nic, o czym by nie wiedzieli. Zdobyli podstawową wiedzę o swoich obiektach i ich zainteresowaniach w sieci. Niewiele to dało, podobnie jak podsłuchy założone w domach. Zwykle, banalne rodzinne rozmowy albo sprawy zawodowe zupełnie nieinteresujące z punktu widzenia agentów. Wszystko to trwało trzy dni. Tyle dali sobie na zamknięcie sprawy i ostateczne jej sprawdzenie. Po tym czasie nieludzko znudzeni i tylko trochę mniej zmęczeni zakończyli wszystkie podsłuchy. Żeby nie zostawiać śladów, wynajęci ludzie równie sprawnie jak wcześniej je założyli, tym razem usunęli podsłuchy. Teraz pozostała tylko wizyta w Nowym Jorku, w Hôtel Plaza Athénée, i spotkanie z Mr. Carterem.

---

[10] *Unite the Right* (Zjednoczyć Prawicę) – organizacja skrajnie prawicowa, neonazistowska.

## 30

Karl Angerer zaciągnął się kubańskim cygarem. Rozmowy z partnerami, nie tylko biznesowymi, przebiegały zgodnie z założeniami, bez problemów. Cała piątka, podobnie jak on zadowolonych z życia bardzo bogatych i wpływowych ludzi, zgadzała się propozycjami przedstawionymi przez Angerera seniora. Łączył ich nie tylko biznes, pieniądze czy wpływy. Przede wszystkim wszyscy byli z pochodzenia Niemcami, Aryjczykami, jak mówili o sobie w czasie tych zamkniętych spotkań. Łączyła ich też jedność poglądów i przekonanie o konieczności odbudowy Rzeszy. Czwartej Rzeszy. Wynikało to z ich pochodzenia, powiązań rodzinnych oraz przede wszystkim z wiary w słuszność idei narodowego socjalizmu. Zdawali sobie sprawę ze słabości i niedociągnięć, które doprowadziły do upadku bądź co bądź eksperymentu, jakim była Trzecia Rzesza. Wiedzieli, że wywołanie wojny światowej było błędem, który skutkowałam wielką tragedią Niemiec. Nie mieli jednak żadnych wątpliwości co do konieczności kontynuowania słusznych ich zdaniem idei. Będąc realistami, wiedzieli, że otwarte głoszenie ideologii nazistowskiej jest nie tylko nielegalne, ale przede wszystkim mało chwytliwe. Pomysł, na który wpadł Rolf Angerer, był prosty i w ich ocenie całkiem realny. Stworzenie własnego państwa! Państwa, w którym oni, rzecz jasna, będą sprawować władzę, co zresztą miało mieć wpływ również na rozwój ich biznesów. Państwa, które stanie się zalążkiem przyszłej potęgi i w dalszej perspektywie doprowadzi do zdominowania jeśli nie świata, to przynajmniej znacznej jego części. Projekt oczywiście przewidziany był na całe lata. Oni mieli go tylko zapoczątkować i stać się założycielami nowej elity, która

w przyszłości będzie kontynuować ich dzieło i je rozwijać. Zdawali sobie sprawę z własnych ograniczeń i układu sił we współczesnym świecie. Wiedzieli, że poszczególne posunięcia muszą być przemyślane i ostrożne. Nie było mowy o zbyt agresywnych krokach i poczynaniach, w grę wchodziło tylko stopniowe poszerzanie wpływów i możliwości. Choć pierwsze działania miały być spektakularne, opinia światowa nie powinna wiedzieć, że za wszystkim stoi ich grupa. Do ostatecznej realizacji planu brakowało jeszcze sporo elementów, ale czynności, które już podjęli, jasno ich określały i determinowały kolejne posunięcia.

– Tak jak mówiłem, panowie, Arabowie zdają się zainteresowani naszą propozycją. Są przekonani, że kryje się za nią tylko chęć rozszerzenia naszych kontaktów biznesowych w tamtym rejonie świata, i niech tak zostanie. Zresztą faktycznie wzmocnienie obecności na Bliskim Wschodzie znacznie zwiększy nasze dochody, a przede wszystkim możliwości w podejmowaniu dalszych działań. – Rolf Angerer już od jakiegoś czasu przedstawiał wspólnikom sprawozdanie ze swojego pobytu w Dubaju.

– Czy szejik nie ma rzeczywiście żadnych podejrzeń, że tak naprawdę on i jego organizacja będą tylko naszym narzędziem? – Frederik Langer jeszcze raz chciał się upewnić co do bliskowschodniej części planu.

Był właścicielem jednej z najlepszych kancelarii prawniczych na wschodnim wybrzeżu. Posiadał ogromne wpływy i jeszcze większe znajomości w świecie biznesu, polityki i rozrywki. Jego kancelaria reprezentowała osoby z pierwszych stron gazet, zarówno w sprawach cywilnych, jak i kryminalnych. Hitem ostatnich tygodni było dowiedzenie niewinności jednego z hollywoodzkich celebrytów, który będąc pod wpływem narkotyków, pobił na śmierć swoją kochankę. W czasie procesu udało się udowodnić, że faktycznie do pobicia doszło, ale brak świadomości sprawcy powinien być uznany za czynnik uniewinniający. To wszystko poparte było licznymi ekspertyzami i zeznaniami świadków. Zresztą wielu z nich, zwłaszcza świadków oskarżenia, już w trakcie samego procesu

zmieniało zeznania, niekiedy nawet na korzyść sprawcy, który z czasem zaczął być przedstawiany jako ofiara.

– Szejk wierzy szczerze, że jesteśmy zainteresowani tylko zwiększeniem dochodów, co zresztą po części jest prawdą. Nie powinno być z nimi problemów, zwłaszcza gdy dostarczymy im obiecaną broń. I właśnie to jest teraz najpilniejszą sprawą. Wiecie o naszych działaniach w sprawie zatopionego okrętu, który przewoził potrzebne nam dokumenty. Niestety nie udało nam się ich pozyskać od osób, które parę tygodni temu tam nurkowały. Nasi agenci uważają, że dokumenty nie weszły w ich posiadanie. Prowadzą teraz jeszcze ostatnie czynności mające to potwierdzić. Myślę, że w ciągu najbliższych dni będę już wszystko wiedział. Szkoda, że tak się sprawy potoczyły, liczyłem na to, że uda nam się zdobyć ewakuowane z Trzeciej Rzeszy dokumenty. Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia, że dowiedzieliśmy się w ogóle o całej sprawie. Lars, jak się miewa twoja siostrzenica?

– Jest oczywiście oddana naszej sprawie. Nie zna żadnych szczegółów, ale bez zastanowienia skontaktowała się ze mną, gdy tylko dowiedziała się o zamiarach tych ludzi. Wiedziała, co nas interesuje, i zachowała czujność. Jednak element przypadku należy zawsze doceniać. Dzięki Aurelii udało nam się wpaść na trop zaginionego archiwum, tym bardziej że już wcześniej mieliśmy podejrzenia co do wpłynięcia U-530 do portu w Argentynie. Nie przywiózł on niczego, co zostało na jego pokład załadowane w Niemczech, potem dziwne zaginięcia ludzi z załogi. Podejrzewaliśmy, że sprawa jest zakończona i wszystko przejął amerykański wywiad, a tu nagle taka sensacja. Odnalezienie prawdziwego wraku U-530 znacznie przyspieszyło i ułatwiło nasze poszukiwania. Aurelia nadal jest w kontakcie z jednym z tych poszukiwaczy skarbów. Poleciałem, by odnowiła znajomość i postarała się dowiedzieć czegoś więcej. Mam nadzieję, że ostatecznie potwierdzi to twoje ustalenia, Rolf. – Lars Baumert był przedsiębiorcą budowlanym, tak samo jak Angerer, i podobnie jak on szczerze wierzył w zwycięstwo ich sprawy. Bardzo się zaangażował w obecne przedsięwzięcie



zarówno osobiście, jak i finansowo. No i liczył też na konkretne korzyści, gdy już odniosą sukces.

– Dobrze, niech twoja siostrzenica nadal trzyma rękę na pulsie. Będzie nam potrzeba takich ludzi oddanych sprawie.

– A co robimy dalej w sprawie U-530? – odezwał się jedyny w tym towarzystwie posiadacz tytułu arystokratycznego Gregor von Ebeling.

Podczas ostatniej wojny jego przodkowie stracili znaczne posiadłości na terenie Śląska, co nie przeszkodziło im w dalszym dostatnim życiu, najpierw w Argentynie, potem w USA. Gregor, obok syna Angerera, Karla, był najmłodszy w całym towarzystwie. Jednak jego głos zawsze bardzo ceniono. Miał świetne wykształcenie wyniesione z najlepszych szkół i uczelni w Europie i USA, posiadał też olbrzymi majątek. Do tego jasno zadeklarowane poglądy i przekonania. Wszystko to czyniło go jednym z filarów ich przedsięwzięcia. Po wojnie rodzina von Ebeling dorobiła się kroci, handlując dziełami sztuki. Posiadali galerie, domy aukcyjne, ich klientami były koronowane głowy i najmożniejsi tego świata. To dawało świetne koneksje praktycznie na wszystkich kontynentach, co Gregor, spadkobierca rodowej fortuny, potrafił bardzo skutecznie wykorzystać.

– Nasi ludzie już zorganizowali wyprawę na Bahamy. Właśnie teraz powinni być na miejscu zatopienia okrętu. Statek badawczy, którego są załogą, został wynajęty przez fundację archeologii podwodnej. Oficjalnie zajmują się poszukiwaniem i katalogowaniem wraków i pozostałości po ostatniej wojnie. Posiadają potrzebny sprzęt i wyposażenie. Zresztą nasz przyjaciel Willem powinien na ten temat powiedzieć coś więcej.

Wywołany do odpowiedzi Willem Gebler poruszył nerwowo swoje wielkie, ponad stotrydziestokilogramowe ciało. Sprawiał wrażenie podenerwowanego grubasa, niezbyt rozgarniętego, o wiecznie spoconej twarzy. Faktycznie był jedną z najbardziej przebiegłych osób przebywających w gabinecie na parterze posiadłości Angererów w okolicach Waszyngtonu. Na co dzień jego firma zajmowała się wydobywaniem ropy naftowej w Zatoce Meksykańskiej, gdzie świetnie sobie radziła pomimo olbrzymiej konkurencji. Wynikało to po trosze ze

sprytu Geblera, ale również z jego bezwzględności w stosunku do konkurencji. Co jakiś czas pojawiały się pod jego adresem oskarżenia o stosowanie niedozwolonych praktyk biznesowych czy wręcz przestępczych, ale nigdy niczego nie można mu było udowodnić. W czym zresztą poważną zasługę miała firma prawnicza obecnego tutaj Frederika Langerera. W związku ze swoją działalnością posiadał niezbędny sprzęt i fachowców potrzebnych do prac podwodnych.

– Moi ludzie są na pokładzie Medusy. Mają polecenie dokładnie przekopać wrak, więc jestem spokojny o wyniki ich prac. To tylko kwestia czasu, kiedy znajdą to, co nas interesuje.

– Widzicie, panowie, że pomimo pewnych trudności sprawy zmierzają we właściwym kierunku – stwierdził Angerer. – Kwestia dokumentacji powinna zostać rozwiązana w ciągu najbliższych dni. Powinniśmy się raczej skupić na sprawie wydobycia interesujących nas przedmiotów. Mój syn zajmie się tym osobiście wraz z grupą specjalnie dobranych ludzi. – Tu spojrzał na Karla, który ze zwykłą arogancją wypisaną na twarzy skinął tylko twierdząco głową. – Kolejną kwestią są nasze kontakty w Belize. Wiem, że ten element planu wejdzie w życie dopiero na samym końcu, jednak wszystko powinno być przygotowane jak najszybciej. Wraz z obecnym tu Horstem podjęliśmy już odpowiednie kroki. Horst, może ty je przedstawić?

Horst Merker był jedyną w tym towarzystwie osobą związaną kiedyś z wojskiem. Najpierw służba w Legii Cudzoziemskiej, potem wiele lat spędzonych na różnych wojnach i wojenkach głównie w Afryce, już w charakterze najemnika. Na tym oraz na handlu bronią dorobił się całkiem sporego majątku. Organizował też zamachy stanu w różnych miejscach na świecie, co również było świetnym źródłem dochodu. Wnosił do ich organizacji wiedzę wojskową, a także całkiem bogate kontakty wywiadowcze z różnego typu organizacjami i agencjami w Europie i Ameryce Południowej. Małomówny, zawsze wyprostowany, potrafił zorganizować oraz przeprowadzić zamach stanu czy przewrót w dowolnym państwie trzeciego świata. Następnie doprowadzić do przejęcia władzy nad tym

państwem przez wybranych ludzi i na końcu ich kontrolować. Potrzebował do tego tylko odpowiednich środków materialnych.

– Sytuacja polityczno-wojskowa w Belize jest rozpoznana – zaczął swoim zwyczajem, jakby składał meldunek w sztabie. – Wytypowałem już odpowiednich ludzi, którzy w pierwszym etapie przejmą władzę. Są już pod tym kontem rozpracowywani. Nie powinno być problemu z ich werbunkiem. W drugiej kolejności zająłem się wytypowaniem i zorganizowaniem sił militarnych, mających zainicjować i wspierać nasze działania. Mam też wybranych odpowiednich ludzi, zawodowców z doświadczeniem w podobnych operacjach. Będą oni kontrolować przebieg samego przewrotu oraz wspierać swoją wiedzą i umiejętnością miejscowe wojska. Na tym etapie ich personalia nie muszą być znane. Zamachu dokona miejscowa armia, oczywiście przy pomocy wspomnianych ludzi. Następnie nasi figuranci przejmą władzę, a po pewnym czasie zostaną przez nas usunięci. Oczywiście wystąpimy w roli zatroskanych przedstawicieli biznesu działających na terenie Belize. Dalej zostaną przeprowadzone, nazwijmy to, „demokratyczne” wybory, które rzecz jasna wygrają nasi ludzie. Dlatego obok przygotowań militarnych prowadzę już działania propagandowe, które mają doprowadzić do kryzysu, a w konsekwencji do zamachu stanu. Oczywiście te działania są czasochłonne, dlatego już się rozpoczęły. Oprócz tego moi ludzie prowadzą też operację wywiadowczą mającą umożliwić sprawowanie kontroli nad wydarzeniami. Oraz finalnie nad procesem wyborczym. Rozumiem też, że od jakiegoś już czasu wszyscy zwiększamy naszą obecność biznesową i finansową w tym kraju. Co ma potem stanowić podstawę naszych działań – dodał na koniec. Krótkie zdania, sposób mówienia, intonacja, to wszystko wyraźnie świadczyło o wojskowych nawykach mówcy. Co charakterystyczne, przez całą swoją wypowiedź nie zmienił ani razu tonu, nie drgnął mu też żaden mięsień twarzy.

– Czyli przygotowania na wielu płaszczyznach idą pełną parą. Jednak najpilniejsza teraz sprawa to odnalezienie pojemnika z dokumentami. Mam nadzieję, Willem, że twoi ludzie się spiszą, wiele od tego zależy. Wiem, że wrak

zaraz po wojnie zbadali nurkowie z Navy, jednak z pewnych źródeł dowiedziałem się, że przedmiotem ich zainteresowania był przede wszystkim materiał nuklearny przewożony przez okręt. Niczego więcej nie wydobyli. Ostatnio pojawiła się też możliwość planu awaryjnego. – Rolf Angerer zrobił efektowną pauzę, po czym wyjął z biurka starą papierową teczkę oznaczoną nazistowskim orłem ze swastyką. – Parę lat temu skontaktował się ze mną jeden z przyjaciół mojego ojca. Chciał, bym się zaopiekował pewnymi dokumentami. Pod koniec wojny otrzymał to jako depozyt. Nie zaglądał do teczki, dopiero przed paru laty postanowił sprawdzić jej zawartość. Niewiele z tego zrozumiał. Ostatecznie jednak dokumenty trafiły do mnie dopiero niedawno, po jego śmierci. Wiązało się to z dość długim postępowaniem spadkowym, zdaje się, że jego rodzina walczyła o majątek. Nikt z krewnych nie zainteresował się starymi dokumentami, które miały być przekazane mnie. Sprawa się ślimaczyła, zupełnie o niej zapomniałem. Dopiero parę miesięcy temu otrzymałem całą skrzynię starych dokumentów, a w niej TO. Jednak przypadek ma ogromne znaczenie, jak to już wcześniej stwierdził Lars. – Angerer wyjął dokumenty i zaczął po kolei podawać je swoim partnerom.

W gabinecie zapanowała cisza, gdy wszyscy zapoznawali się ze starymi, pożółkłymi stronicami zapisanymi równym maszynowym pismem. Pierwszy odezwał się Langer:

– Skąd masz pewność, że to są autentyczne dokumenty?

– Spełniają wymogi autentycznych dokumentów z tamtych czasów. Sprawdziłem to. Poza tym ufam staremu przyjacielowi ojca, nie miał powodów ani interesu, by mnie oszukać. Jak widzicie, jest to spis zawartości pojemnika z U-530 z krótkim opisem poszczególnych teczek. Już na podstawie tego możemy rozpocząć poszukiwania. Oczywiście cała dokumentacja znacznie ułatwi sprawę, ale dopóki jej nie odnajdziemy, musi nam to wystarczyć. Dodatkowo wiem, kim na terenie dawnego kompleksu Riese są teraz strażnicy. Tak, tak, pomimo upływu ponad siedemdziesięciu lat nadal wiele tajemnic jest pilnowanych. Strażnicy nie wiedzą, czego pilnują, znają tylko miejsca, które mają obserwować, i numer

telefonu, pod który mają dzwonić, gdyby ktoś zaczął coś robić w pobliżu tych miejsc. Wiem, kto odbiera ten telefon. Niestety ta ekipa nie jest już w stanie podejmować żadnych bardziej skomplikowanych zadań. Skontaktowali się ze mną, i teraz to my przejmujemy kontrolę nad całym kompleksem i jego tajemnicami, co jak wiecie, jest kluczową sprawą, żeby możliwe były kolejne kroki. Karl zajmie się wszystkim na miejscu, w Polsce. Po wydobyciu interesujących nas, nazwijmy to, artefaktów, reszta nadal powinna pozostać w ukryciu: laboratoria, magazyny, dawne fabryki. Zresztą większość z nich ma dziś raczej wartość muzealną. Natomiast bardzo interesująca jest sprawa ukrytych dzieł sztuki i różnych precjozów. Mam nadzieję, że wydobywanie ich znacznie ułatwi w przyszłości nasz główny cel, którym jest przekształcenie Belize z republiki bananowej w sprawnie działające, silne ekonomicznie państwo.

Wszyscy obecni pokiwali głowami, ich zdaniem sukces był w zasięgu ręki. Stali na progu nowej ery, w której oni i stworzone przez nich państwo staną się zalążkiem czegoś wielkiego.

# 31

Po weekendowych wydarzeniach w Orlando i ostrzeżeniu Marka o możliwości podsłuchów cała czwórka spotkała się znowu po dwóch tygodniach w ulubionym barze Marka niedaleko mariny w Fort Lauderdale. Przez ten czas byli wyjątkowo ostrożni i skupieni na tym, co robią i mówią. Powoli zaczynało im to doskwierać, ale cel, który mieli przed sobą, pozwalał im zapomnieć o niedogodnościach. Siedzieli w jednym z boksów pod ścianą i popijając piwo, ustalali ostatnie szczegóły dalszych działań. Zgodnie z umową wszystko zaplanował Ken. Teraz przedstawiał swój plan przyjaciołom.

– Lecimy do Chicago, stamtąd mamy bezpośredni lot do Warszawy w Polsce. Dalej musimy się dostać do... zaraza, co za nazwa, Wałbrzych. – Ken naprawdę dał z siebie wiele, by poprawnie to wypowiedzieć. – Hotel już zarezerwowałem, mamy tam umówione spotkanie z Mr. Flisakiem. No i działamy.

– Czy ktoś ma jakieś pytania albo wątpliwości? – Choć znali się od lat, Mark postanowił jeszcze raz się upewnić co do intencji i zdecydowania kolegów. – Nie da się wykluczyć, że będzie się tam coś dziać, niekoniecznie po naszej myśli, może też być niebezpiecznie. Więc jak, panowie?

– O czym ty mówisz? Siedzimy w tym od początku razem, już parę rzeczy działało się nie po naszej myśli i daliśmy radę. – Paul jak zwykle nie miał wątpliwości. Jose tylko milcząco kiwał głową, potwierdzając słowa kolegi.

– Powiedz lepiej, jak mamy się przygotować na te niespodziewane zdarzenia.

– Najlepiej odsłużyć parę lat w SEALs – skwitował z uśmiechem Mark. Choć już od ponad roku był w cywilu, nadal miał ogromną słabość i sentyment do

swojej jednostki. – A tak na serio: będziemy reagować na bieżąco. Do tego macie mnie, postaram się o was zadbać. Zresztą, i powiem to tylko raz, panowie, nie jesteście tacy kiepscy, jak mogłoby się wydawać, i damy sobie radę.

– Czyli, podsumowując, zaczynamy za cztery dni. Lecimy do Polski i rozpoczynamy poszukiwania. Tak w największym skrócie można przedstawić nasz plan. Tylko nie wiem, co w przypadku, jeśli coś znajdziemy. A zakładam, że nam się uda. – Ken poruszył temat, który nurtował go od paru dni.

– Mam już pewien pomysł, nawet rozmawiałem z odpowiednim człowiekiem. Wiem, wiem, z bezpiecznego telefonu. – To ostatnie zdanie było skierowane do Paula, który już unosił głowę, by naskoczyć na Marka. – Wiecie mniej więcej, że w wojsku najważniejsze są zaopatrzenie i logistyka. A podoficerowie, którzy tym tak naprawdę zarządzają, mogą bardzo wiele. Znam gościa, który winien mi jest przysługę jeszcze z Afganistanu. Wyciągnąłem go rannego spod ognia, gdy jego kolumna wpadła w zasadzkę. Bronili się jak szatany, ale to jak zwykle my musieliśmy kończyć sprawę. Zresztą nieważne. Służy teraz w Aviano we Włoszech i jest w stanie załatwić przerzucenie do kraju praktycznie każdego kontenera z ładunkiem. Naszego też. Jeśli będziemy potrzebowali, to nam pomoże, przy czym zastrzegł, że narkotyki, broń, materiały wybuchowe nie przejdą. No ale z tym raczej nie ma problemu.

– To jesteśmy w domu, skoro mamy już nawet dograny przerzut znalezisk do kraju. Nic tylko szukać i znaleźć. – Paul był pełen entuzjazmu.

– Boję się, że tak łatwo i prosto nie będzie. Myślę, że ten wyjazd należy raczej potraktować jako rekonesans. Sprawdzić, jak się sprawy mają, jak wygląda sytuacja na miejscu. Jeśli coś się uda teraz znaleźć, to jak najbardziej. Jednak nie nastawiajcie się od razu na żaden spektakularny sukces – starał się tonować nastroje Ken. – Mark, ten twój znajomy jak długo jeszcze będzie we Włoszech?

– Co najmniej rok, dopiero niedawno go przenieśli. Mamy czas. A tak przy okazji: Enigma już sprzedana. Nie chciałem nic mówić wcześniej, żeby nie zapeszyć, ale właśnie się dowiedziałem. Jesteśmy do przodu o dziewięćdziesiąt pięć tysięcy baksów. Do tego reszta drobnicy, która już poszła, albo zaraz pójdzie,

i wychodzi do podziału po ponad dwadzieścia pięć tysięcy na głowę. Panowie, udały nam się wakacje!

Wszyscy zaczęli wiwatować i się przekrzykiwać. Na chwilę przestali być statecznymi czterdziestolatkami. Jose podbiegł zaraz do baru zamówić po dodatkowej kolejce dla wszystkich. A siedząca w boksie obok para przestała patrzeć sobie w oczy, tylko lekko skonsternowana spoglądała, co się dzieje parę metrów dalej. Po dłuższej chwili wszystko wróciło do normy. Barman też przestał się zastanawiać, czy aby wszystko w porządku i czy przypadkiem nie trzeba będzie dzwonić po gliny.

– Mam nadzieję, że to dobry znak co do dalszych poszukiwań. – Pierwszy ochłonął Ken.

– Kontaktowałeś się z Mr. Flisakiem?

– Tak, wie o naszym przyjeździe, spotkamy się w tym mieście na W. – Ken nie zamierzał się ponownie wysilać przy wymawianiu nazwy miejscowości – Ma przygotować jakieś materiały, których nie ma w sieci, jest bardzo zainteresowany naszym znaleziskiem i gotów do pomocy. Jednak chyba nie zdaje sobie sprawy, że interesują nas przede wszystkim skrytki. Zobaczymy na miejscu, jak się sytuacja rozwinie. Jeśli jego pomoc okaże się tak duża, jak myślę, to może warto by go wtajemniczyć w całe przedsięwzięcie? Co wy o tym myślicie?

– Nie wiem, czy warto. Im mniej ludzi wie o sprawie, tym lepiej i bezpieczniej. Ale z drugiej strony, jeśli się okaże, że jego pomoc dużo wnosi i sam człowiek też będzie w porządku, to czemu nie. Według tego spisu jest tam tak dużo fantów, że dla wszystkich wystarczy. – Stwierdził Mark. Wszyscy bez słowa skinęli głowami.

– W takim razie tę sprawę mamy załatwioną. Panowie, to jeszcze po piwku i wracamy do siebie, za cztery dni widzimy się na lotnisku w Orlando i lecimy do Chicago i dalej do Polski. Wylatujemy lotem United o drugiej po południu. Potem do Polski o dziewiątej wieczorem polską linią LOT. Bilety zarezerwowałem, czekają na nas na lotnisku – zakończył Ken.



Cztery dni minęły dość szybko. Każdy musiał pozamykać swoje sprawy, wziąć wolne, dogadać się z szefem w pracy. Dzięki pieniądzom uzyskanym ze sprzedaży Enigmy mogli sobie pozwolić na bezpłatne urlopy. Każdy wymówił się ważnymi sprawami rodzinnymi, wymagającymi wyjazdu do Europy. Mark miał tu najłatwiej, sam był swoim szefem, ale i on musiał poprosić znajomego, by przejął od niego dwa rejsy z turystami. Dali sobie na wszystko trzy tygodnie. Chociaż spodziewali się, że przez ten czas wszystkiego nie załatwią. Tak jak powiedział Ken, miał to być raczej rekonesans, przygotowanie właściwej wyprawy w przyszłości. Oczywiście o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem i gra rzeczywiście będzie warta świeczki.

Spotkali się na lotnisku w Orlando, usiedli w City Pub w zachodniej hali. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym barze przed odlotem do Nowego Jorku siedzieli Bruno i Andreas.

– Dwie godziny lotu, jesteśmy w Chicago i czekamy cztery. – Jose przeglądał bilety i porównywał czas startów i lądowań. – Zanudzimy się.

– Nie narzekaj. Przeglądałem w internecie informacje na temat tej polskiej linii, którą lecimy, podobno dają w samolocie niezłe jedzenie, a stewardesy na zdjęciach były całkiem, całkiem. Będziesz mógł się wykazać. – Ken z uśmiechem pobłażania skwitował tradycyjne marudzenie Josego.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Przecież jestem statecznym czterdziestolatkiem, już nie podrywam na prawo i lewo wszystkich dziewczyn. Zresztą ostatnio znowu spotkałem się z naszą starą znajomą.

– O, to my mamy wspólne „stare znajome”? Zazwyczaj twoje znajome są tylko o kilka lat starsze od mojej córki. – Ken nie mógł sobie darować. Podboje Josego były stałym tematem ich rozmów i żartów.

– Pamiętasz, parę miesięcy temu w archiwum w Fort Lauderdale, Aurelia?

– Aha, przypominam sobie, taka raczej stara panna, choć niczego sobie. Oczarowałeś ją i wydobyłeś informacje na temat U-530. Nie spodziewałem się po tobie, że ją jeszcze kojarzysz, a ty nawet się z nią spotkałeś.

– Tak, zadzwoniła przedwczoraj. Umówiliśmy się na drinka wieczorem. Pytała się, jak nam poszło z wrakiem, i w ogóle chyba na mnie leci. Niestety tak dobrze zapowiadającą się znajomość byłem zmuszony przerwać ze względu na was. Chciała się jeszcze spotkać, ale musiałem jej odmówić, w końcu lecimy do Europy.

– A tak dokładnie, to co jej powiedziałaś? – Mark nagle podświadomie się zaniepokoił. Ufał przyjaciom, był gotów się dla nich poświęcić, ale Jose zawsze był z nich najbardziej nieodpowiedzialny. Zazwyczaj kończyło się to na kolejnej porcji żartów lub ratowaniu go z rąk jakiegoś męża czy chłopaka właśnie poderwanej dziewczyny. Jednak tym razem sprawa była poważna.

– To, co ustaliliśmy, że wyjeżdżam na parę tygodni. Pytała gdzie, to tylko ogłędnie stwierdziłem, że do Europy w sprawach biznesowych. Dalej nie dociekała, a ja nie mówiłem. – Jose nagle sam zaczął się zastanawiać.

– Ty, a nie wydało ci się dziwne, że poznana parę miesięcy temu kobieta nagle sama do ciebie dzwoni i proponuje drinka wieczorem? – Paul też zaczął naskakiwać na Latynosa.

– Powiedziała, że akurat jest w Miami u przyjaciół i że właśnie o mnie pomyślała. Takie rzeczy się zdarzają. Wiem, że wy, żonaci, nie macie takich telefonów, ale ja czasami mam. – Jose tradycyjnie lekko się obraził, jak zawsze, gdy zaczynali kwestionować jego urok osobisty, który przecież zawsze działał na kobiety.

– Nic już nie zrobimy. Mam nadzieję, że faktycznie kobitka była zauroczona naszym przystojniakiem i sprawa nie ma drugiego dna. Sorry, Jose, ale ostatnio trochę się wokół nas działo, pewnie jesteśmy przewrażliwieni – łagodził sytuację Mark, lecz pewien niepokój pozostał.

W tym samym momencie zaczęli wywoływać ich lot United numer 1500 do Chicago. Dopili piwo, zebrali podręczne bagaże i ruszyli w kierunku bramek.

Dwugodzinny lot był typową podróżą bez historii, chociaż Mark cały czas miał w głowie ostatnie spotkanie Josego. Nie dawało mu to spokoju, próbował

sobie tłumaczyć, że nic się nie stało, że tylko wyolbrzymia sprawę. Zazwyczaj przeczucia go nie myliły. Teraz jednak bardzo chciał, by tak było.

W Chicago na lotnisku O'Hare jak zwykle był tłok, ruch i zamęt. Mieli czas, ale nie mogli znaleźć miejsca w normalnym barze, a siedzenie w Burger Kingu czy innym tego typu paśniku jakoś ich nie podniecało. Gdy w końcu wywołano ich lot, posłusznie ustawili się w kolejce do odprawy. Szło dosyć sprawnie, choć jak zwykle ktoś pomylił kolejki, komuś coś się nie zgadzało w dokumentach podróży. Wreszcie weszli na pokład, gdzie zgodnie z obietnicą Kena podróżnych witały ładne i uśmiechnięte stewardesy. Jose natychmiast odzyskał humor, lekko skwaszony wymówkami kolegów jeszcze w Orlando.

– Ale bilety to mogłeś zarezerwować w lepszej klasie niż ekonomiczna. – Paul też był w trochę marudnym nastroju.

– To w drodze powrotnej, jak wszystko nam się uda. Popatrz na naszego Kubańczyka, już nie kwęka, tylko szczerzy się do pańienek i stewardes. Teraz pewnie mógłby lecieć nawet w cargo.

– Tak, ale ja nie jestem nastawiony na podboje, mam już swoje lata. – Paul co prawda dalej marudził, ale już było widać, że robi to raczej dla zasady.

Miejsca mieli w dwóch kolejnych rzędach na końcu samolotu. Akurat niektóre fotele były wolne, dzięki temu usiedli po dwóch, szykując się na w miarę wygodny nocny lot. Po kołowaniu, odbyciu tradycyjnych rytuałów związanych z bezpieczeństwem lotu, wreszcie po starcie rozpoczęła się typowa krzątanina na pokładzie. Napoje, posiłek, drinki (niestety płatne), filmy. Jak się okazało, płatne drinki jakoś nie zniechęciły amatorów trunków, niektórzy chyba postawili sobie za punkt honoru, żeby po lądowaniu wyniesiono ich z pokładu. No i tu się zaczęły kłopoty. Po paru godzinach spokoju jakieś trzy rzędy przed Markiem i Kenem dwóch amatorów procentowych napojów zaczęło się zachowywać zbyt głośno. Prośby stewardesy, by się uspokoili, tylko ich zachęcały do coraz głośniejszego i bardziej prowokacyjnego zachowania. Pasażerowie, którzy już spali, zaczęli się budzić. Dotyczyło to również Marka, który swoim zwyczajem nadrabiał w samolocie zaległości w spaniu. Reszta oglądała filmy, Ken przeglądał notatki.

– Co się dzieje? – Mark przebudził się akurat w chwili, gdy tym razem steward próbował uspokoić niesfornych pasażerów.

– Dwóch napranych gości ma dość, tylko jeszcze tego nie zrozumieli. – Ken zdjął okulary do czytania.

– To ty nosisz okulary? – Mark, już prawie całkiem przytomny, przetarł ręką twarz. Jednak skoncentrował się nie tyle na wydarzeniach w samolocie, ile na nowym odkryciu dotyczącym przyjaciela.

– Przed wylotem odebrałem od okulisty. A ty co się dziwisz? Przyjacielu, jesteśmy coraz starsi. Do tego robię za was wszystkich w papierach, to i mam uszczerbki na zdrowiu. Będzie mi się należała dodatkowa dola za szkodliwe warunki pracy.

– Za szkodliwość to zaraz tym gościom będzie się należało. – Mark w końcu zwrócił uwagę na wydarzenia parę rzędów przed nimi. – Jose, podnieś dupsko, zaraz będziesz miał możliwość zagadania z tą ładną blondynką, do której tak się szczerzyłeś przy wejściu.

Do stewarda dołączyła właśnie koleżanka o blond włosach. Sprawa z pijanymi pasażerami zaczynała się coraz bardziej zaostrzać. Doszło już do pyskówki. Dwaj goście stawali się coraz bardziej agresywni, żądając kolejnych drinków. W pewnym momencie jeden z nich się zerwał i pchnął mocno stewarda, który o mało się nie przewrócił, w porę podtrzymany przez koleżankę. To już wystarczyło Markowi. Obaj z Josem podnieśli się z miejsc i ruszyli w kierunku napastnika. Był to młody, umięśniony, wytatuowany mężczyzna.

– Może byś przeprosił pana, grzecznie usiadł i zajął się przytulaniem do przyjaciela? – zasugerował łagodnie Mark pijanemu pasażerowi. Ten niestety, nie odczytawszy zbyt dobrze intencji nowego uczestnika awantury, bez słowa zamachnął się na Marka. Czy to z powodu wypitego alkoholu, czy przerostu tkanki mięśniowej nad mózgową ruch ten był nie tylko powolny, ale i niezbyt umiejętny. Na swoje nieszczęście jego wykonawca trafił na zawodowca, co prawda w stanie spoczynku, ale jednak. Szybki blok, jeszcze szybszy cios w krtań,

z wyczuciem. I napastnik leżał na podłodze, trzymając się za gardło i próbując złapać powietrze. W tym czasie Jose położył rękę na ramieniu drugiego awanturnika, który zamierzał wstać i zapytał spokojnie:

– Chcesz tak samo czy mocniej?

To wystarczyło, sprawa była załatwiona, po chwili pojawił się pilot, dwaj pasażerowie zostali rozsadzeni i ostrzeżeni o konsekwencjach swojego zachowania. Mark wrócił na miejsce odprowadzany wdzięcznymi spojrzeniami innych pasażerów. Za to Jose brylował, przede wszystkim wśród stewardes. A wspomniana blondynka już po chwili uśmiechała się zalotnie do przystojnego Latynosa.

– No to mamy spokój i szczęśliwego Josego – skomentował sprawę Paul lekko znudzonym tonem. Pozostała dwójka tylko pokiwała głowami. Mark, któremu w zasadzie należały się największe podziękowania, spokojnie scedował je na przyjaciela, który w takich sytuacjach zawsze czuł się jak ryba w wodzie.

Do końca lotu już nic niepokojącego się nie wydarzyło. Przed lądowaniem stewardesy jeszcze raz podziękowały Markowi i Josemu za pomoc. Ten ostatni miał już zresztą numer telefonu blondynki, której bezpośrednio pomagał w zajściu, jej wdzięczność i obietnicę spotkania w Stanach za parę tygodni.

## 32

Hôtel Plaza Athénée w Nowym Jorku przywitał Andreasa i Bruna tym samym co zawsze – nastrojem elegancji i snobizmu. Mr. Carter był oczywiście w swoim apartamencie i oczekiwał dwójki gości. Ten sam ochroniarz co ostatnio obrzucił ich uważnym spojrzeniem, następnie wprowadził do gabinetu i wyszedł. Tego dnia Mr. Carter, a może Rolf Angerer, był sam.

– Witam, panowie, mam nadzieję, że sprawa została ostatecznie wyjaśniona. – Tym razem nie zaproponował, by usiedli, wyraźnie chciał wszystko zakończyć jak najszybciej. Bruno znowu milczał, mówił tylko Andreas.

– Tak, na pendrivie są wszystkie dane. Potwierdziliśmy, że nasi „nurkowie” nie posiadają pojemnika. Cała ich wyprawa na wrak zaowocowała znalezieniem egzemplarza Enigmy, co zresztą sami potwierdzili w rozmowie ze mną. – Andreas wolał przemilczeć wydarzenia w domu Morisona i swoją niezbyt szczęśliwą wizytę. – Dla pewności przez kolejne dni cała czwórka była podsłuchiwana w domach. Sprawdziliśmy też zawartość ich domowych komputerów, historię aktywności w internecie. Nic interesującego się tam nie znajdowało, oprócz informacji na temat wraku i Enigmy.

– Czyli macie pewność, że niczego nie znaleźli.

– Takiej pewności nigdy nie ma. Sprawdziliśmy obiekty na tyle dokładnie, na ile było to możliwe. Niestety nie mieliśmy możliwości dotarcia do zapisu ich rozmów telefonicznych. Same podsłuchy trwały też tylko kilka dnia. Aby mieć pewność, powinni być pod obserwacją przez kolejnych kilka tygodni, i to

prowadzonej przez cały zespół ludzi z odpowiednim zapleczem. Praktycznie takie możliwości mają tylko instytucje rządowe.

– W porządku, rozumiem i dziękuję za waszą pomoc. Myślę, że możemy na tym zakończyć naszą współpracę. Jeśli będę miał kolejne zlecenia, wiem, jak was znaleźć. Honorarium zgodnie z umową już zostało przelane na wskazane konto. – Dał tym samym do zrozumienia, że rozmowa się skończyła. Do gabinetu ponownie wszedł milczący ochroniarz i odprowadził obu agentów do drzwi wyjściowych. Nie rozmawiając ze sobą, Andreas i Bruno zjechali windą i wyszli z hotelu prosto w zgiełk nowojorskiej ulicy.

– Nie uważasz, że za łatwo to wszystko przyjął? – Bruno odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Ostatnio był bardziej nerwowy i jakby bardziej wymagający, teraz przyjął wszystko bez mrugnięcia. Nawet to, że nie mamy stuprocentowej pewności.

– Trudno, ważne, że uregulował rachunek. Wiesz najlepiej, że nie zawsze wszystko udaje się tak, jak planowano. Uważam, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, a nawet trochę więcej. Pojemnika nie znaleźliśmy, widocznie go nie wydobyli z wraku. – Bruno, podobnie jak jego partner, nigdy się nie zastanawiał, co właściwie zawierał ten pojemnik, mieli go tylko znaleźć. Teraz sprawa była zakończona, a oni zaczęli się szykować do kolejnego zlecenia.

W tym samym czasie Rolf Angerer odebrał kolejne informacje z Bahamów. Wyprawa na wrak nie przyniosła na razie oczekiwanych rezultatów. Ludzie Geblera nie mogli znaleźć pojemnika. Bardzo dokładnie przeczესali pozostałości U-530. W niektórych miejscach użyli specjalnych palników przystosowanych do prac podwodnych, by wyciąć przeszkody. Ich działania były o wiele bardziej inwazyjne niż poczynania poprzednich ekip. Pomimo to nie mogli znaleźć pojemnika. Wszystko to coraz bardziej irytowało Angerera. Zaczynał też mieć coraz większe wątpliwości co do efektów pracy agentów, z którymi przed chwilą rozmawiał. „Całe szczęście – pomyślał – że mamy plan awaryjny. Karl będzie musiał na razie działać na podstawie okrojonych informacji. Mam nadzieję, że to

wystarczy, sprawy co prawda się trochę skomplikowały, ale nadal mamy nad nimi kontrolę”.

Postanowił też skontaktować się z Larsem Baumertem, by jego siostrzenica spróbowała wybadać tego „nurka”, dzięki któremu wpadli na trop U-530.

Karl szykował się właśnie do lotu za ocean. Korzystając z możliwości firmy ojca, miał lecieć nowym firmowym gulfstreamem IVSP. Było to dla niego oczywiste, przede wszystkim ze względu na to, kim był. Przecież dziedzic jednej z najpotężniejszych firm budowlanych w USA nie będzie latał zwykłymi połączeniami komercyjnymi. Nawet w klasie biznes. Poza tym wraz z nim miała lecieć cała jego specjalnie dobrana sześciuosobowa ekipa. Do tego zabierali ze sobą znaczną ilość sprzętu niezbędnego do prac wydobywczych. Były tam między innymi: magnetometr, lidar, zwykłe wykrywacze metalu, specjalne drony, ale również czułe wykrywacze promieniowania. Te ostatnie zapewne mogłyby wzbudzić zainteresowanie celników w czasie zwykłego lotu. Do tego broń, której już na pewno nie dało się zaliczyć do sprzętu poszukiwawczego, i pewna ilość materiałów wybuchowych. By spokojnie wwieźć to wszystko do Polski, już dwa dni wcześniej poleciał tam ósmy człowiek z ich zespołu, który miał się zająć zabezpieczeniem ich przylotu, jak to eufemistycznie określono. Faktycznie były agent FBI, pracujący teraz dla Angerer Construction Group, świetnie wiedział, jak przekonać urzędników celnych z całego świata do współpracy oraz nierobienia problemów przy wjeździe do poszczególnych krajów.

Oprócz wspomnianego już byłego agenta w skład grupy Karla Angerera wszedł między innymi inżynier budowlany. Do jego zadań miało należeć oszacowanie stanu podziemi, do których mieli się dostać. Człowiek ten świetnie się też znał na obsłudze sprzętu służącego do wszelkich poszukiwań, a jednocześnie był specjalistą od tego typu budowli z czasów drugiej wojny światowej. Potrafił je zidentyfikować, przede wszystkim zaś eksplorować. Mieli też w ekipie fachowca od materiałów rozszczepialnych, Rosjanina, kiedyś zatrudnionego przy budowie sowieckiej broni nuklearnej. Ten był odpowiedzialny za zabezpieczenie i późniejszy transport odnalezionych bomb nuklearnych.



Kolejnym fachowcem był specjalista od materiałów wybuchowych, który miał wziąć na siebie odnalezienie i rozbrojenie pułapek zabezpieczających wejścia do podziemi. Trzej pozostali to byli żołnierze, do ich zadań miało należeć zabezpieczenie poszukiwań, jak również wykonywanie wszystkich, jak to nazywał Karl Angerer, „zadań specjalnych”. Rozumiał przez to głównie ochronę przed wszystkimi wścibskimi, którzy mogliby pokrzyżować ich palny, oraz wszelkie sprawy nieprzewidziane, a wymagające zdecydowanej reakcji. Wszyscy trzej służyli wcześniej w korpusie piechoty morskiej, gdzie byli zwiadowcami, dowodzenie nad nimi miał przejąć, obok Karla oczywiście, operujący już w Polsce były agent FBI.

Przekonany o umiejętnościach swojej ekipy, Karl był spokojny o wynik poszukiwań. Jediną rzeczą, która go niepokoiła, była sprawa nadal nieodnalezionej dokumentacji z U-530. Choć posiadane przez nich materiały, o których istnieniu ojciec dopiero co poinformował wszystkich współników, w znacznej mierze mogły pomóc w poszukiwaniach, w ostateczności mogły nawet wystarczyć. Przynajmniej taką nadzieję miał Angerer junior. Dla bezpieczeństwa reszta jego ludzi miała się zaznajomić ze szczegółami operacji dopiero w czasie lotu do Europy. Na razie mieli tylko mgliste pojęcie o zadaniu, które ich czekało. Karl był pewien swego. Wynikało to z jednej strony z możliwości, które dawały zasoby finansowe jego ojca, z drugiej z niezachwianego przekonania o własnych talentach i umiejętnościach. Do tego ludzie, których zabierał, naprawdę należeli do wysokiej klasy fachowców.

Przed snem postanowił jeszcze raz przejrzeć posiadaną dokumentację kompleksu Riese. Usiadł w swoim ulubionym fotelu ze szklaneczką dwudziestopięcioletniej whisky w ręku. Przed sobą miał okno, z którego roztaczał się niesamowity widok Manhattanu. Apartament, w którym niedawno zamieszkał, znajdował się na czterdziestym ósmym piętrze jednego z najnowszych wieżowców wybudowanych przez rodzinną firmę. Patrząc z góry na rozświetloną metropolię, czuł się panem świata. Był przekonany, że niedługo jego odczucia mogą przekształcić się w rzeczywistość.

## 33

Przed wyjściem z samolotu Mark i Jose zostali zaproszeni do kabiny pilotów, gdzie kapitan jeszcze raz specjalnie im podziękował za pomoc w czasie lotu. Mark czuł się trochę skrępowany całą sytuacją, uważając, że nic takiego nie zrobił. Jose był za to w swoim żywiole, zwłaszcza że stewardesy patrzyły na niego jak na bohatera. Wreszcie, po zakończeniu wszystkich celebracji, przejściu przez cło i odebraniu bagaży, cała czwórka wyszła do głównej hali lotniska w Warszawie. Od razu wpadli w tłum ludzi: oczekujące rodziny, sztywni szoferzy w służbowych garniturach z tabliczkami, na których widniały nazwiska, grupka fotoreporterów (zdaje się, że tym samym lotem przyleciał jakiś celebryta, pewnie znany z tego, że jest znany). Czyli normalne międzynarodowe lotnisko z jego codziennym zamieszaniem, gwarem i śpieszącymi się ludźmi. Przebiwszy się do wyjścia, zaczęli się rozglądać za taksówką. Od razu jak spod ziemi wyrósł przy nich mężczyzna o typowym wyglądzie miejskiego cwaniaka. Nieważne Nowy Jork, Londyn czy Warszawa – ten gatunek zawsze egzystował w okolicach lotnisk i zawsze starał się żywić naiwnością przyjezdnych. Zwłaszcza takich, po których widać, że przylecieli po raz pierwszy do nowego miasta, są trochę oszołomieni po długim locie i rozglądają się, nie bardzo wiedząc, co dalej. Ci czterej spełniali według niego te warunki, natychmiast też ich namierzył i rozpoznał jako łatwy łup, z którego można będzie wyciągnąć trochę grosza.

– *Hello mister, taxi?* – Angielszczyzna mężczyzny delikatnie zalatywała brakiem jakichkolwiek zdolności językowych. – *I have the best car. I'll take you to the best hotel.*

– Bardzo chętnie, ale nie z tobą, kolego. – Ken od razu rozpoznał naciągacza. Ten, usłyszawszy zdecydowaną odmowę i jeszcze raz obrzuciwszy spojrzeniem czterech dobrze zbudowanych mężczyzn, natychmiast stracił nimi zainteresowanie i zniknął, szukając innych naiwnych.

– Co ci się w nim nie podobało? Oprócz angielszczyzny, oczywiście – zaciekał się Paul.

– Czytałem w internecie, że pod lotniskiem są takich tabuny i należy uważać, bo mają ceny z kosmosu. Zaraz zmówię taksówkę przez telefon, numerów też poszukałem.

Wszyscy spojrzeli na niego z podziwem. Wiedzieli, że Ken zaangażował się w ich wyjazd, ale taka skrupulatność ich zaskoczyła. Szczególnie Josego, który w takich sytuacjach zawsze szedł na żywioł.

Zamówioną taksówką podjechali pod dworzec kolejowy usytuowany w samym centrum miasta. Nie zrobił na nich wielkiego wrażenia, natomiast kolejki przed kasami biletowymi – zdecydowanie tak. W końcu udało się im kupić bilety na pociąg do Wałbrzycha z przesiadką we Wrocławiu. Zanosilo się na to, że pierwsza część podróży nie będzie odbiegała od normy. Jechali nowoczesnym pociągiem o wyglądzie zapowiadającym szybkość i luksus. Nie do końca się to sprawdziło. Zwłaszcza z tą szybkością. Ponad trzydziestominutowe opóźnienie dla miejscowych nie było niczym nadzwyczajnym, dla nich zaś stanowiło duży problem, zwłaszcza że kolejny pociąg, którym mieli jechać, wprawdzie czekał na spóźnialskich, ale niezbyt długo. A oni, nie znając miejscowych zwyczajów komunikacyjnych, najnormalniej w świecie nie zdążyli.

– No i co teraz? – spokojnie zapytał kierownika ich wycieczki Mark.

– Nic, trzeba poszukać innego połączenia. Zaraz to ogarnę. – Ken zaczął się rozglądać za informacją, gdy ją w końcu znalazł, okazało się, że panienska, która obsługiwała podróżnych, znała angielski zdecydowanie lepiej niż większość mieszkańców Teksasu. Do tego była bardzo miła i uczynna. Będąc pod dużym wrażeniem i mając teraz już pełną wiedzę na temat jazdy pociągami w Polsce,

najpierw wymienił bilety na inny pociąg, potem zabrał lekko znudzonych i zmęczonych przyjaciół na kolejny peron i tam wsiedli do stojącego już pociągu obsługującego lokalne trasy. No i tutaj przeżyli lekki szok. Powiedzieć, że pociąg znacznie odbiegał standardem od tego, którym jechali z Warszawy, to nic nie powiedzieć. Mark, widząc miny kolegów, zaczął się śmiać.

– Kiedyś jechałem podobnym w Pakistanie. No ale tu przynajmniej nie ma kóz w przedziale, a miejscowi nie chcą poderżnąć nam gardła.

Znalezienie dobrych stron podróży jakoś nie zlikwidowało pierwszego szoku. Podróż, która pierwotnie miała trwać nieco ponad godzinę, wydłużyła się do dwóch. W końcu jednak udało im się dotrzeć do Wałbrzycha. Kolejną taksówką, tym razem już bez kombinowania i naciągaczy, dojechali do hotelu Ibis Styles, gdzie mieli zarezerwowane noclegi. Nie wyróżniał się on co prawda urodą, podobnie jak całe miasto, jednak pokoje niczym nie odbiegały od standardu tego typu hoteli na całym świecie.

– Nie wiem jak wy, panowie, ale ja padam na twarz. – Jose był wyraźnie nie w formie. – Nawet jeść mi się już nie chce, marzę tylko o wygodnym wyrku.

– Ja bym coś przekąsił. – Na Paulu, podobnie jak na Marku, cała podróż nie zrobiła większego wrażenia. No, może poza ostatnim pociągiem, ale to był raczej szok kulturowy. Po namyśle Ken postanowił do nich dołączyć. W trójkę zeszli do holu, a stamtąd do restauracji. Kolacja, choć dosyć późna, okazała się nadspodziewanie smaczna. Co prawda jedli na pokładzie samolotu, ale cała podróż, zmiany środków lokomocji, zmiana czasu trochę rozregulowały ich wewnętrzne zegary i solidne porcje powitali z entuzjazmem. Do tego całkiem niezłe piwo, które zdecydowanie pomogło im spojrzeć z optymizmem w przyszłość. Trochę się nawet rozochocili i po kolacji wylądowali w barze, tym razem już przy drinkach. Nie zwrócili uwagi na wysokiego mężczyznę, który cały czas im się przyglądał. Najpierw czekał na ich przyjazd w samochodzie zaparkowanym pod hotelem, potem, gdy weszli, zameldował się, biorąc pokój na ich piętrze. Przez całą kolację i potem w barze wciąż trzymał się niedaleko nich. Jednak nie na tyle blisko, by zwrócili na niego uwagę. W pewnym momencie

wyjął telefon i przeprowadził krótką rozmowę. W czasie gdy trójka przyjaciół raczyła się kolejnymi drinkami, trzy piętra wyżej kolejny mężczyzna powoli szedł korytarzem. Jego kroki wyciszała wykładzina. Zresztą nie silił się na skradanie, po prostu hotelowy gość wracający na noc do pokoju. Gdy stanął przed drzwiami z numerem 312, zaczął się uważnie wsłuchiwać, czy przypadkiem kogoś za nimi nie ma. Po krótkiej chwili wyjął małe urządzenie, które po przytknięciu do elektronicznego zamaka błyskawicznie go odblokowało. Wszystko to trwało parę sekund. Ktoś z boku zupełnie nie zwróciłby na to uwagi. Ot, zwykły gość wracający do siebie. Po wejściu ponownie się zatrzymał, wsłuchując się w ciemność, w końcu zdecydował się zapalić światło. Na dwóch łóżkach leżały rozrzucone rzeczy. Na stoliku leżał komputer, na podłodze stały dwie torby podróżne i jeden mały turystyczny plecak. Nie zważając w tym momencie na torby, mężczyzna skupił się na komputerze. Ten już po chwili świecił otwartym ekranem, domagając się wpisania hasła. Mężczyzna, zupełnie się tym nie przejmując, wcisnął w otwór USB przedmiot przypominający pendrive'a i spokojnie czekał, rozglądając się po pokoju. Chwilę potem komputer zamigał ekranem i pokazał się pulpit z kilkunastoma ikonami. Nie zaprzatając sobie głowy ich przeglądaniem, włąmywacz cierpliwie czekał, aż urządzenie skopiuje całą zawartość twardego dysku. Trwało to parę minut. Gdy zamigotała zielona lampka na pendrivie, wyjął go, a komputer sam się wyłączył. Teraz pozostało tylko zamknąć ekran. Tymczasem przejrzał też torby podróżne i plecak, nie znalazł w nich jednak nic interesującego. Już miał wychodzić, gdy poczuł wibracje wyciszonego telefonu.

Odebrał połączenie. Padło tylko jedno słowo: „Wracają!”. Dla niego nie miało to już większego znaczenia. Opuścił pokój i spokojnie skierował się do windy. Gdy z niej wysiadał, w głównym holu do sąsiedniej windy wsiadało akurat trzech lekko podchmielonych mężczyzn. Nie spojrzeli na niego. Wychodząc, mężczyzna uśmiechnął się tylko do nocnej recepcjonistki, wsiadł do zaparkowanego przed hotelem samochodu i odjechał.

Cała trójka w niezłych nastrojach wróciła do swoich pokoi. W 311 pochrapywał Jose. Mark, nie chcąc go budzić, zapalił tylko lampkę nocną przy łóżku. Wziął szybki prysznic i też się położył. W pokoju obok pozostał dwójka jeszcze przez chwilę się kręciła. W czasie gdy Paul brał prysznic, Ken odpalił komputer i sprawdził pocztę. Była w niej odpowiedź od Flisaka. Potwierdzał jutrzejsze spotkanie, miał przyjechać po nich do hotelu. Czekał na wolny prysznic, jeszcze raz przejrzał przygotowane zdjęcia dokumentów z U-530. Miał je oddzielnie na pendrive wielkości karty kredytowej, który nosił cały czas przy sobie. Podobne karty mieli wszyscy czterej. Dla bezpieczeństwa na każdej znajdowała się tylko część dokumentacji. Dodatkowo Ken miał na swoim plik, który mieli udostępnić Flisakowi. Zawierał on tylko wybrane dla niego dokumenty. Co do reszty mieli się zastanowić i zdecydować po rozmowie z poszukiwaczem z Polski.

# 34

Zanim jeszcze czterej przyjaciele rozgościli się na dobre w wałbrzyskim hotelu, nawet zanim jeszcze wylecieli do Europy, stali się przyczyną potężnego bólu głowy Rolfa Angerera. Pierwszym zwiastunem kłopotów była wiadomość z Bahamów. Ekipa nurków ze statku badawczego Medusa niczego nie znalazła na wraku U-530. Ta zaskakująca wiadomość dotarła do nowojorskiego biura przedsiębiorcy wraz z wizytą Willema Geblera. Poprzedniego wieczora poinformował tylko, że muszą się spotkać.

– Niestety, moi ludzie niczego nie znaleźli – poinformował współnika bez zbędnych wstępów. – Bardzo dokładnie przeszukali cały wrak, w niektórych miejscach użyli palników i specjalnych narzędzi do prac podwodnych. Nic. Niczego, co by choć przypominało pojemnik, na pokładzie nie ma. Widzieli ślady podwodnych prac, ale bardzo stare. Może zaraz po wojnie ten pojemnik został wydobyty razem z innymi rzeczami?

– To niemożliwe, coś bym o tym wiedział. – Angerer co prawda tego nie okazywał, ale czuł coraz większe zdenerwowanie i narastającą wściekłość. – Może twoi ludzie źle szukali, coś przeoczyli, nie wiem, może nawet coś przed tobą zataili?

– Nic z tych rzeczy, mam do nich całkowite zaufanie. Jeśli mówią, że czegoś nie ma, to nie ma. Coraz bardziej się zastanawiam, czy ci poszukiwacze skarbów nas nie ubiegli. Ale przecież mówiłeś, że są pod kontrolą i są sprawdzani.

– Już sam zaczynam mieć wątpliwości. Moi agenci gwarantowali, że niczego nie wykryli. „Nurkowie” wyciągnęli tylko Enigmę, którą zresztą całkiem nieźle

sprzedali. Wydawało się, że to było ich główne znalezisko. Musimy mieć te dokumenty. To, co wam pokazywałem i z czym teraz pracuje Karl, może nie wystarczyć. Co prawda mamy kontakt ze strażnikami w Polsce, ale oni nawet nie wiedzą, czego pilnują. A już na pewno nic nie wiedzą albo wiedzą bardzo mało na temat zabezpieczenia skrytek. Mój syn będzie musiał działać bardzo ostrożnie. Zaczynam się obawiać, że „nurkowie” wydobyli z wraku więcej, niż trzeba. Dziękuję, Willem, że osobiście się pofatygowałeś, by mnie poinformować o fiasku poszukiwań.

Gebler podniósł swoje wielkie cielsko z fotela.

– Musimy coś zdecydować. Nasze działania są już bardzo zaawansowane, potrzebujemy tej bomby, by zacząć wprowadzać plan w życie. Rozmawiałem z Horstem, twierdzi, że w Belize już prawie wszystko gotowe.

– Wiem, wiem, nie musisz mi przypominać... Przepraszam, przyjacielu, że się uniosłem, ale niepokoi mnie ten brak dokumentacji. – Angerer odprowadził współnika do drzwi. – Na razie wszystko robimy zgodnie z planem. Karl zebrał świetną ekipę, jest już w Europie i działa.

Po wyjściu Geblera zaczął intensywnie myśleć. Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to wezwać agentów, którzy tak zepsuli sprawę „nurków”. Miał nadzieję, że nie zrobili tego celowo. Erwin, jego brat, ręczył za nich i za ich umiejętności. To była wystarczająca rekomendacja. Nie zmieniało to jednak faktu, że zawiedli. Pozostawała jeszcze Aurelia, siostrzenica Baumerta. W tej sytuacji kolejny rozmówca był oczywisty.

– Witaj, Lars! Jak interesy? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Słuchaj, sprawy się nieco skomplikowały. Ludzie Geblera niczego nie znaleźli na Bahamach. A twoja siostrzenica dowiedziała się czegoś?

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić w tej sprawie. Spotkała się z jednym z tych „nurków”, tym Meksykaninem czy Kubańczykiem – nieważne. Wyobraź sobie, że on właśnie leci na parę tygodni do Europy. Za bardzo nie chciał



powiedzieć, w jakiej sprawie, twierdził że są to interesy firmowe. Jednak Aurelia nie daje temu wiary. Uważa, że nie był z nią całkiem szczery.

– No ładnie. Trzeba sprawdzić pozostałą trójkę. Jeśli są na miejscu, to raczej nie mamy się czym przejmować. Muszę już kończyć. Pozdrów żonę. Do zobaczenia.

Wezwał swoją asystentkę i polecił jej skontaktować się z doktorem Kenem Morisonem z University of Central Florida w Orlando. Po chwili sekretarka zawiadomiła Angerera, że niestety doktor Morison przez najbliższe trzy tygodnie będzie nieobecny. Ta wiadomość była już bardziej niż niepokojąca. Ostatni telefon postanowił wykonać sam. Z kasy pancерnej wyjął kopie dokumentów dostarczonych przez byłych agentów BND. Odnalazł właściwy numer i zadzwonił do pewnej firmy wycieczkowej w Fort Lauderdale.

– Dzień dobry. Czy państwo organizują wycieczki morskie z nurkowaniem? – Po zgłoszeniu się rozmówcy udawał zainteresowanego morską wycieczką.

– Tak, oczywiście, chociaż jestem tutaj w zastępstwie kolegi, który prowadzi tę firmę. Niestety najbliższe terminy są pozajmowane. A co by pana interesowało?

– Słyszałem od znajomych, że wycieczki organizowane przez Marka Harta są warte każdych pieniędzy, i postanowiłem skorzystać. Czy z panem Hartem mógłbym rozmawiać?

– Niestety, tak jak mówiłem, zastępuję Marka, musiał wyjechać na parę tygodni. Jeśli jednak pan chce, to przekażę mu pański numer i po powrocie na pewno do pana oddzwoni.

– Sam zadzwonię. A kiedy mogę się spodziewać pana Harta?

– Wspominał o trzech tygodniach. Z tego, co wiem, właśnie dziś wylatuje.

– Dziękuję bardzo za informację. Na pewno jeszcze się odezwę. – Nie czekając na odpowiedź, Angerer odłożył telefon. Przy czym zrobił to dość gwałtownie. Co było spowodowane narastającą wściekłością. Praktycznie miał już pewność, że on i jego partnerzy zostali przechytzeni przez amatorów, poszukiwaczy skarbów, ludzi znikąd, nic nie znaczących. A ci dwaj nieudacznicy,

niby byli agenci wywiadu, niczego nie potrafili znaleźć. Opanowawszy pierwszą złość i ochłonawszy, zaczął działać. W końcu w biznesie też często stawał pod ścianą i musiał podejmować szybkie, przemyślane decyzje. Najpierw wezwał do siebie szefa ochrony swojej firmy, byłego agenta FBI.

– Słuchaj, Chris, nadal masz kontakty w swojej dawnej firmie. – Było to właściwie bardziej stwierdzenie niż pytanie. Były agent nie odpowiedział, nie musiał, szef zawsze był dobrze poinformowany. – Chciałbym, żebyś natychmiast sprawdził, dokąd lecą Ken Morison, Mark Hart, Jose Romero Martinez i Paul Hill. Prawdopodobnie do Polski. Gdy już się tego dowiesz, sprawdź, gdzie się zatrzymają, muszą pewnie mieć jakąś rezerwację. Sprawa jest pilna i bardzo ważna. Nie musisz się przejmować kosztami, gdy te się pojawiają.

Chris, nadal bez słowa, skinął głową i opuścił gabinet. Pracował w firmie Angerera już od sześciu lat i nieraz wykonywał podobne zlecenia. Nie zawsze były one całkiem legalne. Jednak honorarium, które pobierał za swoje usługi, powodowało, że były agent FBI miał bardzo elastyczne podejście do przestrzegania prawa. Nadal miał doskonałe kontakty w swojej dawnej firmie, a to znacznie ułatwiało rozwiązywanie takich spraw jak ta zlecona przed chwilą przez szefa. Już po kilkadziesiąt minutach wiedział, o której, z jakiego lotniska i jakim lotem wymieniona czwórka wylatuje z USA. Nieco więcej czasu zajęło ustalenie ich rezerwacji hotelowej w Europie, ale też nie przesadnie dużo.

– Dziś wieczorem wylatują z O'Hare w Chicago do Warszawy w Polsce. – Numer lotu sobie darował, wiedział, że pracodawcy to nie interesuje. – Mają się zatrzymać w mieście Wałbrzych. – Tu miał lekki problem z wymową, ale to również nie było istotne. – W hotelu Ibis Styles. Rezerwację mają na najbliższy tydzień z możliwością przedłużenia.

– Dziękuję, Chris, to na razie tyle. – Każdy, kto nie znał dobrze Angerera, pomyślałby, że sprawa jest załatwiona, szef otrzymał potrzebne informacje i po wszystkim. Chris jednak pracował już na tyle długo, by wiedzieć, że przełożony jest na skraju eksplozji. Skinął tylko głową i wyszedł.

Chwilę później w gabinecie właściciela jednej z największych firm budowlanych w USA rozpętało się piekło. Pomijając już wściekle wykrzykiwane przekleństwa, po chwili dołączył do nich dźwięk uderzających w ścianę przedmiotów. Asystentka, która znała przełożonego jak nikt inny i była parę razy świadkiem wybuchu jego wściekłości, tym razem zamarła. Czegoś takiego jeszcze nie było. Owszem, głośne przekleństwa, czasem zbity wazon czy połamany jakiś drobny przedmiot. Ale teraz słyszała ryk wściekłego zwierzęcia tratującego i niszczącego na swojej drodze wszystko, co napotka. Gdy nagle zadrżały drzwi prowadzące do gabinetu, zapewne od uderzenia czegoś ciężkiego, może fotela, kobieta struchlała. Pandemonium w gabinecie to przybierało na sile, to chwilami słabło. I tak przez dobrych dziesięć minut. W końcu wszystko ucichło. Po kolejnych dwudziestu minutach Rolf Angerer wyszedł z gabinetu.

– Lisa, połącz mnie z moim synem, natychmiast. Wyjmij wszystkie dokumenty z sejfów, jest otwarty, i przenieś je do małej sali konferencyjnej. Wezwij ekipę remontową. Dokładnie w tej kolejności. – Powiedział to wszystko, nawet nie patrząc na swoją asystentkę. Spokojnym krokiem skierował się do sali konferencyjnej na końcu korytarza.

– Tak jest, proszę pana – powiedziała Lisa już właściwie do pleców szefa. Nawet nie próbowała zagadnąć zwierzchnika, piętnaście lat wspólnej pracy nauczyło ją, że on teraz musi ochłonąć. Za to po chwili rozpęta się kolejna burza. Tym razem związana z wydawaniem przez szefa poleceń, wzywaniem ludzi, dziesiątkami telefonów, które trzeba będzie zorganizować. Często z rozmówcami z całego świata. To wszystko spadnie przede wszystkim na nią. Wiedziała, że dziś do domu raczej nie wróci przed wieczorem.

Po chwili pierwsze połączenie zostało skierowane do nowego gabinetu szefa.

– Karl, mam nie najlepsze wiadomości. – Angerer senior nie miał ochoty ani czasu na bawienie się w półsłówka. – Nasi „nurkowie” wszystkich okpili. Prawdopodobnie mają dokumentację. W tej chwili – spojrzawszy odruchowo na zegarek na ręku – właśnie wsiadają do samolotu lecącego do Polski. Mają się zatrzymać w Waldenburgu – użył niemieckiej nazwy miasta, bo polska nie chciała

mu przejść przez gardło. – Za chwilę prześlę ci wszystkie dane. Musisz zająć się w pierwszej kolejności nimi, prawdopodobnie posiadają całą potrzebną nam wiedzę. Masz ze sobą odpowiednich ludzi?

– Oczywiście, ojcie. To może być nawet dla nas duża szansa. Teraz już wiemy, gdzie są te dokumenty. Jak daleko mam się posunąć, by je przejąć? – Karl pomimo pierwszego zaskoczenia natychmiast znalazł pozytywy całej sprawy.

– Tak daleko, jak musisz. Ale uważaj, na początku postaraj się działać w miarę możliwości dość delikatnie. Jeśli to nie przyniesie efektów... wtedy sam wiesz najlepiej. – Rolf pomimo zdenerwowania i niedawnego ataku wściekłości był dumny z syna. Karl zawsze zachowywał spokój, potrafił znaleźć pozytywne strony każdej sprawy. – Podesłać jeszcze kogoś czy ludzie, których zabrałeś, wystarczą?

– Myślę, że dam sobie radę.

Karl jak zwykle był pewny siebie. To też bardzo odpowiadało jego ojcu. W końcu taki powinien być przyszły przywódca. A przecież wszystko, co robili, miało w przyszłości doprowadzić Karla na szczyty. Nie tylko biznesu, ale również polityki, i to tej światowej.

– Na początek moi ludzie zajmą się hotelem, w którym ci „nurkowie” – ostatnie słowo było wypowiedziane z pogardą i niechęcią – się zatrzymają. Sprawdzą ich bagaże, komputery. Będziemy ich śledzić, a potem zadziałamy zależnie od okoliczności. Przy okazji: nawiązałem już kontakt ze strażnikami. W większości to dość prymitywne typy, jednak mogą być użyteczni, świetnie znają teren. Za pieniądze zrobią wszystko.

– Ilu udało ci się odnaleźć?

– Praktycznie wszystkich dziewięciu z listy. Nic o sobie nawzajem nie wiedzą, każdy ma tylko fragment potrzebnych informacji. Ale wszystko to złożone razem da nam całkiem niezłe możliwości. Gdy przejmemy już dokumentację, sprawa powinna być prosta.

– Dobrze, Karl, działaj. Chcę tylko, żebyś co najmniej raz dziennie informował mnie o wynikach.

– Oczywiście, ojciec. Bądź spokojny. Dam sobie ze wszystkim radę. – Pewność siebie młodego Angerera była niezachwiana.

Kolejne rozmowy, które Rolf przeprowadził ze swoimi wspólnikami, nie emanowały już taką pewnością co do sukcesu całego przedsięwzięcia. Jednak wszyscy zgodnie stwierdzili, że sytuacja jeszcze nie jest tragiczna. A to, że „nurkowie” przyjechali do Polski, wręcz ją poprawia. Kolejnym rozmówcą był jego brat Erwin.

– Witaj. Chciałem się dowiedzieć, czy możesz mnie ponownie skontaktować z tymi byłymi agentami BND, którzy dla mnie pracowali? – Rolf cały czas pałał czystą, niczym niezmaconą złością w stosunku do dwójki, która tak go zawiodła.

– Oczywiście, co prawda sami sobie znajdują klientów, lecz właściwie to ja jestem ich głównym zleceniodawcą. A co się stało? Masz dla nich nowe zlecenie?

– Brat, na stałe mieszkający w Niemczech, nie do końca był wtajemniczony w plany Rolfa. Wynikało to z wielu czynników. Przede wszystkim Erwin był zainteresowany tylko zarabianiem pieniędzy, polityka go nie interesowała. Nawet w swojej działalności przedsiębiorcy medialnego starał się trzymać od niej jak najdalej.

– W pewnym sensie, chociaż wydaje mi się, że raczej powinni dokończyć poprzednie. A tak między nami, to jesteś ich pewien?

– Całkowicie! Wiele razy dla mnie pracowali przy naprawdę różnych zleceniach. – Słowo „różnych” miało tu kluczowe znaczenie, Erwin w swoich działaniach biznesowych nie wahał się przed niczym, był w tym bardzo podobny do starszego brata.

– W takim razie niech się ze mną skontaktują jak najszybciej, o ile to możliwe, nawet dzisiaj. Jeśli teraz prowadzą jakąś sprawę, niech ją odłożą.

– Widzę, że sprawa jest naprawdę pilna. Postaram się to załatwić.

Minęły trzy nerwowe godziny, właściciel Angerer Construction Group bez przerwy zerkał na telefon. Wściekłość powoli zaczęła się przemieniać w znużenie oczekiwaniem na zgłoszenie się nieudolnych agentów. Wydawało mu się, że

ponowne zlecenie, a właściwie polecenie naprawienia błędów, załatwi wszystkie problemy. Zdawał sobie sprawę z irracjonalności takiego myślenia, jednak w stresie łapał się każdej, nawet najdziwniejszej myśli. Co prawda Karl był pewny swego i dość rozsądnie tłumaczył, że teraz przynajmniej wiedzą, kto posiada brakującą część układanki, ale te tłumaczenia jakoś nie trafiały do przekonania Angererowi seniorowi. W końcu telefon zadzwonił.

– Słucham. – To było raczej krótkie warknięcie niż pytanie.

– Dostałem informację, że ma pan dla nas bardzo pilne zlecenie – odezwał się spokojny głos agenta, z którym zawsze rozmawiał.

Angerer uświadomił też sobie, że drugi nigdy się w jego obecności nie odezwał. Odgonił tę nieistotną myśl, która wypełzła z zakamarków mózgu niczym bzyczenie natrętnego komara.

– Musimy się natychmiast spotkać, wasze ostatnie zlecenie nie do końca zostało zrealizowane i dlatego oczekuję, że się zrehabilitujecie. Tym bardziej że sprawa jest pilna. – Mówiąc to, był z siebie dumny, że potrafi tak spokojnie rozmawiać z człowiekiem, który przysporzył mu tyle nerwów.

– Rozumiem. Jesteśmy w Nowym Jorku, gdzie mamy się stawić? – Głos eksagenta był całkiem wyprany z emocji. Jakby ten zupełnie się nie przejmował pretensjami swojego niedawnego pracodawcy.

– Tam gdzie zawsze, za dwie godziny. – Tym razem emocje znowu wzięły górę i Angerer rzucił słuchawką. Następnie wezwał asystentkę i polecił podstawić samochód pod główne wejście.

Droga do Hôtel Plaza Athénée zajęła kilkadziesiąt minut, korki na Manhattanie nie były tylko legendarne, stanowiły ponurą rzeczywistość. Przeszedł przez hotelowe lobby, nie zwracając uwagi na kłaniających się z daleka recepcjonistów. Maître d'hôtel, który na jego widok już kierował swoje kroki w stronę jednego z najważniejszych gości, szybko zamarł, widząc marsową minę Angerera i wzrok jego ochroniarza.

Po kolejnych dziewięćdziesięciu minutach w recepcji pojawili się dwaj eleganccy mężczyźni, którzy już kilkakrotnie odwiedzali Mr. Cartera. Gdy wjechali na górę, drzwi do apartamentu jak zwykle otworzył ochroniarz o kamiennej twarzy, bez słowa zaprowadził ich do gabinetu, po którym krążył teraz już tylko zły, a nie wściekły Rolf Angerer.

– Zawiodłem się na panach. Zawiodłem się, i to bardzo, do tego stopnia, że przez chwilę się zastanawiałem, czy opuścicie ten apartament. Jednak dam wam jeszcze jedną szansę – zaczął bez wstępów, nawet nie starając się ukryć poirytowania.

Bruno i Andreas stali spokojnie, z ich twarzy nie dało się niczego wyczytać. Jednak zdawali sobie sprawę, że pogrożki biznesmena nie są pozbawione podstaw. Nadal bez słowa czekali na ciąg dalszy.

– Nic nie powiecie na swoje usprawiedliwienie? – Przedsiębiorca budowlany był lekko zbity z tropu tym milczeniem. Przywykł, że jego podwładni zawsze starają się jakoś wytłumaczyć z niepowodzeń.

– Nadal nie wiem, o co panu chodzi – odpowiedział spokojnie Andreas.

– Jak to o co? O waszą indolencję, nieudolność, niedokładność, amatorszczyznę, czy mam wymieniać dalej?

– Mówiłem przy naszym ostatnim spotkaniu, że zlecenie wykonaliśmy w stopniu, który graniczył z pewnością. Jednak podkreśliłem, że tej pewności nie można mieć do końca przy zastosowanych środkach. Tym bardziej że panu zależało też na czasie. – Andreas postanowił wreszcie odnieść się do pretensji niedawnego zleceniodawcy.

– Mówił pan, wiem. Jednak liczyłem na coś więcej. Zwłaszcza że przedstawiono mi o was opinię jako o profesjonalistach w swoim fachu. – Spokój rozmówców zaczął się wreszcie udzielać Angererowi. – W porządku. Powiem krótko: oczekuję, że pomożecie w odzyskaniu dokumentów znajdujących się w pojemniku, który „nurkowie” jednak znaleźli na pokładzie wraku. Pracuje już

nad tym ekipa mojego syna, wy udzielicie jej wsparcia. Jeśli macie teraz jakieś inne zlecenie, zostanie ono przerwane i skupicie się na pracy dla mnie.

– Już zostaliśmy poinformowani o takiej możliwości. W porządku, zabierzemy się do „nurków” ponownie. Czy otrzymamy w tej sytuacji jakieś konkretne dane i czy możemy podejmować każdy rodzaj działań?

– Co do drugiego pytania, nic mnie już nie obchodzi, tylko i wyłącznie efekty. Co do danych, wszystkie niezbędne informacje otrzymacie przy wyjściu od mojego ochroniarza. Mam nadzieję, że tym razem obędzie się bez błędów z waszej strony, tym bardziej że mogą one być śmiertelne. – Mówiąc to, odwrócił się do okna, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Obaj byli agenci opuścili apartament, ochroniarz tuż przed wyjściem wręczył Andreasowi nośnik z danymi. Bez słowa zjechali windą do hotelowego lobby, minęli je i wyszli na zewnątrz. Nawet nie próbowali łapać taksówki, spacerowym tempem przeszli do Central Parku po przeciwnej stronie ulicy. Usiedli na jednej z wolnych ławek, nadal się do siebie nie odzywając. W końcu Bruno przerwał milczenie.

– Co o tym wszystkim myślisz?

– Spieprzyliśmy sprawę – to jedno, pogróżki Angerera – to drugie i raczej bardzo realne. Teraz musimy to wszystko naprostować. A z początku wydawało się, że to proste zlecenie. Musimy się tym zająć, tym bardziej że zaczyna się robić gorąco wokół tematu. Wracamy do hotelu, sprawdzamy dane i działamy.



## 35

Ponury ranek nad Bad Charlottenbrunn miał się nijak do nastawienia Karla Angerera do życia. Kipiał wręcz energią, był teraz niemal pewien, że powodzenie całej misji zależy tylko od niego, a on uwielbiał takie wyzwania. Potwierdzały tylko jego umiejętności i utwierdzały w przekonaniu o własnych możliwościach.

Siedział teraz przy śniadaniu, popijając całkiem niezłą kawę; myślami był przy tym, co już udało się zrobić.

Parę dni wcześniej zainstalował się wraz ze swoimi ludźmi w hotelu Charlotta. Choć był początkowo sceptyczny co do hoteli w tym kraju, ten jednak urzekł go swoim wyglądem przedwojennej eleganckiej willi. Karl lubił się otaczać pięknymi przedmiotami i przebywać w ładnych miejscach. Ludzie, którzy zajmowali się dla niego logistyką wyprawy do Polski, świetnie o tym wiedzieli. Jednocześnie hotel nadawał się doskonale ze względu na swoje położenie. Jedlina-Zdrój – choć ta nazwa nie chciała przejść przez gardło dziedzicowi Angerer Construction Group, który wolał używać niemieckiej – znajdowała się w dogodnym do prowadzenia poszukiwań miejscu. Wynajęli wszystkie jedenaście pokoi, co dawało swobodę działania i zabezpieczało przed wścibstwem innych gości hotelowych. Obsługa została poinformowana, że są grupą geologów wykonującą zlecenie od międzynarodowego koncernu wydobywczego. Jednocześnie dano wyraźnie do zrozumienia pracownikom hotelu, by zbytnio nie interesowali się swoimi gośćmi. Sowite napiwki bardzo ułatwiły sprawę. W zasadzie oprócz podawania posiłków i sprzątania pokoi obsługa nie miała się

zajmować zagranicznymi gośćmi. Właściciel hotelu został o tym dobitnie poinformowany.

Dotychczasowe działania polegały głównie na skontaktowaniu się ze strażnikami, co okazało się stosunkowo łatwe. Tym bardziej że organizacja, która kiedyś zajmowała się ich kontrolowaniem, przekazała wszystkie niezbędne dane. Kontaktami z ludźmi pilnującymi tajemnic kompleksu Riese zajęła się czwórka byłych żołnierzy. Sprawę znacznie ułatwiło polskie pochodzenie jednego z nich. Znał język, a to w kontaktach z miejscowymi, często nieznanymi innymi języków, okazało się bezcenne.

„Tak – pomyślał Karl – pomimo pewnych turbulencji sprawy mają się nie najgorzej, strażnicy zostali odnalezieni, i to wszyscy”. Z nawiązaniem z nimi kontaktu nie było problemu. Choć w większości byli to bardzo prymitywni ludzie, jakich na co dzień nawet nie zauważał, jednak byli użyteczni. Gdy przekazano im odpowiednie hasła, byli gotowi do współpracy. Popijając kolejny łyk kawy, wrócił myślami do rozmowy z ojcem.

„Jak zwykle ojca niepotrzebnie ponoszą nerwy. Gdy się dowiedział o fiasku działań agentów poleconych przez stryja Erwina, na pewno wpadł w szal. A ostrzegałem, że ci ludzie nie najlepiej wywiązują się ze swoich obowiązków. Ale przynajmniej teraz wiemy, kto ma dokumentację z U-530 i gdzie ona jest. Z jej odzyskaniem nie powinno być kłopotów”.

Do Angerera podszedł jeden z ludzi wysłanych wczoraj do Waldenburga. Tak, niemieckie nazwy były zdecydowanie lepsze – to było kolejne spostrzeżenie Karla.

– Szefie, przeszukałem pokój tych „nurków”. Niestety tylko jeden, w drugim któryś z nich spał. – Widząc zmarszczone brwi pracodawcy, dodał szybko: – Jednak mam dość ciekawe dane. Skopiowałem zawartość znalezionego komputera. Nie było tam, co prawda, nic na temat naszych dokumentów, ale znalazłem ciekawą korespondencję z niejakim Flisakiem. Sprawdziłem w sieci, to jeden z poważniejszych badaczy tych terenów, świetnie zorientowany w naszej tematyce. Odniosłem też wrażenie, że wie zdecydowanie więcej, niż publikuje.

– Siadaj, Jacob. – Młody Angerer zaskoczył trochę tym zaproszeniem swojego rozmówcę. Dotąd dał się poznać raczej jako zadufany w sobie, wymagający dupek, jak najdalszy od spoufalania się z podwładnymi. – Mówisz, że niczego nie znalazłeś? Dziwne, przecież to nie jest przypadek, że przylecieli właśnie tutaj. Muszą coś mieć przy sobie. Dokładnie sprawdziłeś?

– Bardzo dokładnie. Moim zdaniem muszą mieć nośniki z danymi cały czas przy sobie. A to pokazuje, że nie są zwykłymi amatorami. Przejrzałem w nocy ich dossier, z pozoru wydają się zwykłymi, mało znaczącymi ludźmi, ale już ich przeszłość trochę nam mówi. Byli nurkowie, ratownicy z Navy. Żeby dostać się do tej jednostki, trzeba odbyć naprawdę trudne szkolenie, do tego wykazać się sporą inteligencją. Jeden z nich potem przez wiele lat służył w SEALs. A to już coś znaczy. Pozostali, z tego co widziałem, służyli głównie po to, by zarobić na studia. To są inteligentni i sprawni ludzie, nie możemy ich lekceważyć.

– Dobrze, przedstawiłeś ich laurkę, ale co dalej powinniśmy z nimi zrobić? Porwać i przesłuchać, zlikwidować i przejąć ich materiały? Nadal do końca nie wiemy, czy mają je przy sobie.

Jacob od paru lat pracował dla firmy przy wykonywaniu zadań nie zawsze zgodnych z prawem, toteż ewentualności przedstawione przez Karla nie były dla niego niczym nadzwyczajnym.

– Zlikwidować ich zawsze zdążymy, porwać i przesłuchać też. Wolę jednak na razie skoncentrować się na tym Polaku, z którym dziś po południu mają się spotkać. Zacząłbym od rozmowy z nim, może uda się go przekonać do współpracy.

– Dobrze, rób wszystko, co uważasz za potrzebne. Aha, przyjadą jeszcze do pomocy dwaj ludzie. Byli agenci wywiadu, znajdziesz im jakieś zajęcie?

– Oczywiście, mogą się bardzo przydać, zwłaszcza teraz, gdy sytuacja się zmienia i mamy na głowie tę czwórkę.

– A co robią nasi pozostali ludzie?

– Zgodnie z planem Henry i Dylan lustrują jedno z zamaskowanych wejść, prowadzi ich ten strażnik, który całkiem nieźle mówi po angielsku. Jeśli wszystko będzie okej, jutro chcemy tam wejść. Przy okazji pozbędziemy się strażnika. – Zgodnie z założeniami mieli zlikwidować wszystkich zbędnych świadków, by nikt nie mógł zdemaskować ich planów. – Leo i Owen pilnują naszych przyjezdnych w hotelu w Wałbrzychu. – Jacob nie miał problemów z wymówieniem nazwy miasta. – Aleks pracuje u siebie w pokoju, pomogłem mu rano poskładać pojemniki na ładunki, teraz testuje ich zabezpieczenia, Asher jest w terenie, zbiera dodatkowe dane. Ułatwia mu to całkiem niezła znajomość polskiego, Liam mu pomaga.

– Bardzo dobrze. Możesz już iść, po południu, po spotkaniu z „nurkami”, trzeba się zająć tym Flisakiem. Zrobisz to ty oraz Leo i Owen. – Karl lubił, gdy jego ludzie mieli zajęcie i nie siedzieli beczynnie. W końcu płacił im za działanie i wyniki.

W tym samym czasie czwórka „nurków” powoli dochodziła do siebie po locie przez ocean. Nie mieli pojęcia, że w ciągu ostatnich kilkunastu godzin ich popularność wzrosła do tego stopnia, że rozmawiano o nich na dwóch kontynentach, a ich życiorysy stały się przedmiotem dyskusji przy posiłkach. Wszyscy czterej zdawali sobie sprawę z ryzyka, jakie podjęli, nie wiedzieli jednak, że jest ono tak realne, że czai się tuż za ścianą.

Jako że spotkanie z Mr. Flisakiem było zaplanowane na popołudnie, mieli niemal cały dzień dla siebie. Korzystając z tego, starali się przede wszystkim pokonać *jet lag*. Choć Mark i Paul prawie nie odczuwali skutków podróży, to Jose od rana chodził jak struty, pomału dochodząc do siebie, Ken zaś cały czas przeglądał dokumenty i po prostu nie zastanawiał się nad skutkami zmiany strefy czasowej. Po śniadaniu, na które Josego wywlekli niemal siłą, wrócili do pokoiów – skłoniła ich do tego przede wszystkim paskudna jesienna pogoda. Po słonecznej Florydzie taka aura była dla większości z nich czymś niemal ekstremalnym.

– Dłubiesz i dłubiesz w tym komputerze, przecież mamy już wszystko ustalone, nawet przygotowaliśmy dokumenty do pokazania dla tego Polaka. – Paul

leżał na łóżku, racząc się kolejną puszką coca-coli.

– Jeszcze raz chcę wszystko sprawdzić. Przy okazji zastanawiam się, jak rozegrać samą rozmowę. Nie możemy przecież na samym początku powiedzieć gościowi, że mamy zamiar na skrytki z kosztownościami, a reszta nas nie obchodzi. Trzeba to jakoś rozegrać bez wzbudzania niepotrzebnego zainteresowania naszymi motywami.

– A może by z nim porozmawiać po prostu szczerze? Powiedzieć, jak się sprawy mają, coś zaproponować, a przy okazji zdemaskować magazyny z bronią. Szczerze mówiąc, nawet nie wiemy tak naprawdę, czy uda nam się coś znaleźć. Uważam, że wszystko teraz zależy od tego Flisaka.

– Masz rację, zdecydowanie sporo od niego zależy, my mamy dokumenty, ale to on jest fachowcem od tego terenu i całej sprawy. Cały czas przeglądam jego blog i stronę, facet naprawdę zna się na rzeczy.

– Nic mądrego teraz nie wymyślimy. Trzeba poczekać na spotkanie z Flisakiem, powinno nam to sporo wyjaśnić.

Czas płynął powoli, sprawiał wrażenie, jakby wraz z pogarszaniem się pogody zwalniał jeszcze bardziej. Nie mogąc dłużej wysiedzieć w pokoju, Paul zaczął organizować chętnych do wyjścia i obejrzenia miejscowych atrakcji. Na wiele, co prawda, nie liczył, ale już chyba wolał warsztaty ludowego haftu artystycznego niż kolejną godzinę w pokoju. O dziwo, Jose postanowił się z nim wybrać na zwiedzanie. Przy okazji mieli się dowiedzieć, gdzie tutaj można wynająć samochód. Tę ostatnią sprawę załatwili, nie wychodząc z hotelu. Recepcjonista okazał się bardzo uczynny i po kilku minutach mieli wynajętego SUV-a, który w ciągu dwóch godzin miał być dostarczony na hotelowy parking. Pomimo szczerych chęci i dużego samozaparcia wycieczka okazała się niezbyt udana. Przede wszystkim pogoda, której miejscowi zdawali się nie zauważać, była nie lada wyzwaniem dla mieszkańców Florydy. Doszło do tego, że ograniczyli się do wizyty w pobliskiej galerii handlowej, w której z zapalem zabrali się do poszukiwania zapasowych ciepłych ubrań. Przez cały czas, z czego nie zdawali sobie sprawy, towarzyszył im jeden z ludzi Karla Angerera.

Wynajęcie samochodu i zakupy pozwoliły zabić czas na tyle, że gdy obaj wrócili do hotelu, godzina spotkania z ich polskim „kontaktem” zaczęła się coraz szybciej zbliżać.

W końcu wszyscy czterej, uzbrojeni w komputer Kena, zeszli do hotelowego baru, gdzie czekał już na nich średniego wzrostu, nierzucający się w oczy mężczyzna. Mr. Flisak okazał się ich równolatkiem, lekko łysiejącym, w okularach, o bystrym spojrzeniu, w którym można było też wyczytać niezwykle spokojny, wręcz przysłowiową angielską flegmę. Zauważył ich pierwszy, właściwie poznał Kena, którego zdjęcie znalazł wcześniej na stronie University of Central Florida w Orlando. Wstał z miejsca, zwracając tym samym uwagę czwórki nowych gości.

– Mr. Flisak? – Ken, który znał Polaka najlepiej, choć tylko z internetu, wzięło powitanie i prezentację na siebie. Po chwili wszyscy usiedli przy stoliku, zapadła, jak zwykle w takich sytuacjach, niezręczna cisza.

– Cieszę się, panowie, że spotkania – przerwał ją Flisak bardzo dobrą angielszczyzną. – Może na początek odrzucimy konwenanse, proszę do mnie mówić Marcin, albo Mat, tak dla waszej wygody. Zdaję sobie sprawę, że język polski może być sporym wyzwaniem dla obcokrajowców.

– Okej, Mat. Dobrze mówisz po angielsku, to powinno załatwić kwestię porozumienia. Ten wasz język to coś strasznego... Bez urazy – zreflektował się szybko Ken – ale nawet wymówienie niektórych nazw miejscowości to dla nas spory problem.

– Zdaję sobie z tego sprawę, postaram się wszystko jak najbardziej ułatwić i wam pomóc, nie tylko w kwestiach językowych, ale przede wszystkim w sprawach, które was tu sprowadzają. Nie lubię owijać w bawełnę, zanim zaczniemy rozmawiać dalej, musimy wyjaśnić sobie parę podstawowych kwestii. Zresztą od tego zależy nasza dalsza współpraca. – Ten nagły przeskok od zawłości językowych do konkretów nieco zaskoczył Amerykanów, ale też dał wyraźnie do zrozumienia, że ich rozmówca jest nie tylko człowiekiem konkretnym, lecz również wie, czego oczekują od niego goście z Ameryki. –

Sprawami Riese i wszystkiego, co z nim związane, zajmuję się już od lat, ale to zapewne wiecie, skoro tu siedzimy i rozmawiamy. Nie twierdzą, że posiadam największą wiedzę ani że jestem największym specjalistą. Znam ludzi z podobną, a nawet większą znajomością tematu. Jednak w odróżnieniu od wielu, ja jestem otwarty na współpracę. Muszę wam też wyjaśnić, że na pewnym poziomie posiadane informacje mogą stać się niebezpieczne. Jak na was patrzę, to wydaje mi się, że już o tym wiecie. – Ponownie ich zaskoczył. Delikatne skrzywienie warg u Marka i uważne spojrzenie Paula nie uszły jego uwadze, skoro wyciągnął takie wnioski. – Daruję sobie tutaj wykład historyczny czy podstawowe fakty, z którymi można się zapoznać choćby w sieci. Wiem, że weszliście w posiadanie dokumentów dotyczących tego, co jeszcze nie zostało odnalezione. Zaryzykuję nawet i powiem, skąd macie te dokumenty. Pochodzą one z wraku niemieckiego okrętu podwodnego.

O ile wcześniej Flisak wywołał u nich swoją przenikliwością coś w rodzaju zaskoczenia, to ostatnie zdanie podziało niczym nokaut. Cisza, która po nim zapadła, i przede wszystkim zbaraniałe miny czwórki przyjaciół były najlepszym potwierdzeniem prawdziwości słów poszukiwacza z Polski. Uśmiechnął się tylko nieznacznie i kontynuował:

– Nie dziwcie się, że tak od razu przechodzę do sedna sprawy. Jesteśmy dorośli, przelecieliście pół świata, by się ze mną spotkać, próbki, które dostałem, do tego posiadane informacje pozwalają mi sądzić, że macie w ręku część archiwum dotyczącego kompleksu Riese, a może nawet całe.

– Jeśli masz rację, to co w związku z tym? – Mark też przeszedł od razu do rzeczy.

– Jest parę możliwości. Wszystko zależy od tego, czy macie komplet, czy tylko fragmenty. Z tego, co już dostałem, wnioskuję, że raczej dysponujecie sporym zasobem informacji. Do tego bardzo istotne są wasze intencje. Jak podejrzewam, wy wiecie, że na terenie kompleksu ukryto nie tylko rzeczy związane z badaniami i produkcją Trzeciej Rzeszy. Jest tam też sporo tak zwanych depozytów, a tak naprawdę to one nakręcają większość poszukiwaczy. – Tutaj

ponownie spojrzął na Amerykanów, nie kryjąc nawet lekkiego rozbawienia ich minami. – Tak jak powiedziałem, jest kilka możliwości. Najprostszą i w stu procentach legalną jest zgłoszenie się do władz i przekazanie dokumentacji. Potem uścisk dłoni jakiegoś urzędnika państwowego, może nawet oficjalny list z podziękowaniami, i w zasadzie tyle. Od razu zakładam, że nie po to przylecieliście do Polski. – Nie musiał nawet czekać na potwierdzenie ostatnich słów, mówił dalej: – Kolejne rozwiązanie zależy od tego, co was tak naprawdę interesuje, jeśli ukryta broń, a dokładnie broń chemiczna, może nawet nuklearna, a wiem, że taka się gdzieś tutaj znajduje. W tej sytuacji na pewno wam nie pomogę. Jeśli jesteście zainteresowani tylko depozytami, wtedy otwierają się przed nami różne możliwości. Oczywiście te działania nie mają wiele wspólnego z legalnością i są obarczone pewną dozą ryzyka, ale o tym ostatnim porozmawiamy oddzielnie. – Przerwał, dając im czas na przetrawienie informacji.

– Okej, jeśli to wszystko, o czym mówisz, jest prawdą, to jakie są twoje zamiary w tej sprawie? – Ken chciał ustalić, na czym właściwie stoją.

– Podejrzewam, że podobne do waszych. Od lat zajmuję się tym wszystkim trochę hobbystycznie, a trochę komercyjnie. Wiecie: strona, blog, czasem prowadzam jakichś poszukiwaczy amatorów, czasem zwykłe wycieczki, ale tak naprawdę, podobnie jak większość normalnych ludzi, chcę zarobić, by spokojnie żyć. Myślę, że jeśli dojdziemy do porozumienia, i wy, i ja będziemy bardzo zadowoleni. Nie mam złudzeń co do poszukiwań w majestacie prawa. To minęło mi już dawno temu, tym bardziej że polskie prawo dotyczące poszukiwań skutecznie zniechęca do legalnych działań. Panowie, odpowiedzcie konkretnie na parę pytań. Macie fragmenty czy całe archiwum? Bo to, że pochodzi ono z wraku jakiegoś okrętu, raczej już nie ulega wątpliwości. Dlaczego tak twierdzą? Bo mam wiedzę o tym, co Niemcy wywozili pod koniec wojny. Nie pytajcie skąd.

– Mamy chyba kompletne archiwum. – Ken najpierw spojrzął na przyjaciół, a oni lekko skinęli głowami.

– W porządku. Ogólnie co tam jest?



– Opis magazynów, ich zawartości, podobnie jest z laboratoriami, spisy osobowe, schematy zabezpieczeń, schowki z depozytami i ich zawartość, albumy z fotografiami do poszczególnych opisów, listy osób, chyba naukowców. Takie tam.

– Czyli prawdopodobnie trafiliście na Świętego Graala poszukiwaczy. – Już ten krótki opis zawartości pojemnika zrobił na Polaku spore wrażenie, jednak starał się zachować spokój i podejść do sprawy na zimno. – Na podstawie tych fragmentów, które od was dostałem, trochę się tego spodziewałem, nie sądziłem jednak, że macie komplet. Panowie, żeby była jasność: chcę wam pomóc, oczywiście przy obopólnej korzyści. Nie potrzebuję na razie nic więcej wiedzieć. Nie chcę, byście mi cokolwiek pokazywali. Teraz porozmawiamy o zasadach bezpieczeństwa.

– Już zauważyliśmy, że wokół sprawy trochę się dzieje. Nie rozmawiamy o tym przez telefon, archiwum i jego kopie też są zabezpieczone. – Ken pokrótce przedstawił wszystko to, co się działo od momentu penetracji wraku. Opowiedział o nieudanym napadzie na swój dom, wizycie tajemniczego agenta, dziwnych telefonach jeszcze w czasie poszukiwań.

– Czyli macie już wstępne pojęcie, co się wiąże z waszą wiedzą. Wiecie też mniej więcej, jak należy się zachowywać. Trzeba być bardzo ostrożnym, zwracać uwagę na to, co się mówi i z kim rozmawia. Nie jest nawet wykluczone, że od przylotu do Polski jesteście pod obserwacją.

– A skąd takie przypuszczenie? – Paul jak zwykle szukał dziury w całym.

– Ano stąd, że zajmuję się tym już od ponad dwunastu lat i niejedno widziałem i przeżyłem. Uwierzcie mi, to wszystko, co tu się dzieje, bardzo rzadko ma coś wspólnego z radosnym poszukiwaniem skarbów czy innych tajemnic w stylu Indiany Jonesa. Jednak, żeby nie było między nami nieдомówień, jeśli przystaniecie na moją propozycję, ze swojej strony oferuję całą posiadaną wiedzę, doświadczenie i kontakty. Wy dajecie mi dostęp do całego archiwum. Odnajdujemy to, co się da, i się dzielimy. Zdaję sobie sprawę, że musicie się zastanowić. A tak przy okazji: co zamierzacie zrobić z wiedzą dotyczącą broni

ukrytej na terenie kompleksu? Podejrzewam, że mogą się tu znajdować albo komponenty, albo nawet kompletne głowice atomowe.

– Nie chcemy, żeby to się dostało w ręce jakichś szajbusów.

– Też tak uważam, trzeba by to przekazać władzom. Ale z tym też trzeba być ostrożnym. Dobrze, panowie, wstępnie wiem, o co wam chodzi, wy wiecie, czym ja jestem zainteresowany. Ile czasu potrzebujecie na przemyślenia i dyskusje? Tak przy okazji, to mój numer telefonu. – Podał wizytówkę Kenowi.

– Dziś wieczorem zadzwonię do ciebie. – Ken ponownie spojrzął na kolegów, a oni znów kiwnęli głowami.

– W takim razie do wieczora. Czekam na telefon. – Flisak spojrzął jeszcze raz uważnie na Amerykanów, uśmiechnął się na pożegnanie i ruszył w kierunku wyjścia. Oni jeszcze zostali w barze, nie zwrócili uwagi, że zaraz za ich nowym znajomym wyszli z baru dwaj mężczyźni.

– Właściwie to raczej nie mamy wyjścia. Do tego facet jest bystry i nie czaruje nas jakimiś niestworzonymi historiami. Skoro już tu jesteśmy, to chyba powinniśmy wejść z nim w układ. Pytanie tylko, na ile możemy mu zaufać? – Mark wyraził chyba odczucia wszystkich.

– Tak jak powiedziałeś, raczej nie mamy wyjścia, sami możemy szukać, ale chociaż mamy mapy, niekoniecznie nam się uda bez wsparcia kogoś miejscowego, znającego język, specyfikę terenu, ludzi.

– A co, jeśli facet jest podstawiony, kombinuje coś na boku? A jeśli jego jedynym celem jest przejrzanie naszego archiwum? Może przecież z kimś współpracować. – Paul jak zwykle starał się być adwokatem diabła.

– Jeśli tak będziemy do sprawy podchodzić, to raczej nikomu nie będziemy mogli zaufać. On przynajmniej gra w otwarte kart. Nie opowiada jakichś bajek o przekazywaniu znalezisk państwu, muzeom i tak dalej. Jasno się określił, też chce zarobić. To moim zdaniem przemawia na jego korzyść.

W tym momencie przerwał im krzyk barmanki, która już od jakiegoś czasu spoglądała przez okno, znudzona niewielką liczbą klientów.

– Chyba chcą mu coś zrobić! Pomocy! – Co prawda krzyczała po polsku, i żaden z amerykańskich gości jej nie zrozumiał, ale ton i gwałtowność jej głosu sprawiły, że cała czwórka zerwała się z miejsc. Podobnie jak pozostali nieliczni goście.

Pierwszy do okna podbiegł Ken, wiedziony przeczuciem, że to, co się dzieje, może ich dotyczyć. Spojrzał i od razu wykrzyknął do kolegów jedno słowo: „Mat!”.

Od tej chwili wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Mark, Paul i Jose natychmiast wybiegli z baru, za nimi ruszył Ken. Dotarcie na parking przed hotelem zajęło im kilkadziesiąt sekund. Zobaczyli scenę jak z taniego filmu sensacyjnego: w ponurej, lekko zamglonej, wieczornej aurze Mat Flisak walczył z trzema dryblasami. Poruszał się bardzo sprawnie i szybko, a przede wszystkim było widać, że ma pojęcie o walce wręcz. Nie była to jednak zwykła uliczna bójka, wszyscy walczący działali w sposób świadczący o dużej wprawie w tego typu zabawach. Ich ruchy, szybkie, dokładne, przemyślane, charakteryzowały się wyjątkową brutalnością, były nastawione nie tyle na pokonanie przeciwnika, ile na jego eliminację. Przewaga wzrostu i liczby przeciwników zaczynały dawać o sobie znać. Praktycznie moment, gdy „amerykańska kawaleria” ruszyła na odsiecz, był ostatnim, kiedy Mat Flisak trzymał się jeszcze na nogach. Właśnie gdy został powalony na mokry bruk parkingu przez jednego z napastników, a drugi schylał się, by go skrępować wyjmowanymi z kieszeni kajdankami, nadbiegła pomoc. Paul, niewiele myśląc, kopnął z całej siły w bok kolana napastnika, który próbował skuć poszukiwacza z Polski. Taki cios wystarczył, napastnik – prawdopodobnie z uszkodzonymi więzadłami kolanowymi – upadł na bok, głośno przy tym klnąc. Co ciekawe, po angielsku, z teksańskim akcentem. Na drugiego napastnika wpadł Mark, bardzo szybko i skutecznie zniechęcając go do dalszej aktywności gradem ciosów równie brutalnych i precyzyjnych jak te, którymi posługiwali się walczący. Przeciwnik padł prosto w kałużę, rozbryzgując dookoła brudną wodę. Jose zajął się trzecim, który oszołomiony po ciosie Flisaka, stał zgięty w pół przy samochodzie, próbując złapać oddech. Cios Latynosa

skutecznie wybił mu z płuc z takim trudem zebrane właśnie powietrze. Ken dobiegł, gdy w zasadzie było już po wszystkim, zauważył jednak, że klnący Teksańczyk, który oberwał od Paula, próbuje wyszarpnąć z kabury przy pasie broń. Reakcją wykładowcy University of Central Florida w Orlando nie była akademicka dyskusja, tylko bardzo proste i brutalne kopnięcie w twarz. Pozbawiło ono napastnika przytomności i paru zębów. Widząc, że sprawy zaczynają się robić coraz poważniejsze, że błysnęła w końcu broń, Mark szybko przeszukał swojego oponenta i wyciągnął mu z kabury przy pasie klasycznego colta 1911. Podobnie zrobił Jose, przejmując HK USP. Pistolet należący do nieprzytomnego i już bezzębnego właściciela też był coltem 1911 i właśnie podnosił go Ken. Paul zajął się w tym czasie Matem Flisakiem, na którego lewym nadgarstku wisiały już kajdanki. Sam Polak, choć trochę oszołomiony i poturbowany, szybko dochodził do siebie. Podniósł się najpierw na kolana i dostrzegł swoich wybawicieli. Dalej poszło mu już znacznie łatwiej, przy pomocy Paula stanął na własnych nogach nadal trochę oszołomiony i zaczął się rozglądać.

– To jest właśnie to, przed czym was ostrzegałem. Nie spodziewałem się jednak, że zagrożenie i potem pomoc przybędzie aż z Ameryki – powiedział z uśmiechem do swoich nowych znajomych, lekko dysząc i rozcierając stłuczenia na żebrach.

– Panowie, co z nimi robimy? Pomału zaczyna się robić zbiegowisko, zaraz ktoś zadzwoni po gliny, jeśli już tego nie zrobił. – W oddali faktycznie słychać było coraz bardziej się zbliżające wycie policyjnej syreny. – Zanim ich zabiorą, może się czegoś dowiemy.

– Wątpię, by chcieli coś powiedzieć po dobroci, a na inne formy rozmowy nie mamy czasu. – Mark, najbardziej doświadczony w przesłuchaniach, obrzucił napastników uważnym spojrzeniem. – Wyglądają na byłych żołnierzy. No, palanty, gdzie służyliście?

Pytanie Marka pozostało bez odpowiedzi, jeszcze tylko w ostatniej chwili przed przyjazdem policji zdążył wyjąć telefon i kolejno zrobił każdemu z napastników zdjęcie.

– Ja się zajmę rozmową z policją. – Mat Flisak już chyba całkowicie doszedł do siebie.

Rzeczywiście, po przyjeździe samochodu policyjnego wysiadło z niego dwóch młodych funkcjonariuszy. Od razu przybrali surowe spojrzenia, chcąc już na samym początku interwencji pokazać, kto tu rządzi. Miny szybko im zrzedły, gdy zobaczyli broń w rękach stojących mężczyzn. Natychmiast zadziałał odruch. Obydwaj chwycili za swoje pistolety i okrzykiem zażądali odłożenia ryszunku. Zarówno Mark, jaki i pozostali Amerykanie szybko i grzecznie odłożyli broń na ziemię i cofnęli się o dwa kroki. Widząc napięte jak struny nerwy młodych policjantów, Mat Flisak postanowił czym prędzej wziąć na siebie ciężar konwersacji. Zwłaszcza że czterej Amerykanie i tak nic nie rozumieli.

– Spokojnie, panowie, wszystko już w porządku, nikt nie jest uzbrojony. – Mówiąc to, wyciągnął w kierunku dwóch policjantów puste ręce. – Pozwólcie, że wszystko wyjaśnię, ci czterej, którzy stoją, są cudzoziemcami i nie rozumieją po polsku, pomogli, gdy napadli na mnie ci trzej, którzy leżą. – Zabrzmiało to trochę zabawnie, ale uspokoiło sytuację.

Nie chowając jeszcze broni, starszy z dwójki mundurowych, sierżant policji, odezwał się do swojego partnera:

– Ty ich przypilnuj, a ja wezwę posiłki, pan niech też się nie rusza, zraz porozmawiamy. – To ostatnie było skierowane do Mata.

Po chwili na parkingu pod hotelem zjawily się dwa kolejne radiowozy i znacznie więcej policji. Dowodzenie nad całością przejął najstarszy stopniem, i to właśnie jego odciągnął na chwilę na bok polski poszukiwacz.

– Panie aspirancie, sprawa jest delikatna, żeby nie robić panu kłopotów, zadzwonię teraz do pana zwierzchnika i przekażę słuchawkę, a on już panu resztę wyjaśni. – To mówiąc, Flisak wybrał jeden z kontaktów w swoim telefonie, chwilę porozmawiał i przekazał aparat policjantowi. – Inspektor Woźniak chce z panem porozmawiać.

Lekko zmieszany policjant stanął odruchowo na baczność, rozmawiając ze swoim zwierzchnikiem. Sprawa została szybko wyjaśniona, po paru minutach napastników, wstępnie opatrzonych przez przybyłe właśnie pogotowie, zapakowano do radiowozów i odwieziono. Czwórki przybyszów z Ameryki nikt już o nic nie pytał, na hotelowym parkingu zrobiło się znowu cicho. Tylko deszcz padał coraz mocniej.

Po dość nagłym zakończeniu sprawy wszyscy ponownie usiedli w barze, tym razem przy grzanej winie, które podała jeszcze trochę przejęta barmanka.

– Na koszt firmy, na dworze jest zimno i wilgotno, a to pomoże się panom rozgrzać – oświadczyła.

Podziękowali i po pierwszych łykach z zadowoleniem zaczęli kiwać głowami. Grzaniec nie tylko szybko poprawił nastroje i temperaturę, ale też świetnie smakował.

– Kim ty właściwie jesteś, Mat? – Markowi ani pozostałej trójce nie umknął fakt, że Polak chwilę porozmawiał z policjantami, potem wykonał jeden telefon i przekazał słuchawkę aspirantowi dowodzącemu sprząaniem całego bałaganu.

– Zanim odpowiem na wasze pytanie, mam jedno swoje. Znacie tych trzech koleś, którzy mnie napadli?

– Pierwszy raz ich widziałem, chociaż chyba jeden mignął mi dziś na śniadaniu. Zdaje się, że też mieszkał w naszym hotelu. – Paul zaczął się zastanawiać, podobnie jak pozostała trójka.

– To jest właśnie to, o czym mówiłem – powtórzył po raz kolejny Mat. – Prawdopodobnie przywlekli się za wami. Czyli nadepnęliście komuś na odcisk albo, co bardziej prawdopodobne, równoległe z wami ktoś prowadzi tutaj swoje poszukiwania i mu przeszkadzacie. Tak, panowie, to nie jest zabawa dla grzecznych skautów. Skoro już poznaliśmy się bliżej, że tak powiem, to należy wam się parę wyjaśnień. Mam tutaj swoje układy, znam się dobrze z kilkoma wyżej postawionymi gliniarzami, w efekcie nawet nie zostaliście spisani, co było bardzo ważne, żeby nikt się was nie czepiał. Praktycznie z protokołu będzie

wynikać, że przed tą trójką obroniłem się sam. Ot, taki mały bonus dla mojej próżności.

– Nadal nie odpowiedziałeś, czym tak naprawdę się zajmujesz. – Mark był konsekwentny w swych pytaniach.

– Teraz prowadzę małą firmę turystyczną, która zajmuje się oprowadzaniem turystów po całej okolicy. Przy okazji, skoro jesteś taki dociekliwy, Mark, jestem byłym oficerem Agencji Wywiadu. Na emeryturze – dodał, by nieco złagodzić wrażenie, jakie wywołał swoim wyznaniem. – Sprawą Riese zainteresowałem się jeszcze w dawnych czasach, wynikła ona podczas jednego z zadań, które wykonywałem. I jakoś tak zostało. Dzięki mojej byłej pracy mam też całkiem niezłe układy z miejscową policją, co zauważyliście. Teraz już chyba nie będzie między nami niedomówień. A tak przy okazji: ci goście chcieli mnie zgarnąć ze względu na was i to, czego się od was dowiedziałem. Jestem o tym przekonany. To jak, teraz, po tych wydarzeniach i wyznaniu o mojej mrocznej przeszłości, jesteście zainteresowani współpracą czy chcecie mieć jeszcze czas do namysłu? – Lekko się uśmiechając, wypił kolejny łyk grzanego winna i znad kamionkowego kubka, w którym je podano, spojrzął na swoich rozmówców.

– Z tego, co wiem, panuje przekonanie, że ze specsłużb nie odchodzi się nigdy. – Mark, który tym razem wziął na siebie ciężar konwersacji, był poważny i wyrażał myśli pozostałych przyjaciół.

– W pewnym sensie tak, właśnie dzięki temu teraz tu siedzimy, a nie składacie wyjaśnienia na komendzie. Ale moja działalność poszukiwawcza jest przedsięwzięciem całkowicie prywatnym. Choć nie przeczę, zaczęło się od spraw służbowych kilkanaście lat temu. Zrobicie, jak uważacie, ja wyłożyłem karty na stół. Teraz wasza kolej.

– Z drugiej strony... – kontynuował swą wcześniejszą myśl Mark – ktoś, kto dobrze zna realia, miejscowe warunki, jest dobrze ustosunkowany, zawsze się przyda i warto go mieć w ekipie. Pytanie tylko, czy możemy ci w stu procentach zaufać.

– Tego nigdy nie będziecie wiedzieć, dopóki nie spróbujecie. Ja mogę przecież mówić wszystko i wszystko obiecywać, ale decyzja należy do was. Jeśli nie będziecie chcieli ze mną dalej gadać, zrozumiem.

Mark spojrział na butelki nad barem, podświadomie zaczął czytać nazwy poszczególnych trunków, jednocześnie cały czas intensywnie myślał. Przeniósł spojrzenie na swoich kolegów, zaczęli po kolei kiwać głowami. W końcu się odezwał:

– Witamy na pokładzie, Mat, myślę, że razem uda nam się parę rzeczy zdziałać. – Po tych słowach na ich potwierdzenie wszyscy po kolei przybili uścisk dłoni.

– Skoro działamy razem, to od razu mam propozycję. W tym hotelu tak czy inaczej jesteście już spaleni. Może warto by pomyśleć o przeprowadzce? Mam w Walimiu całkiem spory dom, bez problemu wszyscy się pomieścimy, a przy okazji wygodniej będzie z niego działać niż z hotelu.

– W porządku, zwolnimy hotel i możemy się przenieść.

– Właśnie nie. Dalej miejcie rezerwację w hotelu, wynajęliście samochód?

– Tak, już stoi na parkingu, gdy trwało to całe zamieszanie z policją, sprawdziłem.

– To na razie niech stoi. Każde auto z wypożyczalni ma GPS, łatwo je śledzić. Ja mam dość duży wóz, pomieścimy się. – Mat odruchowo zaczął przejmować kontrolę nad działaniami, szybko jednak się zreflektował. – Sorry, panowie. Stare nawyki wracają, a gdy szykuje się jakaś grubsza sprawa, trudno nad nimi zapanować. Oczywiście zrobicie, jak chcecie, to tylko takie propozycje z mojej strony, by ułatwić nam wszystkim życie.

– W porządku, rozumiem, czasami mam podobnie, ale te głąby zazwyczaj słuchają bez szemrania – ze śmiechem skwitował propozycję Polaka Mark. – To, co mówisz, wydaje się rozsądne, z tym że oni już raczej wiedzą, kto ty jesteś, i namierzenie twojego domu nie powinno być dla nich problemem.



– Zgadza się, ale mimo wszystko u mnie powinno być bezpieczniej. Znam różne triki ułatwiające życie. – Wymowne mrugnięcie okiem świadczyło o tym, że nie chodziło tu tylko o mocny zamek w drzwiach. – Do tego w domu jest całe archiwum, które może nam się przydać.

– W takim razie się zbieramy, dopijmy i jedziemy. Powiedziałaś „Walim”, po niemiecku zdaje się to Wüstewaltersdorf. Ta nazwa dość często przewija się w naszej dokumentacji. Faktycznie może to być całkiem niezłe miejsce wypadowe. – Ken ostatecznie zakończył dywagacje nad przeprowadzką do ich nowego wspólnika.

## 36

Dom Mata okazał się całkiem dużą, piętrową, poniemiecką willą, stojącą przy ulicy zabudowanej podobnymi budynkami. Otaczał go trochę zapuszczony ogród. Od razu było widać, że koszenie trawy, przycinanie krzewów i drzew nie jest największą pasją gospodarza. Za najbardziej okazałą roślinność można było uznać bluszcz porastający całą frontową ścianę domu oraz trzy stare modrzewie rosnące przed nim. Sam budynek, liczący dobrze ponad osiemdziesiąt lat, był z zewnątrz w całkiem niezłym stanie, choć ostatni remont generalny na pewno odbył się kilkanaście lat temu. Stojący oddzielnie garaż był równie stary i też cały zarośnięty bluszczem. Gdy wysiedli z grafitowego pikapa Mitsubishi L200, od razu rzuciły im się w oczy wyjątkowo solidne drzwi do domu oraz podobnej jakości brama garażowa. Gospodarz szybko zaparkował samochód i zaprosił swoich gości do środka. Wszedł pierwszy, by rozbroić dość wyszukany i na pewno bardzo drogi system alarmowy.

– Wasze pokoje będą na piętrze, macie tam też oddzielną łazienkę i mały salonik. Dość rzadko ich używam, ale nie powinno być zbyt wiele kurzu. – Trochę się tłumacząc, zaprowadził ich na piętro, gdzie były trzy sypialnie dla gości. – Niestety jedna jest podwójna, będziecie musieli się jakoś pomieścić – zaczął się sumitować, lecz czwórka Amerykanów zupełnie nie zwróciła na to uwagi. Wszyscy byli pod wrażeniem pięknych starych mebli znajdujących się we wszystkich pokojach.

– Kolekcjonujesz antyki? – nie mógł się powstrzymać Ken.

– To wszystko zostało, podobnie jak cały dom, po moich rodzicach. Uwielbiali otaczać się starymi, drewnianymi meblami. Mój ojciec zwykł mawiać, że takie meble mają swoją duszę i historię, którą potrafią szeptać w długie zimowe wieczory. Część pochodzi jeszcze z ponemieckiego wyposażenia budynku, resztę przez całe lata zbierali ojciec i matka.

– Nie znam się na tym za bardzo, ale w Stanach umeblowanie każdego pokoju byłoby warte majątek.

– W takim razie jestem zamożnym człowiekiem. – Mat się uśmiechnął. – Panowie, rozgoście się. Za pół godziny zapraszam na kolację. Jak to się w Polsce mówi, czym chata bogata.

Po pierwszych zachwytach czwórka zza oceanu dość sprawnie rozłokowała się i rozpakowała w swoich pokojach. Przy czym, już tradycyjnie, Mark wylądował w jednym z Josem, a Ken i Paul zdecydowali się na samotne noce. Po kilkunastu minutach najpierw spotkali się w małym, ale bardzo eleganckim saloniku na piętrze. Pełnym różnych bibelotów i obrazów wiszących niemal na każdym wolnym kawałku ściany. Strażnikiem tego pokoju wydawał się duży wiszący zegar, którego wahadło mozolnie odmierzało czas już od ponad wieku.

– No, no, panowie, czegoś takiego się nie spodziewałem. – Jose, który zazwyczaj był najbardziej gadatliwy z całej ekipy, będąc pod wrażeniem wnętrza, dopiero teraz zaczął odzyskiwać rezon. – W Stanach taki dom i takie wnętrza to prawdziwy majątek, tak jak mówiłeś, Ken. Popatrzcie tylko na ten zegar. Zdaje się, że nasz gospodarz jest całkiem nieźle ustawiony.

– Ty to zaraz wszystko musisz przeliczać na kasę. – Mark postanowił trochę utemperować Kubańczyka, by nie wyskoczył przy kolacji z czymś głupim, co mogłoby zakłopotać gospodarza. – Facet mówił, że to odziedziczył, zresztą to nie nasza sprawa. Fakt, fajnie mieszka, nawet chyba lepiej niż fajnie, no ale to tyle w temacie.

Zeszli na parter do salonu, którego wyposażenie niczym nie odbiegało od innych pokoi, a nawet stanowiło wręcz ukoronowanie całego domu. Z jednej

strony okna pokoju wychodziły na spory taras prowadzący do ogrodu, z drugiej był połączony szerokim przejściem ze sporą, nowocześnie urządzone kuchnią. Duży ośmioosobowy stół już był zastawiony przygotowanym przez gospodarza posiłkiem. Półmiski z wędlinami, parę gatunków sera, pieczywo, jak się wkrótce okazało – wszystko świeże, wyjątkowo smaczne, pochodzące od małych lokalnych producentów. O czym nie zapomniał nadmienić Mat, tym bardziej że dobre jedzenie zawsze było jego słabością, jak wyznał w czasie posiłku. Po kolacji na stole pojawiło się kilka butelek z nalewkami i oczywiście doskonałą polską wódką. Mark, widząc błysk w oczach kolegów, który pojawił się na ten widok, ostrzegł ich przed zbyt dużym entuzjazmem.

– Kochani, tylko spokojnie, to jest polska wódka, a wy nie macie zbyt wielkiej wprawy w jej picie.

– A ty co, wstąpiłeś do towarzystwa trzeźwości imienia świętego Anzelma? – Rozochocony Paul nie miał zamiaru odpuścić żadnej kolejki.

– Tylko was ostrzegam, parę razy zdarzyło mi się popróbować tych specjałów razem z polskimi specjalsami. Choć wtedy piliśmy taką specjalną wódkę z trawką w środku. Kojarzysz coś takiego, Mat?

– Oczywiście, żubrówka, proszę bardzo, też mam. – To mówiąc, Flisak wyciągnął butelkę z zieloną zakrętką i lekko szmaragdowym płynem ze źdźbłem trawy w środku.

– Właśnie, piłem tę bison vodka, i potem bywało różnie. Zazwyczaj ja i kumple z oddziału odpadaliśmy, gdy impreza zaczynała dopiero nabierać rumieńców.

– Mam nadzieję, że nie będzie tak źle, panowie, ale faktycznie musicie uważać, jeśli nie jesteście przyzwyczajeni do lokalnych trunków – skomentował ze śmiechem gospodarz. – Pamiętajcie, jesteście w Polsce, tutaj nikt wam nie zabroni wypić, ale trzeba mieć świadomość, na co się piszecie.

Co prawda nieco to ostudziło zapał Amerykanów, ale i tak musieli wszystkiego popróbować. Po kolacji i degustacji wódek, która na szczęście dla

niektórych dość szybko się skończyła, przeszli do tego, co było dla nich najważniejsze, do poszukiwań w kompleksie Riese.

– Panowie, zacznę może od rzeczy, o których wiecie, ale by wszystko miało ręce i nogi, nie mogę tego pominąć – rozpoczął Mat Flisak. – Kompleks jest bardzo rozległy i położony niejako w trójkącie. Jego szczyt stanowi Soboń, przy okazji podam niemieckie nazwy, by wszystko można było zgrać z dokumentami. Więc Soboń to Ramenberg. Zachodni bok to Osówka – Säufferhöhen i Sokolec – Falkenberg, podstawą jest Walim, w którym się znajdujemy, i kompleks Rzezka – Dorfbach. Bok wschodni to Jugowice Górne – Jauernig Oberhof i kompleks Włodarz – Wolfsberg. Dodatkowo w skład Riese można zaliczyć zamek w Książu – Fürstenstein koło Wałbrzycha. Prace nad kompleksem i przebudową zamku rozpoczęły się oficjalnie w 1943 roku, choć można przypuszczać, że toczyły się one znacznie wcześniej. Co do przeznaczenia całego kompleksu, to są różne koncepcje. Prawdopodobnie miała się tu znajdować jedna z głównych kwater Hitlera. Przynajmniej z takim przeznaczeniem był przebudowywany zamek Książ. Jeśli chodzi o pozostałe obiekty, trudno jednoznacznie określić ich przeznaczenie. Mam nadzieję, że po przejrzeniu waszej dokumentacji dowiem się czegoś więcej. Na razie mogę mówić tylko o tym, co wiem i czego udało mi się dowiedzieć na przestrzeni ostatnich lat. Przede wszystkim znajdowały się tu fabryki mające zabezpieczyć produkcję wojenną Trzeciej Rzeszy. A skoro fabryki, to zapewne też ośrodki badawcze, różnego rodzaju laboratoria, magazyny i tym podobne rzeczy. Trafiłem na wiele różnych informacji, często sprzecznych ze sobą i wzajemnie się wykluczających. Od zupełnie fantastycznych typu: hodowla superżołnierzy, po już bardziej prawdopodobne, mówiące o różnego rodzaju badaniach medycznych, chemicznych, biologicznych. Jeden z takich ośrodków ponad wszelką wątpliwość znajdował się w Jedlinie-Zdroju; w waszych dokumentach występuje ona jako Bad Charlottenbrunn. Prowadzono tam eksperymenty na więźniach pobliskich obozów koncentracyjnych. Zajmował się tym nie kto inny jak Hubertus Strughold, jeden z ojców amerykańskiego programu kosmicznego. Na interesującym nas terenie są pozostałości wielu laboratoriów, świadczące o prowadzonych tu na ludziach

badaniach i eksperymentach. Kolejną rzeczą, którą się tutaj zajmowali Niemcy, były prace nad tak zwaną wunderwaffe. Znowu mamy dziesiątki hipotez i tropów. Mnie natomiast udało się ustalić, że prowadzono tu prace nad bronią atomową. Przemawia za tym między innymi występowanie w tym rejonie stosunkowo bogatych złóż rud uranowych. – Tutaj Mat przerwał, widząc spojrzenia wymieniane przez jego gości. – Oj, coś mi się zdaje, że trafiłem w punkt. Wasze dokumenty mówią o tym?!

– Tak, dodatkowo mamy podejrzenia, że okręt U-530, na którym je znaleźliśmy, przewoził już gotowe głowice atomowe albo przynajmniej komponenty do ich produkcji. Ale mów dalej, bo to nie tylko jest szalenie interesujące, ale też systematyzuje wszystko, co już wiemy, i wyjaśnia to, czego nie rozumiemy. – Ken wziął na siebie prowadzenie rozmowy, w końcu to on zajmował się badaniem dokumentacji.

– To jedna z tajemnic jest już rozwiązana, jeśli mi jeszcze powiecie, że znacie lokalizację laboratoriów, to mamy odkrycie na skalę światową.

– Laboratoriów i magazynów, ale jeszcze o tym porozmawiamy, na razie mów dalej, co wiesz o kompleksie – dopowiedział Ken.

– O, to zaczyna się robić interesująco i strasznie jednocześnie. W porządku, w czasie swoich poszukiwań trafiłem też na wzmianki o pracach nad innymi rodzajami wunderwaffe. Coś po waszych minach widzę, że znowu trafiłem. Trzeba będzie wszystko to, co macie, porównać z moimi danymi, ale to zrobimy później. Jedna z koncepcji dotyczących kompleksu mówi, że miało się tu znaleźć także coś w rodzaju centrum zarządzania państwem po zakończeniu działań wojennych. Niemcy nie podejrzewali nawet, że te ziemie nie wejdą po wojnie w skład ich państwa. Dlaczego tutaj chcieli mieć to centrum? Już odpowiadam. W czasie całej wojny teren praktycznie nie był bombardowany, wybudowano tu całą potrzebną infrastrukturę, siedziby sztabów, ośrodków władzy, centra łączności, potrzebne magazyny. Jak już wspomniałem, także laboratoria i fabryki. Całą sieć podziemnych tuneli, ciągów komunikacyjnych, magazynów i hal produkcyjnych, schronów i kwater, o których już wspominałem. Wszystko to, co

jest odkryte i już znane, i o wiele więcej obiektów, których jeszcze nie znaleziono, a które z dużym prawdopodobieństwem istnieją. A teraz, dzięki waszym dokumentom, praktycznie już na pewno. Teraz dojdziemy do spraw najbardziej nas interesujących. Budując centrum zarządzania państwem, Niemcy musieli też pomyśleć o zasobach finansowych potrzebnych do odbudowy, zmagazynować najcenniejsze dzieła sztuki, by nie wpadły w ręce zwycięzców. Przy okazji ukryć to, co sami ukradli w całej Europie. Przecież to było logiczne, że aby zarządzać i kierować odbudową państwa po wojnie, potrzebne będą konkretne zasoby finansowe. Zapewne liczyli się z tym, że przez jakiś czas kraj będzie się znajdował pod kontrolą czy nawet okupacją zwycięzców. Dlatego potrzebowali czegoś takiego na uboczu. Oczywiście nie był to jedyny tego typu ośrodek, podobne znajdowały się w Niemczech, najpierw w Lipsku, a gdy został zniszczony w wyniku pożaru w 1942 roku, prace przeniesiono do miejscowości Haigerloch, oddalonej o czterdzieści kilometrów od Tybingi. Prace prowadzono też w Hamburgu, potem w ośrodku w Bawarii. W momencie, gdy od początku 1945 roku zaczął się zbliżać front, zaczęto maskować istniejącą już infrastrukturę. Wysadzać wejścia, zawalać szyby, które prowadziły do konkretnych hal czy magazynów, jednocześnie prowadzono też prace, które miały na celu stworzenie zupełnie fałszywego obrazu tego, co się tu znajduje. Muszę przyznać, całkiem nieźle im się to udało. Ale wracając do sprawy depozytów. Oprócz dużych magazynów, w których znajdowały się, czy może nadal znajdują, jakieś większe zasoby czy dzieła sztuki, stworzyli sieć mniejszych skrytek i małych magazynów, które miały być wykorzystywane przez specjalne grupy zajmujące się ochroną tych terenów w czasie spodziewanej okupacji przez zwycięskie wojska. Tak na marginesie, Niemcy przypuszczali, że tereny nas interesujące szybciej zajmą Amerykanie niż Rosjanie. Między innymi po to była szaleńcza obrona twierdzy Wrocław praktycznie do ostatnich dni wojny. Wracając do tematu. Skrytki, o których mówiłem przed chwilą, faktycznie były wykorzystywane przez niemieckie grupy dywersyjne działające na tym terenie jeszcze wiele miesięcy, a nawet lat po zakończeniu wojny. Znajdowały się w nich broń, amunicja, środki

łączności, olbrzymie ilości fałszywych pieniędzy produkowanych przez całą wojnę przez Niemców. Były to przede wszystkim funty brytyjskie, ruble sowieckie, ale również dolary. W skrytkach zgromadzono też odpowiednie zasoby złota, do wykorzystania, gdyby inne środki zawiodły. To wszystko, o czym mówiłem, miało być też wykorzystane przez tak zwanych strażników. Przy czym skrytki, schowki czy depozyty, różnie to jest nazywane, możemy podzielić na kilka podstawowych rodzajów. Zacznę może od tych, które nie leżą w kręgu naszego zainteresowania. Są to przede wszystkim różnego rodzaju schowki średniozamożnych i magnackich niemieckich rodzin, które zamieszkiwały te tereny przed wojną i w czasie jej trwania. Zazwyczaj znajdują się one w miejscach związanych z daną rodziną. Na przykład w zabudowaniach wokół jakiejś posiadłości czy budynku. Często w parkach pałacowych, przy specyficznych miejscach. Mogły to być fontanna czy wielki głaz. Schowki takie zawierają zazwyczaj precjoza konkretnej rodziny. One również mogą być bardzo bogate i zawierać wiele kosztowności, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z rodami magnackimi. W większości zostały już opróżnione przez właścicieli, czy raczej ich wysłanników, choć wiele z nich odkryli też poszukiwacze. Jednocześnie trzeba mieć świadomość, że zazwyczaj były, czy nadal są, tak zakamuflowane, że bez bardzo szczegółowych planów są nie do ruszenia. Kolejna kategoria, która nas już bardziej interesuje, to różnego rodzaju zbiory muzealne i depozyty bankowe. Część z nich została znaleziona zaraz w pierwszych latach po wojnie, wiadomo jednak, że znaczna część nadal jest nieodkryta, i tutaj my wchodzimy do akcji. Mając spis zawartości i plany ukrycia, możemy działać naprawdę dużo. Kolejna kategoria to skrytki i schowki zawierające plany technologiczne, gotowe produkty czy komponenty potrzebne do produkcji na przykład broni. Chodzi tu obecnie raczej o te ostatnie, bo plany nowych rodzajów broni na przestrzeni siedemdziesięciu lat mocno się zdezaktualizowały. Rozumiem, że danymi tych schowków też dysponujemy? – Pytanie skierowane było do wszystkich obecnych.

Odpowiedział za nich Ken, potakując skinieniem głowy.



– W takim razie tutaj tkwi największe niebezpieczeństwo, bo tego rodzaju schowki znajdują się w kręgu zainteresowania służb różnych państw praktycznie od zakończenia wojny do dzisiaj. Jeśli się nie mylę, możemy mieć do czynienia ze składami broni chemicznej czy nuklearnej. A to już, panowie, zaczyna się robić mało zabawne. Wiem, nie pytajcie skąd, że od paru lat ten teren jest w kręgu zainteresowania ugrupowań terrorystycznych chcących pozyskać materiały potrzebne do spektakularnych działań. Są nawet poważne podejrzenia, że sarin, którego użyto w 1995 roku do ataku na tokijskie metro, pochodził właśnie z tych terenów. A skoro mamy terrorystów, to są też odpowiednie służby próbujące im pokrzyżować plany. Nawet teraz prowadzone są tutaj różnego typu działania służb specjalnych i jednocześnie grup specjalnych, czasem wojskowych, a czasem wywodzących się z różnych służb, i to z wielu państw. Realizując nasze przedsięwzięcie, musimy bardzo, podkreślam: bardzo, zwrócić na to wszystko uwagę. Wiem, że ci wszyscy ludzie się nie patyczkują. Zresztą chyba zdążyliście to dzisiaj zauważyć. Nie wiem tylko, kto dzisiaj zaatakował: służby czy ktoś związany z terrorystami. To, że mówili po angielsku z amerykańskim akcentem, o niczym nie świadczy. Jedni i drudzy chętnie wykorzystują do brudnej roboty najemników, którzy nie znają szczegółów, mają tylko wykonać określone zadanie. Zdarzały się tutaj na przestrzeni lat różnego rodzaju tajemnicze zabójstwa czy porwania, po których osoby porwane bardzo często wyjeżdżały na drugi koniec kraju, twierdząc, że samego porwania w zasadzie nie było. Dlatego musimy uważać. Z tego, co już o was wiem, wnioskuję, że potraficie dawać sobie radę, ale nie możemy w najmniejszym stopniu lekceważyć przeciwnika. Kimkolwiek on jest. Kolejna, już ostatnia grupa schowków, to tak zwane złoto nazistów, olbrzymie środki materialne ukryte na tym terenie pod koniec wojny przez specjalne oddziały SS czy Wehrmachtu. Właśnie te zasoby, nazwijmy je dla ułatwienia „złotem”, chociaż nie tylko o nie chodzi, miały posłużyć do odbudowy Niemiec po wojnie. I już samo to daje do myślenia, że muszą to być wielkie bogactwa. Zresztą z wyliczeń wynika, że takie olbrzymie zasoby nigdy się nie odnalazły po zakończeniu wojny. Informacjami o tym też dysponujemy?

– Tak, jednak z tego, co zrozumiałem z dokumentów, to skupiają się one przede wszystkim na magazynach z bronią i jej komponentami, archiwach, laboratoriach. Są też oczywiście dane schowków zawierających dość pokaźne zasoby właśnie złota – odpowiedział znowu Ken.

Cała czwórka była bardzo skupiona, słuchając wyjaśnień Polaka.

– Zrozumiałe jest, że Niemcy nie schowali wszystkiego w jednym miejscu. Zasoby finansowe najłatwiej podzielić i pewnie dlatego znajdują się lub znajdowały w różnych miejscach na terenie byłej Trzeciej Rzeszy. Skoro tu był ważny kompleks badawczo-przemysłowy, to przede wszystkim tego typu rzeczy tu ukryto. Właśnie skrytek zawierających wytwory techniki oraz magazynów z owym złotem pilnowali i pilnują owi strażnicy, o których już wspominałem. Najpewniej nie wiedzą, czego pilnują, mają za zadanie sprawdzać określone miejsca oraz zwracać uwagę na osoby nadmiernie interesujące się takimi miejscami, nie wykluczam, że paru z nich może być lepiej poinformowanych i coś wiedzieć. Tutaj postaram się trochę pomóc. Mam informacje o kilku osobach, które są właśnie strażnikami, co ważniejsze, one nie wiedzą, że ja wiem.

– Ale jakim cudem mamy nadal strażników tyle lat po wojnie? Przecież jeśli jeszcze żyją, to są już starcami. – Paul zadał nurtujące nie tylko jego pytanie.

– Oczywiście, że nie są to ci pozostawieni zaraz po wojnie. Zresztą wielu z nich zidentyfikowano. Są to zazwyczaj albo osoby, które tu przyjechały w ostatnich latach, albo związane rodzinnie ze starymi strażnikami. Dysponując dostępem do małych schowków albo dostając co jakiś czas informacje o nich, byli i są całkiem nieźle opłacani. Tak od razu dla wyjaśnienia: opłaca się ich zazwyczaj starymi złotymi monetami. Łatwe do schowania i spieniężenia. Mniej więcej tak to wszystko wygląda. Teraz chciałbym dostać od was potrzebne dane, bym mógł je przejrzeć i skonfrontować z tym, co już wiem. Aby nie było niejasności w naszych kontaktach, pokażę wam zaraz całe moje archiwum, gdzie zgromadziłem to wszystko, co ustaliłem przez ostatnie lata. Chyba nie muszę wam tłumaczyć, że to, co znajduje się w internecie na mojej stronie czy blogu,

jest tylko częścią. Reszty z wielu względów wolę nie upubliczniać. To co, idziemy do mojego „Centrum Wiedzy o Riese”?

– Oczywiście! – Ken zerwał się pierwszy, pozostali mimo późnej pory też pełni werwy i przede wszystkim kierowani coraz większą ciekawością poszli w jego ślady.

Ponownie udali się na piętro, a stamtąd na poddasze. Wejście do archiwum Flisaka strzeżone było przez kolejne bardzo solidne drzwi i zamek z elektronicznym alarmem. Gdy weszli do środka, ich oczom ukazało się całkiem spore pomieszczenie zastawione półkami z dokumentami, książkami i planami. Wszystko bardzo starannie posegregowane i opisane. Na środku królowało olbrzymie biurko z dwoma ekranami komputerowymi. Komputery znajdowały się w oddzielnej szafie i sprawiały wrażenie bardzo zaawansowanego systemu informatycznego połączonego z własnym serwerem. Pod ścianami stały stoły, na których leżały różnego rodzaju pojemniki z wyposażeniem potrzebnym do prowadzenia specjalistycznych poszukiwań w terenie. Na jednej ze ścian wisiały kolejne ekrany, na których było widać wszystko to, co się działo wokół domu, zarówno w ogrodzie, jak i na ulicy. Pokój kończył się kolejnymi drzwiami, chronionymi dodatkową kratą. Po zaprezentowaniu swojej pracowni Mat podszedł do kraty, otworzył ją, a potem drzwi, które się zza niej wyłoniły. Amerykanie, już i tak oszołomieni, zobaczyli teraz małe pomieszczenie, coś w rodzaju ognioodpornego sejfu, w którym zgromadzone były kolejne tomy akt i dokumentów. O jedną ze ścian był oparty stojak na broń, a na nim trzy pistolety, strzelba ze składaną kolbą, słynny Franchi SPAS 12, oraz odpowiedni zapas amunicji. Dodatkowo znajdowały się tam środki łączności i dwa noktowizory.

– Jak widzicie, panowie, nie mam przed wami tajemnic. Jak dotąd nikt poza mną nie odwiedzał tego pokoju. Jesteście pierwsi. W sejfie trzymam dokumenty o szczególnym znaczeniu dla poszukiwań. Większość to unikaty, zeznania świadków, raporty służb, dokumenty zdobyte... powiedzmy: metodami operacyjnymi. Mam też tutaj dossier osób w jakiś sposób związanych ze sprawą

Riese. Głównie strażników, byłych i obecnych. Rozumiem, że jest już późno, ale chyba powinniśmy się wzajemnie zapoznać z posiadaną wiedzą. Co wy na to?

– Myślę, że ja się tym zajmę. Zresztą wcześniej już ustaliliśmy – Ken wskazał na pozostałą trójkę – że sprawą badania źródeł i dokumentów ja się będę zajmował, co jakiś czas przedstawiając tym pacanom – lekki uśmiech – wyniki. W końcu to ja jestem historykiem zaprawionym w bojach bibliotecznych.

– W takim razie siadamy do pracy? Coś czuję, że zajmie nam to ładnych parę godzin. – Mat był pełen zapału i energii.

– Choć uważacie nas za głabów, odejdziemy z godnością, popróbować jeszcze tej bison vodka. – Dumnie unosząc głowę, jednocześnie się śmiejąc, Jose oraz pozostała dwójka zeszła do jadalni, by kontynuować „prace” przy butelce.

– Chyba się nie obrazili? – Mat wydawał się trochę skonsternowany.

– Nic takiego, świetnie rozumieją, że po prostu mamy większe doświadczenie w pracach nad dokumentami niż oni. Ale to świetni, inteligentni ludzie, znam ich od lat i wiem, że zawsze można na nich polegać. Zresztą gdy stwierdzimy, że jest taka potrzeba, zagonimy ich do roboty. Proszę, oto cztery pendrive’y z danymi. Masz tutaj wszystko to, co wydobyliśmy z pojemnika znalezionej na U-530. – Ken niemal uroczyście przekazał Polakowi nośniki danych. Mat Flisak przez chwilę w skupieniu je oglądał, nadal chyba nie wierząc, co trzyma w ręku. Potem prawie z namaszczaniem podłączył je do komputera.

Zanim zaczęli pracę, Ken dostał od gospodarza dodatkowego laptopa z podłączeniem do systemu komputerowego znajdującego się na poddaszu. Jednocześnie Mat uprzątnął jeden ze stołów, robiąc koledze miejsce do pracy.

– Słuchaj, Mat, nie obraż się, ale mam jedno pytanie. – Amerykanina cały czas nurtowała jedna sprawa. – Skąd masz na to wszystko pieniądze? Mówiłeś, że jesteś na emeryturze i prowadzisz małą firmę oprowadzającą wycieczki po kompleksie, ale to chyba nie wystarcza na to wszystko? – Wymownie popatrzył dookoła.

– Emerytury, jak na polskie warunki, nie mam małej, ale masz rację, raczej byłby kłopot z prowadzeniem badań. Tak jak mówiłem, dom odziedziczyłem po rodzicach, jednak przystosowanie tego tutaj, komputery, zabezpieczenia, broń, w całości legalna, system alarmowy, monitoring w całym domu i okolicy, to wszystko kosztowało majątek. Parę lat temu miałem trochę szczęścia. W końcu poszukiwania w Riese przyniosły efekt i udało mi się odnaleźć jeden ze schowków. O ile wiem, była to skrytka przeznaczona dla dywersantów działających na tym terenie zaraz po wojnie. Oprócz broni, środków łączności, pojemnika z cywilnymi ubraniami (i tu nie uwierzysz: pomimo blisko siedemdziesięciu lat pojemnik był szczelnie zamknięty, a ubrania w całkiem niezłym stanie) było tam też parę milionów fałszywych rubli i funtów. Mam tutaj parę paczek tych fałszywek, potem ci pokażę. No i była całkiem spora skrzyneczka ze złotymi monetami. Jako poszukiwacz, dla którego najważniejsze jest przekazanie znaleziska odpowiednim władzom, wszystko, no prawie wszystko, oddałem stosownym organom. – Flisak uśmiechnął się znacząco. – Na pamiątkę zupełnie oficjalnie zabrałem sobie właśnie parę plików fałszywych banknotów. One też były tak szczelnie zapakowane, że praktycznie nie widać na nich upływu czasu. Jak widzisz, może nie działałem w stu procentach legalnie, ale za to mam środki na prowadzenie dalszych poszukiwań.

# 37

Karl Angerer próbował zachować spokój, nieraz widział napady szału u ojca, i sam starał się unikać tak żenujących scen. Jednak pomimo wystudiowanej obojętności i niemal nadludzkich wysiłków trudno mu było o opanowanie. Prosta wydawałoby się sprawa porwania człowieka z przyhotelowego parkingu okazała się klęską. Trzej jego ludzie nie dość, że nie potrafili obezwładnić jednego niepozornego człowieka, to jeszcze dali się aresztować policji.

– Asher, natychmiast się tym zajmij. Muszą być wolni, zaraz jak ich przywieziesz, nie chcę nawet z nimi rozmawiać. Zajmij się wszystkim i wybierz ludzi na jutro. Lepiej, żeby nie zawiedli, wchodzimy do pierwszego miejsca, które może zawierać interesujące nas rzeczy.

Były agent FBI, który zajmował się w firmie zadaniami wymagającymi szczególnych działań, bez słowa skinął głową i opuścił hotelowy pokój zajmowany przez Angerera juniora.

Liam już czekał w samochodzie zaparkowanym przy ulicy. Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi, ruszył w kierunku Wałbrzycha. Starając się nie przekraczać dozwolonej prędkości, dojechali do miasta, dalej prowadziła ich nawigacja, po następnych kilkunastu minutach stanęli na parkingu.

– Zostań i czekaj, postaram się to załatwić. – To były pierwsze słowa, które Asher wypowiedział od początku jazdy.

Po wejściu do komendy policji skierował się do dyżurnego. Machnął mu przed nosem paszportem dyplomatycznym i polecił skontaktować się z najwyższym stopniem policjantem przebywającym w komendzie. Po paru minutach czekania

w dość obskurnym korytarzu, którego ściany zdobiły plakaty zachęcające do wstąpienia do policji i ostrzegające o niebezpieczeństwach prowadzenia samochodu ze zbyt dużą prędkością, pojawił się mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna ze sporą nadwagą. Przedstawił się jako podinspektor Nowak i zaprosił gościa do swojego gabinetu. Gdy już się w nim znaleźli i zakończyli wszystkie konwencjonalne rytuały związane z zajęciem miejsca i proponowaniem czegoś do picia, policjant nieoczekiwanie przeszedł do rzeczy.

– Domyślam się, w jakiej sprawie pan tu przybył. Chodzi zapewne o trzech pańskich rodaków, którzy uczestniczyli w zajściu pod hotelem Ibis Styles.

– Tak, zgadza się, zupełnie nie rozumiem, dlaczego ich zatrzymano. – Amerykanin postanowił przejść na całkiem znośną polszczyznę.

– O, słyszę, że zna pan całkiem dobrze język polski, będzie się nam dzięki temu łatwiej porozumieć. Pańscy rodacy zostali zatrzymani za udział w bójce i posiadanie broni. A to ostatnie jest w Polsce dość poważnym przestępstwem.

– Dobrze, panie podinspektorze, zagram z panem w otwarte karty. Wszyscy oni są pracownikami ambasady. Wiem, nie mają przy sobie żadnych dokumentów, które by to potwierdzały. Broń, którą przy nich znaleziono, posiadają legalnie, mam na to odpowiednie papiery, jak również ich paszporty dyplomatyczne. – Mówiąc to, wyciągnął zezwolenia na broń, które od samego początku pobytu w Polsce wszyscy posiadali, oraz świetnie podrobione paszporty dyplomatyczne. Policjant przejrzał je dość pobieżnie.

– No tak, ale zostaje jeszcze sprawa napadu na obywatela... – tutaj podinspektor Nowak spojrział w dokumentację, którą wyświetlił na ekranie komputera – Flisaka Marcina. Nie powie mi pan chyba, że to on ich napadł? Oczywiście pozostaje też otwarta sprawa podejmowania działań przez obcych obywateli, nawet posiadających immunitet dyplomatyczny, na terenie suwerennego państwa polskiego. Praktycznie nie powinienem teraz z panem rozmawiać, tylko kontaktować się z naszym MSZ, by to ono wyjaśniało dalej sprawę.

– Zgadza się, ma pan całkowitą rację, jednak operacja, którą tutaj prowadzimy, jest na tyle tajna, że co prawda wasze MSZ zostało poinformowane, ale bardzo ogólnie. Zależałoby nam na dyskrecji. Co do tego pana, z którym doszło do incydentu, musiało to być jakieś nieporozumienie. Nie mogę pana wprowadzać w szczegóły, jak już mówiłem wcześniej. Mogę jednak zapewnić, że moi ludzie prowadzą dochodzenie w istotnej również dla pańskiego kraju sprawie.

– Ale to ich nie zwalnia z przestrzegania prawa – przerwał mu policjant. – Poza tym, jeśli działają na moim terenie, policja powinna być choć w ogólnym zarysie poinformowana o tym fakcie.

– Rozumiem, ma pan rację, jednak działania, które prowadzimy, są na tyle istotne i tajne, że nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Już moja wizyta u pana jest w znacznym stopniu pogwałceniem reguł. Proszę więc pana w imieniu władz USA o wypuszczenie moich ludzi. Czy ten Flisak wniósł oskarżenie?

– Nie, o dziwo nie wniósł, ale ma na to jeszcze czas.

– No to chyba sprawa nie jest tak poważna, jak by się zdawało, kwestię posiadania broni chyba już wyjaśniliśmy?

– W zasadzie tak. Wie pan co? – Nowak uśmiechnął się chytrze. – Cała papierkowa robota, która wiąże się z zatrzymaniem obcokrajowców, nie jest chyba tego warta. Jeśli pan i ambasada weźmiecie za nich odpowiedzialność, dodatkowo poświadczycie pan w imieniu ambasady, że to wasi ludzie... to można będzie to wszystko potraktować jako incydent bez większego znaczenia.

– Jestem bardzo zobowiązany, pan ambasador na pewno nie omieszka wysłać odpowiedniego listu do komendy. – Amerykanin uśmiechnął się do policjanta.

– Proszę jeszcze tylko przy ich odbiorze podpisać odpowiednie poświadczenie, które zaraz ktoś przyniesie. – Policjant wstał, wyciągając rękę na pożegnanie. – Pan wybaczy, ale mamy dziś sporo roboty nie tylko z pana rodakami. W mieście odbywa się mecz piłkarski, a utarczki między kibicami zawsze bardzo absorbują policję i generują olbrzymią ilość dokumentacji do wypełnienia.

– Oczywiście, rozumiem i jeszcze raz dziękuję.



Po jakimś czasie do czekającego w już wcześniej poznanym korytarzu Amerykanina dołączyło trzech jego rodaków. Policjanci, którzy ich przyprowadzili, mieli też zapakowane w przezroczyście torby trzy pistolety razem z zapasowymi magazynkami oraz całą stertę papierów do podpisania. Asher, na którym widok trzech współpracowników zrobił spore wrażenie, nie dał po sobie nic poznać, podpisał tylko papiery, zabrał broń i skierował się do czekającego samochodu. Jacob, Leo i Owen, byli zwiadowcy korpusu piechoty morskiej, szli za nim, przedstawiając sobą dość opłakany widok. Leo, cały zakrwawiony, miał założony opatrunek na złamanym nosie i tampony w ustach w miejscu wybitych zębów, do tego mocno kulał. Po pozostałej dwójce też było widać, że zdrowo oberwali. Wsiadli do auta.

– Co wam się stało?! Wyglądacie, jakbyście mieli spotkanie z całym gangiem w Bronksie – nie wytrzymał Asher. – Ten poszukiwacz skarbów tak wam gęby obił? Niby jesteście fachowcami, a nie potraficie dać sobie rady z jednym facetem? Angerer, jak was zobaczy, dostanie szału i wcale nie będę mu się dziwił.

– Dasz wreszcie coś powiedzieć? – Jacob czuł się winny, ale nie do tego stopnia, żeby jakiś palant rugał go jak burą sukę. – To nie był jeden gość! Już mieliśmy zapakować tego faceta do wozu, fakt, bronił się jak szatan, koleś umie się bić, i to lepiej niż dobrze. Tak jak mówiłem, już go mieliśmy, gdy naskoczyła na nas ta banda ze Stanów, ci cali „nurkowie” czy jak im tam. Mówiłem szefowi, że nie można ich lekceważyć. No i spuścili nam wpierdol, Leo miał być nawet zabrany do szpitala, ale na to nie pozwoliliśmy.

– Jaka banda? W protokole policyjnym było napisane, że dał wam radę jeden gość, o nich nic nie było.

– No widzisz, coś tu jest nie tak. Przykopali nam, nie przeczę, zabrali broń, jeden z nich to były specjals, dało się zauważyć. Ale gdy zjawiły się gliny i zanim nas zapakowali do suki, oni gdzieś się ulotnili. Ten cały Flisak gadał z glinami.

– Dobra, jedziemy do hotelu. Leo, jak się czujesz? Sprowadzę ci lekarza na wszelki wypadek.

– Szuee... sze... obrze... tyko ep mnie booi – wymamrotał z za opatrunku i tamponów najbardziej poszkodowany w całej nieudanej akcji. Urażone poczucie dumy nie pozwalało mu się przyznać do faktycznego stanu.

– Dobrze, dobrze, sprowadzę ci jakiegoś łapiducha, potrzebujemy sprawnych ludzi. Jutro zaczynamy sprawdzać pierwsze miejsce z listy. Dylan stwierdził, że coś tam może być. Na razie pilnowaniem „nurków” zajmą się ludzie, którzy dzisiaj przylecieli. A wy doprowadźcie się do porządku, nie możecie już dać więcej dupy.

W hotelu Charlotta już byli nowi goście z Ameryki. Andreas i Bruno po niezbyt miłym spotkaniu z Angererem juniorem czekali na dalsze polecenia, które ktoś miał im przekazać. Karl nawet nie chciał oglądać odpowiedzialnych za kolejną wpadkę. Wezwał tylko Ashera.

– Rozumiem, że wszystko załatwiłeś.

– Oczywiście, ale okazuje się, że „nurkowie” też byli w to zamieszani. Zaczynam podejrzewać, że albo mają niezwykły talent do wchodzenia nam w drogę, albo są zupełnie kim innym, niż nam się wydaje. W każdym razie już się pewnie połapali, że coś tu się dzieje i ktoś oprócz nich prowadzi poszukiwania. Proponuję dalej ich obserwować, mają pewnie interesujące nas plany, ale teraz będą się lepiej pilnować. Pozostaje nam albo likwidacja, a to może być w zaistniałej sytuacji dość trudne i nie przynieść spodziewanych efektów, albo dobra i dyskretna obserwacja. Gdy wyjdą w teren i zaczną tam działać, po prostu poczekamy na to, co wydobędą, i potem ich zlikwidujemy. Może uda się wtedy załatwić gości w kompleksie, co ułatwi pozbycie się ciał. Ale cały czas trzeba mieć świadomość, że wiedzą, że coś się wokół nich dzieje, i są przez to ostrożniejsi. Ci nowi, którzy przyjechali, powinni się zająć ich obserwacją. Znam ich, to byli agenci, całkiem nieźli.

– Na tyle nieźli, że już raz spaprali sprawę „nurków”. To właśnie oni mieli sprawdzić, czy wydobyli z wraku nasze dokumenty. No i nasi agenci stwierdzili, że „nurkowie” niczego nie znaleźli. Śledzili ich już na Bahamach, potem sprawdzali na Florydzie i niczego nie znaleźli.

– Właśnie, to potwierdza moje wcześniejsze słowa: z tymi gośćmi coś jest nie tak. Skoro Bruno i Andreas niczego nie znaleźli, musimy bardzo uważać.

– Zaczynam też tak myśleć, chyba zbyt ich zlekceważyłem. Załatw wszystko z tą nową dwójką, niech powęszą. Jutro zaczynamy na poważnie, byłeś dzisiaj w terenie, jak to wygląda? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Nawiązałem kontakt z kolejnym strażnikiem, wyjątkowo odrażający typ. Nazywa się Jarosław Gęsicki, podałem mu umówione hasło, najpierw udawał, że nie wie, o co chodzi, w końcu, gdy wspomniałem o pieniądzach, zaczął sobie przypominać, co należy do jego obowiązków. Jednak cały czas kluczył i zwodził. Nie ufam mu, mogą być z nim jeszcze kłopoty. Dlatego na razie umówiłem się z nim, że wpadnę później. Proponuję wziąć go pod obserwację, bo czuję, że może coś kombinować.

– Dobrze, sam wiesz najlepiej, co robić, pamiętaj tylko, że ci strażnicy to na razie nasz jedyny ślad. A przygotowania do jutrzejszego zejścia do podziemi? Jak idą?

– Henry i Dylan twierdzą, że wszystko w porządku, ich strażnik chętnie współpracuje, zdaje się liczyć na jakieś konkretne profity. Jutro z samego rana jedziemy do Wüstegiersdorfu. – Asher wiedział, że jego szef alergicznie reaguje na polskie nazwy miejscowości. – Pan jedzie również?

– Oczywiście, chcę przy tym być. Kogo zabieramy?

– Henry i Dylan są specjalistami od materiałów wybuchowych i podziemi, muszą być obecni. Do ochrony zabieram Liama i Jacoba, mogą się przydać. Aleks na razie powinien zostać w hotelu, gdy coś znajdziemy, pojedę po niego.

– W porządku, przygotuj niezbędny sprzęt. A ze strażnikiem co zamierzasz zrobić?

– To, co ustaliliśmy wcześniej, po wszystkim zostanie zlikwidowany, zwłoki ukryjemy na miejscu, potem wszystko zawalimy. Myślę, że mały ładunek wybuchowy powinien załatwić sprawę. Henry uważa podobnie.

– W takim razie do jutra, idź już, przypilnuj ludzi. Ja muszę porozmawiać z ojcem.

Gdy drzwi zamknęły się za byłym agentem FBI, Karl Angerer sięgnął po bezpieczny kodowany telefon i wybrał numer w Nowym Jorku. Po dwóch sygnałach usłyszał najpierw krótki pisk świadczący o rozpoczęciu kodowania rozmowy, po chwili całkiem wyraźnie odezwał się jego ojciec.

– Witaj, synu. Jakież postępy? Już się trochę niepokoiłem. Od dwóch dni nie dzwoniłeś, myślałem, że coś się stało.

– Mamy pewne problemy, ojczy – bez zbędnych wstępów przeszedł do konkretów Karl. – Znowu pojawili się nasi „nurkowie”. Teraz już chyba wiedzą, że coś się dzieje i są zamieszani w grubszą sprawę. Zastanawiam się, co dalej z nimi zrobić. Asher podejrzewa, że mogą być niekoniecznie tymi, za kogo ich uważaliśmy.

– Sprawdziłem ich ponownie bardzo dokładnie, to tylko zwykli Amerykanie, co prawda z wojskową przeszłością, ale bez większego znaczenia. Tym razem ludzie, których zatrudniłem, naprawdę skrupulatnie ich prześwietlili i nie znaleźli nic nadzwyczajnego. Może faktycznie mają tylko wybitną zdolność wchodzenia nam w paradę. Myślę, że najlepiej zrobisz, gdy się ich pozbędziesz. Tylko pamiętaj, że najpierw trzeba odzyskać od nich nasze dokumenty.

– Pracuję nad tym. Jutro wchodzimy do pierwszego z miejsc pilnowanych przez strażników. Nie wiem, czego można się spodziewać, nasi ludzie są jednak dobrej myśli. Może od razu uda nam się znaleźć to, po co przyjechaliśmy, choć za bardzo na to nie liczę. Gdy tylko czegoś się dowiem, natychmiast dam ci znać.

– W takim razie czekam na telefon, powodzenia, synu.

Połączenie zostało zakończone. Karl, choć zazwyczaj pewny siebie i pełen wiary we własne możliwości, cały czas odczuwał lekki niepokój. Lecąc do Polski, liczył na to, że nawet wobec braku szczegółowych planów i danych uda mu się osiągnąć sukces. Pierwszą rysą w monolocie jego pewności siebie i miłości własnej była wzmianka o tym, że „nurkowie” też lecą do Europy. Jednak przez

parę dni intensywnych poszukiwań zdążył o tym zapomnieć. Aż do dzisiaj, kiedy sprawa, która wydawała się prosta, została zupełnie zepsuta przez jego ludzi. Jak się okazało, znowu przez „nurków”. Przez moment chciał nawet wezwać Ashera i wydać mu polecenie jak najszybszej likwidacji ludzi, którzy tak mocno zaszli mu za skórę. Jednak szybko się opanował. „Należy jeszcze poczekać, może faktycznie uda się przejąć od nich archiwum?” – pomyślał. „Zlikwidować zawsze ich można, ci cali Bruno i Andreas – nadal myślał o nich z niechęcią – powinni ich obserwować. I mam nadzieję, że tym razem nie schrzanią tak sprawy”.

Wspominani przez Angerera juniora byli agenci niemieckiego wywiadu, odebrawszy polecenia od Ashera, który okazał się prawą ręką szefa, zabrali jeden z samochodów stojących przed hotelem Charlotta i pojechali do Wałbrzycha, by roztoczyć obserwację nad znanymi już sobie Amerykanami.

– Jak to zrobimy? W końcu nas widzieli, najpierw ja na Bahamach próbowałem się z nimi zakumplować, potem ty w Orlando. – Bruno był pełen wątpliwości.

– Musimy to jakoś ogarnąć na dystans. Najpierw porozmawiamy z obsługą hotelową, parę euro potrafi zdziałać cuda. Zresztą już jest i tak dość późno, nie podejrzewam, by nasi podopieczni pętali się gdzieś po nocy.

Podjechali pod hotel. Zaparkowali niemal w tym samym miejscu, w którym parę godzin wcześniej doszło do nieudanej próby porwania Flisaka. Parking zmienił się tylko o tyle, że kałuże były coraz większe, ciągle siąpił deszcz, nadal było chłodno, pojawili się za to nowi bohaterowie.

– Dobry wieczór, czy mogę zadać jedno pytanie? – Andreas uśmiechnął się do ładnej brunetki, która walcząc z sennością, pełniła dyżur w recepcji hotelowej.

– Tak, słucham pana. – Służbowy uśmiech i angielszczyzna były bez zarzutu.

– Wiem, że w hotelu zatrzymali się moi znajomi z USA. Chciałem się tylko zapytać, czy są w pokojach, nie chcę ich niepokoić o tak późnej porze, jednak gdyby byli, przesłałbym im wiadomość.

– Chodzi panu o tych czterech panów, którzy wczoraj przyjechali? – Hotel nie był jakoś specjalnie duży, gości zagranicznych też wielu nie było, z Ameryki tylko czterech.

– Tak, spóźniłem się na spotkanie z nimi dziś po południu, chcę tylko przesłać im wiadomość o nowym terminie, a nie mam do żadnego z nich numeru telefonu.

– Niestety widziałam, jak parę godzin temu wychodzili z bagażami, trochę mnie to zdziwiło, bo pokoi nie zwalniali, mają rezerwację jeszcze na sześć dni. – Recepcjonistka wyraźnie się nudziła i wykorzystywała każdą okazję do rozmowy, dzięki której czas szybciej minie. – Zaraz po tym zamieszaniu z policją na parkingu przed hotelem.

– A co się stało? Jakiś wypadek? – Andreas wyczuł, że panienka jest z tych gadatliwych, i postanowił się dowiedzieć, ile można.

– Jacyś ludzie napadli człowieka, z którym pańscy znajomi chwilę wcześniej rozmawiali w barze. Doszło do regularnej bijatyki, wszystko widziałam, bo akurat szłam na dyżur do hotelu. Ci Amerykanie są niesamowicie sprawni, pokonali napastników i nawet ich rozbroili, bo tamci mieli broń. Wyobraża pan sobie? Prawie doszło do strzelaniny. Na szczęście szybko przyjechała policja i zabrała tych bandziorów. A pańscy znajomi krótko potem wyszli razem z tym człowiekiem, którego obronili na parkingu. – Panienka była nadal pod wrażeniem wydarzeń jak z filmu, których była świadkiem parę godzin wcześniej. Jednocześnie dało się wyczuć, że przystojni, sprawni goście zza oceanu bardzo jej się spodobali.

– Niesamowite. Wszystko to pani widziała? A ten człowiek, którego napadły te zbiry na parkingu, to odjechał z moimi przyjaciółmi? Może zapamiętała pani samochód?

– Taki duży, szary, chyba nissan. Wiem, bo mój brat ma podobny na plakacie w garażu.

– Dziękuję pani bardzo, będę musiał jakoś inaczej się z nimi spotkać.

Odchodząc, Andreas zostawił na blacie recepcji dwadzieścia euro.

– No i znowu jest problem. – Wsiadł do samochodu i streścił rozmowę z panią z recepcji. – Prawdopodobnie wynieśli się z hotelu, recepcjonistka widziała, jak wychodzili z bagażami, chociaż pokoi nie zwolnili. Pewnie pojechali do tego Flisaka. Mamy na niego namiary?

– Już dzwonię do Ashera. – Po paru chwilach i krótkiej rozmowie mieli już kolejny adres.

– Jedziemy się rozejrzeć, jak to wygląda. – Bruno, siedząc za kierownicą, wprowadził dane z nowym adresem do GPS-a i ruszyli z piskiem opon.

Dojechawszy do Walimia, bardzo szybko znaleźli właściwą ulicę i bardzo szybko się przekonali, że dyskretna obserwacja domu Fliska będzie bardzo trudna, o ile nie niemożliwa.

– Czy oni są jacyś przekłeci, czy my już powinniśmy się wycofać z branży? Wszystko z nimi jest nie tak, najpierw wyprowadzają nas w pole z tym pojemnikiem, potem mnie demaskują, teraz nawet nie ma jak założyć im obserwacji. Co z nimi, u diabła, jest nie tak? – Andreas rzadko pozwalał sobie na takie wybuchy. – Faktycznie już sam nie wiem, czy są tacy dobrzy, czy mają po prostu nieustanne szczęście, zwłaszcza w kontaktach z nami.

– Rozmawiałem z nimi na Bahamach, próbowałem delikatnie podpytywać, sprawiali wrażenie bardzo wyluzowanych, ale jednocześnie bardzo uważali na to, co mówią. Nawet ten ich Kubańczyk, który chyba jest najbardziej z nich wszystkich rozrywkowy i niefrasobliwy. Albo mamy do czynienia z fachowcami z branży, albo po prostu wiedzą więcej, niż chcą pokazać, i bardzo się przy tym pilnują. Może jedynym rozwiązaniem będzie wyjęcie jednego z nich i poważna rozmowa z użyciem różnych środków.

– Też o tym myślę. Jednak obawiam się, że po pierwsze musimy w tej sprawie uzyskać zgodę Ashera, a po drugie oni, tym bardziej teraz, będą się pilnować.

Na wszelki wypadek zaparkowali na końcu ulicy, tak by mieć widok nawet z daleka na dom Flisaka. Pierwsza noc po przylocie do Europy zapowiadała się

jako nudne czekanie nie wiadomo na co. Wszystko to razem powodowało coraz gorszy nastrój byłych agentów BND.

Kolejny dzień zaczął się dla grupy Karla Angerera bardzo wcześnie. Jeszcze przed świtem wyjechali dwoma samochodami do pobliskiej Głuszycy, tam czekał już na nich jeden ze strażników. Był około sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który na co dzień pracował jako kościelny w pewnej miejscowej parafii. Z tego, co mówił, wynikało, że jego drugie, nieformalne zajęcie przekazał mu ojciec, jeden z autochtonów, którzy po wojnie nie zostali deportowani do Niemiec. Nie opowiadał, czym zajmował się ojciec w czasie wojny, a przybysze z USA nie pytali. W ten chłodny listopadowy ranek zaprowadził ich do zniszczonego domu stojącego na skraju miejscowości, w pobliżu tak zwanej Skałki Cesarskiej. Budynek, wzniesiony jeszcze przed wojną, po upadku Trzeciej Rzeszy popadł w ruinę. Choć kilka razy interesowały się nim różne osoby chcące go kupić, zawsze okazywało się to niemożliwe ze względu na nieuregulowane sprawy własnościowe. Przynajmniej tak informowali potencjalnych kupców urzędnicy gminni w Głuszycy. Urzędnicy ci za przekazywanie tego typu informacji byli sownie wynagradzani przez człowieka, który parę razy do roku zjawiał się w miasteczku, by porozmawiać ze strażnikami, wypłacić im oraz innym potrzebnym osobom odpowiednie kwoty za podejmowane działania, których znaczenia właściwie nie rozumieli. Mieli natomiast świadomość, że każde zignorowanie „sugestii” z jego strony mogło być dla nich lub ich rodzin bardzo niebezpieczne. Krążyły o tym plotki po całym mieście, powtarzane tylko szeptem i tylko w zaufaniu, jednak były one bardzo skuteczne i działały niczym najlepszy straszak. Mieszkańcy Głuszycy niezbyt chętnie rozmawiali o tym wszystkim z obcymi, a i między sobą też uważali na to, z kim się dzielą taką wiedzą. Zresztą parę lat wcześniej miejscowy dziennikarz, który miał ambicję stworzenia lokalnej gazety i zaczął się wszystkim zbytnio interesować, miał bardzo nieprzyjemny wypadek samochodowy, który co prawda przeżył, ale nabawił się trwałego kalectwa, co skutecznie zniechęciło go do dalszego drażenia sprawy.



Goście z Ameryki nie wiedzieli o tym wszystkim, idąc leśną ścieżką. Drzewa skrzyły się od pierwszego w tym roku szronu, lekka mgła, która unosiła się nad lasem, dodawała tajemniczości całemu przedsięwzięciu, a z czysto praktycznego punktu widzenia utrudniała wszystkim niepożądanym osobom obserwację poczynąń siódemki ludzi kroczących o świcie przez pachnący wilgocią las. Budynek, do którego zmierzali, był sporych rozmiarów, prawdopodobnie w czasach swojej świetności mieścił jakieś biura. Świadczyła o tym liczba pomieszczeń na obu kondygnacjach oraz ich rozmieszczenie. Nie stał samotnie, do dziś widoczne były pozostałości innych budynków położonych w najbliższej okolicy. Skierowali się od razu do piwnicy, do której wejście znajdowało się zaraz na lewo od głównej klatki schodowej. Piwnica była zachowana w zadziwiająco dobrym stanie, oczywiście nie uniknęła różnego rodzaju niewybrednych napisów na ścianach, obecnych praktycznie we wszystkich tego typu budynkach na świecie. Napisy i nieudolne graffiti zupełnie gości nie interesowały. Prowadzeni przez starszego Polaka, po zejściu schodami w dół minęli małe pomieszczenie przypominające wartownię. Kolejny pokój był znacznie większy i prowadziły z niego dwa krótkie korytarze do dwóch kolejnych pomieszczeń. Wybrali ten po prawej stronie. W środku było dość ciemno, prostokątne otwory, niegdyś okna piwniczne, zapewniały pewną ilość światła, jednak nie na tyle dużą, by nie musieli posługiwać się latarkami. Kiedyś zapewne pomieszczenia te były dobrze oświetlone, o czym świadczyły ślady po zniszczonej instalacji elektrycznej. Stanęli pod ścianą ozdobioną koślawym sercem z inicjałami, należącymi zapewne do wybranki niezbyt zręcznego grafficiarza, który próbował ozdobić podobnymi dziełami sąsiednie ściany.

– Tutaj, w tym miejscu, za tą ścianą powinien być korytarz wiodący dalej. – Polak szkolną, ale całkiem poprawną angielszczyzną zakomunikował prowadzonym przez siebie mężczyznom koniec ich krótkiej wycieczki po piwnicy zniszczonego budynku.

– Już to wczoraj oglądałem, zrobię odpowiednie otwory, założę ładunki i powinniśmy dostać się do środka. – Henry, spec od materiałów wybuchowych,

razem z Dylanem, specjalistą od różnego rodzaju podziemi i tego typu pozostałości po drugiej wojnie światowej, zabrali się do roboty. Przy pomocy przyniesionych w plecakach narzędzi zajęło im to kilkanaście minut. W tym czasie reszta wróciła do „wartowni”, by czekać tam na efekt prac. W końcu Henry i Dylan wrócili. Ten pierwszy trzymał w ręku zapalnik radiowy. Spojrzał na Karla, czekając na polecenie.

– Wybuch nie będzie zbyt głośny? – Angerer nagle zaczął mieć wątpliwości.

– Jesteśmy oddaleni ponad trzysta metrów od najbliższych zabudowań, a o tej porze praktycznie nikt tu nie chodzi – uspokoił go polski przewodnik.

– Odpalaj! – polecił Karl po krótkim zastanowieniu.

Wbrew obawom siła ładunków wybuchowych, dobrana bardzo starannie, nie spowodowała nadmiernego hałasu. Natomiast kurz, który podniósł wybuch, na dłuższą chwilę skutecznie uniemożliwił zobaczenie czegokolwiek. Pomimo to przeszli, kaszląc, do pomieszczenia, za którego ścianą miał być ukryty korytarz. Otwór wybity przez ładunki był na tyle duży, że dość swobodnie można się było przez niego przedostać.

Pierwszy wszedł Henry, bardzo uważnie się rozglądając i szukając pułapek. Światło latarki wydobyło z tumanów unoszącego się kurzu klatkę schodową wiodącą w dół. Po kilkudziesięciu stopniach mężczyzna dotarł do kolejnych drzwi. Były wykonane ze stali, zachowane w świetnym stanie. Nawet gumowa uszczelka biegnąca dookoła otworu wejściowego wydawała się nienaruszona. Spec od materiałów wybuchowych przez dłuższą chwilę bardzo dokładnie lustrował drzwi oraz całe ich otoczenie. W końcu zdecydował się na przekręcenie pokrętła otwierającego. To była kolejna niespodzianka: pokrętło zadziało bardzo płynnie, jakby było używane ledwie wczoraj. Po paru obrotach drzwi otworzyły się z lekkim sykiem. Nadal zachowując wielką ostrożność, Henry oświetlił najpierw powstałe przejście, potem pomieszczenie znajdujące się za nim. Był to pokój o szerokości około czterech metrów i długości ponad dziesięciu. Pod ścianami stały szafki na ubrania i półki, na niektórych z nich leżały części ubrań, fartuchy laboratoryjne. Wszystko w zadziwiająco dobrym stanie. Henry, patrząc

na nie, dopiero teraz sobie uświadomił, że w ogóle nie czuje zapachu wilgoci ani stęchlizny, tak typowego dla tego typu pomieszczeń. Zresztą, co zastanawiające, nawet piwnice w zniszczonym budynku były wyjątkowo suche. Na końcu pokoju ujrzał kolejne drzwi. Takie same jak te, przez które przeszedł. Tutaj jednak zauważył cieniutki przewód w kolorze drzwi, biegnący od pokręta do małej wnęki znajdującej się obok wejścia. Przewód był bardzo słabo widoczny i dopiero uważnie się przyjrzawszy, zdołał go dostrzec. Na szczęście jako saper pracujący z materiałami wybuchowymi, zarówno przy ich rozbijaniu, jak i zakładaniu, posiadał duże doświadczenie, a przede wszystkim cechował się wielką ostrożnością i uwagą. Bardzo delikatnie sprawdził przewód oraz miejsce, gdzie się on kończył. Rozbrojenie ładunku wybuchowego, który został tu umieszczony ponad siedemdziesiąt lat temu, było stosunkowo łatwe, jeśli się wiedziało, czego szukać i jak to zrobić. Mimo to demontując ładunek, cały się spocił. Po wszystkim jeszcze raz przyjrzał się swojemu znalezisku i stwierdził, że było ono w pełni sprawne. Znow oblał się potem. Dotąd był przekonany, że ładunki, których ma szukać, prawdopodobnie będą uszkodzone, zawilgocone i nie mogą stanowić większego zagrożenia. W końcu tyle lat minęło od zakończenia wojny. Pokonawszy kolejne pancerne drzwi, znalazł się w bardzo dużej sali pełnej stołów laboratoryjnych, na których stały nieznane mu urządzenia i przyrządy. Oświetlił pomieszczenie i zdał sobie sprawę, że dokładne sprawdzenie zajmie kilka godzin. Postanowił się wycofać, by poinformować wszystkich o swoich odkryciach.

– No i coś tam jest, dlaczego to trwa tak długo? – Karl Angerer był już zniecierpliwiony i na widok sapera od razu skierował do niego napastliwe pytania.

– Jest korytarz, przebieralnia, za nią wyposażone laboratorium. Ale na razie nie można tam wejść, muszę je dokładnie sprawdzić. – Na dowód swoich słów pokazał rozbrojony ładunek wybuchowy, który przyniósł ze sobą. – Tego typu pułapek może być w środku więcej, ładunek jest w pełni sprawny, a jego wybuch prawdopodobnie zawaliłby całe podziemie. Jeśli będę szukał sam, zajmie mi to jeszcze pięć, sześć godzin, jeśli mi ktoś pomoże, zrobimy to szybciej. Ktoś z was pracował z materiałami wybuchowymi?

– Ja co nieco wiem na ten temat. – Zgłoszenie Dylana nie zdziwiło nikogo, badając różne powojenne podziemia, nieraz stykał się z pułapkami.

– Też przeszedłem w wojsku kurs saperski, przynajmniej wiem, czego szukać, chociaż rozbrajanie zostawię tobie. – Jacob był kolejnym ochotnikiem.

– W porządku, to powinno pomóc i znacznie przyspieszyć sprawę. Aha, zabierzmy ze sobą lampy, tam jest ciemno i każde światło się przyda. – Henry zabrał ochotników oraz specjalne lampy akumulatorowe, które właśnie na taką okazję dzwignali w plecakach. Idąc w kierunku klatki schodowej, udzielał ludziom instrukcji, na co mają zwracać uwagę. Pomimo pomocy i naprawdę szybkiej, na ile się dało, pracy, zajęło im to następne trzy godziny. Efektem poszukiwań były odnalezione kolejne ładunki, zamontowane w laboratorium oraz przylegających do niego pomieszczeniach. W końcu jednak wszyscy mogli zejść do podziemi, teraz już całkiem niezłe oświetlonych lampami, choć nadal musieli używać latarek i czołówek. Nawet na Karlu, który odgrywał wiecznie znudzonego i wszystkowiedzącego, laboratorium zrobiło spore wrażenie. Jednak nie znaleźli w nim tego, czego szukali, choć na podstawie urządzeń i notatek, które znaleźli, można było stwierdzić, że prowadzono tu prace związane z materiałami radioaktywnymi. Zresztą posiadane przez nich czujniki promieniowania parę razy głośno się odezwały. Najciekawsze rzeczy znaleźli w pomieszczeniu znajdującym się obok laboratorium, będącym czymś w rodzaju archiwum. Znajdowała się tam spora liczba teczek z dokumentami, planami, wykresami i obliczeniami. Były też specjalne szuflady pełne pojemników na próbki, wszystkie jednak opróżnione. Jedno z pomieszczeń usytuowanych przy laboratorium oddzielone było od niego specjalną śluzą. Ściany miało wyłożone ołowiem dla ochrony przed promieniowaniem, jednak ono również było puste.

– Co robimy dalej, szefie? – Asher podszedł do przeglądającego dokumenty zwierzchnika.

– Wszystko, co jest w archiwum, zabieramy ze sobą, resztę dokładnie obfotografować. Strażnik już nie jest potrzebny. Gdy wszystko zrobicie, trzeba wysadzić korytarz prowadzący do laboratorium. Henry już wszystko

przygotowuje. Ja idę się przewietrzyć i poczekam przy samochodzie. – To mówiąc, Karl wziął ze sobą przeglądaną teczkę i skierował się do wyjścia.

Prace w laboratorium i przeniesienie archiwum do samochodów zajęło ponad godzinę. Choć panował jesienny chłód, wszyscy się przy tym zdrowo zgrzali. Strażnik pomimo swoich sześćdziesięciu lat też pomagał w przenoszeniu dokumentów. Gdy archiwum już zostało opróżnione, Asher zatrzymał go na chwilę w pustym już pomieszczeniu.

– Napijesz się? – Pokiwał trzymaną w ręce małą piersiówką. – Szef co prawda nie pochwała picia w pracy, ale jesteśmy już po robocie. – Uśmiechnął się i mrugnął okiem. Polak przyjął małą srebrną butelkę.

– Jasne, że wypiję. Kiedy mi zapłacicie? – Mówiąc to, przyłożył do ust buteleczkę. W tym czasie Asher wyjął wcześniej przygotowany pistolet z tłumikiem i strzelił mu dwa razy w głowę.

– Nie tym razem, kolego. – Asher wyjął z rąk zabitego piersiówkę, zamknął drzwi do archiwum i jako ostatni przeszedł do korytarza prowadzącego ku wyjściu z podziemi.

Gdy wszyscy znajdowali się już koło samochodów, zdewastowanym budynkiem wstrząsnął przytłumiony wybuch. Ziemia za jedną ze ścian zapadła się, ukazując spore rumowisko. Teraz pozostało tylko przejrzeć dokładnie zabrane dokumenty i porozmawiać z kolejnym strażnikiem.

## 38

Mieszkańców starej poniemieckiej willi w Walimiu budził nowy dzień. Zimny listopadowy poranek orzeźwiał i dawał nowe spojrzenie na ich dalsze plany. Niektórzy z nich co prawda nie zmrużyli oka, przeglądając dokumenty w pracowni na poddaszu, lecz pozostała trójka, czując lekki ból w głowach, zebrała się w kuchni nad ekspresem do kawy.

– Ken i Mat całą noc pracowali? – zadał retoryczne właściwie pytanie Jose, najgorzej wyglądający z wszystkich smakoszy bison vodki.

– Tak, całą noc! Gdy wy, nieroby, odsypialiście pijaństwo. – Ken i Mat właśnie weszli do kuchni. – Udało nam się przynajmniej częściowo przejrzeć posiadane zasoby. Dokładne sprawdzenie i porównanie wszystkiego zajmie ładnych parę dni. Na razie mamy wstępną wiedzę, zaplanowaliśmy też z Matem nasze kolejne działania.

– Muszę wam, panowie, powiedzieć, że nadal jestem w lekkim szoku po zobaczeniu tego, co udało wam się zdobyć. – Mat Flisak co prawda nie sprawiał wrażenia osoby zszokowanej, lecz błyszczące oczy bystremu obserwatorowi powiedziałyby bardzo wiele o stanie ducha ich właściciela. – W zasadzie mamy rozwiązana zagadkę kompleksu Riese. Macie dane o laboratoriach, magazynach, archiwach, praktycznie wszystko. Wydobyliście Świętego Graala poszukiwaczy.

– Rozumiem twoje podniecenie, mieliśmy podobnie, gdy okazało się, co mamy. Pytanie brzmi: ile z tego uda się wydobyć? – Paul jak zwykle podchodził do problemu racjonalnie.

– Masz rację, wiedza, gdzie się co znajduje, to jedno, a możliwość wydobycia czy odnalezienia to zupełnie inna sprawa. Z tego, co widziałem, części ukrytych magazynów nie mamy szansy ruszyć, przynajmniej ruszyć po cichu. Wejścia znajdują się w nadal użytkowanych państwowych budynkach, niektóre, o ile wiem, są skutecznie zawalone i bez ciężkiego sprzętu praktycznie nie do sforsowania. Ale jest też parę miejsc, o których wiem, że stosunkowo łatwo, i co ważniejsze po cichu, uda nam się do nich dostać. Prócz wszystkich spisów ciekawe są mapy, ale tutaj jest zła wiadomość, już o tym z Kenem rozmawiałem, są one w wielu miejscach nieaktualne. Przez te lata po wojnie wiele się pozmieniało, powstały nowe osiedla, drogi, zniwelowano niektóre tereny, inne miejsca zmieniły się nie do poznania. Wstępnie już porównaliśmy niektóre mapy, i może tu być problem. Ale coś na to poradzimy. Na razie proponuję śniadanie, porozmawiamy przy nim o dalszych planach.

Śniadanie, podobnie jak wczorajsza kolacja, obfitowało w lokalne produkty, słusznie wychwalane przez gospodarza. Amerykanie musieli przyznać, że takiego chleba, wędlin czy serów w USA nie mają szansy znaleźć. Po posiłku obficie popijanym mocną kawą, zwłaszcza przez dwóch nocnych poszukiwaczy, znów przenieśli się do archiwum gospodarza na poddaszu.

– Nie chciałbym narzucać wam swojego zdania, ale może ja zacznę i przedstawię propozycję dalszych działań. Potem to ocenicie i podejmiemy wspólnie decyzję. Może tak być? – Mat postanowił wypowiedzieć się pierwszy. – Ustaliliśmy wczoraj, że priorytetem są dla nas skrytki, w których można znaleźć depozyty w postaci złota czy kosztowności. Przejrzałem w nocy dość dokładnie spis schowków. Niektóre zawierają dzieła sztuki. Tych na razie bym nie ruszał. Dzieła sztuki są dość kłopotliwe w transporcie i sprzedaży, mogą też ściągnąć na nas niepotrzebną uwagę. Są też pewne względy moralne, choć to w świetle naszych przyszłych działań wolę na razie pominąć. Z doświadczenia wiem, że złoto, waluta, złote monety są najwygodniejsze do spieniężenia i transportu, a to w waszym przypadku jest jedną z kluczowych spraw. Z tego, co widziałem, niektóre miejsca ukrycia depozytów są mi znane. Przynajmniej dotąd

podejrzewałem, że coś tam może być. Nie wiedziałem tylko, jak się tam dostać. O co najmniej trzech miejscach z waszego spisu wiem, że są opróżnione. Wszystko to stało się na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Co prawda nikt się tym nie chwalił, ale światek eksploatatorów jest dosyć mały i szybko można się zorientować, kto osiągnął sukces, zwłaszcza gdy nagle zaczyna się zmieniać jego sytuacja życiowa. Wiecie, nowe domy, samochody, nowe żony i tak dalej. Opróżnione są z waszej listy pozycje numer sześć, osiem i dziewiętnaście. Nie jest źle, bo lista, jak wiecie, liczy dwadzieścia pięć miejsc ukrycia cennych depozytów. Prawdopodobnie niektóre z nich też są już puste, jestem jednak przekonany, że większość ocalała. W nocy trochę poszperałem i porównałem z moimi danymi. Te najcenniejsze miejsca są pilnowane przez tak zwanych strażników i tutaj dobra wiadomość: praktycznie wiem o większości z nich. Przyznaję się, wykorzystałem dla zdobycia tej wiedzy moje kontakty z byłej pracy, te międzynarodowe też. Dlatego wybaczcie, ale o tym, skąd to wiem, nie będę mówił. Na koniec, by już dać wam szansę na dojście do głosu, powiem, że chyba najcenniejszym dokumentem jest ten, który mówi o zabezpieczeniach i sposobach ich neutralizacji. Bez tego byłoby nam bardzo trudno, może nawet śmiertelnie trudno. No i proponuję zacząć od spotkań z kilkoma strażnikami, chyba warto spróbować się z nimi dogadać. Bo mogą nam bardzo wejść w paradę.

– Okej, Mat, z tego, co mówisz, wynika, że mamy podobne podejście do sprawy. Też uważam, że na razie nie ma sensu ruszać dzieł sztuki. Ale czy kontakt z tymi strażnikami nie utrudni nam działań? – Mark odezwał się pierwszy.

– Raczej nie, oni i tak obserwują cały czas schowki. Bardzo szybko by się zorientowali, że się tam kręcimy i coś wydobywamy. To mimo wszystko nie jest całkowite odludzie. Trzeba będzie zawsze uważać, by nie trafić na postronnych świadków. Ustaliłem też, że z niektórymi strażnikami można popробować negocjacji. W ostateczności gościa się zwiąże, wydobędziemy depozyt i znikniemy. Ale to już jest rozwiązanie siłowe, czego chyba wolelibyśmy uniknąć. Choć możecie być pewni, że nikt nie doniesie na nas za takie działania na policję. Mam już nawet pierwszego kandydata do rozmowy. Nieciekawy typ,



wiem, że sam kombinuje, jak się dostać do schowka, tyle tylko, że po pierwsze nie wie, co w nim jest, po drugie nie zna zabezpieczeń, a po trzecie tak naprawdę jest dość prymitywny.

– Wiemy, czego pilnuje? Co jest na ten temat w naszych dokumentach? – Mark spojrzał na Kena i Mata.

– Oczywiście pozycja numer dziewięć. – Ken wyjął z przygotowanego w nocy skoroszytu z wydrukami odpowiednią kartkę. – W zboczu góry Ramenberg, po polsku Soboń, niedaleko miejscowości Walim, czyli dość blisko stąd, znajduje się zamaskowane wejście do sztolni, a właściwie do korytarza. Na planie jest to przedstawione jako mała sala. W środku znajduje się osiemdziesiąt skrzyń, każda waży dziesięć kilo. Jest w nich złoto w sztabach z zasobów Banku Rzeszy. Sprawa jest o tyle ciekawa, że na Soboniu odkryto dość obszerne korytarze, częściowo zawalone. Miejsce, o którym mówimy, znajduje się poza wszelkimi podejrzeniami. Mat to potwierdza.

– Zgadza się, wiele razy tam byłem, całkiem blisko tego schowka, pewnie nieraz go nawet widziałem. Tam nic ciekawego nie ma. No, przynajmniej do dzisiejszej nocy tak sądziłem. Miejsce jest ukryte i zabezpieczone ładunkami wybuchowymi, z tym też będziemy musieli dać sobie radę.

– Już o tym rozmawialiśmy. – Mark wiedział, że właśnie jemu przypadnie w udziale rozbieranie pułapek. – Na szczęście dzięki planom zabezpieczeń mamy jakieś szanse.

– Pomogę ci, parę lat temu zrobiłem kurs saperski, przydaje się w pracy poszukiwacza. – Mat znowu ich zaskoczył.

– Teraz pozostaje tylko pytanie: otwieramy tylko ten jeden schowek? – Z Paula jak zwykle wyszedł inżynier lubiący dodać dwa do dwóch. – Bo z papierów wynika, że jest w nim osiemset kilogramów złota. To naprawdę spory ładunek. Na razie pomijam, jak to stamtąd wywieziemy. Czy też próbujemy się dostać do innych schowków. Może są łatwiejsze, że tak powiem, w obsłudze?

– Z tego, co widziałem w waszych planach oraz co wiem z terenu, widać, że ten jest w sumie najłatwiej dostępny, można nawet podjechać dość blisko samochodem. A to jest w naszej sytuacji bardzo ważne. Pozostałe też trzeba będzie obejrzeć, zanim zdecydujemy, który pierwszy otworzyć. No i do tego mamy wiedzę o strażniku. Nie jest wykluczone, że innych skrytek pilnują strażnicy, o których nie wiemy. W efekcie mogą nagle wybuchnąć problemy.

– A co robimy z resztą wiedzy: laboratoria, archiwa, magazyny? Zwłaszcza te z bronią atomową. – Jose był wyrazicielem wątpliwości, które targały nimi wszystkimi.

– No i tu jest problem. – Ken nadal nie miał pomysłu, co powinni zrobić z tą wiedzą. Oczywiście najłatwiej byłoby przekazać wszystko odpowiednim władzom. Ale to może się okazać nie tak łatwe, jak się wydaje. Zwłaszcza że w grę wchodziła broń atomowa i chemiczna. Do tego palny innych „cudownych broni Hitlera”.

– Cały czas zapominamy też o tym, co się działo wokół tej sprawy u was w Stanach i wczoraj przed hotelem. Prawdopodobnie właśnie teraz ktoś prowadzi tu jakieś poszukiwania, tylko nie wiemy czego. Czy tak jak my chcą po prostu zarobić? Czy może szukają broni, a to już jest gruba sprawa.

– Z ich podejścia do tematu można wnioskować, że to nie są jacyś przypadkowi ludzie. Najpierw telefony od człowieka, z którym kiedyś robiliśmy interesy. Mówi o poważnych ludziach, mogących sporo zapłacić za nasze znaleziska. Czyli prawdopodobnie wiedzieli, co możemy znaleźć na wraku – zaczął wyliczać Mark. – Potem wydawało nam się, że ktoś nas obserwuje na Bahamach, atak na dom Kena, potem dziwna wizyta tego gościa, który próbował ni to straszyć, ni to się dogadać. A jeszcze wcześniej w Chicago, w muzeum, Ken i Jose byli śledzeni, przynajmniej takie odnieśli wrażenie. Teraz tutaj napad na Mata, jakby wiedzieli, kim on jest, i to zaraz po spotkaniu z nami. W dodatku napadli go Amerykanie, co do tego nie ma wątpliwości.

– Nie wiedziałem o tym wszystkim, tylko wspominaliście, że wokół sprawy trochę się działo. Teraz to zaczyna wyglądać na zaplanowaną operację. Najpierw

ktoś chce odkupić od was znaleźiska, a nawet nie wiecie, czy uda wam się coś wydobyć. Potem śledzenie, napad na dom Kena w Stanach, w Polsce na mnie i co ważniejsze – po spotkaniu z wami. Ken mi w nocy opowiadał, jakie środki ostrożności podjęliście. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem; chroniliście się tak, jak trzeba. Bez urazy, ale jesteście w końcu amatorami. Przenosiny do mnie też chyba były dobrym posunięciem. Prawdopodobnie w hotelu byliście pod obserwacją. Mamy do czynienia z poważnym przeciwnikiem, nawet bardzo poważnym. Poczekajcie chwilę, muszę wykonać jeden telefon.

To powiedziawszy, Polak wybrał numer z pamięci telefonu i chwilę czekał na połączenie.

– Cześć, Kaziu! Jak się masz w ten piękny jesienny poranek?

– ...

– No, ja też. Słuchaj, jak się mają ci goście, których wczoraj zgarnęliście?

– ...

– Z ambasady? Dyplomaci? A jak się przedstawił? Okej, Asher Podulski... zabrał ich ze sobą... Ich nazwiska, nie, i tak pewnie są fałszywe. Dzięki, stary, wiszę ci kolejną flaszkę... No jasne, wypijemy razem. Na razie. Cześć.

Rozmowa prowadzona była po polsku; Flisak streścił ją dokładnie swoim gościom.

– Ambasada amerykańska? – Ken był co najmniej zdziwiony.

– Nie sądzę, żeby byli pracownikami ambasady, ale nie możemy tego wykluczyć. Czyli wszystko zaczyna się robić coraz ciekawsze. Musimy na siebie bardzo uważać. Prawdopodobnie już wiedzą, że zatrzymaliście się u mnie. Może nawet dom jest pod obserwacją, choć to na tej ulicy jest dość trudne. Nie mamy co dalej gdybać, musimy się zabrać do roboty. Jednak ktoś musi być na stałe w domu. Mogą chcieć się włamać, mam co prawda niezłe zamki w drzwiach i system alarmowy, ale sami wiecie. Pierwsze pytanie: jak u was wygląda kwestia posługiwania się bronią?

Trochę to wszystkich zmroziło, prawdę mówiąc, do tej chwili mimo wszystko podchodzili do sprawy dosyć spokojnie, ot – kolejna przygoda. Teraz zaczęli to traktować z coraz większą powagą.

– Wszyscy byliśmy w wojsku, nie ma z tym problemu – odpowiedział za wszystkich Mark.

– W porządku, widzieliście mój mały arsenał, boję się, że może się okazać przydatny. Dobra, ruszamy w teren, nie ma na co czekać. Kto pierwszy zostaje w domu?

– Może ja – zgłosił się na ochotnika Ken. – Pogrzebię też przy okazji w papierach, może coś wymyślę.

– W porządku, na górze w mojej pracowni masz monitoring, gdy wyjdziemy, włączysz wszystkie czujki w domu i w ogrodzie. Pokażę ci, jak to zrobić. No i cały czas jesteśmy w kontakcie.

Posprzątanie po śniadaniu i przygotowania do pierwszego wyjazdu w teren zajęły im kilkanaście minut. Jeszcze tylko Mat zabrał z sejfu trzy pistolety, Ken na czas dyżuru w domu został wyposażony w strzelbę.

– Wiem, że nie macie zezwolenia na broń w Polsce, ale na razie nie ma się czym martwić, to na wszelki wypadek. – Mat wyjął z torby dwa glocki. – Kto bierze?

– Ja i Jose. Pamiętam, że zawsze dobrze strzelał – zdecydował za wszystkich Mark, Paul nie miał nic przeciwko temu. – Gdzie jedziemy?

– Porozmawiać ze strażnikiem, o którym już wam wspomniałem. Właśnie on pilnuje interesującej nas w pierwszej kolejności skrytki. Nazywa się Jarosław Gęsicki, dobrze po sześćdziesiątce, niewysoki, wyjątkowo wredny typ. Taki podstarzały cwaniaczek udający przed wszystkimi świętoszka. Ale z tego, co wiem, łasy na pieniądze i raczej niezbyt odważny. Musimy z nim pogadać, bo jeśli zaczniemy grzebać przy schowku, prawdopodobnie nas szybko namierzy. Mieszka bardzo blisko miejsca, które nas interesuje. Jego samego bym się nie obawiał, ale

może narobić nam kłopotów, informując swoich mocodawców. Nawet jak się z nim dogadamy, trzeba będzie go pilnować.

Mat mówił to wszystko, jednocześnie co chwilę sprawdzając w lusterku, czy ktoś za nimi nie jedzie. Po paru chwilach zauważył, że samochód, który mijali na końcu ulicy, teraz bardzo ostrożnie jechał w pewnej odległości za nimi.

– Tak jak myślałem, ktoś za nami jedzie. – Nie było to odkrywcze, po porannej rozmowie wszyscy spodziewali się takiego obrotu sprawy.

– Teraz tylko pytanie: gubimy ich, czy spróbujemy się czegoś dowiedzieć? – Mat zaczął się głośno zastanawiać nad możliwymi rozwiązaniami.

– Zgarnijmy ich i postaramy się czegoś dowiedzieć. – Paul zawsze lubił proste rozwiązania; Mark po namyśle również kiwnął głową, potwierdzając słowa kolegi.

– W takim razie zrobimy tak: jedziemy do Wałbrzycha, do dużego centrum handlowego, jest tam podziemny parking, postaram się wjechać na tyle szybko, żeby za którymś zakrętem dwóch z was wysiadło niezauważenie. Potem zaparkuję, oni powinni nas minąć i zaparkować gdzieś dalej, wtedy ich dopadniecie. Może być?

– Nic lepszego chyba nie wymyślimy. Jedziemy.

Droga do miasta, choć stosunkowo krótka, bardzo im się dłużyła. Cały czas nerwowo sprawdzali w lusterkach, czy śledzący samochód za nimi jedzie. Jechał, zawsze oddzielony od nich co najmniej jednym autem. Przy wjeździe na parking przed centrum handlowym udało się Matowi przyspieszyć na tyle, że za jednym z zakrętów na parę sekund byli niewidoczni. Wtedy Mark i Jose prawie w biegu wyskoczyli z auta i skryli się za innymi, już zaparkowanymi pojazdami. Po chwili minął ich samochód jadący za nimi od Walimia. W tym czasie Mat zdążył już zaparkować kilkadziesiąt metrów dalej. Śledzący samochód minął ich jakby nigdy nic i stanął po przeciwnej stronie hali parkingowej. Mark i Jose musieli się nieźle nagimnastykować, by przebiec niepostrzeżenie za innymi autami. Udało im się, lecz gdy zobaczyli, kto wysiada z samochodu, zamarli. Jose zaczął dawać znaki

przyjacielowi, ten tylko kiwnął głową, wyjął zza paska pistolet, przeładował i wyszedł na otwartą przestrzeń.

– Co za niespodzianka, znowu się spotykamy. – Te słowa zaskoczyły Andreeasa i Bruna, którzy w tym momencie rozglądali się właśnie po parkingu, szukając swoich śledzonych podopiecznych. – Ręce z dala od siebie, stańcie spokojnie, kolega was przeszuka.

Jose podbiegł do dwóch z lekka skonsternowanych byłych agentów BND i szybko dokonał rewizji. W tym momencie dołączyli do nich Paul i Mat Flisak. Spojrzenia niemieckich agentów wyrażały tylko zaskoczenie pomieszane z pewnego rodzaju rezygnacją.

– Nie ma co robić zamieszania, wiążemy ich i zabieramy do mnie. – Mat podjął szybką decyzję, sprawnie skrepował ręce agentów plastikowymi trytkami i wsadził ich pojedynczo do samochodów. Bez dalszych rozmów wyruszyli w powrotną podróż do Walimia.

Po dotarciu do domu Flisaka samochód obu agentów odprowadzili na leśny parking ponad dziesięć kilometrów dalej. Zrobili to Mark z Matem, który jechał za Amerykaninem swoim pikapem. W tym czasie dwaj goście zostali zaprowadzeni do piwnicy, ponownie przeszukani i dodatkowo skrepowani, na głowy zarzucono im worki i na razie zostawiono swojemu losowi.

– To mamy kolejny problem. – Ken, który przypatrywał się całemu zamieszaniu, też rozpoznał obu nowych gości Willi Mata Flisaka.

– Znacie ich? Wyglądaliście na lekko zdziwionych. – Matowi nie umknął wyraz twarzy Amerykanów. Po drodze nie rozmawiali, teraz jednak przyszła na to pora.

– Zgadza się, już spotkaliśmy się z jednym na Bahamach, drugi odwiedził mój dom w Orlando. – Ken opowiedział pokrótce, w jaki sposób poznali dwójkę agentów.

– A może się od nich czegoś dowiemy? – Jose spojrzął na Marka – Już raz ci się udało.

– Skoro już was podchodzili w Stanach, to chcą przede wszystkim zdobyć pojemnik albo informacje w nim zawarte. Nic więcej nie wiedzą, no, może dla kogo pracują, a to już by było coś. – Mat Flisak zastanowił się i spojrzał na Marka – Byłeś żołnierzem sił specjalnych, szkolono cię w metodach uzyskiwania informacji, ja też co nieco na ten temat wiem z dawnej pracy. Oni, jeśli są zawodowcami, nie będą się za bardzo upierać przy milczeniu. Zrobimy to w nocy, niech skruszeją do tego czasu. Teraz trzeba wreszcie zacząć działać w naszej sprawie. Jedziemy porozmawiać ze strażnikiem, o którym mówiłem wam przy śniadaniu.

## 39

Po powrocie do hotelu w Jedlinie-Zdroju ekipa Karla Angerera szybko przeniosła zdobyte w odnalezionym laboratorium dokumenty do jednego z wolnych pokoi. Dokładnym ich badaniem mieli się zająć Dylan i Henry. Obaj świetnie znali język niemiecki, pomoc miał Aleks, który będąc specjalistą od budowy broni jądrowej, mógł z tych papierów wyczytać zdecydowanie więcej niż oni. Karl liczył też na to, że jego podwładni znajdą wzmianki o miejscu zmagazynowania gotowych produktów hitlerowskiego programu atomowego.

Dał odpocząć ludziom, dzisiejsza wyprawa, choć nie całkiem zakończyła się tym, o co mu chodziło, była jednak przełomem w ich poszukiwaniach. Udało im się wykorzystać wiedzę strażnika, a to dawało znaczne szanse na przyszłość. Domyślał się, że strażnicy pilnowali tylko bardzo istotnych miejsc. Laboratorium, które znaleźli, do takich z pewnością należało. Można było założyć, że któryś kolejny strażnik doprowadzi ich do poszukiwanego magazynu z bronią atomową. W kolejne miejsce pilnowane przez człowieka z listy mieli się udać po południu. Dzień wcześniej ludzie Karla nawiązali z tym człowiekiem kontakt.

Rozmyślenia przerwało mu pukanie do drzwi.

– Wejść. – Nie zabrzmiało zbyt zachęcająco, ale w taki właśnie sposób Karl odzywał się do podwładnych, całkowicie od niego zależnych. Zależało mu na tym, by ludzie czuli ten dystans. Zresztą całe jego zachowanie było na to nastawione. Wynikało to głównie z przekonania o własnej pozycji oraz misji, która jest mu przeznaczona w nowym świecie, jaki powstanie po realizacji planów ojca i jego wspólników.



– Szefie, mamy pewien problem z ludźmi wysłanymi do obserwacji domu tego polskiego poszukiwacza. Rano dali znać, że jadą za jego samochodem i praktycznie od tego momentu nie ma z nimi kontaktu. – Asher odpowiadał za koordynację wszystkich działań. O tym, że dwaj agenci milczą, dowiedział się przed chwilą od ludzi, którzy zostali w hotelu i mieli utrzymywać łączność z całą resztą.

– Znowu jest z nimi problem, od początku mówiłem, że trzeba się ich pozbyć, bo nie nadają się do swoich zadań. Opinia o ich kwalifikacjach była zdecydowanie przesadzona. Ty też wczoraj mówiłeś, że to fachowcy. Szczegóły. Co się znowu dzieje?! – Wcześniejszy całkiem niezły humor prysnął jak bańka mydlana.

– Mieli informować o wszystkim telefonicznie, po ostatnim kontakcie ponad trzy godziny temu nie odezwali się. Nie odpowiadają ani na telefony, ani na SMS-y.

– Podobno ich znasz, czy to do nich pasuje?

– W żadnym wypadku, mieli być cały czas w kontakcie, i do dzisiejszego ranka tak było. Oni naprawdę znają się na swojej robocie. – Asher nie bronił byłych agentów, po prostu parę razy z nimi współpracował, znał ich umiejętności i podejście do realizowanych zadań.

– Trudno, za godzinę jedziemy do kolejnego strażnika. Jeśli do tej pory się nie znajdą, musimy ich spisać na straty.

– Tak jest. Bierzymy tylko ludzi z ochrony? Henry i Dylan mają zajęcie.

– Tak, tak, przygotuj wszystko.

Po godzinie pojechali dwoma samochodami w kierunku Walimia. Dotarwszy na miejsce, zobaczyli mały, bardzo zaniedbany dom. Gospodarz akurat był na podwórku, rąbał drzewo na opał. Gdy ich zobaczył, przestał, przyłożył dłoń do czoła, chroniąc oczy przed słońcem, które akurat na chwilę postanowiło wyjść zza chmur. Poznał ludzi, z którymi wczoraj rozmawiał, wbił siekierę w pień i bez słowa, nie czekając na gości, wszedł do domu, zostawiając otwarte drzwi

wejściowe. Za nim do środka ruszył Karl razem z Asherem i Jacobem. Pozostała dwójka czekała przy samochodach.

– To jak, panie Gęsicki, rozumiem, że wczoraj ostatecznie się dogadaliśmy i przypomniał pan sobie, co należy do pana obowiązków. – Asher bez zbędnych wstępów przeszedł do rzeczy.

– Przypomniałem sobie albo i nie. To, że wczoraj podaliście hasło, nic nie znaczy. Nie znam was. – Niewysoki, niechlujnie wyglądający mężczyzna spojrzął na nich swoimi przekrwionymi, chytrymi oczkami. – Od jakiegoś czasu nikt się ze mną nie kontaktował i nikt mi nie płacił. Dlatego nie wiem, czy z wami rozmawiać.

Jacob cały czas tłumaczył słowa strażnika Karlowi, który z niewzruszoną twarzą stał z boku, przyglądając się raczej pomieszczeniu niż jego gospodarzowi. Dało się zauważyć, że czuł do niego nieskrywaną odrazę.

– Ale do pana obowiązków należy pomoc osobie, która poda hasło.

– Najpierw zaległe pieniądze, potem może z wami porozmawiam.

Asher spojrzął na swojego zwierzchnika, jakby szukając potwierdzenia tego, co miał teraz zrobić. Lekkie skinienie głową, i po chwili Gęsicki leżał na podłodze, krwawiąc z rozbitego nosa.

– Słuchaj, śmieciu, nie przyjechaliśmy tu z tobą negocjować. Masz prowadzić nas do schowka i cieszyć się, jeśli znowu nie dostaniesz po pysku. – Asher stał nad powalonym na podłogę mężczyzną, delikatnie rozmasowując pięść.

– Nic wam nie powiem, zaraz policję wezwę, już oni was pogonią. Zresztą może już wszystko o was komu trzeba powiedziałem i nie wywiniecie się z tego napadu, pewnie przyszliście mnie ograbić, bandyci.

Karl ponownie skinął głową Asherowi i wyszedł z zabałaganionego pokoju na podwórko. W tym czasie jego dwaj współpracownicy zajęli się Gęsickim. Zza drzwi dało się słyszeć odgłosy uderzeń i jęki bitego. Po paru minutach wszystko ustało, gospodarz domu został wyprowadzony na podwórko, lekko się zataczając, poprowadził swoich gości w kierunku schowka.

W tym samym czasie grafitowe mitsubishi Mata Flisaka zbliżało się leśną drogą do samotnie stojącego na zboczu Sobonia zaniedbanego gospodarstwa. Jego pasażerowie z daleka zauważyli stojące pod płotem dwa auta. Mat natychmiast nacisnął na hamulec, zgasił światła samochodu, włączył wsteczny bieg i zaczął cofać.

– Spóźniliśmy się, już tu są. Szybko wysiadajcie i spróbujcie się niepostrzeżenie zbliżyć, ja zaparkuję gdzieś dalej i do was dołączę. – Mat, mówiąc to, wyjął ze schowka małą lornetkę i dał ją siedzącemu z przodu Paulowi.

Sprawnie wyskoczyli z samochodu i lekko przygarbieni truchtem pobiegli w kierunku domu, starając się przy tym jak najmniej rzucać w oczy. Trafili akurat na moment, gdy dwaj mężczyźni wyprowadzili z domu zakrwawionego niewysokiego człowieczka. Zachwiał się, a po chwili poprowadził swoich dręczycieli w kierunku rosnącego za drogą zagajnika. Prześladowców było pięciu. Paul przyłożył do oczu lornetkę, po chwili oddał ją Markowi. Poznali dwóch napastników spod hotelu, teraz już nie mieli najmniejszych wątpliwości, że trafili na grupę, która od dłuższego czasu usiłowała pokrzyżować im plany. Bardzo ostrożnie posuwali się w kierunku zagajnika, przy czym Mark poprowadził ich nieco z boku i powyżej miejsca, gdzie udali się ich konkurenci. Mark, cały czas idąc na czele, starał się pokazywać kolegom, jak mają się poruszać, by nie narobili zbędnego hałasu.

Mat Flisak po ukryciu samochodu za zrujnowanym budynkiem przy wjeździe na leśną drogę starał się biegiem wrócić do przyjaciół. Wybrał jednak inną drogę, postanowił obieć dookoła gospodarstwo Gęsickiego. Wysoka wyschnięta trawa co prawda nie ułatwiała marszu, do tego skutecznie go przemoczyła. Nie zwracając jednak na to uwagi, najpierw minął z lewej strony zaniedbany dom i resztki rozpadających się zabudowań gospodarczych, a po minucie znalazł się niezauważony około stu metrów od nieznajomych, których prowadził pobity starszy mężczyzna. Nagle wszyscy oni odwrócili się w drugą stronę, co dało Matowi parę sekund, ale też go zaskoczyło. Szybko się jednak zorientował, w czym rzecz, i zaczął działać.

Powodem nagłego zainteresowania napastników drugą stroną stał się niespodziewanie sam Mark. Doświadczony operator sił specjalnych popełnił banalny błąd, stawiając stopę na niesprawdzonym miejscu. Dźwięk pękającej gałęzi zabrzmiał niemal jak wystrzał z pistoletu. Trójka przyjaciół skamieniała, wiedząc, że teraz już wszystko może się wydarzyć. Śledzeni przez nich ludzie najpierw stanęli, a po chwili dwóch z nich ruszyło ostrożnie w ich kierunku, wyjmując pistolety. Mark, Jose i Paul zamarli, dwaj pierwsi po chwili chwycili pistolety, szykując się na dekonspirację i być może walkę.

Sytuację uratował Mat Flisak. Zaczerpnął mokrej ziemi i błota, wysmarował nim ubranie i trochę twarz, naciągając przy tym na oczy zimową czapkę, którą miał na głowie, gwałtownie wstał i zataczając się, wyszedł na drogę.

– Kurwa, ale ślisko, cholera nadała taką pogodę – zabełkotał niewyraźnie, po czym nagle się rozdarł: – Godzina piąta minut trzydzieści, kiedy pobudka zagrała. Grupa rezerwy szła do cywila, niejedna panna płakała. – Dalej śpiewając, a właściwie rycząc klasykę polskiej pieśni imprezowo-pijackiej, ruszył ścieżką w kierunku drogi, tam, skąd przyjechali.

Angerer i jego ludzie stanęli skonsternowani, potem popatrzyli po sobie, Jacob i Asher uśmiechnęli się nieznacznie, znając wykonywany z taką pasją przebój. Jednocześnie pokręcili głowami, dając pozostałym do zrozumienia, by się nie pokazywali. W tym czasie ryczący na cały głos pijak się oddalał.

Występ artystyczny Mata dał trójce pechowych Amerykanów chwilę czasu na ostrożne wycofanie się. Natomiast dwaj byli marines, którzy chcieli sprawdzić źródło hałasu, schowali broń i wrócili do grupy stojącej w zaroślach. Wszyscy oni otaczali niewielką ziemiankę, a właściwie wejście do niej. Gęsicki w tym czasie odwalał kamienie i stare deski tarasujące włącz. Gdy się z tym uporał, w świetle wyjętych latarek pokazały się najpierw stare ceglane schody, a po zejściu nimi w dół ujrzeli wąski wybetonowany korytarz. Prowadził on do małego pomieszczenia, typowej starej ziemianki, w której przy ścianach stały rozpadające się drewniane półki, pełne różnych śmieci i zniszczonych przedmiotów.

Królowały wśród nich przerdzewiałe dziurawe wiadra, połamane narzędzia gospodarskie, brudne butelki i słoiki. Nic więcej nie było.

– Co to ma być? – zwrócił się Karl do pobitego gospodarza, nie kryjąc irytacji.

– Za tymi półkami, ściana. – Gęsicki już nie próbował straszyć ani stawiać oporu.

Jacob, niewiele się namyślając, przewrócił wskazaną półkę, za nią była zwykła ceglana ściana, niczym specjalnym się niewyróżniająca. Jednak przyjrząwszy się dokładnie, zauważyli, że u jej podstawy znajdują się otwory, umieszczone dokładnie pośrodku leżących nad nimi cegieł.

– Służą chyba do podważenia cegieł. – Jacob wstał z kolan, na których lustrował małe otwory przy podłodze.

– To chyba jest wejście. Wiesz o tym coś więcej? – Karl poczekał, aż Asher przetłumaczy pytanie stojącemu wśród nich Polakowi.

– Kiedyś podpatrzyłem, jak oglądali te otwory dwaj Niemcy, którzy przyjechali sprawdzić schowek. Przywieźli mi też trochę pieniędzy za pilnowanie tej ziemianki.

– Coś przy tym mówili?

– Słabo znam niemiecki, mówili tylko, że za tą ścianą znajduje się to, czego pilnuję.

– W porządku, wracamy do domu. – Karl, nie czekając na innych, wyszedł z zatechłej ziemianki i skierował się do domu niewysokiego Polaka.

Reszta po chwili ruszyła za nim. Najpierw jednak ponownie zasypali wejście.

Mark, Jose i Paul teraz już bardzo ostrożnie zbliżyli się powoli do ziemianki na tyle, by zobaczyć, że Gęsicki wraz z trzema napastnikami znikają w jej środku. Po ponad dziesięciu minutach wszyscy wyszli, zamaskowali wejście i udali się do domu Polaka. Korzystając z ostatnich promieni dnia, Paul z dość znacznej odległości zrobił im wszystkim serię zdjęć telefonem. Na razie nie mieli nic więcej do roboty, musieli czekać.

– Nic więcej nie wiesz? – W domu napastnicy znowu zaczęli przepytować Gęsickiego. Ten, coraz bardziej przestraszony, wciąż powtarzał to, co już wcześniej powiedział.

Po tym ponownym przesłuchaniu, w czasie którego gospodarz znowu oberwał, Karl odszedł na stronę z Asherem i wydał polecenia:

– Jacob i Owen zostaną na noc z tym śmieciem, przypilnują go, a o świcie przyjedziemy tu z ludźmi i otworzymy schowek. Podejrzewam, że mogą tu być założone miny. Tego tam – tu wskazał na siedzącego na podłodze zakrwawionego strażnika – pozbędziemy się jutro w schowku, tak jak ostatnim razem.

Asher bez słowa skinął głową i zaczął wydawać polecenia swoim ludziom.

Jacob i Owen nie byli zachwyceni, gdy jednak stwierdzili, że mała brudna lodówka stojąca w kuchni okazała się zadziwiająco obficie zaopatrzona, przestali się krzywić. Znaleźli też parę butelek piwa, i to zdecydowanie poprawiło ich nastawienie do nowego zadania postawionego przez Angerera. Reszta wsiadła w samochody i odjechała do hotelu. Po drodze mijając niewidocznego, ukrytego w krzakach Mata Flisaka.

Z kolei jego trzech amerykańscy partnerzy zajęli dogodnie pozycje do obserwacji domu Gęsickiego. Widzieli, że gdy inni wsiadali do samochodów, dwóch napastników zostało. Teraz pozostało już tylko skontaktować się z Matem i zdecydować, co robią dalej.

Niespodziewanie w kieszeni Marka zawibrował wyciszony telefon.

– To Mat! – Spojrzał na wyświetlacz. – Co jest?... Tak, wyjechali, ale dwóch zostało... W porządku, wracamy drogą w dół. – Połączenie zostało zakończone.

Po dwustu metrach spotkali Flisaka, który już zdążył wyprowadzić z ukrycia samochód i teraz próbował oczyścić ubranie z błota.

– Stary, dzięki, uratowałeś nam skórę! – Mark w imieniu całej trójki podziękował polskiemu poszukiwaczowi. – Ale muszę powiedzieć, że zamarłem, gdy zaczęłeś się drzeć. Co to było, jakiś pijacki szlagier?

– No, coś w tym rodzaju, ważne, że zadziałało. Teraz musimy działać szybko. Oni prawdopodobnie wrócą rano. Tych dwóch zostało pilnować Gęckiego, musimy się pośpieszyć, mamy tylko kilka godzin. – Mat nie bawił się w żadne ozdobniki, był w stu procentach nastawiony na działanie. – Jedziemy do domu, bierzemy sprzęt, dane na temat zabezpieczeń i wracamy. Ktoś musi zostać, by obserwować tych dwóch i czy coś się nie dzieje.

– Ja zostanę, może się zrehabilituję za narobienie tego hałasu. – Mark miał nadal wyrzuty sumienia.

– Okej, będziemy jak najszybciej z powrotem.

Szybko wsiedli do samochodu, a Mark zajął dogodną pozycję obserwacyjną. Widział całe obejście, dom i znaczny kawałek drogi. Nic się nie działo. Po niespełna godzinie telefon ponownie zawibrował. Tym razem przyszedł SMS: „Jesteśmy za pięć minut, gdy nas zobaczysz, daj znać”. Faktycznie, po pięciu minutach zobaczył ostrożnie idących przyjaciół. Wyszedł na drogę.

– Plan jest taki – zaczął Paul bez zbędnych wstępów. – Najpierw opanujemy dom i obezwładnimy tych dwóch, potem bierzemy się za schowek. Jeden będzie musiał pilnować domu, reszta zapieprza do roboty.

– Okej, wchodzę ja, Mat i Jose. Ty zostajesz na zewnątrz, jakby któryś chciał uciekać. A co z tymi dwoma w domu? – Mark starał się myśleć o wszystkim jednocześnie.

– Jeszcze raz ich związaliśmy. Siedzą z workami na głowach, dodatkowo przykuci do rur w piwnicy. Nie mają prawa się ruszyć. – Mat przedstawił krótko środki zastosowane wobec dwóch gości zgarniętych w południe z parkingu przed sklepem. – Muszę wam powiedzieć, że takiego tempa się nie spodziewałem. Najpierw próba porwania, teraz w pewnym sensie sam jestem porywaczem, idziemy z bronią na dwóch kolejnych gości, potem będziemy się dostawać do schowka i jak dobrze pójdzie, wywozić złoto. U was w Ameryce zawsze macie taką szybkość działania?

– Tylko czasami, gdy mamy do zgarnięcia ponad pół tony złota. – Paul się uśmiechnął.

Podeszli ostrożnie pod dom Gęsickiego, w oknach paliło się światło, były jednak szczelnie zasłonięte. Mat, ubrany w stary wojskowy mundur, z czapką zsunietą nisko na czoło, zapukał w drzwi.

– Jarek, to ja, Kazimierz, mieliśmy się dzisiaj napić. – Starał się mówić trochę bełkotliwie.

Gdy nikt nie otwierał drzwi, tym razem głośno w nie załomotał. W końcu otworzył wystraszony Gęsicki, z boku za nim dało się zauważyć cień drugiej osoby. W tym samym momencie Jose wybił okno z lewej strony domu. Mark tymczasem wszedł po cichu przez wyważone okno w sypialni na tyłach domu. Gdy spojrzenia wszystkich zwróciły się w kierunku, skąd dobiegł hałas, Mark wystrzelił w podłogę koło nóg jednego z napastników ze SPAS-a 12. Zrobiło to na wszystkich odpowiednie wrażenie, jeszcze lepsze wywołało błyskawiczne przeładownie i skierowanie lufy w kierunku dwóch Amerykanów pilnujących Gęsickiego. Jednocześnie do domu z pistoletami w rękę wpadli Mat, a chwilę po nim Jose. Zbaraniałi Jacob i Owen nie mieli szans na najmniejszą nawet reakcję. Zostali sprawnie i szybko rozbrojeni i przeszukani. Po niespełna minucie siedzieli na podłodze, bardzo starannie skrupowani. Przestraszony Gęsicki cały czas wodził wzrokiem od jednych napastników do drugich. Nadal nie mógł za bardzo zrozumieć, co się dzieje, czy nowi napastnicy są równie groźni i czy jemu zagraża niebezpieczeństwo. W końcu skoncentrował wzrok na Flisaku, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie już go widział.

– Panie Gęsicki, żeby nie było między nami nieudomówień – odezwał się po polsku Mat Flisak. – Nie przyszliśmy pana ratować, tylko otworzyć schowek, którego pan pilnuje. Jeśli będzie pan współpracował, może coś panu skapnie. Nasi poprzednicy poczęstowaliby pana tylko ołowiem, my proponujemy jakiś udział. Jest tylko jeden warunek: współpracuje pan i nam pomaga. Na początek: co znaleźliście w ziemiance?



Przestraszony Gęsicki nawet nie próbował kombinować czy kluczyć, szybko powiedział wszystko, co wiedział i czego się domyślał.

– W porządku, mam nadzieję, że nie strzeli panu do głowy nic głupiego, zaraz zaczynamy. A wy – Mat przeszedł na angielski – grzecznie posiedzicie, co do waszej przyszłości, jeszcze się zastanowimy. Może uda wam się z tego wyjść.

Co prawda o dalszym losie tej dwójki już wcześniej zdecydowali, jednak na razie nie było potrzeby ich wtajemniczać. Mieli na razie dołączyć do agentów przetrzymywanych w domu Flisaka.

Teraz całą piątkę czekała masa pracy. Jose pobiegł po samochód i zaparkował go za domem strażnika, tak by nie był widoczny z drogi, potem wszedł do środka, żeby pilnować dwójki jeńców i polskiego gospodarza. Reszta w tym czasie odwaliła wejście do ziemianki i stanęła przed ścianą z cegieł.

Paul wyjął wydrukowane skany dokumentu opisującego zabezpieczenia tej konkretnej skrytki.

– Najpierw musimy skruszyć mur, służą do tego otwory przy podłodze.

Posłużyli się do tego łomami, poszło zadziwiająco łatwo. Ściana szybko ustąpiła, usunięte cegły odrzucali na boki, byle tylko zbytnio nie przeszkadzały. Za powstałym otworem w świetle latarek zobaczyli około dziesięciometrowy wybetonowany korytarz. Tutaj już trzeba było zachować ostrożność.

– Z lewej strony na wysokości posadzki panel naciskowy, pod którym jest mina – czytał Paul, podczas gdy Mark i Mat na kolanach posuwali się do przodu, badając każdy centymetr podłogi.

– Jest. – Słowa Marka, choć się ich spodziewali, spowodowały, że wszyscy drgnęli.

– Glassmine, zapalnik zabezpieczony drutem, który trzeba przeciąć. – Spokojny głos Paula działał dobrze na wszystkich, zwłaszcza na posuwającą się powoli do przodu parę. Mark bardzo ostrożnie przeciął drut zabezpieczający i jeszcze wolniej usunął zapalnik z miny.

– Teraz aż do załomu korytarza spokój, zaraz za zakrętem podobna pułapka, tylko po prawej stronie. – Tym razem wykazał się Mat Flisak, cała procedura się powtórzyła, znowu z powodzeniem. – Cokolwiek mówić o Niemcach, to budowali porządnie, praktycznie nie ma tu wilgoci i ładunki nadal są sprawne. – Flisak na chwilę oparł się o ścianę przetaił pot z czoła i uspokoił oddech.

– Ostatnia pułapka przy drzwiach, tym razem duży ładunek połączony cienkim kablem z zamaskowaną wnęką z prawej strony. – Paul starał się zachować spokój, ale wewnętrznie cały drżał z nerwów i podniecenia.

– Jest przewód. – Po dłuższej chwili przyglądania się drzwiom Mat w końcu zauważył kolejną pułapkę. Ostrożnie przesunął ręką w kierunku, gdzie powinna znajdować się wnęką kryjąca ładunek wybuchowy.

Pod lekkim naciskiem zapadka puściła i z cichym trzaskiem otworzyły się sprytnie zamaskowane drzwiczki. W środku było ponad dwa kilo materiału wybuchowego, zdolnego zawalić cały korytarz. Teraz pozostało tylko wyjąć zapalnik i przeciąć kabel. Wszystko zajęło Polakowi kilkanaście sekund.

– Gotowe, możemy otwierać. – Lekko przekręcił pokrętko umieszczone na stalowych drzwiach. Prawie bezszelestnie zadziałał mechanizm blokujący i drzwi zaczęły się otwierać, były dość ciężkie, jednak dobrze nasmarowane zawiasy pozwoliły zrobić to dość gładko. Pierwszy wszedł do środka Mark, oświetlił małe pomieszczenie o wymiarach jakieś pięć na cztery metry. Było zaskakująco wysokie, u góry dało się zauważyć otwory wentylacyjne. Na środku pokoju stały równo ułożone drewniane skrzynie, nie musieli ich liczyć. Było ich równo osiemdziesiąt. Wszyscy przez chwilę milczeli, po czym zaczęli nagle wiwatować, przybijając piątki i gadać jeden przez drugiego. Pierwszy opanował się Paul.

– Panowie, czas ucieka, teraz trzeba to wszystko przenieść do samochodu. No i może by ktoś sprawdził, co naprawdę jest w tych skrzynkach?

Zanim to zrobili, Mark z Matem przez kolejnych parę minut dokładnie oglądali skrzynki. Co prawda w opisie zabezpieczeń nic więcej nie było, ale woleli się upewnić. Niczego nie znaleźli. Dopiero wtedy Paul przygotowanym już

od dłuższego czasu nożem podważył wieko jednej ze skrzynek. Oświetlił latarką środek i z namaszczeniem wyjął półkilogramową sztabkę złota opatrzoną symbolami Reichsbanku oraz hitlerowskiego orła i swastyki.

– Mamy to. – Dwa słowa, a podziały na wszystkich jak magiczne zaklęcie. Ponownie zaczęli wiwatować i podawać sobie sztabkę z rąk do rąk. W końcu rozsądek wziął górę nad emocjami, każdy złapał po dwie skrzynki i ruszyli w kierunku wyjścia. By nie chodzić ze skrzynkami zbyt daleko, złożyli je tylko koło wejścia do ziemianki, a Mat pobiegł po samochód. Wszyscy pracowali jak natchnieni, nie czując zmęczenia, nie zwracając uwagi na pot zalewający oczy. Dość szybko i sprawnie przenieśli zawartość schowka do samochodu i Mat razem z Paulem pojechali do domu Polaka. Mark w tym czasie wrócił do Josego, który pilnował jeńców i Gęsickiego.

Amerykanin nie musiał o nic pytać, usłyszał najpierw zamieszanie przy samochodzie, a teraz wystarczyło spojrzeć na uśmiechniętą twarz przyjaciela. Teraz pozostało im już tylko czekać na powrót Mata Flisaka. Paul miał pozostać w domu razem z Kenem, który bawił się w strażnika już od rana. Nagle czas zaczął biec bardzo wolno. Oczekiwanie bardzo im się dłużyło, tym bardziej że samochód faktycznie długo nie nadjeżdżał. W końcu, po prawie dwóch godzinach, usłyszeli zbliżający się pojazd Mata.

– Co się stało? – zapytał Mark.

– Musieliśmy czekać z przeniesieniem wszystkiego z auta do domu. U sąsiadów trwała impreza i właśnie zaczęli się rozchodzić goście, nie chciałem, żeby ktoś cokolwiek zobaczył. I tak widzieli, jak wjeżdżam i wyjeżdżam po nocy. Ale w końcu się udało. Teraz musimy zapakować tylko tę dwójkę, a jeden z nas będzie musiał jechać na pace. Na szczęście jest blisko. A co z gospodarzem tego uroczego miejsca?

– Tak jak ustaliliśmy, pogadasz z nim i dasz mu pięć sztabek.

– To kończymy zabawę, bierzcie jeńców do samochodu, ja załatwię sprawę z Gęsickim.

Gdy Amerykanie zabierali swoje rzeczy oraz dwóch skrepowanych mężczyzn, Mat wziął na stronę nadal przestraszonego byłego już strażnika.

– Panie Gęsicki, mam dla pana propozycję. Tutaj jest pięć sztabek złota, to jest mniej więcej siedemset pięćdziesiąt tysięcy złotych. Weźmie pan to i zniknie. Inaczej ludzie, którzy tutaj byli przed nami, zabiją pana. Przy okazji poda mi pan też numer telefonu, pod który miał pan dzwonić, gdyby ktoś się tu kręcił.

Gęsicki, gdy tylko usłyszał o złocie, a potem zrozumiał, ile ono jest warte, natychmiast podniósł się z krzesła, na którym cały czas siedział.

– A dlaczego tylko tyle? Na pewno udało wam się wyciągnąć więcej. Jeśli pójdę z tym wszystkim na policję, ciekawe, co zrobicie. A żadnego numeru nie znam.

– Panie Gęsicki... – Pomimo doświadczenia i spokoju, który zawsze go cechował, Mat zaczynał mieć z tym ostatnim coraz większe problemy. – Tak jak powiedziałem, ma pan zniknąć. Jeśli nadal będziesz się stawiał, dziadu jeden – tym razem głos byłego pracownika wywiadu nie brzmiał już spokojnie – to za chwilę zabiorę złoto ze sobą, ciebie zwiążę i poczekasz sobie do rana na gości. A oni, tak jak mówiłem, cię zlikwidują. W zasadzie nie powinienem się nawet zastanawiać, tylko tak zrobić. No i ten numer natychmiast, bo poproszę moich przyjaciół, żeby z tobą inaczej porozmawiali. Ja nie lubię przemocy, oni nie mają z tym problemów.

Gęsicki przestraszył się nagłej zmiany w zachowaniu rozmówcy. Jego chytre oczka nadal biegały na wszystkie strony, ale zaczął chyba w końcu rozumieć, że nie ma wyjścia, a propozycja jest więcej niż opłacalna. Na chwilę wstał i wyjął z kredensu w kuchni schowany za kubkami telefon. Był to stary model, jeden z tych „niezniszczalnych”.

– Tutaj jest numer, gdy ktoś tu się za bardzo kręcił, dzwoniłem i mówiłem, co się dzieje. Zawsze ktoś przyjeżdżał, zawsze kto inny. Opowiadałem, co widziałem, i ci ludzie odchodzili, czasem zostawiali mi jakieś pieniądze.

Mat wziął do ręki telefon, sprawdził zapisane numery, był tylko jeden. Ostatnie połączenie wykonano przedwczoraj.

– Przedwczoraj dzwoniłeś. Dlaczego?

– Ci, co mnie napadli, byli tutaj i wypytywali o schowek. Podali hasło, ale ja udawałem, że nic nie wiem. Zadzwoiłem, jak wyszli. Ktoś mi powiedział, że wszystko w porządku i mam z nimi współpracować. Ale nic nie mówił o pieniądzech, dlatego się im opierałem. W końcu miałem obiecane pieniądze, a ostatnio coraz rzadziej mi płacili.

– No widzisz, a od nas dostałeś małą fortunę. Tak przy okazji: gdybyś jednak próbował coś kombinować, bez problemu cię znajdziemy. Policja ci w niczym nie pomoże, zresztą już wie, że byłeś strażnikiem, i mundurowi pewnie będą mieli do ciebie trochę pytań. – Co prawda to ostatnie było blefem, ale Mat zaczął się zastanawiać, czy nie wcielić go w życie. – Lepiej zniknij i wegetuj gdzieś, gdzie nikt cię nie zna. Jeśli w jakikolwiek sposób się na ciebie natkniemy, zostaniesz zlikwidowany.

To mówiąc, rzucił sztabki na stół, telefon Gęsickiego schował do kieszeni i wyszedł.

# 40

Przez cały wieczór Asher miał złe przeczucia, wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku, w końcu Jacob i Owen byli bardzo doświadczeni. Strażnik, którego mieli pilnować, raczej nie stanowił zagrożenia. Jedyna niewiadoma to ci przekłeci „nurkowie”. Bruno i Andreas, którzy mieli ich śledzić, od rana nie dawali znaku życia. To właśnie najbardziej niepokoiło byłego agenta FBI. Klął w duchu, że kazał pousuwać lokalizatory we wszystkich wynajętych samochodach. Co prawda miało to sens, skoro chcieli zachować anonimowość swoich działań, jednak teraz się mściło. Nie mógł sprawdzić, gdzie się podziewa samochód, którym posługiwali się zaginieni agenci. W końcu zdecydował się iść do Angerera, by podzielić się z nim obawami. Nie lubił tego typu sytuacji, świadczyły o tym, że czegoś nie dopilnował albo coś wymknęło się spod jego kontroli. Tym bardziej że szef nie należał do ludzi wybaczących potknięcia i błędy. Choć sam Karl Angerer miał o sobie niebotyczne mniemanie, to nie był nikim wybitnym, natomiast wymagał tego od swoich podwładnych. Asher był profesjonalistą, nie marudził ani nawet nie przyszło mu do głowy, by krytykować zwierzchnika, zwłaszcza przy ludziach. Miał zadanie do wykonania i musiał je zrealizować, tylko to się liczyło. Chcąc nie chcąc wyszedł ze swojego pokoju i zapukał do drzwi apartamentu zajmowanego przez Angerera juniora.

– Wejść. – Jak zwykle krótko i niezbyt zachęcająco. Mówiło to wiele o człowieku, który tak się wypowiadał.

– Przepraszam, szefie, że przeszkadzam, ale nie daje mi to spokoju, że zostawiliśmy naszych ludzi z tym strażnikiem. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale

coś mi nie pasuje.

– Spokojnie, przecież to zaufani ludzie, od lat pracują u mojego ojca. – Karl o dziwo nie starał się tym razem manifestować swojej wyższości ani pokazywać, kto zajmuje jakie miejsce w hierarchii. Siedział w fotelu, na stoliku obok leżały dokumenty przywiezione z laboratorium, które przeglądał. – Nie myślisz chyba, że ten obmierzły typ może ich zaatakować?

– Ależ skąd! Bardziej obawiam się tych nurków. Mają prawdopodobnie kompletny spis miejsc i schowków, może akurat trafią w to samo miejsce co my.

– Wątpię, by chcieli to robić po nocy, a jeśli nawet, to Jacob czy Owen ich zauważą. Bardziej interesuje mnie, co się dzieje z tą dwójką, która miała obserwować dom Flisaka. Nadal nie ma od nich żadnego sygnału?

– Nic. Nie odpowiadają na telefony, te cały czas działają, tylko nikt ich nie odbiera.

– Myślisz, że mogli nas zdradzić? – Pytanie o dziwo zadane było bardzo spokojnie, choć w głosie Angerera nie dało się nie zauważyć nutki niechęci wobec dwóch byłych agentów. W końcu od początku ich krytykował i uważał za co najmniej niezbyt dobrze radzących sobie w terenie.

– Znam ich od paru lat, już kilkakrotnie pracowali dla pańskiego ojca i nigdy nie miałem wobec nich najmniejszych zastrzeżeń. Dobrzy, dokładni fachowcy, potrafią wysledzić, inwigilować czy sprawdzić dowolną osobę na całym świecie. Zawsze realizowali swoje zadania, nie oglądając się na środki. Dlatego byłem zdziwiony ich niepowodzeniem w sprawie „nurków”. Jednak w tym fachu to się może zawsze zdarzyć. Dziwi mnie to trochę, bo nie wierzę, by ta czwórka była kimś innym, niż się wydaje.

– Widzę, że cały czas bronisz tych naszych agentów. No dobrze, zobaczymy, jeśli do jutra się nie zgłoszą, będziemy się martwić. Na razie muszę ci powiedzieć, że Henry i Dylan odwalili kawał dobrej roboty z tymi papierami wyniesionym z laboratorium. Właśnie w nim pracowano nad montażem niektórych komponentów do produkcji bomby atomowej. – Karl nie musiał

zachowywać tajemnicy przed byłym agentem federalnym. Ojciec polecił wtajemniczyć go w całą sprawę, podobnie było z Henrym, Dylanem i oczywiście z Aleksem. Byli żołnierze piechoty morskiej wiedzieli tylko tyle, ile musieli, ich zadaniem była ochrona całej ekipy i wszelkie dodatkowe zajęcia. Asher na swoje zaufanie zasłużył zresztą wieloletnią pracą w Angerer Construction Group, i to niekoniecznie związaną z budownictwem. On i kilku podobnych byli typowymi ludźmi od specjalnych, bardzo specjalnych poruczeń. – A co ważniejsze, na podstawie tych dokumentów da się prawdopodobnie zidentyfikować miejsce, gdzie znajduje się magazyn z gotową bronią. Henry obawia się tylko o zabezpieczenia, jak dotąd udało mu się rozbroić wszystko wręcz koncertowo, myślę, że trochę panikuje.

– Faktycznie poradził sobie świetnie z zabezpieczeniami. Jednak nie wiadomo, na co dalej możemy trafić. Tym bardziej że ładunki, które znalazł, były w stanie detonować, a tego, prawdę mówiąc, nikt się nie spodziewał po tylu latach.

– Faktycznie, ja też myślałem, że te wszystkie zabezpieczenia będą teraz raczej atrapami. A wracając do twoich niepokojów, nie masz się czym martwić, jutro o świcie pojedziemy do Wüstewaltersdorfu i sprawdzimy schowek. Teraz co prawda już niemal na pewno wiem, że tam nie ma tego, czego szukamy, ale musimy to sprawdzić. Po południu pojedziesz do Wüstegiersdorfu i sprawdzisz mieszkającego tam strażnika. Prawdopodobnie to on pilnuje tego, co nas tak interesuje, jest kimś w rodzaju nadzorca nad znaczną częścią terenu. Powinniśmy właściwie od niego zacząć nasze poszukiwania, jednak stało się, jak się stało. Może to i lepiej, teraz wiemy, czego się spodziewać. Magazyn z bronią na pewno będzie bardzo dobrze zabezpieczony. – Karl nie dodał oczywiście, że kolejność kontaktowania się z poszczególnymi strażnikami wybrał on sam.

– W takim razie idę jeszcze raz sprawdzić, co wiemy o tym strażniku. Może by jednak wysłać Liama i Owena, by pilnowali domu Flisaka i przy okazji „nurków”?

– Nie ma takiej potrzeby. Na pewno nie dzisiaj w nocy. – Karl jak zwykle był pewien swoich decyzji. Nie wiedział, jak bardzo się mylił.



Następnego dnia o świcie znowu w pełnym składzie, tym razem nawet z Alekssem, wyruszyli w kierunku Walimia. Czternaście kilometrów pokonali stosunkowo szybko, potem wjechali w boczną leśną drogę prowadzącą do gospodarstw Gęsickiego i pobliskiego schowka. Wszystko wydawało się takie samo jak dzień wcześniej, zaniedbane gospodarstwo z obdrapanym domem i rozpadającymi się budynkami gospodarczymi w głębi podwórka. Asher, nie pukając, otworzył drzwi wejściowe i pierwszy wszedł do środka. Nikogo nie było! Coraz bardziej zdenerwowany, szybko przeszukał cały dom łącznie z poddaszem, jego ludzie przeszukali budynki gospodarcze. Nikogo nie było, ani Gęsickiego, ani dwójki pozostawionej do jego pilnowania. Znaleźli tylko wybitą szybę w jednym z pomieszczeń i ślady wystrzału ze śrutówki na podłodze w kuchni. Szczególnie to ostatnie zastanawiało i budziło niepokój. Nigdzie nie było śladów krwi ani walki. Wzburzony Karl Angerer natychmiast ruszył ze swoimi ludźmi na drugą stronę drogi, weszli w znane już sobie zarośla i zobaczyli starą ziemiankę. Choć wczoraj zawalili jej wejście, dzisiaj wyglądało ono już całkiem inaczej, było całkowicie odsłonięte, ziemia przed ziemianką był wyraźnie zryta, jakby ktoś wielokrotnie tędy przechodził. W środku ziemianki też było inaczej niż poprzedniego dnia, ceglana ściana została rozbita, za nią znajdował się wybetonowany korytarz, a na jego końcu pomieszczenie. Nie zważając na ostrzegawczy okrzyk Henry'ego, Karl zdecydowanie wszedł do środka, nie bał się żadnych pułapek, a właściwie to o nich nie myślał. Szybko przemierzył wybetonowany korytarz, wszedł do sporego pokoju i stanął na jego środku, wściekle patrząc dokoła. Na podłodze wały się jakieś papiery, podniósł kilka i zobaczył stemple z Banku Rzeszy. Przebiegł wzrokiem po ich treści i zaczął kląć, już się nie hamował, nie zważał na to, że przy ludziach nie powinien okazywać emocji. Po prostu klął. Za nim do środka weszli wszyscy pozostali, Asher, Dylan i Henry zaczęli podnosić z podłogi dokumenty świadczące o tym, że w pomieszczeniu były przechowywane niemieckie zasoby złota. Na razie nie wiedzieli jeszcze, ile tego mogło być, ale sądząc po wielkości pomieszczenia oraz śladach, jakie pozostały w kurzu, musiało być tego sporo. Po kolei zaczęli wychodzić z ziemianki, bez słowa zebrali się na

podwórku przed zaniedbanym budynkiem. Asher jeszcze raz wszedł do środka, teraz już o wiele dokładniej przeszukał pomieszczenia domu strażnika. Zajęło mu to kilkadziesiąt minut, wszyscy zaczęli się już niecierpliwić. Rozmowy prowadzili ściszymi głosami, by nie denerwować stojącego z boku Karla Angerera, przeżywającego jeszcze poniesioną porażkę. W końcu były agent FBI wyszedł z budynku i podszedł do zwierchnika.

– Wygląda to wszystko trochę dziwnie. Są ślady po strzale w podłogę z broni śrutowej. Takiej nasi ludzie nie mieli przy sobie. Nie ma natomiast żadnych śladów walki, może tylko poza tą wybitą szybą, ani śladów krwi. Szafy w mieszkaniu są częściowo opróżnione, ale widać, że zabrano tylko najważniejsze rzeczy. Nie wiem, co tu się dokładnie stało, myślę, że Gęsicki uciekł z domu, zabierając jedynie podstawowe rzeczy, nie wiem natomiast, co myśleć o naszych ludziach. Jednak wnioski chyba nasuwają się same.

– Do tego jeszcze zniknięcie tej dwójki, której tak bardzo broniłeś. – Karl już się uspokoił, choć nadal czuł, że balansuje na granicy eksplozji.

– Zgadza się, teraz, gdy zaczynam to wszystko dodawać, obraz wydaje się jasny. Jakimś cudem musieli wiedzieć, co się tu znajduje. Dogadali się z Jacobem i Owenem, no i pewnie z tym całym Gęsickim. Zresztą to może on wiedział, co tu jest, chociaż w to akurat wątpię. Tak jak mówiłem, wszyscy oni się dogadali, w nocy opróżnili schowek i się ulotnili. Może doszło do jakiejś sprzeczki, kłótni, stąd ślad po wystrzale. Teraz już pewnie są daleko, myślę, że nawet za granicą.

– Jak to, skąd wiedzieli o schowku? Przejęli dokumentację od „nurków” albo nawet się z nimi porozumieli. Dlatego Bruno i Andreas cały czas nie mogli niczego znaleźć. Tak jak mówisz, dogadali się z tymi dwoma marines, pewnie zmusili Gęsickiego do współpracy, i teraz już nie ma ani ich, ani zmagazynowanego tutaj złota. Nawet nie wiemy, ile tego było, ale chyba dość dużo. Natychmiast jedziemy do Wüstegiersdorfu, wszyscy.

Nie dyskutując dłużej, Karl wszedł do samochodu, reszta poszła jego śladem, ruszyli do Głuszycy, czyli do Wüstegiersdorfu, jak z uporem powtarzał szef.

Zaniedbane gospodarstwo przy bocznej leśnej drodze na zboczu Walimia zostało porzucone. W mglisty poranek, który powoli zaczęły rozświetlać promienie późnojesiennego słońca, nad budynkami kryjącymi kolejną tajemnicę Riese zapanowała cisza. Tym razem tajemnica tylko częściowo wiązała się z drugą wojną światową. Opustoszałym domem miejscowe władze zainteresowały się stosunkowo szybko. Stało się tak właściwie przez przypadek: krążący po okolicy w weekend amatorzy odkrywania tajemnic niemieckiego kompleksu natrafili na otwarty dom, niedaleko znaleźli tajemniczą ziemiankę z wybetonowanym korytarzem i pomieszczeniem na jego końcu. Wszczęte dochodzenie ujawniło, że gospodarstwo zostało zakupione przed blisko dwudziestu laty przez niejakiego Jarosława Gęsickiego. Najdziwniejszy w tym wszystkim był fakt, że przez te blisko dwadzieścia lat Gęsicki nie był nigdzie zatrudniony, pobierał tylko rentę z tytułu całkowitej niezdolności do pracy. Po bliższej analizie okazało się, że wypłata tego świadczenia odbywała się na podstawie dokumentów należących do dawno już nieżyjącego człowieka. Sam Gęsicki, który kupując gospodarstwo, musiał podać dane dotyczące poprzedniego zameldowania, daty i miejsca urodzenia, imion rodziców i paru innych okoliczności, co prawda podał te informacje, ale były one w całości nieprawdziwe. Okazało się, że był człowiekiem, który tak naprawdę nigdy wcześniej nie istniał. Nie miał też bliższych sąsiadów ani znajomych. Ludzie, którzy się z nim zetknęli, określali go jako osobę mrukliwą, niełatwą w kontaktach oraz izolującą się od innych.

# 41

Po powrocie do domu Mata Flisaka pierwszą rzeczą, którą zrobili, było umieszczenie w piwnicy dwóch kolejnych więźniów. Co prawda w pewnym momencie Owen próbował stawić opór, jednak szybki cios w szczękę, wyjątkowo sprawnie i umiejętnie wymierzony przez gospodarza, i zaraz potem widok lufy dziewięćmilimetrowego pistoletu na wysokości czoła skutecznie uspokoiły byłego marine. Po tym drobnym incydencie dwaj nowi lokatorzy „Flisak Guantanamo” zapoznali się z twardą i zimną posadzką, na której usiedli, i rurą przy ścianie, do której zostali dodatkowo przykuci. Oczywiście nie zapomniano o workach, które szczelnie zakryły ich głowy.

Dopiero teraz cała piątka weszła do salonu, w którym piętrzyły się skrzynie z ich niesamowitą zawartością. Byli zmęczeni, nawet bardzo, jednak ten widok wyzwolił we wszystkich niezwykle pokłady radości. Szybko jednak się opanowali w obawie, że mogą ich usłyszeć sąsiedzi i „goście” w piwnicy.

– Panowie, spokojnie. – Pierwszy opanował się Mark. – Musimy teraz bardzo dokładnie zaplanować nasze kolejne kroki. Co robimy dalej z tym tutaj – wskazał na skrzynie piętrzące się w salonie, kuchni i korytarzu – i z tymi na dole? Musimy też zdecydować, co dalej z wiedzą, którą mamy, zwłaszcza z informacjami o broni.

– Myślałem już o tym i mam pewien pomysł. Tylko musicie powiedzieć, czy się na to zgadzacie. – Flisak spojrzał uważnie na czwórkę Amerykanów. – Jak wiecie, pracowałem w wywiadzie, nadal mam tam znajomych, nawet jednego przyjaciela, co w takiej firmie jest raczej rzadkością. Facet jest niegłupi, ma

otwartą głowę i przez ostatnie lata awansował, może dosyć dużo. Gdybym się z nim skontaktował, porozmawiał o wszystkim... no, prawie o wszystkim, może byśmy jakoś załatwili sprawę tej broni. Tym bardziej że cały czas istnieje niebezpieczeństwo, że nasi „przyjaciele” z piwnicy i ich ekipa nie są tak nastawieni na zysk jak my.

– Ale to jest mieszanie oficjalnej instytucji państwowej w nasze sprawy, a na tym możemy wyjść kiepsko. Położą łapę na złocie albo na naszych informacjach, i koniec balu. – Paul wyraził obawy wszystkich.

– Wiem, dlatego chcę z nim porozmawiać nieoficjalnie. Jasne, że o złocie nie wspomnę ani słowem. Zresztą nie muszę w ogóle mówić o całej dokumentacji. Mogliście przecież trafić tylko na jej fragmenty. Oczywiście nie tylko na informacje o broni, tak jak mówiłem, niektóre schowki są już opróżnione, możemy o nich powiedzieć. Do tego dołożymy wiedzę o jednym lub dwóch zawierających dzieła sztuki. Przecież możemy negocjować z oficjalnymi instytucjami możliwość ujawnienia tej wiedzy w zamian za odpowiedni procent od wartości znalezisk. Wiem, że czasem do takich rzeczy już dochodziło. Co wy na to? Być może jeszcze uda się coś na tym uszczknąć, tyle że trzeba będzie zapłacić podatek.

– A jeśli wejdziemy w oficjalny układ, i coś się uda odnaleźć, to będziemy mieli podkładkę, skąd nagle wzrosły nam dochody. – Jose zaczął głośno myśleć jak doradca finansowy. – To może nie jest wcale taki zły pomysł.

– Trzeba też ustalić, co robimy z tą czwórką z piwnicy. – Ken zmarszczył czoło, zastanawiając się nad dalszymi słowami. – Możemy im zaproponować coś w rodzaju układu, dostaną po sztabce i znikają. W oczach swoich ludzi raczej są skompromitowani. Przecież po to zostawiliśmy te papiery z Banku Rzeszy. Trzeba im to dokładnie uświadomić. Może też coś ciekawego nam powiedzą.

– Dobra, na początek trzeba gdzieś przenieść te skrzynki, lepiej, żeby nie były na widoku. Może na górę, trochę do waszych pokoi, trochę do mojej pracowni. – Mat pomimo dość intensywnej ostatniej nocy był pełen energii.

Bez zbędnego gadania zabrali się do roboty, dość szybko uprzątnęli parter starej willi. Kolejnym krokiem była mocna kawa i szybkie śniadanie. Cały czas napędzała ich adrenalina wywołana wydarzeniami w nocy, jednak zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później może ich dopaść zmęczenie. Po posiłku zebrali się wszyscy w salonie, po czym Jose i Ken poszli po pierwszego więźnia. Padło na Andreama, w pewnym sensie starego znajomego. Gdy postawili go na środku salonu, Mark zdjął mu z głowy worek, nie przecinając plastikowych kajdanek. Byłego agenta niemieckiego wywiadu w pierwszej chwili oślepiło światło, wkrótce jednak przejrzał na oczy i zobaczył siedzących i stojących dookoła pięciu mężczyzn.

– Witam, ostatnio widzieliśmy się jakoś tak ponad miesiąc temu – zagadnął swobodnym tonem Ken. – Jaki ten świat mały, przylatujemy do Polski i znowu na siebie wpadamy.

– A ja widzę, że nie byliście do końca szczerzy w czasie naszego ostatniego spotkania. – Andreas był wyszkolonym oficerem wywiadu i potrafił szybko dostosować się do sytuacji. Co prawda nie miał pewności co do swojego przyszłego losu, doszedł jednak do wniosku, że raczej nie grozi mu śmierć z rąk „nurków”.

– Porozmawiajmy szczerze – włączył się do rozmowy Mat. – Na początek może powiesz, kto wam zlecił śledzenie nas, jaki cel ma to wszystko. Dla ułatwienia dodam, że prawdopodobnie twoi pracodawcy dochodzą teraz do wniosku, że ich zdradziłeś i przeszedłeś z kolegą na naszą stronę. Podejrzewam, że nie będą tym zachwyceni, a wy dwaj możecie mieć z tego powodu spore problemy.

Andreas słuchał z coraz większym zainteresowaniem, pomału zaczynał łączyć fakty. Zniknięcie jego i Bruna mogło zostać różnie zinterpretowane, co prawda nie wiedział do końca, czego szukał Angerer (już dawno przestał myśleć o nim jako o panu Carterze, zresztą ta cała maskarada wydawała mu się dziecinadą – w końcu pracowali dla nich już nie pierwszy raz, a szef Angerer Construction Group naoglądał się chyba za dużo filmów sensacyjnych). Jednak wiążąc ze sobą fakty

i trochę wiedzy, do tego miejsce w Europie, gdzie się znaleźli, zaczynał pomału rozumieć, o co tu chodzi. Oceniał, że to, co mówił ten Polak, było prawdą. Prawdopodobnie zostali zaangażowani do poszukiwania czegoś, na czym zależało i jego mocodawcy, i tym tutaj poszukiwaczom. Nie było sensu dalej się stawiać, może rozmowa coś mu wyjaśni, może padną interesujące propozycje? Był profesjonalistą, nie czuł się jakoś silnie związany ze zleceniodawcą, a jeśli ten ostatni faktycznie zacznie uważać, że Andreas przeszedł na drugą stronę, to należy się dogadać z tymi tutaj – sam nie wiedział, jak ich nazwać. Nadal był przekonany, że to amatorzy, zdolni i mający sporo szczęścia, ale jednak amatorzy.

– W porządku, co jesteście mi w stanie zaproponować za współpracę?

– Wolność! – odpowiedział Mat bez owijania w bawełnę.

– I co z tego będę miał? Skoro podpadłem, jak mówicie, moim dotychczasowym pracodawcom? Chyba już wiecie, że raczej się nie patyczkują.

– Powiedz, co wiesz, a my wtedy być może, podkreślam, być może, złożymy ci jakąś propozycję. Żeby ułatwić ci decyzję, już tłumaczę, dlaczego jesteście z kolegą spaleni. Dzisiejszej nocy ubiegliśmy twoich dotychczasowych mocodawców w przejęciu pewnego, nazwijmy to, artefaktu. Jednocześnie pozostawione przez nas dowody mogą świadczyć, że wasze wczorajsze zniknięcie jest z tym związane. Nie są przecież idiotami, macie nas śledzić, chwilę potem przestajecie się odzywać, wasze telefony dzwoniły wczoraj kilkadziesiąt razy. A teraz okazuje się, że schowek, do którego mieli się dzisiaj dostać, jest już opróżniony. Musisz przyznać, że nie wygląda to szczególnie dobrze. Oczywiście możesz wszystkiemu zaprzeczyć, gdy cię wypuścimy, ale zanim to się stanie, minie dosyć czasu, by oskarżenia wobec ciebie i kolegi nabrały mocy. No a wtedy, sam wiesz... – Mat teatralnie zawiesił głos.

Andreas musiał przyznać, że w tym wywodzie było sporo racji. Faktycznie obaj z Brunem mogli być postrzegani jako zdrajcy. Do tego nie wiedział, jakie dowody zostały przeciwko nim spreparowane.

– Powtarzam pytanie: co z tego będę miał, ja i mój kolega – dodał na wszelki wypadek.

– Ja też już powiedziałem. Decyduj się, jeśli nie chcesz współpracować, wracasz do piwnicy i dość długo tam posiedzisz.

– Dobrze, możemy porozmawiać, jednak od razu mówię, że wiem tylko o tym, czym się zajmowałem. – Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę jego jedynym atutem jest wiedza i tylko ją może wykorzystać w dalszych negocjacjach.

– W takim razie od początku: dla kogo pracujesz ty i jak się domyślam, twój kolega w piwnicy?

– Jesteśmy wolnymi strzelcami pracującymi dla różnych prywatnych zleceniodawców. Teraz zatrudniło nas Angerer Construction Group, zresztą wcześniej, w Stanach, też działaliśmy na ich zlecenie. Mieliśmy sprawdzić, co wydobyliście z wraku podczas wyprawy na Bahamy. Muszę przyznać, że całkiem sprawnie wyprowadziliście nas w pole. Bo teraz widzę, że jednak udało wam się zdobyć ów pojemnik, który miał być na zatopionym wraku. Parę dni temu zostaliśmy nagle odwołani z naszego aktualnego zadania i skierowani do Polski, do pomocy grupie, która już tu działa. Tak naprawdę nie wiem, czego szukają. Domyślam się tylko, że chodzi o rzeczy związane z drugą wojną światową. Zresztą patrząc na to, co się dzieje, kto bierze w tym udział, trochę też porozmawiałem z jednym z ludzi, którzy już tu byli przed nami... No krótko mówiąc, chodzi im prawdopodobnie o broń ukrytą gdzieś w okolicy pod koniec wojny. Patrząc na was, myślę, że nie tylko broń tu ukryto, no i wasze interesy się przecięły – dodał trochę złośliwie.

– A teraz więcej szczegółów, bo to, co powiedziałeś, to już sami wiemy. Dokładnie: nazwiska, skąd operują w okolicy, co wiedzą i jakie mają zamiary.

– Kieruje tym wszystkim Karl Angerer, syn właściciela firmy, o której już wspomniałem, zajęli cały hotel w Jedlinie-Zdroju. Przyjechaliśmy dopiero przedwczoraj w nocy i prawie od razu zagonili nas do obserwacji was. Z tego, co się dowiedziałem, była próba uprowadzenia jednego z was i zdrowo



poturbowaliście paru ludzi. No, tutaj szacunek, Angerer nie zatrudnia amatorów. Tylko czasem brakuje nam szczęścia.

– Co wiesz o ludziach przywiezionych do Polski, jakieś szczegóły?

– Dowodzi nimi były agent FBI Asher, prawdziwego nazwiska nie znam. Parę razy już z nim współpracowałem. Fachowiec, człowiek, który zajmuje się wszystkim, również tym, co jest nielegalne. Przywiózł tutaj paru ludzi do ochrony przedsięwzięcia, zdaje się byłych żołnierzy, ale z nimi już się chyba poznaliście. – Uśmiech Andreasa nie były wymuszony. – Wiem, że są jeszcze inni, ale nie wiem, kto to jest.

– A co wiesz o materiałach, na podstawie których prowadzą poszukiwania?

– Nic. Mieliśmy tylko was obserwować, a w razie czego śledzić, co jak wiecie, niezbyt się udało. Prawdopodobnie nadal mają mało informacji na temat tego, czego szukają. Asher wspominał, że w taki czy w inny sposób trzeba będzie od was przejąć dokumentację. Naprawdę wiele nie wiem, razem z kolegą podpadliśmy tym, że nie udało nam się was dokładnie sprawdzić. A tak między nami: jak wam się udało schować te dokumenty? Teraz mogę już chyba powiedzieć, że na Abaco Island, gdy wróciliście z rejsu, byłem na łodzi i dokładnie ją przeszukałem. Niczego istotnego nie było, nawet Enigmy, która miała być waszym głównym łupem.

Amerykanie spojrzeli po sobie i tylko Mark nieznacznie się uśmiechnął, co musiało starczyć za cały komentarz.

– Skoro to jest wszystko, wracasz do piwnicy. Porozmawiamy jeszcze z twoim kolegą.

Bez dalszych dyskusji ponownie zarzucili worek na głowę byłego agenta i pod eskortą Josego i Kena wrócił do piwnicy, gdzie starannie związany, został przypięty do rury, tak jak przedtem. Bruno, który po nim odpowiadał na podobne pytania, nie powiedział nic więcej. Potwierdził to wszystko, co już wiedzieli.

– Teraz kolej na tych dwóch nowych. – Paul był już nieco znużony przesłuchaniami. – Myślicie, że coś wiedzą? To są raczej tylko kolesie wynajęci

do brudnej roboty.

– Trzeba spróbować, z doświadczenia wiem, że tacy ludzie mogą coś wiedzieć, choć nic na to nie wskazuje. – Mat Flisak cały czas tryskał energią, co dla Amerykanów było trochę niezrozumiałe, wszyscy od ponad dwudziestu czterech godzin byli na nogach. Oczywiście byli w stanie dalej funkcjonować, jednak ich gospodarz sprawiał wrażenie zupełnie wypoczętego, a aktywność ostatniej nocy zupełnie nie robiła na nim wrażenia. – Bierzemy się za nich. Może na początek ten, który próbował podskakiwać.

Owen, po którego poszła para konwojentów, po zdjęciu worka z głowy zaczął toczyć dookoła wściekłym wzrokiem. Ta złość wynikała raczej z faktu, że dał się złapać, niż z tego, że spędził ostatnich parę godzin w niezbyt komfortowych warunkach.

Tym razem zaczął Mark, mający doświadczenie w rozmowach z tego typu ludźmi.

– Gdzie służyłeś, zanim zacząłeś pracować w sektorze prywatnym?

– Gównu cię to obchodzi. – Owen zareagował zgodnie z oczekiwaniami.

– Pewnie masz rację, ale z byłym wojskowym będę inaczej rozmawiał niż z jakimś najemnikiem.

– Służyłem w Korpusie Piechoty Morskiej – odpowiedział Owen po chwili namysłu.

– Byłeś na jakiejś misji zagranicznej?

– Dwa razy w Afganistanie. Ale to też nie twoja sprawa.

– Ja służyłem w NAVY SEALs w Iraku, Afganistanie i w paru miejscach, o których wolę nie pamiętać. – Mark uderzył w konwersacyjny ton. – Moi koledzy, choć teraz też są cywilnymi szczurami, odsłużyli swoje w jednostce ratunkowej NAVY. Pewnie to wiesz. Jesteśmy wszyscy z jednej bajki, chociaż teraz po dwóch różnych stronach. Mam dla ciebie dwie informacje. Pierwsza jest taka, że twoi dotychczasowi koledzy prawdopodobnie myślą teraz, że ich zdradziliście. Niestety, wiele świadczy przeciwko wam. Druga wiadomość jest

natomiast taka, że my proponujemy tobie i temu drugiemu układ. No, może nie uratuje on waszej reputacji, ale za to pozwoli dość wygodnie funkcjonować przez jakiś czas. Wszystko zależy od ciebie i od tego, co nam powiesz. Czas płynie, my mamy trochę innych zajęć, więc zastanów się szybko.

– A co, jeśli się nie zgodzę?

– Normalnie, my was za jakiś czas wypuścimy, a twoi pracodawcy pewnie was zlikwidują. Uwierz mi, bardzo niechętnie to zrobiliśmy, ale wszystko wygląda tak, jakbyście wyrolowali pana Angerera i spółkę. Raczej nie będą z wami dyskutować, zresztą sam wiesz, jak to w waszej branży funkcjonuje. To jak będzie? Czas ucieka, a my czekamy.

– Zaraz, zaraz, jakie wyrolowali? Przecież my nic nie zrobiliśmy, tylko wy nas zgarnęliście, właściwie nawet nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Już tłumaczę. W schowku, który mieliście otworzyć dzisiaj, znajdowała się pewna ilość, powiedzmy, cennych przedmiotów. Sprawa jest prosta: schowek jest już opróżniony, was nie ma, Polaka, którego pilnowaliście, też nigdzie nie ma. Pewnie się dogadaliście, zabraliście, co było schowane, i już. Zresztą dokumenty, które zostały na miejscu, mogą twoich zwierzchników zdrowo zdenerwować. Wynika z nich, co było w środku. Uwierz mi, sam bym się podkurwił, gdybym je zobaczył w pustej skrytce, a moi ludzie by zniknęli.

Powoli do Owena zaczęło docierać, że znalazł się w nie najlepszej sytuacji. Co prawda z tego, co ten facet mówił, wynikało, że chcą ich wypuścić. Ale nie to było problemem. Pracował już na tyle długo jako najemnik, by wiedzieć, jak w tym środowisku obchodzą się z ludźmi, którzy zdradzili swoich pracodawców.

– A jeśli się zgodzę na współpracę?

– To czeka ciebie i kolegę świetlana przyszłość. – Mark się zaśmiał, choć było wiadomo, że przyszłość będzie raczej dość trudna. – A tak na poważnie, to tak jak już mówiłem, pomożemy wam trochę. Teraz musisz tylko odpowiedzieć na pytania, które zada mój przyjaciel, no i odpowiedzi będą musiały się zgadzać z tym, co powie nam twój kolega.

Teraz do rozmowy włączył się Mat Flisak.

– Czego tak naprawdę szuka Angerer?

– Nie wiem, naprawdę – odparł szybko Owen. – Nie mówią nam wszystkiego, mieliśmy tylko ochraniać ekipę i zajmować się sprawami związanymi nie tyle z poszukiwaniami, ile z wszystkim dookoła. Sami rozumiecie, tu kogoś przypilnować, tam przekonać do współpracy. Ciebie mieliśmy porwać z parkingu przed hotelem.

– A skąd wiedzieliście, że tam będę?

– Dzień wcześniej, zaraz po waszym przylocie do Polski, ktoś z naszych włamał się do jednego z waszych pokoi hotelowych i sprawdził komputer. Był tam mail z datą i miejscem spotkania. Dalej sami wiecie.

– No to jedno już się wyjaśniło. To jest to, o czym od początku mówiłem, panowie: trzeba na wszystko uważać. – Mat spojrzął na zaskoczonych Amerykanów.

– Skąd wiedzieliście, że moi koledzy przylatują ze Stanów i gdzie się zatrzymają?

– To wszystko załatwiał Asher. Kiedyś pracował w FBI, ma niesamowite kontakty i wiele potrafi. Wyciągnął nas z policji bez żadnych problemów. To i o was się dowiedział, kiedy przylatujecie. Z tego, co usłyszałem, cynk, że przylatujecie, przyszedł z kraju, ale nic więcej nie wiem. Pewnie ktoś tam was pilnował.

– A kto jeszcze jest w waszej ekipie, chyba nie tylko sami silnoręcy?

– Są jeszcze Henry, spec od materiałów wybuchowych i rozminowania, Dylan, ten zna się na podziemiach i trochę robi tutaj za znawcę tematu, no i Aleks, ale jego najmniej znam. Prawie nie wychodzi ze swojego pokoju. Ma w nim porozstawiane jakieś urządzenia i pojemniki. Chyba jest Rosjaninem, ma taki dość dziwny akcent.

Mat spojrzął na czwórkę Amerykanów, nie było w tym spojrzeniu zdziwienia, raczej zaniepokojenie.

– Czegoś już szukaliście? Czy ten schowek u Gęckiego był pierwszy?

– Przedwczoraj weszliśmy do takiego starego budynku, właściwie ruiny, za ścianą był korytarz, a na jego końcu stalowe drzwi i chyba laboratorium. Zanim tam weszliśmy, Henry przez dłuższy czas demontował różne pułapki. Potem mówił, że choć mają koło siedemdziesięciu lat, wszystkie były sprawne.

– Co było w tym laboratorium i gdzie ono jest?

– Nic ciekawego, Angerer był wyraźnie zawiedziony. Wynieśliśmy tylko masę jakichś papierów. Potem Asher zlikwidował strażnika i wysadziliśmy wszystko w cholerę.

– Jakiego strażnika? Nic wcześniej nie mówiłeś.

– Taki jakiś miejscowy, Polak. Starszy facet, od przyjazdu jeździmy po okolicy i rozmawiamy z różnymi ludźmi. Asher i Jacob mówią po polsku, i to oni rozmawiają. Jest lista, a na niej kilkanaście nazwisk, po kolei je sprawdzaliśmy. Nie wiem, o czym rozmawiali, tylko mówili na nich „strażnicy”.

– Gdzie jeździliście do tych strażników?

– Ja byłem z Asherem tylko u trzech, tego, co to już mówiłem, u tego wczoraj i jeszcze u jednego w Glusyca, czy jakoś tak. Zresztą tam też był ten schowek, o którym już mówiłem, tylko on był na uboczu, po wschodniej stronie miasteczka. Pojechaliśmy do takiego dość dużego domu, ulica Pomorska cztery. To pamiętam dokładnie, bo dwa razy wpisywałem w nawigacji, duży, nowy dom. Asher wszedł do środka i dość długo rozmawiał, gdy wrócił, był zadowolony. Mówił, że to ktoś ważny i powinniśmy od niego zacząć. Nic więcej nie powiedział.

– Co było potem?

– Potem to nagle wybuchła sprawa z wami i mieliśmy ciebie porwać.

– To jest wszystko, co wiesz?

– Tak! Naprawdę! Możecie porozmawiać z Jacobem, ale on jeździł gdzie indziej i nie wszystko potwierdzi.

– W porządku, z nim też pogadamy, mam nadzieję, że będzie podobnie rozmowny. Na razie wracasz do piwnicy.

– A może by tak coś do picia? I do kibelka muszę. – Owen zrobił proszącą minę.

– Dobrze, ale później, musisz wytrzymać. – Ken i Jose zarzucili na głowę przesłuchiwanego worek i odprowadzili go do piwnicy. Wrócili z kolejnym delikwentem. Po jakimś czasie, podobnie jak jego kolega, zrozumiał swoją sytuację i zaczął mówić. W zasadzie potwierdził to, co mówił Owen, podał też adresy pięciu innych strażników.

– No i co wy na to, panowie? – Mat, który przesłuchiwał Amerykanów, miał już wyrobione zdanie o celu wyprawy Angerera juniora do Polski. – Chodzi prawdopodobnie o broń, i to niestety atomową. Ten cały Aleks z rosyjskim akcentem w zasadzie wyjaśnia sprawę. Nie ma chyba na co czekać, sami jesteśmy na to za mali, zresztą my mamy inne cele. Muszę się skontaktować z tym moim kolegą, o którym już wspominałem. Postaram się załatwić wszystko tak, żeby nikt się nas nie czepiał, ale różnie może z tym być. To jak, dzwonić czy udajemy, że to nie nasza sprawa?

Czwórka jego nowych znajomych spojrzała na siebie.

– Już kiedyś o tym rozmawialiśmy, jeszcze u nas, na Florydzie – odezwał się Mark. – Nie chcemy, żeby jakiś nawiedzony szajbus odpalił atomówkę gdziekolwiek na świecie. Trzeba zacząć działać. No oczywiście, jak się uda, to byłoby dobrze, gdybyśmy nie byli w nic zamieszani, i przydałoby się zachować wiedzę o skrytkach tylko dla nas.

– Myślę, że z tym drugim da się załatwić. Ale już wszyscy jesteśmy w to zamieszani, i pewnie jakichś rozmów ze smutnymi panami nie unikniemy. Ale spokojnie, najpierw zadzwonię do Warszawy. Z tego, co widzę, trzeba działać szybko. Kolejne dwie sprawy, panowie. Po pierwsze trzeba coś zrobić z naszymi gośćmi, zaprowadzić ich do łazienki, dać coś jeść i pić. Z łazienką nie będzie problemu, jest na dole taka stara, zapasowa, po kolei ich zaprowadzimy. Trzeba tylko z tym uważać, żeby któryś nie próbował być zbyt sprytny. Mark, zajmiesz się tym? Wiesz, jak się takimi sprawami zająć?

– Jasne, konwojowaniem terrorystów też się zajmowałem, to i z tymi nie powinno być kłopotu. Jose i Ken mi pomogą.

– Dobra, zabierzcie się za to, a ja z Paulem przygotujemy im coś do jedzenia i picia. Kolejna sprawa, to chyba trzeba pojechać do Głuszycy, pod ten adres na ulicy Pomorskiej. Z moich danych wynika, że w Głuszycy było dwóch strażników, nie wiedziałem tylko, że jeden z nich był kimś ważniejszym. Jak już się uporamy z potrzebami naszych gości, to trzeba będzie tam podjechać i poobserwować ten dom. Może porobimy jakieś zdjęcia. Przepraszam, że się tak rządzę, ale stare nawyki wzięły górę.

– W porządku, nie ma sprawy, ogarniasz problem, a to najważniejsze. – Mark, podobnie jak jego koledzy, nie miał pretensji do Polaka. – Załatwiamy sprawy po kolei.

– I jeszcze jedno, gdy zadzwonię do Warszawy, porozmawiam na głośnomówiącym po angielsku, tak byście wszystko zrozumieli i w razie czego mogli coś dodać. Niestety, nie da się pominąć waszego udziału w tym wszystkim. – Mat od razu wolał wyjaśnić niektóre kwestie.

– Rozumiemy, sprawy zaszły za daleko i teraz faktycznie trzeba działać. – Ken był wyrazicielem zdania całej ekipy.

Równo godzinę później, po nakarmieniu i oporządzeniu czwórki więźniów w piwnicy, po ponownym bardzo dokładnym sprawdzeniu stanu ich więzów, cała ekipa zebrała się w pracowni Mata Flisaka. Wyjął on jeden z telefonów z całej kolekcji trzymanej w sejfie i wybrał jedyny numer zapisany w jego pamięci. Po kilku sygnałach odezwał się tubalny głos podpułkownika Adama Marczyńskiego.

– Niemożliwe, stary szpieg przypomniał sobie o dawnym koledze. Co, już cię uwiera emerytura?

– Witaj, Adaś, kopę lat. Jak tam, dalej hodujesz brzuch na ciepłym stołku?

– Stanowisko odpowiedzialne, to i postura musi być odpowiednia. No mów, z jaką sprawą dzwonisz, bo jeśli z tego numeru, to raczej nie jest to zaproszenie na wódkę i panienki. – Podpułkownik Marczyński, jeden z wyższych oficerów

Departamentu Informacyjnego, pomimo stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, słusznej wagi i wyglądu poczciwego wielkoluda, był jednym z najinteligentniejszych oficerów, z jakimi zetknął się w swoim zawodowym życiu Flisak. Zaprzyjaźnili się wiele lat temu, przy jednej z operacji prowadzonych w Afryce Północnej. Choć pracowali w dwóch różnych departamentach, które czasami ze sobą ostro rywalizowały, akurat oni wyjątkowo przypadli sobie do gustu. Przez wiele lat współpracy, a potem przyjaźni wyrobili sobie przekonanie, że jeden na drugiego zawsze może liczyć w każdej sprawie, od tych najbardziej błahych, związanych czasem z życiem codziennym. To Marczyński pomagał w przeprowadzce przyjaciela z Warszawy do Walimia, gdy Mat Flisak przechodził na emeryturę spowodowaną ranami odniesionymi w czasie jednej z bliskowschodnich operacji. Z Kolei Mat natychmiast zjawił się w Warszawie, gdy tylko dowiedział się, że przyjaciel ma problemy osobiste. Niejedna wspólnie przegadana noc, często gęsto przy sporej ilości trunków, wspólne zainteresowania i przede wszystkim oddanie pracy sprawiły, że stali się sobie bardzo bliscy. Ufali też sobie w sprawach daleko wykraczających poza życie prywatne, a związanych z mętnymi wodami wywiadu, w których pływali wspólnie przez lata. Nawet teraz, gdy jeden z nich był już na emeryturze, czasami kontaktowali się nieoficjalnie, stąd ten aparat telefoniczny wyglądający na zwykłą komórkę, będący faktycznie czymś o wiele bardziej zaawansowanym. Zdarzało się, że Mat Flisak, oczywiście nieformalnie, odnawiał swoje dawne kontakty, jeśli przyjaciel z Warszawy potrzebował pomocy. Działo to też w drugą stronę, i właśnie wydarzenia z ostatnich dni i godzin stały się powodem rozmowy.

– Masz trochę czasu? Bo sprawa jest raczej obszerna.

– Wiesz, że na moim stanowisku nigdy nie ma zbyt wiele czasu. – Choć słowa były wypowiedziane bardzo poważnie, jednak nie zmyliły Mata. – Ale pieprzyć to, dla ciebie zawsze mam czas. Mów, co się urodziło i jak mogę pomóc.

– Na początek chcę poprosić, byśmy przeszli na angielski, przełączę też na głośnomówiący, są obok mnie moi nowi znajomi z Ameryki i to właściwie z ich powodu dzwonię.



Po króciutkiej chwili milczenia podpułkownik Marczyński odezwał się angielszczyzną rodem z ekskluzywnej uczelni w Wielkiej Brytanii. Ta chwila wahania, prawie niezauważalna, była spowodowana błyskawicznym przypomnieniem sobie danych czwórki amerykańców, o których rozmawiał parę tygodni wcześniej z emerytowanym przyjacielem. Ci ostatni oczywiście nie musieli tego wiedzieć, jednak zanim Marcin, Mat Flisak, nawiązał z nimi bliższy kontakt, zostali oni przez niego sprawdzeni właśnie przy pomocy Marczyńskiego.

– Słucham, panowie, w czym mogę pomóc?

Mówił głównie Flisak, choć pozostali też uzupełniali informacje, które udało im się zdobyć. Już po pierwszych zdaniach oficer wywiadu wiedział, że sprawa jest nie tylko poważna, ale i nagła. Mogła okazać się jedną z poważniejszych na przestrzeni ostatnich lat i na pewno wymagała specjalnej operacji, która – jak to zwykle bywa przy tego rodzaju nagle wybuchających akcjach – musi być zmontowana natychmiast, i to przy wsparciu szefostwa, którego nie można było tu pominąć. Co prawda już od jakiegoś czasu bardzo ostrożnie prowadzone były działania, których załączkiem stała się rozmowa z Flisakiem na temat jego amerykańskich przyjaciół. Marczyński nie mógł sobie pozwolić na zbagatelizowanie informacji, które uzyskał od przyjaciela. Ten zresztą domyślał się, że tak będzie. Jednocześnie podpułkownik cały nacisk położył na sprawy związane z ewentualnymi magazynami broni, czy nawet laboratoriami, pozostawionymi przez Niemców na terenie Dolnego Śląska. Kwestie związane z depozytami dzieł sztuki czy innych precjozów, też ważne z punktu widzenia państwa, były na razie drugorzędne. Flisak wiedział również o tym, że część interesujących ich precjozów, zwłaszcza dzieł sztuki, nie opuści Polski. Wspomniał już zresztą o tym Amerykanom i ci o dziwo przyjęli to ze zrozumieniem. W oczach Mata świadczyło to tylko dobrze o czwórce zza oceanu, nie byli pazerni. Zresztą to, co już mieli, było prawdziwą fortuną, i nikt nie musiał o tym wiedzieć.

## 42

Attaché prasowy ambasady Izraela w Polsce Ariel Wajland obudził się z okropnym bólem głowy. Przez chwilę nie wiedział, co sprawiło, że nagle istnienie zaczęło docierać do niego z całym swoim bólem i okrucieństwem, ogniskującym się na uporczywie dzwoniącym telefonie. Przez moment miał ochotę cisnąć natrętem o ścianę. Jednak lata doświadczenia, poczucie obowiązku, czy jak to w ogóle się nazywało, zmusiły go do uniesienia głowy i sprawdzenia, kto o tak nieludzkiej porze – dochodziła jedenasta przed południem – budzi steranego uczestnika bankietu dla przedstawicieli mediów. Gdy spojrział na wyświetlacz, od razu wiedział dwie rzeczy. Po pierwsze trzeba natychmiast wracać do świata i jego okropności, po drugie takie telefony się odbiera.

– Słucham. – Musiał odchrząknąć, bo pierwsze słowo wyszło jakoś niewyraźnie i chropowato. – Słucham, w czym mogę pomóc panu pułkownikowi?  
– Teraz zabrzmiało to o wiele lepiej.

– Czyżbym słyszał w głosie pana attaché trudy pracy związane z wczorajszym bankietem po wręczeniu nagród Grand Press?

– Oczywiście, w takim kraju jak wasz wszelkie bankiety mogą być zabójcze dla tych, którzy są w stanie wypić mniej niż wiadro. A tak na serio, to co spowodowało, że jeden z asów wywiadu dzwoni do prostego pismaka z ambasady zaprzyjaźnionego kraju?

– Nieprzeparta chęć spotkania się z tobą, i to jak najszybciej.

Od tego momentu obaj wiedzieli, że to już nie jest prywatna rozmowa.

– W porządku, gdzie i kiedy chcesz zobaczyć moje zapracowane, zbolące oblicze?

Sprawa musiała być ważna, jednak nadal trzymali się żartobliwej konwencji, trochę dla tych wszystkich, którzy mogli słuchać ich rozmowy, a trochę dlatego, że znali się od paru lat, wzajemnie się szanowali i lubili. Nieraz przyszło im się też spotkać na gruncie towarzyskim, gdzie powstała między nimi nić sympatii, niezmacona nawet tym, że po każdym spotkaniu obaj musieli pisać raporty z jego przebiegu.

– Powiedzmy, za dwie godziny w Niewinnych Czarodziejach na Złotej. – Podpułkownik Marczyński był znany z tego, że lubił dobre lokale, zresztą to samo wiedział o swoim rozmówcy.

– Oczywiście, będę. Do zobaczenia. – Ariel Wajland zakończył rozmowę i pomyślał: „o ile dożyję”.

W Polsce pracował już od siedmiu lat i nadal nie potrafił się przyzwycząić do kaca, który nader często towarzyszył jego porankom. Taka praca, można było powiedzieć, attaché prasowy musiał uczestniczyć w różnego rodzaju przyjęciach, bankietach i imprezach. Brać dziennikarska na całym świecie znana była raczej z braku wstrzemięźliwości w picciu. Jednak on, etatowy pracownik Mosadu działający pod przykrywką dyplomatyczną, powinien być bardziej odporny na tego typu przypadłości. „Powinni z tego też nas szkolić” – pomyślał. W końcu jednak wstał, zachwiał się i poszedł pod zimny prysznic, tylko taki mógł go postawić szybko na nogi.

Zanim obolały pracownik ambasady Izraela został brutalnie, przynajmniej w jego mniemaniu, obudzony dzwonkiem telefonu, w centrali Agencji Wywiadu na ulicy Miłobędzkiej rozpętała się mała burza. Po rozmowie z Marcinem Flisakiem podpułkownik Marczyński spotkał się najpierw ze swoim przełożonym. Na tę rozmowę zabrał ze sobą zgromadzoną już dokumentację dotyczącą sprawy o kryptonimie „Kirasjer”. Wbrew temu, co zarzucał mu jego przyjaciel Marcin Flisak, prowadzone od dwóch miesięcy prace przyniosły całkiem konkretne rezultaty.

Gdy ponad dziewięć tygodni temu emerytowany agent Departamentu Operacyjnego przekazał informacje na temat swojej rozmowy telefonicznej z niejakim Kenem Morisonem, wykładowcą historii w Orlando, sprawa znalazła się w orbicie zainteresowania wywiadu. Od wielu lat trwały działania dotyczące tego, co działo się na terenie Dolnego Śląska w czasie drugiej wojny światowej. Pierwsze operacje podjęto zaraz po zakończeniu wojny, potem kontynuowano je w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Przy czym koncentrowały się one przede wszystkim na poszukiwaniu wartościowych depozytów ukrytych na tym terenie przez Niemców. Przez całe dekady nie tylko opinię publiczną, ale również wywiad elektryzowały poszukiwania i różnorodne informacje na temat „złota Wrocławia”, Bursztynowej Komnaty czy innych tego typu skarbów. Czasem takie poszukiwania kończyły się sukcesem, lecz wywiad wolał się tym nie chwalić.

Na drodze do pełnego sukcesu stały jednak upływający czas, brak dokumentacji, milczenie nielicznych świadków, niechęć okolicznej ludności do dzielenia się informacjami. To ostatnie wynikało po części ze strachu, po części z niechęci do organów władzy, zwłaszcza w epoce przez niektórych nazywanej „słusznie minioną”. Pomimo tych trudności udało się jednak co nieco ustalić. Zlokalizowano i otworzono niektóre schowki. Jednocześnie niektórzy tak zwani strażnicy zostali zidentyfikowani i znaleźli się pod dyskretną obserwacją. Paru nawet „przekonano” do zmiany pracodawcy. Jednak poszukiwania najcenniejszych przedmiotów, takich jak zaginione dzieła sztuki czy depozyty Banku Rzeszy, nadal pozostawały niewykonalne. Przy czym należy pamiętać, że w okresie zimnej wojny wywiad miał raczej inne priorytety, a im więcej czasu upływało od zakończenia wojny, tym trudniej było znaleźć świadków czy osoby wiedzące cokolwiek na temat skrytek lub depozytów.

Jednocześnie całymi latami prowadzono operacje mające na celu ostateczne rozpoznanie działań Niemców związanych z różnego typu pracami naukowymi na badanym terenie. Podobnie sprawa się miała z poszukiwaniem niemieckich fabryk, laboratoriów czy magazynów broni. Tutaj bardzo mocno angażowali się Rosjanie, którzy zaraz po wojnie praktycznie odcięli swoich sojuszników od tego

tematu. Oczywiście polski wywiad próbował po cichu drażyć sprawę, choć tylko w ograniczonym stopniu. Wiadomo było, że coś jest – dobrze ukryte i zamaskowane, tylko nie wiadano, co i gdzie.

Po zmianach, jakie zaszły w Polsce i Europie na początku lat dziewięćdziesiątych, wznowiono poszukiwania. Właśnie wtedy Marcin Flisak, biorąc udział w jednej z takich operacji, zainteresował się na poważnie tematyką związaną z Riese. Sprawą zaczęły się też coraz bardziej interesować różne państwa, przede wszystkim Rosja, USA, Wielka Brytania, Niemcy, oraz rozmaite organizacje terrorystyczne. Posiadając kontakty w podobnych ugrupowaniach na całym świecie, ich emisariusze trafili w końcu na tropy prowadzące do pozostałości kompleksu naukowo-przemysłowego Trzeciej Rzeszy. Terrorysty liczyli na pozyskanie broni, która umożliwi im spektakularne działania. Dowodem na tego typu praktyki był zamach w tokijskim metrze w 1995 roku, kiedy to istniały poważne przesłanki, że gaz sarin, którego wtedy użyto, pochodził właśnie z terenów Dolnego Śląska. Wszystko to mogłoby się wydawać niemal fantastyczne, gdyby nie było w tym ziarna prawdy.

Informacje od przyjaciela podpułkownika Marczyńskiego były tylko jednym z elementów układanki, który wskoczył we właściwe miejsce. Sprawa była ważna i delikatna, ponieważ dotyczyła broni atomowej. Państwo polskie zawsze oficjalnie popierało układ o nierozprzestrzenianiu tego typu uzbrojenia, ograniczenie lub nawet likwidację istniejących arsenałów. Jednak pokusa posiadania atomowego argumentu była naprawdę wielka. Nawet w okresie funkcjonowania w ramach Układu Warszawskiego, w latach siedemdziesiątych, prowadzono na tym polu bardzo pilnie strzeżone działania, skrzętnie ukrywane przede wszystkim przed „sojusznikami”, zwłaszcza z ZSRR.

Teraz znowu pojawiła się okazja przejęcia broni nuklearnej, a to dawało spore możliwości polityczne na arenie międzynarodowej. Nawet nieoficjalne wejście do grona państw nuklearnych bardzo mocno zmieniłoby pozycję kraju. Rozumiało to kierownictwo wywiadu, rozumieli to, o dziwo, nawet decydenci państwowi. Niektórzy aż przebierali nogami na myśl o mocarstwowości. Większość z nich nie

zdawała sobie sprawy z tego, jakie mogło to mieć konsekwencje dla kraju. Wielu z nich, robiąc błyskawiczne partyjne kariery zgodnie ze starą zasadą „nie matura, lecz chęć szczerą...”, po prostu nie dorastało do tego typu decyzji. Na szczęście było jeszcze paru fachowców, zwłaszcza w tak zwanych służbach, którzy potrafili rozsądnie podejść do problemu. Wśród nich zdania też były podzielone, jednak opcja posiadania ładunków nuklearnych miała więcej zwolenników. Przy czym wszystkie rozmowy były prowadzone w naprawdę nielicznym gronie.

Oczywiście wszelkie działania musiały być bardzo ostrożne i dyskretne, bo między wzmocnieniem państwa a jego kompromitacją na arenie międzynarodowej granica była bardzo cienka. Wstępnie ustalono, że nawet jeśli broń zostanie zachowana przez polską stronę, politycy nie powinni o tym wiedzieć, przynajmniej na razie. Pachniało to trochę zdradą stanu, jednak w obliczu jakości aktualnej klasy politycznej raczej nie było innego wyjścia.

O tym wszystkim wiedział podpułkownik Marczyński, któremu ze względu na kontakty z Flisakiem powierzono kierowanie działaniami. Choć był najniższy stopniem spośród dopuszczonych do tajemnicy, cieszył się całkowitym zaufaniem jako fachowiec i osoba całkowicie oddana służbie. Nieoficjalnie mówiło się też od jakiegoś czasu, że jest jednym z kandydatów do pełnienia kierowniczych funkcji w Agencji.

Do dziś wszystko obracało się właściwie w kręgu domniemań. Jednak najświeższe informacje diametralnie zmieniały sytuację, status operacji i charakter podejmowanych działań. Wiedzano przy tym, że polska strona może nie dać rady sama zrealizować swojego planu. Potrzebny był sojusznik. Idealnie nadawał się właśnie Izrael. Przemawiało za nim wiele czynników. Przede wszystkim wzajemne stosunki pomiędzy obiema służbami, które były więcej niż dobre, wbrew oficjalnym poglądom. Zarówno Polska, jak i Izrael oficjalnie za głównego sojusznika uznawały Stany Zjednoczone, jednak na poziomie współpracy wywiadowczej już nie było to takie oczywiste.

Kolejną kwestią było geopolityczne położenie obu państw, które wręcz wymuszało posiadanie jakiegoś straszaka zapewniającego bezpieczeństwo. Izrael,

choć nieoficjalnie, miał coś takiego już od wielu lat, Polska również nie pogardziłaby czymś takim. A skoro nadarzała się okazja, to czemu nie? Dodatkowo jedna i druga strona posiadała informacje, którymi mogła się wymienić, co dawało już solidne podstawy do współpracy.

O umówionej godzinie w Niewinnych Czarodziejach pojawił się najpierw Marczyński, a chwilę po nim przyszedł Ariel Wajland. Zajęli stolik w głębi sali, tak by nie rzucać się w oczy. Było to dla nich niemal odruchowe zachowanie.

– Cóż spowodowało twoją chęć rozmowy ze specjalistą od kontaktów z prasą? Wydaje mi się, że twoja firma ma już rzecznika prasowego. – Izraelczyk zaczął dość swobodnie, chociaż wiedział, że sprawa musi być poważna. Rozmawiali po polsku, językiem, w którym Wajland został wychowany, choć urodził się w Izraelu.

– Żeby nie było między nami niedomówień, Ari, ja wiem, czym ty się zajmujesz. Ty wiesz, czym ja się zajmuję. Dotąd całkiem nieźle wychodziło nam udawanie i niewchodzenie sobie w paradę, ale sytuacja stała się dość nagląca.

– W porządku. – Izraelczyk od razu spoważniał. – Nie pytam, dlaczego to nie idzie oficjalnymi kanałami. Zdaję sobie sprawę, że nie może. O co chodzi, Adam?

– Rolf Angerer, właściciel Angerer Construction Group, niemieckie badania nad bronią atomową z czasów drugiej wojny światowej. No i sama broń. Przekaż to swoim zwierzchnikom w Izraelu. Dodaj, że jesteśmy gotowi do daleko idącej współpracy, tylko jak najszybszej. Sprawa właśnie się toczy i nabiera rozpędu. A tak przy okazji wspomnij również o organizacji Siły Jednego Boga, to powinno jeszcze bardziej wszystko przyśpieszyć. – Podpułkownik Marczyński rzucił tylko hasła, wiedział, że zostaną właściwie odczytane.

Jednocześnie dawał do zrozumienia, że strona polska, zawsze mająca dobre kontakty na Bliskim Wschodzie, wie więcej, niż może się wydawać. Informacja o spotkaniu w Dubaju Karla Angerera z szejkiem Farahem ibn Salehem al-Husajnem początkowo została uznana za mało istotną. Agencja Wywiadu po prostu ją odnotowała, jak wiele podobnych. Tym bardziej że obu rozmówców

łączyły liczne interesy. Zaciekawienie wzbudził dopiero fakt, że po raz pierwszy spotkali się sami, bez współników, a przy rozmowie nie był obecny żaden asystent. To odbiegało od normy, wszystkie zaś tego typu zachowania automatycznie budziły zainteresowanie. Zwłaszcza że wiedziano o nazistowskich inklinacjach amerykańskiego przedsiębiorcy niemieckiego pochodzenia. Wiedziano również o kontaktach szejka z ugrupowaniem terrorystycznym, które aspirowało do stania się liderem w bliskowschodnim świecie tego typu organizacji. Co prawda informacji nie nadano biegu, ale już przyjazd do Polski Karla Angerera wraz z całą ekipą ludzi, ich ulokowanie się na Dolnym Śląsku, dość nieporadne działania zmierzające do ukrycia celu wyprawy wzbudziły automatycznie zainteresowanie Agencji. Do tego informacja od Flisaka o nawiązaniu znajomości z Amerykanami, którzy weszli w posiadanie bardzo interesującej dokumentacji. Wszystko to zebrane razem uruchomiło operację o kryptonimie „Kirasjer”, która z godziny na godzinę stała się jedną z najważniejszych spraw prowadzonych przez Agencję Wywiadu.

– Jeszcze dzisiaj skontaktuję się ze zwierzchnikami. Może jednak powiesz mi coś więcej?

– Na razie tyle, jeśli twoi będą zainteresowani, a myślę, że tak, omówimy szczegóły. Sprawa już się toczy, moi ludzie działają. Wprawdzie moglibyśmy wszystko załatwić sami, jednak to dotyczy również was.

Rozeszli się jeszcze przed wypiciem kawy, dopiero co przyniesionej przez kelnera.

Po wyjściu z restauracji Ariel Wajland natychmiast ruszył z piskiem opon w kierunku ambasady. Nie przejmował się za bardzo przestrzeganiem przepisów, liczył na to, że południowa pora pozwoli mu uniknąć utknięcia w korku. Na miejscu od razu udał się do pomieszczeń łączności, gdzie zażądał natychmiastowego połączenia z centralą. Musiał przy tym użyć wobec oficera zajmującego się szyfrowanymi połączeniami trochę szantażu, trochę przekupstwa. Tradycyjnie miałyby czekać na swoją kolej, bo zawsze były pilniejsze meldunki do wysłania, ale obietnica przekazania tylko jemu zdjęć z ostatniej imprezy



w ambasadzie wystarczyła. Zdjęcia jak to zdjęcia, mogły być różnie zinterpretowane, zwłaszcza przez małżonkę łącznościowca, który nie krył na nich zainteresowania pewną sekretarką z działu wizowego. Po pokonaniu tej przeszkody, zaszyfrowaniu tekstu i jego wysłaniu pozostało tylko czekać na odpowiedź.

\*\*\*

Zaszyfrowana wiadomość z ambasady w Warszawie, z dopiskiem „Pilne”, dotarła na odpowiednie biurko w centrali wywiadu w Tel Awiwie stosunkowo szybko. Jednak młody oficer, który się tym zajmował, był w pewnym sensie genetycznie uwarunkowany na zwracanie uwagi przede wszystkim na sprawy bliskowschodnie. Wiadomość z Europy, z Warszawy, gdzie z punktu widzenia wywiadu izraelskiego obecnie nie działo się nic ważnego, nie zasługiwała na to, by zaraz z nią biec do zwierzchnika. Wystarczyło ją dołączyć do popołudniowego briefingu, który miał się odbyć za cztery godziny. Młody człowiek nie wiedział, że ta decyzja zapewni mu najbliższą przyszłość w urokliwej, choć zapyziałej jednostce na Wzgórzach Golan. Przekonał się o tym właśnie za cztery godziny.

– Dlaczego depezę z dopiskiem „Pilne” otrzymuję dopiero teraz? Godzina odbioru jest całkiem inna niż obecna. – Pułkownik Saphir znany był nie tylko z tubalnego głosu, przede wszystkim z tego, że spod jego ręki wychodzili świetni oficerowie. O losie tych, którzy nie byli świetni i zawiedli pułkownika, młody porucznik za chwilę miał się dowiedzieć. – Jeśli depesza opatrzona jest słowem „Pilne”, ma być dostarczona natychmiast.

– Uważałem, panie pułkowniku, że skoro przyszła z Warszawy, a tam ostatnio nic ciekawego się nie dzieje, to...

– To CO? – Tym razem nie był to już tylko tubalny głos. To był ryk wściekłego lwa. – Ty nie jesteś od podejmowania decyzji, tylko od myślenia. Jeśli przyjdzie depesza z burdelu w Kairze, z informacją, że panienki nie wykazują zbyt dużego entuzjazmu w pracy, a jest opatrzona sygnaturą „PILNE”, to widocznie jest to pilna wiadomość, którą PILNIE mam dostać! – Pułkownik nagle się

uspokoił, co jeszcze bardziej przestraszyło młodego porucznika. – Teraz, synu, udasz się do kadr, przedstawisz się i powiesz, że pułkownik Saphir przysyła cię po nowy przydział do jak najbardziej gównianej jednostki na terenach okupowanych. – To mówiąc, odwrócił się od młodego oficera, którego kariera już go nie interesowała.

Ten ostatni raz spojrzął na plecy byłego już szefa i po cichu opuścił gabinet.

W tym czasie pułkownik Saphir już podnosił telefon, by skontaktować się ze swoim kolegą odpowiedzialnym za infiltrację grup terrorystycznych.

– Witaj, Eitan. Chyba mam dla ciebie coś, co się wkomponowuje w sprawę, którą się ostatnio zajmujesz. Możesz wpaść? Tak, no to czekam.

Pułkownik Eitan Pozner od dłuższego już czasu zajmował się stosunkowo młodą, ale bardzo ambitną i mającą możnych protektorów organizacją Siły Jednego Boga. W wyniku działań operacyjnych przed kilkoma tygodniami udało się zdobyć sensacyjną informację o możliwości posiadania przez terrorystów broni atomowej. Początkowo wieści, które przysły z komórki w Nablusie, uznano za niemal fantastyczne. Jednak dalsze informacje, tym razem z USA, z rozpracowywania niejakiego Rolfa Angerera, bogatego przedsiębiorcy i jednocześnie zakamuflowanego wielbiciela nazizmu, zaczęły się zazębiać. Do tego obserwacja szejka Faraha ibn Saleha al-Husajna, który był podejrzany o sprzyjanie terrorystom. Wszystko to zebrane razem zaczęło dawać coraz bardziej mroczny obraz nadchodzącej przyszłości.

Gdy Pozner skonfrontował swoją dotychczasową wiedzę z informacjami przekazanymi przez Polaków, poczuł nieprzyjemne mrowienie i co mu się nieczęsto zdarzało – strach.

– Musimy się skontaktować z Warszawą. Masz tam kogoś bystrego? Takiego, co sam pociągnie operację w terenie, bez prowadzenia za rączkę.

– Jest tam młody Wajland. – Dla ponad sześćdziesięcioletniego Saphira każdy agent, który nie przekroczył jeszcze pięćdziesięciu lat, był „młody”. – Wiesz, syn

Dawida – wspomniał ich dawnego kolegę, jednego z najlepszych oficerów, jakich miał Mosad.

– No, jeżeli jest tylko w połowie tak dobry jak ojciec, to mnie uspokoiłeś.

– Jest, i da radę. A o co właściwie chodzi, bo wyglądasz na spiętego? Wiem tylko, że sprawa tej nowej organizacji szejka al-Husajna mocno leży ci na sercu.

– Dowiesz się na odprawie u starego, pewnie jeszcze dzisiaj, zaraz do niego idę.

Od tego momentu sprawy w Izraelu również zaczęły przyśpieszać. Pomimo popołudniowego upału, klimatyzacji działającej tak sobie, zmęczenia całym dniem pracy wyżsi oficerowie zebrali się w gabinecie szefa na pilną, nieplanowaną wcześniej naradę. Informacje, które im przekazano, spowodowały, że upał przestał być dokuczliwy. Niektórzy pomyśleli nawet, że stara klimatyzacja zaczęła nagle jakoś mocniej działać, bo zrobiło im się zimno. Natychmiast podjęto decyzję o wysłaniu w trybie pilnym specjalnej grupy do Warszawy oraz zatwierdzono plan działania przedstawiciela Mosadu na miejscu w Polsce. Po tej treściwej, choć stosunkowo krótkiej naradzie dowódca Mosadu dyrektor Josi Lotz podniósł słuchawkę i połączył się ze swoim odpowiednikiem w Agencji Wywiadu w Polsce. Jego telefon nie wzbudził zdziwienia, był wręcz oczekiwany.

# 43

Po rozmowie z kolegą z Mosadu podpułkownik Marczyński wrócił do siedziby firmy przy ulicy Miłobędzkiej. Teraz najpilniejszą sprawą było zmontowanie operacji, która pozwoliłaby śledzić, a w kulminacyjnym momencie przejąć to, co uda się wydobyć ze starych niemieckich magazynów grupie Angerera. Wprawdzie operacja toczyła się już od jakiegoś czasu, ale jej gwałtownie przyspieszenie sprawiło, że ludzie, którzy byli zaangażowani w działania, nagle przestali wystarczać. Trzeba było pomyśleć o wielu sprawach naraz. Od specjalnej grupy, która nie tylko będzie w stanie śledzić, ale w razie konieczności także przejąć wydobyte ładunki nawet w sposób siłowy, po specjalistów od broni atomowej, i to w jej dość archaicznym wydaniu. Tutaj był największy problem, po prostu takich ludzi nie było. Marczyński miał nadzieję, że Izraelczycy przyślą odpowiednich specjalistów, przygotowanych do ewentualnego rozbrojenia i zabezpieczenia ładunku.

Potem, gdy wszystko się uda, trzeba gdzieś cały ten kram umieścić, zająć się zatrzymanymi Amerykanami, przygotować maskowanie całej operacji, tak by nikt postronny o niczym się nie dowiedział. Te i wiele innych spraw dawały Marczyńskiemu pewność, że najbliższe dni będą nie intensywne, ale wręcz zabójcze. Miał tylko nadzieję, że nie dosłownie. Cały czas istniało jednak niebezpieczeństwo detonacji ładunku lub wycieku radioaktywnego, nikt przecież nie mógł przewidzieć, w jakim będzie stanie po niemal siedemdziesięciu latach od wyprodukowania. Podpułkownik skontaktował się wprawdzie z działem technicznym w firmie, przeprowadził szybką rozmowę z pirotechnikami, jednak

po pierwsze nie mógł im zbyt wiele wyjawić, po drugie oni nawet teoretycznie nie byli w stanie nic konkretnego powiedzieć.

Wiedział, że zanim jego ludzie dotrą do Głuszycy, sprawą musi się zająć Flisak i jego Amerykanie. Właśnie oni trochę niepokoiłi podpułkownika. Co prawda byli już sprawdzeni i nic nie wskazywało na ich powiązania ze służbami specjalnymi, ale do końca nigdy nic nie wiadomo. Na razie jednak musiał im zaufać. O Marcina Flisaka się nie bał, choć emerytowany, to był nadal świetny specjalista, jeden z najlepszych oficerów operacyjnych, jakich spotkał w życiu. Szkoda, że facet odszedł na wcześniejszą emeryturę, ale z drugiej strony po tym, co działał, należała mu się jak nikomu innemu.

Praktycznie całe popołudnie zeszło na organizowaniu ludzi i zalegendowaniu operacji – oficjalnie chodziło o śledzenie grupy terrorystycznej, która nagle wypłynęła na południu Polski. Choć tajemnica musiała być ścisła, do wieczora krąg ludzi wiedzących o operacji „Kirasjer” stał się całkiem pokaźny. Na szczęście nie wszyscy musieli znać jej wszystkie aspekty. Po południu grupa specjalna składająca się z jedenastu agentów wyleciała wojskowym samolotem do Wrocławia, tam mieli się przesiąść do samochodów i dojechać na miejsce, przy okazji skontaktować się z Marcinem Flisakiem. Dowódca grupy, podobnie jak paru jego ludzi, znał bardzo dobrze byłego agenta. Powinno to ułatwić współpracę, a właściwie przejęcie kontroli nad działaniami. Jednocześnie do Walimia jechała druga ekipa, która miała się zająć Amerykanami i ich gospodarzem. Mieli ich przesłuchać i odizolować, tak na wszelki wypadek.

Wieczorem wreszcie przyszły wiadomości z Izraela. Przede wszystkim Mosad był zainteresowany współpracą, już wysłał grupę odpowiednio przeszkolonych specjalistów, którzy mieli pomóc w zabezpieczeniu głowic atomowych. Na razie wsparcia miał udzielić Ariel Wajland, który z naprędce zorganizowaną ekipą też już jechał w kierunku Dolnego Śląska, gdzie miał się skontaktować z polskimi agentami. Po załatwieniu najpilniejszych spraw podpułkownik Adam Marczyński wziął służbowy samochód z najbardziej zaufanym kierowcą i postanowił się zdrzemnąć w czasie nocnej jazdy do Walimia, gdzie miał się spotkać

z „poszukiwaczami skarbów”, jak już zaczął w myślach nazywać Marcina i jego amerykańskich kolegów.

\*\*\*

Po fatalnym poranku, gdy wyszło na jaw, że schowek został opróżniony przez zdrajców, którymi okazali się jego ludzie, Karl Angerer, nadal wściekły do granic wytrzymałości, jechał na czele małej kawalkady do Głuszycy. Listopadowa ponura pogoda nie sprzyjała poprawie nastroju. Co prawda nie okazywał już wściekłości, ale jego ponure spojrzenie mówiło wszystko. W samochodzie panowała grobowa atmosfera, Asher wolał nie podejmować żadnego tematu, dając tym samym szefowi czas na ochłonięcie.

Były agent FBI też był więcej niż zaskoczony postawą swoich ludzi. Choć z drugiej strony wiedział też, że każdy ma gdzieś swoją granicę lojalności. A w odkrytym schowku faktycznie musiała być spora ilość złota, przynajmniej tak wynikało z odnalezionych papierów. Zastanawiało go tylko to, że we wszystko zamieszani byli też Bruno i Andreas, widocznie od samego początku musieli być nielojalni. Ale dlaczego zaraz nie zabrali się do opróżniania schowków, tylko nadal działali w Stanach? Dopiero nagły przyjazd do Polski ich do tego zmusił. Do tego ów strażnik, z którym od początku były kłopoty, wszystko to składało się na jedną z tych sytuacji, których nie dało się przewidzieć. Nie zmieniało to jednak faktu, że czuł się za to odpowiedzialny. Wiedział też, że kolejnym zleceniem, które otrzyma, będzie odnalezienie zdrajców i ich likwidacja. Co do tego nie miał wątpliwości, Angerer senior w takich sytuacjach nie przebierał w środkach, junior zresztą też odebrał to jako osobistą zniewagę. Dlatego zrobią wszystko, by dopaść całą czwórkę, a pewnie też strażnika.

Na razie jednak trzeba było się skupić na kolejnym miejscu. Miał nadzieję, że tym razem wszystko pójdzie bez większych problemów, choć nadal w tyle głowy miał też sprawę tego całego Flisaka i „nurków”, którzy również krążyli gdzieś po okolicy, szukając tego samego co oni. Asher uważał za błąd, że nie objęto

obserwacją tej konkurencyjnej ekipy, jednak to nie on podejmował ostateczne decyzje.

Droga do Głuszycy nie zajęła im wiele czasu, szybko dotarli pod dom, w którym mieszkał kolejny strażnik. Tym razem nie zamierzali się cackać, zwłaszcza że Karl Angerer chciał jak najszybciej zakończyć całą sprawę sukcesem. Zaparkowali pod samą bramą prowadzącą do okazałego, nowego budynku. Natychmiast do płotu podbiegły dwa duże psy, nie szczekały, tylko uważnie obserwowały intruzów. Już samo to było sygnałem, że nie można ich lekceważyć, zresztą ich wygląd, muskularna budowa i pokazywane od czasu do czasu kły dobitnie to podkreślały. Asher wiedział z poprzedniej wizyty, że nie tylko psy pilnują gospodarstwa, są tu również sprytnie ukryte kamery monitoringu. Ostatnim razem jedną udało mu się zlokalizować, podejrzewał jednak, że było ich więcej. Niestety znowu mieli pecha, nikt nie otwierał, psy, coraz bardziej nerwowe, biegały wzdłuż ogrodzenia, a oni musieli czekać na pojawienie się gospodarza. Kolejne niepowodzenie Karl przyjął zaskakująco spokojnie.

– Umówiłem się z nim na popołudnie, szefie, może go nie być.

– W porządku, poczekamy, mam tylko nadzieję, że tym razem wszystko pójdzie w miarę gładko. – Nie odzywając się więcej, Karl usiadł na przednim fotelu w samochodzie i przymknął oczy. Jak się okazało, musieli czekać ponad dwie godziny.

Właściciel domu przyjechał od strony Głuszycy. Zdziwiony widokiem ludzi czekających pod bramą jego domu nieco się spocił. Odetchnął dopiero, gdy zobaczył Ashera.

– Mieliście być po południu.

– Wiem, ale plany nieco uległy zmianie. Możemy wszystko załatwić teraz.

– W porządku. Widzę, że tym razem przyjechało was znacznie więcej. Rozumiem, że chcecie od razu przejść do rzeczy. Proszę do środka, psów się nie bójcie, przy mnie nic wam nie zrobią. – To powiedziawszy, gospodarz wydał

krótkie polecenie obu czworonożnym strażnikom. Psy natychmiast odeszły na bok, jednak cały czas czuwały, czekając tylko na to, co dalej każe im pan.

Cała siódemka gości bez słowa weszła do domu. Gospodarz zaprowadził ich do okazałego salonu z kominkiem, w którym wesoło buzował ogień. Asher bez niepotrzebnych wstępów przeszedł do rzeczy:

– Wiemy, że ma pan dostęp do wejścia do pewnych podziemi. Zresztą już ostatnio to ustaliliśmy. Musimy się tam jak najszybciej dostać.

– Oczywiście, ale ostrzegam, znam tylko wejście i zabezpieczenia pierwszego korytarza, dalej musicie sobie sami radzić. Nie wiem i nigdy mnie nie interesowało, co się tam znajduje, jednak podejrzewam, że to jedno z ważniejszych miejsc w całym kompleksie.

– Nic więcej pan nie wie na temat tego miejsca? – Karl postanowił włączyć się do rozmowy.

– Nic. Zgodnie z umową z moimi zwierzchnikami zajmuję się tylko nadzorowaniem pozostałych strażników i kontrolą tego miejsca. Z tego, co mi powiedziano, wynika, że ma ono szczególne znaczenie, i tylko tyle wiem. Wy podaliście odpowiednie hasło, potem potwierdziłem jeszcze waszą wiarygodność gdzie indziej. Tylko dlatego teraz rozmawiamy. Do moich zadań należy zaprowadzić was do wejścia, otworzyć je i pokazać pierwsze zabezpieczenia, no i oczywiście pomóc w ich rozbrojeniu. Dalej już wy musicie wiedzieć, co robić. Mogę też zagwarantować dyskrecję. Wejście znajduje się na polanie w lesie, na wzgórzu za domem. Kilkaset metrów stąd. Teren jest ogrodzony, prywatny, nikt postronny nie ma tam wstępu. Podczas rozmowy z moim zwierzchnikiem dowiedziałem się, że teraz już wy za wszystko będziecie odpowiadać.

– W takim razie idźmy tam jak najszybciej. – Karl był coraz bardziej niecierpliwy, po porannej klęsce chciał jak najprędzej zakończyć sprawy i wreszcie wrócić do kraju.

– Pojedziemy quadami, mam w garażu za domem cztery sztuki, akurat wystarczy, potem też łatwiej będzie wam przetransportować to, co musicie.



Bez dalszej dyskusji przynieśli potrzebny sprzęt z samochodów, załadowali go na quady i prowadzeni przez gospodarza ruszyli leśną ścieżką pod górę, w kierunku wspomnianej wcześniej polany. Dotarli tam po paru minutach, zadowoleni, że nie trzeba będzie tej drogi pokonywać pieszo. Na środku otoczonej starym liściastym lasem polany znajdował się niewielki ceglany budynek. Sprawiał wrażenie małego magazynu, jakie często są wykorzystywane przez leśników. Zastanawiać mogły tylko wyjątkowo solidnie wykonane stalowe drzwi.

W czasie gdy ludzie Karla Angerera ładowali na quady sprzęt niezbędny do eksploracji podziemi, Mat razem z Markiem sforsowali płot i powoli, korzystając z osłony drzew, zbliżali się do polany, na której stał mały murowany budynek.

– Wygląda to jak zwykły składzik – stwierdził były operator sił specjalnych. – Gdybym o tym nie czytał w dokumentach, nigdy bym nie uwierzył, że to jest wejście do podziemi.

– A ja nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego znajduje się niemal na widoku. Przez te wszystkie lata po wojnie to była zwykła polana na wzgórzu w lesie. Prawdopodobnie dopiero niedawno ktoś ją wykupił. Pewnie strażnik. No a teraz żli chłopcy się do tego dobiorą. Nie wiem, co możemy zrobić z tym wszystkim. Ludzie Marczyńskiego dojadą dopiero wieczorem albo nawet w nocy, musimy wszystko sami ogarnąć. Całe szczęście, że zabezpieczenia tego magazynu, laboratorium, czy co tam jest, są dość poważne. Przejrzałem to jeszcze raz i nie wiem, czy dadzą sobie radę bez planu.

– W razie czego zobaczymy spektakularne bum.

– Jasne, mam tylko nadzieję, że nie odpalą przy tym ładunków atomowych. Chociaż nie podejrzewam, by Niemcy ich odpowiednio nie zabezpieczyli. O, już są. – Mat odruchowo spojrział na zegarek, dochodziła już czternasta, czas płynął bardzo szybko.

Faktycznie na polanę wjechały quady, ich pasażerowie od razu otoczyli mały budynek, jeden z nich otworzył zwykłą kłódkę i wszedł do środka z jednym

z Amerykanów. Pozostali w tym czasie przygotowywali sprzęt lub rozglądali się uważnie po okolicy. Sprawiali wrażenie bardzo czujnych i skupionych.

– Może się lepiej wycofajmy parę metrów, trudniej będzie nas dojrzeć, to są byli marines, jak mówili nasi goście, zwiadowcy z korpusu, potrafią dostrzec niebezpieczeństwo. – Mark, doświadczony w tego typu sytuacjach, powoli zaczął się wycofywać. Mat poszedł jego śladem. Na razie i tak nic ciekawego się nie działo. Jakby czekał na taką chwilę, w kieszeni Polaka zaczął wibrować telefon, numer był nieznany. Mimo wszystko odebrał.

– Cześć, Jurek Bogacki z tej strony, wysłał nas nasz wspólny znajomy, lecimy właśnie do Wrocławia, u ciebie będziemy za niecałe dwie godziny.

Flisak zbytnio się nie zdziwił, pamiętał świetnie Bogackiego, oficera stojącego na czele zespołu do zadań specjalnych. Jedyne, co Mata zdziwiło, to szybkość działania podpułkownika Marczyńskiego.

– Wiesz, gdzie mieszkam. – To było stwierdzenie. – Będę na was czekał i wprowadzę w sytuację. – Bez zbędnego gadania zakończył połączenie. – Adam działa szybciej, niż się spodziewałem, posiłki już są w drodze. Będziesz musiał sam ich przypilnować, muszę wrócić do domu i wyjaśnić nowym ludziom, o co tu chodzi.

Mark skinął tylko głową na potwierdzenie. Polak zaczął się powoli wycofywać, dotarł w końcu do zamaskowanej dziury w płocie, którą wycięli godzinę wcześniej. Po chwili siedział już w samochodzie i jechał do Walimia.

Nowi goście zjawili się dokładnie po dziewięćdziesięciu minutach. Trzy duże samochody terenowe zaparkowały pod domem, po chwili namysłu Mat polecił im wjechać na podjazd przed domem i garażem. Wolał, by coraz większy ruch w jego domu nie wzbudzał zainteresowania sąsiadów.

Nowo przybyli bez zbędnego gadania zaczęli wnosić do środka skrzynie z wyposażeniem, bardzo szybko zajęli też wszystkie pokoje na parterze domu.

– To są moi goście z Ameryki, o sprawie wiedzą więcej niż wy. Nie ma co się bawić w tajemnice i konwenanse – szybko załatwił sprawę prezentacji gospodarz

domu.

– Kapitan Bogacki – przedstawił się dowódca grupy. – Żeby nie było nieporozumień, przejmujemy kontrolę nad operacją. Mówcie do mnie Jurek – dodał, chcąc nieco złagodzić pierwsze wrażenie. – Dobrze, konwenanse, jak powiedział Marcin, mamy za sobą. Teraz powiedzcie, co wiecie i o co tu chodzi.

Ciężar streszczenia całej sytuacji wziął na siebie Flisak, jako były oficer, który nieraz brał udział w tajnych operacjach, zrobił to szybko, konkretnie i wyczerpująco. Tymczasem ludzie Bogackiego porozstawiali już sprzęt łączności, komputery, dwaj z nich zajęli się ostatnim sprawdzeniem wyposażenia osobistego i broni. Wszystko wykonane zostało bez zbędnego gadania, szybko i profesjonalnie. Zrobiło to spore wrażenie na trójce Amerykanów.

Na koniec Mat postanowił pokazać jeszcze byłym kolegom z firmy czwórkę siedzącą w piwnicy. Jurek Bogacki nie powiedział ani słowa, spojrzął tylko dziwnie na Flisaka. Po chwili cała czwórka została sfotografowana, pobrano im też odciski palców. Wszystkie te dane jeden z przybyłych techników wprowadził do komputera. Po chwili mieli już informacje dotyczące uwięzionych.

– Całkiem niezłe okazy tu macie. Oficjalnie nic na nich nie ma, jednak trochę by się znalazło nieoficjalnie. Zwłaszcza ci dwaj Niemcy. Byli pracownicy BND, obecnie sektor prywatny, zamieszani w parę grubszych spraw w Europie, na Bliskim Wschodzie, w Afryce. Prawdopodobnie stali za kilkoma zniknięciami polityków i biznesmenów w różnych krajach. Na ogół jednak zajmują się zbieraniem informacji. Zatrudnia ich głównie Erwin Angerer, praktycznie chodzą u niego na smyczy. Ale jak widać, użycza ich też bratu. Ci dwaj pozostali to byli żołnierze. Ale to już wiecie. Też sektor prywatny, od paru lat zatrudnieni w Angerer Construction Group. Cyngle, ale nie z tych tępogłowych. – Technik szybko streścił informacje, które ukazały się na monitorze.

– To może by jeszcze sprawdzić tych tutaj. – Paul pokazał zdjęcia, które udało mu się zrobić dzień wcześniej, gdy podchodzili ludzi Karla Angerera. Były średniej jakości, ale odpowiedni program komputerowy je obrobił.

Po chwili mieli dalsze informacje o ludziach, którzy właśnie usiłowali przejąć stare ładunki nuklearne. Szczególne zainteresowanie wzbudzili Henry Butler, były pirotechnik policyjny, prawdziwy mistrz w swoim fachu, oraz Dylan Cooper, były żołnierz z korpusu inżynieryjnego US Army, specjalista od budowli podziemnych. Kolejną osobą, która wzbudziła niekłamane zainteresowanie pracowników Agencji Wywiadu, był Asher Podulski, z pochodzenia Polak, były agent specjalny FBI, człowiek o niesamowitych umiejętnościach operacyjnych, mający kontakty prawie na całym świecie. Najlepszy dowód na to, że zatrudniając ludzi we własnej firmie, Angerer nie liczył się z kosztami, werbując naprawdę najlepszych fachowców. Na koniec zobaczyli informacje na temat Karla, dziedzica fortuny rodu Angererów. Były one najmniej spektakularne, co jednak nie zmieniało faktu, że to właśnie on dowodził, przynajmniej oficjalnie, działaniami w Polsce.

– Muszę powiedzieć, że dzięki wam już wiemy, z kim mamy do czynienia, a to bardzo dużo. – Kapitan Bogacki nie krył zadowolenia. – Teraz po kolei. Marcin, zawieszysz moich dwóch ludzi, by zmienili waszego obserwatora, poczekamy, aż wydobędą z podziemi to, co mają wyciągnąć, i wtedy to przejmujemy. Reszta w tym czasie zajmie pozycje dogodne do wjechania na chatę, gdy przyjdzie na to pora. Aha, pułkownik Marczyński też nas nawiedzi, ma przyjechać w nocy, obiecał załatwić jeszcze jakąś pomoc. Twoi ludzie, Marcin, zostają tutaj i pilnują interesu razem z moimi technikami. – Ostatnie zdanie wypowiedział po angielsku, tak by nikt nie miał wątpliwości co do swojego miejsca. Trójka Amerykanów przyjęła to ze zrozumieniem. To, co się wokół działo, i tak przerastało ich najśmielsze wyobrażenia o wyprawie do Polski.

Jeden z trzech techników przez cały czas studiował zdjęcia dokumentacji dotyczącej zabezpieczeń magazynu z bronią.

– Chyba mamy problem. – Słowa te nie zdziwiły nikogo, podświadomie od początku na nie czekali. Kapitan Bogacki, jego ludzie, Marcin Flisak, a nawet Amerykanie nie mieli złudzeń, że wszystko pójdzie gładko i bezproblemowo. – Może w tej chwili nie tyle my, ile nasi goście. Z tych planów wynika, że praktycznie nie uda im się wejść do pomieszczenia magazynowego bez

znajomości sekwencji odłączania dwóch pułapek. Obydwie są bardzo wredne, bo gazowe. Oczywiście po tylu latach mogą nie odpalić albo jakimś cudem uda się je dezaktywować, jednak za bardzo bym na to nie liczył.

– Co w związku z tym proponujesz? – Jurek Bogacki znał wartość, wiedzę i umiejętności swoich ludzi. Jeśli Karol, szef techników, mówił, że się nie da, to się nie da.

– Wydaje mi się, że mamy jeszcze trochę czasu, podziemia są bardzo duże, jeśli ten ich pirotechnik jest tak dobry, jak o nim piszą, to sprawdzenie tego wszystkiego zajmie mu co najmniej dwanaście godzin albo i więcej. No, chyba że coś spieprzy wcześniej. Ale z tymi pułapkami gazowymi nie ma moim zdaniem szans. Z tego, co słyszałem, oni nie mają tych planów co my? Poczekajmy, może odpalą pułapkę i wejdziemy na gotowe. Aha, trzeba pilnie zamówić kombinezony przeciwchemiczne. We Wrocławiu mają takie, niech ktoś je tu podrzuci.

– W porządku, zaraz dzwonię. A w ogóle masz na tych planach napisane, co to za gaz?

– Tak, Niemcy są dokładni i podali informację, to sarin.

\*\*\*

Po wejściu do małego murowanego budynku, który stał samotnie na polanie, zobaczyli zwykły składzik z narzędziami i materiałami potrzebnymi do prac leśnych, pod ścianami stały półki zawałone masą często zbędnych rzeczy. W pomieszczeniu było dość mroczno, niewielkie okienka umieszczone pod sufitem nie dawały wiele światła. Gospodarz wszedł pierwszy i zaczął przesuwać skrzynie pełne starych worków i połamanych kołków służących do palikowania młodych drzewek. Gdy się z nimi uporał, ukazała się zwykła betonowa podłoga, chwilę szukał pod ścianą szczeliny, praktycznie niewidocznej dla osób niemających o niej pojęcia. W szparę włożył przyniesiony ze sobą kilkudziesięciocentymetrowy pręt i nadusił zapadkę, następnie zaczął dość mocno pchać fałszywą ścianę. Po chwili ukazał się sporych rozmiarów wąż. Pod nim były schody oraz, co równie ważne, działająca instalacja elektryczna. Znowu

zszedł pierwszy, pokonał schody i przy kolejnych drzwiach dezaktywował minę pułapkę. Szczelne stalowe drzwi prowadziły do krótkiego korytarza i kolejnych schodów, najwyraźniej wiodących w głąb wzgórza, na którym się znajdowali.

– Dalej musicie już wejść sami, moja wiedza o zabezpieczeniach kończy się na tym korytarzu, instalacja elektryczna powinna działać, jest podłączona do nowej sieci z mojego domu.

Bez słowa, obładowani plecakami z niezbędnym sprzętem, do środka zeszli Henry i parę kroków za nim Dylan. Reszta została w budynku lub wokół niego. Strażnik, nie chcąc przeszkadzać, a tak naprawdę trochę obawiając się swoich gości, wycofał się do swojego domu. Zaczęło się oczekiwanie na wyniki pracy pirotechnika.

Po jakimś czasie ludzie Angerera, coraz bardziej się nudząc, zaczęli obchodzić polanę, zaglądać do okalającego ją lasu. Spowodowało to wzrost zaniepokojenia u Marka, który powoli zaczął się wycofywać, jednocześnie starając się zacierać swoje ślady. Po kolejnej godzinie oczekiwania zniecierpliwienie i znudzenie zaczynały coraz bardziej dawać znać o sobie u wszystkich. Już nie tylko Karl krążył jak lew w klatce. W końcu, po dalszych czterdziestu minutach, z budynku wyszedł Dylan. Zaczerpnąwszy powietrza, mrużąc oczy, odszukał szefa i skierował się w jego stronę.

– Jeszcze to potrwa. Na razie sprawdziliśmy korytarz i pierwszą śluzę, dalej jest pomieszczenie wyglądające na przebieralnię, potem prawdopodobnie kolejne. Ale chyba jesteśmy na dobrym tropie, urządzenia wskazują ślady promieniowania. Nic poważnego, jednak chyba wreszcie trafiliśmy.

– A jak wyglądają zabezpieczenia?

– Jest ich znacznie więcej niż ostatnio, gdybyśmy mieli plan, poszłoby o wiele szybciej, jednak Henry daje radę. Jest bardzo ostrożny. Na szczęście, tak jak mówił ten facet, jest prąd, i co mnie najbardziej zdziwiło, instalacja i prawie wszystkie żarówki nadal działają. To znacznie ułatwia pracę.

– Czyli ile jeszcze zajmie sprawdzenie tego wszystkiego? – Karl starał się ukryć zniecierpliwienie w głosie, ale nie bardzo mu to wyszło. Zresztą za bardzo się tym nie przejął.

– Trudno powiedzieć, ale na pewno jeszcze co najmniej pięć, sześć godzin, a prawdopodobnie trochę dłużej.

– Dobrze. Potrzebujecie kogoś do pomocy?

– Nie. Wolimy sami się tym zajmować, zresztą ja tylko pomagam, praktycznie całą robotę odwała Henry.

Zaczerpnąwszy jeszcze raz świeżego powietrza, specjalista od podziemi ponownie wszedł do budynku i dalej do podziemnego korytarza. Karl przywołał Ashera.

– Zostaw tutaj dwóch ludzi, wracamy na razie na dół, do naszego gospodarza, nie ma sensu tu stać i marznąć. Jeśli coś znajdą, to nas powiadomią i wrócimy tutaj po to, co nasze.

Bez dalszego gadania wyznaczona dwójka pozostała przy budynku, reszta dosiadła quadów i powoli zaczęła wracać do domu strażnika.

Mark, który cały czas obserwował polanę, z pewną ulgą przyjął wycofanie się ludzi Angerera. Znaczyło to, że poszukiwania się przedłużają, co dawało im większą szansę na przybycie posiłków. Po kolejnej godzinie raczej wyczuł, niż usłyszał, że ktoś się za nim skrada. Odwrócił się, trzymając w dłoni pistolet.

– Spokojnie, to ja z przyjaciółmi. – Parę metrów za sobą zobaczył Mata i dwóch nieznanomych mężczyzn; sprawnie podczołgali się na stanowisko obserwacyjne Amerykanina. Bez zbędnego gadania przekazał im to wszystko, co do tej pory udało mu się zaobserwować. Jeden z przybyłych przekazał to dalej, używając do łączności laryngofonu połączonego z radiem przy pasie.

– Wracamy do domu, oni zajmą się dalej obserwacją. – Mat zaczął się ostrożnie wycofywać drogą, którą pokonywał już trzy razy.

Po kilku minutach, już przy samochodzie, krótko streścił Markowi ostatnie wydarzenia oraz wyjaśnił, kim są nowo przybyli ludzie.

– Wracamy do domu i tam mamy czekać na to, co się dalej wydarzy.

– Okej, wymarzęm na tej górze, przydałoby się też trochę snu. Kurczę, jeszcze parę lat temu traktowałem taką obserwację niemal jak relaks, a teraz... Starzeję się, i to coraz szybciej.

W domu Mata Flisaka panował spokój, po wyjeździe grupy operacyjnej technicy cały czas siedzieli przy komputerach, koordynując łączność, zbierając dodatkowe dane, monitorując sytuację. Pułkownikowi Marczyńskiemu udało się wciągnąć do współpracy wojsko, dzięki czemu już od paru minut mieli podgląd z drona krążącego nad interesującym ich terenem. Amerykanie, którzy trochę podglądali, co robią nowi goście Flisaka, byli pod coraz większym wrażeniem zaangażowanych środków i wciąż rozrastającej się operacji.

Po popołudniu przyszedł wieczór, zmrok, jak to w listopadzie, zapadł szybko, sytuacja w Głuszycy nie ulegała żadnej wyraźnej zmianie, jedynie z budynku na parę minut wyszedł pirotechnik, by zaczerpnąć powietrza i chwilę odpocząć. Obserwatorzy z grupy kapitana Bogackiego odnotowali ten fakt, przez chwilę wszyscy się obawiali, że może udało mu się zlikwidować zabezpieczenia, jednak szybko się okazało, że to tylko przerwa. W nocy pod dom Flisaka zajechał kolejny samochód, wysiadł z niego tylko jeden pasażer.

– Nic się u ciebie nie zmieniło, no może po za tłokiem w salonie. – Podpułkownik Marczyński przywitał się ze starym przyjacielem, który przedstawił mu czwórkę Amerykanów.

– A więc to wy, panowie, jesteście twórcami całego zamieszania. – Uśmiechnął się, podając im po kolei dłoń.

– Niechący tak wyszło, ale teraz jesteśmy coraz bardziej spokojni, że wszystko się dobrze skończy – odpowiedział za wszystkich Mark.

– No, mam nadzieję, że wszystko się uda, część posiłków jeszcze jest w drodze – powiedział podpułkownik, myśląc o Izraelczykach, którzy już lecieli specjalnym wojskowym samolotem do Wrocławia. – Jednak część spraw należy



jeszcze załatwić. Chciałbym z wami wszystkimi porozmawiać, może przejdziemy do innego pokoju, nie będziemy przeszkadzać technikom.

Mat Flisak zaproponował przejście do saloniku na piętrze.

– Panowie, nie będę owijał w bawełnę – zaczął Marczyński. – Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, że skontaktowaliście się z nami w sprawie dokumentów, które udało wam się zdobyć. Może zabrzmie to górnolotnie, ale władze państwa, firma i ja jesteśmy wam zobowiązani. Dzięki wam uda się prawdopodobnie zapobiec bardzo poważnemu incydentowi terrorystycznemu. Zbieramy jeszcze dane, jednak afery, w którą się wplątaliście, może mieć zasięg światowy. Niestety nic więcej nie mogę powiedzieć. Jeśli wszystko się uda, pewnie cała sprawa nie ujrzy światła dziennego. Dlatego muszę was prosić o całkowitą dyskrecję, teraz i również później, gdy już będzie po wszystkim. Władze waszego kraju też zostaną powiadomione o tym, co się stało, i o waszym udziale w sprawie. Ale bez obaw – dodał szybko, widząc miny Amerykanów – zostaniecie przedstawieni w jak najlepszym świetle. Musimy jednak poważnie porozmawiać o waszych dalszych poczynaniach.

Mat Flisak uśmiechnął się nieznacznie, nie miał najmniejszych wątpliwości, że i do tej kwestii dojdą.

– Jak wicie, prawo w Polsce stanowi, że wszelkie znaleziska są własnością państwa. Znalazcy należy się tylko pewna określona kwota. Szczerze mówiąc, nawet nie sprawdzałem jaka, jest ona tak niska, że aż śmieszna. Dlatego mam dla was propozycję. Dla was wszystkich – dodał, patrząc również na Mata. – Nie wiem, co już znaleźliście, i mnie ani Agencji to nie interesuje, podejrzewam, że coś tam jednak macie. Nie zaprzeczajcie, wiem, jak jest. Znam Marcina od lat i wiem, że nie kontaktowałby się ze mną, gdybyście niczego nie wyciągnęli. Dlatego to, co już znaleźliście, będziecie mogli spokojnie wywieźć z Polski. Natomiast całą resztą zajmiemy się my. Co oczywiście wiąże się z przekazaniem nam całej dokumentacji. Rozumiem też, że macie jej kopie, albo nawet oryginały, dobrze ukryte u siebie w kraju. Jednak ostrzegam, że kolejne poszukiwania mogą się spotkać ze znacznie mniejszą przychylnością ze strony władz.

Spojrzał na całą piątkę poszukiwaczy, czekając na odpowiedź.

– Rozmawialiśmy już o tym i sami, i z Matem – odezwał się Ken. – Myślę, że pana propozycja jest rozsądna, prześlemy wam kopie dokumentów, które udało nam się wydobyć z wraku okrętu. Faktycznie jest tam wiele informacji, nazwijmy to, niepokojących. Wiem, że niektóre skrytki zawierają dzieła sztuki zrabowane w waszym kraju. Rozumiem, że nie będziecie nam robić trudności z wyjazdem z Polski ani za bardzo dociekać, co znaleźliśmy. Mogę tylko zapewnić, że nie są to zabytki.

– Macie na to moje słowo, Marcin może potwierdzić, że go dotrzymam.

Takie zapewnienia musiały im wystarczyć, pokiwali głowami, jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie, przypieczętowując zawartą właśnie umowę. Potem Marczyński zszedł na dół do techników.

– Szkoda, myślałem, że jeszcze coś się uda wyciągnąć – zaczął Jose.

– Nie narzekaj, i tak jest lepiej, niż mogliśmy się spodziewać. – O dziwo Paul, który zawsze najbardziej ze wszystkich był nastawiony na konkretne efekty ich poszukiwań, pierwszy pogodził się z propozycją podpułkownika.

– Nie ma co narzekać, a uwierzcie mi, teraz poszukiwania byłyby zupełnie niemożliwe, skoro zabrał się do tego wywiad. Założę się, że przez najbliższych kilka lat będą krążyć po okolicy i węszyć. – Mat Flisak był jak najbardziej zadowolony z obrotu sprawy. – A mam jeszcze jeden pomysł. Przecież strony z namiami schowków są nienumerowane, wygląda na to, jakby dodano je w ostatniej chwili. Jest to zresztą całkiem możliwe, Niemcy do końca wierzyli, że te tereny znajdą się po ich stronie granicy. Dopiero pod koniec wojny ktoś wpadł na pomysł, że jednak może być inaczej. Dlatego nagle zaczęli organizować schowki z depozytami. Zresztą z tego, co tu mamy, wynika, że poza schowkiem, który udało nam się otworzyć, reszta zawiera o wiele mniej rzeczy. I jak już mówiłem, niektóre zostały wcześniej opróżnione. Proponuję, panowie, zostawić jeszcze dane dotyczące jednego czy dwóch schowków. Resztę oddać. Ale i tak

w najbliższych latach raczej mamy szlaban na poszukiwania. Już firma o to zadba. Co wy na to?

– Masz rację, jeśli będziemy za bardzo pazerni, możemy oberwać. W takim razie, który schowek sobie zostawiamy? – Ken rozumował podobnie jak Polak.

– Proponuję kolejny ze złotem, wprawdzie nie ma tego już tak dużo, ale zawsze parę kilo. – Mat wskazał numer schowka na liście. Może być?

– Okej, stoi. Za parę lat, jak się sytuacja uspokoi, pomyślimy nad nim. Na razie i tak mamy bardzo dużo. Aż się boję, co na to powie urząd podatkowy.

– A od czego są raje finansowe? – Jose był w końcu doradcą finansowym w jednej z większych korporacji, i wiedział, co mówi.

– Spokojnie, panowie, jeszcze musimy wrócić do kraju z tym, co mamy. – Mark jak zwykle starał się podejść do sprawy racjonalnie i nieco uspokoić kolegów.

– Na razie zadbajmy o to, żeby cała sprawa się zakończyła. Co prawda my już nie mamy nic do roboty w terenie, ale jednak u mnie w domu powstało coś w rodzaju centrum operacyjnego. A jak to się skończy, też trzeba będzie uważać. Wiecie, jak to jest z chłopcami z wywiadu. Niby was klepią po plecach i dziękują za pomoc, a jednocześnie wyciągają wam portfel z kieszeni.

– Czyli co, mamy nie ufać twojemu koledze?

– Nie. Będzie tak, jak powiedział, co nie znaczy, że jego zwierzchnicy myślą tak samo. Będziemy się martwić później. Na razie trzeba trochę odpocząć, już drugą dobę jesteśmy na nogach. Ale tak na wszelki wypadek jeden niech czuwa. Kto pierwszy chętny?

\*\*\*

Specjalny samolot Chejl ha-Awir, Korpusu Powietrznego Izraela, Lockheed Martin C-130J Super Hercules, podchodził w nocy do lądowania na lotnisku Wrocław-Strachowice. Po krótkim kołowaniu został natychmiast skierowany w dość odległe miejsce, gdzie czekały już samochody z ambasady Izraela oraz

Agencji Wywiadu. Bez zbędnych powitań pasażerowie samolotu szybko przenieśli swoje wyposażenie do czekających pojazdów. Chwilę dłużej zajęło przeniesienie czterech dość dużych, ciężkich skrzyń; umieszczono je po dwie w specjalnie podstawionych furgonetkach. Po przeładunku cała kawalkada wyruszyła w kierunku Głuszycy, mieli przed sobą około osiemdziesięciu kilometrów i półtorej godziny jazdy.

– Co już wiemy? – Były to pierwsze słowa skierowane przez dowódcę przybyłej grupy majora Benjamina Bauera do Ariego Wajlanda. Oficer Mosadu szybko streścił to, czego dowiedział się od polskich oficerów, a trzeba przyznać, że ci ostatni nie skąpili informacji, tym bardziej że na bieżąco uzupełniano dane pozyskiwane zarówno w terenie, jak też od Marcina Flisaka i jego gości.

– Czyli na razie jeszcze czekamy. Jak zrozumiałem, Polacy uważają, że grupie Angerera nie uda się przejść wszystkich zabezpieczeń i aktywują pułapki gazowe.

– Na to wygląda. Cały czas jesteśmy w kontakcie z ich obserwatorami, jak dotąd nic się nie dzieje. Prawdopodobnie ludzie Angerera nadal próbują przełamać wszystkie zabezpieczenia. Trwa to już od południa, więc lada chwila powinno być po wszystkim. Jeśli dobrze pójdzie, przyjedziemy na gotowe.

– Nigdy wszystko dobrze nie idzie, zawsze są jakieś komplikacje. – Starszy oficer nie miał złudzeń co do bezproblemowych operacji. Po prostu takie nie istniały.

Po przewidywanym czasie dojechali do ustronnego miejsca w lesie nieopodal Głuszycy, czekał tam na nich podpułkownik Marczyński. Szybko przekazał ostatnie wiadomości, tym bardziej że dosłownie przed kilkoma minutami akcja zaczęła nabierać tempa.

\*\*\*

Henry od ponad ośmiu godzin nie wychodził z podziemi. Wiedział, że jest coraz bardziej zmęczony i może popełnić błąd, chciał jednak wreszcie zakończyć przeszukanie ostatniej sali. Owszem, miał pomocnika, ale Dylan pomimo najszczerzych chęci nie był w stanie go zastąpić. Choć pomagał na tyle, na ile

mógł. Znajdowali się w czymś, co było chyba kolejnym laboratorium. Różniło się ono jednak od tego, które już badali, wielkością oraz typem urządzeń. Te sprawiały wrażenie przemysłowych. Wprawdzie ich przeznaczenie było dla obu Amerykanów tajemnicą, co najwyżej mogli się domyślać, do czego mogły służyć. Jednak zmęczenie, napięcie i chęć doprowadzenia sprawy do końca nie pozwalały im zbytnio się nad tym wszystkim zastanawiać.

– Kolejna mina zdemontowana. – Po paru minutach milczenia Henry podał swojemu partnerowi kolejny ładunek wybuchowy. Tak jak wszystkie poprzednie, był on w świetnym stanie. Przestało już go to dziwić, tym bardziej że pomieszczenia, po których się poruszali, były suche i wyraźnie wentylowane, co bez wątpienia przyczyniło się do dobrego stanu ładunków wybuchowych.

Podeszli wreszcie do drzwi, które prowadziły do ostatniego pomieszczenia, chyba magazynu. Pirotechnik, zanim ich dotknął, bardzo dokładnie je obejrzał, centymetr po centymetrze sprawdził obramowanie, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Wyglądało to na kolejny taki sam ładunek. Były one dość trudne do wyśledzenia, jednak gdy już się ich parę zneutralizowało, stawały się stosunkowo łatwe do wytropienia i rozbrojenia. Mimo to, wiedząc, jak zabójcza może być rutyna, Henry bardzo delikatnie i ostrożnie zabrał się do likwidacji niebezpieczeństwa. Nagle, gdy wykonał czynność, która w ostatnich kilkunastu przypadkach była ostatnia i dezaktywowała pułapkę, bardziej poczuł, niż zauważył, że coś jest nie tak. Kabel, który przeciął, miał inny kolor niż wszystkie poprzednie. Wprawdzie był zamontowany tak samo, jednak było w nim coś niepokojącego. Mimo wszystko nie nastąpił żaden wybuch, rozległo się tylko ciche kliknięcie. Właśnie ono przestraszyło dawnego policyjnego specja od materiałów wybuchowych. Po chwili usłyszał następne, a potem jeszcze jedno, do tego dołączyło bardzo ciche syczenie gdzieś przy podłodze. Rozejrzawszy się nerwowo dookoła, Henry nagle zrozumiał.

– Dylan, uciekaj! Gaz! – Sam rzucił robotę i wierząc, że zdemontował na drodze ucieczki wszystkie ładunki, ruszył do wyjścia. Na nieszczęście dla niego pomieszczenie było dość długie i zastawione różnego rodzaju półkami oraz

sprzętem laboratoryjnym, oświetlenie, choć było, pozostawiało wiele do życzenia, czołówka, której używał już od wielu godzin, też świeciła coraz słabiej. Wszystko to, plus panika, która go ogarnęła, spowodowało, że potknął się o któryś stół. Upadł prosto w pełzającą już po ziemi niewidoczną chmurę gazu. Najpierw zaczęły piec go oczy, do tego dołączył się gwałtowny kaszel. Zataczając się, próbował wstać, co nawet mu się udało, ale przejmujący ból w klatce piersiowej ponownie powalił go na kolana. Drgawki, których dostał, były jednym z ostatnich objawów silnego zatrucia sarinem. Nie czuł już, jak zwieracze odmówiły mu posłuszeństwa, tracił świadomość, życie uciekało z niego wraz z każdą coraz bardziej spazmatyczną próbą oddechu. Jego towarzysz, w porę ostrzeżony, przez chwilę chciał pomóc saperowi, zawahał się, zamiast uciekać. To wystarczyło: szybko ulatniający się gaz dopadł również jego. Zataczając się, dotarł niemal do wejścia, zdążył nawet wydać z siebie coś w rodzaju charkotu, lecz po chwili również on leżał i wił się w agonii.

Zaniepokojony dziwnymi odgłosami dobiegającymi z korytarza pod budynkiem, którego pilnowali, Leo wszedł do środka. Ostatni raz z dwójką, która pracowała w środku, widział się trzy godziny wcześniej. Teraz obaj z Liamem powoli zaczęli mieć dosyć tego czekania i pilnowania nie wiadomo czego. Z nudów obeszli parę razy polanę, zajrzeli nawet do okalającego ją lasu, ale nic ciekawego nie znaleźli. Od dłuższego czasu było już ciemno, a oni, nie mając właściwie nic do roboty, stawali się coraz bardziej znużeni.

Reagując na dźwięk, Leo nie był całkiem pewien, czy coś usłyszał, czy tylko mu się wydawało. Zszedł do korytarza i natychmiast zobaczył wijącego się Dylana, podbiegł do niego, by mu pomóc, lecz było już za późno. Natychmiast złapał za krótkofalówkę, chcąc zawiadomić szefa, wcześniej jednak zawołał partnera.

– Liam, coś się stało, Dylan nie żyje. – Mówiąc to, poczuł nagle dziwne duszności, zwęziły mu się źrenice, zaczął gwałtownie kaszeć. Nie czekając, wydostał się z korytarza i już na czworakach zaczął gwałtownie łapać powietrze. Nie mógł wydusić słowa.

Widząc, co się dzieje, Liam pomógł mu opuścić budynek, jednocześnie łącząc się z Asherem przez radio.

– Coś się stało w podziemiach, Dylan chyba nie żyje, nie wiem, co z Henrym, Leo się dusi.

– Natychmiast odciągnij go jak najdalej od budynku, zaraz będziemy. – W głosie szefa dało się słyszeć zdenerwowanie.

Nie wiedząc, co robić, były zwiadowca Korpusu Piechoty Morskiej zaczął przemywać wodą z butelki twarz kolegi, ten co prawda nadal kaszłał i miał przekrwione oczy, jednak mógł już złapać powietrze. Lea uratowało to, że był narażony na wdychanie gazu stosunkowo krótko, a sam śmiercionośny wyziew nie zdążył się jeszcze do końca rozprzestrzenić w korytarzu prowadzącym do murowanego budynku na środku polany.

\*\*\*

Zamieszanie, jakie nagle wybuchło na polanie, było cały czas obserwowane przez dwóch ludzi kapitana Bogackiego. Leżeli zamaskowani kilkadziesiąt metrów od skraju lasu, i podobnie jak Amerykanie, których obserwowali, setnie się nudzili. Przez moment tylko, gdy byli żołnierze piechoty morskiej zaczęli obchodzić polanę i zagłębiać się miejscami w las, poczuli dreszczyk emocji, obawiając się dekonspiracji. Jednak nic takiego się nie stało, oni byli świetnie zamaskowani, a ludzie Angerera raczej z nudów lustrowali teren, robili to zresztą bardzo pobieżnie i nieuważnie.

Teraz, gdy wreszcie zauważyli jakiś ruch, zareagowali natychmiast.

– Coś się dzieje na polanie, jeden wyszedł, ciągnąc drugiego, nikt więcej ze środka nie wychodzi. – Obserwator przekazał to, co widział, bezpośrednio do techników w domu Flisaka, jednocześnie usłyszała to też w słuchawkach grupa jego dowódcy, czekająca na sygnał wkroczenia do budynku przy ulicy Pomorskiej.

– Widzę, mam obraz z drona. Na dole w budynku też zaczął się ruch, chyba odpalają quady, zaraz u was będą. – Operator pomimo ciemności widział całkiem

wyraźny obraz z kamer robota krążącego nad interesującym ich terenem. Miał do wyboru widok normalny, noktowizyjny lub termowizyjny. – Kapitanie, możecie ruszać, teraz jest dobry moment. – To ostatnie zdanie skierowane było do Bogackiego i jego ludzi.

Natychmiast uruchomili silnik i po kilkudziesięciu sekundach dwa samochody podjechały pod bramę interesującego ich domu. Nie bawiąc się w subtelności, przestrzelili zamek w bramie i wpadli na dziedziniec przed domem. Powitało ich wściekłe szczekanie dwóch olbrzymich psów zamkniętych w kojcu koło domu. Gospodarz je tam umieścił ze względu na swoich gości, którzy od czasu do czasu wychodzili z domu do samochodów. Asher, który już siedział na quadzie, widząc, co się dzieje, odruchowo sięgnął po broń, lecz natychmiast został postrzelony przez dwóch agentów jednocześnie. Karl próbował się rzucić do ucieczki, jednak zrobił to w złym kierunku i po chwili leżał już na ziemi ze skrępowanymi rękami. Aleks i gospodarz domu stali porażeni gwałtownością wydarzeń, a zwłaszcza tym, że poza pierwszym strzałem wszystko odbywało się w ciszy. Ludzie kapitana Bogackiego używali broni z tłumikami. Nad wszystkim unosiło się tylko wściekłe ujadanie dwóch psów zamkniętych w kojcu.

– Sytuacja opanowana – poinformował dowódca przez radio technika obserwującego wydarzenia przez kamery drona. – Wszyscy zatrzymani, jeden... – spojrzał na agenta pochylającego się nad Asherem i kręcącego głową – ...jeden zlikwidowany.

– Zrozumiałem, za trzy minuty przyjadą posiłki.

W tym samym czasie grupa specjalna Mosadu już wsiadała do samochodów i ruszała w kierunku ulicy Pomorskiej.

– Rozumiem, zabezpieczamy budynek. – Agenci weszli do środka i przeszukali dom. W środku nikogo nie było, strażnik zgodnie z życzeniem Karla Angerera, który nie chciał zbędnych świadków, wywiózł żonę i córki do rodziny w sąsiedniej miejscowości.



Zanim skończyli sprawdzać budynek, na podjeździe przed domem zatrzymały się samochody z Izraelczykami. W tym czasie podpułkownik Marczyński wezwał policję, by zabezpieczyła drogi wokół domu i całej posesji. Oficjalnie poinformował miejscowego komendanta, że zespół operacyjny ABW przejął grupę niebezpiecznych terrorystów, którzy przygotowywali się do zamachu w Europie Zachodniej. Jednocześnie komendant został poinformowany, że wszystko, co się dzieje, jest objęte tajemnicą, a policja ma się ograniczyć tylko do zabezpieczenia okolicznych dróg. Na wszelki wypadek podobny telefon został wykonany z komendy wojewódzkiej, co tylko utwierdziło miejscowych policjantów w przekonaniu, że to nie jest ich sprawa i nie powinni się w nią mieszać.

Korzystając z quadów gospodarza, Polacy razem z częścią ekipy z Izraela ruszyli na polanę. Przywitał ich widok dwóch kolejnych ludzi Angerera leżących na ziemi ze skrępowanymi rękoma, nad nimi stało dwóch agentów z odbezpieczoną bronią.

– Jeden z nich jest w kiepskim stanie, dwaj, którzy byli w środku, nie wyszli, prawdopodobnie nie żyją – zameldował Bogackiemu jeden z jego ludzi.

– W porządku, zabezpieczcie teren, do środka wchodzi ja i Karol. – Bogacki wymienił imię szefa techników, który właśnie jechał na miejsce, korzystając z uprzejmości Mata Flisaka, który cały czas przysłuchiwał się wydarzeniom razem z technikami siedzącymi w jego salonie. – Wchodzi też nasi goście.

Izraelczycy już się przebierali w kombinezony ochronne i szykowali do wejścia do podziemnego laboratorium i magazynu. Zaczekali na dwóch Polaków, by razem z nimi ruszyć do podziemi. Bogacki wraz z technikiem stanęli na czele grupy i powoli weszli do niepozornego budynku na polanie. Technik miał w ręce tablet ze skanem dokumentu opisującego zabezpieczenia obiektu. Schodząc w dół, minęli skulone zwłoki, widać było, że człowiek ten zmarł gwałtowną, bolesną śmiercią. Czujniki, których używali Izraelczycy, wykazały mocne stężenie sarinu, praktycznie zabójcze dla wszystkich, którzy by się tu znaleźli bez zabezpieczeń. Posuwając się bardzo ostrożnie, wkroczyli najpierw do pomieszczenia, które było

prawdopodobnie przebieralnią. Pod ścianami stały metalowe szafki z wieszakami i ławki. Pokój był niewielki, natomiast drzwi prowadzące do niego zarówno w stronę korytarza ze schodami, jak i dalej, do laboratorium, były zaskakująco szerokie. Zaprojektowano je tak, by bez problemu wnosić i wynosić znacznych rozmiarów pojemniki i sprzęt. Technik zwrócił też uwagę, że schody prowadzące w dół miały specjalne żłobienia przeznaczone na kółka, które zapewne były umieszczane pod specjalnie do tego skonstruowanymi pojemnikami. Zresztą wkrótce jego domysły miały się potwierdzić. W odróżnieniu do przebieralni, laboratorium – przynajmniej tak to pomieszczenie roboczo nazwali – było bardzo obszerne, podzielone ściankami na mniejsze sekcje. Wyglądały one na coś w rodzaju ciągu produkcyjnego, zwłaszcza że sekcje były połączone czymś na kształt taśmociągu wyposażonego w ruchome rolki, ułatwiające przesuwanie po nim różnych rzeczy. Tym, na co od razu zwrócili uwagę, był doskonały stan znajdujących się w środku urządzeń i przedmiotów. W gruncie rzeczy nigdzie nie było widać śladów korozji, a sprzęt sprawiał wrażenie gotowego do użycia. Lustrację bardzo ułatwiał fakt, że pomieszczenie było oświetlone dzięki działającej nadal, co zakrawało niemal na sensację, instalacji elektrycznej. Technikowi, który korzystał z planów zabezpieczeń pomieszczeń, towarzyszył pirotechnik z ekipy Mosadu. Obaj najpierw sprawdzili wszystkie pułapki wymienione w planach. Stwierdzili, że zostały profesjonalnie rozbrojone. Człowiek, który to zrobił, leżał pod drzwiami wiodącymi, jak się później okazało, do magazynu. Podobnie jak jego kolega, zmarł gwałtowną śmiercią.

Do rozbrojenia pozostały ostatnie zabezpieczenia, to, które uruchomił jeden z ludzi Angerera, było przedostatnim. Mając plany dezaktywacji, do tego ogromne doświadczenie, Izraelski pirotechnik rozbroił je w dwie minuty. Teraz pozostało tylko otwarcie drzwi i wejście do środka.

Magazyn był na pewno przeznaczony dla znacznie większej ilości ładunków, niż się w nim znajdowało. Specjalne wyłożone ołowiem stoły – zresztą ołowiem wyłożono też ściany pomieszczenia – mogły pomieścić dokładnie dwadzieścia dwa ładunki. W specjalistycznych pojemnikach było ich tylko pięć. Ostrożnie

otwierając pierwszy z nich, zobaczyli bardzo skomplikowaną wyglądającą strukturę. Jednak w odróżnieniu do pierwszych bomb atomowych konstruowanych przez Amerykanów czy Rosjan, ten ładunek był wyjątkowo mały, wręcz kompaktowy, jeśli można użyć takiego określenia wobec przedmiotów powstałych jeszcze przed epoką miniaturyzacji. Jak się później okazało, miały one mniejszą nominalną moc niż ich odpowiedniki z USA. Ładunki niemieckie miały około piętnastu kiloton mocy.

Od razu też było widać bardzo duże zaawansowanie technologiczne ładunku, do tego świetnie zabezpieczonego, przygotowanego do transportu. Promieniowanie, które było na bieżąco mierzone, cały czas oscylowało w granicach dopuszczalnego. Co było kolejnym dowodem na sprawność i umiejętności niemieckich naukowców i techników.

Pojemniki z ładunkami wyposażono w wygodne uchwyty transportowe, w rogu pomieszczenia stały specjalne wózki przeznaczone do transportu skrzyń na powierzchnię.

Wszyscy przez moment stali w milczeniu, nie mogąc uwierzyć w to, co znaleźli w podziemiach. Zarówno laboratorium, jak i magazyn, a przede wszystkim jego zawartość, zrobiły olbrzymie wrażenie na ludziach z obu wywiadów. A trzeba przyznać, że widzieli oni już bardzo wiele i niełatwo było ich zaskoczyć.

– Czy da się wywietrzyć te podziemia? – Pierwszy otrząsnął się kapitan Bogacki i od razu zaczął myśleć praktycznie. – Trzeba tu wpuścić ludzi, którzy to wszystko obfotografują, skatalogują i zbadają.

– Nie widzę tu żadnych specjalnych systemów wentylacyjnych poza normalnymi. – Karol myślał o tym samym. – Raczej nie przewidywali wietrzenia pomieszczeń po zagazowaniu, wręcz przeciwnie, gaz miał tu jakiś czas być obecny, by zniechęcić ewentualnych intruzów. Pewnie przyjdzie nam na razie pracować w kombinezonach. Po jakimś czasie oczywiście przewietrzymy to wszystko, ale trochę z tym zejdzie.

– Zastanawia mnie, czy mamy tutaj wszystkie ładunki, jakie udało się Niemcom wyprodukować. Magazyn może pomieścić znacznie więcej. – Dowódca ekipy z Izraela cały czas lustrował pomieszczenie.

– Według dokumentów, które posiadamy, powinno być pięć ładunków. I jest pięć, ale to nie znaczy, że wcześniej nie było ich więcej. – Bogacki również o tym myślał. – Zajmiemy się tym później, na razie trzeba to wszystko zabezpieczyć. Liczę tu na twoich ludzi.

– Oczywiście, już się biorą do roboty, wstępnie zabezpieczymy wszystko tutaj i przygotowujemy do transportu. Jednak by mieć stuprocentową pewność, musimy nad tym trochę popracować. A kombinezony tego nie ułatwiają. Zejdzie nam parę godzin.

– W porządku, czegoś wam jeszcze trzeba?

– Wszystko mamy, jedynie gdybyście podciągnęli nam dodatkowe oświetlenie, znacznie by nam to pomogło.

W laboratorium wraz z upływem czasu zaczął się robić ruch jak za czasów jego świetności blisko siedemdziesiąt lat wcześniej. Pod dom na Pomorskiej zaczęły też podjeżdżać nieoznakowane samochody przywożące kolejnych ludzi i sprzęt. Oficjalnie nadal prowadzono czynności związane z likwidacją siatki terrorystycznej oraz ładunków wybuchowych znalezionych na miejscu.

Zatrzymani nowy dzień przywitali już w specjalnie dla nich przygotowanym hangarze na lotnisku we Wrocławiu, gdzie mieli czekać na transport do Izraela.

# 44

Dwadzieścia cztery godziny później w domu Mata Flisaka panował wreszcie spokój. Wyjechali z niego goście z Warszawy. Sąsiedzi, którzy i tak dość podejrzliwie patrzyli na Flisaka ze względu na jego zamiłowanie do tajemnic Dolnego Śląska, teraz, po tym całym zamieszaniu, ponownie mieli powód do snucia niezwyklej wizji i podejrzeń. Przy czym sami nie wiedzieli, jak blisko tym razem byli prawdy.

Oczywiście znalazł się też „życzliwy”, który zadzwonił na policję z informacją, że w domu jego sąsiada kręcą się podejrzani ludzie: „pewnie produkują tam narkotyki albo inne LGBT-y tam mają swoją sektę i bezceństwa różne wyczyniają, tym bardziej że ten somsiad nie ma żony i dzieci, no i do kościoła nie chodzi”. Jednak policja podeszła do tego wszystkiego rozsądnie, zwłaszcza że podpułkownik Marczyński, podający się zresztą za majora Kowalskiego z ABW, bardzo szybko wyjaśnił, że w tym domu przebywała grupa antyterrorystyczna, a sam Flisak jest obywatelem, który przypadkiem natrafił na ślad terrorystów i poinformował odpowiednie służby.

Pod wieczór, tuż przed powrotem do Warszawy, Adam Marczyński odwiedził przyjaciela.

– Nasi ludzie jeszcze trochę pogrzebią w waszym znalezisku. – Siedzieli wszyscy w salonie, popijając świetną dwudziestopięcioletnią whisky przywiezioną przez oficera wywiadu. – Wiecie o sprawie bardzo dużo, dlatego mogę wam powiedzieć, że znalezisko jest z jednej strony niesamowite, z drugiej przerażające.

Dokładnie tak, jak było w waszych dokumentach: pułapki, opis ich dezaktywacji i przede wszystkim to, co znaleźliśmy.

– Co teraz z tym zrobicie? – Ken zadał pytanie, które chodziło po głowie im wszystkim. – Domyślam się, że to są tajne sprawy, ale my wszyscy tkwimy w tym dostatecznie głęboko.

– Cóż, nasi naukowcy zbadają to, a potem rozbroją i zlikwidują te ładunki. Nie wiem do końca, na czym to będzie polegać, jednak ogólnie mówiąc, to wszystko ma podlegać utylizacji. Co do samych podziemi, zostaną szczelnie zamknięte. Prawdopodobnie wejście zostanie zalane betonem i dodatkowo zawałone. Choć moi ludzie z działu naukowego zastrzegli, że niektóre urządzenia chcą wyciągnąć. Podobno mają wielką wartość naukowo-historyczną. A co z waszymi gośćmi z piwnicy? – zmienił temat na wygodniejszy dla siebie.

– Zamierzamy ich wypuścić jutro, tylko same kłopoty z nimi, trzeba ich karmić, no i w ogóle. A może twoja firma chciałaby się nimi trochę pobawić? Szczególnie ci dwaj Niemcy mogą być interesujący. – Gospodarz po cichu liczył na rozwiązanie problemu.

– Raczej nie, choć możliwe, że ich trochę poobserwujemy. Szczerze mówiąc, mamy o nich całkiem niezłe informacje, lepiej niech sobie dalej działają i biegają na świeżym powietrzu, a my będziemy im się tylko przyglądać. – Marczyński mrugnął znacząco okiem. – A wy, panowie, co, wracacie do Ameryki?

– Chyba tak, choć mamy jeszcze trochę czasu i chcemy przy okazji pozwiedzać Europę. – Ken oczywiście nie zamierzał zdradzać szczegółów ich dalszych działań.

– Macie rację, trzeba poznawać nowe kraje. A północne Włochy o tej porze roku robią się naprawdę bardzo urokliwe. – Udając, że nie widzi zbaraniałych nagle min Amerykanów, zaczął się podnosić z fotela. – No nic, muszę się już zbierać, dołożyliście nam roboty, że aż strach. Tak przy okazji: nasza umowa cały czas jest w mocy, ja nie ingeruję w wasze sprawy, a wy nie szukacie dalej skarbów na Dolnym Śląsku. Ciebie to też dotyczy, Marcin. Oprawdaj dalej turystów,

szukaj Bursztynowej Komnaty czy „złotego pociągu”, ale o reszcie raczej zapomnij.

– Spokojnie, Adaś, mamy umowę. Zresztą mnie znasz.

– Znam, niestety znam. I nie mogę uwierzyć, że dalej się z tobą przyjaźnię.

Podali sobie ręce, umawiając się tradycyjnie na wódkę, gdy tylko znajdą trochę czasu, co jak obaj wiedzieli, nie nastąpi tak szybko. Marczyński pożegnał się jeszcze z Amerykanami, życząc im dobrej podróży, i wyszedł do czekającego już pod domem samochodu z kierowcą.

– Skąd on wiedział o Włoszech? – Paul i Jose byli zaskoczeni, może nawet w pewnym sensie zszokowani. W końcu o pomysle przetransportowania „łupów” przy pomocy kolegi Marka służącego jako logistyk w bazie w Aviano nikt poza ich czwórką nie wiedział. Nawet Mat.

– Widzicie, panowie, weszliście do świata cieni. Wiem, że może to zabrzmieć trochę patetycznie, ale tak już tu jest. Ci, którzy muszą wiedzieć, wiedzą, co potrzeba. Rozumiem, że macie na myśli bazę lotniczą NATO w Aviano. Wybaczcie, ale po tym, co powiedział Adam, i po waszej reakcji też połączyłem fakty.

– W porządku, ale jak to jest możliwe? – Paul nadal był w szoku.

– Co możliwe? To, że ja połączyłem informacje i półsłówka, czy to, że podpułkownik Marczyński rzucił jedno zdanie o urokach północnych Włoch? Teraz widzicie, że nie tylko wasze trzyliterowe służby są takie dobre. Ale możecie być pewni, że umowa co prawda jest ustna, lecz nikt nie będzie wam robił trudności. Co nie zmienia faktu, że pewnie będę musiał wam trochę pomóc.

– Chcieliśmy z tobą o tym właśnie porozmawiać.

\*\*\*

Podpułkownik Marczyński nie był całkiem szczery w rozmowie z gośćmi z Ameryki i swoim przyjacielem, choć co do jednego nie mijał się z prawdą, faktycznie czekało go teraz sporo roboty. I to takiej, która musiała być wykonana

perfekcyjnie, bez najmniejszych potknięć. Ładunkami atomowymi zajęli się technicy, naukowcy i członkowie specjalnej grupy z Izraela. Zgodnie z umową, zawartą oczywiście nieformalnie pomiędzy szefostwem obu tajnych służb, jeden z ładunków miał zostać przetransportowany do Izraela i wykorzystany przez tamtejsze służby. Pozostałe miały zostać w Polsce, właśnie w pracach nad nimi mieli pomóc specjaliści zatrudniani przez Mosad.

Gdy podpułkownik opuścił dom przyjaciela, służbowy samochód zawiózł go na lotnisko we Wrocławiu. Od paru godzin jego część była wyłączona z ruchu i znajdowała się pod kontrolą służb specjalnych oraz jednostki specjalnej, która strzegła strefy zamkniętej. Wywołało to oczywiście lawinę domysłów i spekulacji wśród pracowników portu lotniczego. Oficerowie wywiadu odpowiedzialni za zabezpieczenie operacji, umiejętnie cedząc słówka, dali do zrozumienia kierownictwu lotniska, że odbywa się transport wyjątkowo niebezpiecznych terrorystów. Co częściowo było prawdą, gdyż zgodnie z umową pomiędzy polskimi a izraelskimi służbami Karl Angerer oraz ci jego ludzie, którym udało się przeżyć, zostali przekazani Mosadowi. Specjalny samolot Chejl ha-Awir Korpusu Powietrznego Izraela wkrótce odleciał na Bliski Wschód, zabierając ze sobą jeden z ładunków atomowych, zatrzymanych więźniów oraz większość ludzi, którzy nim przylecieli kilkanaście godzin wcześniej.

W tym samym czasie na pokład wojskowej Casy zostały załadowane cztery pozostałe ładunki wraz ze specjalistami z Polski i Izraela, którzy mieli się nimi zajmować w najbliższym czasie. Do samolotu wsiadła również ekipa zabezpieczająca kapitana Bogackiego oraz podpułkownik Marczyński. Po starcie samolot skierował się w nieznanym kierunku, łamano tutaj co prawda wszystkie przepisy dotyczące ruchu powietrznego, nie zgłoszono bowiem planu lotu, jednak władze lotnicze nie miały tak naprawdę nic do gadania. Pełnomocnictwa Marczyńskiego, który kierował całą operacją, pozwalały mu na niemal nieograniczone działania. Po godzinie lotu wylądowano na lotnisku w Nadarzycach niedaleko Bornego Sulinowa.



Ta niegdyś niemiecka, potem sowiecka tajna baza wojskowa od początku lat dziewięćdziesiątych przechodziła różne koleje losu. Odtajnione miasto przez pewien czas było całkiem atrakcyjną alternatywą dla ludzi szukających swojego miejsca na ziemi i nowych perspektyw. Nawet całkiem nieźle się rozwijało, jednak po paru latach okazało się, że pomoc władz w zagospodarowaniu dawnego miasta garnizonowego nie jest tak duża, jak obiecywano. Turystyka, owszem, się rozwijała, ale nie na spodziewanym poziomie, i powoli wszystko zaczęło popadać w marazm i stagnację. Podobnie działo się z pobliskim miastem widmem Kłominem. Wtedy zainteresował się tym wszystkim wywiad, który szukał nowego miejsca dla swoich potrzeb. Legendarne Stare Kiejkuty co prawda nadal były głównym ośrodkiem szkoleniowym, jednak niepotrzebna reklama związana z tropieniem przez dziennikarzy tajnych więzień CIA w Polsce była im zupełnie niepotrzebna. Wywiad zaczął szukać nowego miejsca do prowadzenia swoich operacji. Przez parę lat trwały zakrojone na coraz większą skalę prace w Bornem Sulinowie i pobliskim Kłominie. Rozwinął się bardzo między innymi aeroklub w Nadarzycach, przy którym reaktywowano stare wojskowe lotnisko z zadziwiająco nowoczesnym pasem startowym i całą potrzebną infrastrukturą. W Kłominie powstała na przykład nowoczesna baza wojsk chemicznych. Oficjalnie stacjonował tam specjalny batalion przeznaczony do walki z zagrożeniami chemicznymi na terenie państw należących do NATO. Jednak infrastruktura, której podstawą stały się pozostałości po dawnej bazie rakietowej wojsk sowieckich, znacznie przerastała potrzeby batalionu. W jednostce znalazły się całe strefy wydzielone oficjalnie na potrzeby prac związanych z badaniami nad współczesnymi zagrożeniami chemicznymi.

Po wylądowaniu w Nadarzycach na samolot czekały już samochody z pobliskiej bazy wojsk chemicznych oraz żandarmeria wojskowa i agenci z jednostki specjalnej wywiadu. Sprawny przeładunek, i po paru minutach mała kawalkada przejechała przez pogrążone we śnie miasteczko, kierując do Kłomina. Nikt nie interesował się wojskowym konwojem. Obecna od ponad roku jednostka chemiczna zdążyła już spowszednieć mieszkańcom, a samochody wojskowe

przejeżdżające przez Nadarzyce czy Borne Sulinowo o różnych porach były wręcz traktowane jak element krajobrazu.

Po przetransportowaniu ładunku do wydzielonej części bazy natychmiast zajęli się nim naukowcy i technicy, którzy w przeważającej większości przylecieli razem z nim. Podpułkownik Marczyński natychmiast zameldował swoim zwierzchnikom o zakończeniu etapu transportowego i rozpoczęciu badań, zgodnie z poleceniem przekazał wszystko dowódcy specjalnego ośrodka i wsiadł w kolejny samochód, który miał go zawieźć tym razem do Warszawy. Czekala go noc w samochodzie, ale zdążył już przywyknąć do tego typu atrakcji.

Nowy dzień witał już w centrali na ulicy Miłobędzkiej. Siedząc w gabinecie szefa przy zadziwiająco mocnej i smacznej kawie, czuł, że z każdym łykiem wraca mu chęć do życia. Razem z nim w naradzie uczestniczyły jeszcze trzy osoby ze ścisłego kierownictwa firmy.

– Transport przebiegł bez żadnych niespodzianek – mówił Marczyński, odstawiając elegancką filiżankę na stół. – Zaraz po wyładunku nasi ludzie i Izraelczycy zabrali się do roboty.

– Mieliśmy nosa z tą bazą, Kaziu. – Jeden z zastępców szefa, odpowiedzialny za stworzenie nowego tajnego ośrodka wywiadu, nie mógł powstrzymać satysfakcji, że jego dziecko zaczęło wreszcie spełniać pokładane w nim nadzieje.

– Już tak się nie podniecaj, ale faktycznie pomysł i wykonanie były całkiem niezłe – odpowiedział dowódca.

– Pułkownikowi Marczyński, to, co teraz powiem, przeznaczone jest tylko dla osób znajdujących się w tym pokoju. – Po tych słowach zwierzchnika zrobiło się w gabinecie zupełnie cicho, słychać było tylko lekki elektroniczny szum urządzeń zabezpieczających pomieszczenie przed niepożądanym podsłuchem. Co prawda gabinet był pod tym względem codziennie sprawdzany, jednak dodatkowe zabezpieczenia były jak najbardziej pożądane. – Zanim jednak przejdę do szczegółów, chciałem panu pogratulować awansu na stopień pułkownika. Również pańscy ludzie biorący udział w operacji mogą liczyć na odpowiednie nagrody.

Jednak teraz najważniejsza sprawa. Wraz z obecnymi tu oficerami postanowiliśmy wtajemniczyć pana w szczegóły kolejnej operacji, której bezpośrednim kierowaniem zajmie się pan, jako osoba już zaangażowana i wiedząca o niej najwięcej. Operacja będzie nosić kryptonim „Uderzenie Peruna” i posiada najwyższy stopień tajności. Praktycznie o całym przedsięwzięciu wiedzą tylko osoby w tym gabinecie oraz piątka ludzi znajdujących się obecnie w bazie w Kłominie, dodatkowo jedna osoba z armii.

Po tym wstępie pułkownik Marczyński poczuł się z jednej strony wyróżniony, zwłaszcza że mówił to jego zwierzchnik, którego znał od wielu lat i szanował za niezwykłą wiedzę i fachowość. Z drugiej strony jednak zmroziło go przeczucie, które niczym błyskawica zesłana właśnie przez Peruna przebiegło mu przez głowę.

– Zapadła decyzja, by nie utylizować ładunków nuklearnych. Nie będę panu mówił o naszym położeniu geopolitycznym. Sam pan je doskonale zna, co prawda jesteśmy członkami NATO, jednak liczenie na własne siły jest jak najbardziej pożądane. Dlatego posiadanie takiego ostatecznego argumentu, jakim są ładunki nuklearne, może się naszemu państwu przydać. Mam szczerą nadzieję, że nigdy nie będzie to konieczne, ale nigdy nie wiadomo, co się stanie za parę lat. Ładunki zostaną przerobione i dostosowane do współczesnych potrzeb, unowocześnione i odpowiednio zabezpieczone. Zdajemy sobie sprawę z tego, że ich posiadanie jest pogwałceniem wielu traktatów, których sygnatariuszem jest nasze państwo, uważam jednak, że warto podjąć takie ryzyko. O sprawie nie będą też wiedzieć władze cywilne. Wiem, że to z kolei jest złamaniem prawa obowiązującego w Polsce, ale to też musimy zaakceptować. Ekipy rządzące co jakiś czas się zmieniają, a o ich kompetencjach często lepiej nie mówić, dlatego sprawa pozostanie tylko w gestii wywiadu i wojska. Z armii wie o sprawie tylko jedna osoba ze sztabu generalnego i dowódca bazy specjalnego batalionu chemicznego. Tak jak już powiedziałem, mam nadzieję, że nigdy nie będziemy zmuszeni sięgnąć po ten ostateczny argument, jednak uważam, że warto go mieć. Na tym etapie będzie trzeba się zająć zabezpieczeniem wywiadowczym całej operacji oraz

przede wszystkim akcją dezinformacyjną. Jak to mówili nasi starzy przyjaciele zza Buga „masowirowką”. – Słowo „przyjaciele” wypowiedziane zostało co prawda z przekąsem, ale brzmiał też w nim szacunek.

Generał zaczynał służbę już w czasach po tak zwanej transformacji ustrojowej, jednak w wywiadzie przez lata pracowało wielu oficerów, którzy zaczęli służbę w poprzedniej epoce. Byli wśród nich wybitni fachowcy, wyszkoleni przez służby specjalne „bratniego mocarstwa”. Wywarli oni wpływ również na nowych oficerów, którzy zasilili agencję już w nowej rzeczywistości. Wiedza i fachowość, które zaszczepili młodemu narybkowi, często owocowały specyficznym podejściem do pracy wywiadu. Z jednej strony opartym na nowych wzorcach, z drugiej absorbującym stare, wypróbowane i przede wszystkim skuteczne metody pracy wywiadowczej zza wschodniej granicy. Oficerowie wyszkoleni w ten sposób i nieodrzucający starych metod tylko dlatego, że pochodziły z poprzedniej epoki, należeli teraz do elity służb specjalnych nie tylko w Polsce, ale również na świecie.

– Już jakiś czas temu udało nam się nabyć, jak to się mówi, metodami operacyjnymi, pewną ilość materiału radioaktywnego – kontynuował dowódca. – Teraz posłuży on do utylizacji rzekomych ładunków. Technicy zapewnili mnie, że skład chemiczny będzie się zgadzał, uran pochodzi z tych samych złóż, z których korzystali w czasie wojny Niemcy. Prędzej czy później o całej sprawie dowiedzą się nasi sojusznicy i trzeba będzie odpowiednio zareagować. Myślę, że nawet lepiej będzie za jakiś czas o wszystkim poinformować nasze władze i dowództwo Sojuszu Północnoatlantyckiego, zwłaszcza Amerykanów. W tym momencie powinniśmy być już gotowi z zabezpieczeniem całej operacji. Ma pan na przygotowania około trzech, czterech tygodni.

– Rozumiem, panie generale, zrobię wszystko, co trzeba. – Pułkownik Marczyński, z jednej strony zadowolony z awansu i przede wszystkim z wejścia do grupy znającej najściślejsze tajemnice państwa, co otwierało przed nim możliwości awansu na kierownicze stanowiska w Agencji Wywiadu, z drugiej

strony czuł odpowiedzialność, jaka na niego spadała w związku z nową operacją „Uderzenie Peruna”.

\*\*\*

Specjalny samolot Korpusu Powietrznego Izraela leciał na wschód. Po starcie z lotniska we Wrocławiu jeszcze w nocy świt przywitał go nad Morzem Śródziemnym. Jednak tylko pilotom dane było podziwiać niezwykły widok zza okien samolotu. Większość pasażerów spała bądź pogrążona była w niezbyt wesołych myślach. Po kolejnej godzinie lotu zaczęli się przygotowywać do lądowania w specjalnej bazie lotniczej na pustyni Negew.

Po przyziemieniu i kołowaniu w tumanach pyłu do samolotu natychmiast podjechały samochody. W pierwszy zapakowano ładunek atomowy, technicy i ochrona wsiedli do następnych, po czym auta natychmiast odjechały. Kolejni pasażerowie samolotu wolno wychodzili przez opuszczone wrota ładowni pod czujnym okiem agentów Mosadu. Karl Angerer oraz ci jego ludzie, którzy przeżyli niefortunną wyprawę do Polski, mieli skrępowane ręce, a na oczach specjalne gogle uniemożliwiające zobaczenie czegokolwiek. Poprowadzono ich do hangaru, gdzie czekali już oficerowie, którzy mieli się zająć przesłuchaniami, oraz lekarz, który zgodnie z procedurami miał zbadać stan zdrowia więźniów.

– Witamy w Izraelu, panie Angerer. – Oficer, który zdjął z oczu Karla gogle, sprawiał wrażenie sympatycznego, co jeszcze podkreślał delikatny uśmiech błędzący po jego twarzy.

– O co chodzi? Zostałem bezprawnie zatrzymany, żądam natychmiast kontaktu z ambasadą USA i moim adwokatem oraz wyjaśnień. – Młody Angerer postanowił od razu przystąpić do ataku. Co dziwniejsze, nadal wierzył w swoją pozycję, a przede wszystkim w kontakty ojca. Wciąż nie docierała do niego sytuacja, w której się znalazł.

– Co najpierw? Ambasada, adwokat czy wyjaśnienia? – Oficer Mosadu wydawał się rozbawiony słowotokiem więźnia.

– Proszę sobie nie żartować. Jestem obywatelem amerykańskim, bezprawnie zatrzymanym w jakimś bandyckim napadzie, w którym dodatkowo został zamordowany jeden z moich ludzi. Do tego bez mojej zgody porwano mnie, wywożąc nie wiadomo gdzie. – Karl nadal próbował nadrabiać miną, jednak powoli zaczęła do niego docierać powaga sytuacji.

– Skoro nadal pan nie rozumie swojego położenia, pragnę poinformować, że jest pan zamieszany w działalność terrorystyczną, nielegalne próby zdobycia broni masowego rażenia oraz próbę użycia jej na terenie państwa Izrael. Na pocieszenie mogę pana poinformować, że nie ma u nas kary śmierci. Jednak okoliczności towarzyszące całemu zdarzeniu mogą spowodować, że ewentualny proces, o ile do niego dojdzie, jest teraz pana najmniejszym zmartwieniem. – Ostatnie słowa zostały wypowiedziane już bez cienia uśmiechu, spojrzenie ciemnych oczu Izraelczyka stało się śmiertelnie poważne. – Bez dalszych upiększeń: zostaniesz wraz ze swoimi ludźmi przewieziony do specjalnego ośrodka, gdzie nasi specjaliści odpowiednio was przesłuchają. Powiecie wszystko, możesz być pewien, tak samo jak tego, że nie obowiązują tam żadne międzynarodowe konwencje, nie będziesz miał adwokata, a jeśli przeżyjesz, będziesz to zawdzięczał tylko naszej dobrej woli.

Karl, który w swoim zadufaniu jeszcze po wyjściu z samolotu liczył na pomoc wpływowego ojca i jego przyjaciół, nagle zdał sobie sprawę, że raczej tak się nie stanie. Na moment przez głowę przebiegła mu myśl, że się nie podda, będzie milczał, stosował opór. Jednak tak jak nagle się ona pojawiła, tak samo szybko znikła. Teraz był tylko coraz bardziej przestraszonym bogatym dyletantem z dobrego domu, któremu przez chwilę zdawało się, że jest na tyle sprawny, inteligentny i wpływowy, że nic jemu i jego planom nie zagraża.

Po tej krótkiej rozmowie oraz szybkim badaniu lekarskim więźniowie zostali zapakowani do samochodów i wyruszyli w drogę do specjalnego ośrodka więziennego, w którym zazwyczaj przetrzymywano i przesłuchiowano najgroźniejszych terrorystów. Oczywiście nie przejmując się za bardzo ich prawami, a raczej ich brakiem.

Po ponad godzinnej podróży w ciasnocie i nieznośnym upale dojechali na miejsce. Karla i jego ludzi od razu dość brutalnie przeprowadzono do oddzielnych pomieszczeń, gdzie pozbawiono ich ubrań i bardzo dokładnie przeszukano. Następnie każdy dostał specjalny czerwony kombinezon i został odprowadzony do pojedynczej celi. Jedynie Leo, nadal odczuwający objawy zatrucia, został przeniesiony do czegoś w rodzaju szpitala, gdzie po przykuciu do łóżka przeprowadzono badania oraz zaaplikowano mu odpowiednie leki. Miał być przesłuchiwany w drugiej kolejności, gdy nieco wydobrzeje. Cała czwórka więźniów miała się już od tego momentu nie widzieć.

Po paru godzinach do dość mrocznej celi Karla weszło dwóch potężnie zbudowanych strażników, bez słowa zarzucili mu na głowę worek, skuli kajdankami i wyprowadzili. Po chwili został brutalnie posadzony na niezbyt wygodnym stołku, ściągnięto mu też z głowy kaptur. Oczy miały trudność z przyzwyczajaniem się do jaskrawego światła, w końcu zobaczył przed sobą tego samego oficera wywiadu, który przywitał go na lotnisku.

– Ponownie witam, jak pokój i obsługa? Jest pan zadowolony? – Oficer nawet nie starał się ukrywać kpiny i pogardy w głosie.

Karl dość nerwowo zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Od razu zobaczył hak z liną wiszący pod sufitem, baniaki z wodą i leżące na nich ręczniki oraz ponuro wyglądającą dwumetrową skrzynię z kilkoma otworami, stojącą pod ścianą. Opór, który w celi znów zaczął się w nim rodzić, natychmiast zniknął.

– Jestem tu bezprawnie przetrzymywany, chcę rozmawiać z adwokatem. – Głos, którym to wypowiedział, świadczył o tym, że była to ostatnia próba oporu, w której skuteczność sam zresztą nie wierzył.

– No dobrze. Pożartowaliśmy, a teraz przejdziemy do głównego celu naszego spotkania. – Oficer Mosadu już od pierwszego spojrzenia wiedział, że nie będzie z więźniem większego problemu. Świadczył też o tym profil psychologiczny przesłuchiwanego, który przeczytał przed godziną. Został on co prawda stworzony tylko na podstawie danych wywiadowczych, ale nie odbiegał zbytnio od rzeczywistości i tego, co sam zobaczył na lotnisku. – O tym, czy stąd

kiedykolwiek wyjdiesz, zdecyduje twoja postawa i to, co powiesz. W zasadzie musisz tylko potwierdzić posiadane już przez nas informacje. Będziemy rozmawiać czy chcesz poudawać opór? Bo jeśli tak, to zaraz zawołam ludzi, którzy się tobą zajmą.

Karl jeszcze raz przebiegł wystraszonym wzrokiem po wyposażeniu pokoju. Spróbował przełknąć ślinę, ale nie bardzo mu się to udało. Gardło miał zaciśnięte strachem.

– Dobrze, będę mówił – powiedział z wyraźnym trudem; nagła suchość w ustach ledwo pozwalała mu wydobyć głos.

– Wiem, po co byłeś w Polsce, co chciałeś znaleźć. Tak między nami mówiąc, twój ojciec mógł wyznaczyć do poszukiwań kogoś lepszego. Jesteś amatorem, któremu wydaje się, że po obejrzeniu paru filmów sensacyjnych wie, co ma robić. Twoi ludzie to co innego, ale z tego, co wiem, nie kierowałeś się za bardzo ich wskazówkami. No ale to nie nasz problem. Jak chcieliście wywieźć bomby z Polski?

– Asher miał wyrobione kontakty na lotnisku w Warszawie. Już przy naszym przylocie przekupił kogo trzeba. Przy wyjeździe miało być podobnie, w Stanach też wszystko było przygotowane.

– A jak zamierzaliście przewieźć to wszystko najpierw przez Warszawę, a potem w Ameryce? W dużych miastach są czujniki reagujące na promieniowanie, nawet słabe.

– Aleks miał przygotowane specjalne pojemniki, które miały ekranować bomby.

Przesłuchujący już wiedział o odnalezieniu tych pojemników w hotelu, który zajmowała grupa Angerera. Te pytania miały tylko sprawdzić, jak dalece Karl był gotowy współpracować. Na razie wyglądało na to, że więzień nie zamierza kłamać ani udawać niewiedzy.

– A co potem? Gdy już bylibyście w Stanach Zjednoczonych?



Karl trochę się zawahał, jednak strach, rezygnacja, gwałtowność zdarzeń ostatnich godzin robiły swoje.

– Jeden ładunek miał dostać szejk Farah ibn Saleh al-Husajn. Pozostałe mieliśmy przechować w bezpiecznym miejscu. Na razie nie było ostatecznej decyzji, co z nimi dalej zrobić.

– Wiesz, co szejk chciał z nim zrobić?

– Tak. Miał go zdetonować w Izraelu. – Karl przestraszył się jeszcze bardziej po tym, co powiedział.

– A co wy z tego mieliście mieć? – Słowa o planowanym zamachu wydawały się nie robić na przesłuchującym żadnego wrażenia.

– Detonacja miała nastąpić w odpowiednim momencie, by odwrócić uwagę świata od wydarzeń w Belize. Ojciec i jego przyjaciele planują przejęcie tego kraju i stworzenie tam nowego państwa.

– Dobrze, o tym porozmawiamy za chwilę. – Izraelczyk nie dał po sobie poznać, że ta ostatnia informacja była dla niego czymś nowym. – Teraz opowiedz mi ze szczegółami, jak mieliście przekazać szejkowi ładunek atomowy i jakie są związki firmy twojego ojca z Arabami.

Przesłuchanie potoczyło się gładko, Karl mówił wszystko, co wiedział. A wiedział sporo, dopuszczony przez ojca do wszystkich praktycznie tajemnic firmy, w końcu przecież był jej jedynym dziedzicem.

\*\*\*

Trzy dni później do siedziby Angerer Construction Group w Nowym Jorku wszedł bardzo elegancki mężczyzna w towarzystwie dobrze zbudowanego Afroamerykanina, zapewne ochroniarza. Z czarującym uśmiechem przekazał ładnej recepcjonistce, że musi się pilnie zobaczyć z panem Rolfem Angererem. Przedstawił się jako Raymond Spayder i oświadczył, że ma pilne informacje o synu pana Angerera. Młoda recepcjonistka słyszała już plotki krążące po firmie, że syn szefa prawdopodobnie zaginął, a boss jest coraz bardziej zaniepokojony

i zdenerwowany. O atakach złości Angerera seniora też krążyły legendy, zwłaszcza wśród pracowników niższego szczebla. Wiedząc o tym wszystkim, dziewczyna niezwłocznie połączyła się z sekretarką szefa i po krótkiej wymianie zdań zaprosiła dwójkę gości do windy, która miała ich zawieźć na sześćdziesiąte piąte piętro Angerer Tower.

– Dzień dobry, czym mogę panom służyć? – Sekretarka przywitała przybyłych mężczyzn z zawodowym uśmiechem.

– Och, jaki piękny widok na Manhattan, praca w takich warunkach musi być realizacją marzeń. Przepraszam bardzo, ale jestem oczarowany tym, co widzę za oknem. – Mężczyzna trzymanym w ręce kapeluszem wskazał na rzeczywiście zapierającą dech perspektywę Górnego Manhattanu, która rozpościerała się zaraz po wyjściu z windy w głównym sekretariacie firmy. – Jeszcze raz przepraszam, po prostu jestem wniebowzięty tym, co zobaczyłem. Nazywam się Raymond Spayder i chyba mam interesujące informacje na temat pana Karla Angerera. Byłbym zobowiązany, gdyby pani, Liso – przeczytał imię na tabliczce na biurku – była łaskawa poinformować o moim przybyciu pana Rolfa.

Sekretarka pod hipnotyzującym spojrzeniem błękitnych oczu mężczyzny podniosła słuchawkę i zaanonsowała go zwierzchnikowi. Po chwili zaprosiła gościa do środka, jego milczący ochroniarz pozostał w sekretariacie.

– Witam, nazywam się Rolf Angerer, podobno ma pan informacje o moim synu. – Właściciel jednej z największych firm budowlanych w USA nie krył zdenerwowania. Karl już od ponad czterech dni nie dawał znaku życia, podobnie było z wszystkimi ludźmi, których zabrał ze sobą do Polski. Ludzie zatrudnieni w ochronie firmy nie potrafili nikogo zlokalizować, a to było już bardziej niż niepokojące. Przybyły mężczyzna wydawał się całą swoją postawą podzielać zaniepokojenie gospodarza. Po raz kolejny się przedstawił.

– Reprezentuję instytucję, która może panu pomóc w odnalezieniu syna.

Rolf przez moment pomyślał, że ma do czynienia z naciągaczem, który proponuje rozpoczęcie poszukiwań zaginionego za odpowiednią stawkę. Jednak

następne słowa wypowiedziane przez gościa, któremu nie schodził z twarzy wyraz niepokoju o losy dziedzica fortuny, uspokoiły i jednocześnie przeraziły gospodarza.

– Nie jestem przedstawicielem firmy detektywistycznej oferującym swoje usługi. Może pan być spokojny. – Teraz na twarzy Spaydera pojawił się więcej niż przyjacielski uśmiech. – Reprezentuję Mosad. Jak pan zapewne wie, to dość sprawnie działająca instytucja, która nie pozwoliłaby sobie na marnowanie pańskiego, zapewne bezcennego czasu. Nie przynoszę też niepotwierdzonych plotek czy pogłosek. Mam nagranie, które zapewne wzbudzi pańskie zainteresowanie. – To mówiąc, podał skamieniałemu Angererowi telefon z przygotowanym do odtworzenia filmikiem.

W czasie gdy właściciel firmy budowlanej oglądał nagranie zrobione parę godzin wcześniej w pewnej celi w więzieniu na pustyni Negew, gość zaczął podziwiać wiszące w gabinecie obrazy.

– To jest Mark Rothko? Naprawdę imponujący. – Mężczyzna był pod prawdziwym wrażeniem obrazu wiszącego na ścianie.

– Przepraszam, nie rozumiem... – Angerer był w szoku po obejrzeniu filmiku, na którym jego syn, ubrany w czerwony więzienny kombinezon, z przerażeniem w oczach wręcz go błagał o pomoc.

– Mówię, że ma pan świetny gust. Obraz jest naprawdę niezwykły; Rothko jest Żydem, ale panu, jako prawdziwemu Aryjczykowi, zapewne to nie przeszkadza. – Tym razem w oczach eleganckiego mężczyzny pojawiły się ogniki złośliwego uśmiechu.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – Angerer nie krył zdenerwowania.

– Oczywiście współpracy, która jak miemam, przyniesie nam wszystkim przyjemność i zadowolenie, a panu pozwoli dodatkowo odzyskać dziedzica fortuny w nienaruszonym stanie. Tak przy okazji: jak idą sprawy w Belize?

Był to kolejny cios, który Rolf musiał przyjąć. Nie miał już wątpliwości, że losy syna, jego samego i całego imperium, które udało mu się zbudować przez

lata ciężkiej pracy, zależą od tego, co teraz zrobi. Jeszcze bardziej upokarzające było to, z kim musi się układać i kto dyktuje mu warunki. Mosad, Żydzi – to było już ponad jego siły. Nagle poczuł, że kręci mu się w głowie, i osunął się na fotel.

Gościa, który cały czas przyglądał mu się z uśmiechem, wydawało się zupełnie nie interesować chwilowe zasłabnięcie przedsiębiorcy.

– Gdy już pan dojdzie do siebie po tych niewątpliwie dobrych wiadomościach, zrobi pan dokładnie to, co teraz powiem.

\*\*\*

Następnego dnia prywatny odrzutowiec podchodził do lądowania na lotnisku w Dubaju. Na jego pokładzie oprócz załogi znajdowało się tylko trzech pasażerów. Po wylądowaniu samolot podkołował do małego prywatnego terminalu, przeznaczonego dla wyjątkowo ważnych gości szejka Faraha ibn Saleha al-Husajna. Po chwili cała trójka jechała już w kierunku jednego z pałaców szejka. Po przybyciu na miejsce zostali niezwłocznie poprowadzeni do gospodarza. Przed wejściem do prywatnych apartamentów jeden z gości pozostał przy drzwiach, dwaj pozostali weszli do środka.

– Witam, Rolfie, przyjacielu, spodziewałem się ciebie samego, kim jest twój towarzysz? – Szejk był lekko zaskoczony obecnością drugiego mężczyzny.

– Nazywam się Raymond Spayder, jestem nowym wspólnikiem pana Angerera. Od jakiegoś czasu prowadzę dla niego operację, którą Wasza Wysokość zapewne jest zainteresowany. Mam na myśli oczywiście sprawę broni atomowej. Mam ją w posiadaniu, pozwoliłem sobie towarzyszyć naszemu wspólnemu przyjacielowi, by osobiście omówić kwestie związane z jej przekazaniem. Przepraszam za moją bezpośredniość, jednak mnie również leży na sercu sprawa, która zaprzęta Waszą Wysokość. Bliski Wschód powinien się wreszcie pozbyć ciernia tkwiącego w sercu islamu. Chciałem poznać wielką postać i dlatego nalegałem na Rolfa, by zabrał mnie ze sobą.

– Widzę, że jest pan bezpośrednim człowiekiem, i cieszę się, że podziela pan moje poglądy na temat Bliskiego Wschodu.

Przybysz zrobił na szejku bardzo dobre wrażenie, lubił szczerych ludzi. Wykształcony w Europie, był skłonny akceptować bezpośredniość, często sprzeczną z arabskimi zwyczajami dotyczącymi prowadzenia konwersacji. Choć niechętnie, to przyznawał przed samym sobą, że niektóre elementy zachodniej kultury cenił o wiele bardziej niż rodzime. Nie miał świadomości, że między innymi o tym wiedział jego gość, który zapoznał się szczegółowo z bardzo dokładnym profilem psychologicznym szejka sporządzonym przez psychologów z Mosadu.

– Jeszcze raz przepraszam za moją bezpośredniość, ale w obecności prawdziwych wizjonerów czasami tracę głowę. – Szczerze uśmiechnięty Spayder zdawał się całkiem naturalny w swoich słowach i zachowaniu. – Wiem, że zależy Waszej Wysokości na czasie, a ja również chciałbym wypełnić swoje obowiązki jak najlepiej. Może przejdziemy do szczegółów naszej operacji. Oczywiście nasz przyjaciel Rolf we wszystko mnie wprowadził, gdy zaczęliśmy współpracę, jednak teraz, gdy zbliżamy się do wielkiego finału, chciałem sam wszystko ustalić i dopilnować realizacji. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami termin eksplozji miał wybrać nasz przyjaciel, w zasadzie jest on już znany. Potrzebujemy teraz tylko informacji, gdzie przekazać ładunek realizatorom tej wielkiej misji.

– Cieszę się z entuzjazmu, jaki pan okazuje. Bardzo dobrze się stało, że się spotkaliśmy, takie sprawy najlepiej załatwiać bezpośrednio. – Szejek wstał, podszedł do małego sekretarzyka i wyjął z niego telefon. – Proszę, w pamięci aparatu znajduje się numer bezpośrednio łączący z moim człowiekiem, który jest osobiście odpowiedzialny za realizację operacji. Proszę się z nim skontaktować i przekazać, gdzie ma odebrać ładunek, reszta dokona się w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Wizyta u szejka trwała jeszcze blisko godzinę, po ustaleniu najważniejszych spraw związanych z przywróceniem panowania islamu nad Bliskim Wschodem rozmowa zeszła na sztukę nowoczesną, której nowy znajomy szejka okazał się wielkim znawcą i wielbicielem. Jego erudycja, zachowanie, bezpośredniość

urzekły gospodarza do tego stopnia, że zupełnie nie zwrócił uwagi na milczenie Angerera.

Wkrótce potem opuścili pałac. Po kilkudziesięciu minutach znowu byli w powietrzu.

– Całkiem nieźle się pan spisał, Rolf. – Agent Mosadu pozwolił sobie na rozluźnienie, zdjął marynarkę, pozostając w kamizelce, poluzował krawat i podwinął rękawy koszuli. – Może drinka? Ma pan świetną whisky w samolocie, do tego wyborne cygara. Po prostu aż chce się żyć.

– Co z moim synem? Mówił pan, że zostanie wypuszczony, gdy załatwimy sprawę w Dubaju.

– Mówiłem, że będzie wolny, gdy doprowadzimy sprawę do końca. A to jeszcze trochę potrwa. Na razie niech się pan cieszy lotem.

– A co dalej? Przecież szejk się domyśli, że go zdradziłem.

– Niech się pan tym nie martwi, drogi Rolfie. Myślę, że to dopiero początek naszej długiej współpracy.

Angerer spojrział z mieszaniną nienawiści i przerażenia na swojego nowego znajomego. Zdawał sobie sprawę, że od tego człowieka zależy teraz los jego syna, firmy i jego samego.

\*\*\*

Tego samego dnia w centrali Mosadu w Tel Awiwie ponownie spotkali się najwyżsi oficerowie w celu omówienia postępów operacji, która zaczęła się tak nagle przed paroma dniami. Eitan Pozner, który kierował działaniami, krótko zreferował to, co już udało się osiągnąć: operacja w Polsce, przejęcie jednego z ładunków, przesłuchania Karla Angerera i nawiązanie współpracy z jego ojcem.

– Dzisiaj nasz człowiek w towarzystwie Rolfa Angerera spotkał się z szejkiem Farahem ibn Salehem al-Husajnem. Z raportu, który dostałem godzinę temu, wynika, że wszystko idzie po naszej myśli. Mamy już telefon, przez który skontaktujemy się z terrorystami. Zostanie im przekazany zmodyfikowany

ładunek atomowy. Bez obaw, nasi specjaliści spreparowali go tak, że będzie niezdatny do użycia. Jednocześnie będzie przekazywał informacje o swoim położeniu. Nasi ludzie wkroczą w odpowiednim momencie, by zlikwidować jak największą liczbę terrorystów. Przy czym paru z nich pozwolimy zbiec z przekonaniem, że szejka jest zdrajcą, który się nam zaprzedał. Nie muszę chyba dodawać, że wśród nich będzie jeden z naszych agentów, którego wprowadziliśmy do Sił Jednego Boga już jakiś czas temu. Jest na tyle dobrze umocowany w organizacji, że wie o planowanym zamachu i bierze udział w jego przygotowaniach. Jednak musieliśmy zdobyć informacje o kontakcie od szejka, by zabezpieczyć naszego agenta przed ewentualnymi podejrzeniami. Dzięki temu i działaniom naszego człowieka wszelkie podejrzenia spadną właśnie na szejka. Co doprowadzi do słusznego gniewu terrorystów i likwidacji przez nich Faraha ibn Saleha al-Husajna. Kolejna sprawa to sam Angerer. Mamy jego syna, zdemaskowaliśmy jego organizację i plany. Teraz należy się zastanowić, co z tym dalej zrobić. Osobiście proponuję kontynuować operację. Gdy atak jądrowy się nie powiedzie, zabraknie elementu, który według planów tej neonazistowskiej organizacji miał jej ułatwić przejęcie kontroli nad Belize. A w dalszej perspektywie umożliwić stworzenie nowego państwa, w oparciu o które chcieli rozwinąć skrzydła. Mając kontrolę nad Angererem i jego synem, możemy kontrolować działania ich organizacji, mają w niej obaj najważniejszy głos. Dlatego nie powinno nikogo zdziwić, że plany budowy Czwartej Rzeszy zostaną nieco przesunięte. W tym czasie agent, który nawiązał już kontakt z Rolfem Angererem, będzie go kontrolował. Da to nam nowe możliwości działania w USA, a przede wszystkim wiedzę o działaniach neonazistów, które w przyszłości mogą być wymierzone w nasz kraj.

– Dziękuję, Eitan. – Dyrektor Josi Lotz wydawał się zadowolony z podjętych działań i już osiągniętych rezultatów. – Pozostaje jeszcze sprawa naszej współpracy z Polakami.

– Myślę, że obie strony powinny być z niej zadowolone. Nasi specjaliści pomagają im przy pozostałych ładunkach nuklearnych. Łącznikiem w tej sprawie

będzie Ariel Wajland. Od samego początku jest w nią zaangażowany i wie o niej najwięcej. Poza tym ma bardzo dobre kontakty z pułkownikiem Marczyńskim, który kieruje w Polsce całym przedsięwzięciem. Oni i my coś na tym ugraliśmy, my zlikwidujemy jedną z poważniejszych organizacji terrorystycznych, a przede wszystkim jej możliwego protektora, strona polska zyska zabezpieczenie na ewentualne trudne czasy. Co wydaje się zrozumiałe ze względu na ich położenie geopolityczne. Amerykanie nie muszą o niczym wiedzieć, a nasza wiedza może zaowocować dalszą dobrą współpracą z polskim wywiadem. A jak wiecie, oni mają całkiem niezłe źródła i kontakty na całym Bliskim Wschodzie. Często takie, o jakich my możemy pomarzyć. – Pułkownik Saphir, któremu powierzono kierowanie tym fragmentem działań, znany był ze swojej sympatii dla Polski. W końcu tam się urodził i choć wraz z rodzicami wyjechał do Izraela w 1968 roku, nadal czuł sentyment do kraju, w którym jego rodacy przeżyli tyle tragicznych chwil. Pamiętał też, że mimo łatki antysemityzmu wielu Polaków jest uczciwymi i porządnymi ludźmi, jak choćby ci, którzy ocalili jego dziadków z Holokaustu, ukrywając ich przez całą niemiecką okupację.

– W takim razie możemy przejść do bieżących spraw. Co tam się, u licha, wyprawia w Teheranie, Dawid? W końcu to twoja działka i za to odpowiadasz. – Narada toczyła się dalej.



# 45

Dwa miesiące po wydarzeniach w Głuszycy Marcin Flisak zaparkował swój samochód na podjeździe przed domem. Zgodnie z obietnicą daną pułkownikowi Marczyńskiemu praktycznie od wyjazdu Amerykanów zupełnie zaprzestał swoich poszukiwań. Na razie chciał, by sprawa przycichła. Tak jak się umówił ze swoimi nowymi współnikami zza oceanu, przez najbliższy rok, a może nawet więcej, żaden z nich nie mógł się nawet zająknąć na temat nowych schowków pozostawionych przez uciekających Niemców. Nie był naiwny i wiedział, że prawdopodobnie znajduje się pod dyskretną obserwacją, również elektroniczną. Jego aktywność w sieci ograniczała się do standardowych czynności typowego obywatela. Poczta elektroniczna, portale informacyjne, jakieś ciekawostki, trochę filmów, nic więcej. Nie doskwierało mu to zbytnio, miał świetną bibliotekę, w której udało mu się zgromadzić rozległą wiedzę na temat tajemnic Dolnego Śląska. W efekcie nadal prowadził poszukiwania, pracując na razie w oparciu o materiały źródłowe, prowadząc przy tym życie zwykłego emeryta.

Wysiadłszy z samochodu, zajrzał do skrzynki na listy. Były w niej tradycyjnie ulotki zachwalające niesamowite promocje w pobliskich sklepach, informacja o możliwości wzięcia udziału w pokazie odkurzaczy, które z pewnością „odmieniają twoje życie”. Oprócz tradycyjnych śmieci znalazł też dwie koperty. Pierwsza nie wzbudziła w nim zbytniego zainteresowania – oferty bankowe nigdy nie robiły na nim wrażenia. Druga koperta była już o wiele ciekawsza, została nadana w Jolly Harbour na wyspie Antigua. Niewiele to powiedziało Marcinowi, w środku znajdowała się tylko pocztówka z widokiem pięknej plaży, na jej odwrocie zostały

zapisane tylko cztery litery: M, J, K i P, oraz numer telefonu. Uśmiechnął się pod nosem. Więc wszystko musiało się udać, dostał wiadomość, tak jak się umówili przed ośmioma tygodniami.

\*\*\*

– Chcieliśmy właśnie o tym z tobą porozmawiać – powiedział Mark. – Mamy już wstępny plan, jak to wszystko przewieźć do Ameryki, ale po tym, co się wokół nas i całej tej sprawy działo, zaczynam mieć już wątpliwości, czy wszystko się uda.

– Widzę, panowie, że bardzo zapobiegliwi z was poszukiwacze, skoro od początku mieliście plan, nazwijmy to, ewakuacji. Nie ma sprawy, pomogę, zresztą ja też nie zamierzam trzymać tego wszystkiego w domu. Na początek jednak trzeba coś zrobić z tą naszą czwórką w piwnicy. W zasadzie możemy ich puścić i sprawa będzie zamknięta, wolałbym jednak zaskarbić sobie coś w rodzaju ich wdzięczności. Wiem, na wdzięczność ludzi nie ma co liczyć, ale mam nadzieję, że nie mylę się co do nich.

– W porządku, zróbmy to. Tylko trzeba by ich gdzieś daleko wywieźć, żeby czasem nie chcieli wrócić.

– Właściwie to nie wiedzą, gdzie są, mogą się tylko domyślać. A po co mieliby wracać? U swoich pracodawców są spaleni. Na wszelki wypadek niech jeszcze trochę posiedzą, dopóki my nie obmyślimy planu, co dalej z naszym znaleziskiem.

– Będę musiał zadzwonić do Tima do Aviano, żeby dograć szczegóły. – Mark był pełen optymizmu co do możliwości swojego kolegi. Sięgnął do kieszeni i chciał wybrać numer. Powstrzymało go ostrzegawcze syknięcie Mata.

– O co chodzi?

– Chyba nie chcesz dzwonić z tego telefonu?

– Faktycznie, masz rację. – Mark spojrział na Flisaka i na telefon, pokiwał ze zrozumieniem głową. – Musimy chyba wybrać się na zakupy.

– Właśnie to chciałem zaproponować – odpowiedział z uśmiechem Polak. – Pułkownik Marczyński jest moim przyjacielem, ale firma, w której pracuje, rządzi się swoimi prawami.

Wieczorem tego samego dnia siedzieli przy kolacji, omawiając plan dalszych działań. Najpierw jednak Mat przetrząsnął cały dom w poszukiwaniu podsłuchów i innych tego typu pamiątek, które mogły zostać po grupie specjalnej kapitana Bogackiego. Amerykanie przyglądali się temu trochę zdziwieni, ale gdy używając specjalnego urządzenia, Mat wyciągnął cztery podsłuchy z różnych kątów, zrozumieli, że jednak nie był to objaw paranoi.

– Masz teraz pewność, że wszystko jest w porządku? – zagadnął Paul.

– Takiej pewności nigdy nie ma, jednak mam trochę doświadczenia z tego typu rzeczami i liczę na to, że wszystko wyciągnąłem.

– Ale dlaczego to zostawili? – Jose nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Przecież współpracowaliśmy, pomogliśmy im, a ty w szczególności.

– Taka praca, jak to mówili nasi przyjaciele z za wschodniej granicy: „ufaj, ale cały czas kontroluj”. Dlatego ja też ufam, ale cały czas sprawdzam, jak wygląda właśnie ta kontrola. Dobrze, na razie powinno być bezpiecznie, a za te pamiątki przy okazji dziękuję Adamowi. W porządku, wracając do sprawy, macie wynajęte dwa samochody na fałszywe nazwiska. Nie pytajcie, jak to zrobiłem, bo to nieistotne. Dojedźcie nimi spokojnie do Włoch i zostawcie na parkingu z powiadomieniem telefonicznym wypożyczalni, gdzie ma je odebrać, standard. Po drodze zabierzemy naszych gości z piwnicy i wysadzimy ich gdzieś w Czechach, niech sobie dają radę sami. Jadę z wami, pożegnamy się w Austrii, ja sobie skręcę do Szwajcarii, a wy możecie jechać dalej, do Włoch. Jednak miałbym lepszy pomysł. A gdybyście pojechali ze mną, otworzycie sobie konta w którymś z banków, skrytki depozytowe i takie tam? Część znaleziska można będzie spieniężyć na miejscu albo włożyć na lokatę z możliwością wymiany na dowolną walutę. Zastanówcie się nad tym. Wersja z Aviano jest niezła, ale ja bym nie ryzykował.

– Też o tym już myślałem. – W Josem odezwał się doradca finansowy. – Potem łatwiej będzie wszystko ogarnąć, a nie kombinować ze sztabami, zresztą część możemy zostawić w skrytkach depozytowych.

– Właśnie, a przez Aviano niech lecą nasze bagaże. Kupimy trochę fantów niebudzących podejrzeń i wyślemy to przy pomocy Tima. – Marka też nagle olśniło.

– Widzę, panowie, że zaczynacie myśleć jak rasowi konspiratorzy. – Mat się uśmiechnął.

Następnego dnia rano kawalkada trzech dość mocno zapakowanych samochodów wyruszyła na południe. Wynajęte przez Flisaka pojazdy były bardzo pojemnymi pikapami podobnymi do jego mitsubishi. Czterej jeńcy ze skrupowanymi rękoma wsiedli do dwóch samochodów prowadzonych przez Amerykanów, Flisak jechał sam w swoim aucie. Gdy wyjechali z Polski i dotarli niemal do granicy Austrii, zatrzymali się na małym leśnym parkingu.

– No, panowie, tutaj kończy się wasza podróż.

Słowa Marka zabrzmiały w uszach czwórki jeńców dość groźnie. Szybko się jednak przekonali, że nie czeka ich nic złego. Każdy z nich dostał torbę, w której znajdowała się sztabka złota.

– Mam nadzieję, że nie będziecie dalej kombinować przeciwko nam. Dodam tylko, że wasi pracodawcy mają teraz dosyć duże problemy, ale lepiej by było, gdybyście nie wchodzili im za bardzo w oczy. – Mat Flisak obrzucił ich jeszcze ostatnim spojrzeniem, i trzy samochody odjechały, pozostawiając lekko oszołomionych byłych jeńców na parkingu.

W ciągu dwóch następnych dni Flisak i czwórka Amerykanów postarała się o dobre zabezpieczenie swego znaleziska. Legendarne banki szwajcarskie znacznie to ułatwiły. Tak jak planowali, część pozostawili w skrytkach depozytowych, część przekształcili w lokaty inwestycyjne. Każdy też sprzedał po dwie sztabki, kurs złota akurat zaczął iść ostro w górę, co było związane

z niepokojami na Bliskim Wschodzie i wzrostem cen ropy naftowej. W końcu przyszło się pożegnać.

– Dziękujemy za wszystko, Mat. Bez ciebie nie mielibyśmy najmniejszych szans na znalezienie czegokolwiek. Sprawy, jak się okazało, trochę nas przerosły.

– Ken dziękował ich polskiemu przyjacielowi w imieniu całej czwórki.

– Bez przesady, nie byłoby tak źle, tylko pewnie byście się bardziej natrudzili. Co dalej, panowie? Bo ja wracam do Walimia i będę dalej prowadził spokojne życie emeryta, no może za parę miesięcy coś wymyślę. W końcu perspektywy są teraz prawie nieograniczone.

– Jeszcze nie wiem, ale zastanawialiśmy się nad przenosinami na jakąś urokliwą wyspę z przyjaznym systemem podatkowym. W USA nie jest z tym tak różowo. Damy ci znać. Wykombinujemy też sposób, by przekazać ci numer telefonu albo adres, pod którym będziemy osiągalni. Na pewno się odezwiemy.

\*\*\*

Po wejściu do domu Marcin Flisak rozejrzał się po salonie. „Jakoś tak cicho tu jest” – pomyślał. Dotąd nie doskwierała mu samotność, miał swoje książki, poszukiwania, źródła, które zgłębiał, chcąc odkrywać kolejne tajemnice Dolnego Śląska. Teraz, gdy poznał archiwum z U-530, jakoś już nie miał serca do tego wszystkiego. Wiele zagadek znalazło rozwiązanie, miejsca, które do tej pory tchnęły tajemniczością, zostały z niej nagle odarte. Do tego przez tych parę wyjątkowo intensywnych dni poszukiwań wróciła do niego dawna pasja, jaką była praca w wywiadzie. Tajne działania, podsłuchy, wywodzenie przeciwnika w pole, skomplikowana gra operacyjna – wszystko to nadal w nim tkwiło. „No nic, trzeba żyć dalej, niektóre rzeczy już nie wrócą. Co najwyżej mogę z Adamem przy wódce powspominać dawne czasy” – pomyślał i sięgnął po gazetę. Nadal w ten coraz bardziej staroświecki sposób lubił poznawać informacje o wydarzeniach na świecie. Potem dopiero je uzupełniał, przeglądając portale informacyjne w internecie.

Udana operacja izraelskich służb specjalnych – głosił tytuł na trzeciej stronie gazety. – Wczoraj poinformowano, że 15 grudnia ubiegłego roku izraelskie służby specjalne udaremniły próbę groźnego zamachu. Członkowie organizacji terrorystycznej Siły Jednego Boga (Quaa 'Iilah Wahid) próbowali dokonać wysadzenia w powietrze elektrowni atomowej w Dimonie. Terrorystyści byli śledzeni już od dłuższego czasu, siły specjalne wkroczyły w decydującym momencie, zabijając część napastników. Zabezpieczono też znaczne ilości materiałów wybuchowych. Rzecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Izraela przyznał, że pomimo niewątpliwego sukcesu, jakim było udaremnienie ataku, niestety nie udało się ująć wszystkich terrorystów, trwa pościg za uciekinierami. Dodał też, że udało się zabezpieczyć około trzystu kilogramów materiału wybuchowego, jakim był trotyl.

Kolejną informacją z Bliskiego Wschodu była krótka wzmianka o śmierci jednego z bardziej wpływowych mieszkańców Dubaju.

...Szejk Farah ibn Saleh al.-Husajn – spokrewniony z rodziną panującą w Arabii Saudyjskiej, jeden z najbogatszych przedsiębiorców na Bliskim Wschodzie – został znaleziony martwy w jednym ze swoich apartamentów w centrum Dubaju. Miejscowa policja nie chciała się wypowiadać na temat przyczyn jego śmierci. Z niepotwierdzonych plotek wynika, że szejk został zamordowany prawdopodobnie przez swoją kochankę, która następnie popełniła samobójstwo. Portale plotkarskie już od lat rozpisywały się o kolejnych podbojach bogatego przedsiębiorcy. Wiązano go z gwiazdami kina,

*estrady, celebrytkami. Kobieta, którą znaleziono w apartamencie szejka, była jedną z wziętych modelek, pochodziła z Europy Wschodniej.*

Po przeczytaniu tych wiadomości Marcin Flisak, wiedziony starymi nawykami, sprawdził jeszcze w internecie informacje na temat pewnej firmy budowlanej na wschodnim wybrzeżu USA – Angerer Construction Group. Dowiedział się między innymi, że akcje firmy utrzymują się niezmiennie na wysokim poziomie. Na stronie przedsiębiorstwa pojawiły się natomiast podziękowania dla wszystkich tych, którzy udzielili wsparcia właścicielowi firmy Rolfowi Angererowi w czasie poszukiwań jego syna Karla, który zaginął w czasie wycieczki po pustyni. Ten ostatni, szczęśliwie odnaleziony po niemal dwóch tygodniach poszukiwań, wrócił już do Stanów Zjednoczonych cały i zdrowy. Na stronie firmy pojawiła się też informacja, że do jej zarządu wszedł jako udziałowiec mało dotąd znany przedsiębiorca, niejaki Raymond Spayder. Zdjęcie pokazywało około sześćdziesięcioletniego, wyjątkowo eleganckiego mężczyznę, który z uśmiechem na twarzy towarzyszył Rolfowi Angererowi w spotkaniu zarządu firmy.

**KONIEC**

CIĄG DALSZY NASTĄPI W DRUGIM TOMIE

# **SPIS TREŚCI:**

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21



Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Karta redakcyjna

*Kryptonim „Młot Thora”. Tajemnica Riese*

ISBN: 978-83-8313-054-5

© Przemysław Hudyma, Wojciech Kulawski i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Agnieszka Łoza

Okładka: Wiola Pierzgalska



**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek